

A detailed woodcut-style illustration of a white rabbit with a single red eye. The rabbit is positioned in the upper half of the frame, facing right. Its body is filled with fine, cross-hatched lines. In the center of the rabbit's chest, there are three large, vibrant red flowers, possibly peonies, with several leaves and smaller buds scattered around them. The background is a solid black. The author's name 'LEIGH BARDUGO' is written in a serif font across the rabbit's chest and paws. The title 'WROTA PIEKIEŁ' is written in a similar font across the lower part of the rabbit's body.

LEIGH
BARDUGO

WROTA
PIEKIEŁ

Wydawnictwo
MAG

Leigh Bardugo

WROTA PIEKIEŁ

Przełożyła Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Tytuł oryginału: *Hell Bent*

Copyright © 2023 by Leigh Bardugo. All rights reserved

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Zainspirowane oryginalnym projektem: Keith Hayes

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Mapa: Rhys Davies i WB

ISBN 978-83-67793-62-9

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Część I. Jak na górze

Listopad

Rozdział 1. Październik, miesiąc wcześniej

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4. Zeszłe lato

Rozdział 5. Październik

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9. Zeszłe lato

Rozdział 10. Październik

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Zstąpienie

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Część II. Tak na dole

Rozdział 35. Listopad

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Podziękowania

O autorce

Przypisy

*Miriam Pastan,
która odczytała mi przyszłość
z filiżanki kawy*

Jeno tak żyli, bez myśli nijakiej,
pókim ja ich trudnego nie nauczył sądu
o wschodach i zachodach gwiazd na niebios stropie.
Nie koniec na tym: jam im kunszt wynalazł liczby,
mądrość przednią, i znaków składanie pisanych,
wszech spraw pamięć, Muz świętych macierz pracowitą.

Ajschylos, *Prometeusz w okowach*
inskrypcja nad wejściem do Biblioteki
im. Sterlinga na Uniwersytecie Yale
(przeł. Stefan Srebrny)

Culebra que no mir morde, que viva mil anos.
Oby wąż, który mnie nie kąsa, żył tysiąc lat.

Przysłowie sefardyjskie

Część I.

JAK NA GÓRZE

Listopad

Alex podchodziła do posiadłości Black Elm tak, jakby podkradała się do dzikiego zwierzęcia. Ostrożnie szła długim zakolem podjazdu, starając się nie zdradzać strachu. Ile już razy tędy szła? Dzisiaj jednak było inaczej. Dom wynurzał się spomiędzy nagich gałęzi drzew i wyglądał, jakby na nią czekał, jakby słyszał jej kroki i spodziewał się jej nadejścia. Nie kulił się jak ofiara. Stał pewnie jak wilk, który szczerzy zęby – całe jego dwie kondygnacje z szarego kamienia zwieńczone spiczastym dachem. Posiadłość Black Elm kiedyś była efektowna i wymuskana, ale zostawiono ją własnemu losowi na zbyt długi czas.

Pozabijane deskami okna na piętrze tylko pogarszały obraz – wyglądały jak nieopatrzona rana w boku wilka, od której zwierzę może oszaleć.

Alex wsunęła klucz w zamek w starych drzwiach na tyłach domu i weszła chyłkiem do kuchni. W środku było chłodniej niż na zewnątrz – nie było ich stać na ogrzewanie domu, a poza tym nie miało to sensu. Jednakże mimo zimna i misji, którą Alex przysła tu wypełnić, pomieszczenie nadal było przytulne. Miedziane patelnie wisiały w schludnych rzędach nad wielką, starą kuchenką, lśniące i gotowe, czekające tylko, żeby ich użyć. Kamienna podłoga była nieskazitelnie czysta, blaty zostały wytarte. Na jednym stała butelka od mleka z gałązkami ostrokrzewu, które postawiła tam Dawes. Kuchnia była najbardziej funkcjonalnym pomieszczeniem w całym Black Elm, które dzięki stałym zabiegom pozostało żywe, schludna świątynia światła. W taki sposób Dawes radziła sobie z tym wszystkim, co zrobili, z tym, co czaiło się w sali balowej.

Alex nabrała już rutyny w Black Elm. Właściwie to Dawes wypracowała tę rutynę, a Alex próbowała się jej trzymać – miała wrażenie, że to skała, której chwyciła się kurczowo, podczas gdy strach próbował wciągnąć ją w odmętę. Trzeba otworzyć drzwi, sprawdzić pocztę, odłożyć ją na blat, napełnić miski Cosmo świeżą wodą i karmą.

Zwykle miski były puste, ale dzisiaj Cosmo przewrócił naczynie z karmą i jakby w geście protestu rozrzucił po podłodze chrupki w kształcie rybek. Kot Darlingtona wściekał się, bo zostawał sam. A może bał się, bo już nie był tak naprawdę całkiem sam?

– A może po prostu jesteś wybrednym sierściuchem – mruknęła Alex, sprząając karmę z podłogi. – Przekażę pańskie uwagi szefowi kuchni.

Nie podobało jej się brzmienie własnego głosu – wątłego w panującej w domu ciszy, ale zmusiła się, żeby powoli i metodycznie wypełnić resztę obowiązków. Napełniła miski wodą i karmą, wyrzuciła przesyłki reklamowe adresowane do Daniela Arlingtona, włożyła rachunek za wodę do swojej torby, żeby zabrać go do Il Bastone. Kolejne kroki w rytuale, które wykonywała z pieczołowitością, chociaż nie zapewniały jej żadnej ochrony. Zastanawiała się, czy nie zaparzyć kawy. Mogłaby usiąść na zewnątrz w zimowym słońcu i poczekać, aż Cosmo ją znajdzie, kiedy uzna za stosowne przerwać polowanie na myszy w niechlujnym kłębowisku labiryntu z żywopłotu. Mogłaby tak zrobić. Odsunąć na bok troski i gniew, spróbować złożyć w całość tę układankę, chociaż nie chciała zobaczyć obrazka wyłaniającego się z każdym nowym paskudnym elementem, jaki dokładała.

Zerknęła na sufit, jakby mogła przebić go wzrokiem. Nie, nie mogła po prostu usiąść na werandzie i udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku, kiedy jej nogi chciały wspiąć się po schodach, chociaż wiedziała, że powinna uciekać w przeciwnym kierunku, zamknąć za sobą na klucz kuchenne drzwi i udawać, że nigdy nie słyszała o tym miejscu. Miała swoje powody, żeby tu się zjawić, ale teraz zastanawiała się nad swoją głupotą. Nie była gotowa. Powinna porozmawiać

z Dawes, może nawet z Turnerem. Chociaż raz powinna obmyślić plan, zamiast rzucić się na osłep prosto w ramiona katastrofy.

Umyła ręce w zlewie i dopiero kiedy odwróciła się po ręcznik, zauważyła otwarte drzwi.

Wytała ręce, starając się nie zwracać uwagi na gwałtownie przyspieszone bicie serca. Nigdy dotąd nie zauważyła drzwi w pokoju kredensowym, tej przerwy między ładnymi przeszklonymi szafkami i półkami. Nigdy dotąd nie widziała, żeby były otwarte. I z pewnością nie powinny być otwarte teraz.

Może to Dawes zostawiła je otwarte? – pomyślała. Tyle że Dawes wciąż lizła rany po rytuale i ukrywała się za szeregami swoich fiszek. Nie zaglądała tu od paru dni, odkąd postawiła gałązki ostrokrzewu na blacie, tworząc obrazek tego, jak powinno wyglądać życie. Schłodne i proste. Antidotum na resztę ich dni i nocy, na sekret na piętrze.

Ona i Dawes nigdy nie zwracały sobie głowy pokojem kredensowym z rzędami zakurzonych naczyń i kieliszków oraz z wazą na zupełnej wielkości wanny. To było jedno z licznych szczątkowych odnóży domu, miejsce nieużywane i zapomniane, zostawione na pastwę atrofii od czasu zniknięcia Darlingtona. A już z pewnością nie zwracały sobie głowy piwnicą. Alex nigdy nawet o niej nie myślała. Aż do tej chwili, kiedy stała przy kuchennym zlewie otoczona przez schłodne kafelki pomalowane w niebieskie wiatraki i żaglowce i wpatrywała się w czarną dziurę, idealny prostokąt, niespodziewaną pustkę. Wyglądało to tak, jakby ktoś usunął fragment kuchni. Wyglądało to jak otwarty grób.

Zadzwoń do Dawes, pomyślała.

Oparła się o blat.

Wyjdź z kuchni i zadzwoń do Turnera.

Odłożyła ręcznik i wyciągnęła nóż z bloku stojącego obok zlewu. Żałowała, że nie ma w pobliżu jakiegoś Szarego, ale nie chciała ryzykować przyzywania.

Przytłaczały ją rozmiary domu i panująca w nim głucha cisza. Zerknęła znowu, pomyślała o złotym migotaniu kręgu, buchającym z niego żarze. „Mam pragnienia”. Czy te słowa podnieciły ją, kiedy powinny tylko przerazić?

Alex podeszła cicho do otwartego przejścia, do tej rozwartej pustki. Jak głęboko kopano, kiedy budowano ten dom? Była w stanie doliczyć się trzech, czterech, pięciu kamiennych stopni prowadzących do piwnicy, zanim reszta zginęła w ciemności. Może dalej nie było schodów? Może zrobiłaby krok, spadła i poleciała w chłód?

Przesunęła ręką po ścianie, szukając włącznika światła, a potem uniosła wzrok i zobaczyła wystrzępiony sznurek zwieszający się obok gołej żarówki. Szarpnęła za niego i ciepłe, żółte światło zalało schody. Żarówka zabrzęczała pocieszająco.

– Cholera – mruknęła Alex.

Zgroza rozplynęła się, pozostawiając na swoim miejscu jedynie zażenowanie. Zwykle schody, drewniana poręcz, regały zastawione puszkami farby i szmatami, narzędzia wiszące na ścianie. Słaby zapach stęchlizny unosił się z ciemności w dół, smrodek murszu wzbogacony nutką zgnilizny. Alex usłyszała kapiącą wodę i szuranie, najpewniej szczura.

Nie widziała zbyt wyraźnie końca schodów, ale na pewno był tam następny włącznik albo żarówka. Mogła zejść, upewnić się, że nikt tam nie grzebie, sprawdzić, czy nie powinny z Dawes wystawić pułpek.

Tylko dlaczego drzwi były otwarte?

Cosmo mógł je szturchnąć podczas jednej ze swoich wypraw na szczury. A może rzeczywiście to Dawes je uchyliła i zeszła na dół po coś zupełnie zwyczajnego – środek chwastobójczy, papierowe ręczniki? I potem zapomniała porządnie je zamknąć.

Dlatego Alex zamknie je należycie. Na klucz. A jeśli jakimś cudem na dole czai się coś, co nie powinno się tam znaleźć, to zostanie na swoim miejscu, dopóki Alex nie wezwie posiłków.

Sięgnęła do sznurka i zamarła z zaciśniętą na nim dłonią, nasłuchując. Wydawało jej się, że usłyszała... o, znowu, cichy syk.

Dźwięk jej imienia. Galaxy.

– Nie, mowy nie ma. – Wiedziała, jak kończy się ten konkretny film, i za żadne skarby nie zamierzała schodzić do piwnicy.

Szarpnęła sznurek, usłyszała trzask żarówki i poczuła pchnięcie wymierzone dokładnie między jej łopatki.

Spadła. Nóż z brzękiem wypadł jej z ręki. Zapanowała nad chęcią wyciągnięcia ręki, żeby osłabić uderzenie, gdy upadnie, i zamiast tego zasłoniła głowę, lądując z całym impetem na ramieniu. Po części ześlizgnęła się, po części przeturlała do podnóża schodów, uderzyła mocno o podłogę. Całe powietrze uszło z niej jak wiatr wpadający przez okno. Drzwi na górze się zatrzasnęły. Usłyszała szcęk zamka. Wokół panowała ciemność.

Serce biło jej teraz jak szalone. Co siedziało tu razem z nią na dole? Kto ją tu zamknął? Wstawaj, Stern. Do cholery, weź się w garść. Przygotuj się do walki.

Słyszała własny głos? Czy Darlingtona?

Oczywiście, że swój. Darlington nigdy nie przeklinał.

Podniosła się i oparła plecami o ścianę. Przynajmniej z tej strony nic nie mogło jej zająć. Z trudem oddychała. Gdy raz połamiesz kości, to zaczynają wyrabiać sobie złe nawyki. Blake Keely złamał jej dwa żebra niecały rok temu. Obawiała się, że znowu mogła je połamać. Dłonie miała lepkie. Podłoga była mokra z powodu starego przecieku w ścianach, w powietrzu unosił się smród. Otarła ręce o dżinsy i poczekała. Z trudem nabierała powietrza. Gdzieś w ciemności usłyszała coś, co brzmiało jak kwilenie.

– Kto tam? – wychrypiała, nie mogąc znieść strachu we własnym głosie. – Tylko spróbuj ze mną zadrzeć, ty tchórzliwa gnido.

Nic.

Poszukała po omacku telefonu, żeby oświetlić nieco piwnicę. Niebieska poświata była wręcz oślepiająca. Alex skierowała światło na

półki ze starym rozcieńczalnikiem do farb, narzędziami, pudełkami opisanymi zygzakowatym charakterem pisma Darlingtona, zakurczonymi skrzynkami ozdobionymi okrągłym logo firmy *Arlington & Co. Obuwie gumowe*. I nagle światło rozbłysło w parze oczu.

Alex zdusiła krzyk, prawie wypuściła telefon. To nie byli ludzie, tylko Szarzy, mężczyzna i kobieta, czepiający się siebie, drżący ze strachu. Lecz to nie Alex się bali.

Pomyliła się. Podłoga nie była mokra z powodu przecieku, deszczówki czy starej pękniętej rury. Była śliska od krwi. Alex miała w niej uwalane całe ręce. Rozmazała ją na dżinsach.

Dwa ciała leżały na starej cegle. Wyglądały jak porzucone stare ubrania, jak stos szmat. Znała te twarze. „Niebo ich nie chce, gdyż niosłyby zgubę jego piękności”¹.

Na podłodze było mnóstwo krwi. Świeżej krwi.

Szarzy nie porzucili swoich ciał. Mimo paniki Alex wiedziała, że to dziwne.

– Kto to zrobił? – zapytała ich.

Kobieta jęknęła. Mężczyzna przycisnął palec do ust. Strach wypełnił mu oczy, gdy zerkał nerwowo na boki, rozglądając się po piwnicy. Jego szept poniósł się w ciemności.

– Nie jesteśmy tu sami.

1.

PAŹDZIERNIK, MIESIĄC WCZEŚNIEJ

Alex znajdowała się niedaleko od mieszkania Tary. Jeździła tymi ulicami z Darlingtonem na początku jej pierwszego roku, przemierzała je piechotą, gdy polowała na zabójcę Tary. Wtedy trwała zima, gałęzie były nagie, maleńkie podwórka pokrywała skorupa z brudnych śnieżnych zasp. Ta okolica lepiej prezentowała się podczas wciąż ciepłych październikowych dni, obłoki zielonych liści łagodziły krawędzie dachów, bluszcz wspinał się po ogrodzeniach z siatki, a wszystko to wyglądało łagodnie i kojąco w blasku ulicznych lamp wycinających złote kręgi w pastelowych godzinach zmierzchu.

Alex stała w studni cienia między dwoma szeregowcami i obserwowała ulicę biegnącą przed Taurus Cafe, ceglana bryła bez okien, na której szyldy obiecywały keno, lotto i Coronę. Słyszała dobiegające ze środka dudnienie muzyki. Mała grupka ludzi paliła papierosy i gawędziła pod lampami mimo tabliczki obok drzwi ostrzegającej przed policją. Alex cieszyła się z hałasu, ale mniej odpowiadało jej to, że tak wielu świadków zobaczy ją w tej okolicy. Lepiej byłoby wrócić tu za dnia, kiedy na ulicy będzie pusto, ale nie miała takiego luksusu.

Wiedziała, że w barze będzie mnóstwo Szarych, których przyciąga pot stłoczonych ciał, wilgotny brzęk butelek; liczyła jednak na kogoś bardziej pod ręką.

Tam! Szary w zimowej kurtce i czapce, kręcił się przy kłójącej się parze; nie przeszkadzał mu dokuczliwy skwar przeciągającego się

lata. Nawiązała z nim kontakt wzrokowy. Jego dziecinna twarz wywołała w niej nagły niepokój. Umarł bardzo młodo.

– „Chodź, chodź...” – zanuciła pod nosem i zaraz parsknęła zdegurowana.

Cały czas słyszała w głowie tę durną pioseneczkę. Jakaś grupa ćwiczyła a capella na dziedzińcu, kiedy Alex szykowała się do wyjścia z akademika.

– Jakim cudem oni już zaczynają z tym z gównem? – narzekała Lauren, przeglądając skrzynki z winylami. Jej blond włosy były jeszcze jaśniejsze po lecie, które spędziła jako ratowniczką.

– To kawałek Irvinga Berlina – zauważyła Mercy.

– Mam to w nosie.

– Który w dodatku jest rasistowski.

– To gówno jest rasistowskie! – wrzasnęła przez okno Lauren, puściła na adapterze płytę AC/DC i pogłośniła do oporu.

Alex rozkoszowała się każdą minutą. Zaskoczyło ją to, jak bardzo brakowało jej Lauren i Mercy latem, beztroskich rozmów, ploteczek, wspólnych niepokojów związanych z zajęciami, kłótni o muzykę i ciuchy – to wszystko było jak lina, której mogła się chwycić i wrócić do normalnego świata. Oto moje życie, powiedziała sobie, gdy siedziała zwinięta w kłębek na kanapie przed hałaśliwym wiatrakiem i patrzyła, jak Mercy wiesza girlandę z gwiazd nad kominkiem w ich nowym wspólnym pokoju, który stanowił dużą zmianę po ciasnym mieszkanku na Starym Kampusie. Kanapa i fotel trafiły do ich nowego lokum, niski stolik, który razem złożyły na początku pierwszego roku, toster oraz wydawałoby się nieoskoczony zapas pop-tartów przesyłanych przez mamę Lauren. Alex poprosiła Lete o rower, drukarkę i nowego korepetytora pod koniec zeszłego roku. Zarząd z radością się zgodził, a ona żałowała, że nie poprosiła o nic więcej.

Akademik na Starym Kampusie, gdzie ulokowano je na pierwszym roku, to było najpiękniejsze miejsce, w jakim Alex mieszkała przez całe swoje życie, ale internat przy college'u – wreszcie naprawdę nale-

żały do JE – był miejscem prawdziwym, solidnym, eleganckim. Czymś trwałym. Alex podobały się witrażowe okna, kamienne twarze w każdym kącie dziedzińca, porysowane drewniane podłogi, niedziałający kominek z bogatymi rzeźbieniami, ozdobiony świecami i zabytkowym globusem. Podobał jej się nawet mały Szary w staroświeckim ubranku, dziecko z włosami ułożonymi w sprężyste anglezy, które lubiło przesiadywać w gałęziach nad huśtawką zamontowaną na drzewie.

Ona i Mercy zajmowały dwuosobową sypialnię, bo Lauren wygrała pojedynczą, gdy ciągnęły słomki. Alex była przekonana, że Lauren oszukiwała, ale nie miała jej tego szczególnie za złe. Łatwiej byłoby jej wychodzić i wracać, gdyby miała własny pokój, ale było coś kojącego w leżeniu nocą w łóżku i słuchaniu, jak w drugim końcu pokoju Mercy chrapie. Przynajmniej nie spały już na piętrowym łóżku.

Alex zamierzała posiedzieć z Mercy i Lauren przez kilka godzin, zanim będzie musiała wyjść, żeby nadzorować rytuał w Księdze i Wężu, posłuchać płyty i udawać, że nie słyszy denerwującego „mmm” i „oooch” chórkę masakrującego *Alexander's Ratime Band*.

„Chodź, chodź, podaj mi rękę”.

Niestety dostała wiadomość od Eitana.

Zatem teraz obserwowała Taurus Cafe. Już miała wyjść z cienia, kiedy podjechał czarno-biały samochód, nowiutki radiowóz, elegancki i cichy jak drapieznik z morskich głębin. Błysnął kogutem, beknął krótko syreną, ostrzegając, że policja z New Haven rzeczywiście ma to miejsce na oku.

– Walcie się – warknął ktoś, ale tłum się rozpierchł.

Ludzie wrócili do klubu albo rozeszli się chodnikiem do swoich samochodów. Nie zrobiło się jeszcze naprawdę późno. Nadal zostało mnóstwo czasu, żeby znaleźć inną imprezę, mieć jeszcze jedną szansę na coś fajnego.

Alex nie chciała myśleć o gliniarzach ani o tym, co by było, gdyby dała się złapać, co powiedziałby Turner, gdyby wylądowała na komisa-

riacie za włamanie z zamiarem kradzieży albo – co gorsza – z powodu oskarżenia o napaść. Detektyw nie odzywał się od końca zeszłego roku akademickiego i Alex wątpiła, czy ucieszyłby się na jej widok nawet w miłych okolicznościach.

Kiedy radiowóz odjechał, upewniła się, że na chodniku nie ma żadnych potencjalnych świadków, i ruszyła przez ulicę w stronę brzydkiego białego bliźniaka, kilka budynków dalej od baru. Śmieci wysypywały się z koszy. Zarośnięte chwastami podwórka i zawalone rupieciami werandy. „Kiedyś się tym zajmę, chyba że jednak nie”. Za to na podjeździe przed interesującym ją domem stał nowy pick-up z tablicą rejestracyjną zrobioną na zamówienie: MAJSTER. Przynajmniej wiedziała, że trafiła we właściwe miejsce.

Wyjęła składane lusterko z kieszeni džinsów. Latem, kiedy nie zaznaczała na mapie niezliczonych kościołów w New Haven dla Dawes, przekopywała szuflady zbrojowni w Il Bastone. Powiedziała sobie, że to dobry sposób na zabicie czasu, zaznajomienie się z Lete i zorientowanie się, co warto ukraść, gdyby zaszła taka potrzeba. Jednakże prawdę mówiąc, gdy grzebała w szafkach zbrojowni i czytała małe ręcznie wypisane etykiety – *Dywan Ozymandiasa*; *Monsunowe Pierścienie do przyzywania deszczu, zdekompletowane*; *Palillos del Dios* – czuła obecność Darlingtona zerkającego jej przez ramię. „Te kastaniety przegonią poltergeista, Stern, o ile zagra się na nich odpowiedni rytm. Ale i tak wyjdiesz z tego z przypalonymi na czarno palcami”.

To było pocieszające i niepokojące zarazem. Nieodmiennie w jego opanowanym głosie naukowca pojawiał się oskarżycielski ton. „Gdzie się podziewasz, Stern? Dlaczego jeszcze nie przysłaś?”.

Alex rozluźniła ramiona, próbując zrzucić z nich ciężar winy. Musiała się skupić. Tego ranka przysunęła kieszonkowe lusterko do telewizora, żeby się przekonać, czy uda jej się przechwycić urok z ekranu. Nie była pewna, czy to zadziała, ale się udało. Teraz otwo-

rzyła je i pozwoliła, żeby otoczyła ją iluzja. Wbiegła po schodach na werandę i zapukała.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, był ogromny, potężnie umięśniony i miał szyję grubą i różową jak szynka z kreskówki. Nie musiała zerkać na zdjęcie na telefonie – to był Chris Owens, znany też jako Majster, z kartoteką równie długą jak on sam i dwa razy od niego szerszą.

– Jasny gwint – powiedział na widok Alex, zatrzymując wzrok całą stopę powyżej jej głowy. Urok dodał jej dwanaście cali wzrostu.

Uniosła rękę i pomachała.

– Ehm... w czym mogę pomóc? – zapytał Majster.

Alex wskazała podbródkiem wewnątrz mieszkania.

Majster potrząsnął głową, jakby przeganiał resztki snu.

– Ach, jasne. – Odsunął się na bok, szerokim gestem zapraszając ją do środka.

W salonie było zaskakująco czysto. Halogenowa lampa ustawiona w kącie, zestaw wypoczynkowy w postaci wielkiej skórzanej kanapy i fotela z podnóżkiem przed wielgachnym telewizorem z płaskim ekranem, z włączonym programem sportowym na ESPN.

– Napijesz się czegoś czy... – Majster zawahał się. Alex widziała, jak kalkuluje. Istniał tylko jeden powód, dla którego znana telewizyjna postać może zjawić się w drzwiach twojego domu w czwartkowy wieczór. Tudzież w dowolny inny wieczór. – Szukasz towaru?

Alex nie potrzebowała właściwie potwierdzenia, ale teraz już je miała.

– Wiesz dwanaście kafli.

Majster cofnął się gwałtownie, jakby nagle stracił równowagę. Bo usłyszał głos Alex. Nawet nie próbowała go zmienić, a dysonans między jej głosem a iluzją Toma Brady'ego stworzoną przez lusterko, sprawił, że urok zafalował. To nie miało znaczenia. Alex potrzebowała magii tylko po to, żeby bez problemu wejść do mieszkania Majstra.

- Co jest, kurwa...?

- Dwanaście kafli – powtórzyła Alex.

Teraz już widział ją naprawdę – drobną dziewczynę z przedziałkiem pośrodku czarnych włosów, która stała w jego salonie, tak chuda, że mogłaby prześlizgnąć się przez szpary między podłogowymi deskami.

- Nie wiem, kim, kurwa, jesteś, ale trafiłaś pod niewłaściwy adres! – ryknął.

Już szedł do niej, aż podłoga trzęsła się pod jego ciężarem.

Alex wyciągnęła przed siebie rękę, sięgając w stronę okna i chodnika przez Taurus Cafe. Poczula, że Szary w czapce wpada w nią, w ustach miała smak landrynek z aromatem zielonego jabłuszka, nozdrza wypełnił jej smród palonej trawki. Jego duch sprawiał wrażenie niedorobionego i rozgorączkowanego jak ptak, który wali o szybę raz za razem, ale jego siła była czysta i mordercza. Alex uniosła rękę, uderzając dłońmi prosto w pierś Majstra.

Wielgachny mężczyzna przeleciał przez pokój. Uderzył w telewizor, tłukąc ekran i zwalając go na podłogę. Alex nie udawała, że skradzenie siły Szaremu, bycie przez chwilę niebezpieczną osobą nie było przyjemne.

Przeszła przez pokój i stanęła nad Majstrem, poczekała, aż spojrzy na nią przytomnie.

- Dwanaście kafli – powtórzyła. - Masz tydzień, żeby je zdobyć, albo wrócę i połamię ci kości – zagroziła, chociaż było możliwe, że już złamała mu mostek.

- Nie mam takiej kasy – odpowiedział z jękiem Majster i pomasaował pierś. - Dzieciak mojej siostry...

Alex знаła te wymówki. Sama się nimi posługiwała. „Moja mama jest w szpitalu. Mój czek się spóźnia. Muszę wymienić skrzynię biegów w samochodzie, a nie zdołam ci zapłacić, jeśli nie będę mogła jeździć do pracy”. Właściwie nie miało to znaczenia, czy wymówki były prawdziwe, czy nie.

Przykucnęła.

- Współczuję. Naprawdę. Ale ja mam swoją robotę, a ty swoją. Dwanaście tysięcy dolarów do przyszłego piątku albo on każe mi wrócić i zrobić z ciebie przykład dla każdego drobnego dilera za dyszkę w okolicy. A ja nie chcę tego robić.

Naprawdę nie chciała.

Majster najwyraźniej jej uwierzył.

- On... ma coś na ciebie?

- Dość, żeby kazać mi tu przyjść i kazać wrócić. - Alex poczuła nagły ból w skroniach i przesłodzony smak jabłkowych landrynek wypełnił jej usta. - Kurna, stary, źle wyglądasz.

Alex potrzebowała sekundy, żeby zdać sobie sprawę, że to ona mówi. Tyle że cudzym głosem.

Majster wytrzeszczył oczy.

- Derrik?

- Jasne! - To nie był jej głos, to nie był jej śmiech.

Majster chciał dotknąć jej ramienia, ale coś pomiędzy zdumieniem a strachem sprawiło, że dłoń mu zdrząła.

- Byłem... na twoim pogrzebie.

Alex wstała, prawie tracąc równowagę. Dostrzegła swoje odbicie w stłuczonym telewizorze, ale nie zobaczyła chudej dziewczyny w koszulce na ramiączka i w džinsach. Widziała chłopaka w czapce i zimowej kurtce.

Wypchnęła Szarego z siebie, najwyraźniej Derrika. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Nie wiedziała, co go zabiło, i nie chciała wiedzieć. Jakimś cudem przepchnął się na pierwszą linię jej świadomości, przejął jej twarz, jej głos. Nie życzyła sobie czegoś takiego.

- „Bela Lugosi nie żyje” - warknęła. To były jej ulubione słowa śmierci tego lata.

Derrik zniknął.

Majster przycisnął się do ściany, jakby też mógł zniknąć. Oczy miał pełne łez.

- Kurwa, co tu się dzieje?

- Nie przejmuj się tym - odpowiedziała Alex. - Po prostu zdobądź kasę i nic takiego więcej się nie powtórzy.

Alex chciała, żeby to naprawdę było równie proste.

Pochodzenie: Galway, Irlandia; XVIII w.

Ofiarodawca: Księga i Wąż, 1962

„Cudowna sieć” została zdobyta przez Księgarzy ok. 1922 roku. Dokładna data jej powstania nie jest znana, podobnie jak jej twórca, ale ustne podania sugerują, że stworzono ją za pomocą celtyckiej magii pieśni albo być może magii seid (patrz: nordycka morska olbrzymka Ran). Analizy wskazują, że sama sieć jest utkana ze zwykłej bawełny splecionej z ludzkimi ścięgnami. Kiedy na morzu zaginie ukochana osoba, można zarzucić w fale tę sieć umocowaną do pąka na brzegu. Następnego ranka ciało zostanie zwrócone, co w przypadku niektórych oznaczało ukojenie, w wypadku innych cierpienie, zważywszy na to, w jakim stanie szczątki mogły powrócić.

Podarowana przez stowarzyszenie Księgi i Węża, kiedy próby przywołania konkretnych zwłok zawiodły.

*z Katalogu Zbrojowni Lete;
korekta i redakcja: Pamela Dawes, Oculus*

Dlaczego chłopcy z Księgi i Węża nigdy nie są w stanie wysmażyć niczego, co działałoby tak, jak powinno? Najpierw wskrzeszają bandę żeglarzy, którzy mówią tylko po irlandzku. Potem opróżniają swoje nie takie znowu płytkie szkatuły, żeby dorwać

list o potwierdzonej autentyczności z okresu Średniego Państwa w Egipcie, zanim Wilczy Łeb zdoła zebrać dość gotówki. List służący do wskrzeszenia króla. Kogo jednak dostają, kiedy podpalają świstek w swoim grobowcu? Nie Amenhotepa, starożytnego dobrego Tutenchamona ani nawet bezgłowego Karola I – w ich progu staje Elvis Presley, zmęczony, rozdęty, głodny, domagający się kanapki z masłem orzechowym i bananem. Nieźle się namęczyli, żeby odwieźć go z powrotem do Memphis tak, żeby nikt się nie zorientował.

Pamiętnik Deza Carghilla z czasów w Let
(Branford College '62)

2

Powrót piechotą na kampus trwał długo. Skwar był jak zwierzę, które depte jej po piętach, a jego oddech kładzie się wilgocią na karku. Mimo to nie zwolniła. Chciała oddalić się od tamtego Szarego. Co tam się wydarzyło? Jak miała dopilnować, żeby to się więcej nie powtórzyło? Pot spływał jej po plecach. Żałowała, że nie włożyła szortów, ale wydawało jej się, że nie wypada wkładać obciętych dżinsów, kiedy idzie się spuścić komuś manto.

Ruszyła drogą równoległą do szlaku nad kanałem, odliczała długie kroki, starając się odzyskać panowanie nad sobą, zanim wróci na kampus. Przeszła część tej ścieżki z Mercy w poprzednim roku, żeby popatrzeć na jesienne liście, powódź czerwieni i złota, fajerwerki pochwycone w pełni rozkwitu. Myślała o tym, jak bardzo to miejsce różni się od rzeki L.A. z jej betonowymi brzegami, i przypomniła sobie, jak unosiła się na tamtych brudnych wodach wzmocniona siłą Hellie, żałując, że nie mogą obie wypłynąć na otwarte morze i stać się dla siebie własną wyspą. Zastanawiała się, gdzie Hellie została pochowana, i miała nadzieję, że w jakimś pięknym miejscu, które w niczym nie przypominało tamtej smutnej, wysychającej rzeki, tej zapadniętej żyły.

Szlak nad kanałem byłby teraz zielony, zarośnięty letnią roślinnością, ale Szarzy uwielbiali to miejsce, a Alex nie chciała w tej chwili być nigdzie w ich pobliżu, więc trzymała się nudnych parkingów i nijakich biurów Science Park. Minęła pośpiesznie przemysłowe budynki przerobione na mieszkalne i wyszła na Prospect Street. Tutaj ścigał ją tylko duch Darlingtona. Jego głos opowiadający historię

rodziny Winchesterów, o tym, jak ich potomkowie mieszały się i wznosiły w elitę z Yale albo o zwałistej bryle grobowca Sarah Winchester po drugiej stronie miasta, wysokiej na osiem stóp skalnej bryle, w którą wciśnięto krzyż, jakby to była szkolna praca jakiegoś dziecka. Alex zastanawiała się, czy pani Winchester wolała zostać pochowana na cmentarzu Evergreen zamiast przy Grove Street, bo wiedziała, że nie znajdzie spoczynku w pobliżu fabryki, gdzie jej mąż produkował jedną lufę po drugiej, jedną broń po drugiej.

Alex nie zwolniła kroku, dopóki nie minęła nowych college'ów i nie przeszła przez Trumbull Street. Miło było znaleźć się z powrotem na kampusie, gdzie drzewa wnosyły się nad ulicami, ocieniając je swoimi koronami. Jak stała się kimś, kto lepiej czuje się w takim miejscu niż na ulicach w okolicy Taurus Cafe? Komfort był narkotykiem, którego nie rozumiała, dopóki nie było już za późno, i teraz już uzależniła się od filiżanek herbaty i zastawionych książkami regałów, od nocy, których nie zakłóca wycie policyjnych syren i nieustanny warkot przelatujących w górze helikopterów. Iluzja Toma Brady'ego zupełnie się rozpadła, kiedy Alex wpuściła w siebie Szarego, więc przynajmniej nie musiała się martwić, że wywoła zamieszanie na kampusie.

Studenci korzystali z ciepłego wieczoru, dreptali jak kaczkę, taszcząc kanapy, rozdawali ulotki reklamujące imprezy. Ubrana w górę i bikini i szorty dziewczyna na rolkach śmignęła środkiem ulicy. Jej skóra lśniła na tle błękitnej nocy. To był czas marzeń, magiczne pierwsze dni jesiennego semestru, wypełnione radosnym otumanieniem ponownych spotkań, rozpalania starych przyjaźni iskierkami podobnymi do świetlików, nim zacznie się prawdziwa praca. Alex też miała ochotę nurzać się w tej atmosferze, przypomnieć sobie, że jest bezpieczna, że nic jej nie będzie. Jednakże nie miała na to czasu.

Klitka znajdowała się raptem parę przecznicy dalej. Alex przystanąła, próbując wziąć się w garść. Oparła się o niski murek przed Biblioteką Sterlinga. W jaki sposób Szary ją przejął? Wiedziała, że jej związek z umarłymi pogłębił się z powodu tego, co musiała zrobić

podczas walki z Belbalm. Wezwała ich do siebie i ofiarowała im swoje imię. A oni odpowiedzieli. Uratowali ją. Oczywiście ratunek miał swoją cenę. Przez całe życie była w stanie widzieć Szarych; teraz ich także słyszała. Znajdowali się o wiele bliżej, dużo trudniej było ich ignorować.

Może jednak w ogóle nie rozumiała ceny, jaką zapłaciła za ratunek. Coś bardzo złego wydarzyło się w domu Majstra. Coś, czego nie potrafiła wyjaśnić. To ona miała kontrolować umarłych, posługiwać się nimi, a nie odwrotnie.

Wyjęła telefon i zobaczyła dwie wiadomości od Dawes, wysłane dokładnie w piętnastominutowych odstępach, obie wypisane wielkimi literami. ODEZWIJ SIĘ. PILNE.

Alex zignorowała wiadomości, przewinęła ekran i napisała szybko: Załatwione.

Odpowiedź była natychmiastowa: Gdy dostanę kasę.

Naprawdę miała nadzieję, że Majster zaprowadzi u siebie porządek. Wykasowała wiadomości od Eitana i zadzwoniła do Dawes.

– Gdzie jesteś? – zapytała nerwowo Dawes.

Musiała wydarzyć się coś poważnego, skoro Dawes zignorowała procedury. Alex wyobraził ją sobie krążącą po salonie w Black Elm, związane w węzeł rude włosy przekrzywiły jej się na bok, słuchawki wiszą jej na szyi.

– Koło Sterlinga. Wracam właśnie do Klitki.

– Spóźnisz się na...

– Tak, jeśli będę tu stała i gadała z tobą. Co się stało?

– Wybrali nowego Pretora.

– Do diabła. Tak szybko?

Pretor był pośrednikiem Lete w kontaktach z administracją. Tylko rektor i dziekan wiedzieli o prawdziwych poczynaniach tajnych stowarzyszeń i zadaniem Lete było dopilnować, by tak pozostało. Pretor

był ich niańką. Dorosłym odpowiedzialnym za bandę dzieciaków. Przynajmniej teoretycznie, bo dziekan Sandow okazał się mordercą.

Alex wiedziała, że Pretor Lete musi być byłym członkiem Lete i należeć do kadry Yale albo przynajmniej mieszkać w New Haven. Znalazienie kogoś takiego nie mogło być łatwe. Alex i Dawes zakładały, że zarząd będzie potrzebował co najmniej kolejnego semestru, żeby znaleźć kogoś, kto zastąpi bardzo martwego dziekana Sandowa. Liczyły na to.

– Kim jest ten facet?

– To może być kobieta.

– A jest?

– Nie, ale Anselm nie podał mi nazwiska.

– A zapytałaś? – naciskała Alex.

Zapadło przeciągające się milczenie.

– Nie całkiem.

Nie było sensu dogryzać Dawes. Podobnie jak Alex nie przepadała za ludźmi, ale w przeciwieństwie do Alex unikała konfrontacji. I tak naprawdę to nie było jej zadanie. Oculus dbał o to, żeby Lete sprawnie działało – żeby lodówka i zbrojownia były zaopatrzone, rytuały rozplanowane, nieruchomości utrzymane w dobrym stanie. Zadaniem Dawes było zbieranie informacji, a nie dręczenie członków zarządu.

Alex westchnęła.

– Kiedy go wprowadzą?

– W sobotę. Anselm chce zorganizować spotkanie, może przy herbacie.

– Nie. Nie ma mowy. Potrzebuję więcej niż dwóch dni, żeby się przygotować.

Alex odwróciła się plecami do przechodzących studentów. Spojrzała na kamiennych skrybów strzegących drzwi do Biblioteki Sterlinga. Darlington towarzyszył jej tutaj, jak zawsze odzierając uniwersytet Yale z jego tajemnic. „Egijski, majański, hebrajski, chiński,

arabski, kopie malowideł jaskiniowych w Les Combarelles. Przygotowali się na każdą ewentualność”.

- Co znaczą te napisy? - zapytała wtedy Alex.

- To cytaty z bibliotek, ze świętych pism. Chiński cytat pochodzi z grobowca sędziego. Majański ze Świątyni Krzyża, ale wybrali go w ciemno, ponieważ dopiero dwadzieścia lat później byli w stanie go przetłumaczyć.

Alex się roześmiała.

- Jak pijany gość, który tatuuje sobie znak kanji.

- Posługując się jednym z twoich powiedzonek, spartolili robotę. Ale z pewnością wygląda to imponująco, nie uważasz, Stern?

Wyglądało. Zarówno wtedy, jak i teraz.

W tej chwili Alex zgarbiła się nad telefonem i szepnęła do Dawes, wiedząc, że pewnie wygląda jak dziewczyna, która właśnie rozmawia ze swoim chłopakiem o rozstaniu.

- Potrzebujemy czasu.

- A co na tym zyskamy?

Alex nie umiała na to odpowiedzieć. Szukały Womitorium przez całe lato i niczego nie znalazły.

- Poszłam do kościoła prezbiteriańskiego.

- No i?

- Nic. Przynajmniej tak mi się wydaje. Przyślę ci zdjęcia.

- Wrota do piekieł nie znajdują się, gdzie popadnie, żeby ludzie sobie przez nie swobodnie przechodzili - ostrzegła je wcześniej Michelle Alameddine, kiedy usiadły razem na kawie w Blue State po pogrzebie dziekana Sandowa. - To byłoby zdecydowanie zbyt niebezpieczne. Myślcie o Womitorium jak o tajemnym przejściu, które pojawia się, gdy wypowiedzie magiczne słowa. Tyle że w tym wypadku magiczne słowa to seria kroków, ścieżka, którą trzeba przejść. Dopiero kiedy zrobicie kilka pierwszych kroków, zagłębiając się w labiryncie, ukaże się dalsza droga.

- Czyli szukamy czegoś, czego nie możemy nawet zobaczyć? - zapytała wtedy Alex.

- Będą znaki, symbole. - Michelle wzruszyła ramionami. - A przy najmniej tak głosi jedna z teorii. Bo tym właśnie są piekło i zaświaty. Teoriami. Ponieważ ludzie, którzy mają okazję zobaczyć, co jest po drugiej stronie, nie wracają, żeby nam o tym opowiedzieć.

Michelle miała rację. Alex była tylko na pograniczu, kiedy zawarła umowę z Panem Młodym i ledwie wyszła z tego żywa. Ludzie nie mieli przechodzić z tego życia do następnego, żeby potem wracać. Jednakże właśnie to musiały zrobić, żeby sprowadzić Darlingtona z powrotem do domu.

- Krażą plotki, że Womitorium znajduje się na Station Island na Lough Derg - mówiła dalej Michelle. - Możliwe, że istniało w Bibliotece Królewskiej w Konstantynopolu, zanim została zniszczona. A według Darlingtona grupka chłopaków ze stowarzyszeń wybudowała jedno tutaj.

Dawes prawie zachłysnęła się herbatą.

- Darlington tak powiedział?

Michelle spojrzała na nią w zamyśleniu.

- Darlington w wolnym czasie zajmował się kreśleniem magicznej mapy New Haven, mapy wszystkich miejsc, przez które moc przepływa i z których odpływa. Twierdził, że paru członków stowarzyszeń zbudowało Womitorium w ramach wyzwania, i zamierzał je znaleźć.

- No i?

- Powiedziałam mu, że jest idiotą i że powinien bardziej się martwić o swoją przyszłość, a mniej grzebać się w przeszłości Lete.

Alex złapała się na tym, że się uśmiecha.

- I jak to się skończyło?

- A jak myślisz?

- Właściwie to nie wiem - powiedziała wtedy, zbyt zmęczona i obolała, żeby udawać. - Darlington kochał Lete, ale też chciałby

posłuchać swojego Wergiliusza. Traktował to całkiem poważnie.

Michelle przyjrzała się resztkom swojej babeczki.

- To w nim lubiłam. Traktował mnie poważnie. Nawet kiedy ja sama nie traktowałam siebie poważnie.

- Tak - odezwała się cicho Dawes.

Michelle jednak wróciła do New Haven tylko raz w ciągu lata. Przez cały czerwiec i lipiec Dawes prowadziła badania, siedząc u swojej siostry w Westport, wysyłając Alex do biblioteki Lete po różne książki i traktaty. Próbowaly wymyślić odpowiedni ciąg słów, żeby zwrócić się z pytaniem do Księgi Albemarle'a, ale otrzymywały tylko stare relacje mistyków i męczenników, którzy mieli wizje piekła -

Karol Otyły, dwie wieże Dantego w Bolonii, jaskinie w Gwatemali i Belize, które miały prowadzić do Xibalby.

Dawes parę razy przyjechała pociągiem z Westport, żeby mogły usiąść razem i poszukać miejsca, od którego dałoby się zacząć poszukiwania. Zawsze zapraszały Michelle, ale ona tylko raz przyjęła zaproszenie, w weekend, kiedy załatwiała coś dla swojego działu darów i nabytków w Bibliotece Butlera. Przez cały dzień siedziały nad zipskami dotyczącymi stowarzyszeń i książkami na temat mnicha z Evesham, a potem zjadły lunch w salonie. Dawes przygotowała sałatkę z kurczaka i cytrynowe kwadraciki zawinięte w kraciaste serwetki, ale Michelle ledwie cokolwiek skubnęła. Cały czas zerkała na telefon, aż rwała się do wyjścia.

- Ona nie chce nam pomóc - powiedziała Dawes, kiedy Michelle w końcu wyszła i drzwi do Il Bastone się za nią zamknęły.

- Chce - powiedziała Alex. - Tylko się boi.

Alex nie miała do niej o to pretensji. Zarząd Lete dał jasno do zrozumienia, że uważa Darlingtona za martwego i nie chce słyszeć niczego innego. W zeszłym roku zrobił się za duży bałagan, podniosła się za duża wrzawa. Dom Lete chciał zamknąć za sobą ten rozdział. Jednakże dwa tygodnie po wizycie Michelle Alex i Dawes wreszcie

natrafiły na przełom: pojedynczy, samotny akapit w *Pamiętniku z czasów w Lete* z 1938 roku.

Teraz Alex odepchnęła się od murku przed biblioteką i ruszyła pośpiesznie Elm Street w stronę York Street.

– Powiedz im, że nie mogę spotkać się w sobotę. Powiedz im, że mam... dni adaptacyjne albo coś takiego.

Dawes jęknęła.

– Wiesz, że nie potrafię kłamać.

– Jak masz się tego nauczyć, jeśli nie będziesz ćwiczyć?

Alex skręciła w zaułek i weszła do Klitki, w przyjazną chłodną ciemność tylnej klatki schodowej, w słodki, jesienny zapach goździków i koryntek. Pokoje były nieskazitelnie czyste, ale wymarłe, poobijane kanapy w szkocką kratę i scenki z pasterzami doglądającymi swoich stad wydawały się uwięzione w półmroku. Alex nie lubiła spędzać w Klitce zbyt dużo czasu. Nie chciała przypominać sobie utraconych dni, kiedy ukrywała się w tych tajnych pokojach, ranna i pozbawiona nadziei. Żałowała. Nie zamierzała pozwolić, żeby coś takiego przydarzyło jej się w tym roku. Znajdzie sposób, by nie stracić kontroli. Porwała plecak, do którego spakowała wcześniej potrzebne rzeczy – ziemię cmentarną, kredę ze zmielonych kości i coś, co według etykiety nazywało się „Widmową Pętlą”, a wyglądało jak wymyślny kij do lacrosse’a, który zwędziła ze zbrojowni Lete.

Chociaż raz odrobiła pracę domową.

* * *

Alex uwielbiała grobowiec Księgi i Węża, ponieważ znajdował się naprzeciwko cmentarza przy Grove Street, a to znaczyło, że nie zobaczy zbyt wielu Szarych, w szczególności wieczorem. Czasem Szarych przyciągały pogrzeby, jeśli zmarły był szczególnie kochany lub znienawidzony, i Alex raz miała okazję zobaczyć wyjątkowo upiorny obrazek, kiedy Szary próbował polizać policzek płaczącej kobiety. Jednakże tej

nocy na cmentarzu rządziły tylko zimny kamień i rozkład, ostatnie miejsce, w jakim Szary chciałby się znaleźć, zwłaszcza że po sąsiedzku znajdował się kampus pełen flirtujących i spoconych studentów, pijących za dużo kawy lub piwa, z roziskrzonymi nerwami i buzującym ego.

Sam grobowiec wyglądał jak coś pomiędzy grecką świątynią a przydużym mauzoleum. Nie miał okien ani drzwi, tylko biały marmur i wyniosłe kolumny.

- Miał przypominać Erechtejon - wyjaśnił jej kiedyś Darlington. - Ten na Akropolu. A niektórzy mówią, że świątynię Nike.

- Więc co właściwie? - zapytała wtedy Alex.

Czuła, że znajduje się na względnie bezpiecznym terenie. Pamiętała, że uczyła się kiedyś o Akropolu i Agorze, i że uwielbiała historie o greckich bogach.

- Ani jedno, ani drugie. Wybudowano je jako nekromantejon, dom otwarty dla zmarłych, gdzie można z nimi obcować.

Alex roześmiała się wtedy, bo już wiedziała, jak bardzo Szarzy nie lubią wszelkich przypomnień o śmierci.

- I wybudowali wielkie mauzoleum? Powinni byli wybudować kasyno i zamieścić przed wejściem tabliczkę „Darmowe drinki dla pań”.

- To wulgarne, Stern, ale się nie mylisz.

Od tamtego czasu minął prawie rok. Tego wieczoru przyszła tu sama. Weszła po schodach i zapukała do wielkich drzwi z brązu. To był drugi rytuał, który obserwowała w tym semestrze. Pierwszy - rytuał odnowy w Manuskrypcie - był względnie łatwy. Nowa delegacja rozebrała się do rosołu i wturlała siwego prezentera telewizyjnego do rowu wyłożonego rozmarynem i gorącymi węgielkami. Wyszedł stamtąd dwie godziny później z czerwoną twarzą i zlany potem, ale wyglądał jakies dziesięć lat młodziej.

Drzwi otworzyły się i stała za nimi dziewczyna w czarnej szacie z twarzą przesłoniętą woalem haftowanym w czarne węże. Odgarnęła

go na głowę.

- Wergiliusz?

Alex skinęła głową. Stowarzyszenia w ogóle już nie pytały o Darlingtona. Dla nowych delegatów była Wergiliuszem, ekspertem, autorytetem. Nigdy nie poznali dżentelmena z Lete. Nie wiedzieli, że dostają niedoszoloną oszustkę. Dla nich Alex jest z Lete i zawsze była.

- Ty jesteś Calista?

Dziewczyna się rozpromieniła.

- Przewodnicząca delegacji. - Zaczęła ostatni rok studiów, była pewnie rok starsza od Alex, ale wyglądała jak przedstawicielka innego gatunku: dziewczyna o gładkiej skórze, błyszczących oczach, włosach układających się w delikatne halo loków. - Jesteśmy prawie gotowi, żeby zaczynać. Strasznie się denerwuję!

- Niepotrzebnie - odpowiedziała Alex, bo właśnie to powinna powiedzieć. Jak przystało na Wergiliusza była spokojna i mądra; wszystko już widziała.

Przeszły pod kamieniem z wyrytą sentencją *Omnia mutantur, nihil interit*. Wszystko w świecie się zmienia, nic się nie zatraci.

Darlington przewrócił oczami, kiedy przetłumaczył dla Alex sentencję przy ich pierwszej wizycie w grobowcu.

- Nie pytaj mnie, czemu stowarzyszenie, które czerpie z greckiej tradycji nekromancji uważa za stosowne cytować rzymskiego poetę. *Omnia dicta fortiori si dicta Latina*.

- Wiem, że chcesz, żebym zapytała, więc tego nie zrobię.

Uśmiechnął się.

- Wszystko o wiele lepiej brzmi po łacinie.

Dobrze się wtedy dogadywali, Alex czuła coś w rodzaju nadziei; kontakty między nimi odznaczały się pewną swobodą, która mogła przerodzić się w zaufanie.

Gdyby tylko nie pozwoliła mu umrzeć.

Zimne wnętrza grobowca oświetlały pochodnie, dym uciekał przez małe odpowietrzniki znajdujące się wysoko w górze. Większość pomieszczeń wyglądała zwyczajnie, ale centralna świątynia była idealnie okrągła, a jej ściany ozdobiono barwnymi freskami przedstawiającymi nagich mężczyzn w laurowych wieńcach.

– Czemu wspinają się po drabinach? – zapytała Alex, kiedy pierwszy raz zobaczyła malowidła.

– A nie „czemu są nadzy?” Symbolizm, Stern. Wspinają się ku wyższej wiedzy. Po grzbietach umarłych. Spójrz na dolną część.

Drabiny stały na zgarbionych plecach kłęczących szkieletów.

Pośrodku sali ustawiono dwa wyniosłe posągi kobiet w welonach z kamiennymi wężami u stóp. Lampa zwieszała się z ich złączonych rąk, ogień płonął delikatnym błękitem. Pod nią stało dwóch starych mężczyzn i rozmawiało. Jeden miał na sobie czarno-złote szaty, absolwent, który pełnił rolę najwyższego kapłana. Drugi wyglądał jak bardzo surowy ojciec – miał siwe włosy bardzo krótko obcięte na jeża, koszulę schludnie wpuszczoną w wyprasowane spodnie khaki.

Weszły dwie postacie w szatach niosące wielką skrzynkę. Alex wątpiła, żeby to była kanapa z Ikei. Postawiono ją między dwoma mosiężnymi symbolami na podłodze – greckimi literami, które wypisano spirala na marmurowych płytach.

– Dlaczego tak bardzo naciskaliście, żeby uzyskać pozwolenie na rytuał w tym tygodniu? – zapytała Calistę, przyglądając się skrzyni, podczas gdy Księgarze otwierali ją łomem.

Stowarzyszenia przeważnie zgadzały się na wieczory przypisane im w kalendarzu albo czasem prosiły o nadzwyczajną dyspensę, co wywracało cały ustalony harmonogram do góry nogami. Jednakże Księgarze bardzo jasno dali do zrozumienia, że stowarzyszenie Księgi i Węża potrzebuje właśnie tego czwartku na rytuał.

– To był jedyny dzień... – Calista zawahała się, rozdarta między dumą a wymogiem zachowania dyskrecji. – Pewien generał z czterema gwiazdkami ma bardzo napięty plan zajęć.

- Jasne - odpowiedziała Alex, zerkając na mężczyznę o surowej twarzy i krótkich włosach.

Wyjęła kredę i notatki i zaczęła starannie, skrupulatnie rysować krąg ochrony. Nie zdawała sobie sprawy, jak mocno ściska kredę, dopóki nie pękła na pół. Alex musiała dokończyć rysowanie odłamkiem. Denerwowała się, ale to nie była panika, jaka ogarnia człowieka przed egzaminem, do którego w ogóle się nie uczył. Przejrzała notatki, przećwiczyła rysowanie symboli w przytulnym półmroku salonu w Il Bastone przy dźwiękach New Order płynących z małych głośników. Miała wrażenie, że dom zaaprobował jej nowo odkrytą pracowitość, jego drzwi były porządnie zamknięte i zabezpieczone, ciężkie zasłony zaciągnięte, żeby chronić przed słońcem.

- Jesteśmy gotowi? - Najwyższy kapłan podszedł, zacierając ręce. - Musimy trzymać się harmonogramu.

Alex nie pamiętała jego imienia, to był jakiś absolwent, którego poznała w zeszłym roku. Nadzorował rytuał z nową delegacją. Widziała za jego plecami Księgarzy wyjmujących zwłoki ze skrzyni. Położyli je na podłodze, nagie i białe. Zapach róż wypełnił powietrze, a kapłan musiał zauważyć zaskoczenie Alex, bo powiedział:

- W taki sposób przygotowujemy ciało.

Alex nie uważała się za przesadnie wrażliwą; przez całe życie miała zbyt bliską styczność ze śmiercią, żeby wzdragać się na widok odciętych kończyn albo ran postrzałowych, a przynajmniej, gdy w grę wchodził Szarzy. Jednakże rzeczywiste zwłoki, sztywne i milczące, o wiele bardziej obce z powodu swojego bezruchu niż jakikolwiek duch - to było co innego. Zupełnie jakby wyczuwała pustkę tam, gdzie powinna być osoba.

- Kto to jest? - zapytała.

- Teraz już nikt, ale kiedyś to był Jacob Yeshevsky, beniaminek Krzemowej Doliny i przyjaciel rosyjskich hakerów na całym świecie. Zmarł na jachcie niecałe dwadzieścia cztery godziny temu.

- Dwadzieścia cztery godziny - powtórzyła Alex.

Stowarzyszenie Księgi i Węża poprosiło o pozwolenie na rytuał tej nocy już w sierpniu.

– Mamy swoje źródła. – Kapłan skinął głową w stronę cmentarza. – Umarli wiedzieli, że jego czas nadchodzi.

– I przewidzieli jego śmierć z dokładnością co do jednego dnia. To bardzo życzliwe z ich strony.

Jacob Yeshevsky został zamordowany. Alex była tego pewna. I nawet jeśli Księgarze tego nie zaplanowali, to wiedzieli, że do tego dojdzie. Ona jednak nie przyszła tu po to, że sprawić kłopoty, a Jacobowi Yeshevsky'emu nic już nie pomoże.

– Krąg jest gotowy – powiedziała.

Rytuał musiał być chroniony przez krąg, jednak Alex umieściła bramy w czterech kierunkach świata i jedna z nich pozostanie otwarta, żeby magia mogła wpływać. Alex stanie przy niej na straży, na wypadek gdyby Szarzy spróbowali wprosić się na imprezę, przyciągani przez tęsknotę, chciwość i wszelkie inne silne emocje. Chociaż, o ile nie zrobi się naprawdę ekscytująco, Alex wątpiła, żeby Szarzy chcieli znaleźć się tak blisko świeżego trupa i całej tej pogrzebowej ponurości.

– Jesteś o wiele ładniejsza od tej dziewczyny, z którą kręcił się Darlington – powiedział kapłan.

Alex nie odwzajemniła jego uśmiechu.

– Michelle Alameddine to zdecydowanie nie pańska liga.

Kapłan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Absolutnie żadna dziewczyna nie jest dla mnie za dobra.

– Przestań dobierać się do majtek dziewczyny i bierzmy się do roboty – warknął generał.

Kapłan odszedł, posyłając jej jeszcze jeden uśmiech.

Alex nie była pewna, czy uznać go za gościa z wyjątkowa ikrą, czy za kogoś wyjątkowo obleśnego, skoro próbował poderwać dziewczynę, stojąc rzut beretem od zwłok, ale postanowiła wynieść się jak

najdalej od Księgi i Węża, kiedy tylko zrobi swoje. Musiała pozostać grzeczną dziewczynką. Zrobić swoje. Zrobić to dobrze. Ona i Dawes nie potrzebowały żadnych kłopotów, nie chciały dać Lete żadnych powodów do rozdzielenia ich ani przeszkodzenia im w realizacji ich planów. Nowy Pretor będzie wystarczającym utrudnieniem.

Rozległ się dźwięczny ton gongu. Ubrani na czarno jak żałobnicy Księgarze stanęli poza kręgiem i spuścili welony na twarze. Tylko generał, najwyższy kapłan i trup pozostali wewnątrz kręgu.

– „Tam mędracy pozwalają mi zasiąść i wieść uczone rozmowy z potężnymi zmarłymi” – zaintonował kapłan, a jego głos poniósł się echem w komnacie.

– Tak się składa, że akurat ten cytat dotyczy bibliotek, a nie nekromancji – szepnął kiedyś do Alex Darlington. Od tych słów zaczynał się każdy rytuał Księgi i Węża. – Wryto te słowa w kamieniu w Bibliotece Sterlinga.

Alex nie chciała się wtedy przyznać, że przez większość czasu, jaki spędzała w Bibliotece Sterlinga, drzemała w jednej z czytelni, opierając stopy o kratkę przewodu grzewczego.

Kapłan wrzucił coś do lampy nad nimi i niebieskawy dym buchnął z płomieni, a potem uspokoił się i opadł ku bosym stopom posągów. Jeden z kamiennych węży się poruszył, jego białe łuski opalizowały w świetle ognia. Popełził w stronę trupa, wijąc się po marmurowej podłodze, a potem zatrzymał się, jakby wahał ciało. Alex zdusiła okrzyk, kiedy wąż uderzył, rozwierając szeroko szczęki, i wgryzł się w łydkę trupa.

Zwłoki zaczęły drżeć, mięśnie dygotały spazmatycznie, ciało podskakiwało na posadzce jak ziarna kukurydzy na patelni. Wąż puścił łydkę i ciało Yeshevsky'ego skoczyło, przykucnęło nisko na szeroko rozstawionych stopach, z dłońmi na kolanach, i podreptało jak krab, ale z szybkością, od której Alex przeszły ciarki po plecach. Jego twarz wyciągnęła się w grymasie, oczy były wytrzeszczone i spanikowane, usta rozwarły się jak u maski teatralnej symbolizującej tragedię.

- Potrzebuję haseł - powiedział generał, kiedy trup biegał po świątyni. - Konkretów, a nie... - machnął ręką, przekreślając tym jednym gestem grobowiec pod kopułą, studentów w szatach i biednego, martwego Jacoba Yeshevsky'ego - ...przepowiedni od wróżki.

- Zdobędziemy to, czego potrzebujesz - odparł gładko kapłan. - Ale jeśli zostaniesz zapytany o źródła tych informacji...

- Myślisz, że chcę, żeby nadzór zaczął węszyć wokół tych bzdur w stylu Illuminati?

Alex nie widziała twarzy kapłana za welonem, ale jego pogarda była oczywista.

- My nie jesteśmy Illuminati.

- Pozerzy - mruknął jeden z Księgarzy stojący niedaleko Alex.

- Po prostu każcie mu mówić - rozkazał generał.

To fasada, pomyślała Alex. To opryskliwe powarkiwanie i rzeczowy ton to maska. Generał nie wiedział, w co się pakuje, kiedy zawarł umowę z Księgą i Wężem poprzez znajomości z jakimś wpływowym absolwentem Yale. Co sobie wyobrażał? Ktoś wymruczy parę słów i rozlegnie się głos z zaświatów? Myślał, że rytuał będzie pełen godności? Jednakże tak właśnie wygląda prawdziwa magia: nieprzyzwoita, dekadenccka, perwersyjna. Witamy na Yale, panie generale. Tak jest, panie generale.

Strużka śliny zwisała z ust Jacoba Yeshevsky'ego, kiedy czekał w niskich, nienaturalnych kuckach, kołysząc się powoli na boki, poruszając leciutko palcami stóp, przewracając oczami jak groteska, jak jakiś gargulec.

- Czy skryba jest gotowy? - zapytał kapłan.

- Tak - odpowiedział jeden z Księgarzy, siedzący wyżej na małym balkonie z twarzą ukrytą za welonem.

- Mów zatem! - ryknął kapłan. - Póki możesz. Odpowiedz na nasze pytania i wróć do spoczynku.

Skinął na generała, który odchrząknął.

– Kto był twoim głównym kontaktem w FSB?

Ciało Jacoba Yeshevsky'ego podreptało jak krab w lewo, w prawo, w lewo, z tą swoją wyprowadzającą z równowagi szybkością. W zeszłym roku Alex przestudiowała kwestię golemów i *glum*, ale nie miała pojęcia, jak miałyby walczyć z czymś takim, gdyby się na nią rzuciło. Trup przeskakiwał z jednej mosiężnej litery na drugą, jakby to była wielka tablica ouija, śmigał po nich, jakby był wskazówką, a skryba zapisywał każdą literę, na której trup się zatrzymał.

Od czasu do czasu zwłoki zwalniały, a wtedy kapłan dorzucał coś do ognia, z którego buchał ten sam niebieski dym. Wąż znowu ożywał, pełził po posadzce i kąsał Yeshevsky'ego, napelniając go przedziwnym jadem ze swoich zębów.

To tylko ciało, upominała się w myślach Alex. Tyle że to nie była do końca prawda. Jakaś cząstka świadomości Yeshevsky'ego została z powrotem ściągnięta do zwłok, żeby mógł odpowiedzieć na pytania chełpliwego generała. Czy zniknie za Zasłoną, kiedy już skończy się to makabryczne przesłuchanie? Czy będzie cały, czy też wróci do zaświatów uszkodzony z powodu zgrozy związanej z wepchnięciem z powrotem do martwych zwłok?

To dlatego Szarzy trzymali się z dala od Księgi i Węża. Nie dlatego, że ich grobowiec wyglądał jak mauzoleum, ale ponieważ nie powinno się traktować zmarłych w taki sposób.

Alex przyjrzała się pochylonym i ukrytym za welonami głowom Księgarzy oraz skryby. Macie rację, że chowacie twarze, pomyślała. Kiedy nadejdzie wasz czas, ktoś będzie na was czekał po drugiej stronie, żeby odplacić się pięknym za nadobne.

3

Okazało się, że zapisywanie odpowiedzi litera po literze, wskazywanych przez ożywionego trupa, zajmuje mnóstwo czasu. Była druga w nocy, kiedy wreszcie zakończono rytuał.

Alex wytarła kredowy krąg i pilnowała, żeby nie rzucać się w oczy najwyższemu kapłanowi. Podejrzewała, że kopnięcie jakiegoś szanowanego absolwenta w klejnoty mogłoby zaszkodzić jej nowej, poprawionej strategii unikania kłopotów.

- Calista - powiedziała cicho, machając na przewodniczącą delegacji.

- Ogromnie ci dziękuję, Alex! To znaczy, Wergiliuszu. - Dziewczyna zachichotała. - Wszystko poszło doskonale.

- Jacob Yeshevsky może być innego zdania.

Calista znowu się zaśmiała.

- Fakt.

- Co się teraz z nim stanie?

- Jego rodzina myśli, że jest poddawany kremacji, więc tak czy inaczej, dostaną jego prochy. I po krzyku.

Alex zerknęła na skrzynię, w której przechowywano ciało Yeshevsky'ego. Kiedy generał uzyskał swoje odpowiedzi i rytuał zakończył się ostatnim uderzeniem w gong, ciało nie padło tak po prostu. Musieli poczekać, aż się zmęczy, łażąc po literach. Cokolwiek mówił, nikt nie zwracał sobie głowy zapisywaniem tego, a widok trupa tańczącego szaleńczo po posadzce, składającego słowo po słowie, bredzącego albo wołającego zza grobu, może przekazującego habciny prze-

pis na ciasto bananowe, był jakimś cudem jeszcze gorszy od tego, co działo się wcześniej.

- I po krzyku - powtórzyła Alex. - Co on mówił pod koniec?

- Coś o mleku matki albo o Drodze Mlecznej.

- To nic nie znaczy - powiedział najwyższy kapłan. Zdjął welon i szaty i teraz miał na sobie białe lniane spodnie i koszulę, jakby zszedł prosto z plaży na Santorini. - Drobne zakłócenia. To się zdarza. Gorzej, gdy trup jest świeży.

Alex zarzuciła plecak na ramię, śpiesząc się do wyjścia.

- Jasne.

- Może nawiązywał do programu kosmicznego - powiedziała Calista, zerkając na absolwenta, jakby szukała aprobaty.

- Idziemy się napić do... - zaczął kapłan.

Jednakże Alex już wychodziła ze świątyni i szła korytarzem. Nie zwolniła, dopóki nie wyszła z grobowca Księgi i Węża, nie uwolniła się od smrodu róż. Powietrze nadal było ciepłe od ostatnich oddechów lata pod bezgwiezdnym niebem New Haven.

* * *

Alex zdziwiła się, widząc Dawes czekającą w Klitce. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na dywaniku, bosy, w krótkich spodenkach-bojówkach i w białym T-shircie. Fiszki leżały przed nią poukładane w schludnych stosach. Włosy miała upięte w przekrzywionego koka. Sandały starannie ustawiła przy drzwiach.

- No i? - zapytała. - Jak poszło?

- Ciało uwolniło się i musiałam je złapać Widmową Pętlą.

- O, Boże.

- Właśnie - powiedziała Alex, kierując się do łazienki. - Złapałam trupa na lasso i zajechałam na nim aż do Stamford.

- Alex... - Dawes się skrzywiła.

- Dobrze poszło. Ale... - Alex zdjęła ubranie, paląc się do tego, żeby pozbyć się smrodu upiorności. - Sama nie wiem. Trup pod koniec po prostu biegł. Zaczął gadać coś o Drodze Mlecznej albo o mleku matki czy mleku do płatków śniadaniowych dla nieumarłych. To było cholernie przygnębiające. - Odkręciła kurek pod prysznicem. - Powiedziałaś Anselmowi, że nie możemy spotkać się z nowym Pretorem w sobotę? - Kiedy Dawes nie odpowiedziała, Alex powtórzyła pytanie. - Nie mogę spotkać się z nowym Pretorem w sobotę, w porządku?

Po długiej chwili Dawes odpowiedziała:

- Powiedziałaś Anselmowi, ale zyskałyśmy w ten sposób tylko tydzień. Może... Może Pretor wykaże się większą otwartością.

Alex w to wątpiła. W historii Lete nie brakowało odszczepieńców, którzy działali na własną rękę - Lee De Forest pozbawił cały kampus prądu i w efekcie został zawieszony; do diabła, jeden z założycieli Lete, Hiram Bingham III nie miał zielonego pojęcia na temat archeologii i mimo to pomknął do Pery, żeby ukraść kilka artefaktów - ale po tym, co wydarzyło się w zeszłym roku, Lete za nic w świecie nie wybrałoby nieszablonowego indywidualisty do roli Pretora. Zwłaszcza kiedy do Lete należała także Alex. Ona jedna była wystarczającą niewiadomą, eksperymentem, o którym wciąż nie wiedzieli, jak się sprawdzi.

- Dawes, zaufaj mi, kimkolwiek jest ten gość, nie wyrazi zgody na wycieczkę do piekła.

Zapaliła kadzielnicę z cedrem i *palo santo*, a potem weszła pod prysznic, żeby zmyć werbeną smród upiorności.

W ciągu miesięcy poszukiwań znalazły z Dawes dokładnie jedną wskazówkę na temat lokalizacji Womitorium, zwięzyły urywek w *Pamiętniku z czasów w Lete* Nelsona Hartwella z 1938 roku.

Bunchy spił się i próbował nas przekonać, że paru kumpli Johnny'ego i Gracza zbudowało Womitorium, żeby otworzyć drzwi do ognistych czeluści, jeśli mogą tak się wyrazić. Oczywiście zażądałem

dowodu. „Nie, nie” – mówi wtedy Bunch. „To zbyt ryzykowne, żeby zostawić jakiegokolwiek zapiski na ten temat”. Wszyscy złożyli przysięgę, że dochowają tajemnicy, i zdradzili tylko, że bramę zbudowano na poświęconej ziemi. Trochę to zbyt wygodna wymówka, odparłem. Założę się, że wszyscy odpuścili sobie kaplicę i wyładowali zalani w trupa w jakiejś krypcie.

Poświęcona ziemia. Tylko tyle miały z Dawes, jeden akapit o pijacynie imieniem Bunchy. To jednak nie powstrzymało ich przed zajrzeniem na każdy cmentarz, do każdej synagogi i kościoła zbudowanych przed 1938 rokiem w New Haven, gdzie szukały jakiegokolwiek znaku. Niczego nie znalazły, a teraz nowy Pretor będzie im zaglądał przez ramię.

– Dawes, po diabła nam Womitorium? Może powinniśmy spróbować czaru tropiącego Sandowa? – zawołała Alex, przekrzykując szum wody.

– Średnio nam to wyszło ostatnim razem.

Fakt. W nagrodę za swoje wysiłki prawie zostały pożarte przez piekielną bestię.

– Ale Sandow nie starał się tak naprawdę, nie? – powiedziała Alex, zmywając pianę z włosów. – Uważał, że Darlington przepadł raz na zawsze, że za żadne skarby nie mógł przetrwać wycieczki do piekła. Uważał, że czar tylko dowiedzie tego, że Darlington nie żyje.

To była potworna noc, ale rytuał rzeczywiście przywołał Darlingtona, a przynajmniej jego głos, który oskarżył Sandowa.

Alex zakręciła wodę i wzięła ręcznik z wieszaka. W mieszkaniu zrobiło się niemożliwie cicho.

Prawie uznała, że się przesłyszała, gdy rozległo się ciche:

– Dobrze.

Alex zamarła, wyzymając włosy w ręcznik.

– Co?

– Dobrze.

Alex spodziewała się, że Dawes zaprotestuje, znacznie mnożyć różne przeszkody: że to niewłaściwy czas, że potrzebują planu, że to zbyt niebezpieczne. Czy rozłożyła przed sobą karty tarota w salonie? Wyczytała z nich coś innego niż katastrofę?

Alex włożyła czyste szorty i koszulkę na ramiączkach. Dawes wciąż siedziała na tym samym miejscu na podłodze, ale podciągnęła kolana do piersi i objęła je rękami.

- Co masz na myśli mówiąc „dobrze”?
- Wiesz, jak Grecy nazwali Drogę Mleczną?
- Wiesz, że nie wiem.
- *Galaxias*.

Alex przysiadła na brzegu kanapy, próbując nie zważać na zimny okruch lodu w żołądku.

Galaxias. Galaktyka. Galaxy. Czy właśnie to słowo powtarzał raz za razem trup?

- Próbował się z tobą skontaktować – powiedziała Dawes. – Z nami.
- Nie możesz mieć pewności.

Jednakże coś podobnego wydarzyło się już wcześniej. Podczas wieszczenia w noc, kiedy Tara została zamordowana, i potem znowu, w czasie rytuału z księżycem w nowiu, kiedy Darlington próbował ich ostrzec przed Sandowem. A może wołał do niej zza Zastony, błagał o pomoc?

- Jest... coś... co mogłybyśmy wypróbować. – Dawes wyjąkała te słowa, prawie jakby to był kod Morse’a, rozpaczliwe S.O.S. – Mam pomysł.

Alex zastanawiała się, ile katastrof zaczęło się od tych słów.

- Mam nadzieję, że dobry.
- Ale jeśli zarząd Lete dowie się o tym...
- Nie dowie się.
- Nie mogę stracić tej pracy. Żadna z nas nie może.

Alex nie zamierzała myśleć o tym w tej chwili.

– Wracamy do Black Elm?

– Nie. Potrzebujemy stołu w Zwoju i Kluczu. Musimy otworzyć portal.

– Do piekła.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy. – Dawes sprawiała wrażenie zdesperowanej.

Próbowały przez całe lato i niczego nie zdziałały. Ale czy Alex naprawdę się starała? A może czuła się bezpiecznie w Il Bastone, gdzie prowadziła swoje poszukiwania? Przemierzając ulice New Haven w poszukiwaniu kościołów i świętych miejsc, rozglądając się za znakami sygnalizującymi Womitorium i niczego nie znajdując? Pozwoliła sobie zapomnieć, że gdzieś tam Darlington cierpi?

– Dobrze – powiedziała Alex. – W takim razie otworzymy portal.

– Jak dostaniemy się do Zwoju i Klucza?

– Ja to załatwię.

Dawes zagryzła usta.

– Nikogo nie będę bić, Dawes.

Dawes odgarnęła pasemko rudych włosów, które zaczęły jej się skręcać od upału.

Alex przewróciła oczami.

– Ani nikomu grozić. Będę naprawdę uprzejma.

I taki miała zamiar. Musiała wrócić do gry pozorów, którą prowadziła w zeszłym roku, poczuć pewny grunt pod nogami. Sprowadzą Darlingtona z powrotem. Wszystko naprawią. Z punktu widzenia zarządu Lete Alex była po prostu studentką, która ma za sobą wyjątkowo kiepski pierwszy rok studiów. Nie wiedzieli, że Sandow załatwił jej poprawienie ocen, nie mieli pojęcia, jaką rolę odegrała w jego śmierci ani ilu ludzi miała na swoim sumieniu po pewnie szczególnie potwornej nocy w Van Nuys.

Darlington za to wiedział. I jeśli zdecyduje się wyciągnąć, to będzie po niej. Co wtedy zrobi Alex? To, co robiła zawsze. Ustali możliwe wyjścia. Wyniesie się, zanim pojawią się prawdziwe problemy. A po drodze zwinie parę cennych drobiazgów. Ta litania stała się pocieszeniem, modlitwą, która oddalała strach przed przyszłością. Teraz jednak wszystko się komplikowało. O ile już wcześniej jej możliwości prezentowały się ponuro, to teraz były zwyczajnie paskudne i Alex nie miała już dokąd uciekać. Z powodu Eitana. Bo czy to będzie Womitrium, brama czy autobus, piekło każe sobie słono zapłacić za bilet.

4.

ZESZŁE LATO

Spędziłaby całe lato w New Haven. Gdyby nie Eitan.

Alex powiedziała, że dostała pracę na kampusie, i to wystarczyło Mirze. Matka uważała, że Los Angeles oznacza pokusę dla Alex, że kiedy tylko wysiądzie z samolotu, wróci do dawnego życia i starych przyjaciół.

Nie było takiej szansy, ale powiedzenie „Mamo, oni wszyscy już nie żyją” bynajmniej nie uspokoiłoby Miry, a prawdę mówiąc, Alex nie chciała wracać do domu. Nie chciała spać w swoim starym pokoju, pośród huku autostrady 101, podobnego do ryku odległego oceanu. Nie chciała słuchać o najnowszej obsesji jej matki – masażu jubilerskimi kamieniami, oczyszczaniu aury, olejkach eterycznych, niekończącym się polowaniu na proste cuda. Opuszczenie Yale wydawało się ryzykowne, za bardzo przypominało okrutną bajkę, w której, gdy raz opuścisz zaczarowany zamek, nigdy nie odnajdujesz powrotnej drogi.

Alex myślała, że spędzi lato z Dawes i Michelle Alameddine, przygotowując plan uratowania Darlingtona. Dawes jednak musiała zająć się dziećmi siostry w Westport, a z Michelle trudno było się skontaktować, zatem Alex większość czasu spędziła samotnie w Il Bastone. Zastanawiała się, czy dom ją odrzuci z powodu rozlewu krwi w minionym semestrze, z powodu witraża w oknie, który nigdy nie będzie równie doskonały jak oryginał, z powodu wciąż widocznych plam od krwi Blake'a Keely'ego na podłodze, ukrytych teraz pod dywanem. Co

będzie, jeśli stanie przed drzwiami, a klamka zwyczajnie nie pozwoli jej się przekreślić?

Jednakże tego wiosennego dnia, kiedy Alex odstawiła meble z ich wspólnego pokoju do piwnicy w college'u Jonathana Edwardsa i pożegnała się z Mercy i Lauren, klamka Il Bastone zastukała radośnie pod jej dłoń, a drzwi otworzyły się jak przyjazne ramiona.

Naprawdę zamierzała znaleźć pracę na lato, ale interesy w okolicy kampusu słabo przędyły w tym okresie. W końcu przestała szukać. Otrzymywała drobne stypendium od Lete i wydawała je na śmieciowe jedzenie, mrożone chińskie krokiety i parówki w cieście, które mogła podgrzać w opiekaczu. Nie zapytała nawet, czy może zatrzymać się w Il Bastone. Po prostu to zrobiła. Kto inny przelał krew dla tego miejsca?

Alex cały dniami przeglądała katalog kursów i rozmawiała z Mercy. Poskładały w całość rozkład zajęć Alex w stopniu, w jakim to było możliwe, żeby mogła zacząć czytać z wyprzedzeniem. Czytywała też tanią fikcję, książczynę za książczyną, jakby odpałała jednego papierosa od drugiego – romanse, science fiction, stare mierne fantasy. Chciała tylko siedzieć w kręgu światła lampy, żyć cudzym życiem i żeby nikt jej w tym nie przeszkadzał. Jednakże każdy wieczór spędzała w bibliotece. Zapisywała sugestie Dawes w Księżdzie Albe-marle'a albo sama na coś wpadała, a potem czekała, żeby zobaczyć, co biblioteka jej dostarczy. Jedna z książek miała grzbiet zrobiony z prawdziwych kręgow, a z innej buchał obłok delikatnej mgiełki za każdym razem, gdy ją otwierała. Kolejna była tak gorąca w dotyku, że Alex musiała poszperać w kuchni i wrócić z kuchennymi rękawicami.

Tylko zbrojownia była klimatyzowana – żeby chronić zgromadzone tam przedmioty – więc kiedy zrobiło się za gorąco, Alex wzięła stos koców i poduszek z sypialni Dantego i umościła sobie poślanie w Tygłu Hirma. Darlington byłby tym zgorszony, ale klimatyzacja była tego warta. Czasem, kiedy tam spała, śniła o gorze porośniętej zielenią. Była tam już wcześniej, знаła drogę prowadzącą schodami

i ciasnymi przejściami, w których pachniało wilgotnym kamieniem. Było tam pomieszczenie z trzema oknami i okrągłą misą, w której obserwowano gwiazdy. Widziała własną twarz odbijającą się w wodzie. Ale kiedy się budziła, wiedziała, że nigdy nie była w Peru i знаła to miejsce tylko z książek.

Leżała na boku na jednej z welwetowych kanap w salonie w Il Bastone, czytając podniszczony egzemplarz *Człowieka ilustrowanego*, który znalazła w bibliotece Young Men's Institute, kiedy zadzwonił jej telefon. Nie rozpoznała numeru, więc nie zamierzała go odbierać. Usunęła wszystkie stare kontakty po wyjeździe z Los Angeles. Kiedy jednak zadzwonił po raz drugi, odebrała.

Natychmiast rozpoznała głos Eitana i jego wyraźny akcent.

– Alex Stern. Musimy porozmawiać. Rozumiesz?

– Nie – odpowiedziała z sercem szaleńczo bijącym w piersi.

Tego dnia padało, więc rozsunała wszystkie zasłony, żeby patrzeć na burzę, jasne okrzyki błyskawic skrzące się na szarym niebie. Usiadła prosto, zaznaczając miejsce w książce rachunkiem. Ogarnęło ją nieprzyjemne przeczucie, że nigdy nie dokończy tej konkretnej historii.

– Nie chcę rozmawiać przez telefon. Odwiedź mnie.

Myślał, że Alex jest w L.A. To dobrze, powiedziała sobie. Nie wiedział, że nie dostanie jej tak łatwo w swoje łapy. Tylko po co do niej dzwonił? Eitan był izraelskim gangsterem, który działał z eleganckiej posiadłości znajdującej się na szczycie Encino nad autostradą 405; Len rozprawdzał dla niego towar. Alex myślała, że Eitan już dawno o niej zapomniał.

– Nie pojedę aż na Mulholland – odpowiedziała. – Nie mam samochodu.

Nawet gdyby była w L.A., za żadne skarby nie pojechałaby na wzgórze do domu Eitana tylko po to, żeby mógł posłać kulkę prosto w jej głowę bez żadnych świadków.

- Twoja matka ma samochód. Stary volkswagen jetta. Nie powiem, że to niezawodny wóz. - Oczywiście Eitan wiedział, jak znaleźć jej matkę. Ludzie tacy jak on doskonale wiedzą, gdzie szukać punktów nacisku. - Shlomo obserwuje twój dom od bardzo dawna, ale tylko twoja mama wychodzi z niego i wraca. Gdzie jesteś, Alex?

- W tej chwili? - Alex rozejrzała się po salonie, po zakurzonych dywanach, letnim słońcu sączącym się łagodnie przez obryzganę deszczem szyby. Słyszała, jak maszyna do lodu hałasuje w lodówce w kuchni. Później zrobi sobie kanapkę z chleba i mielonki, które zamówiła Dawes, gdy dowiedziała się, w jakim stopniu dieta Alex składa się z paluszków z kurczaka, i teraz pojawiały się w domu co tydzień jak za sprawą magii. - Zatrzymałam się u przyjaciół w Topanga Canyon. Wrócę w ten weekend.

- Byle nie w sobotę. Przyjedź jutro, w piątek, przed piątą.

Eitan przestrzegał zasad koszeru i świętości szabat. Zabijaniem i wymuszeniami zajmował się przez pozostałe sześć dni w tygodniu.

- Mam pracę - odpowiedziała Alex. - Mogę przyjechać w niedzielę.

- Grzeczna dziewczynka.

Rozłączyła się i przycisnęła telefon do piersi, wpatrując się w kasetonowy sufit. Światła zamigotały. Wiedziała, że dom wyczuwa jej strach. Pochyliła się i przycisnęła dłoń do podłogi. W noc, kiedy Alex prawie wykrwawiła się na śmierć w korytarzu na piętrze, Il Bastone też otrzymało ranę, jedno z jego pięknych okien zostało stłuczone, a dywany poplamiono krwią. Alex pomogła to wszystko uprzątnąć. Kręciła się przy ludziach, których Dawes wynajęła do naprawy okna. Szorowała i czyściła parą zakrwawione dywany w korytarzu. Czyściła je z własnej krwi, z krwi dziekana Sandowa i Blake'a Keely'ego. Obaj teraz nie żyli, w przeciwieństwie do Alex. Alex przetrwała, podobnie jak Il Bastone.

Nie potrafiła powiedzieć, czy naprawdę poczuła wibrację w podłodze, czy tylko poniosła ją wyobraźnia, ale uspokoiła się nieco. To było

jej bezpieczne miejsce, odkąd kampus się wyludnił – chronione magią, ciemne, chłodne. Wychodziła czasem, szła na spacer na wzgórze albo na kryty most przy Eli Whitney Museum, którego czerwona stodoła spinała brzegi rzeki jak coś wyjętego żywcem z obrazu, który Mercy by wyśmiała. Jeździła na swoim nowym rowerze do Edgerton Park, przejeżdżała między rabatami z kwiatami i patrzyła na starą stróżówkę. Co drugi dzień rano jeździła rankiem aż do Black Elm, żeby nakarmić Cosmo i pobłądzić w labiryncie z żywopłotu. Zawsze jednak wracała do domu przy Orange Street, do Il Bastone. Spodziewała się, że będzie się tam czuła samotnie bez Dawes i Darlingtona, ale zamiast tego piła oranżadę prosto ze staroświeckiej zamrażalki, drzemała w eleganckiej sypialni z witrażem ze słońcem i księżycem, myszkowała w zbrojowni. Dom zawsze miał coś nowego do pokazania.

Alex nie chciała wychodzić. Nie chciała wracać do nędznego mieszkania matki w Van Nuys, nie chciała rozmawiać z Eitanem. Miał jakiś niedokończony interes z Lenem, z którym czekał cały rok? Czy w jakiś sposób dowiedział się, co Alex zrobiła? Czy powiązał ją ze śmiercią swojego kuzyna?

To nie miało znaczenia. Musiała jechać. Przejrzała telefon i znalazła numer Michaela Anselma. To był członek zarządu Lete, zastępczy autorytet, który wypełnił dziurę, jaką zostawił po sobie dziekan Sandow. Skończył studia piętnaście lat temu. Alex i Dawes przejrzały jego *Pamiętnik z czasów w Lete* i przekonały się, że jest wyjątkowo nudy. Nazwiska, daty rytuałów i niewiele więcej. Takie samo wrażenie robił przez telefon. Oschły, nudny, śpieszyło mu się, żeby wrócić do pracy w finansach, bankowości, czy jak tam nazywano drukowanie pieniędzy. Załatwił jej jednak rower i laptop, więc nie zamierzała narzekać.

Anselm odebrał po drugim dzwonku.

– Alex?

Sprawiał wrażenie zaniepokojonego i wcale mu się nie dziwiła. Równie dobrze mogła dzwonić, żeby mu powiedzieć, że biblioteka

wydziału prawa spłonęła albo armia nieumarłych gromadzi się w Jadalni. Niewiele wiedziała na temat Anselma, ale wyobrażała sobie, że nosi krawaty w paski, wraca do domu, w którym czeka żółty labrador, dwójka dzieci udzielających się w fundacji Habitat for Humanity i dbająca o figurę żona.

- Cześć, Michael, przepraszam, że przeszkadzam ci w środku dnia...

- Wszystko w porządku?

- Wszystko jest w porządku, ale muszę jechać do domu w ten weekend. Zobaczyć się z mamą.

- Och, przykro mi to słyszeć – powiedział, jakby właśnie go poinformowała, że jej mama zachorowała. Co zresztą była gotowa powiedzieć.

- Czy możesz... To znaczy, czy Lete może mi pomóc opłacić bilet?

Alex wiedziała, że powinna być skrupowana, ale odkąd prawie umarła w tym domu, nie wahała się prosić Lete o wszystko, co było jej potrzebne. Mieli dług u niej, u Dawes i Darlingtona. Dawes o nic nie prosiła, a Darlington z pewnością nie zamierzał odebrać swojego długu, więc to Alex przypadło zadanie wyrównania rachunków.

- Oczywiście! – odpowiedział Michael. – Cokolwiek potrzebujesz. Połączę cię z moją asystentką.

I to byłoby tyle. Asystentka Anselma załatwiła samochód, który zabrał Alex na lotnisko, i bilet powrotny. Alex zastanawiała się, czy wykorzysta bilet w obie strony, czy też umrze na końcu Mulholland Drive. Spakowała bieliznę i szczoteczkę do zębów do plecaka, zajrzała do zbrojowni i zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co zabrać. Miała wrażenie, że pakuje się prosto w pułapkę, ale Lete nie obracało rzeczami, które powstrzymałyby takiego człowieka jak Eitan. A w każdym razie niczym takim, co mogłaby teraz zabrać na pokład samolotu.

- Wrócę – mruknęła do domu, kiedy zamek frontowych drzwi zamknął się za nią. Przystanąła, żeby posłuchać cichego skowytu sza-

kali pod werandą, mając nadzieję, że mówi prawdę.

Alex dotrzymała słowa. Dokończyła nawet książkę Raya Bradbury'ego. Nie wiedział tylko, że wróci ze świeżą krwią na rękach.

Płaszcz z Wielu Lisów

Pochodzenie: Goslar, Niemcy; XV wiek

Ofiarodawca: Zwój i Klucz, 1993 rok

Uważa się, że to dzieło Alarica Förstnera, który ostatecznie został spalony na stosie za zdziśiátkowanie lokalnej populacji lisów. Płaszcz wielokrotnie zmieniał swoich właścicieli i pewne zapiski sugerują, że należał do nauczyciela z Oxfordu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy uczył tam C.S. Lewis, ale nigdy nie zostało to ostatecznie dowiedzione. Podejrzewa się, że niegdyś powieszenie płaszcza w szafie czy garderobie pozwalało otworzyć przejście, ale wszelka magia, jaką płaszcz być może był obdarzony, dawno zniknęła. Kolejny przykład niestabilności magicznych portali. Patrz: Tajiara jako przykład rzadkiego wyjątku.

*z Katalogu Zbrojowni Lete;
korekta i redakcja: Pamela Dawes, Oculus*

5.

PAŹDZIERNIK

W piątkowy ranek Alex poszła z Mercy na zajęcia ze współczesnych poetów i na wstęp do elektrotechniki. Robiła, co w jej mocy, żeby uważać. Semestr się dopiero zaczął, a jej już brakowało snu.

Chciała zostać w akademiku tego wieczoru, odespać trochę, dokończyć wieszanie plakatów w swoim pokoju. Mercy swoją połowę obwiesiła już pracowicie reprintami i kolażami z fragmentów poezji wypisanych chińską kaligrafią i ilustracjami z magazynów mody. Zrobiła sobie prowizoryczny baldachim nad łóżkiem z niebieskiego tiulu i cała sypialnia wyglądała wytwornie.

Jednakże Mercy i Lauren chciały gdzieś wyjść, zatem wyszły. Alex włożyła nawet sukienkę, krótką i czarną, z ażurowymi ramiączkami. Mercy i Lauren nosiły identyczne, ale w innych kolorach. Alex miała wrażenie, że są miniaturową armią – trzy lunatyczki w wykwintnych nocnych koszulkach. Mercy i Lauren włożyły sandały z paseczków, niestety Alex takich nie miała, więc została w swoich obtartych czarnych butach za kostkę. Łatwiej się w nich biega.

Zatrzymały się przy huśtawce, żeby zrobić sobie zdjęcia. Alex wybrała jedno, żeby wysłać mamie – to, na którym wyglądała najweselsiej, gdzie sprawiała wrażenie, jakby wszystko było u niej w porządku. Lauren stała na lewo od niej – z gęstą szopą miodowozłoty włosów i zębami bielszymi od światła latarki. Mercy zajęła miejsce po lewej – z czarnymi lśniącościami włosami obciętymi na pazia,

z dużymi, staroświeckimi kolczykami w kształcie stokrotek i nieufnością w oczach.

Czy ludzie Eitana nadal obserwowali Mirę? Czy też Eitan uznał, że może zostawić jej matkę w spokoju, odkąd Alex robi to, co jej się każe? Miała wrażenie, że Kalifornia to nie tyle drugie wybrzeże, ile inna epoka, czas ginący we mgle. Alex chciała, żeby coraz bardziej się rozmywał, bo szczegóły były zbyt bolesne, żeby widzieć je z całą wyrazistością.

Impreza odbywała się w domu przy Lynwood, niedaleko żalostnej nory z pełnymi nadziei wiatrowskazami obracającymi się wolno na dachu, która udawała mieszkanie, siedziby stowarzyszenia Świętego Elma. Alex przez całą noc piła wodę i umierała z nudów, ale nie miała nic przeciwko. Chętnie stała z czerwonym jednorazowym kubkiem w ręce w otoczeniu przyjaciółek, udając nabuzowaną. Właściwie nie do końca udawała. Zaprawiła się basso belladonna. Powiedziała sobie, że nie będzie brała w tym roku, ale rok już okazał się do dupy, więc Alex będzie robić to, co konieczne.

W sobotę rano wymknęła się, kiedy Mercy jeszcze spała, i zadzwoniła do Zwoju i Klucza. Tak jak obiecała, była nadzwyczaj uprzejma. Potem zwinęła się w kłębek na łóżku i zasnęła z powrotem. Spała, dopóki Mercy jej nie obudziła.

Zjadły późne śniadanie w jadalni i Alex jak zwykle nałożyła sobie kopiasty talerz. Zamierzały spróbować otworzyć portal do piekła; powinna za bardzo się denerwować, żeby jeść, a miała wrażenie, że nie jest w stanie napełnić żołądka. Miała ochotę na dokładkę syropu, bekonu, wszystkiego. Szarzy uwielbiali to miejsce wypełnione zapachem jedzenia i plotkami. Alex mogła je zabezpieczyć, tak samo jak zabezpieczyła swój pokój w akademiku. Jednakże gdyby coś miało ją zaatakować, wołała mieć pod ręką Szarego, by się nim posłużyć, byle nie był tak blisko, żeby jej przeszkadzać. A tu Szarzy znikali w tłumie. Było w tym coś z prawdziwie pokojowej koegzystencji – gdy umarli łamali się chlebem z żywymi.

Alex wiedziała, że istnieją piękniejsze pomieszczenia na Uniwersytecie Yale, ale to było jej ulubione – z belkami z ciemnego drewna wysoko w górze i z wielkim kamiennym kominkiem. Uwielbiała tu siedzieć, gdy zalewał ją brzęk tac i gwar rozmów. Spodziewała się, że Darlington uśmiechnie się z wyższością, gdy mu powie, jak bardzo uwielbia jadalnię w JE, ale on tylko pokiwał głową i powiedział: „Jest za duża, żeby wyglądała jak jadalnia w oberży albo zajeździe, ale robi takie wrażenie. Jakby można było tam oprzeć wygodnie nogi i przeczekać burzę”. Może tak to właśnie wyglądało dla zmęczonego podróżnego, dla studentki, którą udawała. Jednakże miejsce prawdziwej Alex znajdowało się pośród burzy; ściągała na siebie wszelkie kłopoty jak piorunochron gromy. To się zmieni, gdy Darlington wróci. Nie będą już we dwie z Dawes próbować barykadować się przed ciemnością.

– Dokąd idziesz? – zapytała Mercy, kiedy Alex wstała i wsunęła kawałek tostu z masłem do ust. – Mamy czytanie.

– Skończyłam już „Opowieść rycerza”.

– A „Damy z Bath”?

– Yhm.

Lauren odchyliła się na krześle.

– Chwileczkę, Alex, przeczytałaś lektury z wyprzedzeniem?

– Teraz jestem bardzo uczoną osobą.

– Musimy nauczyć się na pamięć pierwszych osiemnastu linijek – powiedziała Mercy. – A to nie jest łatwe.

Alex odstawiła torbę.

– Co? Dlaczego?

– Żebyśmy wiedzieli, jak to brzmi? Napisano je w języku średnioangielskim.

– Musiałam się ich nauczyć w szkole średniej – powiedziała Lauren.

– Bo chodziłaś do nadzwyczajnego prywatnego liceum na Brooklynie – odparła Mercy. – My z Alex wylądowałyśmy w państwowych

szkołach i ulica uczyła nas życia.

Lauren prawie zakrztusiła się sokiem ze śmiechu.

- Lepiej uważaj, bo Mercy cię załatwi na szaro – ostrzegła ją Alex z szerokim uśmiechem.

- Nie powiedziałaś, dokąd się wybierasz! – zawołała za nią Lauren, kiedy Alex wyszła z jadalni.

Alex prawie zapomniała, jakie męczące jest wymyślanie wymówek.

Dawes czekała przed szkołą muzyczną, której biało-różowa fasada przypominała przeładowany ozdobami tort. Alex nigdy nie była w Wenecji, ale знаła ten styl. Darlington też uwielbiał ten budynek.

- Zgodzili się?

Żadnego „cześć”, żadnego „jak się masz”. Dawes robiła wrażenie wręcz niemożliwie skrępowanej w niezgrabnych szortach-bojówkach, w białej koszulce z dekoltem w szpic i z płócienną torbą przewieszoną przez pierś. Było w jej wyglądzie coś nienaturalnego i Alex nagle zdała sobie sprawę, że tak przywykła do widoku Dawes ze słuchawkami na szyi, że bez nich wydawała jej się dziwnie naga.

- W pewnym sensie – powiedziała Alex. – Powiedziałam im, że przeprowadzam inspekcję.

- O, świetnie... Czekaj, dlaczego przeprowadzasz inspekcję?

- Dawes. – Alex rzuciła jej spojrzenie. – A co miałabym sprawdzać?

- Powiedziałaś, że z nimi porozmawiasz, a nie, że ich okłamiesz.

- Kłamanie to też forma rozmowy. Bardzo użyteczna forma. Nie musiałam się nawet wysilać.

Nie po numerze, jaki stowarzyszenie Zwoju i Klucza wykręciło w zeszłym roku. Nie chodziło, rzecz jasna, o narkotyki, bo to było jak najbardziej dopuszczalne według zasad Lete, ale o wprowadzenie ludzi z miasta – obcych! – do swojego grobowca i włączenie do rytuałów. Skończyło się to morderstwem i skandalem. Oczywiście to nie

pociągnęło za sobą żadnych poważnych reperkusji poza surowym ostrzeżeniem i karą finansową.

Robbie Kendall czekał na schodach grobowca, ubrany w kraciaste szorty i jasnoniebieską koszulkę polo. Blond włosy miał dostatecznie długie, żeby kojarzyły się z surferem, ale nie prezentowały się niechlujnie. Popołudniowy skwar nie robił na nim wrażenia. Wyglądał, jakby nigdy w życiu się nie spocił.

- Cześć - powiedział z nerwowym uśmiechem. - Alex? Czy, ehm... mam cię nazywać Wergiliuszem?

Alex poczuła, że Dawes zeszytniała obok niej. Nie towarzyszyła Alex podczas dwóch pierwszych rytuałów tego roku. Nie słyszała tego imienia, odkąd Darlington zaginął.

- Zgadza się - powiedziała Alex, ukradkiem ocierając dłonie, zanim je sobie podali. - To Oculus. Pamela Dawes.

- Świetnie. Co chcecie zobaczyć?

Alex przyjrzała się Robbie'emu chłodno.

- Daj mi klucze. Możesz poczekać na zewnątrz.

Robbie się zawahał. Był przewodniczącym nowej delegacji, studentem ostatniego roku i aż się palił, żeby robić wszystko, jak należy. Naprawdę idealna ofiara.

- Nie wiem, czy...

Alex obejrzała się przez ramię i zniżyła głos.

- W taki sposób chcesz zacząć ten rok?

Robbie otworzył usta.

- Ehm... Nie.

- Kompletny brak szacunku dla zasad twoich towarzyszy Kluczników prawie doprowadził w zeszłym roku do śmierci mojej i Oculusa. Dwójki delegatów Lete. Macie szczęście, że nie zostaliście pozbawieni przywilejów.

- Pozbawieni?

Zupełnie jakby nigdy nie przyszło mu to na myśl, jakby coś takiego było niemożliwe.

– Zgadza się. Na semestr, może na cały rok. Osobiście uważałam, że należy okazać wam wyrozumiałość, ale... – Wzruszyła ramionami.

– Może popełniłam błąd.

– Nie, nie. Zdecydowanie nie. – Robbie szukał po omacku kluczy. – W żadnym razie.

Alex prawie mu współczuła. Dopiero co po raz pierwszy posmakował magii, kiedy przeszedł inicjację w zeszłym semestrze, pierwszy raz dostrzegł przelotnie świat poza Zasłoną. Obiecano mu cały rok dzikich podróży i tajemnic. Zrobi wszystko, byle mu tego nie odebrano.

Ciężkie drzwi otworzyły się, ukazując ozdobne kamienne wejście; chłodny mrok był miłą odmianą po upale. Szary w spodniach w prążki wesoło mrucał pod nosem w korytarzu, oglądając szklaną gablotę pełną czarno-białych zdjęć. Ciężkie wnętrze grobowca Zwoju i Klucza dziwnie kontrastowało z eleganckim zewnętrzem – nieociosany kamień z ozdobnymi mauretańskimi łukami. Jakby weszły do jaskini.

Alex zabrała z ręki Robbie'ego klucze, zanim zdążył się zastanowić.

– Poczekaj, proszę, na zewnątrz.

Tym razem nie protestował, powiedział tylko entuzjastycznie:

– Pewnie. Nie śpieszcie się.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Alex spodziewała się połajanki albo chociaż pełnego dezaprobaty grymasu, ale Dawes miała zamyśloną minę.

– Co się stało? – zapytała Alex, kiedy ruszyły korytarzem do sanktuarium.

Dawes wzruszyła ramionami i wyglądała, jakby nadal nosiła jedną ze swoich ciężkich bluz.

– Mówisz zupełnie jak on.

Czy Alex znowu odgrywała Darlingtona? Pewnie tak. Za każdym razem, kiedy wypowiadała się z całym autorytetem Lete, mówiła tak

naprawdę jego głosem – pewnym siebie, przekonanym o swojej słuszności, wiedzącym. Jej całkowite przeciwieństwo.

Otworzyła drzwi do Sali rytuałów. To była przestronna komnata na planie gwiazdy w samym sercu grobowca. W każdym z sześciu ramion gwiazdy stał posąg rycerza, a pośrodku umieszczono okrągły stół. Tyle że tak naprawdę to wcale nie był stół; to były drzwi, przejście do każdego miejsca, do jakiego człowiek może zapragnąć się udać. I do paru, w których nie chciałby wylądować.

Alex przesunęła ręką po inskrypcji przy krawędzi stołu. „Mieście moc opromienić tę mroczną ziemię, mieście moc ożywić ten martwy świat”. Tara stała przy tym stole, zanim została zamordowana. Była tu intruzem, tak samo jak Alex.

– Uda nam się? – spytała. – Węzeł jest niestabilny.

Dlatego właśnie Klucznicy korzystali ze środków halucynogennych, dlatego musieli polegać na dziewczynie z miasta i jej chłopaku, który handlował prochami. Przygotowywali dla nich koktajl, który pomagał otwierać portale i ułatwiał przejście do innych krain.

– Nie mamy specjalnego koktajlu od Tary.

– Nie wiem – odpowiedziała Dawes, gryząc paznokiec. – Ale... nie wiem, czego innego mogłybyśmy spróbować. Możemy poczekać. Powinnyśmy.

Spojrzały sobie w oczy ponad wielkim, okrągłym stołem, który miał być niby zrobiony z tych samych desek, co stół, przy którym kiedyś gromadzili się rycerze króla Artura.

– Powinnyśmy – zgodziła się Alex.

– Ale nie poczekamy, prawda?

Alex pokręciła głową. Minęły ponad trzy miesiące od pogrzebu Sandowa, odkąd Alex przedstawiła swoją teorię, że Darlington nie umarł, ale tkwi uwięziony gdzieś w piekle, demon-dżentelmen, który tak przeraził martwych i wszelkie potwory zebrane za Zasłoną. W czasie, który upłynął, Alex i Dawes nie dowiedziały się niczego, dzięki czemu mogłyby uznać, że to wszystko było czymś więcej niż poboż-

nymi życzeniami. To jednak nie powstrzymało ich przed próbą obmyślenia sposobu dotarcia do Darlingtona. *Galaxias*. *Galaxy*. Wołanie zza Zasłony. Jakie to będzie uczucie znowu stać się uczennicą? Znowu być Dantem? Miesiące poszukiwań wskazówek dotyczących położenia Womitorium niczego nie przyniosły i możliwe, że ta próba też nic im nie da, ale musiały chociaż spróbować. Anselm pełnił rolę nieobecnego rodzica; odzywał się obowiązkowo z Nowego Jorku, ale poza tym zostawił je same sobie. Nie mogły liczyć na to, że nowy Pretor zachowa się tak samo.

- Zacznijmy od zabezpieczeń - powiedziała Alex.

Pracowały we dwie, kreśląc rozsypaną solą Węzeł Salomona, bo zwykły krąg by nie wystarczył. Teoretycznie otwierały bramę do piekła, a przynajmniej do jednego jego zakątka i jeśli Darlington był teraz bardziej demonem niż człowiekiem, to nie chciały, żeby zaczął swawolić ze swoimi kumplami demonami po całym kampusie.

Każda linia węzła stykała się z inną, nie sposób więc było powiedzieć, gdzie wzór się zaczyna. Alex porównała ich dzieło z rysunkiem, który skopiowała z książki poświęconej magicznym barierom. Podobno demony uwielbiały zagadki i gry, a węzeł miał je zająć, dopóki nie zostaną przegnane albo - jak planowały w przypadku Darlingtona - zakute w łańcuchy z czystego srebra. A przynajmniej Alex miała nadzieję, że to czyste srebro. Znalazła je w szufladzie zbrojowni i liczyła, że Lete nie zaoszczędziło na nich. A jeśli piekielna bestia znowu się na nie rzuci? Umieściły w czterech stronach świata kamienie: ametyst, karneol, opal i turmalin. Małe błyskotki, żeby związać potwora.

- Nie robią imponującego wrażenia, co? - powiedziała Alex.

Dawes tylko jeszcze mocniej zagryzła usta.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Alex, nie wierząc w ani jedno swoje słowo. - Co teraz?

Rozsypały linie z soli co kilka kroków w korytarzu, jako dodatkowe zabezpieczenie, gdyby coś wydostało się poza węzeł. Ostatnia linia,

jaką rozsypały, była bladobrazowa. Sól wymieszana z ich własną krwią. Ostatnia linia obrony.

Dawes wyjęła z torby małą trąbkę, dziecinną zabawkę.

Alex nie potrafiła ukryć niedowierzania.

– Zamierzasz przywołać Darlingtona z piekła za pomocą czegoś takiego?

– Nie mamy dzwonków Aurelian, a rytuał wymaga po prostu dźwięku „instrumentu nawołującego do działania lub rozbrzmiewającego na alarm”. Masz list?

Podczas nieudanego rytuału z księżycem w nowiu posłużyli się aktem notarialnym na Black Elm, dokumentem, który Darlington podpisał, gdy wypełniały go nadzieja i plany na przyszłość. Tym razem nie miały niczego podobnego, ale znalazły liścik napisany przez Michelle Alameddine, który leżał w biurku w sypialni Wergiliusza w siedzibie Lete, raptem kilka linijek z wiersza i słowa:

Istniał kiedyś klasztor, który produkował armaniak tak doskonały, że tamtejsi mnisi musieli uciec do Włoch, kiedy Ludwik XIV zażartował, że zabije ich, żeby zachować ich sekrety. To ostatnia butelka. Nie pij jej na pusty żołądek i nie dzwoń, o ile nie umrzesz. Powodzenia, Wergiliuszu!

To było niewiele, ale miały też butelkę armaniaku. Prezentowała się o wiele mniej wspaniale, niż Alex sobie wyobrażała – ciemnozielona, ze starą, nieczytelną etykietą.

– Nawet jej nie otworzył – zauważyła Dawes z dezaprobatą, kiedy Alex postawiła butelkę na podłodze pośrodku wężła.

– Nie grzebiemy mu w szufladzie z bielizną. To tylko alkohol.

– Nie był przeznaczony dla nas.

– Więc go nie wypijemy – warknęła Alex, ponieważ Dawes miała rację. Nie powinny kraść rzeczy przeznaczonych dla Darlingtona, które były dla niego cenne.

Sprowadzimy go z powrotem, więc nam wybacz, powiedziała sobie, wyjmując mały kieliszek z torby i napełniając go pomarańczo-

wym płynem, ciepłym jak popołudniowe słońce. Wybacz mi. Wszystko.

- Powinniśmy mieć do tego cztery osoby - powiedziała Dawes. - Po jednej na każdy kierunek świata.

Powinny mieć cztery osoby. Powinny były znaleźć Womitorium. Powinny dać sobie więcej czasu, żeby przygotować coś lepszego niż tę prowizorkę udającą rytuał.

Stały jednak na skraju urwiska i Alex wiedziała, że Dawes nie chce, by ją teraz odwozić od skoku. Chciała kogoś, kto ją pchnie.

- Do roboty - powiedziała Alex. - On czeka na nas po drugiej stronie.

Dawes wzięła głęboki wdech. Jej brązowe oczy za bardzo błyszczały.

- W porządku.

Wyjęła małą buteleczkę oleju sezamowego z kieszeni i zaczęła nim namaszczać stół, wodząc ręką wzdłuż krawędzi, gdy go obchodziła najpierw zgodnie z ruchem wskazówek, a potem w przeciwnym kierunku, recytując słowa w rwanym arabskim.

Kiedy doszła do miejsca, od którego zaczęła, spojrzała Alex w oczy i przeciągnęła palcem unurzonym w oleju, domykając krąg.

Stół zapadł się w nicość. Alex miała wrażenie, że wpatruje się w wieczność. Podniosła wzrok i zobaczyła krąg ciemności w miejscu, w którym chwilę temu znajdował się przeszkłony świetlik. Noc była gęsta od gwiazd, a przecież to był środek dnia. Musiała zacisnąć powieki, bo dostała zawrotów głowy.

- Spal list - powiedziała Dawes. - Przywołaj go.

Alex potarła zapalną i przyłożyła do kartki, a potem wrzuciła płonący papier do pustki, gdzie wcześniej był stół. Wydawało się, że kartka unosi się z podwijającymi się brzegami i zanim list spadł, Alex cisnęła w ogień garść żelaznych opilków. Słowa zaczęły odrywać się od kartki i unosić w powietrze.

powodzenia

umrzesz

- Cofnij się – powiedziała Dawes.

Uniosła do ust trąbkę. Dźwięk, który się rozległ, powinien być piskliwy i słaby, a zamiast tego głęboki ryk odbił się echem od ścian, triumfalny dźwięk rogu wzywający jeźdźców na polowanie.

Alex usłyszała w oddali ciche uderzenia łap.

- To działa! – szepnęła Dawes.

Pochyliły się nad przestrzenią, gdzie wcześniej był stół, i Dawes znowu zatrąbiła. Echo poniosło się w oddali.

Wróć do domu, Darlington. Alex wzięła kieliszek armaniaku i wylała go do wypełnionej gwiazdami otchłani. Wróć i napij się z tej eleganckiej butelki, wznies toast. Nadal słyszała w głowie starą piosenkę. „Chodź, chodź, podaj mi rękę”.

Tupot stawał się coraz głośniejszy, ale nie brzmiało to jak uderzenia miękkich łap. Był za głośny i stawał się coraz donośniejszy.

Alex rozejrzała się po sali, jakby szukała wyjaśnienia tego, co się dzieje.

- Coś jest nie tak.

Dźwięk niósł się z ciemności. Z dołu.

Podłoga zadrżała od narastającego grzmotu. Alex czuła to przez buty. Zerknęła w pustkę i poczuła zapach siarki.

- Dawes, zamknij to.

- Ale...

- Zamknij bramę!

Widziała teraz w ciemności czerwone iskry i chwilę potem zrozumiała: to były oczy.

- Dawes!

Za późno. Alex zatoczyła się na ścianę, kiedy stado spłoszonych koni wyskoczyło z hukiem ze stołu i wpadło do sali jak kipiąca czarna masa. Były koloru węgla, oczy miały czerwone i pałające. Każde ude-

rzenie kopyt o podłogę sprawiało, że buchał ogień. Wypadły przez drzwi świątyni, rozsypując sól i kamienie, pogalopowały korytarzem. Stado piekielnych ogierów pokonało linie z soli jedną po drugiej.

– One się nie zatrzymają! – krzyknęła Dawes.

Zaraz wypadną przez drzwi grobowca na ulicę.

Jednakże kiedy galopujące stado natrafiło na linię soli zmieszaną z ich krwią, wyglądało to, jakby fala rozbiła się o skały. Stado skręciło w prawo i w lewo, zakotłowało się jak w kipieli. Jeden z koni padł na bok, jego kwiczenie przypominało ludzki krzyk. Zaraz podniósł się i stado pogalopowało z powrotem do świątyni.

– Dawes! – krzyknęła Alex.

Znała mnóstwo słów śmierci. Miała srebrne łańcuchy, sznur ze skomplikowanymi węzłami, cholerną kostkę Rubika, bo demony lubią łańcigłówniki. Nie miała jednak pojęcia, jak poradzić sobie ze stadem koni parsających siarką, które przywołały z głębin piekieł.

– Zejdź im z drogi! – wrzasnęła Dawes.

Alex przycisnęła się do ściany. Dawes stała po drugiej stronie stołu, rude włosy opadały jej wokół twarzy. Wykrzykiwała słowa, których Alex nie rozumiała. Uniosła trąbkę do ust i jej dźwięk przypominał tysiąc rogów, to była cała orkiestra wygrywająca rozkaz.

Stratują ją, pomyślała Alex. Rozpadnie się w pył, zamieni się w popiół.

Konie skoczyły – czarny przypyły ciężkich ciał i błękitnego płomienia – a Dawes cisnęła trąbkę w otchłań. Ogiery skoczyły za zabawką, kreśląc w powietrzu niemożliwy łuk; mniej przypominały konie, a bardziej skotłowaną morską pianę. Popłynęły jak woda i rozplynęły się w ciemności.

– Zamknij portal! – krzyknęła Alex.

Dawes uniosła puste dłonie i zatarła, jakby umywała od tego wszystkiego ręce.

– *Ghalaqa al-baab! Al-tariiq muharram lakum!*

A potem głos poniósł się echem w sali, niósł się gdzieś z dołu, a może z góry, nie sposób było się zorientować. Alex знаła ten głos, a słowo, które wypowiedział, było wyraźne i błagalne.

„Poczekajcie”.

– Nie! – krzyknęła Dawes, ale było za późno.

Rozległ się potężny huk, jakby zatrzęsły się ciężkie wrota. Alex padła na ziemię.

6

Alex niewiele pamiętała z tego, co wydarzyło się potem. Dzwoniło jej w uszach, łzawiły oczy, smród siarki był tak silny, że ledwie zdążyła unieść się na czworaki, zanim zwymiotowała. Usłyszała, że Dawes też wymiotuje, i prawie popłakała się ze szczęścia. Jeśli Dawes wymiotuje, to znaczy, że żyje.

Robbie wbiegł do sali, rozganiając ręką dym i krzycząc:

– Co jest, do cholery?! Co to, kurwa, jest?!

A potem też zaczął wymiotować.

Cała sala była w czarnej sadzy. Alex i Dawes były nią umazane. A stół – stół, przy którym mieli gromadzić się rycerze króla Artura – pękł na pół.

„Poczekajcie”.

Nie mogła nawet udawać, że tego nie słyszała, bo Dawes też tu była. Alex widziała cierpienie w jej oczach, kiedy brama się zatrzasnęła.

Alex podczołgała się do Dawes, która skuliła się pod ścianą i cała się trzęsła.

– Nie mów ani słowa – szepnęła do niej Alex. – To była inspekcja i nic więcej.

– Słyszałam go... – Łzy wypełniły jej oczy.

– Wiem, ale w tej chwili musimy chronić własne tyłki. Powtórz to razem ze mną. To była inspekcja.

– To była inspek... inspekcja.

Reszta wydarzeń była jak rozmazana plama – krzyki delegatów Zwoju i Klucza; telefony od zarządu stowarzyszenia i związanych

z nim absolwentów. Kolejne wrzaski ze strony Michaela Anselma, który przyjechał pociągiem Metro-North i zaproponował, żeby posłużyć się Tygłem Hiramem do naprawy stołu. Dawes i Alex robiły, co w ich mocy, by zetrzeć z siebie sadzę, a potem stawiały czoło Anselmowi w holu wejściowym grobowca Zwoju i Klucza.

– To nie nasza wina – powiedziała Alex, uznawszy, że lepiej od razu przejść do ataku. – Chciałyśmy mieć pewność, że nie otwierali bram ani nie przeprowadzali niesankcjonowanych rytuałów, więc opracowałam czar ujawniający.

Przygotowała dla nich przykrywkę. Nie spodziewała się, że będzie musiała tłumaczyć się z nagłego wybuchu, ale nie miała innej wymówki.

Anselm krążył w tę i z powrotem z komórką w ręce. Słysząc było, jak po drugiej stronie połączenia wrzeszczy absolwent Zwoju i Klucza. Zasłonił telefon ręką.

– Wiedzieliście, że węzeł jest niestabilny. Ktoś mógł zginać.

– Stół jest w dwóch kawałkach! – wrzasnął przez telefon absolwent.

– Cała świątynia jest zniszczona!

– Zorganizujemy sprzątanie. – Anselm znowu zasłonił telefon i szepnął wściekłym tonem: – Il Bastone.

– Nie martw się – powiedziała do Dawes Alex, kiedy minęły grupkę gniewnych Kluczników i zeszły po schodach na chodnik. Robbie Kendall wyglądał, jakby wpadł do komina i zgubił jeden mokasyn. – Anselm będzie obwiniał mnie, nie ciebie. Dawes?

Nie słuchała. Miała wstrząśniętą minę i patrzyła w dal.

Przez to słowa. „Poczekajcie”.

– Dawes, musisz wziąć się w garść. Nie możemy im powiedzieć, co się stało, bez względu na to, jak wielki szok przeżyłaś.

– Dobrze.

Mimo to nie odezwała się ani słowem przez całą drogę do Il Bastone.

Jedno słowo. Głos Darlingtona. Rozpaczliwy, żądający. „Poczekajcie”. Prawie im się udało, prawie do niego dotarli. Tak niewiele brakowało.

On zrobiłby to, jak należy. Jak zawsze.

* * *

Potrzebowały prawie godziny szorowania pietruszką i olejkiem migdałowym, żeby pozbyć się smrodu. Dawes poszła do łazienki Dantego, Alex zaś rozebrała się w pięknym apartamencie Wergiliusza z wanną na łapach.

Ubrania miały zniszczone.

– W tej cholernej robocie powinni dawać nam dodatkowe uposażenie na nowe ubrania – poskarżyła się domowi, kiedy wyciągnęła dres Lete i zeszła do salonu.

Anselm nadal rozmawiał przez telefon. Był młodszy, niż początkowo sobie wyobrażała, tuż po trzydziestce, w miarę przystojny w ten typowy dla korporacji sposób. Uniósł palec, kiedy ją zobaczył, więc poszła poszukać Dawes w kuchni. Pamela wykładała na talerze sałatkę z wędzonego łososia i ogórka, włożyła butelkę białego wina do kubełka z lodem. Alex miała ochotę przewrócić oczami, ale była głodna, a w Lete tak to się załatwiało. Może powinny zaprosić piekielną bestię na kolację na zimno.

Dawes stała przed zlewem pełnym naczyń i mydlin i wyglądała przez okno. Woda się łała. Jej świeżo umyte włosy opadały rozpuszczone. Alex jeszcze nigdy nie widziała ich w takim stanie.

Alex wyciągnęła rękę, żeby zakręcić wodę.

– Wszystko w porządku?

Dawes nie odrywała oczu od okna. Niewiele tam było widać: zaulek, ścianę schludnie utrzymanego domu w wiktoriańskim stylu.

– Dawes? Anselm jeszcze z nami nie skończył, więc...

– Zarząd Lete założył system alarmowy w Black Elm, kiedy... kiedy się zorientował, że dom przez jakiś czas pozostanie pusty. Raptem kilka kamer.

Alex zacisnęła się nieprzyjemnie żołądek.

– Wiem. Przy frontowych i tylnych drzwiach.

Sadow dopilnował, żeby okna pozabijano deskami, a starego mercedesa naprawiono na koszt Lete. Dawes korzystała z niego czasem, załatwiając różne drobiazgi, żeby nie stał nieużywany.

Dawes przycisnęła podbródek do szyi.

– Założyłam jedną w sali balowej.

W sali balowej. Gdzie próbowali przeprowadzić rytuał podczas nowiu.

– No i? – Alex słyszała, Anselma rozmawiającego w salonie, trzask baniek mydlanych w zlewie.

– Coś... Dostałam powiadomienie. – Skinęła głową w stronę telefonu leżącego na kuchennym blacie.

Alex zmusiła się, żeby wziąć telefon, przesunęła palcem po ekranie. Nic, tylko ciemnoniebieski kolor i iskiereki światła tańczące przy brzegach.

– Tylko tyle kamera wychwytuje – wyjaśniła Dawes.

Alex wpatrywała się w ekran, jakby mogła wypatrzeć jakiś wzór w ciemności.

– To mógł być Cosmo. Może przewrócił kamerę.

Kot Darlingtona opierał się wszelkim próbom zabrania go z domu do Il Bastone albo do mieszkania Dawes niedaleko wydziału teologii. Mogły tylko składać mu trybut w postaci jedzenia i wody, w nadziei, że będzie pilnował Black Elm, a stary dom będzie pilnował jego.

– Nie rób sobie nadziei, Dawes.

– Oczywiście.

Oczywiście.

Jednakże Dawes nadal miała przestraszoną minę i Alex wiedziała, o czym myśli.

„Poczekajcie”. Prośba rozległa się za późno, ale może Darlington jakimś cudem wydostał się, zanim przejście w Zwoju i Kluczu się zatrzasnęło? A jeśli jednak im się udało? A jeśli sprowadziły go z powrotem?

A jeżeli całkiem to schrzaniłyśmy? – pomyślała Alex. Może to, co siedzi w Black Elm, w ogóle nie jest Darlingtonem?

– Alex?! – zawołał z sąsiedniego pokoju Anselm. – Proszę na słowo. Tylko ciebie.

Dawes nawet nie drgnęła. Zaciskała ręce na krawędzi zlewu, jakby trzymała się poręczy na kolejce górskiej, jakby miała zaraz wrzasnąć podczas gwałtownego lotu w dół. Czy Alex kiedykolwiek zrozumiała, kim był dla Pameli Dawes Darlington? Dla cichej, zamkniętej Dawes, która opanowała sztukę znikania wśród mebli? Dziewczyny, którą tylko on nazywał „Pammie”?

– Pozbędziemy się Anselma, a potem pojedziemy się rozejrzeć – zapowiedziała Alex.

Mówiła spokojnie, ale serce biło jej gwałtownie.

To nic takiego, powiedziała sobie, idąc do Anselma w salonie. Kot. Bezdomny. Zabłąkana gałąź drzewa. Zabłąkany chłopiec. Musiała myśleć trzeźwo, jeśli ma wymyślić, jak udobruchać Anselma i zarząd Lete.

– Rozmawiałem z nowym Pretorem. Już niechętnie zgadzał się na tę nową pozycję, a wątpię, żeby dzisiejsze poczynania bardziej go zachęciły, więc zrobiłem, co w mojej mocy, żeby umniejszyć tę katastrofę.

Alex miała wrażenie, że nie wypada dziękować, więc milczała.

– Co naprawdę robiliście w Zwoju i Kluczu?

Alex miała nadzieję, że Anselm nie będzie tak bezpośredni. Lete lubiło tańczyć wokół problemu; wszyscy tam byli ekspertami od wynajdywania zakurzonych dywanów, pod które można zamieść

prawdę. Przyjrzała się uważniej Anselmowi – opalony po letnich wakacjach, nieco rozczochrany po wieczornych przygodach. Rozluźnił kołnierzyk, nalał sobie trochę szkockiej. Wyglądał jak aktor grający męczyznę, którego żona właśnie poprosiła o rozwód.

– Poczulem siarkę, jak pewnie wszyscy w promieniu dwóch mil – tłumaczył zmęczonym tonem. – Powiedz mi więc, co poszło nie tak z czarem ujawniającym, że w efekcie mamy wokół siebie taki smród? I zniszczony wielowiekowy stół.

– Sam sobie odpowiedziałeś: węzeł jest niestabilny.

– Ale nie w sposób, który pociąga za sobą ogień i siarkę. – Uniósł szklaneczkę i wyciągnął palec, jakby zamawiał następnego drinka. – Próbowaliście otworzyć przejście do piekła. Chyba wyraziłem się jasno. Daniel Arlington nie...

Alex zastanowiła się. Nie da się zbyć Anselma twierdzeniami, że to wszystko był wypadek albo że czar ujawniający się nie powiódł. Nie zamierzała jednak przyznać, że próbowała odszukać Darlingtona, zwłaszcza gdyby okazało się, że wrócił albo że coś jeszcze gorszego czeka na nie w Black Elm.

– To nie był wypadek – skłamała. – Zrobiłam to celowo.

Anselm zamrugął.

– Zamierzałaś zniszczyć stół?

– Zgadza się. Nie powinno im ująć na sucho to, co zrobili w zeszłym roku.

– Alex, naszym zadaniem jest chronienie, nie karanie – zbeształ ją łagodnie.

Nie oszukuj się. Naszym zadaniem jest pilnować, żeby dzieciaki nie narobiły hałasu i posprzątały po sobie.

– Nie powinni mieć prawa do przeprowadzania rytuałów – odpowiedziała. – To nie w porządku, że wrócili do zwykłej działalności, jak gdyby nigdy nic. – Gniew w jej głosie był prawdziwy.

Anselm westchnął.

- Możliwe, ale ten stół jest bezcenny i mamy szczęście, że tygiel może go naprawić. Doceniam... twoje poczucie sprawiedliwości, ale przynajmniej Dawes powinna mieć więcej rozumu.

- Dawes mi tylko towarzyszyła. Powiedziałam jej, że potrzebuję drugiej osoby do rytuału, ale nie wyjaśniłam, co planuję.

- Nie jest głupia. Nie uwierzę w to nawet przez sekundę. - Anselm przyjrzał się Alex. - Jakim czarem się posłużyłaś?

Egzaminował ją, a ona, jak zwykle, nie przeczytała zadanych lektur.

- Sama to poskładałam. - Anselm się skrzywił. Dobrze. Już uważał ją za niekompetentną. To może podziałać na jej korzyść. - Posłużyłam się starym zaklęciem, które działa jak bomba z cuchnącym gazem, które znalazłam w jednym z *Pamiętników czasów w Lete*. Jakiś gość wykorzystał je do kawałów.

- To był twój cios mający wymierzyć sprawiedliwość? Cuchnący wybuch?

- Wyrwał mi się spod kontroli.

Anselm pokręcił głową i dopił szkocką.

- Poziom głupoty, który tu osiągnęliśmy... Jestem zdumiony, że ktokolwiek przeżył.

- Czyli kontynuuję zaszczytne tradycje.

Anselm nie był ubawiony. Nie przypominał Darlingtona ani nawet Sandowa. Lete i tajemnice tego domu to było po prostu coś, co kiedyś mu się przydarzyło.

- Masz szczęście, że nikt nie zginął. - Odstawił szklanekę i spojrzal jej w oczy. Alex starała się sprawiać wrażenie niewiniątka, ale nie miała w tym dużej wprawy. - Przedstawię pewną teorię. Nie próbowałaś dzisiaj zniszczyć stołu. Próbowalaś otworzyć przejście do piekła, żeby w jakiś sposób dotrzeć do Daniela Arlingtona.

Nie mógł być jednym z tępaków?

- Ciekawa teoria, ale nie to się wydarzyło.

- Tak samo jak twoja teoria, że Darlington przebywa w piekle? To czyste spekulacje?

- Jesteś prawnikiem.

- Owszem.

- Bo gadasz jak prawnik.

- Nie uważam tego porównania za obraźliwe.

- Nie obrażam cię. Gdybym chciała cię obrazić, powiedziałabym, że jesteś dwoma funtami gówna w jednofuntowej torebce. Na przykład. - Alex wiedziała, że powinna zapanować nad gniewem, ale była zmęczona i sfrustrowana. Zarząd dał jasno do zrozumienia, że nie wierzy w jej teorię na temat miejsca pobytu Darlingtona i że nie podejmie żadnych heroicznych kroków, by go uwolnić. Jeśli jednak uraziła Anselma, to nie dał tego po sobie poznać. Wyglądał tylko na wycieńczonego. - Jesteśmy winni Darlingtonowi odrobinę wysiłku. Gdyby nie dziekan Sandow, nie byłoby go na dole.

I gdyby nie ja.

- „Na dole” - powtórzył Anselm w zadumie. - Naprawdę myślisz, że piekło to wielka czeluść pod rurami kanalizacyjnymi? Że jeśli będziesz kopać dostatecznie głęboko, to wreszcie tam dotrzesz?

- Nie to miałam na myśli. - Chociaż dokładnie tak to sobie wyobrażała.

Nieszczególnie przejmowała się kwestiami logistycznymi, z czym może się wiązać otwarcie bramy albo przejście przez Womitorium. To było zadanie Dawes. Alex miała tylko skoczyć na główkę, kiedy Dawes już wymyśli, skąd trzeba skoczyć.

- Nie chcę być okrutny, Alex, ale ty nawet nie ogarniasz skali potencjalnych kłopotów, jakich możesz narobić. I po co? Żeby oczyścić się z poczucia winy? Z powodu teorii, którą ledwie jesteś w stanie wyartykułować?

Darlington wyraziłby ją dostatecznie dobrze, gdyby tu był. Dawes też, gdyby nie bała się odezwać głośniejszym niż szeptem.

– To weź kogoś z odpowiednim résumé, kto cię przekona. Wiem, że on jest... – Prawie powiedziała „tam na dole”. – Że on żyje.

Możliwe, że właśnie odpoczywa wygodnie w sali balowej w Black Elm.

– Straciłaś przyjaciela i mentora. – Spojrzenie Anselma było spokojne, życzliwe. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja to rozumiem. Chcesz jednak otworzyć drzwi, których nie należy otwierać. Nie masz pojęcia, co może przez nie przejść.

Dlaczego oni tego nie rozumieją? Chroń swoich ludzi. Spłacaj długi. Nie można żyć w inny sposób, jeśli chce się żyć przyzwoicie.

Skrzyżowała ręce.

– Jesteśmy mu to winni.

– On przepadł, Alex. Czas się z tym pogodzić. Nawet gdybyś miała rację, to cokolwiek przetrwałoby w piekle, nie byłoby już Darlingtonem, którego znasz. Doceniam twoją lojalność, ale jeśli znowu zaryzykujesz, to ty i Pamela Dawes nie będziecie dłużej mile widziane w Lete.

Podniósł pustą szklankę, jakby się spodziewał, że okaże się pełna, a potem ją odsunął. Skrzyżował ręce. Alex widziała, że zastanawia się, co teraz powiedzieć. Anselm chciał stąd wyjechać, wracać do Nowego Jorku i do swojego życia. Niektórzy ludzie nieśli ze sobą Lete przez resztę życia, zajmowali się szukaniem magicznych przedmiotów albo pisali rozprawy na temat okultyzmu, zamykali się w bibliotekach albo przemierzali świat w poszukiwaniu nowej magii. Ale nie Michael Anselm. On poszedł na prawo, znalazł pracę, która wymagała noszenia garniturów i konkretnych rezultatów. Nie był łagodnym naukowcem w stylu dziekana Sandowa i nie przepełniała go ciekawość i ciekawość Darlingtona. Zbudował sobie zwyczajne życie oparte na pieniądzu i zasadach.

– Rozumiesz mnie, Alex? Nie dostaniesz kolejnej szansy.

Rozumiała. Dawes straci pracę. Alex straci stypendium. To będzie koniec wszystkiego.

- Rozumiem.

- Masz dać mi słowo, że to ostatni raz, że możemy wrócić do normalnej pracy, że będziesz gotowa nadzorować rytuały w każdy czwartkowy wieczór. Wiem, że nie przesłaś takiego treningu, jaki powinnaś, ale masz Dawes i robisz wrażenie... zaradnej młodej kobiety. Zawsze możesz liczyć na Michelle Alameddine, gdybyś poczuła...

- Damy sobie radę. Ja i Dawes.

- Nie będę więcej cię krył. Żadnych więcej kłopotów, Alex.

- Żadnych więcej kłopotów - obiecała Alex. - Możesz mi wierzyć. Duże kłamstwa są równie łatwe jak małe.

Alex myślała, że będą mogły popędzić do Black Elm, kiedy tylko Anselm wyjdzie, ale zostawił je przy telefonie ze swoją asystentką, która wybierała jeden numer po drugim do absolwentów Zwoju i Klucza oraz członków zarządu Lete, żeby Alex i Dawes mogły się im wytłumaczyć i przeprosić ze skrucą. Wielokrotnie.

Alex wyciszyła telefon.

- To nie jest zdrowe. Nie mogę tak długo udawać szczerości, bo mi pęknie żyłka.

- To postaraj się przeproszać uczciwie. - Dawes skrzywiła się i nacisnęła przycisk wyciszający, jakby nadziewała na szpikulec krewetkę. - Pani Sekretarz. Chciałabym porozmawiać o szkodach, jakich narobiłyśmy tego wieczoru...

Dochodziła północ, zanim uwolniły się od łańcucha przeprosin i poszły do starego mercedesa zaparkowanego za Il Bastone. Alex nie była pewna, czy siedzenie w samochodzie Darlingtona było w tej chwili dobre, czy złe. Miała nieprzyjemne uczucie, jakby właśnie po niego jechały, jakby czekał na końcu długiego podjazdu do Black Elm, z torbą na ramieniu i gotowy wskoczyć na tylne siedzenie; jakby mieli potem jechać tak długo, aż samochód padnie albo wyrosną mu skrzydła.

Dawes była w najlepszym razie nerwowym kierowcą, a dzisiaj zachowywała się, jakby się bała, że mercedes stanie w ogniu, jeśli przekroczy czterdzieści mil na godzinę. W końcu dojechały do kamiennych kolumn przy wjeździe do posiadłości.

Las otaczający dom był nieprzenikniony z powodu letniego listowia, więc kiedy dojechały do ceglanych ścian i mansard, wydawało im się, że dom pojawił się zbyt nagle jak nieprzyjemna niespodzianka. W kuchni paliło się światło, ale sterował nim włącznik czasowy.

– Spójrz – powiedziała Dawes ledwie słyszalnym szeptem.

Alex już patrzyła. Okna na piętrze zostały pozabijane deskami po tym, jak dziekan Sandow celowo spaprał rytuał mający sprowadzić Darlingtona do domu. Słabe światło sączyło się spomiędzy desek, łagodne, migoczące i bursztynowe.

Dawes zaparkowała samochód przed garażem. Ścisła kierownicę tak mocno, że pobielały jej knykcie.

– Możliwe, że niczego tam nie znajdziemy.

– No to nie znajdziemy – powiedziała Alex, zadowolona z tego, jak spokojnie zabrzmiał jej głos. – Przestań dusić kierownicę i chodźmy.

Obie cicho zamknęły drzwi samochodu, a Alex zdała sobie sprawę, że boją się zakłócać spokój temu, co może czekać na piętrze. Powietrze było chłodne, pierwsza aluzja końca lata i nadejścia jesieni. Skończą się świetliki, drinki na werandzie i hałasy towarzyszące zabawie w berka przeciągającej się do późnej nocy.

Alex otworzyła kuchenne drzwi, a Dawes prawie krzyknęła, kiedy Cosmo wyskoczył zza szafek i z wrzaskiem wypadł na podwórze, mijając je po drodze.

Alex miała wrażenie, że zaraz serce wyskoczy jej z piersi.

– Ożeż kurwa, ty sierściuchu.

Dawes przycisnęła torbę do piersi, jakby to był talizman.

– Widziałas jego sierść?

Na jednym boku białe futro miał jakby przypalone, czarne. Alex chciała to jakoś wyjaśnić. Cosmo zawsze pakował się w kłopoty, wracał z nową blizną albo cierniami w sierści i biedną, zamordowaną myszą w zębach. Nie mogła jednak zmusić ust do wypowiedzenia choćby słowa.

Zanim wyszły z Il Bastone, zajrzały do zbrojowni Lete w poszukiwaniu soli i zabrały srebrne łańcuchy. Te drobiazgi wydawały się głupie i bezużyteczne, zabawki dla dzieci, babcine przesady.

Dawes zamarała przy kuchennych drzwiach, jakby to była prawdziwa brama do piekła.

- Mogłybyśmy zadzwonić do Michelle albo...

- Do Anselma? Jeśli przywołałyśmy jakiegoś potwora, to rzeczywiście chcesz mu o tym powiedzieć?

- Jest dość cicho jak na potwora.

- Może to olbrzymi wąż.

- Dlaczego musiałas to powiedzieć?

- To nie jest wąż. Może niczego tu nie ma. Albo... to zwarcie elektryczne czy coś takiego.

- Nie czuję dymu.

To skąd się wzięło migotliwe światło?

To bez znaczenia. Gdyby Darlington znalazł się tutaj, gdyby stanął na tym progu, nie zawahałby się. Zachowałby się jak rycerz. Byłby o wiele lepiej przygotowany i wszedłby po schodach. Chroń swoich. Spłacaj długi.

- Idę na górę, Dawes. Ty możesz zostać tutaj. Nie będę ci tego wyrzucać.

Mówiła szczerze, ale Dawes i tak poszła za nią.

Przemknęły przez jasno oświetloną kuchnię i dały nura w ciemność. Alex nigdy nie zaglądała do innych pokoi w Black Elm, kiedy przychodziła nakarmić Cosmo albo odebrać pocztę. Były zbyt ciche, zbyt nieruchome. Miała wrażenie, że wchodzi do zbombardowanego kościoła.

Dawes przystanęła u podnóża szerokich schodów.

- Alex...

- Wiem.

Siarka. Nie tak wyraźna jak w Zwoju i Kluczu, ale nie dało się jej z niczym pomylić.

Zimna kropla potu spłynęła Alex po karku. Mogły zawrócić, postarać się lepiej uzbroić, wezwać pomoc, zadzwonić do Michelle Alamedine i powiedzieć jej, że zagalopowały się i zrobiły coś głupiego. Alex jednak czuła, że nie potrafi się powstrzymać. Była jak kula wystrzelona z działa. Była jak pocisk z pistoletu. Do wystrzału doszło, kiedy Dawes powiedziała jej, że coś zakłóciło spokój w domu. „Chcesz otworzyć drzwi, których nie należy otwierać”. Teraz nie miała już wyboru – musiała iść naprzód.

U szczytu schodów znowu przystanąły. To samo złote światło zamigotało w korytarzu, przesączało się spod zamkniętych drzwi do sali balowej. Alex słyszała, jak Dawes oddycha – wdech przez nos, wydech przez usta. Próbowała się uspokoić, kiedy podchodziły do drzwi. Alex szarpnęła za klamkę i cofnęła rękę z sykiem. Była gorąca.

– Co się stało? – zapytała z drżeniem Dawes.

Alex owinęła rękę koszulą, złapała klamkę i otworzyła drzwi.

Żar uderzył w nie podmuchem, jakby otworzyły drzwi do piekarnika. Nie pachniało siarką; zapach był niemal słodki, jakby paliło się drewno.

Wszędzie leżał kurz, pozabijane deskami okna były jak zwykle smutne, pod ścianami walały się różne ciężarki i sprzęt do ćwiczeń. Nie zwracały sobie głowy ścieraniem kręgu z kredy, który narysowały do nieudanego rytuału Sandowa. Żadna nie chciała wracać do sali balowej, przypominać sobie piekielnej bestii, która wznosiła się nad nimi, okrzyków o morderstwie, potwornego wrażenia nieodwracalności tych wydarzeń.

Teraz Alex cieszyła się, że były takimi tchórzami. Kredowy krąg lśnił złotym blaskiem, wyglądał jak jarząca się ściana, a pośrodku siedział ze skrzyżowanymi nogami Daniel Tabor Arlington V, nagi jak go matka urodziła. Z czoła wyrastały mu dwa zakrzywione rogi, ich krańdzie lśniły jak przetykane płynnym złotem, a ciało miał pokryte

jasnymi znakami. Szeroka złota obroża okalała jego szyję, ozdobiona rzędami granatów i jadeitu.

- Rety - powiedziała Dawes, rozglądając się po sali, jakby się bała zatrzymać wzrok na czymkolwiek, aż wreszcie wbiła spojrzenie w odległy kąt, najbardziej oddalone miejsce od penisa Darlingtona, który był bardzo wyprężony i jarzył się jak przerośnięta świetlówka.

Darlington miał zamknięte oczy, obrócone wnętrzem do góry dłoń nie opierał na kolanach, jakby medytował.

- Darlington? - wykrztusiła w końcu Alex.

Nic. Można było odnieść wrażenie, że żar bucha wprost z niego.

- Daniel?

Dawes zrobiła krok naprzód, szurając stopami po zakurzonej podłodze, jednak Alex zatrzymała ją, wyciągając przed nią rękę.

- Nie - powiedziała. - Nie wiemy nawet, czy to on.

„Cokolwiek przetrwałoby w piekle, nie byłoby już Darlingtonem, którego znasz”.

* * *

- Włosy mu urosły - powiedziała Dawes.

Alex potrzebowała chwili, żeby nadażyć, ale Dawes miała rację. Darlington zawsze dbał o to, by jego włosy wyglądały schludnie, ale nie za schludnie - jego fryzura była równie swobodna jak cała reszta jego osoby. Teraz włosy podwijały mu się wokół szyi. Najwidoczniej w piekle nie mieli fryzjerów.

- Nie... Nie wygląda, jakby stała mu się krzywda - zaryzykowała stwierdzenie Alex. Nie miał blizn, siniaków, kończyny były nietknięte.

Wiedziała jednak, że obie z Dawes myślały o tym samym: kiedy one próbowały rozwiązać zagadkę wejścia do piekła i wiodły własne życie, oglądały telewizję, jadły lody i planowały nowy rok akademicki, Darlington żył i tkwił uwięziony w piekle, może nawet torturowany.

Może Alex nie do końca w to wierzyła? Chociaż mówiła o demonie-dżentelmenie? Mimo wszystkich argumentów, jakie przedstawiła Anselmowi i zarządowi? Czy jakaś część jej osoby myślała, że pozostali mają rację i ta idiotyczna misja to jeszcze jeden jej sposób, by sobie zaszkodzić, uspokoić wyrzuty sumienia z powodu jego śmierci?

A teraz Darlington tu był. Albo ktoś, kto bardzo go przypominał.

- Krąg go wiąże - rzekł Dawes. - To stary czar Sandowa.

„Usłysz ciszę pustego domu. Nikt nie będzie tu mile widziany”. Kiedy Sandow zdał sobie sprawę, że Darlington może żyć po drugiej stronie, wykorzystał ostatnie chwile rytuału, by odciąć go od Black Elm i świata żywych.

Dawes przekrzywiła głowę.

- Myślę, że jest uwięziony. - A potem zachowała się, jakby obudziła się ze snu. Wyglądała prawie jak spanikowana. - Musimy znaleźć sposób, żeby go wydostać.

Alex zerknęła na rogate i nagie stworzenie siedzące w pozycji, którą jej matka pochwalałaby jako doskonałą sukhasanę.

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

Dawes jednak już szła w stronę kręgu. Wyciągnęła rękę.

- Dawes...

Kiedy tylko jej ręka naruszyła krąg, Dawes krzyknęła. Zatoczyła się do tyłu, przyciskając palce do piersi.

Alex rzuciła się do niej, żeby ją odciągnąć. Smród siarki znowu ją przytłoczył, musiała zwalczyć odruch wymiotny. Przykucnęła obok Dawes i zmusiła ją do puszczenia nadgarstka. Dawes miała czarne, przypalone opuszki. Alex przypomniała sobie miauczącego w kuchni Cosmo. On też próbował pokonać krąg. Chciał się dostać do Darlingtona.

- Chodź - powiedziała. - Zabiorę cię do Il Bastone. Musi tam być jakiś eliksir albo balsam czy coś podobnego, nie?

- Nie możemy go zostawić - zaprotestowała Dawes, kiedy Alex pociągnęła ją w górę, żeby wstała.

Darlington siedział w milczeniu i nieruchomo jak jakiś złoty idol.

- On nigdzie się nie wybiera.

- To nasza wina. Gdybym dokończyła rytuał, gdyby przejście...

- Dawes... - Alex nią potrząsnęła. - To tak nie działa. Sandow przysłał piekielną bestię...

W pomieszczeniu rozległ się gniewny pomruk. Darlington się nie poruszył, ale dźwięk niewątpliwie dobywał się z niego. Alex przeszedł dreszcz.

- To mu się chyba nie podoba - szepnęła Dawes.

To ty? - chciała zapytać Alex. Chciała zaryzykować i popędzić prosto przez krag. Zamieniłaby się w stos rozżarzonych węgielków? W słupek soli? Co czekało po drugiej stronie migoczącej zasłony? Darlington? Czy coś, co nosiło jego skórę?

- Chodź - powiedziała, wyprowadzając Dawes z sali balowej. Zeszły na dół.

Nie chciała zostawiać Darlingtona, ale nie chciała też spędzać w tamtej sali ani minuty więcej.

Alex zamykała drzwi kuchenne, kiedy zawibrował jej telefon. Wyjęła go z kieszeni, jednym okiem zerkając na Dawes, a drugim na zabite deskami okna w górze. Zawahała się na widok numeru na ekranie.

- To Turner - powiedziała, popychając Dawes w stronę samochodu.

- Detektyw Turner?

„Zadzwoń”.

Alex skrzywiła się i odpowiedziała:

„Sam zadzwoń. Pamiętasz jeszcze, jak to się robi?”.

Nie wiedziała, skąd ta gorycz. Turner nie odzywał się od miesiący. Rozumiała, że był wściekły po śmierci dziekana, ale myślała, że ją lubi

i że razem przeprowadzili całkiem niezłe śledztwo. Ku jej zaskoczeniu telefon natychmiast zadzwonił. Była pewna, że Turner ją zignoruje. Nie lubił, gdy mu rozkazywano.

Przełączyła detektywa na głośnik.

– Jednak pamiętasz – powiedziała. Pchnęła Dawes na siedzenie pasażera i szepnęła: – Ja będę prowadzić.

Dawes musiała naprawdę cierpieć, bo nie zaprotestowała.

– Mam zwłoki na wydziale medycyny – powiedział Turner.

– Domyślam się, że zwłok tam nie brakuje.

– Potrzebuję, żebyś ty albo ktoś taki przyszedł je obejrzyć.

To też zabolalo. Turner jak mało kto wiedział, ile przeszła w zeszłym roku, ale najwyraźniej dla niego była tylko delegatem Lete.

– Dlaczego?

– Coś mi się tu nie zgadza. Wpadnij, powiedz mi, czy mi się wydaje i możemy znów się do siebie nie odzywać.

Alex nie miała ochoty jechać. Nie chciała być na każde jego zawołanie. On jednak był Centurionem, a ona była Dantem. To znaczy Wergiliuszem.

– Dobrze. Ale będziesz mi dłużny.

– Gównu ci będę dłużny, to twoja robota.

Rozłączył się. Alex miała ochotę dla zasady go wystawić, ale lepiej martwić się zwłokami niż tym, co siedziało w sali balowej w Black Elm. Ruszyła na wstecznym tak szybko, że spod kół trysnęła żwir.

Nie uciekasz z miejsca zbrodni, Stern. Wyluzuj.

Nie pozwoliła sobie zerkać we wsteczne lustro. Nie chciała widzieć migoczącego złotego światła.

Dawes wtuliła się w drzwi po stronie pasażera. Wyglądała, jakby miała zwymiotować.

– Kolejne morderstwo?

– Tego nie powiedział. Po prostu zwłoki.

– Nie... To chyba nie ma związku z tym, co zrobiliśmy?

Do diabła. Alex nawet o tym nie pomyślała. Wydawało się to mało prawdopodobne, ale rytuały wiązały się z różnymi magicznymi zgubnymi skutkami, zwłaszcza jeśli się nie udawały.

- Wątpię - odpowiedziała z większym przekonaniem, niż naprawdę czuła.

- Chcesz, żebym pojechała z tobą?

Po części chciała. Dawes lepiej reprezentowała Lete, niż Alex kiedykolwiek zdoła. Wiedziałyby, czego szukać, co powiedzieć. Tyle że była poraniona - na ciele i na duszy. Potrzebowała chwili, by ponurzać się w poczuciu winy i smutku. Alex знаła to uczucie.

- Nie, jesteś Oculusem. To sprawa dla Dantego.

To we wręcz absurdalnym stopniu uspokoiło Dawes. Nie poddawała się strachowi. Po prostu trzymała się procedur.

Pojechały z otwartymi oknami. Otaczała je chłodna noc. Mogłyby znaleźć się teraz w dowolnym miejscu. Mogłyby być kimkolwiek, wolne od strachu i poczucia obowiązku. Mogłyby jechać w jakieś miłe miejsce. Na wakacje. Wolna noc. Dom gdzieś na wybrzeżu. Darlington mógłby wyciągać się na tylnym siedzeniu z torbą upchniętą pod siedzeniem, rękami złożonymi pod głową. Wszystko byłoby w porządku.

- Czy to był on? - szepnęła w ciemności Dawes.

Nocne powietrze porywało jej słowa, rozrzucało po śpiącymi miejscami, na domy i pola ciągnące się dalej.

Alex nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc włączyła radio i pojechała w stronę kampusu. Czekwała, aż zobaczy światła Il Bastone i powie Dawes, że jest w domu.

Darlington z łatwością poradził sobie z szakalami, co w ogóle mnie nie dziwi. Ma Lete w żyłach. Miło widzieć kogoś, kto rzeczywiście rozkoszuje się wszystkim, co Il

*Bastone może zaoferować. Kiedy wyjaśniłam mu, jak dokładnie działa eliksir Hirama, zacytował mi słowa Yeatsa: „Świat jest pełen magii, cierpliwie czekającej, aż nasze zmysły się wyostrzą”. Nie miałam serca mu powiedzieć, że znam ten cytat i że zawsze go nie cierpiałam. Zbyt łatwo uwierzyć, że obserwuje nas i bada coś nie-
skończenie cierpliwego, podczas gdy my pędzimy nieświadomie ku nieodwracalnej
chwili objawienia.*

Mój nowy Dante jest entuzjastyczny i podejrzewam, że moim głównym zadaniem będzie dopilnować, by ten entuzjazm go nie zabił. Z jaką łatwością mówi o magii, jakby nie była zakazana, jakby nie wiązała się zawsze z potworną ceną.

**Pamiętnik Michelle Alameddine
z czasów w Lete (Hopper College)**

Kiedy już znalazły się w zbrojowni, Dawes zapoznała Alex szczególnie ze środkiem na oparzenia, potrzebnym do jej palców, a jednocześnie przez cały czas upierała się, że nic jej nie jest i chętnie zostanie sama. Alex doskonale widziała, że to nieprawda, ale jeśli Dawes chciała założyć słuchawki i spędzić dwie godziny na udawaniu, że pracuje nad swoją rozprawą doktorską, to Alex nie zamierzała jej przeszkadzać. Zostawiła mercedesa zaparkowanego za Il Bastone, żeby Dawes nie denerwowała się tym, że Alex sama nim jeździ i wezwała samochód, który zawiózł ją na wydział medycyny.

Turner przysłał jej adres. Alex nie znała za dobrze tej części kampusu. Tylko raz była w bibliotece wydziałowej, kiedy Darlington odprowadził ją do piwnicy, do zastawionego słojami pomieszczenia z ładną boazerią. Każde naczynie miało czarną pokrywkę i kwadratową etykietę, w każdym pływał cały ludzki mózg lub jego fragment.

- Prywatna kolekcja Cushinga - wyjaśnił i otworzył jedną z szuflad pod półkami, ukazując rząd maleńkich niemowlęcych czaszek. Włożył nitrylowe rękawiczki i wybrał dwie z myślą o wieszczeniu w połowie kwartału, które chciało przeprowadzić stowarzyszenie Czaszki i Kości.

- Czemu te? - zapytała wtedy Alex.

- Czaszki nie ukształtowały się ostatecznie. Ukazują możliwą przyszłość. Nie martw się, odniesiemy je nietknięte.

- Nie martwię się.

W końcu to były tylko kości. Jednakże nie miała nic przeciwko, żeby Darlington sam zwrócił do kolekcji Cushinga niemowlęce

czaszki.

Budynek pod numerem 300 przy George Street w niczym nie przypominał starej biblioteki z gwiaździstym sufitem. Wydział psychiatrii wypełniał większość kwartału – wielki, szary i nowoczesny budynek. Alex spodziewała się zobaczyć policyjne samochody, taśmę odgradzającą miejsce zbrodni, może nawet reporterów, ale na ulicy panowała cisza. Dodge Turnera stał zaparkowany przed frontem obok ciemnej furgonetki.

Alex stała na chodniku przez długą chwilę. W zeszłym roku błagała Turnera, żeby uwzględnił ją w swoim śledztwie, ale teraz wahała się, myśląc o stworzeniu, które może jest, a może nie jest Darlingtonem i siedzi w złotym kręgu. Już miała dość zmartwień na głowie i zbyt wiele sekretów do dochowania. Nie mogła jeszcze angażować się w sprawę morderstwa. A pewna paranoidalna część jej osoby zastanawiała się, czy to nie jest jakiś wyrafinowany podstęp, czy Turner nie dowiedział się o zadaniach, jakie wykonuje dla Eitana.

Niestety nie miała wyboru: albo wróci do domu, albo rzuci się w ogień, a Alex nie potrafiła tak naprawdę unikać oparzeń. Wysłała wiadomość do Turnera i minutę później frontowe drzwi się otworzyły.

Machnął ręką, żeby weszła do środka. Wyglądał dobrze, ale to było dla niego typowe. Ten facet potrafił się ubrać, a jego spodnie khaki i lekka marynarka były nienagannie wyprasowane.

– Wyglądasz, jakbyś uciekła z poprawczaka – powiedział, kiedy zobaczył ją w dresie Lete.

– Pracuję nad formą. Przybiegłam tutaj.

– Naprawdę?

– Nie. Co jest grane?

Turner pokręcił głową.

– To pewnie zwykła śmierć, która nie ma nic wspólnego z... hokus-pokus, ale po tej błazenadzie, jaką odstawiałaś w zeszłym roku, chciałem usłyszeć opinię eksperta.

- To nie była błazenada, rozwiązałam sprawę, Turner. A ty co osiągnąłeś?

- Już żałuję, że do ciebie zadzwoniłem.

- To jest nas dwoje.

Hol wejściowy był ciemny i cichy, tylko światło lamp ulicznych wpadało tam przez okna. Pojechali windą na drugie piętro, a potem Alex poszła za Turnerem surowym korytarzem jasno oświetlonym świetlówkami. Zobaczyła nosze na kółkach i dwóch mężczyzn w niebieskich wiatrówkach z biura koronera, opartych o ścianę i zajętych telefonami.

Czekali, żeby zabrać ciało.

- Gdzie są wszyscy? - zapytała Alex. Wbrew sobie pomyślała o cyrku wokół morderstwa Tary.

- W tej chwili wygląda to na śmierć z przyczyn naturalnych, więc nie nagłaśniamy sprawy.

Turner skręcił do małego, zabałaganionego biura z wielkim oknem, z którego za dnia pewnie był ładny widok. Teraz okno wyglądało jak połyskliwe, czarne lustro, a odbicie w nim wywołało w Alex nieprzyjemne wrażenie, że znalazła się w innej wersji własnego życia. Odsiedziała swoje w poprawczaku i tylko ślepy traf sprawił, że nie przyskrzyniono jej, odkąd była dorosła. Widząc siebie w smutnym dresie obok Turnera w pięknym garniturze, poczuła się mała. To jej się nie podobało.

- Kto to jest? - spytała.

Kobieta osunęła się na biurko, jakby oparła głowę na wyciągniętej ręce, żeby się zdrzemnąć. Długie, szpakowate i zaplecione w warkocz włosy opadały jej na ramię, okulary zwieszały się z kolorowego łańcuszka na szyi.

- Paliłaś ognisko? - spytał Turner. - Pachniesz jak...

Zawahał się, a Alex wiedziała dlaczego - to nie był do końca zapach dymu.

- To po rytuale - powiedziała, a Turner skrzywił się zgodnie z oczekiwaniem.

Nadal jednak był detektywem.

- To nie czwartek.

- Próbuję podszlifować umiejętności, zanim semestr zacznie się na dobre.

Popatrzył na Alex z taką miną, jakby wiedział, że kłamie, ale nie szkodzi. Nie zamierzała tłumaczyć, dlaczego razem z Dawes próbowały wyrwać Darlingtona z piekła, ze skutkami, które można było opisać tylko jako nieoczekiwane. Turner nie miał nawet pojęcia, że tego próbowały.

- Ktoś ją tu znalazł? - zapytała.

- Nazywała się Marjorie Stephen, była zatrudnionym na etacie profesorem psychiatrii. Pracowała prawie dwadzieścia lat na wydziale, kierowała jednym z laboratoriów. Nocny sprzątacznik znalazł ciało i zadzwonił do mnie.

- Do ciebie? Nie pod 911?

Turner pokręcił głową.

- Znam go z sąsiedztwa, to znajomy mojej matki. Nie chciał mieć kłopotów z glinami.

- Zupełnie jak ja.

Turner uniósł brew.

- To zachowuj się odpowiednio.

Każda przekorna kosteczka w ciele Alex chciała mu powiedzieć, że może się walić.

- Co ja tu robię?

- Popatrz. Miejsce zbrodni to nietrwale miejsce.

Alex nie była pewna, czy ma na to ochotę. Widziała zbyt wiele trupów, odkąd dołączyła do Lete, a to był drugi w ciągu trzech dni.

Obeszła ciało szerokim łukiem, byle dalej od tej zimnej nieobecności.

- Jezu – wyrwało jej się, gdy znalazła się po drugiej stronie. Oczy kobiety były szeroko otwarte, źrenice mlecznoszare. – Od czego to? Od trucizny?

- Jeszcze nie wiemy. Może to nie było nic takiego. Może tętniak, może udar.

- Nie tak to wygląda, gdy dostajesz udaru.

- Fakt – przyznał Turner. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Alex pochyliła się ostrożnie.

- A jest...

- Jeszcze niczego nie czuć. Oceniamy czas śmierci na okres między ósmą a dziesiątą wieczór, ale więcej będzie wiadomo po sekcji zwłok.

Alex próbowała nie okazać ulgi. Jakaś część jej osoby zastanawiała się, czy Dawes miała rację i śmierć mógł spowodować ich rytuał. Wiedziała, że zabłąkana magia potrafi narobić poważnych szkód. Ta kobieta jednak zmarła wiele godzin później.

Trzymała w ręku książkę.

- Biblia? – zapytała zaskoczona Alex.

- Możliwe, że cierpiała i szukała pocieszenia – odpowiedział Turner i dodał niechętnie: – Możliwe też, że specjalnie ją tu położono.

- Serio?

- Przyjrzyj się.

Ręka Marjorie Stephen zacisnęła się na książce, jeden palec był wsunięty między kartki, jakby chciała zaznaczyć miejsce, kiedy kładła się, żeby umrzeć.

- Gdzie skończyła czytać?

Turner odgarnął kartki dłonią w rękawiczce. Alex zmusiła się do tego, by pochylić się bardziej.

- Księga Sędziów?

- Znasz Biblię? – spytał Turner.

- A ty?

- Dostatecznie.
- To część policyjnego szkolenia?
- To sześć lat szkółki niedzielnej, kiedy mogłem grać w baseball.
- A byłeś dobry?
- Nie, ale w Piśmie Świętym też nie byłem.
- To czego tu nie widzę?
- Sam nie wiem. Księga Sędziów jest nudna jak diabli. Lista imion,

niewiele poza tym.

- Wyciągnąłeś nagrania z kamer ochrony czy coś podobnego?
- Owszem. O tej porze w budynku było mnóstwo ludzi, ale musimy przejrzeć nagrania z holu, żeby sprawdzić, czy był tu ktoś, kto nie powinien. - Popukał palcem w rękawiczkę w kalendarz na biurku. W sobotę, kiedy Marjorie Stephen zmarła, ona sama lub ktoś inny napisał: „Ukryj wygnańców”. - Coś ci to mówi?

Alex zawahała się, a potem pokręciła głową.

- Może. Chyba nie.
- To też z Biblii.
- Z Księgi Sędziów?
- Z Księgi Izajasza. Zniszczenie Moabu.

Turner przyglądał jej się uważnie, żeby się przekonać, czy z czymś to jej się skojarzy. Alex miała nieodparte wrażenie, że go rozczarowuje.

- A co z rodziną pani profesor? - spytała.
- Poinformowaliśmy męża. Porozmawiamy z nim jutro. Trójka dzieci, wszystkie dorosłe. Przyjadą albo przyłecą.
- Wspomniał, że była religijna?
- Według niego najbliższym odpowiednikiem chodzenia do kościoła była u niej coniedzielna joga.

- Ta Biblia sugeruje coś innego. - Alex potrafiła rozpoznać ukochaną książkę z popękany grzbietem, z oślimi uszami i zaznaczonymi fragmentami.

Teraz usta Turnera drgnęły w uśmiechu.

– Owszem, ale przyjrzyj się lepiej. Przyjrzyj się profesor.

Alex nie chciała. Nadal w głowie jej się kręciło od tego, co widziała w Black Elm, a teraz Turner poddawał ją próbie. Wtedy jednak coś zauważyła.

– Jej pierścionki są luźne.

– Owszem. Przyjrzyj się jej twarzy.

Alex za żadne skarby nie spojrzy w te mleczone oczy.

– Wygląda jak martwa kobieta.

– Wygląda jak osiemdziesięcioletnia martwa kobieta. Marjorie Stephen dopiero co skończyła pięćdziesiąt pięć lat.

Alex zacisnął się żołądek, jakby źle postawiła stopę. To dlatego Turner uznał, że stowarzyszenia maczały w tym palce.

– Nie chorowała – dodał. – Ta pani lubiła się wspinać na East Rock i Sleeping Giant. Biegała każdego ranka. Rozmawialiśmy z dwiema osobami z gabinetów przy tym korytarzu, które widziały ją dzisiaj. Powiedziały, że wyglądała normalnie, okaz zdrowia. A potem pokazałem im zdjęcia ciała i ledwie ją poznali.

To załatwywało upiornością. Tylko po co ta Biblia? Stowarzyszenia nie należały do tych organizacji, które cytują Pismo Święte. Sięgały po zdecydowanie mniej znane i bardziej tajemnicze księgi.

– Sama nie wiem – powiedziała. – To nie składa się w całość.

Turner potarł podgolony kark.

– Dobrze, więc powiedz mi, że mam paranoję.

Alex miała ochotę to zrobić, ale coś tu było nie tak, coś więcej niż kobieta, która umarła samotnie z Biblią w rękę. Coś się czaiło w tych mlecznoszarych oczach.

– Mogę poszperać w bibliotece Lete, ale będę potrzebowała czegoś w zamian.

– To tak nie działa, Dante.

- Teraz jestem Wergiliuszem - odpowiedziała, chociaż to mogło nie potrwać zbyt długo. - A nasza współpraca działa tak, jak powie Lete.

- Zmieniłaś się, Stern.

- Obcięłam włosy.

- Nie, nie obcięłaś. Coś jest z tobą nie tak.

- Mogę ci wypisać całą listę.

Wyprowadził ją na korytarz i machnął na ludzi z biura koronera, żeby weszli do gabinetu, gdzie umieszczą ciało Marjorie w worku na suwak i wywożą na noszach. Alex zastanawiała się, czy zamkną jej najpierw oczy.

- Powiedz mi, co znajdziesz w bibliotece - powiedział Turner, gdy stanęli przy windzie.

- Przyślij mi raport toksykologiczny - odpowiedziała Alex. - Tak najłatwiej znajdziemy powiązanie ze stowarzyszeniami. Masz jednak rację. To pewnie nic takiego i tylko zmarnowałeś mi noc.

Zanim drzwi się zamknęły, Turner wsunął rękę. Rozsunęły się przy dźwięku dzwonka.

- Już wiem - powiedział. - Zawsze wyglądałaś, jakby gończyły cię kłopoty.

Alex wcisnęła guzik, żeby zamknąć drzwi.

- No i?

- A teraz wyglądasz, jakby cię dogoniły.

9.

ZESZŁE LATO

Alex wylądowała w Los Angeles o dziewiątej rano w niedzielę. Michael Anselm i Lete wykosztowali się na pierwszą klasę, więc zamówiła sobie dwie darmowe whisky, żeby usnąć i przespać lot. Śniła jej się ostatnia noc w Strefie Zero, leżąca obok niej zimna Hellie, faktura kija baseballowego, który ścisnęła w ręce. Tym razem Len odezwał się, zanim wzięła pierwszy zamach.

„Niektóre drzwi nie pozostają zamknięte, Alex”.

A potem przestał mówić.

Obudziła się złana potem. Słońce Los Angeles prażyło przez mętne szkło samolotowego okna.

Było za gorąco na bluzę z kapturem, ale na wypadek gdyby Eitan obserwował przyloty, włożyła ją, zapięła pod szyję i pojechała tak-sówką pod 7-Eleven obok mieszkania matki. Musiała zapłacić prawie sto dolarów. Miasto było mgliste i ponure, żółtoszare jak żółtko z jajka, które za długo gotowano.

Kupiła sobie mrożoną kawę i paczkę doritos i usadowiła się pół kwartału od mieszkania. Chciała zobaczyć matkę, upewnić się, że nic jej nie jest. Zastanawiała się, czy nie zapukać po prostu do drzwi, ale Mira spanikowałaby, gdyby Alex pojawiła się bez uprzedzenia. I jak Alex by wyjaśniła, skąd wzięła pieniądze na samolot?

Serce jej się zacisnęło, gdy zobaczyła przyjaciółkę mamy, Andreę przy domofonie. Minutę później wyszła Mira w spodniach do jogi, przydużym T-shircie z rysunkiem przedstawiającym zdobną chamse

i z torbami na zakupy przerzuconymi przez ramię. Odeszły, wymachując rękami i sadząc długie kroki w szybkim marszu. Alex szła przez chwilę za nimi. Wiedziała, że idą na farmerski targ, gdzie kupią bulion na kościach, spirulinę albo kielki lucerny z ekologicznej uprawy. Matka skrzyła się złością, wyglądała na szczęśliwą. Miała świeże rozjaśnione pasemka we włosach, opalone ręce. Wyglądała jak ktoś obcy. Mira, którą znała Alex, żyła w ciągłym niepokoju o swoją gniewną szaloną córkę. A córka tej kobiety studiowała na Yale. Znalazła pracę na lato. Przesyłała jej zdjęcia koleżanek z akademika, wiosennych kwiatów i misek z makaronem.

Alex usiadła na ławce na skraju parku i patrzyła, jak matka i Andrea znikają w białych namiotach targu. Nie mogła nabrać powietrza i zbierało jej się na płacz, miała ochotę w coś przywalić. Mira była beznadziejną matką, zbyt pogrążoną we własnych burzach, żeby stanowić oparcie. Przez pewien czas Alex jej nienawidziła i może jakaś jej cząstka nadal żywiła to uczucie. Nie urodziła się z darem matki zapominania i wybaczenia. Nie miała złocistych włosów jak Mira i łagodnych niebieskich oczu, jej miłości dla pokoju na świecie, regałów zastawionych poradnikami, jak być życzliwszym, bardziej empatycznym, łagodniejszym stworzeniem, siłą czyniącą dobro. Brutalna prawda była taka, że gdyby potrafiła przestać kochać matkę, zrobiłaby to. Pozwoliłaby Eitanowi na jego groźby i na zawsze pozostała w ukryciu. Nie mogła jednak pozbyć się nawyku kochania Miry, nie potrafiła oddzielić tęsknoty za matką, jaką mogłaby mieć, od chęci chronienia tej, którą miała.

Zadzwoniła do Eitana. Nie odebrał, ale minutę później dostała wiadomość.

„Przyjdź wieczorem po 10”.

„Mogę wpaść teraz”.

To było bezpieczniejsze niż napisanie „Mówiłeś o lunchu, ty kłamliwy dupku”.

Minuty się przeciągały. Zero reakcji. I żadnej nie będzie. Król robił to, co chciał. Jeśli jednak chciał ją zabić, to nie miał powodu czekać aż do zmroku. To było prawie uspokajające. Zatem o co mu szło? To była jakaś pułapka? Chciał wyciągnąć od niej informacje na temat śmierci Lena albo jego kuzyna? Alex musiała wierzyć, że zdoła się z tego wykręcić. Eitan uważał ją za narkomankę, żart, i dopóki nie traktował jej poważnie, była bezpieczna.

Alex siedziała i jeszcze przez jakiś czas obserwowała targ, a potem wskoczyła do autobusu jadącego na Ventura Boulevard. Powiedziała sobie, że tylko zabija czas, ale mimo to wysiadła na swoim starym przystanku i przeszła starą trasą do Strefy Zero. Dlaczego? Nie wracała tu, odkąd zabrano ją z mieszkania w karetce, i nie była pewna, czy jest gotowa zobaczyć paskudny blok z poplamionym tynkiem i smętnymi balkonami bez żadnych widoków.

Jednak blok przepadł, nie zostało po nim śladu, tylko wielka dziura w ziemi i mnóstwo wznoszących się w górę prętów zbrojeniowych otoczonych ogrodzeniem z siatki. Postawią tu coś nowego.

To miało sens. Nikt nie chciał wynająć mieszkania w bloku, w którym zamordowano kilka osób. Tej zbrodni do tej pory nie wyjaśniono. I nikt nie postawi tu pomnika ani nawet jednego z tych rachitycznych białych krzyży w otoczeniu tanich kwiatków, pluszowych zwierzątek i ręcznie wypisanych liścików. Nikt nie dbał o ludzi, którzy tu zginęli. Przestępców. Dilerów. Frajerów.

Alex żałowała, że nie przyniosła niczego ładnego dla Hellie, róży albo chociaż beznadziejnego goździka, jakie sprzedawano w spożywczym. Albo karty ze starej talii tarota Hellie. Gwiazdy. Słońca. Hellie była jednym i drugim.

Co spodziewała się tu znaleźć? Szarego straszącego w tym łagodnym miejscu? Nie. Gdyby Hellie wróciła zza Zasłony, poszłaby nad ocean, na deptak, przyciągnęłyby ją ulepkowe lodowe rożki, stukot deskorolek, słodkie obłoki żaru buchające z wielkich garów z prażoną kukurydzą, całujące się pary w salonach tatuaży, surferzy rzucający

wyzwanie oceanowi. Alex kusilo, żeby pójść jej poszukać, spędzić popołudnie w Venice, gdzie serce by jej mocniej biło na widok każdej blondynki. To byłaby jakaś pokuta.

- Powinnam była znaleźć sposób, żeby uratować nas obie - powiedziała nie wiadomo do kogo.

Stała i pociła się w słońcu tak długo, jak była w stanie, a potem wróciła na przystanek autobusowy. Całe miasto było dla niej jak cmentarz.

* * *

Pozostałe godziny Alex spędziła w Getty Center, patrzyła na słońce przez smog, zjadła górę czekoladowych ciastek w kawiarni. Zmusiła się do spaceru po galeriach, bo czuła, że powinna. Wystawiono prace Gérôme'a. Nigdy o nim nie słyszała, ale czytała wydrukowane etykiety obok każdego obrazu i przez długi czas stała przed *Cierpieniem paszy*, przyglądając się ciału tygrysa ułożonemu na posłaniu z kwiatów i myśląc o dziurze w miejscu Strefy Zero.

Niewiele przed dziesiątą zamówiła samochód, który zawiózł ją do domu Eitana przy Mulholland. Widziała w dole ruch na autostradzie 405, czerwone krwinki, białe krwinki, powódź maleńkich światełek. Może umrzeć tu tego wieczoru i nikt się o tym nie dowie.

- Chce pani, żebym zaczekał? - zapytał kierowca, kiedy dojechali do bramy z ochroną.

- Poradzę sobie.

Może jeśli powtórzę to zdanie x razy, stanie się to prawdą.

Zastanawiała się, czy nie przeskoczyć po prostu przez ogrodzenie, ale Eitan trzymał psy. Rozważała, czy nie wysłać wiadomości do Dawes, żeby ktoś wiedział, gdzie jest, ale jaki to miało sens? Czy Dawes ją pomści? Czy Turner pociągnie za parę sznurków, żeby ktoś zajął się jej sprawą, sprowadził Eitana na przesłuchanie razem z jednym z jego kosztownych prawników?

Alex już miała nacisnąć przycisk domofonu, kiedy brama zaczęła otwierać się na zawiasach, które nawet nie skrzypnęły. Podniosła wzrok i pomachała do kamery umocowanej na ścianie. „Jestem niegroźna. Jestem nikim i nie warto zwracać sobie mną głowy”.

Poszła szeroką ścieżką, żwir zgrzytał pod jej tenisówkami. Słyszała szum autostrady daleko w dole. To był szum twojej własnej krwi płynącej przez żyły, kiedy zasłonisz uszy rękami. Oliwkowe drzewa rosły wzdłuż ścieżki, a na kolistym podjeździe stało sześć samochodów. Bentley, range rover, lamborghini, dwa chevrolety suburbans i jaskrawożółty mercedes.

W domu paliły się światła, okna jarzyły się jak sztabki złota, basen przypominał jasny kawałek turkus. Dostrzegła parę osób zebranych wokół wody. Mężczyźni o starannie ułożonych włosach, w koszulach wypuszczonych na drogie džinsy; smukłe kobiety o gracji tancerek, które wyglądały, jakby wylano je z jakiejś drogiej butelki, ubrane w bikini i strzępki jedwabiu, powiewające wokół nich, gdy szły. Widziała za nimi Szarą w seksownej sukience z cekinami i z wycienionymi włosami; przyciągnął ją nagły dreszczyk ekscytacji związany z kokainą albo ketaminą, puls żądz, jaki zawsze otaczał ten dom, bez względu na to, czy zjawilo się tam dwadzieścia osób czy dwieście. Alex bywała tylko na dużych imprezach u Eitana, hałaśliwych, niechlujnych, wypełnionych dudniącym basem, od których dygotało całe wzgórze, z półnagimi ciałami w basenie i skrzynkami izraelskiej wódki. Ona i Hellie szły za Lenem, który nieodmiennie za każdym razem wykrzykiwał, jakby nigdy dotąd nie był w tym miejscu: „To jest to. Właśnie kawałek czegoś takiego musimy dorwać. Do cholery. Eitan nie jest aż tak bystry. Po prostu trafił we właściwe miejsce we właściwym czasie”.

Tyle że Eitan był bystry. Dostatecznie bystry, żeby nie powierzyć Lenowi większej ilości towaru. Dość bystry, by wiedzieć, że z Alex jest coś nie tak.

Rozejrzała się po gościach nad basem i zaczęła się zastanawiać, czy powinna była ubrać się ładniej, nie z powodu zaproszenia, ale by okazać szacunek. Teraz już było na to za późno.

- Cześć, Tzvi - powiedziała do ochroniarza przy drzwiach.

Mężczyzna nie był zbudowany jak typowy ochroniarz. Był wysoki, ale żyłasty, krążyły plotki, że kiedyś pracował w Mossadzie. Alex tylko raz widziała go w akcji, kiedy jakiś hałaśliwy gość wystrzelił z broni podczas imprezy. Tzvi chwycił broń, a gościa wyekspediował za drzwi, podczas gdy dźwięk wystrzału wciąż jeszcze rykoszetował od wzgórze. Potem dowiedziała się, że złamał facetowi rękę w dwóch miejscach.

Tzvi skinął podbródkiem i dał znać, żeby podniosła rękę. Zniosła oklepywanie, szybkie i wprawne, bez łapania za cycki ani powolnego obłapiania, jakie zdarzało się w przypadku innych pracowników Eitana, a potem weszła za ochroniarzem do wnętrza domu. Siedziba Eitana to były marmurowe posadzki, żyrandole, wysokie sufity, od których każdy dźwięk odbijał się echem. Rzeczy, które kiedyś oznaczały dla Alex bogactwo, luksus, skarbiec pełen kosztownych i pożądanymi przedmiotów. Jednakże Yale zrobiło z niej snoba. Teraz złoto, wbudowane światła, pożyczkowy marmur wydawały się tylko pretensjonalne i prostackie. Zdradzały nuworysza.

Eitan siedział na wielkiej białej skórzanej kanapie, muzyka R&B sączyła się z zewnątrz przez ogromne szklane drzwi.

- Alex! - zawołał ciepło. - Zaskoczyłaś mnie. Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

- A dlaczego miałabym nie przyjść?

Niegroźny, prosty króliczek, którego nie warto nawet łapać.

Roześmiał się.

- Fakt, fakt. Wątpię, żebyś wołała, żeby sam po ciebie przyszedł. Zjesz coś? Napijesz się?

Zawsze.

- Nie, dzięki.

- Alex, trzeba jeść dla zdrowia - zbesztął ją jak czuła babcia.

Do cholery. Alex, którą chciała, żeby Eitan w niej widział, nie miała powodu, by się denerwować. Niczego nie ukrywała.

- Pewnie, dzięki.

- Zawsze jesteś uprzejma. Nie to co Len. Alitza upiekła placek. - Machnął na kolejnego uzbrojonego mężczyznę, który zniknął w kuchni.

- Jak się ma Alitza?

To była kucharka Eitana, która sprawiała wrażenie, jakby nie pochwałała niczego, co dzieje się w tym domu.

Eitan wzruszył ramionami.

- Wiecznie narzeka. Kupuję jej... Jak to się nazywa? Rocznią wejściówkę do Disneylandów. Teraz chodzi co tydzień.

Ochroniarz wrócił z wielkim kawałkiem wiśniowego placaka z gałką waniliowych lodów.

Przez szklane drzwi Alex widziała błyszczącą Szarą w seksownej sukience, jak wiruje na parkiecie z rękami uniesionymi nad głową, przyciskając widmowe ciało do niczego nieświadomych gości.

Alex zmusiła się do zjedzenia kęsa placaka.

- Jezu - mruknęła z pełnymi ustami. - To chyba najlepsza rzecz, jaką w życiu jadłam.

- Wiem - powiedział Eitan. - Dlatego ją trzymam.

Przez chwilę Eitan obserwował, jak Alex je. Kiedy cisza się przeciągała, Alex odstawiła talerz na duży szklany niski stolik i otarła usta.

- Myślałem, że do tej pory nie będziesz już żyła - rzucił Eitan.

To było rozsądne przypuszczenie.

- Myślałem, że umrzesz z przedawkowania - mówił. - Albo może poznasz następnego niewłaściwego chłopaka?

To rzeczywiście brzmiało przekonująco.

- Fakt, poznałam kogoś. Jest miły. Przeprowadzimy się na Wschodnie Wybrzeże.

- Do Nowego Jorku?

- Zobaczymy.

- Bardzo drogie miasto. Nawet Queens jest teraz drogie. Nigdy nie znalazłem człowieka, który zabił Ariela. Nie słyszałem nawet jednego szeptu. Takie noce jak tamta nie przydarzają się bez ani jednej plotki. Słucham. Każę słuchać wszystkim ludziom. I nic.

- Przykro mi to słyszeć.

Eitan znowu wzruszył ramionami.

- To dziwne, wiesz? Bo to nie jest czysta robota. To jest paskudna robota. Amatorska. Tacy ludzie nie potrafią zacierać za sobą śladów.

- Nie wiem, co wydarzyło się tamtej nocy - powiedziała Alex. - Gdybym wiedziała, nie chroniłabym ludzi, którzy zabili moich przyjaciół.

- Len był twoim przyjacielem?

To pytanie ją zaskoczyło.

- Coś w tym stylu.

- Wątpię. - Eitan wskazał podwórze. - To nie są moi przyjaciele. Lubią moje jedzenie, mój dom, moje narkotyki. Wampiry. Wiesz, jak z piosenki Toma Petty'ego.

- Pewnie.

- Uwielbiam tę piosenkę. - Dotknął kilka przycisków na telefonie i pokój wypełniły dźwięki gitary. - Tzvi przewrócił oczami. - Alex obejrzała się przez ramię na ochroniarza o kamiennej twarzy. - Uważa, że potrzebuję nowej muzyki. Ale ta mi się podoba. Wątpię, by Len był twoim przyjacielem.

Alex spędziła wiele lat z Lenem, żyła z nim, spała z nim, załatwiała dla niego różne sprawy, rozprowadzała dla niego prochy. Kradła dla niego, pieprzyła się z obcymi facetami dla niego. Dawała mu się posuwać, nawet kiedy nie miała na to ochoty. Ani razu z nim nie doszła, ale czasem ją rozśmieszał, co mogło być nawet więcej warte. Cieszyła się, że nie żyje, i nigdy nie zadała sobie trudu, by się dowiedzieć, gdzie go

pochowano ani czy jego rodzice zjawili się, żeby odebrać ciało. Nie czuła wyrzutów sumienia, żalu – nic z tego, co powinna czuć w obliczu śmierci przyjaciela.

– Możliwe – zgodziła się Alex.

– Dobrze – powiedział Eitan, jakby był terapeutą i właśnie doszli do jakiegoś przełomu. – Problem z policją polega na tym, że oni patrzą... – Uniósł rękę przed twarz. – Tylko tu. Tylko na to, czego można się spodziewać. Sprawdzili więc kamery uliczne, szukali samochodów. Kto poszedłby piechotą, żeby popełnić takie przestępstwo? – Poruszał palcami w tę i z powrotem, jakby człowieczek bez głowy spacerował w pustce. – Piechotą. To kompletna głupota. Istnieje jednak coś takiego jak mądry głupiec.

*Sophomore*². Greckie *sophos* oznacza mądry, a *moros* oznacza głupca. Kiedyś jeden z jej profesorów zażartował w ten sposób. Alex milczała.

– Więc pomyślałem sobie: czemu nie sprawdzić? Co to zaszkodzi?

To może całkiem mocno zaszkodzić, pomyślała Alex. Czy Eitan wiedział, że zabiła Ariela? Naprawdę ściągnął ją tutaj, żeby wyrównać rachunki? Czy właśnie jak skończony osioł weszła mu prosto w łapy?

– Znasz lombard przy Vanowen?

Alex знаła to miejsce. Zastawiła tam kielich kiduszowy swojego dziadka, kiedy rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy.

– Mają tam kamerę, która przez cały czas nagrywa ruch na chodniku przed lokalem – powiedział Eitan. – Nie sprawdzają nagrań, jeśli nie ma żadnych kłopotów. Ja jednak miałem kłopot. Ariel miał kłopoty. Więc sprawdziłem nagrania.

Podsunał telefon. Alex wiedziała, co tam zobaczy, ale i tak wzięła aparat.

Chodnik był zielonkawy, ulica niemal całkiem pusta i czarna jak rzeka. Dziewczyzna przeszła przez ekran. Miała na sobie tylko koszulkę na ramiączka i bieliznę. Ścisnęła coś w rękach. Alex wiedziała, że to

połamane szczątki drewnianego kija baseballowego Lena. Tego, którym zabiła jego, Betchę, Corkera i Cama. Oraz kuzyna Eitana – Ariela.

Przesunęła palcami po ekranie, żeby cofnąć nagranie. Czuła, że Eitan ją obserwuje, ocenia, jednak Alex nie potrafiła przestać wpatrywać się w dziewczynę na ekranie. Wydawała się zbyt jasna, jakby się jarzyła, jej oczy były dziwnymi, zielonymi światłami w kamerze na podczerwień. Hellie była tam ze mną, pomyślała. Była we mnie. Tej ostatniej nocy Hellie dodała jej siły, pomogła jej pozbyć się dowodów, umyć się w rzece Los Angeles. Hellie chroniła ją do samego końca.

– Mała dziewczynka – powiedział Eitan. – Tyle krwi.

Nie było sensu zaprzeczać, że to nie ona jest na nagraniu.

– Byłam nawalona. Nie pamiętam...

Nie wypowiedziała ostatniego słowa. Umięśniona ręka zacisnęła się na jej gardle, odcinając dopływ powietrza. Tzvi.

Alex próbowała oderwać tę rękę, orała paznokciami skórę ochroniarza. Poczowała, że uniósł ją z kanapy. Wymachiwała nogami w powietrzu, nie mogąc nawet krzyknąć. Widziała Eitana na białych poduszkach, obserwującego ją ze spokojnym zainteresowaniem, gości za oknem zebranych wokół basenu i niczego nieświadomych. Martwa dziewczyna w cekinach nadal tańczyła.

Alex nie zastanawiała się. Wyciągnęła rękę, sięgając umysłem po Szarą, żądając jej siły. Usta napełniły jej się smakiem papierosów i wiśniowego błyszczczyka, gardło ją swędziało, jakby właśnie wciągnęła dym. Czuła zapach perfum i potu. Wypełniła ją moc.

Złapała rękę Tzwiego i ścisnęła. Stęknął zaskoczony. Czuła jego kości pod dłonią. Wypuścił ją i Alex padła na kanapę. Podniosła się, złapała dużą rzeźbę ze stolika, zamachnęła się. On jednak był szybki, a bez względu na wypełniającą ją siłę, ona nie była wytrenowana w walce. Dysponowała tylko prymitywną siłą. Z łatwością uchylił się przed jej ciosem, rzeźba uderzyła w ścianę z taką mocą, że się przez nią przebiła. Pięść Tzwiego trafiła Alex w brzuch i uszło z niej całe

powietrze. Osunęła się na kolano, złapała ochroniarza za nogę i wykorzystując siłę Szarej, zwała go na ziemię.

- Dość, dość! - krzyknął Eitan, klaszcząc.

Tzvi natychmiast się cofnął, unoszące ręce, jakby uspokajał dzikie zwierzę. Mrużył oczy. Alex kucała na podłodze, gotowa uciekać, z trudem łapała oddech. Widziała ślady swoich palców na jego przedramieniu, już wykwiwały tam siniaki.

Eitan nadal siedział na kanapie, ale teraz się uśmiechał.

- Kiedy zobaczyłem, co się stało z Arielem, pomyślałem, że to niemożliwe. Ta mała dziewczynka nie mogła narobić takich szkód.

I Alex zrozumiała, że popełniła potworny błąd. Eitan nie ściągnął jej po to, by ją zabić. Wtedy Tzvi posłużyłby się nożem albo garotą, a nie rękami. Zaatakowałby ją tak, żeby zabić, a nie przyłożyłby jej w brzuch.

- Zatem teraz już wiem więcej - powiedział Eitan. - My dwoje mamy rachunki do wyrównania, Alex Stern.

To wszystko było grą. Nie, to było przesłuchanie do roli. Alex szukała pułapki, ale nie dostrzegła tej, która na nią czekała. Weszła prosto w nią. Mądry głupiec.

10.

PAŹDZIERNIK

Alex wróciła z miejsca przestępstwa do akademika samochodem, chociaż odległość była niewielka. Pewnie powinna się przespacerować, ale okolica wydziału medycznego nie należała do bezpiecznych, a ona była zbyt zmęczona, żeby wdawać się w bójki.

Zanim się umyła i poszła do łóżka, była już trzecia nad ranem. Mercy spała jak suseł. Alex cieszyła się, że nie musi odpowiadać na żadne pytania. Zasnęła i śniło jej się, że wchodzi po schodach w Black Elm. Weszła do sali balowej, minęła barierę złotego kręgu – ciepło było przyjemne, jakby weszła do gorącej kąpieli. Czekał na nią Darlington.

Alex nie pamiętała, kiedy się obudziła. W jednej chwili spała i stała w ochronnym kręgu z Darlingtonem, a w następnej była sama pod jesiennym niebem przy drzwiach do Black Elm. W pierwszej chwili myślała, że nadal śni. W domu było ciemno, jeśli pominąć złote światło przesączające się przez zabite deskami okna na pierwszym piętrze. Słyszała wiatr w drzewach potrząsający liśćmi, ostrzegawczy szept: „Lato się kończy, lato się kończy”.

Spojrzała pod nogi. Miała stopy uwalane błotem i krwią.

Jestem tutaj czy śnię? Wróciła do akademika po wyjściu od Turnera z wydziału psychiatrii, umyła zęby, położyła się. Może nadal leżała w łóżku?

Tyle że bolały ją stopy. Na rękach wyskoczyła jej gęsia skórka. Miała na sobie tylko szorty i koszulkę, w której spała.

Naprawdę oprzytomniała. Marzła, była sama, w ciemności. Przyszła tu piechotą. Boso. Bez telefonu. Bez pieniędzy.

Nigdy w życiu nie lunatykowała.

Alex położyła rękę na kuchennych drzwiach. Widziała swoje odbicie w szybie – białe jak kości na tle ciemności. Nie chciała tam wchodzić. Nie chciała wchodzić po schodach. To było kłamstwo. Czuła, jak sen ją wciąga. Stała z Darlingtonem w złotym kręgu. Chciała tam być teraz.

Spojrzała w okna. Darlington wiedział, że się tu znalazła? Chciał, żeby tu była?

– Na miłość boską – powiedziała, a jej głos zabrzmiał zbyt głośno i zamarł zbyt szybko w lesie otaczającym dom, jakby żaden dźwięk nie mógł się stąd ponieść w świat.

Musiała wracać do akademika. Mogłaby poszukać Szarego, żeby go przyzwać i wykorzystać jego siłę, wrócić do domu piechotą, ale stopy już miała obolałe jak diabli. Poza tym po incydencie w domu Majstra nie była pewna, czy chce zapraszać kolejnego Szarego. Mogłaby pokuśtykać na stację benzynową. Albo stłuc szybę, żeby zadzwonić z telefonu stacjonarnego do Dawes. Pod warunkiem, że go już nie odłączono.

A potem przypomniała sobie o kamerach. Dawes dostanie powiadomienie, że ktoś stoi przy drzwiach. Pomachała szaleńczo przed dzwonkiem do drzwi, czując się jak idiotka.

– Dawes, jesteś tam? – zapytała.

– Alex?

Oparła głowę o chłodny kamień. Nigdy w życiu nie ucieszyła się tak bardzo na dźwięk głosu Dawes.

– Chyba lunatykowałam. Możesz po mnie przyjechać?

– Poszłaś piechotą do Black Elm?

– Wiem. Jestem pólnaga i odmrażam sobie tyłek.

– Pod doniczką z hortensją leży klucz. Wejdz i się rozgrzej. Przyjadę najszybciej, jak zdołam.

– W porządku. Dzięki.

Przechyliła donicę, wzięła klucz. A potem stała w jadalni.

Nie pamiętała, żeby przeszła przez drzwi i kuchnię. Nie pamiętała, żeby włączyła światło. Stół w jadalni przykryto starym prześcierałem, w ochronie przed kurzem. Zerwała je i owinęła się nim, żeby chociaż trochę mniej marznąć.

Poczekaj na Dawes, powiedziała sobie. Miała zamiar to zrobić, ale z drugiej strony tak samo zamierzała wcześniej zostać w kuchni przy piecu.

Czuła się tak, jakby nadal spała, nadal śniła, jakby nie było żadnego klucza, żadnej rozmowy z Dawes. Jej stopy chciały się poruszyć. Dom otworzył się przed nią, ponieważ on czekał.

Niech cię diabli, Darlington. Alex chwyciła się poręczy. Stała u podnóża schodów. Obejrzała się i zobaczyła pogrążony w mroku salon, zarys okien wychodzących na ogród. Próbowała ucześcić się poręczy obiema rękami, ale była kiepską marionetką szarpiącą się na sznurkach. Musiała wejść. Pójść schodami i potem korytarzem do sali balowej. Żaden dywan nie wyciszał jej kroków.

Wiedziała tylko o jednym Szarym, który nawiedzał Black Elm. Stary mężczyzna w wiecznie rozchylonym szlafroku, z papierosem zwieszającym się z ust. Przychodził i odchodził, jakby nie mógł się zdecydować, czy zostać, a teraz nigdzie nie było go widać. Nie miała soli w kieszeni ani ziemi cmentarnej, żadnej ochrony.

Całą siłą woli powstrzymywała się przed pchnięciem drzwi, ale i tak to zrobiła. Zaczepiła palcami o framugę.

– Dawes! – krzyknęła.

Jednakże Dawes jeszcze nie dotarła do Black Elm. Nikogo nie było w starym domu z wyjątkiem Alex i demona, który kiedyś był Darlingtonem. Wpatrywał się w nią ze środka kręgu złotymi oczami.

Nadal siedział ze skrzyżowanymi nogami, z rękami na kolanach, dłońmi obróconymi wewnątrz do góry. Teraz jednak miał otwarte oczy i te jarzyły się takim samym złotym światłem, jak znaki na jego skórze.

– Stern.

Wstrząs związany z dźwiękiem jego głosu wystarczył, żeby puściła framugę. Nie wpadła jednak do środka. Jakakolwiek siłą się posługiwał, żeby nad nią zapanować, najwyraźniej osłabła.

– Co to, u diabła, było?

– Dobry wieczór, Stern. A może dzień dobry? Trudno się tu zorientować.

Alex musiała się zmusić, żeby stać nieruchomo, nie odbiec, nie rozplakać się. Ten głos. To naprawdę był Darlington. W pełni ludzki. Był całkowicie sobą. Jego głos był tylko wzbogacony o ledwie słyszalne echo, jakby mówił z głębin jaskini.

– Jest środek nocy – zdołała wykrztusić zachrypniętym głosem. – Nie jestem pewna, która to godzina.

– Chciałbym, żebyś przyniosła mi parę książek, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Książek?

– Tak, nudzi mi się. Wiem, że tylko nudni ludzie się nudzą, ale... – Wzruszył lekko ramionami, a znaki na jego ciele zamigotały.

– Darlington... Wiesz, że jesteś nagi, prawda?

Wyglądał jak perwersyjna rzeźba z rękami na kolanach, płonącymi rogami i świecącym penisem w pełnej erekcji.

– Jestem demonem, a nie debilem, Stern, ale z mojej godności osobistej już dawno zostały same strzępki. Ty zresztą też nie postarałaś się przy doborze stroju.

Alex ciaśniej owinęła się prześcieradłem.

– Które książki mam przynieść?

– Sama wybierz.

- To po to mnie tu ściągnąłeś?

- Nigdzie cię nie ciągnąłem.

- Nie przeszłam bosą przez New Haven w środku nocy dla zabawy. Zostałam zmuszona. - To nie do końca była prawda. Nie przypominało to działania monety przymusu, astrumalinas ani żadnej innej dziwnej magii, z jaką się zetknęła. Było w tym coś głębszego.

- Ciekawe - powiedział głosem, który nie zdradzał nawet krztyny zaciekawienia.

Alex cofnęła się, zastanawiając przez cały czas, czy stopy przestaną w końcu jej słuchać i będzie zmuszona zostać. Kiedy już znalazła się w korytarzu, dała sobie chwilę na złapanie oddechu.

To on. On żyje.

I nie był rozgniewany. Chyba że prowadził jakąś grę. Nie wrócił z zamiarem zemsty ani wymierzenia kary za to, że Alex go zawiodła. Zatem co to wszystko znaczyło? Co ją tu ściągnęło?

Zastanawiała się, czy nie uciec. Dawes niedługo się tu zjawi. Może właśnie skręca w tę ulicę. Co jednak Alex powie, kiedy wybiegnie z domu? „Potwór zażądała, żebym wypełniła jego żądania. Rozkazał mi wybrać dla niego parę lektur!”

Jeśli miała być szczerą, to nie chciała wychodzić. Nie chciała go zostawiać. Chciała wiedzieć, co będzie potem.

Weszła schodami na drugie piętro i poszła do maleńkiego, okrągłego pokoiku Darlingtona w wieży. Nie zaglądała tu od rytuału w noc z księżycem w nowiu, kiedy szukała informacji na temat śmierci Pana Młodego.

Zerknęła przez okno. Podjazd zakręcał i znikał wśród drzew, dalsza droga nie była stąd widoczna. Ani śladu Dawes. Alex nie była pewna: ma się martwić czy cieszyć?

Jednakże wybór lektur dla Darlingtona był sam w sobie koszmarnym zadaniem. Co może zająć demona o wyrafinowanym guście? Ostatecznie wybrała książkę na temat modernizmu w planach urbani-

stycznych, zbindowaną biografię Bertrama Goodhue i wydanie w miękkiej oprawie *Dogsbody* Diany Wynne Jones.

– Nie zapalą się po prostu? – zapytała, kiedy wróciła do sali balowej.

– Spróbuj z jedną.

Alex położyła książkę w miękkiej oprawie na podłodze i pchnęła z całej siły. Przesunęła się przez barierę nieuszkodzona.

Darlington natychmiast wyciągnął rękę i złapał książkę. Obroża na jego szyi zabłysła, granaty wyglądała jak czerwone oczy.

– Imponująca ozdóbka – powiedziała Alex.

Właściwie naszyjnik był za duży, żeby nazywać go obrożą. Rozciągał się od szyi aż po ramiona i przypominał coś, co mógłby nosić faraon.

– To jarzmo. Zastanawiasz się, czy nie zastawić go w lombardzie?

– Nic na tym nie zyskasz.

Przesunął czule ręką po książce. Litery zamigotały i zmieniły się w nieznanym symbole.

– Chciałbym sprawić, że pokochasz książki bardziej niż własną matkę – mruknął.

Palce miał zakończone złotymi pazurami. Alex przypomniał się dotyk jego ciała, gdy ją obejmował. „Będę ci służył po kres dni”. Zadrżała mimo ciepła w pokoju.

– Dlaczego się udało? – spytała. – Dlaczego książka się nie spaliła?

– Historie istnieją we wszystkich światach. Są niezmiennie. Jak złoto.

Nie była pewna, co o tym myśleć. Przesunęła resztę książek przez ochronny krąg.

– Mogą być? – spytała.

Całe jej ciało wibrowało, uwięzione między chęcią ucieczki i potrzebą pozostania. Miała wrażenie, że przebywanie w sali sam na

sam z Darlingtonem jest niebezpieczne, z osobą, którą nie jest do końca osobą, z istotą, którą Alex znała i której nie znała.

Darlington przejrzał tytuły.

- Na razie wystarczy. Chociaż *Fire and Hemlock* byłoby stosowniejsze niż *Dogsbody*. Masz, łap.

Rzucił książkę w powietrze. Alex odruchowo po nią sięgnęła i za późno zdała sobie sprawę, że przerwie krąg. Syknęła, kiedy jej wyciągnięta ręka natrafiła na granicę.

Nic się nie stało. Książka wylądowała w jej ręku z głośnym plaśnięciem. Alex popatrzyła na nią, na wyciągniętą rękę i swoją dłoń po drugiej stronie złotej zasłony.

Dlaczego nie sparzyła się tak jak Dawes?

Jej tatuaże się zmieniły. Jarzyły się złościście i wydawały się żywe: Koło się obracało, lew nad nim krążył po jej przedramieniu, peonie rozkwiatały, traciły płatki i znowu rozkwiatały. Cofnęła rękę, wypuszczając książkę.

- Co jest, kurwa?

Demon wpatrywał się w nią, a Alex kołysała się na piętach, kiedy docierało do niej, co właśnie się wydarzyło. Jeśli ona mogła wejść, to w takim razie on...

- Nie mogę wyjść - powiedział.

- Udowodnij.

- Wątpię, żeby to było rozsądne.

- Dlaczego?

Drobna zmarszczka pojawiła się między jego brwiami i Alex zaciśnęło się serce. Mimo rogów to był Darlington.

- Bo za każdym razem, gdy próbuję przejść przez krąg, czuję się odrobinę mniej człowiekiem.

- Czym ty właściwie jesteś?

- A czym ty jesteś, Wędrowcze Koła?

Te słowa były jak policzek. Skąd wiedział? Co właściwie wiedział? Belbalm nazwała ją Wędrowcem Koła. Sama twierdziła, że też nim jest; niestety Alex nie znalazła żadnej wzmianki na temat Wędrowców Koła w zbiorach Lete.

– Skąd znasz tę nazwę? – spytała.

– Sandow.

To imię zabrzmiało jak warczenie, od którego zadygotała podłoga.

– Widziałeś go za... Zasłoną?

Darlington popatrzył na nią swoimi dziwnymi, złotymi oczami.

– Boisz się wypowiedzieć to słowo, Stern? Wiesz, gdzie byłem, daleko poza pograniczem, daleko poza Zasłoną. Mój gospodarz z radością powitał Sandowa w swoim królestwie, mordercę, który zabijał dla zysków. Chciwość jest grzechem we wszystkich językach. – Dwie emocje walczyły ze sobą na jego twarzy, niesmak i niemal obsceniczne zadowolenie. Pewna część Darlingtona cieszyła się z kary wymierzonej Sandowowi, inna była tym zniesmaczona.

– Odrobina zemsty może dobrze zrobić duszy.

– To nie jest słowo, które można rzucać od niechcenia, Stern.

Alex wątpiła, żeby miał na myśli „zemstę”.

– Alex? – Głos Dawes napłynął z parteru.

– Lepiej, żeby cię tu nie zobaczyła.

– Co to znaczy, Darlington? – szepnęła Alex. – Jak możemy ci pomóc? Jak możemy cię wydostać?

– Znajdź Womitorium.

– Uwierz mi, próbujemy. Nie masz pojęcia, gdzie się znajduje?

– Gdybym tylko wiedział – powiedział, a w jego głosie pojawiła się rozpacz, chociaż zaśmiał się i na ten dźwięk Alex stanęły dęba włoski na rękach. – Ale jestem tylko człowiekiem, dziedzicem niczego. Znajdź Womitorium i jeźdź. Nie mogę zbyt długo istnieć w dwóch światach. W końcu postronek się zerwie.

– A ty na wieczność zostaniesz uwięziony w piekle?

Znowu coś przelotnie odmalowało się na jego twarzy. Beznadzieja. Niecierpliwość.

– Albo to, czym jestem, zostanie wypuszczone na świat. – Znajdował się teraz blisko kręgu. Alex nie zauważyła, kiedy się poruszył, ani nawet, żeby wstał. – Mam pragnienia, Stern. I nie są one całkiem... zdrowe.

Jego zakończone pazurami palce przeszły złoty krąg i Alex zatoczyła się do tyłu. Piskliwy krzyk wyrwał się jej z ust.

Darlington się zmienił. Był wyższy, szerszy, jego rogi wydały się ostrzejsze. Miał kły. „Czuję się odrobinę mniej człowiekiem”.

A potem jakby szarpnął się z powrotem ku środkowi kręgu. Znowu siedział z rękami na kolanach, jakby wcale się nie poruszył. Może naprawdę medytował, starając się zapanować nad demonem w sobie?

– Znajdź Womitorium i zejdź. Przyjdź po mnie, Stern. – Otworzył złote oczy. – Proszę.

To jedno słowo, otwarte i ludzkie, to było więcej, niż mogła znieść. Alex wybiegła, popędziła korytarzem i schodami w dół. Wpadła na Dawes, która stała na dole.

– Alex! – krzyknęła Dawes, kiedy ledwie udało im się utrzymać równowagę.

– Chodź – powiedziała Alex, ciągnąc Dawes przez dom.

– Co się stało? – dopytywała się Dawes, dając się ciągnąć. – Nie powinnaś była wchodzić na górę...

– Wiem.

– Nie możemy mieć pewności, z czym mamy do czynienia...

– Wiem, Dawes. Po prostu zabierz mnie stąd, a ja ci wszystko wyjaśnię.

Alex otworzyła z impetem kuchenne drzwi, ciesząc się podmuchem czystego, zimnego powietrza. Słyszała głos Belbalm: „Wszystkie światy są dla nas otwarte. O ile mamy dość odwagi, żeby do nich wejść”. Czy to dotyczyło także podziemnego świata? Tak jak we śnie

pokonała barierę bez szwanku. Co by się stało, gdyby weszła do kręgu?

Alex stęknęła i potknęła się, kiedy jej stopy natrafiły na żwir.

Dawes złapała ją za łokieć.

- Alex, zwolnij. Trzymaj. - Podsunęła jej miękkie białe podkolanówki i parę sandałów. - Przyniosłam je dla ciebie. Są za duże, ale to lepsze niż chodzenie boso.

Alex usiadła na wycieraczce, żeby włożyć podkolanówki i sandały. Nie zamierzała wracać do domu. W głowie jej się kręciło. Własne ciało wydawało jej się obce.

- Co robiłaś na górze? - zapytała Dawes.

Alex słyszała oskarżenie w jej głosie i nie do końca wiedziała jak zareagować. Zastanawiała się, czy nie skłamać, ale za dużo rzeczy musiała wyjaśnić. Na przykład to, jak wylądowała w Black Elm w samej piżamie.

- Obudziłam się tutaj - powiedziała, trzęsąc się z zimna, kiedy panika już przygasała. - Śniło mi się... Śniło mi się, że tu jestem i tu się znalazłam.

- Lunatykowałaś?

- Chyba tak. A potem miałam wrażenie, że nadal to robię. Nie wiem, jak wylądowałam w sali balowej. Ale... on mówił.

- Odezwał się do ciebie? - Głos Dawes był za głośny.

- Aha.

- Rozumiem - rzuciła Dawes. Zniknęła zatroskana przyjaciółka, pojawiła się nadopiekuńcza matka. - Musimy cię rozgrzać.

Alex pozwoliła, żeby Dawes pomogła jej wstać i zaprowadziła ją do samochodu. Potem Dawes włączyła ogrzewanie. Poczuli delikatny zapach siarki, jaki zawsze pojawiał się od czasu rytuału Sandowa. Dawes oparła ręce na kierownicy, jakby podejmowała decyzję.

A potem wrzuciła bieg i pojechała w stronę kampusu. Ulice były niemal puste. Alex zastanawiała się, kto ją widział, gdy szła, czy ktoś

ją zatrzymał i zapytał, czy potrzebuje pomocy – półnaga dziewczyna, bosa i w środku nocy. Zupełnie jak tamtej nocy z Hellie.

Dopiero kiedy wróciły do Il Bastone, a Alex siedziała ze stopami nasmarowanymi leczniczym balsamem i opartymi na przykrytej ręcznikiem poduszce z filiżanką herbaty pod ręką, Dawes usiadła, otworzyła notatnik i powiedziała:

– No dobrze, a teraz opowiadaj.

Alex spodziewała się większych emocji, zagryzania ust, może łez, ale Dawes stała się Oculusem, przeszła w tryb badawczy, gotowa dokumentować i analizować. Alex była jej za to wdzięczna.

– Powiedział, że ma mało czasu – zaczęła Alex, a potem postarała się wyjaśnić resztę najlepiej, jak umiała: że prawie przerwała krąg, że Darlington błagał, żeby znalazły Womitorium, ale nie wiedział, gdzie się znajduje.

Dawes mruknęła cicho pod nosem.

– Darlington nie ma powodu, żeby nam nie mówić – powiedziała Alex.

– Może nie być w stanie. To zależy... to zależy, w jakim stopniu stał się demonem. Demony uwielbiają zagadki, zapomniałaś? Nigdy nie poruszają się po prostych liniach.

– Wspomniał też o dziekanie. Widział go po drugiej stronie. Powiedział, że jego gospodarz z radością go powitał.

– To właśnie mam na myśli – powiedziała Dawes. – Mógł nazwać swojego gospodarza, boga, demona czy piekielną bestię, której służy, ale tego nie zrobił. Co powiedział o swoim gospodarzu?

– Nic. Tyle tylko, że Sandow zabijał dla zysku. Powiedział, że chciwość jest grzechem we wszystkich językach.

– Czyli Darlington może być związany z Mammonem, Plutosem, Gullweig albo innym bogiem chciwości. To może pomóc nam zorientować się, gdzie znajduje się Womitorium i jak je ujawnić. Co jeszcze?

- Nic. Chciał, żeby przynieść mu parę książek. Powiedział, że się nudzi.

- To wszystko?

- To wszystko. Powiedział coś o tym, że można kochać książki bardziej niż matkę.

Twarz Dawes złagodniała, gdy wypłynął na nią uśmiech.

- To egipskie przysłowie. Doskonale do niego pasuje.

Egipskie. Alex wyprostowała się, jej stopy zsunęły się z poduszki. Dawes krzyknęła:

- Błagam, tylko nie pobrudź tym dywanu!

- Kiedy książki się nie spaliły, powiedział coś o tym, że opowieści są niezmiennie.

- No i? - rzuciła Dawes, biegnąc do kuchni po ścierkę.

Alex przypomniała sobie, jak wchodziła do Biblioteki Sterlinga z Darlingtonem. Nad wejściem umieszczono czterech kamiennych skrybów. Jeden z nich był Egipcjaninem.

- Kiedy wybudowano Bibliotekę Sterlinga?

- Chyba w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym - zawołała z kuchni Dawes. - Ludzie naprawdę jej wtedy nie cierpieli. Myślę, że posłużono się terminem „katedralna orgia”. Mówiono, że za bardzo przypomina... - Dawes zamarła w progę z mokrą ścierką w ręce. - Mówiono, że wygląda jak kościół.

- Poświęcona ziemia.

Obie z Dawes zbyt dosłownie potraktowały słowa dawno nieżyjącego Bunchy'ego. Szukały w niewłaściwym miejscu.

Dawes weszła powoli do salonu, wciąż trzymając ociekającą ścierkę.

- John Sterling ofiarował pieniądze na budowę biblioteki. - Usiadła. - Należał do Czaszki i Kości.

- To jeszcze nic nie znaczy - odpowiedziała ostrożnie Alex. - W Czaszce i Kościach jest mnóstwo dzianych facetów.

Dawes powoli pokiwała głową, jakby znajdowała się pod wodą.

- Architekt zmarł nagle i ktoś musiał przejąć budowę.

Alex milczała.

- James Gamble Rogers ją przejął. Należał do Zwoju i Klucza. Gracz to inne określenie hazardzisty³.

„Paru kumpli Johnny’ego i Gracza zbudowało Womitorium. Na poświęconej ziemi”.

Dawes ścisnęła teraz ścierkę w obu rękach, jakby to był mikrofon, do którego zacznie śpiewać.

- „Chciałbym sprawić, że pokochasz książki bardziej niż własną matkę”. Ten cytat znajduje się nad wejściem, nad skrybą. Wypisany hieroglifami.

Historie są niezmiennie. A czym była biblioteka, jeśli nie domem pełnym historii?

- To Biblioteka Sterlinga - powiedziała Alex. - To ona jest bramą do piekła.

Wzniesiona dla uczczenia pamięci

*Johna Williama Sterlinga
urodzonego 12 maja 1844
zmarłego 5 lipca 1918
lic. 1864; mgr 1874
dr 1893; prawnik
wierny przyjaciel
zaufany doradca
waleczny przywódca
oddany absolwent*

architekt James Gamble Rogers

inskrypcja pamiątkowa,
wejście do Biblioteki im. Sterlinga

Gdybym musiał zostać uwięziony, nie pragnąłbym innego więzienia niż ta biblioteka.

Jakub I, inskrypcja nad wejściem
do korytarza wystawowego Biblioteki im. Sterlinga

Alex szczerze zamierzała pomóc Dawes w poszukiwaniach, ale nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła. Obudziła się w salonie Il Bastone, kiedy poranne światło wpadało przez okna. Zeszyt *Yale Gazette*, z artykułem z 1931 roku wyszczególniającym ornamentykę Biblioteki Sterlinga, leżał na jej piersi, jakby próbowała się nim okryć.

Było jej ciepło, czuła spokój, jakby wyobraziła sobie wszystko to, co wydarzyło się w Black Elm, a ten poranek mógł być po prostu zwykłą niedzielą. Dotknęła ręką podłogi i wydawało jej się, że deski wibrują.

- Ty to załatwiłeś? - zapytała dom, wpatrując się w kasetonowy sufit i lampę zawieszoną na mosiężnym łańcuchu. Żarówka zamigotała delikatnie w kuli z matowego szkła. Dom wiedział, że Alex potrzebowała odpoczynku. Opiekował się nią. A przynajmniej tak to odczuwała i może po prostu potrzebowała w to wierzyć.

Dawes zostawiła liścik na niskim stoliku. „Idę do Beinecke. Śniadanie w kuchni. Zadzwon, kiedy wstaniesz. Złe nowiny”.

A kiedy nie było żadnych złych wiadomości? Kiedy Dawes zostawiła jej liścik, który brzmiałby: „Wszystko w najlepszym porządku. Idź popracować nad swoją rozprawką, żebyś nie miała zaległości. Zostałam ci świeże babeczki i dwa szczeniaki”.

Alex musiała wrócić do domu, ale umierała z głodu i szkoda było zmarnować śniadanie, więc powlekała się do kuchni w ogromnych sandałach Dawes.

- Jasna cholera - powiedziała na widok talerzy z naleśnikami, kadzi z jajecznicą ze szczypiorkiem, stosów bekonu, ciepłego sosu holenderskiego w sosjerce w kwiatki i owszem, stosu babeczek z tru-

skawkami. Było tam dość jedzenia, żeby wykarmić cały chór a capella, gdyby na chwilę przestał pomrukiwać. Dawes gotowała, żeby się uspokoić, więc to znaczyło, że wiadomości rzeczywiście są bardzo złe.

Alex nałożyła sobie na talerz po dwie porcje wszystkiego i zadzwoniła do Dawes, ale tamta nie odebrała. „Zaczynam się denerwować”, wysłała jej wiadomość. „Wszystko jest smaczne jak cholera”.

Kiedy zjadła, napełniła kubek termiczny kawą i schowała sobie trzy naleśniki z kawałkami czekolady do plastikowej torebki na później. Pomyślała, czy nie zajrzeć do biblioteki Lete i sprawdzić, czy Księga Albemarle'a nie znajdzie czegoś na temat cytatu z Biblii od Turnera albo trucizn, które postarzają ofiarę, ale to mogło poczekać. Musiała wziąć gorący prysznic i włożyć prawdziwe ubranie. Wychoząc, poklepała czule klamkę i przez chwilę zastanawiała się, czy zaprzyjaźnia się z domem, czy po prostu jej odbiło.

Przeszła przez kampus i pokonała połowę schodów w drodze do swojego pokoju, kiedy telefon wreszcie zawibrował.

„Sterling w południe. Potrzebujemy czterech morderców”.

Alex zagapiła się na wiadomość, a potem odpisała: „Zajrzę do sklepu. Wziąć tuzin na wszelki wypadek?”.

Telefon zadzwonił.

– Ja nie żartuję.

– Dlaczego czterech, Dawes?

– Żeby dostać się do piekła. Myślę, że dlatego Darlington wymienił Sandowa. Dawał nam wskazówki. Potrzeba czterech osób do rytuału, kiedy Womitorium zostanie aktywowane, czterech pielgrzymów ustawionych w czterech kierunkach świata.

– Czy naprawdę musimy...

– Widziałaś, co się stało, kiedy wybrałyśmy drogę na skróty w Zwoju i Kluczu. Nie zamierzam wysadzać biblioteki. I myślę...

Dawes urwała.

- No? - Naciskała Alex, kiedy cały poranny optymizm zaczął z niej uchodzić.

- Jeśli źle to rozegramy, to wątpię, żebyśmy wrócili.

Alex oparła się o ścianę, słuchając echa głosów napływających z góry i z dołu kamiennej klatki schodowej, odgłosów budzącego się college'u, stareńkich rur bulgoczących wodą; ktoś śpiewał starą piosenkę o oczach Bette Davis. Nie mogła udawać zaskoczenia. Rozmowa o Womitoriach i chłopcach imieniem Bunchy sprawiała, że to przedsięwzięcie brzmiało jak zabawa, i to w tym kryło się niebezpieczeństwo. Moc potrafi stać się zbyt łatwa. Pojawia się zbyt wiele okazji do jej wypróbowania, kiedy po prostu to leży w zasięgu twoich możliwości.

- Rozumiem, Dawes, ale teraz już siedzimy w tym po uszy.

Od chwili gdy spotkały się na cmentarzu i Alex przedstawiła swoją szaloną teorię na temat demona-dżentelmena, wiedziały, że nie mogą odwrócić się plecami do szansy, że Darlington nadal żyje. Jednakże stawka zmieniła się od zeszłej wiosny. Alex przypomniała sobie sen i słowa Lena: „Niektóre drzwi nie pozostają zamknięte”. Cóż, wysadziły je na oścież, kiedy zawaliły rytuał w Zwoju i Kluczu, i teraz coś, co było w połowie człowiekiem, a w połowie potworem siedziało uwięzione w sali balowej w Black Elm.

- Uratujemy go - powiedziała. - A jeśli go nie uratujemy, to go powstrzymamy.

- Co... Co to znaczy? - spytała Dawes, a jej strach przypominał reflektor przesuwający się w poszukiwaniu odpowiedzi.

To znaczyło, że nie jeśli nie zdołają uwolnić Darlingtona, to nie mogą ryzykować, że uwolnią demona. A to mogło oznaczać zniszczenie ich obu. „Albo to, czym jestem, zostanie wypuszczone na świat”. Jednak Dawes nie było gotowa na takie rzeczy.

- Zobaczymy się w bibliotece - powiedziała Alex i się rozłączyła.

Mozolnie pokonała resztę schodów. Już ogarnęło ją zmęczenie. Może zdoła się zdrzemnąć przed spotkaniem z Dawes w bibliotece.

Pchnęła drzwi do wspólnego pokoju, spodziewając się, że zobaczy Mercy zwiniętą na fotelu z laptopem i kubkiem herbaty. Jednak Mercy siedziała wyprostowana na kanapie w hiacyntowym szlafroku... dokładnie naprzeciwko Michelle Alameddine, mentorki Darlingtona, jego Wergiliusza.

Alex nie widziała jej, odkąd Michelle uciekła z ich letniego spotkania, kiedy szukały informacji. Miała na sobie sukienkę w szkocką kratę, zapinany sweter i buty z plecionki na płaskim obcasie. Gęste włosy nosiła zaplecione w warkocz, na szyi zawiązała zawadiacką chustkę. Wyglądała jak kobieta z wyższych sfer. Wyglądała jak dorosła osoba.

- Cześć - powiedziała Alex, bo z zaskoczenia nie było jej stać na nic więcej. - Ehm... Jak długo czekasz?

- Niedługo, ale muszę zdążyć na pociąg. Co ty masz na sobie?

Alex zapomniała, że nadal jest ubrana w szorty od piżamy, bluzę od dresu Lete, grube podkolanówki Dawes i jej sandały.

- Daj mi się przebrać.

Kto to jest? - spytała Mercy, tylko poruszając ustami, kiedy Alex pobiegła do ich sypialni. Alex nie zamierzała prowadzić takiej rozmowy na migi.

Zamknęła drzwi, otworzyła szeroko okno, wpuszczając rześkie poranne powietrze, żeby przejaśniło jej się w głowie. Lato skończyło się nie wiadomo jak i kiedy. Wciągnęła czarne dżinsy i czarną koszulę typu henley, zamieniła sandały na własne buty, wtarła w zęby trochę pasty.

- Możemy gdzieś porozmawiać? - zapytała Michelle, kiedy Alex wyszła z sypialni.

- Mogę zostawić was same - zaproponowała Mercy.

- Nie - odpowiedziała Alex. Nie zamierzała wyrzucać Mercy z ich pokoju. - Chodź.

Poprowadziła Michelle na dół. Pomyślała, że mogłyby porozmawiać w bibliotece college'u, ale ludzie już zajmowali tam stoły.

- Chodźmy do ogrodu rzeźb – zaproponowała Michelle, otwierając drzwi.

Alex czasem zapominała o tym miejscu, pustym placu wysypanym żwirem, ciągnącym się za oknem czytelni, na którym rozmieszczono instalacje. Nie było to nic imponującego, raptem wciśnięta między budynki niewielka przestrzeń ciszy z paroma drzewami.

- Czyli spieprzyłyście to – powiedziała Michelle. Usiadła na ławce i skrzyżowała ręce. – Mówiłam, żebyś nie próbowała.

- Ludzie często mi to powtarzają. Anselm do ciebie zadzwonił?

- Chciał wiedzieć, czy ty i Dawes skontaktowałyście się ze mną, czy nadal próbujecie wyciągnąć Darlingtona.

- Skąd...

- Widziano nas razem po pogrzebie. I byłam Wergiliuszem Darlingtona.

- No i?

- Nie... wsypałam was.

Brzmiało to jak cytat z *Prawa i porządku*.

- Ale nam nie pomożesz.

- A w czym miałabym wam pomóc?

Alex się zawahała. Cokolwiek powie Michelle, może to trafić prosto do Michaela Anselma. Jednakże Darlington uważał Michelle za jednego z najlepszych członków Lete. Może nadal być w stanie im pomóc, nawet jeśli nie zamierza z nimi zejść.

- Znalazłyśmy Womitorium.

Michelle się wyprostowała.

- Darlington miał rację?

Alex uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Oczywiście, że miał. Womitorium naprawdę istnieje i znajduje się na kampusie. Możemy...

Michelle uniosła rękę.

- Nie mów mi. Nie chcę wiedzieć.

- Ale...

- Alex, dostałam się na Yale dzięki stypendium. Lete o tym wiedziało. Po części dlatego byłam dla nich taka atrakcyjna. Potrzebowałam ich pieniędzy i z radością robiłam to, czego ode mnie chcieli. Moim Wergiliuszem był Jasen Barclay Cartwright. Był leniwy, bo było go na to stać. Mnie nie. Ciebie także na to nie stać. Chcę, żebyś zastanowiła się, ile to może cię kosztować.

Alex już o tym pomyślała, ale to nie zmieniało równania.

- Jestem mu to winna.

- Ja nie.

Tak po prostu.

- Myślałam, że lubiłaś Darlingtona.

- Lubiałam. To był dobry dzieciak. - Była raptem trzy lata starsza, ale tak właśnie Michelle go widziała: jako chłopczyka, który bawi się w rycerza. - Chciał wierzyć.

- W co?

- We wszystko. Dawes powiedziała ci, w co się pakujesz? Z czym ten rytuał się wiąże?

- Wspomniała, że będziemy potrzebować czterech morderców.

Właściwie to tylko dwóch, ponieważ ona i Dawes dawały już potrzebną połowę.

- To dopiero początek. Womitorium to nie jest magiczne przejście. Nie przechodzi się przez nie tak po prostu. Będiesz musiała umrzeć, żeby przejść do podziemnego świata.

- Już raz umarłam - powiedziała Alex. - Dotarłam na pogranicze. I wróciłam.

Michelle pokręciła głową.

- Masz to w nosie, co? Po prostu rwiesz się, żeby to zrobić.

Jestem Wędrowcem Koła, chciała powiedzieć Alex. To muszę być ja. Tyle że nawet nie wiedziała, co to znaczy. To brzmiało głupio, dziecinnie: „Jestem specjalna, mam misję”, podczas gdy prawda była

o wiele bliższa temu, co powiedziała Michelle. Oczywiście, że Alex po prostu pędziła na spotkanie katastrofie. Była jak kula wystrzelona z działa. Nie potrafiła pozostać w spoczynku, ale pchnij ją dostatecznie mocno, żeby nabrała rozpędu, a przebije się przez wszystko.

– To nie jest takie straszne – powiedziała Alex. – Umieranie.

– Wiem. – Michelle zawahała się, a potem podciągnęła rękawy i Alex po raz pierwszy zobaczyła jej tatuaż. Średnik. Znała ten symbol.

– Próbowalaś się zabić.

Michelle skinęła głową.

– W szkole średniej. Lete nie wiedziało, w przeciwnym wypadku nigdy by mnie nie zwerbowało. Zbyt duże ryzyko. Byłam po drugiej stronie. Nie pamiętam tego, ale wiem, że to nie to samo, co wskoczyć do autobusu. Nigdy tam nie wrócę. Alex... nie przyjechałam tu, żeby odgrywać sługusa Anselma. Przyjechałam, by cię ostrzec. Cokolwiek tam jest, po drugiej stronie Zasłony, to nie tylko Szarzy.

Alex przypomniała sobie wody pogranicza, dziwne kształty na odległym brzegu, sposób, w jaki nurt zwałił ją z nóg. Pomyślała o sile, która przyciągnęła ją do Black Elm, życzyła sobie jej obecności w sali balowej, może nawet wewnątrz kręgu.

– Próbowali mnie tam zatrzymać.

Michelle skinęła głową.

– Bo są głodni. Czytałaś *Dajmonologię Kittschera*?

Oczywiście, że nie.

– Nie, ale słyszałam, że to niesłychanie wciągająca lektura.

Michelle uniosła oczy do nieba.

– Co musiał myśleć na twój temat Darlington. Lete ma swój egzemplarz. Zanim zrobisz cokolwiek szalonego, przeczytaj to. Śmierć nie jest po prostu miejscem, które odwiedzasz. Wywalczyłam sobie drogę powrotną i nie zaryzykuję po raz drugi.

Alex nie mogła się z tym sprzeczać. Nawet Dawes miała wątpliwości co do ich przedsięwzięcia, a Michelle miała prawo żyć i zostawić za

sobą Lete. Mimo to Alex była zła – to była złość małego dzieciaka, które się dopomina, żeby nie zostawiać go samego. Ona i Dawes nie wystarczą, by podołać zadaniu.

– Rozumiem – powiedziała zawstydzona tym, jak ponuro to zabrzmiało.

– Mam nadzieję. – Michelle westchnęła. Cieszyła się, że pozbyła się ciężaru, któryniosła. Zamknęła oczy i nabrała powietrza, czując pierwsze oznaki jesieni. – To było jedno z ulubionych miejsc Darlingtona.

– Nadal jest – poprawiła ją Alex.

Michelle zaśmiała się cicho i smutno. To przeraziło Alex. Ona uważa, że nam się nie uda. Jest tego pewna.

– Widziałas tablicę? – spytała.

Alex pokręciła głową.

Michelle zaprowadziła ją do jednej z wnęk okiennych.

– George Douglas Miller był Kościejem. Przygotował plan rozbudowy grobowca Czaszki i Kości, wzniesienia dormitorium. – Wskazała wieże wznoszące się nad schodami, które prowadziły do ogrodu rzeźb.

Są zwieńczone blankami, Alex słyszała szept Darlingtona. Pseudo-średniowieczne. Alex nigdy dotąd ich nie zauważyła.

– Te wieże to pozostałości dawnego Alumni Hall. Miller kazał je przenieść, kiedy Yale wyburzyło budynek w tysiąc dziewięćset jedenastym, to był pierwszy krok do urzeczywistnienia jego wielkiej wizji. Zabrakło mu jednak pieniędzy. A może woli.

Popukała w tabliczkę poniżej okna. Napisano na niej: „Oryginalna część Weir Hall, zakupiona przez uniwersytet Yale w 1917, której budowę rozpoczął w 1911 roku George Douglas Miller, lic. 1870, częściowo urzeczywistniając swoją wizję »wzniesienia nowego serca New Haven, repliki oxfordzkiego dziedzińca«. Jednakże to dalsza część tekstu zaskoczyła Alex. „Zgodnie z jego życzeniem umieszczono tę

tablicę dla upamiętnienia jego syna, Samuela Millera 1881–1883, który urodził się i zmarł na tym terenie”.

– Nigdy wcześniej jej nie zauważyłam – mówiła Michelle. – Nie miałam pojęcia o jej istnieniu, dopóki Darlington mi nie powiedział. Mam nadzieję, że sprowadzisz go z powrotem, Alex, ale pamiętaj, że Lete nie dba o ludzi takich jak ty czy ja. Nikt nie zatroszczy się o nas poza nami samymi.

Alex przesunęła palcami po literach.

– Darlington by się zatroszczył. Poszedłby do piekła za mną, za tobą, za każdym, kto potrzebowałby pomocy.

– Alex poszedłby do piekła tylko po to, żeby zrobić kilka notatek na temat tamtejszego klimatu – powiedziała Michelle, otrzepując sukienkę.

Alex nie mogła znieść tego protekcyjnego tonu, ale Michelle się nie myliła. Darlington pragnął wiedzy bez względu na cenę. Zastanawiała się, czy istota, którą się stał, czuła to samo.

– Przyjechałaś pociągiem? – spytała Alex.

– Tak, i muszę wrócić na kolację u rodziców mojego chłopaka.

Całkiem rozsądne wyjaśnienie, chociaż Alex miała przeczucie, że Michelle czegoś nie mówi. Pomachała do niej, kiedy Michelle zeszła po schodach pod łukiem, który wykieruje ją na High Street, gdzie złąpie taksówkę i pojedzie na dworzec kolejowy.

– To ja – rozległ się głos obok Alex, która musiała się postarać, żeby nie zareagować. Mały Szary z lokami przysiadł w oknie obok tabliczki. – Cieszę się, że umieścili tu moje imię.

Alex udawała, że go nie słyszy. Nie chciała, żeby Szarzy wiedzieli, że może słyszeć ich historie i skargi. Miała dość słuchania opowieści i skarg żywych.

Mercy czekała we wspólnym pokoju. Miała na sobie sweter w kolorze dyni i sztruksową spódnicę, jakby najdrobniejsza sugestia jesieni w powietrzu dała znać, że należy zmienić stroje. Miała otwarty laptop, ale zamknęła go, gdy Alex weszła.

– Będzie tak jak ostatnim razem? – spytała Mercy. – Znikniesz i prawie dasz się zabić?

Alex usiadła w fotelu.

– Tak, jeśli idzie o pierwszą część... i mam nadzieję, że nie w przypadku drugiej?

– Lubię twoje towarzystwo.

– Lubię być twoim towarzystwem.

– Kto to właściwie był?

Alex się zawahała.

– A jak się przedstawiła?

– Powiedziała, że jest przyjaciółką twojego kuzyna.

Kłamstwa łatwo przychodziły Alex. Zawsze tak było. Kłamała, odkąd się przekonała, że widzi rzeczy, których inni nie widzą, odkąd zrozumiała, jak łatwo jest rzucić słowami takimi jak „wariatka” i „niezrównoważona psychicznie”, jak łatwo przyklejają się do człowieka. Już czuła, że wszystkie przyjazne kłamstwa są gotowe rozwinąć się na jej języku niczym chustki tandetnego magika. Tego żądały Lete i stowarzyszenia. Dyskrecji. Lojalności.

Walcie się.

– Darlington nie jest moim kuzynem. I nie wyjechał do Hiszpanii. Muszę z tobą porozmawiać o tym, co się wydarzyło w zeszłym roku.

Mercy bawiła się kablem od laptopa.

– Kiedy miałas ogromny ślad po ugryzieniu na boku i musiałam wezwać twoją mamę?

– Nie – odpowiedziała Alex. – Chcę porozmawiać z tobą o tym, co przydarzyło się tobie.

Nie była pewna, jak Mercy zareaguje. Alex była gotowa się wycofać, gdyby zaszła tak potrzeba.

Mercy odstawiła komputer i powiedziała:

- Jestem głodna.

Alex się tego nie spodziewała.

- Mogę zrobić ci pop-tarta albo...

Sięgnęła do torby i wyjęła czekoladowe naleśniki Dawes.

- Czy ty naprawdę chodzisz ze śniadaniem w torbie?

- Szczerze? Przez cały czas.

Mercy zjadła większość naleśnika, Alex zrobiła kawę dla obu, a potem zaczęły rozmawiać. O stowarzyszeniach, Darlingtonie, katastrofalnym pierwszym roku studiów. Mercy unosiła brwi coraz wyżej i wyżej, w miarę jak Alex opowiadała. Czasem kiwała głową, chociaż Alex nie była pewna, czy tylko zachęcała ją do mówienia, czy rzeczywiście coś do niej docierało.

Wreszcie Alex nie tyle skończyła, ile opadła z sił, jakby nie miała już więcej słów na wyjawienie sekretów, które ukrywała. Wszystko wokół nich wydawało się zbyt zwyczajne jak na taką opowieść. Odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi w korytarzu, okrzyki na dziedzińcu, szum samochodów na York Street. Alex wiedziała, że ryzykuje, że spóźni się na spotkanie z Dawes, ale nie chciała zerkać na telefon.

- Czyli... - zaczęła powoli Mercy - ...to stąd masz tatuaże?

Alex prawie się roześmiała. Nikt nic nie wspomniał o rękawach z peonii, węży i gwiazd, które nagle się pojawiły pod koniec roku akademickiego. Jakby ludzie nie byli w stanie ogarnąć tego, że to możliwe, więc ich umysły dokonały stosownych korekt.

- Nie stąd. Darlington pomógł mi je ukryć na pewien czas.

- Za pomocą magii?

- Aha.

- Która istnieje naprawdę.

- Aha.

- I jest super śmiercionośna.

- Tak.

- I trochę obrzydliwa.

- Bardzo obrzydliwa.

- Dużo się modliłam tego lata.

Alex próbowała nie okazać zaskoczenia.

- Pomogło?

- Trochę. I poszłam na terapię. Korzystałam z apki i przez pewien czas rozmawiałam z kimś o tym, co się wydarzyło. To mi pomogło przestać to roztrząsać przez cały czas. Próbowałam też porozmawiać z naszym pastorem. Ale po prostu nie jest mi przykro z powodu śmierci Blake'a.

- A powinno?

Mercy się roześmiała.

- Alex! Tak. Wybaczenie jest krokiem na drodze do uzdrowienia.

Jednakże Blake nie prosił o łaskę. Nie poprosił o nic. Po prostu szedł przez świat, biorąc to, co zechciał, aż coś stanęło mu na drodze.

- Nie potrafię wybaczać - przyznała Alex. - I wątpię, żebym chciała się nauczyć.

Mercy tarła palcami rąbek swetra, przyglądając się splotom, jakby to był tekst do przetłumaczenia.

- Powiedz mi, jak umarł.

Alex opowiedziała. Nie wspomniała o rytuale podczas księżycy w nowiu ani o Darlingtonie. Zaczęła od tego, że Blake włamał się do Il Bastone, opowiedziała o walce, o tym, jak nad nią zapanował, kazał jej się nie ruszać, o tym, jak Dawes zmiażdżyła mu czaszkę marmurowym popiersiem Hiram Binghama III. Powiedziała o tym, że Blake płakał i o tym, jak odkryła, że ścisnął w dłoni monetę przymusu. Dziekan Sandow nim kierował, kiedy Blake próbował ją zabić.

Mercy wbijała wzrok w pomarańczową wełnę, przesuając palcami w tę i z powrotem.

- Nie chodzi tylko o to, że nie jest mi przykro... - wyznała w końcu. Mówiła niskim, drżącym głosem, prawie warczała. - Cieszę się, że nie żyje. Cieszę się, że przekonał się, jak to jest stracić kontrolę, bać się. Cieszę się, że... umarł przerażony. - Popatrzyła na Alex oczami pełnymi łez. - Dlaczego taka jestem? Dlaczego nadal jestem taka zła?

- Nie wiem, ale ja też taka jestem.

- Tyle razy rozmyślałam nad każdą chwilą, która doprowadziła mnie do tej imprezy. Co miałam na sobie, co powiedziałam. Dlaczego wybrał mnie tej nocy? Co zobaczył?

Alex nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć na te pytania. „Wybacz sobie to, że poszłaś na te imprezę. Wybacz sobie, że uznałaś, że świat nie jest pełen potworów czających się za drzwiami”. Wiedziała jednak, że to nie jest takie proste.

- W ogóle cię nie widział - powiedziała w końcu. - Tacy ludzie... oni nas nie widzą. Widzą tylko okazje. Coś, co mogą dorwać.

Michelle miała rację przynajmniej w tej kwestii.

Mercy otarła oczy.

- Mówisz o tym jak o kradzieży w sklepie.

- Trochę tak.

- Nie okłamuj mnie więcej, dobrze?

- Postaram się.

Tylko tyle mogła powiedzieć, żeby znowu nie skłamać.

Mercy zasypywała Alex pytaniami przez resztę godziny, a wszystkie dotyczyły magii i Lete. Alex czuła się jak na ustnym egzaminie, ale uznała, że jest to winna Mercy, i postarała się jak najlepiej wszystko wyjaśnić. Musiała przełknąć nieprzyjemną prawdę, że Mercy byłaby o wiele lepszą kandydatką do Lete niż ona. Była genialna, mówiła płynnie po francusku i niezłe radziła sobie z łaciną. Nie popełniła jednak zabójstwa, więc Alex uznała, że nie kwalifikowała się do ich najnowsze zadania.

– Powodzenia – powiedziała Mercy, kiedy Alex wychodziła na spotkanie z Dawes. – Postaraj się nie umrzeć ani nic takiego.

– W każdym razie nie dzisiaj.

– To przez Darlingtona nie chodzisz na randki?

Alex zatrzymała się z ręką na futrynie drzwi.

– A co on ma do tego?

– Nie jest twoim kuzynem i jest jedną z najpiękniejszych istot ludzkich, jakie w życiu widziałam.

– To przyjaciel. Mentor.

– No i?

– Jest... kosztowny.

Darlington był za piękny, zbyt czytany, widział za dużo świata. Nie był po prostu ulepiony z innej gliny, był przepięknie wyrzeźbiony i wyczelowany.

Mercy uśmiechnęła się szeroko.

– Lubię drogie rzeczy.

– To nie jest szalik z kaszmiru. On ma rogi.

– A ja mam znanie w kształcie Wisconsin.

– Wychodzę.

– Nie zapomnij, że masz wybrać książkę na zajęcia z brytyjskiego humoru!

Humor we współczesnej powieści brytyjskiej. Alex miała nadzieję na Monty Pythona, ale dostała *Jima Szczęściarza* i *Novel On Yellow Paper*. Nie najgorszy układ. Zostawiła Mercy z obietnicą, że spotkają się przy kolacji. Cieszyła się, że wyrwała się z przesłuchania inkwizycji. Była zbyt zajęta walką o życie, żeby myśleć o randkach albo choćby seksie. Darlington nie miał z tym nic wspólnego, bez względu na to, jak dobrze wyglądał nago.

Dawes czekała przy wejściu do biblioteki, garbiła się przy kamiennej płycie rzeźby *Women's Table*, jakby w każdej chwili mogła zasnąć. Alex ogarnęły nieproszone wyrzuty sumienia. Dawes nie była stworzona do takiej pracy. Powinna siedzieć bezpiecznie w Il Bastone i zajmować się swoim doktoratem, jakby to był powoli rosnący ogród. Była pracownikiem obsługi technicznej, była domowym kotem. Ich rytuał w Zwoju i Kluczu wychodził poza jej strefę komfortu i żadnej z nich nie nagroził poczuciem, że naprawdę czegoś dokonały. Teraz Dawes wyglądała prawie jak poturbowana. Miała ciemne sińce pod oczami z braku snu, brudne włosy i Alex była niemal pewna, że nosiła wczorajsze ubrania, chociaż w przypadku Dawes trudno było się zorientować.

Alex chciała jej powiedzieć, żeby poszła do domu i odpoczęła, a ona zajmie się resztą, ale nie mogła, a nie wiedziała, ile czasu im zostało, zanim bomba, jaką był Darlington, wybuchnie.

– Spałaś coś w ogóle? – zapytała.

Dawes pokręciła zdecydowanie głową, zaciskając palce na roczniku *Yale Gazette* z 1931, z którym Alex zasnęła, i na notesie oprawionym w czarny moleskin.

– Przez całą noc siedziałam w bibliotece Lete, próbując znaleźć zapiski na temat ludzi, którzy przeszli przez Womitoria.

- Coś znalazłaś?
- Kilka relacji.
- To dobrze, nie?

Dawes była tak blada, że jej piegi wyglądały, jakby unosiły się nad skórą.

- Znalazłam mniej niż pięć relacji, które można w jakikolwiek sposób potwierdzić i w których zachował się choćby ślad rytuału.

- To dość, żeby zacząć?

Dawes rzuciła jej kolejne poirytowane spojrzenie.

- Nie słuchasz mnie. Te rytuały nie są opisane, nie są omówione, ponieważ zawiodły, ponieważ ich uczestnicy próbowali ukryć ich skutki. Ludzie wariowali, znikali, umierali w potworny sposób. Możliwe, że Womitorium było odpowiedzialne za zniszczenie Heraklejonu. To nie jest zabawka.

- Michelle powiedziała to samo.

Zaskoczona Dawes zamrugwała.

- Ehm... Powiedziałaś jej o Womitorium?

- Przyjechała się ze mną zobaczyć. Próbowała ostrzec nas, żebyśmy niczego nie próbowali.

- Nie bez powodu.
- Więc chcesz sobie odpuścić?
- To nie takie proste!

Alex pociągnęła Dawes pod ścianę i zniżyła głos:

- Wręcz przeciwnie. O ile nie zamierzasz włamać się do Zwoju i Klucza, żeby otworzyć kolejny nieudany portal, to została nam tylko jedna możliwość. Albo to zrobimy, albo musimy go zniszczyć. Nie ma innego wyboru.

- Rytuał zaczyna się od tego, że musimy zostać żywcem pogrzebane. - Dawes cała się trzęsła.

Alex położyła niezręcznie rękę na jej ramieniu.

- Przekonajmy się, co znajdziemy, dobrze? Nie musimy tego robić. Tylko zbieramy informacje.

Zupełnie jakby szept Alex był czarem przemiany.

Dawes odetchnęła z drżeniem i skinęła głową. Zbieranie informacji to było coś, co rozumiała.

- Opowiedz mi o skrybie - powiedziała Alex, żeby Dawes zaczęła mówić o czymś innymi niż śmierć i zniszczenie.

- Jest ośmiu skrybów - powiedziała Dawes, cofając się kilka kroków i wskazując płaskorzeźby nad drzwiami biblioteki Sterlinga. - Każdy wywodzi się z innej części świata. Nowsze cywilizacje umieszczono po prawej stronie: majańska, chińska, grecka, arabska. Tam jest ateńska sowa. A po lewej mamy czterech starożytnych skrybów, rysunki z kromanieńskich jaskiń, asyryjską inskrypcję z biblioteki w Niniwie, hebrajską z psalmów i egipską... Hieroglify wybrał dr Ludlow Seguire Bull.

„Chciałbym sprawić, że pokochasz książki bardziej niż własną matkę”. Stosowna inskrypcja dla biblioteki, ale może kryło się w niej coś więcej.

Dawes uśmiechnęła się, gdy podniecenie odkryciem pochłonęło strach.

- Dr Bull był Klucznikiem. Członkiem Zwoju i Klucza. Zaczął od studiów na prawie, ale potem zajął się egiptologią.

Spora zmiana. Alex przeszedł dreszczyk podniecenia.

- To stopień do Womitorium.

- Być może. Jeśli tak, to będziemy musiały obudzić Womitorium, namaszczając pierwszy stopień krwią.

- Dlaczego to zawsze jest krew? Dlaczego to nigdy nie może być dżem albo niebieska kredka?

A jeśli to był pierwszy stopień do Womitorium, to co będzie dalej? Przyjrzała się skrybie pochylonemu nad pracą, hieroglifom, wiosłom fenickiego statku, skrzydłom babilońskiego byka, średniowiecznemu

skrybie stojącemu pośrodku, jakby odnotowywał otaczający go bałagan. Czy odpowiedź kryła się gdzieś w tych płaskorzeźbach? Istniało zbyt wiele możliwości, zbyt wiele symboli do rozszyfrowania.

Bez słowa przeszły pod łukiem w wejściu. Wnętrze biblioteki było jeszcze bardziej przytłaczające.

- Jak duży jest ten budynek?

- Ma ponad cztery tysiące stóp kwadratowych - odpowiedziała Dawes. - I każdy cal jest pokryty płaskorzeźbami i witrażami. Każda sala ma swój motyw przewodni. Nawet kafeteria. Nad schowkiem dla woznego wyrzeźbiono kubel i szczotkę. Dekoracje czerpią ze wszystkiego: średniowiecznych rękopisów, bajek Ezopa, z *Ars Moriendi*. -

Dawes przystanęła w połowie szerokiego przejścia. Uśmiech jej zrzedł.

- Co?

- *Ars Moriendi*. To... To dosłownie znaczy sztuka umierania. To były instrukcje jak dobrze umrzeć.

- Tylko gromadzimy informacje, nie zapominaj - upomniała ją Alex i znowu ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Dawes była naprawdę przerażona i Alex wiedziała, że gdyby sama przystanęła na dość długo, żeby się dobrze zastanowić, to też miałaby dość rozumu, żeby się przestraszyć. Wyciągnęła szyję i spojrzała na sklepienie, powtarzające się wzory z kwiatów i kamienia, na światła żyrandoli, które same przypominały róże. - To miejsce naprawdę wygląda jak kościół.

- Wielka katedra - przytaknęła trochę spokojniej Dawes. - W tym czasie tak przeładowana budowla w Yale wywołała sporo kontrowersji. Wyciągnęłam kilka artykułów. Nie są życzliwe. Jednak zakładano, że Goodhue, pierwszy architekt, kontynuował gotycką tradycję reszty kampusu.

Goodhue. Alex przypomniała sobie jego zbindowaną biografię na stosie książek w sypialni Darlingtona. Specjalnie wysłał tam Alex?

- Ale Goodhue zmarł - powiedziała. - Nagle.

- Był bardzo młody.

– I nie był związany z żadnym ze stowarzyszeń.

– Nic mi o tym nie wiadomo. James Gamble Rogers zastąpił go, a Sterling za wszystko zapłacił. Przy wejściu znajduje się poświęcona mu tablica. W tamtych czasach to była największa darowizna kiedykolwiek przekazana uniwersytetowi. Starczyło tego na Aulę Medyczną im. Sterlinga, Budynek Prawa im. Sterlinga i szkołę teologiczną. –

Dawes się zawahała. – Na dziedzińcu jest labirynt. Ma podobno zachęcać do medytacji, ale...

– Ale może ma być labiryntem? Zagadką, która uwięzi każdego zaciekawionego demona.

Dawes pokiwała głową.

– Sterling nie miał dzieci. Nigdy się nie ożenił. Żył przez czterdzieści lat z przyjacielem, Jamesem Blosssem. Razem mieszkali, razem podróżowali. Jego biograf opisywał go jako wieloletniego kompana, ale najprawdopodobniej kochali się, związali się na całe życie. Sterling zażądał w testamencie, żeby wszystkie jego dokumenty i listy zostały spalone po jego śmierci. Uważano, że chronił siebie i Blossa, ale może chciał ukryć coś jeszcze.

Na przykład plan wybudowania bramy do podziemnego świata.

Alex obejrzała się na wejście.

– Jeśli skryba to początek, to co jest następnym stopniem?

– Darlington nie nawiązał do dowolnego skryby tylko po to, żeby doprowadzić nas do Biblioteki Sterlinga – powiedziała Dawes, wymachując rocznikiem *Gazette*. – Zacytował Egipcjanina. Są dwie sale z witrażami w oknach nawiązujące do egipskiej *Księgi umarłych*. Tematycznie...

Jednakże Alex przestała jej słuchać. Patrzyła wzdłuż długiej nawy na biurko recepcji i fresk nad nim, jasne i żywe kolory, klójące się z ponurością budynku.

– Dawes – odezwała się, wchodząc jej w słowo. Była podekscytowana, ale nie chciała wyjść na idiotkę. – A jeśli następny stopień jest dokładnie przed nami? To jest Maria, prawda? Matka Boska Maria?

„Chciałbym sprawić, że pokochasz książki bardziej niż własną matkę”.

Dawes zdumiała się, popatrzyła na fresk i złotowłosą kobietę w białej szacie pośrodku.

– To nie jest Maria.

– Aha. – Alex próbowała ukryć rozczarowanie.

– To Alma Mater – wyjaśniała Dawes i słowa aż wibrowały od jej podniecenia. – Matka karmiąca.

Ruszyły szybkim krokiem. Trudno było nie zacząć biec.

Fresk był ogromny i osadzony wewnątrz gotyckiego łuku. Przedstawiał pełną gracji kobietę z otwartą książką w jednej ręce i kulą w drugiej. Okalało ją złote okno, wieże jakiegoś unoszącego się nad nią miasta. Może to nie było okno? Może to była brama?

– Naprawdę wygląda jak Maria – zauważyła Alex. Fresk mógłby być częścią ołtarza zabraną prosto z kościoła. – Nawet stoi obok niej mnich.

Otaczało ją osiem postaci. Osiem postaci, osiem domów Zasłony? Chyba trochę za bardzo się zapędziła.

– Światło i Prawda to dwie kobiety po lewej – wyjaśniła Dawes. – Reszta postaci reprezentuje sztukę, religię, literaturę i tak dalej.

– Ale żadna nie wskazuje tego, co ma być potem. Pewnie możemy iść albo w prawo, albo w lewo.

– Albo na górę – powiedziała Dawes. – Windami jedzie się do zbiorów i biur.

– Literatura wskazuje lewo.

Dawes skinęła głową.

– Ale Światło i Prawda patrzą w prawo na... drzewo. – Złapała Alex za rękę. – Takie samo jak to na fresku. Drzewo Wiedzy.

Nad głową Alma Mater, pośród łuków budynku, który również dobrze mógł być biblioteką, znajdowały się gałęzie drzewa, idealnie

powtórzone w kamieniu nad łukiem po prawej. Kolejne wejście. Może kolejny stopień do Womitorium.

– Znam ten cytat – powiedziała Alex, podchodząc do łuku. – „Tam mędrcy pozwalają mi zasiąść i wieść uczone rozmowy z potężnymi zmarłymi”.

– Thomson? – spytała Dawes. – Niewiele o nim wiem. Był Szkotem, ale mało się go teraz czytuje.

– Księga i Wąż posługują się tym cytatem, zaczynając swoje rytuały. – Pod łukiem znajdowała się kamienna klepsydra, kolejne memento mori. Może to był drogowskaz, a może to nic nie znaczyło. Tyle że... – Dawes, spójrz.

Łuk pod Drzewem Wiedzy prowadził do korytarza. Po lewej stronie stały przeszklone gabloty, a po prawej ciągnęły się okna ozdobione żółtymi i niebieskimi szybami. Każda kolumna między nimi została ozdobiona kamienną groteską, studentami pochylonymi nad książkami. Większość była żartobliwa – jeden dzieciak popijał piwo z dzbana i oglądał rozkładówkę, zamiast pracować, inny słuchał muzyki, kolejny spał. W otwartej książce jednego widać było litery U R A JOKE – „jesteś żartem”. Alex przechodziła obok nich, niczego nie zauważając, skupiona na pracach, które musi napisać, na lekturach, których wciąż nie przeczytała. Dopóki Darlington ich jej nie pokazał.

– Mam wrażenie, że jest tu z nami – powiedziała.

– Chciałabym, żeby był – odpowiedziała Dawes, próbując znaleźć właściwą stronę artykułu w starej *Gazette*. – Architektura to jego specjalność, nie moja. Ale to... – Wskazała konkretną groteskę, na którą Alex zwróciła jej uwagę. – Jedyne opisy brzmi: „lektura ekscytującej książki”.

A jednak wpatrywały się prosto w Śmierć z czaszką wyglądającą spod jej płaszcza, ręką szkieletu opartą na ramieniu kamiennego studenta. „Tam mędrcy pozwalają mi zasiąść i wieść uczone rozmowy z potężnymi zmarłymi”.

– Myślę, że znaki kierują nas tym korytarzem – powiedziała Alex. – Dokąd prowadzi?

Dawes zmarszczyła brwi.

– Donikąd tak naprawdę. Kończy się ślepo w dziale Rękopisów i Archiwów. Jest tam wyjście z budynku.

Przeszły do końca korytarza. Znajdował się tam dziwny hol z wysokim sklepieniem. Żelazne trytony o rozszczepionych na dwoje ogonach patrzyły na nich z okien. Czy goniły za urojeniem? Jeśli demony uwielbiały zagadki, to może Darlington podał im dokładnie tyle wskazówek, żeby ugrzęzły, wędrując po bibliotece Sterlinga i szukając ukrytych wiadomości w kamieniu.

Przed nimi znajdował się kolejny łuk, ale dziwnie pozbawiony ozdób. Na prawo od nich było dwoje drzwi i ciąg małych okien, które pasowałyby do pubu. Niektóre były ozdobione witrażami: Bednarz, Piekarz, Organista.

– Co to takiego? – spytała Alex.

Dawes kartkowała *Gazette*.

– Ktokolwiek to napisał, dopilnował, żeby niczego nie dało się tu znaleźć. Jeśli to celowe działanie, to zakrawa na zbrodnię. – Dmuchięła, żeby odsunąć z czoła pasmo rudych włosów. – W porządku, to są drzeworyty kogoś, kto nazywał się Jost Amman.

Kiedy tylko te słowa padły z ust Dawes, obie zamarły.

– Daj mi zerknąć.

Dawes podała jej *Gazette*. Dawes odczytała imię „Jost”, jakby zostało zapisane „Yost”, ale gdy Alex zobaczyła je na stronie, wiedziała, że nie może się mylić. Przypomniała sobie, jak błagała Darlingtona, żeby powiedział jej, gdzie znajdują Womitorium, a on z dziwną desperacją w głosie odpowiedział: „Gdybym tylko wiedział. Ale jestem tylko człowiekiem, dziedzicem niczego”. Chciał jej powiedzieć, lecz nie mógł. Musiał prowadzić grę jak demon i mieć nadzieję, że rozwiążą tę zagadkę.

Jestem tylko człowiekiem. *Just a man*. Jost Amman. Znajdowały się we właściwym miejscu.

Wskaż mi następny krok, Darlington, poprosiła w myślach. Na lewo od nich mała kamienna myszka skubała ścianę. Na prawo od nich znajdował się malutki kamienny pająk. Czy to była aluzja do Jonathana Edwardsa, kaznodziei od ognia i siarki? Alex słyszała o tym kazaniu, ponieważ było przedmiotem żartu w ich akademiku przy college'u Edwardsa. „Bóg, który trzyma cię ponad otchłanią piekielną, tak jakby trzymał pająka albo innego obrzydliwego insekta nad ogniem, czuje do ciebie odrazę i odczuwa makabryczną pokusę”. To dlatego ich drużyny sportowe nazywano Pająkami Edwardsa. Co powiesz na taką szkółkę niedzielną, Turner?

– Dokąd prowadzą te drzwi? – spytała Alex.

Było ich dwoje i wydawały się niezręcznie wciśnięte w kąt.

– Te prowadzą na dziedziniec – odpowiedziała Dawes, wskazując drzwi ze słowami *Lux et Veritas* wrytymi w kamieniu nad nimi. Światło i Prawda, motto Yale, te same cnoty, które przedstawiono na fresku, który je tu doprowadził. – A te prowadzą do biur.

– Co przegapiłyśmy?

Dawes się nie odezwała. Zagryzała usta.

– Dawes?

– Ehm... To tylko teoria...

– Nie możemy całymi latami jej udoskonalać jak jakiś doktorat. Daj mi cokolwiek.

Dawes pociągnęła się za pasmo włosów. Alex widziała, że Dawes jako perfekcjonistka walczy ze sobą.

– W zapiskach, które znalazłam, czwórka pielgrzymów wchodzi razem, żołnierz, uczony, kapłan i książe. Robią okrążenie, każdy staje przy wejściu i zajmuje tam stanowisko. Żołnierz robi to jako ostatni i domyka w ten sposób krąg.

- W porządku - powiedziała Alex, nie bardzo widząc, jak to się ma do czegokolwiek.

- W pierwszej chwili myślałam... czworo drzwi prowadzi na Dziedziniec Selina. W każdym narożniku są jedne. Myślałam, że może wskazówki prowadzą nas wokół dziedzińca, ale...

- Nie da się zrobić pełnego okrążenia.

- Nie bez wyjścia z budynku - zgodziła się Dawes. Westchnęła. - Nie wiem. Nie wiem, co dalej. Darlington by wiedział. Ale jeśli nawet to rozgryziemy... czterech morderców, czterech pielgrzymów. Czas ucieka, a musimy ich jeszcze znaleźć.

- Myślisz, że krąg ochronny nie wytrzyma?

- Nie jestem pewna, ale... myślę, że mamy największe szanse, jeśli przeprowadzimy rytuał w Halloween.

Alex potarła oczy.

- Będziemy więc łamać wszystkie zasady naraz?

Nie wolno było przeprowadzać żadnych rytuałów w Halloween, zwłaszcza tych związanych z magią krwi. Zbyt wielu Szarych ściągą podniecenie tej nocy. To było zbyt ryzykowne. Nie wspominając już o tym, że do Halloween brakowało dwóch tygodni.

- Myślę, że musimy - powiedziała Dawes. - Rytuały lepiej działają w przełomowych dniach, a Samhain uważa się za noc, kiedy otwierają się drzwi do podziemnego świata. Istnieją teorie, że pierwsze Womitorium zbudowano w Rath Cruachán, w Kociej Jaskini. Stamtąd wywodzi się zwyczaj obchodów Samhain.

Alex to się nie podobało. Wiedziała, do czego zdolni są Szarzy, kiedy przyciągają ich silne emocje albo krew.

- Ledwie mamy czas na znalezienie jeszcze dwóch morderców. A do tego czasu nowy Pretor zostanie już zainstalowany.

- Nie jestem morderczynią.

- No dobrze, jesteście dwiema dziewczynami, które niechętnie, acz skutecznie usuwają problemy.

Dawes zacisnęła usta, ale zaraz dodała:

- Będziemy też potrzebować kogoś, kto będzie nad nami czuwał, żeby nasze ciała pozostały bezpieczne, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Alex znowu ogarnęło wrażenie, że to zadanie całkowicie je przeraża. Potrzebowały więcej ludzi, więcej czasu, większej wiedzy.

- Wątpię, żeby Michelle zgłosiła się na ochotnika.

Telefon zadzwonił. Alex zaklęła, widząc imię na ekranie. Zawaliła kolejną rzecz.

- Przepraszam - powiedziała, zanim Turner zdążył na nią naskoczyć. - Zamierzałam zająć się tym cytatem z Biblii, ale...

- Mamy kolejne ciało.

Alex kusilo, żeby zapytać, czy żartuje, ale Turner nie żartował.

- Kto? - spytała tylko. - Gdzie?

- Spotkaj się ze mną w college'u Morse'a.

- Wystarczy w „Morsie, nikt nie mówi w „college'u Morse'a”.

- Dupa w troki, Stern.

- Turner uważa, że doszło do morderstwa - powiedziała Alex, kiedy się rozłączyła.

- Kolejne?

Nikt nie potwierdził tego, że Marjorie Stephen została zamordowana, zatem Alex wolała nie wyciągać pochopnych wniosków. Nawet jeśli doszło do dwóch morderstw, to nie musiały się ze sobą łączyć. Tyle że Turner nie zadzwoniłby do niej, gdyby się nie wiązały i gdyby jego zdaniem nie były powiązane ze stowarzyszeniami.

- Idź - powiedziała Dawes. - Ja będę tu dalej szukać.

Coś jednak dręczyło Alex.

- Nie rozumiem - mruknęła, obracając się powoli w miejscu i przyglądając się rozległej przestrzeni. Ona i Mercy uczyły się zwykle w jednej z czytelni. Nigdy nie oglądała zbiorów. Już sama skala tego budynku sprawiała, że trudno było go ogarnąć. - „Paru kumpli

Johnny'ego i Gracza zbudowało Womitorium". Tak powiedział nasz kumpel Bunchy. Naprawdę chcesz, żebym uwierzyła, że tak długo utrzymano Womitorium w tajemnicy?

- Też o tym myślałam - przyznała Dawes. - A co, jeśli... A co, jeśli Bunchy się pomylił? Jeżeli to Lete wbudowało Womitorium w bibliotekę?

- Co?

- Pomyśl o tym. Kościeje i Klucznicy mieliby współpracować? Stowarzyszenia nie dzielą się sekretami. Gromadzą wpływy. Tylko raz współpracowały: kiedy utworzono Lete, a i wtedy chodziło im tylko...

- O ratowanie własnych tyłków.

Dawes zmarszczyła czoło.

- Właściwie to tak. Chodziło o stworzenie stowarzyszenia, które uspokajałoby administrację i trzymało w karchach pozostałe stowarzyszenia. Organ nadzorczy.

- Chcesz powiedzieć, że organ nadzorczy uznał, że ukrycie na widoku tajnych drzwi do piekła to dobry pomysł?

Dawes miała teraz rumieńce na policzkach. Oczy jej błyszczały.

- Harkness, Whitney i Bingham są uważani za ojców założycieli Lete. Harkness był z Wilczego Łba i to on zwerbował Jamesa Gamble'a Rogersa do wybudowania połowy kampusu, w tym tej biblioteki.

- Ale czemu Lete zbudowałyby przejście, jeśli nie zamierzało z niego korzystać?

To nie miało za grosz sensu.

- A jesteśmy pewne, że nie korzystało? - spytała Dawes. - Może wiedzieli, że bawią się potencjalnie katastrofalnie niebezpiecznymi rzeczami i nie chcieli, żeby ludzie o tym wiedzieli.

Może. Ale to nadal miało niewiele sensu.

- Czy cały dowcip nie polega na tym, żeby zobaczyć drugą stronę? - spytała Alex. - Odkrywać tajemnice tego, co się tam znajduje? Dlatego właśnie zwerbowano mnie do Lete. Gdyby zeszli do podziemnego

świata, to zostawiliby relacje. Rozmawialiby o tym, debatowali, rozprawiali.

Dawes spojrzała niespokojnie i Alex jeszcze bardziej się zaniepokoiła. Cała ta sprawa śmierdziała. Po co budować Womitorium, jeśli nie zamierzasz z niego korzystać? Po co niszczyć wszelkie zapiski na jego temat? Nie ogarniały całokształtu i Alex miała silne przeczucie, że ktoś nie życzy sobie, żeby go ujrzały.

Rzucić się prosto w ciemność to jedno, a zupełnie co innego mieć wrażenie, że ktoś celowo pogasił światła. Alex miała takie samo wrażenie tego wieczoru, kiedy weszła do domu Eitana i została podstępem zmuszona do ujawnienia swojej mocy. Pakowały się w pułapkę.

Kiedy Alex zobaczyła ciało Marjorie Stephen, zastanawiała się, czy Turnera nie ponosi wyobraźnia – może widzi morderstwo, bo morderstwo to jego praca. Profesor sprawiała wrażenie wręcz spokojnej, ostateczność jej śmierci była zaledwie drobnym zakłóceniem. Budynek i świat wokół niej pozostały nietknięte.

Inaczej to wyglądało w przypadku dziekana Beekmana. Skrzyżowanie przed Morse'em – to samo miejsce, w którym znaleziono w zeszłym roku ciało Tary Hutchins – było zapchane policyjnymi wozami, ich koguty rozbłyskiwały, obracając się leniwie. Ustawiono barierki, gliniarz w mundurze sprawdzał dowody tożsamości studentów, zanim kogokolwiek wpuścił na dziedziniec. Turner już na nią czekał, kiedy przysła, i bez słowa zagonił ją do środka.

– Jak wyjaśnisz moją obecność tutaj? – spytała Alex, kiedy zakładała niebieskie ochraniacze na buty.

– Wszystkim mówię, że jesteś moją informatorką.

– Super, to teraz jestem donosicielką.

– Miewałaś gorzej. Wchodź do środka.

Frontowe drzwi do biura dziekana Beekmana były uchylone, przy wejściu widać było ślady błota. Masywne biurko stało przekrzywione, książki walały się po podłodze obok przewróconej butelki i rozlanego czerwonego wina. Profesor leżał na plecach, jakby siedział na krześle i zwyczajnie polecał do tyłu. Nogi nadal miał oparte na siedzeniu. Jeden but mu spadł, a lampa obok niego się przewróciła.

Czyżby dziekan przysnął, czytając przy kominku, i dał się zaskoczyć napastnikowi? Czy też stawiał opór i został pchnięty do tyłu na

krzesło? Z uniesionymi nogami wyglądał niepoważnie, prawie jak postać z kreskówki. Alex wolałaby, żeby kręciło się tu mniej ludzi, którzy mogli to widzieć. Idiotyczne. Co to teraz obchodziło dziekana Beekmana? Alex nigdy nie miała u niego zajęć, nie była pewna, czego uczył, ale był jednym z tych wykładowców, których wszyscy znali. Nosił tweedowy kapelusik z malutkim rondem i szalik college'u Morse'a, wszędzie jeździł na rowerze, jego dzwonek dźwięczał wesoło, gdy machał do studentów. Nazywano go Beeky, na jego wykładach zawsze panował tłok, jego seminaria były legendarne. Wydawało się, że znał każdą interesującą osobę, jaka studiowała na Yale, i ściągnął masę znanych aktorów i pisarzy na herbatki w college'u Morse'a.

Nikt nie powiedział słowa na temat Marjorie Stephen w ciągu kilku dni od jej śmierci. Alex wątpiła, by ktokolwiek poza jej studentami i kolegami z wydziału psychiatrii wiedział, że zmarła. W przypadku dziekana będzie diametralnie inaczej.

Nie chciała przyglądać się ciału, ale zmusiła się, żeby zerknąć na twarz. Miał otwarte oczy, ale nie były mętne jak oczy, które Alex zapamiętała z pierwszego miejsca zbrodni. Trudno było powiedzieć, czy wyglądał starzej, niż powinien. Miał otwarte usta, zdumiony, ale nadal miły wyraz twarzy, jakby witał przyjaciela, który niespodziewanie stał w jego drzwiach.

– Ma złamany kark – wyjaśnił Turner. – Koroner powie nam, czy doszło do tego, gdy spadł z krzesła, czy wcześniej.

– Czyli nie było trucizny – powiedziała. – A mimo to uważasz, że ta śmierć jest powiązana ze śmiercią Marjorie Stephen?

– Miał to na biurku. – Turner przywołał ją gestem i pokazał wydrukowany kawałek papieru leżący na suszce. „Nie zdradź tułaczy”.

– Znowu Izajasz?

– Zgadza się. Dopełnia linijkę znaną u profesor Stephen: „Ukryj wygnańców, nie zdradź tułaczy!”. Znalazłaś w Lete coś na ten temat?

Pokręciła głową.

– Nie miała okazji poszukać. – Byłam za bardzo zajęta sprawdzaniem, jak włamać się do piekła. – Nic nie wiem na temat Izajasza.

– To był prorok, który przewidział nadejście Chrystusa, ale nie wiem, jak to się ma do śmierci dwójki profesorów.

Alex przyjrzała się regałom, bałaganowi na biurku, sztywnemu ciału.

– To... wydaje się nienaturalne. Wręcz zainscenizowane. Cytaty z Biblii. Przewrócone ciało. Jest w tym coś...

– Teatralnego? – Turner pokiwał głową. – Jakby ktoś uważał, że to zabawne.

Jakby ktoś prowadził grę. A demony uwielbiają gry i zagadki, lecz jedyny demon na stanie siedział obecnie uwięziony w kręgu ochronnym. Czy ktoś ze stowarzyszeń bawił się z nimi?

– Czy profesor Stephen znała Beekmana?

– Jeśli byli powiązani, to się tego dowiemy, ale nie pracowali na tym samym wydziale. Nie zajmowali się nawet pokrewnymi dziedzinami. Dziekan Beekman wykładał amerykańistykę. Nie miał nic wspólnego z wydziałem psychiatrii.

– A trucizna, która zabiła profesor Stephen?

– Nadal czekamy na raport toksykologiczny.

Stowarzyszenia nie lubiły ściągać na siebie uwagi, ale to nie znaczy, że ktoś od nich nie działał na własną rękę. Jednakże całość wciąż nie miała sensu.

– Te wskazówki – powiedziała zaprzątnięta swoimi myślami. – Te cytaty z Biblii nie pasują. Gdyby ktoś posługiwał się magią... sama nie wiem, żeby na przykład zemścić się na profesorze, nie zostawiałby wskazówek. To wygląda jak robota kogoś niezrównoważonego.

– Albo kogoś, kto udaje niezrównoważonego.

To by oznaczało znacznie większe kłopoty. Choć Alex bardzo nie chciała uznać tych morderstw za swój problem, to nie mogła udawać, że nie widzi śladów upiorności. Magia oznaczała transgresję, roz-

mywanie linii między tym, co możliwe i tym co niemożliwe. Coś w przekraczaniu tych granic sprawiało, że ludzie zaczęli zapominać o tabu i zasadach moralnych, które uważano za oczywiste. Kiedy wszystko nagle znajdowało się w zasięgu twojej ręki, coraz trudniej było pamiętać, że nie powinno się po to sięgać: po pieniądze, władzę, wymarzoną pracę, wymarzony seks, życie.

– Powiedz, że mam paranoję, Stern, i będziesz mogła wrócić do czajenia się w tym nawiedzonym domu przy Orange Street.

Il Bastone to najmniej nawiedzony dom w całym New Haven, lecz Alex nie widziała sensu we wdawaniu się w dyskusję.

– Nie mogę – przyznała.

– Nie możesz... wykorzystać swoich znajomości po drugiej stronie?

– Nie mam duchów informatorów, Turner.

– To może spróbuj znaleźć przyjaciół?

Znowu Alex miała uczucie, że coś przegapia, że gdyby Darlington tu był, to wiedziałby, czego szukać, wiedziałby, jak wykonać swoją pracę. Może właśnie Darlingtona potrzebowała. Turner chciał odpowiedzi i może zdoła załatwić coś dla nich w zamian. Czterech pielgrzymów, czterech morderców. Alex nie wiedziała, czy to rozsądne zaufać Turnerowi, ale ufała i chciała, żeby stanął po jej stronie.

– Turner, czy kiedykolwiek kogoś zabiłeś? – zapytała.

– Co to za pytanie?

– Czyli tak.

– To nie twój cholerny interes.

Możliwe, że to jednak był jej interes.

– Jak długo musisz tu zostać?

Turner prychnął poirytowany.

– Czemu pytasz?

– Bo chcę ci coś pokazać.

Gra planszowa; tektura, papier, kość

Pochodzenie: Chicago, Illinois; ok. 1919 r.

Ofiarodawca: Księga i Wąż, 1936

Wersja gry w Gospodarza, która bardzo przypomina swoją późniejszą wersję znaną jako Monopol. Nazwy miejsc są wzięte z Chicago i jego okolic. Kostki wykonano z prawdziwej kości, najprawdopodobniej ludzkiej. Niektóre dowody sugerują, że ręcznie wykonana plansza powstała w Princeton, ale kości dodano później, a grę bardzo często wykorzystywano w okresie Prohibicji, kiedy przelotna aktywność okultystyczna skupiona wokół księgarni D.G. Nelsona doprowadziła do zwiększonej obecności demonicznej w północnej części miasta. Żywe kolory i nieustanne targi wymagane przez grę sprawiały, że natychmiast wciągala, a dwa inne czynniki – nieprzeniknione zasady i przeciągająca się rozgrywka, która mogła trwać wiele godzin – oznaczały, że właściwie nie dało się wygrać. Ujmując to pokrótce, jest to doskonała pułapka na demony.

Niestety w pewnym momencie zgubiono jedną z kości i wszelkie próby zastąpienia jej okazały się nieskuteczne.

z Katalogu Zbrojowni Lete;
korekta i redakcja: Pamela Dawes, Oculus

Turner nie mógł po prostu zniknąć z miejsca przestępstwa, ale zgodził się przyjechać po nią następnego ranka po zajęciach ze współczesnej poezji. Wieść o śmierci dziekana Beekmana szybko się rozniosła i kampus ogarnął niepokój. Życie wciąż trwało, ludzie śpieszyli się do swoich spraw, jednak Alex widziała też grupki obejmujących się i zapłakanych studentów. Niektórzy ubrali się na czarno albo wkładali tweedowe kapelusiki. Rozwieszono ulotki informujące o czuwaniu na dziedzińcu college'u Morse'a. Wbrew sobie Alex pomyślała o ranku po znalezieniu ciała Tary, o nieszczerzej hysterii, plotkach, które krążyły po uniwersytecie jak podekscytowana chmara szerszeni. Alex rozumiała, że Beeky'ego kochano, był dla tych ludzi jak ojciec, stanowił postać trwale wpisaną w krajobraz Yale. Pamiętała jednak podniecenie po śmierci Tary, dreszczyk niebezpieczeństwa widzianego z dystansu, nowego smaku, którego można było spróbować bez żadnego ryzyka.

To zaś był prawdziwy smutek i realny strach. Profesor Alex zaczęła wykład od wspomnienia, jak dziekan Beekman z żoną ugościli ją u siebie w domu w Święto Dziękczynienia i że każdy, kto znał Beeky'ego, nigdy nie czuł się samotny na Yale. Gabinet dziekana w college'u został zamknięty i pilnowała go ochrona z Yale, nie policja New Haven. Rektor uniwersytetu zwołał tego wieczoru nadzwyczajne zebranie dla zaniepokojonych studentów w Woolsey Hall. W *Yale Daily News* napisano pokrótce o morderstwie – podejrzewa się, że chodziło o rabunek, policja już ma ewidentny trop, który wychodzi poza społeczność New Haven. To trąciło uspokajającą bajeczką: „Nie martwcie

się drodze rodzice, to nie jest przestępstwo w Yale ani nawet w New Haven. Nie ma powodu, by wasze dzieci pakowały manatki i wyjeżdżały na Cambridge”. Jeśli śmierć profesor Stephen była zmarszczką na stawie, to morderstwo dziekana Beekmana można porównać do ciśnięcia fortepianu do jeziora.

Turner zgarnął Alex spod jednego z nowych hoteli przy Chapel Street, dostatecznie daleko od miejsca przestępstwa i kampusu, by żadne z nich nie musiało się martwić tym, że zostanie zauważone. Alex próbowała przygotować go w drodze do Black Elm, ale detektyw nie odezwał się słowem, kiedy przedstawiła mu suche fakty dotyczące jej teorii na temat Darlingtona i wyjaśniła, że wbrew wszystkiemu okazało się, że miała rację. Turner pozwolił jej mówić, sam pozostał zimny i milczący, jakby był manekinem posadzonym za kierownicą, żeby zademonstrować bezpieczną jazdę. Raptem wczoraj opowiedziała to samo Mercy, ale ona nasiąknęła tym wszystkim i wróciła po więcej. Turner wyglądał, jakby był gotowy zjechać razem z Alex prosto z krawędzi urwiska.

Wysłała wiadomość do Dawes, że właśnie jadą do Black Elm, bo uznała, że tak należy zrobić, ale pożałowała tej decyzji, gdy tylko zobaczyła Dawes stojącą przed frontowymi drzwiami w workowatym dresie i z rudymi włosami jak zwykle związanymi w przekrzywiony koczek – wyglądała jak stopiona świeca z niespodziewanym płomykiem. Zaciskała z dezaprobatą usta.

– Wygląda na szczęśliwą – zauważył Turner.

– A to nie jest tak, że wszyscy wyglądają na szczęśliwych, gdy przyjeżdżają do nich gliniarze?

– Tak, panno Stern, ludzie, których okradziono albo którzy cudem uniknęli zadżgania nożem, zwykle cieszą się na nasz widok.

Przynajmniej teraz wiedziała, że słuchał jej po drodze, bo tylko rozmowy o magii i okultyzmie wprawiały go w taki nastrój.

– Centurionie – powitała go Dawes i Alex się skrzywiła.

- Do cholery, nazywam się detektyw Abel Turner i dobrze o tym wiesz. Wyglądasz na wykończoną, Dawes. Za mało ci płacą.

Dawes spojrzała zaskoczona, a potem odpowiedziała:

- Prawdopodobnie tak.

- Zostawiłem otwarte akta sprawy, żeby tu być. Możemy wziąć się do pracy?

Dawes wpuściła ich do środka, ale kiedy już szli na górę z Turnerem, szepnęła:

- To zły pomysł.

Alex zgodziła się, ale nie wiedziała, co innego mogłyby zrobić.

- On powie Anselmowi - zamartwiała się Dawes, idąc korytarzem za Turnerem w stronę sali balowej. - Nowemu Pretorowi. Policji!

- Nie, nic nie powie. - A przynajmniej Alex miała taką nadzieję. - Potrzebujemy jego pomocy, a to znaczy, że musimy mu pokazać, z czym się mierzymy.

- A z czym właściwie się mierzymy? Przynaj, że po prostu wymyślasz to wszystko na poczekaniu.

Rzeczywiście tak było, jednak instynkt kazał jej wrócić do Black Elm i musiała przy okazji przywlec ze sobą Turnera.

- Jeśli masz jakiś inny pomysł, to wystarczy jedno twoje słowo, Dawes. Znasz jakichś morderców?

- Poza tobą?

- On może nam pomóc. I też potrzebuje naszej pomocy. Dziekan Beekman został zamordowany.

Dawes zamarła w pół kroku.

- Co?

- Znałaś go?

- Oczywiście, że go znałam. Wszyscy go znali. Chodziłam na jego zajęcia na studiach licencjackich. On...

- W mordę jeża.

Turner zamarł w progu Sali balowej i nie wyglądało na to, że zamierza wejść do środka. Cofnął się krok z wyciągniętą przed siebie ręką, jakby chciał się odgrodzić od tego, co widzi. Drugą rękę położył na broni.

- Nie możesz go zastrzelić - powiedziała Alex z całym spokojem, jaki była w stanie z siebie wykrzesać. - A przynajmniej nie wydaje mi się, żebyś mógł.

Dawes pobiegła do drzwi i stanęła między Turnerem i złotym kręgiem jak żywa tarcza.

- Mówiłam, że to fatalny pomysł!

- Co to jest? - zapytał ostro Turner. Zaciskał zęby, marszczył brwi, ale w oczach płonął mu strach. - Co ja tu widzę?

Alex mogła powiedzieć tylko jedno:

- Mówiłam ci, że się zmienił.

- Zmieniłby się, gdyby stracił kilka funtów, obciął włosy, a nie...

W tej samej chwili Darlington otworzył oczy, jasne i złote.

- Gdzie byłaś? - Turner aż podskoczył na dźwięk głosu Darlingtona, który brzmiał ludzko, jeśli pominąć zimne echo. - Cuchniesz śmiercią.

Alex stęknęła.

- Nie pomagasz.

- Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś? - wykrztusił Turner. - Poprosiłem o pomoc. Myślałem, że jasno się wyraziłem, że nie chcę brać żadnego udziału w tych pochrzanionych okultystycznych sprawach.

- Zejdźmy na dół - zaproponowała Dawes.

- Zostańcie - powiedział Darlington, a Alex nie wiedziała, czy to prośba, czy rozkaz.

- Myślę, że Darlington może ci pomóc - odezwała się. - Chyba on jedyny spośród nas jest w stanie.

- To coś? Słuchaj, Stern, nie wiem, ile z tego to prawda, a ile... to jakieś hokus-pokus i tego typu bzdury, ale potrafię rozpoznać

potwora, gdy go zobaczę.

– Potrafisz? – Alex ogarnął gniew. – A wiedziałeś, że dziekan Sandow to morderca? Wiedziałeś, że Blake Keely to gwałciiciel? Pokazałam ci, co jest za drzwiami. Nie możesz ich zatrzaskać i udawać, że nigdy tego nie widziałeś.

Turner potarł oczy.

– A słowo daję, że chciałbym.

– Chodź.

Alex weszła do sali i miała nadzieję, że detektyw pójdzie za nią. Powietrze w pomieszczeniu było nagrzone. Wszędzie unosił się słodki zapach, zapach pożaru w lesie, smród katastrofy na wietrze. To był ten rodzaj zapachu, który sprawia, że kojoty uciekają ze wzgórz na podwórza na przedmieściach, gdzie kulą się, kucają obok basenów i wyją.

– Detektywie – odezwało się stworzenie zza złotej ściany.

Turner stał w progu.

– To naprawdę ty?

Darlington zastanawiał się chwilę.

– Nie jestem do końca pewien.

– Do diabła – mruknął Turner, bo mimo rogów i jarzących się symboli Darlington wyglądał zupełnie jak człowiek. – Co mu się stało? Co to wszystko jest? Dlaczego, kurwa, jest nagi?

– Jest uwięziony i musimy pomóc mu się wydostać – wyjaśniła Alex.

– Nie masz na myśli zgłoszenia zaginięcia, co?

– Obawiam się, że nie.

Turner potrząsnął głową, jakby nadal się zastanawiał, czy nie śni, może nawet miał nadzieję, że to sen.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie. To nie moje zadanie i nie chcę się tym zajmować. I nie wmówisz mi, że to ma cokolwiek wspólnego

z naszymi szefami w Lete, bo widzę ten wypłoszony wyraz twarzy Dawes. Boi się, że was zakapuję.

- Twoja sprawa...

- Nie zaczynaj ze mną, Stern. Lubię moją pracę... nie, kocham swoją pracę, a czymkolwiek to jest... To nie jest warte żadnych pieniędzy na świecie. Rozwiążę tę sprawę w stary, dobry, policyjny sposób. Łącznie z całym tym gównem w rodzaju „Ukryj wygnańców”...

- „Nie zdradź tułaczy” – dokończył cytując Darlington.

Alex prawie spodziewała się grzmotu i błyskawicy, jakiejś kosmicznej reakcji na fakt, że półdemon, a może więcej niż tylko półdemon, cytuję Biblię.

- Zgadza się – przyznał skrzepowany Turner.

- Mówiłam – szepnęła Alex.

- Przyszłaś z miejsca zbrodni – powiedział Darlington. – Dlatego niesiesz śmierć jak całun.

Turner zerknął na Alex, a ona pożałowała, że Darlington nie może mówić jak normalny Darlington. Jednakże Turner był detektywem i nie potrafił się oprzeć.

- Znasz ten cytat?

- Kto został zabity?

- Profesor i dziekan z college'u Morse'a.

- Dwa ciała – zamyślił się na głos Darlington. A potem błady uśmiešek wypłynął mu na twarz, szelmowski, niemal głodny. Nie było w tym niczego ludzkiego. – Będzie trzecie.

- Co to, do diabła, znaczy?

- Właśnie.

- Wytłumacz się! – zażądał Turner.

- Zawsze podziwiałem cnotę, ale nigdy nie potrafiłem jej naśladować – mruknął Darlington.

Turner uniósł ręce.

- Czy jemu całkiem odbiło?

Gdzieś na dole rozległ się dźwięk dzwonka i jednocześnie zawibrował telefon Dawes.

Poza Darlingtonem wszyscy podskoczyli.

Dawes nabrała gwałtownie powietrza. Wpatrywała się w telefon.

- O, Boże. O, Boże.

- Kto to? - zapytała Alex, zerkając na ekran, gdzie elegancko ubrana para próbowała zajrzeć przez okno przy frontowych drzwiach.

- Wyglądają jak agenci od nieruchomości - rzekł Turner.

Jednakże Dawes była przerażona bardziej, niż kiedy otworzyły portal do piekła.

- To rodzice Darlingtona.

Turner pokręcił głową.

– Wyglądacie jak dzieciaki, które przyłapano na dobieraniu się do barku rodziców.

Alex rozważała wszelkie możliwe strategie, wymówki, rozbudowane kłamstwa.

– Nie pokazujcie się, a ja się nimi zajmę.

– Alex...

– Daj mi to załatwić. Nie będę nikogo biła.

A przynajmniej taką miała nadzieję. Tłumaczenia z łaciny i szukanie cytatów z Biblii nie były jej specjalnością, ale okłamywała rodziców przez większość życia. Kłopot polegał na tym, że brakowało jej informacji. Darlington nigdy nie mówił o swoich rodzicach, a jedynie o dziadku, jakby wyrósł z mchu porastającego kamienie starego domu i był troskliwie pielęgnowany przez starzejącego się i zręczliwego ogrodnika.

Potrzebowała staruszka. Widywała go czasem czającego się w domu, w szlafroku i z paczką zgniecionych chesterfieldów w kieszeni.

Ejże, pomyślała Alex, starając się nie panikować, gdy schodziła pośpiesznie po schodach. Gdzie jesteś?

Słyszała Arlingtonów, jak dobijają się teraz do drzwi kuchennych. Zerknęła na telefon Dawes i zobaczyła frustrację na ich twarzach.

– Mercedes stoi na podjeździe – mruknął ojciec.

– Specjalnie każe nam czekać.

– Powinniśmy byli najpierw zadzwonić.

– Po co? – narzekała matka. – On nigdy nie odbiera.

Alex wciągnęła sweter, chociaż nadal była spocona po skwarze w sali balowej. Musiała zasłonić tatuaże, sprawiać wrażenie poważnej osoby, budzić szacunek.

Jest! Staruszek siedział na przeszklonej werandzie z Cosmo u swoich stóp.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała Alex.

– Co, u diabła, robisz w moim domu? – zapytał płaczliwie.

Czyli Alex miała rację. To nie był przypadkowy Szary, który zapędził się tutaj i spodobała mu się atmosfera domu. Puste miejsca nie przyciągały w naturalny sposób duchów. To musiał być dziadek Darlingtona.

Chodźże. Wyciągnęła rękę i pociągnęła. Mężczyzna otworzył usta w wyrazie zaskoczenia, a potem już wpadał w nią z odgłosem zastarzałego kaszlu. Alex poczuła smak papierosów i czegoś podobnego do smoły. Rak. Czowała smak raka. Mężczyzna był słaby, gdy umarł, potwornie cierpiał i gniew płonął w nim tak jasnym żarem, że czowała także jego smak. Nie potrzebowała siły staruszka, tylko jego wspomnień. Natychmiast napłynęły wyraźne, jak wspomnienia Pana Młodego, gdy wpuściła go do swojego umysłu.

Patrzyła na Black Elm, ale to był piękny, żywy dom, pełen światła i ludzi. Przyjaciele jej ojca, stary majster z fabryki. Biegła korytarzami, gonila białego kota w ogrodzie. To nie mógł być Cosmo, bo to działo się dawno temu, ale... Kot odwrócił się i spojrział na nią pobliznionym okiem. Kot-Bowie.

Nie miał braci ani sióstr, jedyny syn; zawsze był tylko jeden chłopiec, żeby zająć się interesami i Black Elm. Nie był jednak samotny. To było jego miejsce, jego forteca, statek, którym dowodził w każdej rozgrywce. Palił skradzione papierosy w pokoju na wieży, spoglądając na drzewa. Chował swoje skarby pod luźnym parapetem – komiksy, kawałki toffi, a potem whisky, papierosy i egzemplarze pisemka *Bachelor*. Patrzył, jak ojciec płacze, gdy podpisywał dokumenty zwią-

zane z zamknięciem fabryki. Ciągnął Jeannie Bianchi ciemnym korytarzem, dyszał jej do ucha, gdy doszedł w jej dłoni.

Ubrany w czarny garnitur opłakiwał matkę. Miał na sobie ten sam garnitur, gdy złożył do grobu ojca. Kupił żonie bordowego mercedesa, kochali się na tylnym siedzeniu właśnie tutaj, na podjeździe.

- Pojedźmy do Kalifornii - szepnęła. - Pojedźmy tam jeszcze dzisiaj.

- Pewnie - odpowiedział, ale nie mówił szczerze.

Posiadłość Black Elm potrzebowała go. Jak zawsze. Patrzył na żonę z progu salonu, jak siedziała z podkulonymi nogami, słuchając muzyki, której nie lubił albo nie rozumiał, i popijała wódkę z dużych szklanek. Spojrzała na niego, stanęła chwajnie, pogłośniła muzykę.

- To cię zabije - ostrzegł ją. - Już załatwiło twoją wątrobę.

Ona pogłośniła muzykę. Rzeczywiście wódka w końcu ją załatwiła. Musiał kupić sobie nowy czarny garnitur. Nie potrafił jej jednak winić za to, że nie umiała przestać. Rzeczy, które kochasz, rzeczy, których potrzebujesz - one nigdy nie przestają z ciebie czerpać.

Trzymał dziecko na rękach, swojego syna... nie, wnuka, drugą szansę, by tym razem zrobić to, jak należy, uformować chłopca z prawdziwej stali, prawdziwego Arlingtona, silnego i zdolnego, a nie takiego głupca jak jego syn, niedołęgę bez charakteru, uciekającego od jednej porażki do drugiej, budzącego zażenowanie. Gdyby Daniel nie przypominał tak bardzo Arlingtona, to podejrzewałby, że żona znalazła sobie jakiegoś ciamajdowatego artystę, z którym spędzała popołudnia. To było jak patrzeć na swoje odbicie w krzywym lustrze - na swoją wersję pozbawioną kręgosłupa. Nie popełni jednak tych samych błędów w przypadku Danny'ego.

Dom był teraz inny, cichy i ciemny, jeśli pominąć Bernadette nucającą w kuchni i Danny'ego biegającego korytarzami, tak jak kiedyś robił to on. Nie spodziewał się, że się zestarzeje. Nie do końca rozumiał, co to znaczy starość, ciało coraz bardziej się buntowało, samot-

ność napierała, jakby czekała, aż on zwolni i będzie mogła go dopaść. Kiedyś był nieustraszony. Silny. Daniel i jego żona odwołali wizytę.

– Dobrze – powiedział.

Jednakże nie mówił tego z takim przekonaniem, z jakim by chciał.

Kiedy zakradła się śmierć? Skąd wiedziała, gdzie go znaleźć? Głupie pytanie. Żył w tym grobie od lat.

– Zabij mnie, Danny. Zrób to dla mnie.

Danny płakał i przez chwilę widział w nim chłopca z dawnych lat, a nie ucieleśnienie cnót Arlingtonów, dziecko zagubione w jaskiniach Black Elm, nieustannie doglądające potrzeb domu. Powinien był mu powiedzieć, żeby uciekł i nigdy się nie oglądał, żeby uwolnił się od tego miejsca i wędrującej spuścizny. Zamiast tego uściśnął jego nadgarstek resztkami sił.

– Oni zabiorą dom, Danny. Zabiorą wszystko. Będą utrzymywać mnie przy życiu i wyczerpią całe fundusze, mówiąc, że to na opiekę nade mną. Tylko ty możesz ich powstrzymać. Musisz być rycerzem. Po prostu weź morfinę i wstrzyknij mi. Widzisz, to nawet wygląda jak lanca.

– A teraz idź – powiedział, gdy chłopiec płakał. – Nie mogą odkryć, że tu byłeś.

Żałował tylko tego, że umrze samotnie.

Jednakże śmierć nie zdołała powstrzymać go przed powrotem do Black Elm. Trafił tu ponownie, wolny od bólu, znowu był w domu, wiecznie wędrował po schodach, pokojach. Zawsze miał wrażenie, że o czymś zapomniał, ale nie był pewien o czym. Patrzyła, jak Danny je ochłapy w kuchni, śpi w zimnym łóżku pod starymi płaszcami. Dlaczego przeklął to dziecko służbą dla tego domu, jaką sam wcześniej pełnił? Danny był jednak wojownikiem, Arlingtonem, silnym, odpornym. Żałował, że nie może go pocieszyć, pokrzepić. Żałował, że nie może tego wszystkiego cofnąć.

Danny stał w kuchni, mieszając jakąś ohydą miksturę. Wyczuwał desperację wnuka, żal, gdy stał nad bulgocącym kociołkiem i szep-

tał: „Pokaż mi coś więcej”. Danny postawił ozdobny kielich, ale zawa-
hał się, nim nalał do niego trochę dziwnej czerwonej mieszaniny.
Odstawił stary kociołek Bernadette i wybiegł z kuchni.

Staruszek wyczuwał śmierć w kociołku, katastrofę. Przestań. Prze-
stań, zanim będzie za późno. Zamachnął się, chciał go strącić z pieca,
siłą woli próbował powrócić do tego świata, tylko na chwilę, na
sekundę. Daj mi tylko siłę, żebym go uratował. Niestety był słaby, do
niczego się nie nadawał, był nikim i niczym. Danny wrócił, niosąc
paskudne pudzderko na drobiazgi, z napisem *Obuwie Gumowe Arlington*
na porcelanowym wieczku. Trzymał je na biurku, pozwalał
Danny’emu bawić się nim, gdy był dzieckiem. Czasem zaskakiwał go,
wkładając tam ćwierćdolarówkę, gumę albo niebieski kamyczek
z ogródka na tyłach domu, czasem nie wkładając niczego. Danny wie-
rzył, że pudzderko jest zaczarowane. Teraz wlał do niego truciznę.
„Przestań!”, chciał krzyknąć. Och, Danny, błagam, przestań. Niestety
chłopiec ją wypił.

Alex zatoczyła się, wpadła na jadalniany stół i prawie się przewróci-
ła, zanim złapała się brzegu. Było tego za dużo, obrazy były zbyt
wyraźne. Osunęła się na kolana i zwymiotowała na mozaikę podłogową.
Próbowała powstrzymać kołowrotek w głowie, oderwać się od
przeszłości Black Elm i widzieć jedynie teraźniejszość.

Dzwonek rozległ się znowu. Brzmiał oskarżycielsko.

– Już idę! – zawołała.

Zmusiła się do wstania, poszła chwiejnie do toalety obok kuchni.
Opłukała usta, opryskała twarz wodą, związała włosy w niski, ciasny
kucyk.

– Na miłość boską, Cosmo, nie ruszaj tego! – Kot wachał kałużę jej
wymiocin. – Pomóż mi.

I Cosmo, jakby ją zrozumiał, zrobił coś, czego nigdy dotąd nie
robił: skoczył jej na ręce. Przytulił go ostrożnie do piersi, ukrywając
przypaloną sierść.

– Barbarzyńcy stoją u wrót – szepnęła. – Weźmy się do roboty.

Dzwonek znowu się odezwał.

Alex zastanowiła się, kim chce być w tej chwili, i uznała, że Salome, przewodniczącą delegacji Wilczego Łba, którą musiała zastraszyć, żeby udostępniła jej salę świątyni. Bogata, piękna, przyzwyczajona do stawiania na swoim. Dziewczyna, z jaką Darlington mógłby się spotykać, gdyby nie miał dobrego gustu.

Otworzyła powoli drzwi. Bez pośpiechu. Zamrugła na widok rodziców Darlingtona, jakby wyrwali ją z drzemki.

- Tak?

- Kim jesteś?

Kobieta, Harper - jej imię pojawiło się razem z podwójnym widzeniem, gdy wzrok Alex połączył się ze spojrzeniem staruszka - była wysoka, szczupła, ubrana w idealnie skrojone spodnie z wełny, jedwabną bluzkę i perły. Mężczyzna - na jego widok wezbrała w niej czysta i kipiąca pogarda. Bardzo przypominał Danny'ego, Daniela, Darlingtona. Jest taki podobny do mnie. A jednak w niczym nie przypominał żadnego z nich dwóch. Alex spotkała wielu drobnych kanciarzy w swoim życiu, ludzi, którzy zawsze szukali drogi na skróty, prostych rozwiązań. Byli idealnymi ofiarami.

- Alexandra - odpowiedziała znudzonym głosem, głaszcząc Cosmo. - Pilnuję domu, dopóki Darlington jest w Hiszpanii.

- My...

- Wiem, kim jesteście. - Próbowала napełnić te słowa w równym stopniu pogardą, jak brakiem zainteresowania. - On sobie was tu nie życzy.

Daniel Arlington aż się w niej zagotował. Harper zmrużyła oczy i uniosła idealną brew.

- Alexandro, nie wiem, kim jesteś ani dlaczego nasz syn wyznaczył cię na swojego psa-wartownika, ale chcę z nim porozmawiać. Natychmiast.

- A co, znowu skończyły się wam pieniądze?

- Zejdź mi z drogi - powiedział Daniel.

Alex w pierwszym odruchu chciała solidnie go odepchnąć i patrzeć, jak ląduje kościstym tyłkiem na żwirowym podjeździe. Widziała tych ludzi we wspomnieniach staruszka. Prawie nie odzywali się do Danny'ego, prawie w ogóle o nim nie myśleli. Nawet jeśli jej matka nie pamiętała o płaceniu rachunków i zapewnieniu czegokolwiek, co przypominałoby stabilność, to przynajmniej dbała o Alex. Alex musiała jednak zostać w roli bogatej dziewczynki.

- Bo co? - spytała ze śmiechem. - To jest wasz dom. Z chęcią zadzwonię po policję, żeby to wszystko wyjaśniła.

Ojciec Darlingtona odchrząknął.

- Myślę... że doszło do nieporozumienia. Zawsze mamy kontakt z Danny'm, gdy wyjeżdża na wakacje, i zawsze odbiera nasze telefony.

- Jest w Hiszpanii i chodzi do terapeuty - odpowiedziała Alex. - Uczy się ustanawiać granice. Sami powinniście o tym pomyśleć.

- Chodź, Danielu - powiedziała Harper. - Ta mała suka jest pijana władzą. Kiedy wrócimy, będziemy mieli list od naszego prawnika.

Pomaszerowała z powrotem do range rovera.

Daniel pomachał Alex palcem przed twarzą, próbując odzyskać strzępki godności.

- Właśnie. Nie masz żadnego prawa...

- Wracaj biegiem do domu, mięczaku. - Słowa zabrzmiały jak basowe warknięcie. To nie był głos Alex. Wiedziała, że ojciec Darlingtona nie widzi już jej twarzy. - Trzymałeś mnie jak zakładnika w moim własnym domu, ty płacziwa niedorajdo.

Danielowi Arlingtonowi IV wyrwał się słaby okrzyk; zatoczył się do tyłu i prawie padł na kolana.

Alex zmusiła starca do wycofania się, ale to nie było łatwe. Czuli go w głowie, jego zaciętą determinację, ducha, który wiecznie walczył sam ze sobą, ze światem, ze wszystkim i wszystkimi wokół niego.

- Daniel, przestań marudzić! - zawołała z samochodu Harper, uruchamiając silnik.

- Ale... ale... - Rozdziawił usta, lecz widział teraz tylko spokojną twarz Alex.

Starzec w jej głowie był jak pies, którego ledwie była w stanie utrzymać na smyczy.

Ciućmok. Cykor. Jak mogłem wychować takiego syna jak ty? Nie miałaś nawet dość jaj, żeby stawić mi czoło, trzymałaś mnie otyłego lekami, bezradnego, ale ostatecznie cię załatwiłem, co?

Cosmo wiercił się na rękach Alex. Uniosła dłoń i pomachała odjeżdżającym.

- Pa, pa - rzuciła śpiewnie.

Daniel Arlington podszedł do samochodu. Range rover ruszył, strzelając żwirem spod kół.

- Dzięki, Cosmo - mruknęła Alex, kiedy kot zeskoczył i pobiegł z powrotem na tyłu domu na polowanie. - I tobie.

Wypchnęła starca z umysłu z całą mocą. Pojawił się przed nią. Szlafrok załopotał, jego nagie, wychudzone ciało było obsypane siwymi włoskami.

- To była jednorazowa przejażdżka - powiedziała. - Nie myśl nawet o tym, żeby jeszcze kiedyś uprowadzić ten pociąg.

- Gdzie jest Danny? - warknął starzec.

Alex udała, że go nie słyszy, i pomaszerowała z powrotem do Dawes i Turnera.

Kiedy Dawes się denerwowała, prowadziła jeszcze wolniej niż zwykle. Alex obawiała się, że powrót na kampus zajmie im ze dwie godziny.

- Zaangażują w sprawę prawnika - narzekła Dawes.

- Nieprawda.

- Wciągną w to administrację Yale.

- Nieprawda.

- Na miłość boską, Alex! - Dawes szarpnęła kierownicą w prawo i mercedes zjechał ku poboczu, prawie wskazując na krawężnik. - Przestań udawać, że wszystko będzie dobrze.

- A jak inaczej mamy przez to przejść? - zapytała Alex. - Ja tylko to potrafię. - Zmusiła się do wzięcia głębokiego wdechu. - Rodzice Darlingtona nie wrócą z prawnikiem ani nie wciągną w sprawę Yale.

- A dlaczego nie? Mają pieniądze, wpływy.

Alex powoli pokręciła głową. Widziała bardzo wiele wspomnień staruszka, przeżyła to wszystko. Tylko raz przeszła coś podobnego - kiedy wpuściła Pana Młodego i przeżyła chwilę jego śmierci. Nie tylko dowiedziała się, jak bardzo kochał Daisy, ale poczuła tę miłość - ona też ją kochała. Jednakże tym razem było tego dużo więcej, całe życie wypełnione drobnymi przyjemnościami i nieskończonym rozczarowaniem, każdy dzień i każda myśl ukształtowana przez Black Elm, gorycz, pragnienie czegoś, co mogłoby trwać dłużej niż jego przełotne, nic nieznaczące życie.

- Nie mają ani jednego, ani drugiego. Nie w takim sensie, jak myślisz. To dlatego naciskają na Darlingtona, żeby sprzedał Black Elm.

Dawes była wstrząśnięta.

- Ale przecież on nigdy nie sprzeda domu.

- Wiem. Jeśli jednak odkryją, że zaginął, będą próbowali odebrać mu Black Elm.

Siedziały w milczeniu przez długą minutę, silnik pracował na jałowym biegu. Przez okno Alex widziała wąski pas parku, liście na drzewach jeszcze się nie zmieniały. Wróciła myślami do Black Elm, czuła przyciąganie domu, sposób, w jaki domagał się miłości, zatraciła się w samotności tego miejsca.

- Nie zaangażują prawników, ponieważ nie chcą, żeby ktokolwiek wziął ich pod lupę. Oni... Dziadek Darlingtona zasadniczo ich wykupił. Chciał wychować... - Prawie powiedziała „Danny’ego”. - Oni go tam po prostu zostawili i myślę, że więzili staruszka, kiedy zachorował. - Dopóki Danny go nie uwolnił. To dlatego przetrwał w piekle. Nie tylko z tego powodu, że był Darlingtonem, wyposażonym w rozległą wiedzę, ale ponieważ zabił swojego dziadka.

To nie miało znaczenia, że dziadek go o to poprosił, tak jak nie miało znaczenia, że Dawes zmiażdżyła Blake’owi czaszkę, żeby ratować życie Alex.

- Ale wrócą - powiedziała Dawes.

Alex nie mogła temu zaprzeczyć. Śmiertelnie przeraziła ojca Darlingtona, ale potwory nie odchodzą tylko dlatego, że dostały ostrzeżenie. Harper i Daniel Arlingtonowie wrócą i znowu zaczną węszyć, szukać swojego udziału.

- Zatem ściagniemy z powrotem Darlingtona, a on ich osobiście pośle do diabła. - Był obrońcą Black Elm i nadal był jedyną osobą zdolną obronić dom. - Kto pomoże nam znaleźć jeszcze jednego mordercę? Zaczynają mi się kończyć przysługi, na które mogę się powołać w stowarzyszeniach.

- Nikt - odpowiedziała Dawes, ale miała dziwny głos. - Musimy zejść do piwnicy Peabody’ego. Tyle że robią tam remont i wszędzie są kamery.

- Możemy skorzystać z burzy, którą zaparzyłaś w zeszłym roku. Tej, która utrudnia pracę urządzeniom elektronicznym. I wciągnijmy Turnera. Może nam pomóc, gdybyśmy musiały sprawdzić czyjaś kartotekę.

- Nie... nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Albo mu ufamy, albo nie, Dawes.

Dawes poruszyła palcami na kierownicy, a potem skinęła głową.

- Naprzód marsz.

- Naprzód marsz – powtórzyła Alex.

Do piekła i z powrotem.

* * *

Alex zastała Mercy i Lauren przy późnym lunchu w jadalni JE. Gwar był przyciszony, nawet wśród Szarych, pomieszczenie wydawało się większe i zimniejsze, jakby sam college przywdział żałobę po dziekaniu Beekmanie. Alex napełniła swoją tacę górą makaronu z paroma kanapkami, którą schowa do torby na później. Rozległ się sygnał z jej telefonu, kiedy napełniła szklanekę napojem gazowanym. Sześćset dolarów znalazło się na jej koncie bankowym.

Czyli Majster zapłacił. Po rozliczeniu Eitan wrzucał pięć procent na jej konto za dobrze wykonaną robotę. Pewnie powinna się czuć fatalnie z tego powodu, ale nikt by na tym nie zyskał, gdyby odmówiła przyjęcia pieniędzy.

Kiedy usiadła, zauważyła, że Mercy ma oczy czerwone od płaczu, a Lauren też nie wygląda lepiej. Obie tylko bawiły się jedzeniem na talerzach.

- Dobrze się czujecie? – zapytała Alex, nagle zawstydzona górą jedzenia na swojej tacy.

Mercy pokręciła głową, a Lauren powiedziała:

- Jestem w rozsypce.

- Ja też - powiedziała Alex, bo najwyraźniej tak powinna się czuć.

- Nie mogę sobie wyobrazić, co przechodzi jego rodzina - odezwała się Mercy. - Jego żona też wyklada, wiesz?

- Nie wiedziałam - przyznała Alex. - A co wyklada?

Mercy wydmuchała nos.

- Literaturę francuską. W ten sposób ich poznałam.

Alex jak przez mgłę przypomniała sobie, że Mercy wygrała jakąś poważną nagrodę za esej na temat Rabelais'go. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że Mercy w ogóle знаła dziekana Beekmana.

- Jaki był? - spytała.

Łzy znowu napłynęły Mercy do oczu.

- Po prostu... bardzo miły. Bałam się wyjechać do szkoły tak daleko od domu, a on skontaktował mnie ze studentami, którzy też są pierwszym pokoleniem na studiach w swojej rodzinie. On i Mariah, profesor LeClerc, jego żona, po prostu... robili dla ciebie miejsce. Nie potrafię tego wytłumaczyć. - Wzruszyła bezradnie ramionami. - Był jak Puck i Prospero w jednym. Dzięki niemu bycie stypendystką wydawało się wręcz zabawne. Dlaczego ktokolwiek chciałby go skrzywdzić? Po co? Nie był bogaty. Nie mógł mieć niczego wartego... wartego... - Głos jej się załamał i Mercy ucichła.

Alex podała jej serwetkę.

- Nigdy go nie poznałam. Miał dzieci?

Mercy skinęła głową.

- Dwie córki. Jedna była wiolonczelistką. Naprawdę dobrą. Myślę, że przyjęto ją do... Chyba do filharmonii w Bostonie albo w Nowym Jorku.

- A druga? - Alex czuła się jak upiór, ale jeśli miała szansę zdobyć trochę informacji o ofierze, to nie zamierzała rezygnować.

- Jest chyba lekarzem? Psychiatrą. Nie mogę przypomnieć sobie, czy zajmuje się badaniami, czy ma praktykę.

Psychiatra. Mogła być powiązana z Marjorie Stephen, ale Turner sam to może sprawdzić.

- Był bardzo lubiany - zaczęła ostrożnie Alex. - Chyba w życiu nie słyszałam, żeby ktokolwiek powiedział złe słowo na temat tego człowieka.

- A czemu by mieli? - spytała Mercy.

- Ludzie bywają zawistni - odezwała się Lauren, przesuwając widelcem w kałuży keczupu. - Chodziłam na wykład tuż przed zajęciami u niego i jego studenci zawsze chcieli być u niego przed czasem. To wkurzało mojego profesora.

- Ale chodziło o jego studentów, a nie o niego samego - powiedziała Alex.

Mercy skrzyżowała ręce.

- Typowe kwaśne winogrona. Jeden z moich profesorów ostrzegał mnie, żebym nie wybierała go na opiekuna studiów.

- Kto?

- A to ma znaczenie?

Alex obiecała, że nie będzie kłamać, ale już mijała się z prawdą.

- Pytam z ciekawości. Tak jak powiedziałam, nigdy nie słyszałam złego słowa na jego temat.

- To była cała grupa. Z wydziału literatury angielskiej. Przyszłam w godzinach dyżuru, żeby porozmawiać o swojej pracy, i trójka profesorów ni stąd, ni zowąd zaczęła mnie namawiać, żebym wybrała literaturę angielską jako przedmiot kierunkowy, tłumacząc mi, że dziekan Beekman nie myśli poważnie o stypendiach. Nazwali go kaboty-nem, fałszywym w swojej życzliwości. - Uniosła głowę i odezwała się tonem pełnym pogardy: - „Krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje”.

Lauren pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Ledwie zaliczam ekonomię, a o ciebie profesorowie walczą, żeby zatrzymać cię na swoim wydziale.

- To miłe przyjaźnić się z geniuszem – powiedziała Alex.

Lauren się skrzywiła.

- To przygnębiające.

- Nie, jeśli trochę tego geniuszu przejdzie na nas.

- Można być byстрыm na różne sposoby – orzekła wielkodusznie Mercy. – Poza tym to nie miało znaczenia, powiedziałam im, że zamierzam specjalizować się w amerykanistyce.

Czy zawodowa zazdrość wystarczy, by kogoś zabić? I jak to mogło się wiązać z Marjorie Stephen?

- Kim są te dupki i jak mam ich unikać? – zapytała Alex.

- Nie pamiętam – odpowiedziała Mercy. – Miałam zajęcia z Ruth Canejo na pierwszym roku w ramach projektu badawczego, ale nie znam pozostałej dwójki. Właśnie dlatego tak bardzo mnie to zirytowało. Byłam tylko punktem, który chcieli zdobyć.

Lauren wstała, żeby odstawić tacę.

- Ja należę do tych bystrych, którzy ucinają sobie drzemkę przed treningiem. Musimy porozmawiać o Halloween.

- Człowiek został zabity na kampusie – powiedziała Mercy. – Nie możesz poważnie mówić o urządzaniu imprezy.

- To nam dobrze zrobi. A jeśli nie będę miała czego wyczekiwać, to w ogóle nie dożyję Halloween.

Kiedy Lauren odeszła, Mercy zapytała:

- Po co te wszystkie pytania?

Alex mieszała powoli kawę. Obiecała Mercy, że nie będzie kłamać, ale musiała stawiać kroki ostrożnie.

- Znasz profesor z wydziału psychiatrii? Marjorie Stephen?

Mercy pokręciła głową.

- A powinnam?

- Zmarła w sobotę wieczorem. W swoim gabinecie. Istnieje szansa, że jej śmierć to po prostu smutny wypadek, ale jest też możliwe, że została zamordowana.

- Myślisz, że te śmierci są powiązane? - Mercy zaczerpnęła gwałtownie tchu. - Że jest z tym związana magia?

- Być może.

- Alex, jeśli stowarzyszenia... jeśli jakiś łajdak zrobił to dziekanowi Beekmanowi...

- Nie wiemy, czy tak było. Po prostu... badam wszelkie możliwości. Mercy schowała głowę w dłoniach.

- Jak to możliwe, że takie rzeczy uchodzą im na sucho? Czy Lete nie powinno chronić przed takimi sytuacjami?

- Powinno - przyznała Alex.

Mercy odsunęła się od stołu. Taca zabrzęczała, gdy Mercy chwyciła torbę. Znowu do oczu napłynęły jej łzy.

- Więc ich powstrzymaj, Alex. Każ im za to zapłacić.

Muzeum Peabody'ego pierwotnie stało na rogu Elm Street i High Street, wypchane po dach przedmiotami interesującymi i zarazem tajemniczymi. Przygotowano plany nowego budynku i wykopano piwnicę, ale pojawiły się kłopoty z materiałami budowlanymi, ponieważ trwała wojna. Kolekcje z oryginalnego muzeum rozprószyły się po całym kampusie, po piwnicach i powozowniach. Budowa muzeum trwała tak długo, a dokumentacja była tak chaotyczna, że przedmioty ze zbiorów muzealnych odnajdywano w starych budynkach jeszcze w latach siedemdziesiątych. Oczywiście w rozległych salach muzeum można znaleźć eksponaty, których nigdy nie skatalogowano, a w niektórych wypadkach lepiej, żeby ich pochodzenie pozostało nieznanne.

*z Życie Lete: procedury
i protokoły Dziewiątego Domu*

Stół; ametyst

Pochodzenie: nieznanne

Ofiarodawca: nieznanny

Pierwsze zapiski pojawiają się ok. 1930 roku po wzniesieniu nowego budynku Muzeum Peabody'ego. Patrz: uwagi załączone do kolekcji.

*z Katalogu Zbrojowni Lete;
korekta i redakcja: Pamela Dawes, Oculus*

Następnego wieczoru Turner spotkał się z Alex i Dawes przed Muzeum Peabody'ego przy posągu triceratopsa, który Wilczy Łeb przypadkiem ożywił w 1982 roku. Kiedy już kamery przestały działać, zakradnięcie się do środka wymagało tylko wybrania właściwego momentu, żeby uniknąć strażników na obchodzie. Alex wspomniała Turnerowi o potencjalnym związku poprzez psychiatrię i profesorach, którzy źle się wyrażali o dziekanie Beekmanie, ale detektyw nie był pod wrażeniem.

- Masz nazwiska?

- Ruth Canejo, ale nie znam pozostałych.

- Dowiedziałaś się czegoś na temat postarzających trucizn?

- Tak i nie - odpowiedziała Alex, starając się nie okazać irytacji. Minęły raptem dwa dni, odkąd Turner zażądał, żeby pojawiła się na drugim miejscu zbrodni. - Istnieje coś takiego jak Zasuszający Patyk. Jeśli dostatecznie długo go żujesz, to wyglądasz starzej, ale skutki trwają tylko kilka godzin. I istnieje trucizna o nazwie Tempusladro, złodziej czasu. Powoduje starzenie wewnętrzne.

- To brzmi obiecująco.

- Nie, bo starzeją się tylko organy ofiary, trucizna przyśpiesza zegar biologiczny. Cały dowcip polega na tym, że ofiara wygląda tak, jakby zmarła z przyczyn naturalnych. Młoda i świeża z zewnątrz, a zasuszona od środka.

- To szukaj dalej - powiedział Turner. - Znajdź coś, czym będę mógł się posłużyć. Potrzebuję ciebie i twojego demonicznego chłopa do roboty, której sam nie mogę wykonać.

– To pomóż nam wyciągnąć go z piekła.

Twarz Turnera nagle stężała.

– Zobaczymy.

Alex skłoniła go do spotkania z nimi, obiecując, że kiedy już będzie miała dwóch więcej morderców do przejścia przez Womitorium, da mu spokój. Zdziwiła się, gdy zgodził się przyjąć.

Przeszli głównym holem i zeszli schodami. Turner zerkał niespokojnie w martwe oczy kamer. Nadal nagrywały, ale magiczna herbatka Dawes w termosie sprawi, że obraz będzie przedstawiał tylko zakłócenia.

– Masz prawdziwy dar do zamieniania wszystkich wokół siebie w przestępców, Stern.

– To tylko wtargnięcie, i to delikatne. Zawsze możesz powiedzieć, że usłyszałeś podejrzane hałasy.

– Powiem, że przyłapałem was na włamaniu i zdecydowałem się pójść za wami.

– Możecie oboje się uciszyć? – szepnęła gorączkowo Dawes. Wskazała na termos. – Burza nie będzie trwała przez całą noc.

Alex zamilkła, starając się powstrzymać gniew, jaki budził w niej Turner. Nie była sprawiedliwa, ale trudno przejmować się tym, co jest racjonalne i słuszne, kiedy obie z Dawes prowadziły walkę o uwolnienie Darlingtona, która wydawała się z góry przegrana. Potrzebowały sprzymierzeńców, ale Lete i Michelle Alameddine nie byli zainteresowani i Alex nie mogła znieść uczucia, że błaga Turnera o pomoc.

Poza tym Muzeum Peabody’ego to było jeszcze jedno miejsce, w którym obecność Darlingtona była aż zbyt namacalna, prawdziwego Darlingtona, którego miejsce było w New Haven, w równym stopniu co w Lete i na Yale. Alex odwiedzała muzeum razem z nim; w tym miejscu stawał się zaskakująco cichy. Pokazał jej salę z minerałami, wypchanego ptaka dodo, listy z wyprawy „odkrywczej” Hiram Bingham III na Machu Picchu, gdzie znalazł wielki złoty tygiel, który obecnie stał w zbrojowni Il Bastone.

– To była moja kryjówka, kiedy sytuacja w domu stawała się ciężka – powiedział, kiedy mijali fresk „Epoka Gadów”.

W tamtym czasie Alex zastanawiała się, jak bardzo źle mogło być w domu, skoro dorastał w posiadłości. Teraz jednak, kiedy była w głowie dziadka Darlingtona i widziała jego wspomnienia z małym chłopcem zagubionym w ciemności, rozumiała, dlaczego ten chłopiec przychodził tutaj, do miejsca pełnego ludzi i hałasu, gdzie zawsze było co poczytać i na co popatrzeć, gdzie nikt nie zwracał szczególnej uwagi na pracowitego dzieciaka z plecakiem, który nie ma ochoty wyjść z muzeum.

W piwnicy było ciemno i ciepło, ciągnęło się tam mnóstwo pobrząkujących i bulgocących rur; panował tu większy hałas niż na wyższych piętrach, gdzie spakowano zbiory z myślą o nadchodzącym remoncie. Światła ich latarek unosiły się nad odsłoniętymi rurami i stosami pudeł sięgającymi sufitu, przypadkowe fragmenty rusztowań stały krzywo o nie oparte.

Wreszcie Dawes zaprowadziła ich do pokoju, gdzie unosił się dziwny, zatęchły zapach.

– Co to wszystko jest? – spytała Alex, kiedy Dawes przesunęła światłem latarki po półkach ze słojami wypełnionymi mętnym płynem.

– Woda jeziorna, setki słoików z całego Connecticut, wszystkie pochodzą z różnych lat.

– A do czego to potrzebne? – spytał Turner.

– Pewnie... jeśli chcesz wiedzieć, jaka była woda w stawach w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku, to możesz zajrzeć tutaj. W piwnicy jest mnóstwo takich rzeczy.

Dawes zerknęła na plan, a potem podeszła do regału po lewej stronie pomieszczenia. Odliczyła półki od dołu, a potem policzyła zakurzone słoje stojące w rzędzie. Sięgnęła między nie i zaczęła szukać czegoś za nimi.

– Jeśli spróbujecie mnie zmusić, żebym to wypił, to wychodzę – mruknął Turner.

Rozległ się głośny szcęk i regał się odchylił. Za rzędami brudnych słoików znajdował się ogromny pokój, w którym stał tylko masywny prostokątny stół okryty licznymi płachtami chroniącymi przed kurzem.

- Udało się - powiedziała mile zaskoczona Dawes. Sięgnęła do włącznika na ścianie, ale nic z tego nie wynikło. - Pewnie od dawna nikt tu nie zaglądał.

- Skąd wiesz o tym miejscu? - zapytał Turner.

- Odpowiadam za archiwum zbrojowni.

- I pokój w piwnicy muzeum to część zbrojowni Lete?

- Nie całkiem - przyznała Dawes i mimo mroku Alex widziała, że jest skrzepowana. - Nikt nie chce tego wziąć. Nie jesteśmy nawet pewni, które stowarzyszenie stworzyło ten stół, czy może to dzieło kogoś całkiem innego. Odnotowano tylko datę jego pojawienia się... i przeznaczenie.

Alex zrobiło się zimno. Co mieli zobaczyć? Skupiła się na szukaniu Szarych, na wypadek gdyby stało się coś okropnego. Przygotowała się na najgorsze, kiedy Dawes złapała jedną z płacht. Szarpnęła i buchnęła chmura kurzu.

- Model? - spytał Turner i sprawiał wrażenie wręcz rozczarowanego.

Model New Haven. Alex natychmiast rozpoznała kształt bloni z dzielącymi je liniami ochrony i trzy ładne kościoły. Reszta wyglądała mniej znajomo. Była w stanie zidentyfikować kilka budynków, ogólny plan ulic, ale wielu rzeczy brakowało.

- Jest zrobiony z kamienia - zdała sobie sprawę.

Przesunęła palcem po nazwie ulicy - „Chapel Street” - wrytej bezpośrednio w chodniku.

- Z ametystu - wyjaśniła Dawes, chociaż Alex wydawał się bardziej biały niż fioletowy.

- Niemożliwe – powiedział Turner. – To jeden wielki kawał, bez linii, bez najcieńszej rysy. Chcesz mi wmówić, że wyrzeźbiono to z jednego kamienia? – Dawes pokiwała głową, a Turner jeszcze mocniej zmarszczył brwi. – To niemożliwe. Powiedzmy, że ktoś znalazł tak wielki kawał ametystu, potem wydobył go z kopalni i jakimś cudem zdołał to wyrzeźbić. Całość ważyłaby ponad tonę. Jak zdołaliby znieść to do tej piwnicy?

- Nie wiem – odpowiedziała Dawes. – Możliwe, że wyrzeźbiono model tu, na miejscu, a budynek wybudowano wokół stołu. Nie wiem nawet, czy został wyrzeźbiony ludzkimi rękami. Naprawdę... ten przedmiot nie ma w sobie nic naturalnego. – Otworzyła butelkę wyjętą z torby i przelała zawartość do butelki po płynie do mycia okien. – Przeczytam teraz inkantację. Wy musicie tylko powtarzać słowa za mną.

- Co się stanie? – spytała Alex.

- Aktywujemy model.

- Jasne – powiedział Turner.

Dawes zjrzała do notesu, gdzie zapisała czar i zaczęła czytać po łacinie. Alex nie rozumiała ani słowa.

- *Evigilato Urbs, aperito scelestos.*

Dała znak, żeby powtarzali, więc postarali się najlepiej, jak umieli.

- *Crimen proquirito parricidii.*

Znowu postarali się powtórzyć.

Dawes wzięła butelkę ze spryskiwaczem i agresywnie zlała model płynem.

Alex i Turner cofnęli się krok, a Alex oparła się pokusie zasłonięcia nosa i ust. Mgiełka pachniała trochę różami. Alex przypomniało się to, co najwyższy kapłan powiedział o zabezpieczaniu ciał w Księdze i Wężu. Czy tym właśnie była ta mapa? Trupem, którego musieli ożywić?

Mgielka opadła na model i stół raptownie ożył. Włączyły się światła, miniaturowy powóz z ametystu pomknął ulicami ciągnięty przez kamienne konie. Wiatr szumiał w malutkich kamiennych drzewach. Czerwone punkty zaczęły pojawiać się na kamieniu, jakby coś przesączało się przez niego niczym rozlewająca się plama krwi.

- Proszę - powiedziała Dawes, oddychając z ulgą. - Mapa zdradzi położenie każdego, kto popełnił zabójstwo.

Turner zmarszczył czoło z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że znalazłaś magiczną mapę, która robi dokładnie to, czego potrzebujesz?

- Nie całkiem, czar został skrojony do naszych potrzeb.

- Więc mógłbym w ten sposób poszukać deseru lodowego z gorącym karmelem? Kobiet, które lubią piwo rzemieślnicze i kibicują New England Patriots?

Dawes zaśmiała się nerwowo.

- Nie, to musi być konkretne przestępstwo. Mapa nie wskazuje konkretnych przestępców, tylko ludzi, którzy złamali konkretne prawo.

- Rety... - mruknęła Alex. - Gdyby tylko tutejsza policja o tym wiedziała. Aj, czekaj...

- Mogę w ten sposób znaleźć swojego podejrzanego o morderstwo?

- Być może? Mapa pokazuje miejsca, nie podaje nazwisk.

- Miejsca - powtórzył Turner, marszcząc brwi. - Nie nazwiska. Kiedy stworzono model?

- Nie znamy dokładnej daty...

- Z grubsza - rzucił szorstko.

Dawes wsunęła podbródek w bluzę.

- Lata pięćdziesiąte dziewiętnastego wieku.

- Wiem, co jest - powiedział Turner. - Ożeż kurwa.

Dawes się skrzywiła i teraz już Alex rozumiała, dlaczego martwiła się obecnością Turnera.

– Nie zbudowano tego po to, by odnajdywać przestępców, tylko żeby znajdować zbiegłych niewolników – powiedział Turner.

– Musimy znaleźć zabójców – tłumaczyła się Dawes. – Nie wiedziałam, jak inaczej...

– Masz pojęcie, jakie to pochrzanione? – Turner pokazał palcem wspaniały budynek na błoniach New Haven. – Tu znajdował się dom Trowbridge’a. To był przystanek Kolei Podziemnej. Ludzie myśleli, że będą tu bezpieczni. I powinni być, ale jakiś dupek ze stowarzyszenia posłużył się magią... – Zaplątał się w słowach. – Do tego właśnie służy wasza magia, co? Oto co robi. Wspiera ludzi u władzy, pozwala ludziom, którzy już mają wszystko, wziąć jeszcze więcej?

Alex i Dawes stały w milczeniu pośród ciszy panującej w piwnicy. Nie pozostało nic do powiedzenia. Alex widziała już, czego magia może dokonać. Pokazał jej to Blake Keely, dziekan Sandow, Marguerite Belbalm. Magia nie różniła się od innych rodzajów władzy, nawet jeśli nadal ekscytowała ukrytą część jej osoby. Przypomniała sobie, jak stała w kuchni Il Bastone i krzyczała na Darlingtona: „Gdzie byliście?! Gdzie byliście?!”. Gdzie było Lete i wszystkie jego tajemnice, kiedy była dzieckiem rozpaczliwie potrzebującym pomocy? Darlington usłyszał ją tamtej nocy. Nie spierał się z nią. Wiedział, że miała ochotę coś zniszczyć, i pozwolił jej na to.

– Możemy iść – powiedziała Alex. – Możemy zniszczyć ten model, rozbić w pył.

Tylko tyle mogła zaproponować.

– Ile razy posłużono się tym plugastwem? – zapytał Turner.

– Nie wiem – odpowiedziała Dawes. – Wiem, że znajdowano za jego pomocą przemytników alkoholu i nielegalne bary w czasach Prohibicji, wiem, że FBI mogło próbować wykorzystać go w czasie procesów Czarnych Panter.

Turner pokręcił głową.

– Skończ to – warknął. – Nie chcę tu być dłużej niż to konieczne.

Pochylili głowy z wahaniem, skierowali latarki na bladofioletową powierzchnię mapy.

Grupka czerwonych plam rozlała się w jednym kącie muzeum, rozkwitła szkarłatem żywym jak krew. Alex, Turner, Dawes. Bukieciak zabójców.

Kilka plam pojawiło się w okolicy Hill, dwie kropki w akademiku, a przynajmniej Alex wydawało się, że tam jest teraz akademik. Nie do końca była w stanie się zorientować. Mapy nie aktualizowano od końca dziewiętnastego wieku, kiedy większość znanych jej budynków jeszcze nie powstała.

Jednakże High Street się nie zmieniła i Alex bez problemu rozpoznała tam pewne miejsce – gdzie młoda pokojówka imieniem Gladys uciekła, gdzie skradziono jej życie, a jej dusza została pożarta przez Daisy Whitlock. Ten czyn stworzył węzeł mocy i wiele lat później postawiono tam pierwszy grobowiec pierwszego tajnego stowarzyszenia.

– Ktoś w Czaszce i Kościach – powiedziała.

Budynek na mapie był mały – pierwotna wersja grobowca, zanim został rozbudowany.

Stali razem, patrząc na czerwoną plamę.

– Jest poniedziałek – zauważyła Dawes. – To nie czas na rytuały.

To dobrze. Gdyby dotarli tam na czas, nie musieliby odsiewać wielu podejrzanych, zastaną tylko kilka osób uczących się tam albo spędzających razem czas.

– Chodźmy – powiedział Turner. W jego głosie nadal brzmiał gniew.

– Zostawimy to tak? – zapytała Alex, kiedy wrócili przez sekretne przejście, zostawiając za sobą krwawy stół.

– Nie martw się – powiedział Turner. – Wróć tam z młotem kowalskim.

Alex słyszała, że Dawes nabiera powierza, zdenerwowana faktem, że ktoś mógłby zniszczyć cenny przedmiot, nawet jeśli powstał dla plugawych celów. Nie powiedziała jednak ani słowa.

Przemknęli przez pomieszczenie ze słojami i wyszli bocznym wyjściem, starając się zachować ciszę. Kiedy tylko Turner pchnął poręcz, żeby otworzyć drzwi, alarm zawył.

– Jasna cholera – powiedział, pochylając głowę, kiedy Alex naciągnęła kaptur.

Wypadli drzwiami i pobiegli do jego samochodu. Moc burzy osłabła, gdy herbata ostygła, i Alex miała tylko nadzieję, że kamery ochrony nie zarejestrowały ich twarzy.

Wsiedli do samochodu i Turner uruchomił silnik, po czym z piskiem opon wyjechał na pustą ulicę.

– Szybciej – ponaglała go Alex, kiedy jechał High Street. Musieli dotrzeć do Czaszki i Kości, zanim ich morderca wyjdzie, bo inaczej będą musieli powtórzyć cały proces.

– Nie chcę ściągać na nas uwagi – warknął. – A pomyślałaś chociaż, jak zamierzasz się zorientować, kim jest morderca, i jak go namówisz, żeby dołączył do waszej małej drużyny?

Nie pomyślała. Kula z działa już się rozpadła.

Turner skręcił i wjechał na krawężnik dokładnie przed grobowcem z czerwonego kamienia.

Alex nigdy nie przepadała za tym budynkiem. Pozostałe wydawały się wręcz głupawe, niemal jak wzięte z Disneylandu wersje określonego stylu – greckiego, mauretańskiego, Tudorów, z lat pięćdziesiątych. Jednak ten grobowiec był aż zbyt realny, wyglądał jak świątynia czegoś mrocznego, i fakt, że postawiono ją tak na widoku, wydawał się niewłaściwy – jakby ludzie, którzy wzniesli te czerwone kamienie, wiedzieli, że są nietykalni. Nie pomagał fakt, że widziała, jak Kościeje rozcinają ludzi i grzebią im we wnętrzościach, szukając przeblysku przyszłości.

– No dobrze, masz jakiś plan, Stern? – zapytał Turner, gdy wysiedli.

- Musimy zachować ostrożność - upomniała ich Dawes, idąc za nimi i ściskając notatnik. - Czaszka i Kości to bardzo wpływowe stowarzyszenie i jeśli wieści dotrą do...

Alex zapukała do ciężkich czarnych drzwi. Niewiele wiedziała na temat tego grobowca, tyle, że debatowano nad tożsamością pierwszego architekta, który podobno wznosił budynek za pieniądze z handlu opium.

Nikt nie odpowiedział. Turner cofnął się i skrzyżował ręce.

- Spóźniliśmy się? - zapytała Dawes niemal z nadzieją.

Alex jeszcze raz uderzyła pięścią w drzwi i zawołała:

- Wiem, że tam, jesteś! Nie próbuj, kurwa, z nami pogrywać.

- Alex! - krzyknęła Dawes.

- Jeśli nikogo nie ma, to kto się tym przejmie?

- A jeśli jest?

Alex nie była do końca pewna. Uniosła pięść, żeby znowu zapukać, kiedy drzwi się uchyliły.

- Alex? - Głos był cichy, nerwowy.

Zerknęła w mrok.

- Tripp? Jezu, to lody?

Tripp Helmuth, syn jednej z najbogatszych rodzin w Nowej Anglii, który studiował na Yale, tak jak wcześniej jego ojciec i dziadek, zawstydzony otarł ręką usta. Miał na sobie długie spodnie sportowe z nogawkami zapinanymi na zatraski i brudny T-shirt. Blond włosy schował pod włożoną tył na przód baseballówką Yale. Był Kościejem. Do zeszłego roku, kiedy skończył studia.

- Jesteś sam? - spytała Alex.

Skinął głową, a Alex natychmiast rozpoznała jego wyraz twarzy. Poczucie winy. Nie powinno go tu być.

- Ja... - Zawahał się.

Wiedział, że nie może ich zaprosić do środka, ale też wiedział, że nie mogą stać i rozmawiać w progu.

– Pójdiesz z nami – powiedziała Alex z całym autorytetem w głosie, na jaki potrafiła się zdobyć. Mówiła głosem każdego nauczyciela, dyrektora i pracownika społecznego, jakiego zawiodła w swoim życiu.

– W mordę – powiedział Tripp. – W mordę jeża. – Miał minę, jakby chciał się rozplakać. To był ich morderca? – Tylko się ogarnę.

Alex weszła za nim. Wątpiła, żeby Tripp miał dość odwagi i spróbował uciec, ale wolała nie ryzykować. Grobowiec, tak jak wszystkie siedziby stowarzyszeń, prezentował się całkiem zwyczajnie, poza salą podobną do rzymskiej świątyni, w której odbywały się rytuały. Reszta wyglądała tak, jak najładniejsze miejsca w Yale: ciemne drewno, kilka eleganckich fresków, jeden pokój w czerwonym aksamicie, który pamiętał lepsze czasy, mnóstwo szkieletów, z których parę było sławnych, reszta mniej. Urny kanopskie wypełnione wątrokami, śledzionami, sercami i płucami, które trzymano za murami świątyni.

W grobowcu było ciemno, poza kuchnią, gdzie Tripp urządził sobie przekąskę w środku nocy. Na stole leżały wędlina i chleb, niedojedzony wafel z lodami. To było wielkie pomieszczenie pełne przeciągów, z dwiema kuchenkami i chłodnią – było bardziej przystosowane do urządzania bankietów niż do obsługi tuzina studentów. Kościeje potrafili zadbać, żeby przyjeżdżający do New Haven absolwenci zostali należycie podjęci.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem? – spytał Tripp, pośpiesznie odkładając produkty do lodówki.

– Pośpiesz się.

– W porządku, w porządku. – Alex zauważyła wypchany plecak i zastanawiała się, czy schował tam więcej jedzenia. Nastaly trudne czasy dla Trippa Helmutha.

– Jak się tu dostałeś? – spytała Alex, kiedy zamknęła drzwi na klucz i ruszyli do dodge'a Turnera.

– Nigdy nie oddałem klucza.

– Nie poprosili o zwrot?

– Powiedziałem im, że zgubiłem.

Tyle wystarczyło. Tripp był tak nieszczęsnym stworzeniem, że spokojnie mogli wierzyć, że zgubił klucz i wszystko inne, czego nie zaszyto mu w kieszeni.

- O, Boże - powiedział Tripp, kiedy Alex usiadła obok niego na tylnym siedzeniu wozu. - Jesteś gliną?

Turner zerknął na niego w lusterku i odparł ostro:

- Detektywem.

- Oczywiście, pewnie, przepraszam...

- Lepiej przestań gadać i zacznij się zastanawiać.

Tripp zwiesił głowę.

Alex zerknęła na Turnera w lusterku. Policjant wzruszył lekko ramionami. Jeśli mieli wciągnąć Trippa, to musieli go nastraszyć, a Turner był dobry w zastraszaniu.

- Dokąd jedziemy? - spytał Tripp, kiedy pojechali Chapel Street.

- Do Domu Lete - odpowiedziała Alex.

Większość członków stowarzyszeń uważała Lete za męczącą konieczność, uspokajającą sumienie administracji Yale. Większość z nich nigdy nawet nie postawiła stopy w Il Bastone.

- Co robiłeś na kampusie? - spytała Alex.

Tripp zawahał się, a Turner warknął:

- Nie próbuj nam wciskać kitu.

Turner był kochany, że podjął tę grę.

Tripp zdjął czapkę, przecesał ręką przetruszczone włosy.

- Pozwolono mi przejść z moim rocznikiem, ale nie skończyłem studiów. Nie zebrałem dość punktów. A ojciec powiedział, że nie zapłaci za kolejny semestr, więc... Zajmuję się marketingiem dla agencji nieruchomości Markham? Już całkiem niezłe radzę sobie z Photo-shopem. Próbowałem zaoszczędzić, żeby skończyć studia, dostać dyplom i tak dalej.

To by wyjaśniało plecak pełen jedzenia, chociaż Alex zastanawiała się, dlaczego Tripp po prostu nie skłamał w podaniu do banku inwe-

stycyjnego czy innej firmy handlowej, dla której chciałby pracować na Manhattanie. Nazwisko Helmuth otwierało wszystkie drzwi, a nikt nie zadawałby pytań, gdyby przedstawiciel trzeciego pokolenia Helmuthów napisał „licencjat z ekonomii, Uniwersytet Yale” w życiorysie. Nie zamierzała jednak tego mówić. Tripp był nierozgarnięty i dostatecznie szczerzy, żeby nie przyszło mu na myśl, że mógłby po prostu skłamać.

Nie był najgorszym chłopakiem. Alex spodziewała się, że całe życie przeszedł z taką właśnie etykietą „nie najgorszy chłopak”. Niezbyt bystry, niezbyt przystojny, pod żadnym względem się nie wyróżniał. Jeździł na fajne wakacje, marnował drugie szanse. Lubił przyćpać, słuchał Red Hot Chili Peppers i nawet jeśli ludzie nie przepadali za nim szczególnie, to chętnie go tolerowali. Był chodzącym ucieleśnieniem „zera zmartwień”. Jednakże ojciec Trippa miał najwidoczniej dość martwienia się za niego.

– Co się teraz ze mną stanie? – spytał Tripp.

– Cóż... – powiedziała Alex – ...możemy dać znać Kościejom i ich zarządowi o włamaniu do grobowca.

– I o drobnych kradzieżach – dorzucił Turner.

– Niczego nie wziąłem!

– A zapłaciłeś za jedzenie?

– Nie... nie całkiem.

– Albo możemy to przemilczeć, a ty coś dla nas zrobisz – dodała Alex.

– Co takiego?

Drobną robotkę, która może zakończyć się śmiercią lub poćwiartowaniem.

– To nie będzie łatwe, ale wiem, że dasz radę – powiedziała Alex. – Może nawet coś na tym zarobisz.

– Serio? – Tripp natychmiast się ożywił. Nie było w nim nieufności ani ostrożności. Przez całe życie okazje wpadały mu w ręce tak łatwo,

że teraz ich nie kwestionował. – Rety, Stern, wiedziałem, że jesteś w porządku.

– Wzajemnie.

Alex i Tripp przybili żółwika i Tripp się rozpromienił.

Następnego dnia Alex przesiedziała współczesną poezję z Mercy, pozwalając, żeby opływały ją słowa „Zaproszenia dla Marianny Moore”. „Z Pan Bóg raczy wiedzieć iloma aniołami, usadowionymi na szerokim rondzie Pani kapelusza, proszę przyfrunąć”⁴. Kiedy czytała takie słowa, czuła, że ciągnie ją do innego życia; widziała siebie, jak wiecie to życie, równie wyraźnie jak wtedy, gdy absorbowwała wspomnienia Szarego – widziała, jak słucha potwornych, pięknych wersów *The Sheep Child* albo odkłada pióro, gdy jej profesor od historii w czasie zajęć poświęconych wojnie peloponeskiej porównuje Demostenesa do Churchilla. „Zwycięzcy wybierają, kto będzie wychwalany jako bastion stawiający opór tyranom, a kto zostanie wyszydzony jako wróg nieuniknionej zmiany”. W takich chwilach czuła coś głębszego niż tylko prostą potrzebę przetrwania, dostrzegała przeblysk tego, co by to oznaczało, gdyby po prostu mogła się uczyć i nie musiała przez cały czas tak bardzo się starać.

Złapała się na tym, że fantazjuje o życiu nie dość, że bez strachu, to bez ambicji. Czytałaby, chodziła na zajęcia, żyła w jasnym mieszkaniu. Byłaby zaciekawiona, a nie spanikowana, gdy ludzie wspominają o artystach, których nie zna, pisarzach, których nie czytała. Miałaby stos książek na nocnym stoliku. Słuchałaby programu *Morning Becomes Eclectic*. Rozumiałaby żarty, rozumiałaby ten język, stałaby się biegłą w wypoczywaniu.

Jednakże iluzji nie da się zbyt długo utrzymywać, zwłaszcza kiedy jest dwóch martwych członków katedry, których śmierć może wiązać się ze stowarzyszeniami, kiedy Darlington siedzi uwięziony w kręgu

ochronnym, który w każdej chwili może się rozpaść, kiedy do Halloween zostało mniej niż dwa tygodnie, a one muszą przeprowadzić rytuał i mogą umrzeć, jeśli im się nie uda, albo stracić wszystko, jeśli im się powiedzie. Zgroza natychmiast powracała razem z dręczącym poczuciem klęski. Piękno poezji i powtarzających się wzorów w historii znikało, aż zostawała tylko mdła i budząca niepokój terażniejszość.

Dawes wysłała jej sygnał w połowie wykładu. Alex oddzwoniła, gdy szła na następne zajęcia.

– Co się stało? – spytała, kiedy tylko Dawes odebrała.

– Nic. To znaczy coś się stało, rzecz jasna. Zostałaś wezwana do nowego Pretora.

– Teraz?

– Nie możesz dłużej tego spychać. Anselm nie zawracał sobie głowy urządzaniem herbatki po... po tym, co wydarzyło się w Zwoju i Kluczu, a Pretor zaczyna się robić nerwowy. Dyżuruje od drugiej do czwartej popołudniu w LC.

Praktycznie tuż obok jej akademika. Ta myśl bynajmniej jej nie uspokoiła.

– Rozmawiałaś z nim? Jakie robił wrażenie?

– Nie wiem. Jak profesor.

– Zły? Zadowolony? Podpowiedz mi coś.

– W ogóle nie brzmiał. – Dawes mówiła chłodnym tonem, a Alex zastanawiał się dlaczego.

– O której chcesz pójść?

– To on chce spotkać się z tobą, a nie ze mną.

Na tym polegał problem? Pretor nie uwzględnił Dawes?

– Czekał, on jest profesorem, prawda? Od jak dawna tu uczy?

– Wykłada na Yale od dwudziestu lat.

Alex wbrew sobie parsknęła śmiechem.

– Co? – spytała Dawes.

- Jeśli jest tu od tak dawna, a dopiero teraz o nim usłyszałyśmy, to musiał być ostatnią osobą, jaką Dom Lete wziął pod uwagę.

- Niekoniecznie...

- Myślisz, że ludzie stoją w kolejce po taką fuchę? Ostatni facet na tej posadzie nie żyje.

- Z powodu ataku serca.

- Do którego doszło w tajemniczych okolicznościach. Nikt nie chce tej roboty. Dlatego musieli zwerbować jego.

- To profesor Raymond Walsh-Whiteley.

- Gdybym nie znała cię lepiej, uznałabym, że żartujesz.

- Był cudownym dzieckiem. Skończył Yale jako szesnastolatek, doktorat zrobił na Oxfordzie. Jest profesorem na etacie, wyklada literaturę angielską i sądząc po tym, co pisze do *The Federalist*, jest bardzo konserwatywny.

Alex zastanawiała się, czy się nie wymówić, nie odwlec spotkania jeszcze trochę. Tylko co jej to da? Lepiej spotkać się z Pretorem teraz, sam na sam, niż czekać, aż Anselm zbierze się do zorganizowania kolacji, podczas której będzie musiała się martwić, że obserwuje ją jeszcze jeden członek zarządu Lete.

- W porządku - powiedziała. - Pójdę po wykładzie.

- Spotkamy się potem w JE. Możemy spróbować rozgryźć do końca Womitorium.

- Dobrze.

- Bądź uprzejma - nalegała Dawes. - I ubierz się ładnie.

To było naprawdę nietypowe w ustach Dawes, lecz Alex wiedziała wszystko na temat odgrywania ról.

Próbowała skupić się na wstępie do elektrotechniki, ale nawet w najlepsze dni to było dla niej wyzwanie. Zajęcia odbywały się w przepaścistej sali wykładowej i był to chyba najbardziej demokratyczny kurs na Yale, ponieważ wszyscy tam przychodzili, żeby zdobyć punkty, w tym Alex, Mercy i Lauren. Przez większość godziny dysku-

towały cicho, jaki alkohol zaserwują na Halloweenowym Specjale i ostatecznie zgodziły się na kieliszki tequili z żelkami w kształcie dżdżownic.

Alex nie była zbyt zaskoczona tym, że imprezy, zajęcia i prace domowe nie zniknęły po morderstwach. W tej chwili kampus wierzył, że jeden człowiek zginął w potworny sposób. Nikt nie wiedział, że Marjorie Stephen też mogła zostać zabita. Śmierć Beekmana była szokująca, ponura; dobry temat do rozmów przy kolacji i martwienia się, jeśli wracało się późnym wieczorem do domu. Tyle że żaden z przysypiających wokół Alex studentów nie był na miejscu zbrodni ani nie patrzył w starą, zaskoczoną twarz. Nikt z nich nie odczuł nagłego zerwania towarzyszącego śmierci, więc po prostu dalej żyli. A co innego mogli zrobić? Przebrać się za duchy, upiory i zmarłe sławy, topić strach spowodowany własną śmiertelnością w alkoholu i oranżadzie.

Halloweenowy Specjał uważano za wstęp do zabawy, zanim ludzie wybiorą się na prawdziwe imprezy, więc Alex będzie mogła wymknąć się wcześniej, żeby przygotować rytuał w Bibliotece Sterlinga. Nie trzeba będzie się w tym roku martwić tym, że Manuskrypt pozwoli sobie na imprezie halloweenowej na jakiegokolwiek czary. Zostali ukarani za narkotyki, nad którymi stracili panowanie w poprzednim semestrze i które wykorzystano przeciwko Mercy i innym dziewczynom na tyle pechowym, żeby natknąć się na Blake'a Keely'ego. Mimo to będzie musiała nadzorować coś, co się nazywało rytuałem ptasich treli w czwartek.

Alex wróciła do JE razem z Mercy i Lauren. Musiała odpuścić sobie lunch, jeśli miała zdążyć do Pretora w godzinach dyżuru. Pobiegła do pokoju, żeby przebrać się w najbardziej stonowany strój: czarne dżinsy, czarny sweter i białą koszulę z kołnierzykiem, którą pożyczyła od Lauren.

- Wyglądasz jak kwakierka – orzekła z dezaprobatą Mercy.
- Wyglądam jak ktoś odpowiedzialny.

- Wiesz, czego ona potrzebuje? - Lauren skoczyła do swojego pokoju i wróciła z ciemnoczerwoną aksamitną opaską na włosy.

- Lepiej - uznała Mercy.

Alex popatrzyła na swoją sztywną, pozbawioną wesołości twarz w lustrze.

- Doskonale.

* * *

Gabinet profesora Raymonda Walsha-Whiteleya znajdował się na drugim piętrze Linsly-Chittenden Hall. Godziny dyżuru przypięto pinezkami do ciężkich drewnianych drzwi. Alex się zawahała. Po co właściwie tu przyszła? Na kazanie? Po przestrożę? Na przesłuchanie w związku z rytuałem w Zwoju i Kluczu?

Zapukała delikatnie i usłyszała beznamiętne:

- Proszę.

Pokój był niewielki, ściany zastawiono od podłogi po sufit regałami załadowanymi książkami. Walsh-Whiteley siedział przed rzędem okien z szybkami łączonymi łożem, grubymi i wodnistymi, jakby je zrobiono z podgrzanego cukru. Szare paździenikowe światło z trudem się przez nie przeciskało. Mosiężna lampa z zielonym abażurem wyciągała szyję nad zagraconym biurkiem.

Profesor podniósł wzrok znad laptopa i zerknął ponad okularami. Miał pociągłą, melancholijną twarz, gęste siwe włosy szcęsane z czoła wysoką falą, wyglądającą jak pompadur.

- Proszę siadać. - Wskazał samotne krzesło naprzeciwko siebie.

To było dziwne, wiedzieć, że były delegat Lete mieszkał na kampusie przez cały miniony rok, zaszyty w tej przytulnej klitce. Dlaczego nikt o nim nie wspomniał? Czy byli inni tacy jak on?

- Galaxy Stern - powiedział, odchylając się na krześle.

- Wolę formę „Alex”, proszę pana.

- Bogu dzięki. Czułbym się głupio, nazywając kogoś „Galaxy”. Osobliwe imię. - Wypowiedział słowo „osobliwe” z taką samą odrazą, z jaką inni wypowiadają słowo „faszysta”. - Twoja matka ma skłonność do takich ekstrawagancji?

Odrobina prawdy nie zaszkodzi.

- Tak - odpowiedziała Alex. - Kalifornia. - Wzruszyła ramionami.

- Hmm - mruknął, kiwając głową, a Alex podejrzewała, że profesor już dawno temu położył krzyżyk na tym stanie, jeśli nie na całym Zachodnim Wybrzeżu. - Jesteś artystką?

- Malarką. - Chociaż prawie nie tknęła pędzla czy nawet kawałka węgla od zeszłego semestru.

- I jak znajdujesz początek tego roku akademickiego?

Okazał się wyczerpujący? Przerażający? Zdecydowanie za bardzo wypełniony zwłokami? Jednak ludzie tak naprawdę rozmawiają na kampusie tylko o jednej rzeczy.

- Sprawa z dziekanem Beekmanem jest naprawdę potworna.

- Ogromna strata.

- Znał go pan?

- Ten człowiek nie pozwoliłby sobie pozostać nieznanym. Ale ogromnie współczuję jego rodzinie. - Złożył dłonie czubkami palców. - Powiem otwarcie, panno Stern. Jestem człowiekiem, jakiego zwykle się czule nazywać dinozaurom, a mniej czule reakcjonistą. Yale niegdyś poświęcało się życiu umysłu i chociaż istniały rozrywki i inne rzeczy odciągające uwagę od sedna sprawy, to nic w równym stopniu nie rozprasza jak obecność płci pięknej.

Alex potrzebowała długiej chwili, zanim zrozumiała, co Walsh Whiteley mówi.

- Uważa pan, że nie powinno się przyjmować kobiet na Uniwersytet Yale?

- Nie, w żadnym razie. Ze wszech miar niech kobiety zdobywają wyższe wykształcenie, ale mieszanie płci nigdy nie wychodzi nikomu

na dobre. Podobnie w Lete nie ma miejsca dla kobiet, a już na pewno nie w roli Wergiliusza lub Danego.

– A Oculus?

– Cóż, lepiej nie tworzyć atmosfery sprzyjającej pokusie, ale ponieważ obowiązki na tym stanowisku całkowicie skupiają się na zbieraniu informacji i opiece, mogę uczynić wyjątek.

– Na dobrą sprawę Oculus to po prostu niańka.

– W rzeczy samej.

Teraz już Alex rozumiała, dlaczego Dawes była taka zrzędliva.

Walsh-Whiteley zdjął paproszek z rękawa.

– Żyję dość długo, żeby wiedzieć, jak rzekomo nieszkodliwe bajduzenie kontrkultury stało się kulturą. Żeby wiedzieć, jak czcigodne wydziały akademickie zostają przejęte przez rozszebrotanych głupców, którzy wrywają z korzeniami setki lat wielkiej literatury i sztuki tylko po to, by ugłaskać małe umysły.

Alex rozważyła swoje możliwości.

– W pełni się z panem zgadzam.

Walsh-Whiteley zamruął zaskoczony.

– Słucham?

– Patrzymy na śmierć zachodniego kanonu – powiedziała z odpowiednią, jak miała nadzieję, dawką rozpaczony. – Keats, Trollope, Shakespeare, Yeats. Wie pan, że prowadzi się zajęcia w całości poświęcone tekstom popularnych piosenek? – Nauczyła się kochać Shakespeare'a i Yeatsa. Keats ją nudził. Trollope zachwycał. Podobno wynalazł skrzynkę pocztową. Wątpiła jednak, żeby profesor Walsh-Whiteley dbał szczególnie o przyjemność, a poza tym podobało jej się także to, gdy przez semestr studiowała twórczość Velvet Underground i Tupaca.

Walsh-Whiteley przyjrzał się jej.

– Elliot Sandow był jednym z tych szczebioczących głupców. Odpychająca mieszanka zadufania w sobie i braku kręgosłupa. Chcę, żeby

było jasne, że nie pozwolę na żadne kłopoty pod dachem Lete, na żadne figle-migle i inne nonsensy.

Trudno było nie zafiksować się na fakcie, że dorosły mężczyzna całkiem poważnie posłużył się wyrażeniem „figle-migle”, lecz Alex odpowiedziała po prostu:

- Tak, proszę pana.

- Zbyt długo pozostawałaś bez Wergiliusza czy jakiegokolwiek kierownictwa. Nie wiem, jakich złych nawyków nabrałaś przez ten czas, ale nie będzie na nie miejsca, dopóki ja tu rządzę.

- Rozumiem.

Profesor pochylił się ku niej.

- Rzeczywiście rozumiesz? Za godnej ubolewania kadencji dziekana Sandowa jeden student zaginął i najprawdopodobniej nie żyje. Stowarzyszeniom pozwolono nurzać się w miazmatach deprawacji i zachowań przestępczych. Złożyłem wiele skarg do zarządu i z ulgą widzę, że nie trafiły w próżnię.

Alex złożyła ręce na podółku, starając się robić wrażenie malutkiej i słabej.

- Mogę tylko powiedzieć, że jestem wdzięczna za to, że będziemy mieli... ehm... pewną rękę na sterze. - Cokolwiek to w praktyce oznaczało. - Utrata Wergiliusza była przerażająca. Destabilizująca.

Walsh-Whiteley zarechotał basowo.

- Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo kobieta z pani pochodzeniem mogła się czuć tu całkowicie nie na miejscu.

- Tak, to było wyzwanie, ale czy Disraeli nie powiedział „Nie ma edukacji bez przeciwności”?

Bogu dzięki za mądrości na herbatkach ekspresowych w jadalni.

- Doprawdy tak powiedział? - mruknął Walsh-Whiteley, a Alex zastanawiała się, czy nie za bardzo się zapędziła. - Nie jestem głupcem, panno Stern i nie dam się urobić gładkimi słówkami. Nie ma miejsca w Lete dla kabotynów i szarlatanów. Będę oczekiwał rychłego

raportu z rytuałów, które będzie pani nadzorować. Będę także wyznaczał dodatkowe lektury... – Jej niepokój musiał się uwidocznic, bo profesor uniósł rękę. – I nie lubię, kiedy mi się przerywa. Będzie się pani przez cały czas zachowywać tak, jak przystało na delegata Lete. Jeśli choćby najdelikatniejsza sugestia kontrowersji pojawi się wokół pani osoby, zalecę natychmiastowe wydalenie pani z Lete i Yale. Fakt, że Michael Anselm i zarząd pozwolili pani zostać po tym karygodnym popisie w Zwoju i Kluczu, całkowicie przekracza moje pojmowanie. Dałem to do zrozumienia panu Anselmowi w sposób niebudzący najmniejszych wątpliwości.

– No i? – zapytała Alex, dając się ponieść gniewowi.

Pretor aż się zagotował.

– No i co, panno Stern?

– Co odpowiedział na to Michael Anselm?

– Nie... zdołałem osobiście się z nim skontaktować. Obaj jesteśmy bardzo zajęci.

Alex musiała zdusić uśmiezek. Anselm nie odpowiadał na jego telefony. A zarząd Lete nie chciał zwerbować Walsha-Whiteleya na Pretora, dopóki nie wyczerpał wszystkich innych możliwości. Nikt nie chciał słuchać starego, dobrego profesora Walsha-Whiteleya. Może to oznaczało dla niej okazję.

Alex poczekała, aż profesor skończy, rozważając potencjalne strategie. Wiedziała, że próba przeciągnięcia Walsha-Whiteleya na swoją stronę kompletnie nie ma sensu, ale czy nie powinien chcieć, żeby Daniel Arlington, delegat Lete z prawdziwego zdarzenia, wrócił?

– Mój Wergiliusz...

– To ogromna strata.

Tak samo wyraził się o śmierci dziekana Beekmana. Rzecz bez znaczenia. Można na to machnąć ręką.

Alex spróbowała raz jeszcze.

– Ale gdyby istniał sposób skontaktowania się z nim, sprowadzenia go...

Pretor uniósł brwi z niedowierzaniem i Alex przygotowała się na kolejne kazanie, ale on odpowiedział łagodnie:

– Drogie dziecko, koniec to koniec. *Mors vincit omnia*.

Tyle że on nie umarł. Siedzi w sali balowej w Black Elm. A w każdym razie jakaś jego cząstka.

Alex znowu zaczęła się zastanawiać, ile Walsh-Whiteley wie.

– W Zwoju i Kluczu... – zaryzykowała.

– Proszę nie oczekiwać mojego współczucia – odparł surowo. – Spodziewam się, że będzie pani rozumiała własne ograniczenia. Każda inspekcja albo rytuał muszą najpierw zostać uzgodnione ze mną. Nie pozwolę, żeby imię Lete ucierpiało jeszcze bardziej, ponieważ zarząd uznał, że można obniżyć standardy, które wprowadzono nie bez powodu.

Inspekcja. Tak tłumaczyła się z zajęć w Zwoju i Kluczu Alex i to samo Anselm przekazał absolwentom. Alex spodziewała się, że Anselm podzielił się swoimi podejrzeniami z zarządem Lete, ale może zarząd nie ujawnił ich Pretorowi. Po co prowokować psa, który i bez tego nie przestaje ujadać? A jeśli Pretor nie wiedział, że ona i Dawes próbowały dostać się do piekła, to ubyłoby im przynajmniej jedno zmarwienie.

– Rozumiem – powiedziała, próbując ukryć ulgę.

Walsh-Whiteley pokręcił głową. Patrzył litościwie.

– To nie pani wina, że znalazła się w takim położeniu. Zwyczajnie nie ma pani umiejętności i przygotowania, żeby poradzić sobie na głębokich wodach, na jakie panią rzucono. Nie jest pani Danielem Arlingtonem. Nie jest pani przygotowana do roli Dantego, nie mówią już o roli Wergiliusza. Jednak pod moim nadzorem i przy odrobinie pokory z pani strony, myślę, że sobie poradzimy.

Alex zastanawiała się, czy nie zadźgać go długopisem.

- Dziękuję, panie profesorze.

Walsh-Whiteley zdjął okulary, wyjął ściereczkę z szuflady biurka i powoli wypolerował soczewki. Zerknął na lewo i Alex zorientowała się, że spojrzął na pożółkłą fotografię dwóch młodych mężczyzn na żaglówce.

Odchrząknął.

- Czy to prawda, że widzi pani umarłych?

Alex skinęła głową.

- Bez żadnego eliksiru?

- Owszem.

Alex wyczytała wszystko z tego pokoju, gdy tylko do niego weszła. Kawałek drewna wyrzuconego na brzeg na półce obok zdjęcia, kawałki morskiego szkła, oprawiony cytat na przycisku do papieru „Bowiem najtrudniej na świecie zwyciężać pośród milczenia i cieszyć się z tego w sekrecie⁵.” Nie rozszyfrowała jednak samego Walsh-Whiteleya, nie do końca. Za bardzo się denerwowała, żeby spostrzec rozpacz kryjącą się za chępliwością.

- W tej chwili jest tu Szary - skłamała.

Gabinet był cudownie wolny od duchów, pewnie dlatego, że samego Pretora dzielił krok od przemiany w trupa.

Prawie podskoczył i zaraz spróbował odzyskać opanowanie.

- Doprawdy?

- Tak, mężczyzna... - Strzelała w ciemno. - Starszy. - Profesor zmarszczył czoło. - Nie... trudno go zobaczyć wyraźnie. Młody. I bardzo przystojny.

- On... - Walsh-Whiteley się rozejrzył.

- Stoi na lewo od pana.

Walsh-Whiteley wyciągnął rękę, jakby mógł sięgnąć za Zaslone. Ten gest był tak pełen nadziei, tak szczerzy, że Alex ogarnęły wyrzuty sumienia. Potrzebowała jednak zjednać sobie Pretora.

- Mówi coś? - zapytał profesor.

Tęsknota w jego głosie została zaostrzona przez lata samotności. Kochał tego mężczyznę. Stracił go. Alex oparła się pokusie spojrzenia raz jeszcze na fotografię stojącą na półce, ale była przekonana, że Walsh-Whiteley był jedną z tych dwóch uśmiechniętych twarzy, młody, opalony i pewny długiego życia.

- Mogę ich widzieć, ale ich nie słyszę - skłamała znowu Alex i dodała sztywno: - Nie jestem tablicą ouija.

- Oczywiście - zmitygował się profesor. - Nie to miałem na myśli.

I gdzie jest teraz twoje szyderstwo? Wiedziała jednak, że musi stać ostrożnie. Jej babcia odczytywała przyszłość z fusów tureckiej kawy, gorzkiej, ciemnej i tak gęstej, że nadzwyczaj wolno spływała przelykiem.

- Sprzedajesz ludziom kłamstwa - wiecznie narzekała matka Alex.

Co za ironia, że mówiła to właśnie ona - kobieta, która żyła nadzieją odnajdywaną w kryształach, energetyzujących kąpielach, bukietach szałwii, obiecujących oczyszczenie, szczęście, odnowę.

- Ja niczego im nie sprzedaję - odpowiadała córce Estrea.

I mówiła prawdę. Estrea Stern nigdy nie brała pieniędzy za przepowiedaną przyszłość, ale ludzie przynosili jej bochenki chleba, opakowania popcornu, babki, truskawkowe żelki. Ze łzami w oczach całowali ją po rękach.

- Kochają cię - powiedziała kiedyś Alex, siedząc przy kuchennym stole i patrząc wytrzeszczonymi oczami.

- *Mija*, kochają mnie, dopóki mnie nie znienawidzą.

Alex nie rozumiała, dopóki nie zobaczyła tych samych ludzi, jak odwracają się przed jej babką na ulicy, traktują jak obcą w kolejce w sklepie, dopóki nie zobaczyła, jak kasjerka odwraca wzrok i uśmiecha się zdawkowo.

- Widziałam ich w najgorszych chwilach - wyjaśniła Estrea. - Kiedy ktoś zdradza ci swoje tęsknoty, nie chce, żebyś potem widziała, jak kupuje pomidorki koktajlowe. Tylko nic nie mów o tym swojej matce.

Alex nie powiedziała Mirze ani słowa o ludziach, którzy przychodzili i wychodzili z mieszkania babci, bo za każdym razem, kiedy matka dowiadywała się o tym, że Estrea przepowiada przyszłość, przez całą jazdę powrotną samochodem nie potrafiła przestać złorzeczyć.

- Śmieje się ze mnie, bo ja muszę płacić za czytanie z tarota, a potem robi coś takiego - wściekała się Mira, uderzając ręką w kierownicę. - Co za hipokrytka.

Alex wiedziała, dlaczego Estrea śmiała się z kolejnych oszustek, które matka zaliczała po kolei niesiona niekończącą się falą nadziei i rozczarowania. Ponieważ one kłamały, a Estrea mówiła tylko prawdę. Widziała terazniejszość. Widziała przyszłość. Jeśli niczego nie widziała w filizance, to też mówiła o tym swoim gościom.

- Przeczytaj moją - błagała Alex.

- Nie potrzebuję filizanki kawy, żeby cię odczytać, *presuada* - odpowiedziała Estrea. - Przyjdzie ci wiele znieść. Jednak ból, który czujesz? - Ujęła podbródek Alex w kościste palce. - Odplacisz się za niego po dziesięćkroć.

Alex nie była pewna tych rachunków, ale Estrea Stern nigdy dotąd się nie myliła.

Teraz przyjrzała się Pretorowi. W jego oczach malowała się ta sama nadzieja, jaką widziała przy kuchennym stole babki, ból promieniował z niego jak aura. Estrea nie potrafiła spojrzeć komuś w serce i skłamać. Alex nie odziedziczyła tej konkretnej cechy. Po raz pierwszy od pewnego czasu pomyślała o ojcu, jaką był tajemnicą, z której pozostała tylko przystojna twarz i uśmiech. Przypominała go z wyglądu, tak przynajmniej powiedziała jej matka. Może on też był kłamcą.

- Szary sprawia wrażenie spokojnego. Lubi tu przebywać, patrzeć, jak pan pracuje.

- To dobrze - wychrypiał Walsh-Whiteley. - To... to dobrze.

- Czasem mija sporo czasu, zanim mogą się podzielić tym, czym potrzebują się podzielić.

– Oczywiście. Tak. – Założył z powrotem okulary, odchrząknął. – Każę Oculusowi przygotować harmonogram rytuałów, o które ubiegają się stowarzyszenia. Przejrzymy go jutro wieczorem.

Otworzył laptop i wrócił do pracy. Odsyłał ją.

Alex spojrzała na starszego mężczyznę, który przed nią siedział. Będzie płakał po jej wyjściu. Wiedziała to. Zapyta ją znowu o tego młodego człowieka. To też wiedziała. Może będzie życzliwszy, a może po prostu zachowa się wobec niej uczciwie. Taki był cel – przypochlebić mu się. Jednakże kiedy tylko w nią zwątpi, odwróci się od niej. I dobrze. Musi pozostać w jego łaskach tylko do powrotu Darlingtona. A potem złoty chłopak Lete wszystko naprawi.

Była w połowie drogi do akademika, kiedy powróciły do niej słowa Pretora: „Nie ma miejsca w Lete dla kabotynów i szarlatanów”. Trójka profesorów rozmawiała z Mercy, próbując ją zatrzymać na wydziale literatury angielskiej i jeden z nich nazwał powszechnie kochanego dziekana Beekmana kabotynem. Rzadko używane słowo. „Ten człowiek nie pozwoliłby sobie pozostać nieznanym”.

Pozycja Pretora oznaczała, że zyskał pełen dostęp do archiwów i zasobów Lete, w tym do zbrojowni pełnej eliksirów i trucizn. Profesor został Pretorem w zeszłym tygodniu i zaraz potem zaczęły się morderstwa, a z pewnością nie lubił dziekana Beekmana.

Motyw i sposób, pomyślała Alex, otwierając furtkę do college'u JE. A jeśli idzie o okazję, to wiedziała jak mało kto, że o to samemu trzeba zadbać.

Alex zastała Dawes w czytelni JE, zgarbioną nad planami Biblioteki Sterlinga i *Dajmonologią Kittschera*.

– Michelle kazała mi przeczytać tę książkę – powiedziała Alex, biorąc ją i kartkując. – Jest tu coś na temat Womitorium?

– Nie, to seria debat nad naturą piekła.

– Czyli bardziej przewodnik turystyczny.

Dawes przewróciła oczami, a potem zacisnęła dłonie na słuchawkach, jakby złapała się boi ratunkowej.

– Naprawdę w ogóle się nie boisz?

Alex chciałyby powiedzieć, że się nie boi.

– Michelle poinformowała mnie, że musimy umrzeć, żeby dopełnić rytuału. Jestem przerażona. I naprawdę nie chcę tego robić.

– Ja też – przyznała Dawes. – Chcę wiedzieć, jak być odważną. Tak jak ty.

– Ja jestem lekkomyślna. To co innego.

Coś, co mogło być uśmiechem, wykrzywiło kącik ust Dawes.

– Możliwe. Opowiedz mi o Pretorze.

Alex usiadła.

– Jest cudowny.

– Serio?

– Dawes.

Dawes się zaczerwieniła.

– Pogrzebałam trochę na jego temat i nie był popularną postacią w Lete. Jego Wergiliusz go nie cierpiał i opowiadał się przeciwko wer-

bunkowi, ale nie dało się zaprzeczyć faktowi, że był akademicką gwiazdą pierwszej wielkości.

- Niestety nie złagodniał z wiekiem. Za to dobra wiadomość jest taka, że Anselm i zarząd nie wyjawili mu, co naprawdę zaszło w Zwoju i Kluczu.

- Dlaczego?

- Bo ten facet trzyma się kupy dzięki słusznemu oburzeniu. Myślę, że od lat skarżył się Lete, że wszyscy „pełniemy w stronę Betlejem”. Chcieli tylko, żeby się zamknął i dał im spokój.

- A teraz to nasz problem.

- Coś w tym stylu. Myślę, że najlepiej zrobimy, jeśli pozwolimy mu wierzyć, że jesteśmy tępe i niekompetentne.

Dawes skrzyżowała ręce.

- Wiesz, jak ciężko musiałam pracować, żeby zaczęto mnie poważnie traktować? Żeby ktokolwiek potraktował poważnie mój doktorat? Udawanie głupich nie tylko zaszkodzi nam, ale też każdej kobiecie, z jaką on wejdzie w kontakt. To...

- Dawes, wiem, ale to naprawdę świetna przykrywka. Chwilę z nim będziemy pogrywać, dopóki nie rozgryziemy naszego problemu, a potem z radością odsunę się na bok i pozwolę ci zmiażdżyć jego ego swoim olśniewającym intelektem, dobrze?

Dawes się zastanowiła.

- Dobrze.

- Nie chcę brzmieć jak Turner, ale czy mamy plan?

- W pewnym sensie? - Dawes rozłożyła serię schludnie wydrukowanych stron, na których różne fragmenty zakresliła kolorowymi markerami. - Jeśli zorientujemy się, jak dokończyć okrążenie Womitrium, zaczniemy spacer o północy. Kiedy już znajdziemy czworo drzwi, każdy próg musi zostać naznaczony krwią.

- W Halloween.

- Wiem, ale nie mamy wyjścia. Jeśli zrobimy to, jak należy... coś się wydarzy. Nie do końca wiem co, ale drzwi do piekła się otworzą i pojawią się nasze cztery groby. Przekazy nie są napisane jasnym językiem.

- Cztery groby dla czterech morderców.

- Pod warunkiem, że będziemy miały czterech.

- Będziemy – odpowiedziała Alex, chociaż Turner nadal nie wyraził zgody. Jeśli będą musiały wrócić do tamtej ohydnej mapy, to tak zrobią. Muszą jednak załatwić to szybko. Znalezienie kogoś, kto się zgodzi, żeby go żywcem pogrzebano dla ratowania osoby, której nawet nie zna, nie będzie łatwe. – Musimy zabrać ze sobą... Sama nie wiem, jakąś broń czy coś podobnego?

- Możemy spróbować, chociaż nie wiem, z czym będziemy walczyć. Nie mam pojęcia, co może czekać po drugiej stronie. Mogę ci tylko powiedzieć, że nasze ciała nie zejną, jedynie dusze.

Alex pamiętała jednak, co widziała w piwnicy Rosenfeld Hall.

- Darlington zniknął, widziałam to na własne oczy. Nie tylko jego dusza, ale i ciało.

W jednej chwili stał koło niej, z krzykiem na ustach, a w drugiej przepadł razem z dźwiękiem krzyku. Nie było echa, głos się urwał, zapadła nagle cisza.

- Ponieważ został pożarty – odpowiedziała Dawes, jakby to było oczywiste. – Tylko w taki sposób mógł stać się... tym, czym się stał.

- Czyli nikt z nas nie zamieni się w demona?

Dawes znowu chwyciła słuchawki.

- Nie wydaje mi się.

- Na miłość boską, Dawes.

- Nie mogę mieć pewności – odpowiedziała szorstko, jakby myśl o utracie człowieczeństwa była mniej niepokojąca niż perspektywa utraty pracy w Lete. – Nie znalazłam dość dużo dobrze udokumentowanych prób, żeby się zorientować, co się stanie. Jednak wysłanie

tylko naszych dusz stanowi pewną ochronę. Ciała są przenikalne, zmienne. To dlatego potrzebujemy kogoś, kto będzie nad nami czuwał, stanowił łącznik ze światem żywych. Żałuję tylko, że musimy to robić w Halloween. Przyciągniemy mnóstwo Szarych.

Alex poczuła, że nadciąga ból głowy. Został im nieco ponad tydzień, żeby to wszystko zorganizować, a ona miała to samo uczucie co przed rytuałem w Zwoju i Kluczu. Nie były gotowe. Nie były właściwie wyposażone. I z całą pewnością nie były odpowiednim zespołem do tej roboty. Co powiedział Walsh-Whiteley? „Oczekuję, że będziesz znała własne ograniczenia”. Pomyślała wtedy o Lenie. Mimo całej swojej chciwości i źle ułożonej ambicji przyswoił sobie przedziwny rodzaj ostrożności. Był dostatecznie głupi, żeby uznać, że zdobędzie zaufanie Eitana i awansuje, ale nigdy nie próbował niczego w rodzaju bezczelnego włamania, gdy brakowało im kasy, bo rozumiał, że zostaną złapani. Nie był złodziejem. Z całą pewnością nie potrafił planować. Dlatego uwielbiał wysługiwać się Alex, żeby rozprawiała towar na kampusach, gdy jeszcze wyglądała jak dzieciak, zanim rozpacz i rozczarowanie zniszczyły ją od środka. Małe ryzyko, wysokie zyski. Przynajmniej dla Lena.

A teraz Dawes mówiła, że muszą zaufać komuś, że odpędzi bandę Szarych, kiedy oni będą leżeć bezradnie na ziemi. Po raz pierwszy Alex ogarnęła niepewność.

– To mi się nie podoba – powiedziała. – Nie chcę wciągać w to kogoś obcego. I powiesz komuś takiemu, że ma wypić eliksir Hirama, żeby widzieć Szarych? To może mieć śmiertelne skutki.

– Michelle...

– Michelle Alameddine nam nie pomoże.

– Ale była Wergiliuszem.

Alex popatrzyła na Dawes. Pamela Dawes, która więcej niż raz uratowała jej życie i która była gotowa pójść z nią ramię w ramię prosto do bram piekła. Pamela Dawes, która pochodziła z miłej rodziny z ładnym domem w Westport, która miała życzliwą siostrę, gotową ode-

brać ją ze szpitala i zapłacić za pilnowanie dzieci. Pamela Dawes, która nie miała pojęcia, co to znaczy, kiedy życie powoduje tak duże cierpienie, że pewnego dnia budzisz się gotowa umrzeć. Alex cieszyła się z tego. Ludzie nie powinni iść przez świat, cały czas walcząc. Alex jednak nie zamierzała naciskać na Michelle Alameddine, żeby zrobiła coś takiego po tym, jak pokazała jej tatuaż na nadgarstku.

– Znajdziemy kogoś innego – powiedziała, chociaż nie miała pojęcia kogo.

Nie mogły zgarnąć kogoś z ulicy i zaproponować, że mu zapłacą, nie mogły poprosić kogoś ze stowarzyszenia, bo ryzykowałyby, że ta osoba pójdzie prosto do zarządu Lete.

– Mogłybyśmy posłużyć się magią – zaproponowała ostrożnie Dawes. Rysowała powolne spirale długopisem na marginesie z notatkami. – Sprowadzić kogoś, a potem zmusić go, żeby zapomniał...

– Nie róbcie tego.

Alex i Dawes prawie wyskoczyły z krzeseł. Mercy siedziała na kanapie tuż za ich stołem.

– Jak długo tam siedzisz? – zapytała Alex.

– Przyszłam za tobą z dziedzina. Jeśli potrzebujecie pomocy, to ja wam pomogę, ale pod warunkiem, że nie będziecie mieszać mi głowie.

– Nie ma mowy, żebyś wzięła w tym udział – oznajmiła Alex. – Za nic w świecie.

Dawes była wstrząśnięta.

– Czekaj no, kim... Co ona wie?

– Większość.

– Powiedziałaś jej o... – Dawes zniżyła głos do gniewnego szeptu. – O Lete?!

– Tak – warknęła Alex. – I nie mam zamiaru za to przeproszać. To ona wyciągnęła mnie z czarnej dziury w zeszłym roku. To ona zadzwoniła do mojej mamy i pilnowała, czy u mnie jest wszystko w porządku,

kiedy ty siedziałaś zabunkrowana u siostry, oglądałaś stare seriale komediowe i chowałaś się pod kocami.

Dawes opuściła brodę na bluzę i Alex natychmiast zrobiło się przykro.

- Mogę pomóc - odezwała się Mercy, przerywając milczenie. - Powiedziałaś, że ktoś musi was pilnować. Ja mogę to zrobić.

- Nie. - Alex machnęła ręką, jakby przecinała tę myśl. - Nie masz pojęcia, na co się piszesz. Nie.

Mercy skrzyżowała ręce. Miała na sobie jasnoniebieski babciny sweter z szydełkowymi różami przy szyi. Wyglądała jak pełna dezaprobaty przedszkolanka.

- Nie możesz po prostu powiedzieć „nie”.

- Możesz umrzeć.

Mercy prychnęła.

- Naprawdę myślisz, że może do tego dojść?

- Nikt nie wie, co może się stać!

- Możesz dać mi broń?

Alex złapała się za nasadę nosa. Przynajmniej Mercy zadawała właściwe pytania.

- Właściwie to nie możesz mi odmówić, prawda? - mówiła dalej Mercy. - Nie masz nikogo innego. I jesteś mi to winna za ten cały bałagan z magią.

- Nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

- Bo miałybyś wyrzuty sumienia.

- Bo cię lubię! - krzyknęła Alex. Zmusiła się do zniżenia głosu. - I tak, miałabym wyrzuty sumienia. Ja ratuję cię, ty ratujesz mnie. To właśnie powiedziałaś, zapomniałaś?

- Więc jeśli coś pójdzie nie tak, to właśnie zrobisz.

Dawes odchrząknęła.

- Rzeczywiście kogoś potrzebujemy.

Mercy wyciągnęła rękę.

- Mercy Zhao, współlokatorka i ochroniarz.

Dawes uściśniła jej dłoń.

- Ehm... Pamela Dawes. Doktorantka i...

Alex westchnęła.

- Śmiało, powiedz.

- Oculus.

- Naprawdę świetny pseudonim - pochwaliła Mercy.

- To moje stanowisko - wyjaśniła Dawes z całą godnością, na jaką było ją stać. - Nie jesteśmy szpiegami.

- Nie, szpiegostwo byłoby za łatwe dla Lete - powiedziała Alex.

- Tak naprawdę to krążą domysły, że określenie *spooks*⁶, jakim zaczęto nazywać agentów CIA, wzięło się stąd, że wielu rekrutów wywodzi się z Czaszki i Kości.

Alex położyła głowę na stole.

- Idealnie się wpasujesz.

- Powiedz mi tylko, od czego mam zacząć.

- Nie nakręcaj się - ostrzegła ją Alex. - Nie zorientowałyśmy się jeszcze, jak Womitorium działa i czy nie pojmujemy wszystkiego na opak.

Dawes wskazała plany Biblioteki Sterlinga.

- Potrzebny jest krąg, powinniśmy zatoczyć pełne koło, ale...

Mercy przyjrzała się planom.

- Wygląda na to, że musicie obejść w koło dziedziniec.

- Zgadza się ale nie da się dokończyć okrążenia - powiedziała Dawes. - Ścieżka urywa się ślepo w Rękopisach i Archiwach.

- Nieprawda - powiedziała Mercy. - Po prostu trzeba przejść przez biuro uniwersyteckiego bibliotekarza.

- Byłam w tym biurze. - Dawes popukała zdecydowanie w plany. - Są tam drzwi do Rękopisów i Archiwów i drzwi na dziedziniec. Drzwi pod zegarem słonecznym. To wszystko.

- Nie - upierała się Mercy. Alex miała wrażenie, że ogląda mecz bokserski, w którym zawodnicy przerzucają się cytatami, zamiast wymierzać ciosy. - Nie wiem, dlaczego nie ma tego na planie, ale za biurkiem bibliotekarza są drzwi, dokładnie obok kominka. To drzwi z zabawną łacińską sentencją.

- Z zabawną sentencją? - zainteresowała się Alex.

Mercy skubała jedną z różyczek przy szyi.

- Nie pamiętam, z czego to cytat, ale zasadniczo sprowadza się do stwierdzenia „Zamknij się i odejdź, jestem zajęty”. Drzwi łatwo prze-gapić z powodu boazerii, ale pokazała mi je moja przyjaciółka Camila. Przeszliśmy tamtędy. Prowadzą do Linonia and Brothers Room.

Dawes miała minę, jakby chciała wyskoczyć z krzesła.

- Do czytelní Linonia. To oznacza pełne obejście dziedzińca.

Alex nie nadażala za ich debatą, ale tyle zrozumiała. Ukryte drzwi. Sposób, żeby okrążyć dziedziniec, którego nie ujawniały plany.

- Możemy domknąć obwód. Możemy dokończyć otwarcie Womitorium.

- Widzisz? - powiedziała z szerokim uśmiechem Mercy. - Już wam pomogłam.

Dawes odchyliła się na krześle i spojrzała Alex w oczy.

- Ty teraz jesteś Wergiliuszem. To twoja decyzja.

Alex uniosła ręce.

- Chrzanić to. Mercy Zhao, witaj w Lete.

Należy zrozumieć, że demony to istoty, którymi władają pragnienia. Zatem chociaż ich moce są na dobrą rzecz nieograniczone, to zdolności pojmowania mają zdecydowanie bardziej ograniczone. To dlatego tak łatwo odwrócić ich uwagę za pomocą łamigłówek i gier – najbardziej wciąga je to, co znajduje się dokładnie przed nimi. Dlatego też stworzenie przedmiotów materialnych z niczego okazuje się trudne. Stworzyć złoto z niczego? Kosztowna rzecz, jeśli mieć na względzie krwawą ofiarę, ale względnie łatwa do uzyskania. Stop metali? To już nieco trudniejsze. Jednakże skomplikowany przedmiot taki jak statek albo budzik? Lepiej, żebyście doskonale rozumieli ich działanie, ponieważ mogę wam zagwarantować, że demon nie będzie tego wiedział. A organizm bardziej skomplikowany niż ameba? To właściwie niemożliwe. Bo widzicie, moi przyjaciele, diabeł tkwi w szczegółach.

Dajmonologia Kittschera, 1933

Kastet Szimszona, prawdopodobnie jeden z pary; złoto, ółów i wolfram

Pochodzenie: nieznanne; data powstania nieznaną

Ofiarodawca: Wilczy Łeb, 1998

Ten kastet daje noszącemu siłę dwudziestu mężczyznom. Został znaleziony na jednej z licznych wypraw wykopaliskowych na Bliskim Wschodzie sponsorowanych przez Wilczy Łeb i fundację stowarzyszenia. Nie wiadomo jednak, czy odkryto go podczas prac w terenie, czy też w sklepiku w turystycznej dzielnicy. Nie wiadomo także, czy włos zatopiony na wieczność w złocie należał do legendarnego bohatera, czy to po prostu część zaklęcia rzuconego na przedmiot. O ile jednak pochodzenie kastetu jest niejasne, o tyle magia w nim zawarta nie budzi wątpliwości. To jeden

z najbardziej użytecznych darów przekazanych zbrojowni w 1998 roku z okazji setnej rocznicy powstania Lete.

z Katalogu Zbrojowni Lete;
korekta i redakcja: Pamela Dawes, Oculus

– Masz czasem wrażenie, że to wszystko jest nierealne? – szepnęła Mercy.

Siedziały we wspólnym pokoju razem z Lauren i jeszcze jedną członkinią drużyny hokeja na trawie i robiły z kolorowego papieru kwiaty z myślą o Halloweenowym Specjale. Zamierzały zamienić pokój w ponury ogród z czekoladowymi doniczkami wypełnionymi żelowymi dżdżownicami.

– Nie potrafię myśleć o niczym poza piątkowym wieczorem.

Miały dużo do zrobienia przed Halloween, a zostało im na wszystko już tylko kilka dni. Alex przyniosła do domu zalecane lektury, które Dawes wybrała dla niej i Mercy. Obie czytały je w swoim pokoju między zajęciami i posiłkami, a potem chowały pod łóżkiem. Alex nadal nie wiedziała, co czuje w związku z tym, że Mercy naraża się na niebezpieczeństwo, ale była też wdzięczna za to, że nie czuje się całkiem osamotniona. W dodatku podniecenie Mercy było jak balsam na duszę przez kontrast z wiecznym zamartwianiem się Dawes.

– To właśnie jest prawdziwe życie – przypomniała jej Alex, podnosząc tubkę z klejem. – Sprawy Lete... to tylko coś, co odwraca od tego uwagę.

Przypominała o tym w równym stopniu sobie, co Mercy. Ochłodzenie zmieniło atmosferę w kampusie. W pierwszych miesiącach nowego semestru kryła się pewna tymczasowość, ciepła miękkość czyniąca go plastycznym w te coraz krótsze dni, które już nie były letnie, ale wciąż nie wydawały się jesienne. Teraz pojawiły się czapki i szaliki, buty zastępowały sandały, atmosfera stała się poważniejsza.

Alex i Mercy nadal uchylały okna, czasem otwierały je na oścież – grzejniki w akademiku powitały nowy czas ze zbyt dużym zapalem. Jednak kiedy siedziała w czytelni JE albo spotykała się z asystentem prowadzącym jej zajęcia z filozofii w Bibliotece Bassów, Alex czuła, że ogarnia ją dziwne uczucie, niebezpieczny komfort rutyny. Nie zaliczała zajęć śpiewająco, ale radziła sobie – to był stały strumień ocen dostatecznych i dobrych, kaskada ciężko zapracowanej mierności. Wszystko to mogę stracić, powtarzała sobie, kiedy pochylała się, żeby sięgnąć ustami do kolejnej filiżanki herbaty i czuła parę na skórze. Tę łatwość, tę ciszę. To było cenne. To było niemożliwe.

Przyklejała wytrzeszczone ślepia do słonecznika, kiedy rozległ się sygnał jej telefonu. Alex prawie zapomniała o Eitanie, a może miała nadzieję, że on zapomniał o niej, odkąd Majster zapłacił swoje i nowinka w postaci jej siły spowszedniała. Wiadomość zawierała adres, którego Alex nie rozpoznała. Kiedy go sprawdziła, okazało się, że to Old Greenwich. Jak, u diabła, miała tam dotrzeć?

– Chcesz zapisać się na zajęcia teatralne w następnym semestrze?
– zapytała Mercy.

– Pewnie.

– Co się stało?

– To tylko moja mama.

W pewnym sensie Alex mówiła prawdę.

– Moim rodzicom się to nie spodoba, ale mogę ich przekonać, że to mi pomoże w mówieniu w sytuacjach publicznych – powiedziała Mercy. – Zajęcia z Shakespeare’a są jedynymi dostępnymi dla osób, które nie specjalizują się w teatrze.

– Znowu Shakespeare? – zapytała z odrazą Lauren.

Jej przedmiotem kierunkowym była ekonomia; nieustannie narzekała na wszystko, co wiązało się z dodatkowym czytaniem.

Mercy się roześmiała.

– Aha.

„Gdybym się nie bał rąk moich osmolić, bilbym cię”². Alex nie pamiętała, skąd pochodzi ten cytat, ale kusilo ją, żeby przesłać go Eitanowi. Zamiast tego napisała do Dawes i zapytała, czy mercedes jest w Il Bastone.

„Czemu pytasz?” – odpisała w odpowiedzi Dawes.

Alex jednak nie była w nastroju, żeby znosić nadopiekuńczą mamusię, która chroni bezcenny samochód swojego syneczka. Narażała wszystko dla kochanego Darlingtona, a teraz potrzebowała środka transportu. Wzięła Dawes na przeczekanie i w końcu telefon znowu zabrzączał.

„Tak. Zatankuj go potem”.

* * *

Alex lubiła jeździć mercedesem. Czuli się w nim inną osobą, piękniejszą, ciekawszą; czuli się kobietą, która budzi zainteresowanie ludzi, która nosi buty na płaskim obcasie i mówi znudzonym tonem, cicho i przeciągając samogłoski. Oczywiście sama kupiła sobie ten samochód. Pokochała go, gdy tylko zobaczyła go na placu – słodki staruszek. Nie był praktyczny, ale ona też taka nie była.

Alex włączyła radio. Na 95-tce był mały ruch. Alex zastanawiała się, czy nie porzucić głównych dróg i nie pojechać trasą wzdłuż wybrzeża, przynajmniej kawałek, może zrobić pętelkę, żeby zerknąć na Thimble Islands. Darlington powiedział, że na paru wyspach znajduje się kilka słynnych posiadłości, podczas gdy inne są za małe, żeby rozwiesić na nich choćby hamak. Powiedział też, że kapitan Kidd podobno ukrył na jednej z nich skarb. Nie miała jednak czasu na realizowanie tych fantazji w stylu bogatej dziewczynki. Musiała załatwić sprawę dla Eitana i wracać, żeby przygotować się na jutrzejszy rytuał w Manuskrypcie. Alex chciała upewnić Pretora, że jest gotowa i nie potrzebuje dodatkowego nadzoru.

Zanim dojechała do Old Greenwich, zapadał już zmierzch, niebo łagodniało, przybierając głęboką i czystą niebieską barwę. Większość miast nie wygląda ładnie, gdy zjeżdżasz do nich z autostrady, ale to miejsce najwyraźniej nie miało brzydkich zakamarków. Całe składało się z ładnych witryn sklepowych, ciągnących się kamiennych murów, drzew rozpinających czarne koronki gałęzi na tle zapadającego wieczoru. System nawigacji pokierował ją łagodnie zakręcającą drogą; mijala pofalowane trawniki i rozległe stare domy. Teraz wiadomość Eitana zaczynała nabierać sensu.

Musiała spojrzeć dwa razy na nazwisko i kwotę: Linus Reiter, 50.

„50 kafli?” – odpisała.

Eitan nawet nie zawracał sobie głowy odpowiedzią.

Nazwisko brzmiało tak, że mogło należeć do jakiegoś ważniaka z branży komputerowej albo kogoś podobnego, a wiedziała, że Eitan miał wysoko postawionych klientów w Los Angeles – kobiety, które wciągały adderall, żeby nie tyć, szycy od telewizji, które lubiły imprezować na poppersach. Jednakże nic z tego nie pasowało do takiego miejsca jak to – gustownego, zamożnego. Teraz przynajmniej rozumiała, dlaczego Eitan pozwolił, żeby gość zapędził się tak daleko. Musiał wiedzieć, że Reitera stać na to, i chętnie ściągał odsetki.

Zwolniła, a potem po prostu siedziała przy włączonym silniku i wpatrywała się w adres na jednej z dwóch wielkich kolumn z kamienia rzecznego, zwieńczonych kamiennymi orłami.

– Kurwa.

Wpatrywała się w wielką bramę z kutego żelaza wstawioną w wysoki mur zarośnięty bluszczem. Niewiele za nią widziała poza stokiem pagórka porośniętym drzewami i zwirowym podjazdem znikającym w wieczornym mroku.

Przyjrzała się murowi i bramie, szukając kamer. Nie zauważyła niczego oczywistego, ale to niewiele znaczyło. Może ludzie w Old Greenwich uważali, że nie potrzebują ochrony. Może po prostu się z nią nie obnosili. Gdyby Alex tu złapano, z pewnością zostałyby areszto-

wana, a wtedy Anselm i zarząd nie zawracaliby sobie głowy daniem jej drugiej szansy. Po prostu wyrzuciliby ją z Lete. Profesor Walsh-Whiteley urządziłby pewnie z tej okazji przyjęcie. A przynajmniej spotkanie przy serze i winie. Ale jakie miała wyjście? Nie mogła powiedzieć: „O, psiakość, zadzwoniłam, ale nikogo nie zastałam”.

Alex siedziała za kierownicą niezdecydowana. Nie widziała w okolicy żadnych czających się Szarych i nie była pewna, czy chce wspiąć się po stoku, wiedząc, że nie ma żadnego wsparcia. Ten gość może dysponować całym tabunem zbirów tak jak Eitan. Z drugiej strony nie była pewna, czy jest gotowa wpuścić kolejnego Szarego po tym, co przydarzyło jej się ze starcem w Black Elm i dzieciakiem, którym posłużyła się gdy załatwiała sprawę z Majstrem. Związek był zbyt silny, zbyt intymny. I zawsze istniało ryzyko, że jeden z nich wejdzie w nią i nie zechce już wyjść.

Sięgnęła do kieszeni płaszcza i poczuła pocieszający ciężar kastetu, który ukradła ze zbrojowni Lete.

– Nie ukradłam – mruknęła. – W końcu jestem Dantem.

To znaczy Wergiliuszem.

Tyle że w tej chwili nie była ani jednym, ani drugim. Była po prostu Alex Stern i miała robotę do wykonania. Zaparkowała mercedesa kilka przecznic dalej i obejrzała posiadłość w widoku z satelity, gdy czekała, aż zrobi się ciemno. Dom był ogromny i trzeba było do niego podejść co najmniej ćwierć mili podjazdem. Dalej widziała błękitną pastylkę basenu i jakiś domek dla gości albo pawilon.

Przynajmniej spuszczenie lania bogaczowi będzie jakąś odmianą.

Zamknęła samochód i poklepała go na szczęście, a potem podeszła do wschodniego narożnika muru, wdzięczna za to, że lampy uliczne rozmieszczono tu w dużych odstępach. Nie widziała na drodze nikogo poza smukłą kobietą uprawiającą jogging i pchającą podwójną spacerówkę. Alex wsunęła kastet na palce. Był zrobiony ze złota i szorstki w miejscu, gdzie podobno zatopiono włos Samsona. Nie wiedziała, czy to mit, czy prawda, ale nic jej to nie obchodziło, dopóki kastet

pozwał jej przebić się przez ścianę. „Nogi mi zakuto, lecz pięść mam wolną”, szepnęła do siebie. Albo do Darlingtona, uznała. *Samson walczący*. Nie było tam jednak Darlingtona, żeby mogła mu zaimponować swoim Miltonem.

Metal na kostkach dłoni sprawiał, że trudno było się czegoś chwycić, ale przypływ dodatkowej siły pozwolił jej z łatwością podciągnąć się na mur. Mimo to zawahała się, zanim zeskoczyła na drugą stronę. Włożyła czarne trampki i tylko jednego jej brakowało: żeby złamać kostkę i zamarznąć na śmierć, czekając, aż Dawes po nią przyjedzie.

Odliczyła do trzech i zmusiła się do zeskoczenia. Na szczęście drzewa zaczęły już gubić liście, więc pokryły ziemię miękką warstwą. Alex pobiegła w stronę domu równoległe do podjazdu, zastanawiając się, czy zaraz zobaczy światła latarek albo usłyszy okrzyki ochroniarzy. A może Linus Reiter trzymał stadko wygłodniałych dobermanów, które na nią poszczuje. Jednak nie rozległ się żaden hałas, oprócz odgłosu jej kroków na liściach, wiatru potrząsającego sosnami i jej wytężonego oddechu. Darlington by się uśmieł. Dwadzieścia minut dziennie na bieżni, Stern. W zdrowym ciele zdrowy duch.

– Cóż, to ty teraz na okrągło uprawiasz jogę nago.

Przystanęła, żeby złapać oddech. Widziała majaczącą za drzewami sylwetkę domu, ale w środku nie paliły się żadne światła. Może Reitera naprawdę nie było w domu? Boże, ta myśl była piękna. Mimo to... pięć procent od pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Nigdy w życiu nie miała tyle pieniędzy. Eitan wciągnął ją w tę robotę, grożąc jej matce, a ona była za głupia, żeby zawalić pierwsze zlecenie, zbyt przyzwyczajona do wypełniania poleceń. A może zrobiła się wygodnicka. Przemoc stała się łatwa. To był jej ojczysty język, w naturalny sposób wracała do niego, zawsze czekał gotowy w jej ustach. Nie mogła udawać, że drobna sumka, którą zaczęła odkładać na czarną godzinę, nie jest zabezpieczeniem, na wypadek gdyby wyleciała z Yale i Lete, gdyby wszystkie ich obietnice zawiodły.

Kiedy wreszcie dotarła na szczyt wzgórza, zatrzymała się na linii drzew. Dom w niczym nie przypominał tego, czego się spodziewała. Wyobrażała sobie, że to będą stara cegła i bluszcz jak Black Elm, ale to była wystawna, przestronna biała konstrukcja, architektoniczna beza w kształcie spadzistych dachów, pasiastych markiz nad niezliczonymi oknami, z wielkim tarasem idealnie nadającym się na garden party. Nie miała pojęcia, jak wejdzie do środka. Może powinna była rzucić na siebie urok, ale nie miała na to czasu.

Uznała, że już się włamała, ale myśl o stłuczeniu okna wywołała w niej niepokój i to ją wkurzyło. I gdzie się podziała rozpędzona kula armatnia? Nie zawahałaby się, gdyby była w okolicy, w której mieszkał Majster. To fortuna Linusa Reitera ją przestraszyła. I nie bez powodu. To nie był drobny diler z New Haven, a Eitan nie wpłaci za nią kaucji, jeśli Alex schrzani tę robotę.

- Ja pierdolę - mruknęła.

- Może najpierw wypijesz drinka?

Alex zdusiła okrzyk i obróciła się gwałtownie, potykając się o własne nogi. Stał za nią mężczyzna w nienagannym białym garniturze. Prawie się przewróciła, ale zdołała złapać równowagę. W ciemności nie widziała za dobrze jego twarzy.

- Przyszedłeś tu, bo się założyłeś? - zapytał uprzejmie. - Jesteś starsza od dzieciaków, które zwykle dzwonią do moich drzwi i przewracają mi doniczki.

- Ja... - Alex chciała skłamać, ale po co miała to robić? Zamiast tego zaczęła przeszukiwać myślami miasteczko. Nie było żadnych Szarych w domu ani na terenie posiadłości. Dopiero kiedy dotarła do przestronnego budynku gimnazjum, spostrzegła rozmazaną plamę, zmarszczkę w świadomości, która oznaczała obecność Szarego. Już sama wiedza, że może go przywołać, stanowiła pociechę. - Eitan mnie przysłał.

- Eitan Harel? - zapytał, nie kryjąc zdziwienia.

– Jesteś mu winny pięćdziesiąt patyków – powiedziała, czując się jak idiotka.

Posiadłość była nienagannie utrzymana i z tego, co wiedziała, Linus Reiter także.

– I wobec tego przysłała dziewczynkę, żeby odebrała dług? – odpowiedział w zadumie Reiter. – Ciekawe. Zechcesz wejść do środka?

– Nie. – Nie miała powodu i jeśli czegoś nauczyła się w swoim krótkim i ciernistym życiu, to, że nie należy wchodzić do domu nieznajomego, o ile nie masz gotowego planu ucieczki. W szczególności dotyczyło to bogatych nieznajomych.

– Jak wolisz – odparł. – Robi się chłodno.

Minął ją i wszedł schodami na taras.

– Muszę odebrać dług dzisiaj.

– To nie będzie możliwe! – odkrzyknął.

Pewnie, że to nie mogło być łatwe. Alex sięgnęła w stronę nauczycielki przyciągając ją w stronę rezydencji ulicami Old Greenwich. Jednak Szara będzie jej ostatnią deską ratunku.

Poszła za Linusem Reiterem po schodach.

– O co chodzi z tym pozowaniem na Gatsby’ego? – zapytała, idąc za nim do rozległego salonu z kremowymi kanapami i bładoniebieską chińską porcelaną.

Białe świece paliły się nad kominkiem, na dużym szklanym stoliku i na barze w kącie, oświetlając regały z drogimi butelkami, które lśniły jak zakopany skarb bursztyнем, szmaragdem i rubinową czerwienią. Wydęte obłoki białych hortensji stały w ciężkich wazonach. Całość była niezwykle wytworna i zarazem staroświecka.

– Celowałem w Toma Wolfe’a, ale wezmę, co mi dają – odparł gospodarz, kierując się w stronę baru. – Co mogę ci zaproponować...?

Czekał na imię, ale ona odpowiedziała tylko:

– Mam mało czasu.

Jeśli jesteś już na tyle głupia, żeby złamać regułę numer jeden i pójść za nieznanym do jego domu, to reguła numer dwa zabraniała ci picia z bogatym nieznanym, którego dzielił tylko krok od przekwalifikowania na bogatego dziwaka.

Reiter westchnął.

- Współczesny świat pędzi w tak zawrotnym tempie.

- Nawet mi o tym nie mów. Słuchaj, robisz wrażenie...

Nie była pewna, jak skończyć to zdanie. Miłego? Uprzejmego? Nieco ekscentrycznego, ale niegroźnego? Był zaskakująco młody, miał może ze trzydzieści lat. Był też przystojny. Wysoki, szczupły, o delikatnych rysach, bladej skórze i złotych włosach dość długich, żeby sięgały ramion - w stylu gwiazdy rocka, klóącym się z nieskazitelnym białym garniturem.

- Nie wiem, jakie właściwie robisz wrażenie, ale jesteś nadzwyczaj uprzejmy. Nie chcę tu być i nie chcę ci grozić, ale takie mam zadanie.

- Od jak dawna pracujesz dla Eitana? - zapytał, sięgając po szklanki, lód i burbona.

- Od niedawna.

Przyglądał jej się uważnie. Miał jasne, szaroniebieskie oczy.

- Jesteś uzależniona?

- Nie.

- Czyli chodzi o pieniądze.

Alex wbrew sobie zaśmiała się gorzko.

- Tak i nie. Eitan przyparł mnie do muru. Tak jak ciebie.

Teraz on się uśmiechnął, a zęby miał jeszcze bielsze niż skórę. Alex musiała powstrzymać chęć, by się cofnąć. Było coś nienaturalnego w tym uśmiechu, w woskowej twarzy, książęcych puklach. Włożyła ręce do kieszeni i wsunęła palce w kastet Samsona.

- Moja droga, Eitan Harel nigdy nie przyparł mnie i nigdy nie przyprze do muru - powiedział Reiter. - Nadal jednak próbuję rozwiązać zagadkę, jaką stanowisz. Fascynujące.

Alex nie wiedziała, czy ją podrywa, ale to nie miało znaczenia.

– Nie brakuje ci kasy, więc czemu nie prześlesz pięćdziesięciu kafli Eitanowi, a ja zostawię cię, żebyś zajął się tym, czym zajmują się bogaci mężczyźni w cichy środowu wieczór w swoich posiadłościach. Możesz poprzestawiać meble, zwolnić lokaja czy coś w tym guście.

Reiter wziął drinka i usadowił się na jednej z białych kanap.

– Nie dam temu oślizgiemu łajdakowi ani centa. Może zechcesz powtórzyć to Eitanowi?

– Z chęcią, ale... – Alex wzruszyła ramionami.

Reiter zamruczał wesoło.

– Teraz robi się naprawdę ciekawie. Co właściwie masz zrobić, kiedy nie dam ci pieniędzy?

– Kazał mi cię skrzywdzić.

– Och, doskonale. – Reiter był szczerze uradowany. Odchylił się i skrzyżował nogi, rozłożył ręce, jakby zachęcał niewidoczny tłum do korzystania z jego hojności. – Zachęcam, żebyś spróbowała.

Alex czuła się więcej niż zmęczona. Nie uderzy mężczyzny, który nawet nie zamierza się bronić. Może to go kręciło, może desperacko szukał rozrywki. A może nigdy tak naprawdę nie miał powodu obawiać się kogoś takiego jak ona i teraz nie starczało mu wyobraźni. Widziała jednak, że kocha swój piękny dom i zgromadzone tu cacka. To może wystarczyć.

– Czas ucieka, a mnie jeszcze czeka randka z Chaucerem. – Przewróciła wazę stojącą nad kominkiem.

Niestety nie usłyszała odgłosu uderzenia jej o podłogę.

Reiter stał przed Alex, trzymając wazę w długich białych palcach. Poruszał się naprawdę szybko. Za szybko.

– Ejże – zbeształ ją. – Osobiście przywiozłem ją z Chin.

– Serio? – powiedziała Alex, cofając się.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym.

Nie zawahała się. Zacisnęła dłoń na kasecie i wzięła zamach.

Za wolno. Trafiała tylko w powietrze. Reiter stał już za nią, jedną rękę zaciskał wokół jej piersi, a palcami drugiej obejmował jej czaszkę.

- Nie ma żadnego długu, głupie dziecko - zamruczał. - Jestem konkurencją. Harel i jego mali paskudni rodacy chcą zagarnąć moje terytorium. Jednak nie pojmuję, czemu ten szczur przysłał ciebie. Jako prezent? Przynętę? Prawdziwe pytanie jednak brzmi, czy zdołam opróżnić cię do sucha, nie niszcząc sobie garnituru. Małe wyzwanie, które lubię sobie rzucać.

Jego zęby - jego kły! - wbiły się w jej szyję. Alex krzyknęła. Doznanie było dojmujące, jakby wbijano w nią igły, a potem nadszedł nagły, potworny ból. Teraz już wiedziała, dlaczego nie ma duchów na terenie posiadłości. Tutaj mieszkała śmierć.

Alex wezwała Szarą czającą się niechętnie za bramą. Nauczycielka wpadła w nią z zatęchłym smrodem szatni pełnej lunchów w torebkach z szarego papieru, z duszącym obłokiem kredowego pyłu i nieugiętą wolą. Ręce w górę, buzie na kłódkę.

Wampir syknął i wypuścił Alex, wypluwając krew z ust. Alex patrzyła, jak szkarłat obryzguje kanapę i dywan.

- To tyle, jeśli idzie o twój garnitur.

Teraz oczy mu błyszczały jak dziesięciocentówki w zbyt bladej twarzy, kły miał długie, mokre od jej krwi.

- Smakujesz jak grób.

- I dobrze.

Rzuciła się na niego ożywiona siłą Szarej i kastetem na dłoni. Zdołała wymierzyć dwa solidne ciosy, usłyszała trzask szczęki, poczuła,

jak zgmiotła mu żołądek. Potem jej przeciwnik otrząsnął się z pierwszego szoku, odzyskał swoją szybkość. Odskoczył od niej i uniósł się – lewitował, latał przed nią jak pozbawiony ciężaru w swoim zakrwawionym garniturze.

Jej umysł wrzeszczał, nie godząc się na tę sprzeczność z naturą. Jak mogła wziąć tego stwora za człowieka?

– Prawdziwa zagadka – powiedział wampir. Dwa ciosy kastetem Samsona zabiłyby normalnego człowieka, ale na nim nie zrobiły wrażenia. – Teraz rozumiem, dlaczego Eitan Harel nasał na mnie wychudzone dziecko. Ale czym ty właściwie jesteś, pączusku?

Jestem kurewsko przerażona. Dysponowała tylko siłą ducha i okrucieństwem pożyczoną – skradzionej – z Lete magii. A to ewidentnie nie wystarczy.

Czy Eitan przysłał ją tutaj, żeby jej się pozbyć? Później będzie się tym martwić. O ile przeżyje. Myśl, dziewczyno! Co ruszało tego konkretnego potwora? Jedyne raz, kiedy się zdenerwował, to gdy zagroziła jego pięknym rzeczom, jego cudownej własności.

W porządku, pieprzony krwiopijco. Zabawmy się.

Chwyliła porcelanową figurkę stojącą na stoliku i cisnęła nią w przeszklone drzwi, a sama rzuciła się w stronę baru. Nie czekała, żeby się przekonać, czy Reiter złapie przynętę, po prostu wpadła na butelki, tłukąc, co się dało, przewracając świece w kałuże alkoholu. Zobaczyła, że jedna zgasała. Alex wyrwał się bezradny szloch. Zaraz jednak buchnął ogień i rozkwitł piękny płomień. Wysunął mackę, zyskał na sile, liżąc alkohol, sunąc wzdłuż baru.

Wampir zawył. Alex skoczyła za ogień, wykorzystując go jak osłonę. Czowała narastający żar. Musiała zasłonić usta z powodu dymu. Zdjęła bluzę z kapturem i nasączyła ją alkoholem, robiąc z niej prowizoryczną pochodnię. Zajęła się ogniem jak kłębek waty cukrowej. Alex pobiegła do przeszklonych drzwi, cisnęła pochodnię za siebie i usłyszała huk, gdy zajęły się zasłony.

Wyskoczyła przez okno pośród głośnego brzęku szkła, poczuła, jak szyba rozcina jej skórę. A potem pobiegła.

Miała teraz siłę Szarej, sadziła długie susy, nie zważając na gałęzie, które drapały jej twarz, na ból w szyi, gdzie wgryzł się Reiter. Nie próbowała wspinać się na mur. Wyciągnęła przed siebie ręce i wpadła prosto na bramę, która ustąpiła ze szczękiem. Alex popędziła ulicą, szukając kluczyków do mercedesa. Niestety kieszenie miała puste. Bluza. Klucze zostały w bluzie. Dawes ją zabije.

Alex biegła, trampki uderzały w asfalt pustych ulic. Widziała światła w domach. Mogła skrócić, poprosić o pomoc, poszukać schronienia? Uczepiła się siły ducha, poczuła, jak coraz bardziej ją wypełnia. Jej krok stał się jeszcze dłuższy. Prawie już nie dotykała ziemi. Biegła przez ciemność, przez plamy światła lamp ulicznych, do miasta, gdzie panował większy ruch uliczny. Minęła stację kolejową i w końcu dotarła do drogi biegnącej równoległe do autostrady. Uskoczyła przed samochodem, usłyszała przenikliwy klakson, a chwilę potem biegła nad wodą. Nad rzeką? Nad morzem? Widziała światła mostu, wielkie domy z własnymi pomostami odbijały się w tafli wodnej. Alex przebiegała obok ogrodzeń z siatki, psy czekały i wyły w ślad za nią. Alex bała się zatrzymać.

Czy mógł ją wytropić? Wywęszyć jej krew? Nie spodobał mu się jej smak, a przynajmniej nie wtedy, gdy przywołała Szarą. Nie wiedziała już, gdzie się znajduje. Nie była nawet pewna, czy biegła w stronę New Haven, czy w przeciwną. Nie czuła się jak człowiek. Była kojotem, lisem, jakimś dzikim zwierzęciem, które zakrada się nocą na podwórze. Sama była duchem, zjawą migoczącą za oknami.

Zmęczenie w końcu zaczęło ją doganiać. Szara błagała, żeby się zatrzymała.

Zobaczyła przed sobą zjazd z autostrady, stację benzynową na wyspie światła. Zwolniła trochę, ale nie zatrzymała się, dopóki nie wkroczyła pod jasną kopułę jarzeniowego światła. Przy pompach stały samochody, parę ciężarówek z naczepami stało na wielkim parkingu,

podróżni robili zakupy w minimarkecie. Alex przystanąła przed szklanymi przesuwanymi drzwiami i złożyła się wpół, opierając ręce na kolanach. Łapała powietrze haustami, bała się, że zwymiotuje, kiedy poziom adrenaliny opadnie. Minuty mijały, a ona patrzyła na drogę, na niebo. Czy Reiter naprawdę potrafił latać? Mógł zamienić się w nietoperza? Miał kumpli-wampirów, których mógł posłać w ślad za nią? Czy już ugasił pożar w swojej pięknej rezydencji? Miała nadzieję, że nie. Miała nadzieję, że ogień pożre wszystko, co kochał.

W końcu uwolniła nauczycielkę i poczuła, jak resztki siły ducha uchodzą z jej ciała. Zrobiło jej się niedobrze. Była potwornie zmęczona. Usiadła na krawężniku, oparła głowę na kolanach i rozplakała się z przerażenia. Łzy były gorące.

– Już dobrze.

Alex aż podskoczyła, słysząc cichy głos, na wpół spodziewając się, że obok niej stoi Linus Reiter.

To jednak była nauczycielka. Uśmiechała się łagodnie. Umarła około sześćdziesiątki i miała głębokie zmarszczki wokół oczu. Nosiała spodnie i sweter ze szpilką w kształcie uśmiechniętej tęczy z napisem „Bardzo dobrze. *Muy bien!*”. Miała krótko obcięte włosy.

Alex nie widziała żadnych ran i zastanawiała się, jak ta kobieta zmarła. Wiedziała, że powinna się odwrócić, udawać, że jej nie słyszy; każda więź z Szarym może być niebezpieczna. Nie potrafiła jednak zmusić się do tego.

– Dziękuję – szepnęła i świeże łzy popłynęły jej po policzkach.

– Nie chodzimy do tego domu – powiedziała nauczycielka. – On zakopuje ich w ogrodzie.

– Kogo? – zapytała Alex i zaczęła się trząść. – Ilu?

– Setki. Może więcej. Mieszka tam od bardzo dawna.

Alex przycisnęła dłoń do oczu.

– Muszę się czegoś napić.

- Twoja szyja - mruknęła nauczycielka, jakby Alex miała okruszek na buzi.

Alex przyłożyła rękę do szyi. Nie potrafiła się zorientować, jak poważna jest rana. Rozpuściła włosy, mając nadzieję, że ją zasłonią.

- Mogę iść z tobą? - zapytała nauczycielka, kiedy Alex wstała chwiejnie.

Alex skinęła głową. Wiedziała, jak bardzo Pan Młody chciał przypomnieć sobie, jak to jest być w ciele, i nawet jeśli każda chwila spędzona z Szarym jest niebezpieczna, nie chciała zostać teraz sama.

Tym razem pozwoliła nauczycielce napłynąć powoli, w swoim tempie. Zobaczyła klasę pełną znudzonych twarzy, kilka uniesionych rąk, słoneczne mieszkanie i kobietę o długich, siwiejących włosach, tańczącą i nakrywającą do stołu. Zalała ją fala miłości.

Alex dała się ponieść do minimarketu. Kupiła płyn odkażający, wacę, paczkę bandaży, litr coli i paczkę doritos. Nie podnosiła głowy, zapłaciła gotówką, zerkając na parking. Wciąż bała się, że zobaczy opadający ciemny kształt.

Poszła do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku, ale kiedy tylko zatrzasnęła za sobą drzwi i spojrzała w lustro, zamarła.

Może spodziewała się dwóch czystych nakłuc jak w filmach, ale ślady na jej szyi były paskudne jak rana szarpana, oblepiona zaschniętą krwią. Nie przebił jej żyły szyjnej, bo już by nie żyła, ale wyglądało to naprawdę źle - jakby pogryzła ją zwierzę. I pewnie właśnie tak było. Alex otarła krew, ignorując pieczenie alkoholu, wręcz wdzięczna za to uczucie. Zmywała Reitera, usuwała po nim wszelkie ślady.

Szyja wyglądała lepiej, gdy już skończyła, chociaż Alex nadal się bała. A jeśli ten stwór czymś ją zaraził? I dlaczego, kurwa, nikt jej nie powiedział, że wampiry istnieją naprawdę?

Alex założyła opatrunek i wyszła na zewnątrz. Usiadła w tym samym miejscu na krawężniku i wypiła potężny łyk coli.

W końcu nauczycielka wynurzyła się, niemal otumaniona przyjemnością płynącą z cukru. Uprzejmość kazała zapytać o jej imię, jednak Alex musiała postawić gdzieś granice.

- Możesz po kogoś zadzwonić? - zapytała kobieta.

Mówiła tak samo jak wielu szkolnych psychologów i pracowników opieki społecznej, z którymi Alex miała do czynienia w dzieciństwie. A w każdym razie brzmiała jak ci porządni.

- Muszę zadzwonić do Dawes - powiedziała, nie zwracając uwagi na zaskoczone spojrzenie przysadzistego mężczyzny w kraciatej flaneli, który tankował ciężarówkę i patrzył, jak Alex gada do siebie. - Ale po prostu nie chcę.

Alex było niedobrze ze smutku z powodu mercedesa porzuconego w Old Greenwich. Możliwe, że wampir go nie znajdzie, przynajmniej nie od razu. Nic nie wiedziała na temat wampirów. Czy miały nadnaturalnie wyostrzony węch albo zdolność tropienia ofiar? Zadygotała.

- Wyglądasz na dobrego dzieciaka - powiedziała nauczycielka. - Co tam robiłaś?

Alex wypita kolejny haust.

- Byłaś psychologiem szkolnym, co?

- To jest aż tak oczywiste?

- To miłe - przyznała Alex.

Jednakże Szara nie mogła jej uratować, tak samo jak inni ludzie, którzy tego próbowali.

Wyjęła komórkę z kieszeni džinsów, ciesząc się, że nie zgubiła jej podczas ucieczki. Nie było sensu dzwonić do Dawes. Na razie. Potrzebowała kogoś, kto ma samochód.

Prawie się rozplakała, kiedy Turner odebrał.

- Stern - powiedział beznamiętnie.

- Turner, potrzebuję pomocy.

- Żadna nowina.

- Możesz po mnie przyjechać?

- A gdzie jesteś?

- Nie wiem dokładnie. - Wyciągnęła szyję, szukając tabliczki. -

W Darien.

- Nie możesz wezwać samochodu?

Nie chciała. Nie chciała mieć do czynienia z kolejnym nieznanym.

- Nie... Coś mi się przytrafiło. Potrzebuję podwozki.

Zapadło przeciągające się milczenie, a potem zrobiło się cicho, jakby Turner wyłączył telewizor.

- Przyślij mi adres.

- Dzięki.

Alex rozłączyła się, znalazła adres stacji benzynowej i wysłała Turnerowi. A potem zagapiła się na telefon. Strach słabł, zastępowała go wściekłość. To było miłe uczucie, tak jak wcieranie alkoholu, oczyszczanie ran. To ją otrzeźwiło.

Wybrała numer.

Chociaż raz Eitan odebrał natychmiast. Wyczekiwał tego, chciał się przekonać, czy przeżyła.

Nie zwracała sobie głowy uprzejmościami.

- Wystawiłeś mnie.

- Alex - zbeształ ją. - Wiedziałem, że wygrasz.

- Ilu wysłałeś przede mną? Ilu nie wróciło?

Chwilę milczał.

- Siedmiu.

Otarła łzy z oczu. Nie wiedziała, kiedy znowu zaczęła płakać, ale musiała zapanować nad głosem. Była w stanie. Gniew jej nie opuszczał, był prosty i znajomy. Nie chciała wyjść na słabą.

- Naprawdę był jakiś dług? - zapytała.

- Niezupełnie. Odbiera klientów mnie i moim wspólnikom. Foxwoods, Mohegan Sun, same dobre rynki.

Reiter był konkurencyjnym dilerem. Alex uznała, że nawet wampiry muszą z czegoś żyć.

- W dupie mam ciebie i twoich współników.
- Myślałem, że to naprawisz. Jesteś kimś specjalnym.

Alex miała ochotę wrzasnąć.

- Namalowałeś tarczę na moich plecach.
- Reiter nie będzie zwracał sobie tobą głowy.
- A skąd to, kurwa, wiesz?
- Mam gości, Alex. Przesłać ci jakąś kasę?

Od dawna wiedziała, że może będzie musiała zabić Eitana. Myślała o tym jeszcze w Los Angeles, ale jego zawsze otaczali tacy goście jak Tzvi, mężczyźni z bronią, którzy nie zawahaliby się jej zabić. A umowa, jaką zaproponował Eitan, wydawała się tak prosta, jak coś, z czym mogła sobie poradzić, po prostu jedno zadanie. Zrób to i będzie po wszystkim. Grzeczna dziewczynka. Jednak oczywiście na tym się nie skończyło. Załatwiła kasę dla Eitana i najwyraźniej to była dla niej łatwizna, więc zawsze pojawiała się jeszcze jedna przysługa, jeszcze jedna robota, jeszcze jeden dług, jeszcze jedna kliwa historyjka. A co z jej matką? A co z Mirą, która żwawym krokiem chodziła na farmerski targ? Która codziennie rano wychodziła do pracy, myśląc, że jej córka wreszcie jest bezpieczna i jej samej też nic nie grozi?

Alex rozłączyła się i zagapiła na światła w pobliżu dystrybutorów, świecącą tablicę z cenami benzyny, połysk ciężarówka gościa we flaneli. Miała wrażenie, że stacja benzynowa jest jak latarnia morska. Tylko co przyzywały te wszystkie jasne światła?

Zabicie Eitana uwolniłoby ją, ale musiałyby załatwić to sprytnie, znaleźć sposób, żeby zostali sami, sprawić, że się odsłoni. I musiały wziąć mamę pod uwagę, upewnić się, że jeśli coś zawali, Mira nie zapłaci za to, że nie zostanie znowu wykorzystana jako punkt nacisku. Do tego wszystkiego potrzebowała pieniędzy. Mnóstwa pieniędzy.

- Chcesz, żebym z tobą została? - zapytała nauczycielka.

– Mogłabyś? Aż ktoś po mnie przyjedzie?

– Nic ci nie będzie.

Alex zdołała się uśmiechnąć.

– Bo robię wrażenie dobrego dzieciaka?

Nauczycielka spojrzała zaskoczona.

– Nie, dziecko. Ponieważ jesteś zabójczynią.

* * *

Kiedy przyjechał dodge Turnera, Alex pomachała na pożegnanie nauczycielce i z wdzięcznością wsunęła się na miejsce pasażera. Turner włączył ogrzewanie, a w radiu leciała miejscowa stacja NPR, aktualny raport z sytuacji na rynkach.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Alex zaczęła przysypiać, kiedy Turner zapytał:

– W coś ty się wpakowała, Stern?

Miała krew na ubraniach i opatrunek na szyi. Buty miała zabłocone, nadal cuchnęła dymem i alkoholem, który rozlała w salonie Linusa Reitera.

– W nic dobrego.

– I tylko tyle powiesz?

Na razie tak.

– Jak idzie sprawa?

Nie powiedziała mu na razie o swoich podejrzeniach w związku z Pretorem i jego rywalizacji z Beekmanem.

Turner westchnął.

– Nie za dobrze. Myśleliśmy, że znaleźliśmy związek między dziekanem Beekmanem i profesorem Stephen.

– Tak? – Alex aż się paliła, żeby porozmawiać o czymś, co nie było Linusem Reiterem.

- Stephen zakwestionowała dane z jednego z laboratoriów na wydziale psychiatrii. Obawiała się, że zostały urobione przez przynajmniej jednego z pracowników, a profesor, który opublikował dane, dopuścił się rażącego zaniedbania.

- A dziekan?

- Kierował komitetem, który udzielił nagany rzeczonemu profesorowi, Edowi Lambtonowi.

- Sędziowie - mruknęła Alex, przypominając sobie palec profesor Stephen między kartkami Biblii. - To ma sens.

- Tylko jeśli potraktujesz to dosłownie - odparł Turner. - Księga Sędziów nie dotyczy sędziów tak, jak my rozumiemy ten termin. To po prostu jeszcze jedno określenie przywódców z czasów biblijnych.

- Może zabójca nie chodził do szkoły niedzielnej. Lambton stracił pracę?

Turner rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- Oczywiście, że nie. Ma etat. Jest jednak na płatnym urlopie i musiał wycofać publikację. Jego reputacja jest zrujnowana. Badania dotyczyły uczciwości, więc wypadło to dość ironicznie. Niestety nie mogę znaleźć żadnych dziur w jego alibi. Nie ma sposobu, żeby zabił dziekana Beekmana albo profesor Stephen.

- To co teraz zrobisz?

- Sprawdzę inne tropy. Marjorie Stephen miała nieprzewidywalnego byłego męża. Beekman został dawno temu oskarżony o molestowanie. Nie brakuje nam wrogów.

Znam to uczucie, pomyślała.

- Beekman był też powiązany ze stowarzyszeniami.

- Tak? - spytała Alex.

Czy Turner wychwytał powiązanie z profesorem Walshem-Whiteleyem?

- Należał do Berzeliusa.

Alex prychnęła.

– Berzelius to żadne stowarzyszenie. Nie mają żadnej magii.

– To nadal jest stowarzyszenie. Znasz Michelle Alameddine?

Wiedział, że ją zna. Widział je razem na pogrzebie Elliota Sandowa. Przesłuchiwał ją?

– Oczywiście, była Wergiliuszem Darlingtona.

– Spędziła też trochę czasu na oddziale psychiatrycznym szpitala uniwersyteckiego. Brała udział w badaniach prowadzonych przez Marjorie Stephen i była w mieście tej nocy, gdy zmarł dziekan Beekman.

– Widziałam się z nią – przyznała Alex. – Powiedziała, że musi złapać pociąg powrotny do Nowego Jorku, bo jest umówiona na kolację z chłopakiem.

– Mamy ją na nagraniu z kamery na dworcu kolejowym. W poniedziałek rano.

A nie w niedzielę wieczorem. Michelle ją okłamała. Mogła jednak to zrobić z wielu powodów.

– Skąd wiesz o oddziale psychiatrycznym? – zapytała Alex. – To powinna być poufna informacja, prawda?

– Moim zadaniem jest odkryć, kto zamordował dwóch członków katedry. Coś takiego otwiera wiele drzwi.

Zapadła przeciągająca się cisza. Alex pomyślała o wszystkich rzekomo zamkniętych archiwach, sprawach sądowych, raportach terapeutów i lekarzy z jej przeszłości. O rzeczach, o których myślała, że nikt nigdy nie dowie się na jej temat. Poczuli napływający strach i musiała go odepchnąć. Nie było sensu tańczyć ze starymi partnerami, kiedy jej bilecik już był zapełniony.

Obróciła się na siedzeniu twarzą w stronę Turnera.

– Nie chcę cię prosić, żebyś wrócił ze mną do tamtej mapy, ale Halloween jest już za dwa dni i musimy znaleźć czwartego.

– „Czwartego”. Jakbyście zamierzały zagrać w debłu. – Turner pokręcił głową. Nie odrywał oczu od drogi, kiedy powiedział: – Zrobię

to.

Alex wiedziała, że nie powinna zaglądać darowanemu gliniarzowi w zęby, ale nie mogła uwierzyć własnym uszom. Turner nie żywił szczególnej miłości do Darlingtona, nie czuł się wobec niego zobowiązany. Nienawidził wszystkiego, co reprezentowało sobą Lete, zwłaszcza po wycieczce do piwnicy Muzeum Peabody'ego.

- Dlaczego?

- A to ma znaczenie?

- Pójdziemy razem do piekła, więc, owszem, to ma znaczenie.

Turner patrzył przed siebie.

- Wierzysz w Boga?

- Nie.

- Kurczę, nie potrzebujesz nawet chwili na zastanowienie?

- Zastanawiałam się nad tym. Bardzo długo. A ty wierzysz w Boga?

- Tak - powiedział i skinął z przekonaniem głową. - Tak, myślę, że wierzę. Ale z całą pewnością wierzę w diabła i w to, że jeśli pochwyć duszę, której nie chce wypuścić, to trzeba mu ją wyrwać. Zwłaszcza jeśli ta dusza ma w sobie zadatki na żołnierza.

- Albo rycerza.

- Jasne.

- Turner, to nie jest żadna święta wojna. To nie jest walka dobra ze złem.

- Jesteś pewna?

Alex się roześmiała.

- Jeśli tak, to jesteś pewien, że stoimy po stronie dobra?

- Zabiłaś tych wszystkich ludzi w Los Angeles, zgadza się?

Pytanie zawisło między nimi w samochodzie jak kolejny pasażer, duch, który zabrał się z nim na przejażdżkę. Alex zastanawiała się, czy nie powiedzieć Turnerowi prawdy. Jakie to byłoby uczucie uwolnić się od sekretu tamtej nocy? Czy zyskałaby sprzymierzeńca w walce z Eitanem?

Patrzyła, jak światła autostrady oblewają profil Turnera blaskiem, a potem mrokiem. Lubiła go. Był odważny, gotowy pójść do podziemnego świata po to, żeby uratować nawet kogoś, za kim szczególnie nie przepada; jego zdaniem tak należało postąpić. Jednak gliniarz to gliniarz.

- Co się stało z tamtymi ludźmi w Los Angeles? - naciskał. - Z Helen Watson. Twoim chłopakiem Leonardem Beaconem. Z Mitchellem Bettsem. Cameronem Austem. Dave'em Corcoranem. Arielem Harelem.

To samo, co ze wszystkimi innymi, którzy za bardzo się do mnie zbliżą.

Alex przyglądała się drodze. Spostrzegła kogoś, kto przyglądał się ekranowi telefonu opartemu o kierownicę, billboard reklamujący zespół grający w Foxwoods w listopadzie i drugi, reklamujący jakiegoś prawnika od wypadków. Nie podobało jej się to, jak Turner wyrzucił z siebie te wszystkie nazwiska. Jakby znał jej akta na pamięć.

- To zabawne - powiedziała w końcu. - Ludzie mówią o życiu i śmierci, jakby to był jakiś tykający zegarek.

- A nie jest?

Alex powoli pokręciła głową.

- To „cyk, cyk, cyk” to nie jest zegarek. To bomba. Bez odliczania. Bomba wybucha i wszystko się zmienia. - Potarła kciukiem krwawą plamę na dżinsach. - Wątpię jednak, żeby piekło było jamą pełną grzeszników i facetów z rogami bawiących się w wykidajłów.

- Wierz w to, co musisz, Stern, ale ja wiem, co widziałem, kiedy wszedłem do tamtego pokoju w Black Elm.

- A co widziałeś? - zapytała Alex, chociaż jakaś część jej osoby rozpaczliwie nie chciała wiedzieć.

- Diabła - odpowiedział Turner. - Diabła, który próbuje się wydościć.

Alex cieszyła się, że Dawes nie ma w Il Bastone.

Weszła do środka, wdzięczna za dom, jego magiczne zabezpieczenia, ciszę. Dochodziła ósma wieczór. Minęło raptem kilka godzin, odkąd wyjechała do Old Greenwich. Światła zamigotały, cicha muzyka przepływała korytarzami, jakby Il Bastone wiedziało, że Alex spotkało coś okropnego.

Zmyła krew Reitera z kastetu w zlewie kuchennym, odniosła go do szuflady w zbrojowni, a potem pogrzebała w szafkach w poszukiwaniu balsamu, który Dawes dała jej na stopy po nocy, kiedy, lunatykując, zaszła do Black Elm. Nauczycielka użyczyła jej dość siły, żeby Alex uciekła, ale to jej własne ciało wzięło na siebie całą karę za ucieczkę. Była pokaleczona, posiniaczona, bolały ją płuca i całe ciało po biegu przez granice okręgów.

W sypialni Dantego rozłożyła na ładnym sekretarzyku kupione środki opatrunkowe, a potem poszła do łazienki, żeby zdjąć opatrunek.

Rana na szyi już się zamykała, nie popłynęła świeża krew. Za szybko się goiła. Czy to znaczyło, że Reiter rzeczywiście przebił się przez żyłę szyjną, ale rana zaczęła natychmiast się zamykać? Nie miała pojęcia. Nie chciała wiedzieć. Chciała zapomnieć o Linusie Reiterze i jego anielskiej twarzy, o całym bólu i strachu. Czowała jego wbijające się zęby, ucisk palców na czaszce, świadomość, że jest dla niego niczym, tylko pożywieniem, kubkiem przyciśniętym do ust, naczyniem do opróżnienia.

Nie bała się tak naprawdę już od bardzo dawna. Jeśli miała być szczerą, to z przyjemnością stawiała czoło rodzicom Darlingtona, Majstrowi, nowemu Pretorowi. Kiedy Dawes przyzywała stado ziejących ogniem ogierów z piekła, przestraszyła się, ale nie na poważnie. Lubiła chwile, kiedy zapominała o wszystkim poza walką, którą właśnie miała stoczyć.

To były jednak walki, które mogła wygrać. Nie była dość silna, by pokonać Linusa Reitera, tak jak nie była dostatecznie sprytna, żeby wyrwać się ze szponów Eitana Harela. To był jeden i ten sam mężczyzna. Linus z radością wysuszyłby ją i użył nią ziemię pod różami w swoim ogrodzie. Eitan po prostu używałby jej tak długo, wysyłając z różnymi zadaniami, aż pewnego razu by nie wróciła.

Wtarła balsam w ranę, zmieniła opatrunek i poszukała czystego dresu Lete. Zapomniała, żeby przynieść kilka ostatnio wziętych do prania, więc musiała pójść do sypialni Wergiliusza i poszperać w szafie Darlingtona. Dres był za długi i zbyt workowaty, ale przynajmniej czysty.

W następnej kolejności poszła do biblioteki Lete. Zdjęła Księgę Albemarle'a z regału na zewnątrz, ignorując słabe krzyki i obłoczek siarki, który buchnął pomiędzy stronic. Księga pamiętała, czego ostatnio w niej szukano, a Dawes ewidentnie studiowała różne wersje podziemnego świata.

Alex wzięła długopis z wiklinowego stolika stojącego obok regału i się zawahała. Wiedziała, że musi bardzo precyzyjnie zadać pytanie. Wampiry występowały we wszelkich ludowych wierzeniach i w mnóstwie literatury, a nie chciała potem pracowicie odsiewać mitów od tego, co może rzeczywiście być użyteczne. Poza tym, jeśli zadasz zbyt mgliste pytanie bibliotece, to ściany zaczynają się trząść i istnieje ryzyko, że całość się zawali. Powinna stawiać małe kroczki.

Napisała „Linus Reiter” i odłożyła książkę na miejsce. Regał zatrzęsł się lekko, a kiedy się uspokoił, Alex otworzyła drzwi do biblioteki.

Na półkach stało ponad tuzin książek, ale kiedy Alex je przejrzała, zdała sobie sprawę, że większość dotyczy rodziny Reiterów i jej wspa- niałego domu w Old Greenwich zwanym Sweetwell. Reiterowie byli niemieckimi imigrantami, którzy dorobili się na bojlerach i wodnych grzejnikach. Dom i otaczające go ziemie przechodziły z jednego Reitera na drugiego, jednak Alex podejrzewała, że to jeden i ten sam mężczyzna.

Zdziwiła się, widząc jeden z albumów z wycinkami Arnolda Guyota Dany, opasłe tomiszczce o ciemnoniebieskiej oprawie ze złotym napi- sem „Yale: nowe i stare” na grzbiecie. Darlington miał obsesję na punkcie albumów z wycinkami poświęconymi New Haven i Yale; hołubił tomy od szesnastego do osiemnastego, które wraz z pamiętni- kiem Hirama Bingham III zostały skradzione z Biblioteki Sterlinga wiele lat temu, żeby ukryć kluczowe informacje na temat Lete i prze- pływu magicznych przedmiotów w mieście.

Alex kartkowała grube stronicie z wycinkami z gazet, starymi foto- grafiami i mapami, aż jej wzrok padł na zdjęcie grupki młodych męż- czyzn przed klubem Mory's Temple Bar. Wszyscy mieli surowe miny i byli ubrani w garnitury. Znajdował się wśród nich Linus, stał w tyl- nym rzędzie z poważną miną. Jego bładoniebieskie oczy wydawały się niemal białe na starym zdjęciu. Sprawiał wrażenie łagodniejszego i żywszego, niż kiedy siedział w swoim salonie. Czy był wtedy człowie- kiem? Czy już przeszedł przemianę i świetnie się bawił? Jak miała przechytryć handlującego narkotykami błękitnokrwistego wampira z Connecticut?

Dajmonologia Kittschera także znajdowała się na półce – ta sama książka, której lekturę zarekomendowała jej Michelle Alameddine i którą wykorzystywała do swoich poszukiwań Dawes. Alex przejrzała ją, mając nadzieję na katalog potworów i najlepiej informacje, jak je pokonać. Jednak książka była taka, jak opisała ją Dawes: seria debat na temat piekła między Ellisonem Nownesem, studentem teologii

i żarliwym chrześcijaninem, a Rudolphem Kittscherem, ateistą i członkiem Lete.

Nownes najwyraźniej argumentował za wizją piekła Turnera: miejscem wiecznej kary dla grzeszników: „Czy będzie dziewięć kręgów, czy dwanaście, czy czeluście są wypełnione ogniem czy też lodem, chociaż architektura piekła może być nieokreślona, to jego istnienie i cel nie ulegają wątpliwości”.

Jednak Kittscher nie zgadzał się z nim: „Przesady i brednie! Wiemy, że istnieją inne światy i rzeczywistości, których istnienie pozwala nam korzystać z magicznych portali. Proszę zapytać dowolnego Klucznika, czy uważa, że po prostu znika z jednego miejsca i pojawia się w innym. Nie! Wiemy lepiej. Istnieją inne światy. Dlaczego nie mielibyśmy uznać „piekła” za jeden z takich światów?”. W tym miejscu odnotowano „głośne oklaski”.

Część tego, o czym mówili, całkowicie przerastało Alex, ale była przekonana, że Kittscher sugerował, że istnienie piekła (oraz nieba) to kwestia umowy zawartej między demonami i ludźmi: „Tak jak my żyjemy się mięsem i ptactwem, albo potrafimy wyżyć na diecie z korzonków i jagód, tak demony żywią się naszymi podstawowymi emocjami. Niektóre karmią się strachem, chciwością, pożądaniem lub gniewem, i owszem, niektóre pragną radości. Niebo i piekło to kompromis, nic więcej, traktat zmuszający demony, by pozostały w swoim świecie i żerowały tylko na umarłych”.

W tym momencie tłum zaatakował Kittschera, a w notatkach zaznaczono, że Nownes „poczerwieniał na twarzy”. Nownes: „Oto co wypływa z wizji świata bez Boga – nie tylko świat, ale i zaświaty pozbawione wszelkiej wyższej moralności. Sugerujesz, że my, stworzenia zrodzone z Boga i stworzone na jego podobieństwo, jesteśmy najniższymi ze zwierząt, płochliwymi królikami uwięzionymi we wnykach, stworzonymi nie dla wyższych studiów i wyniosłych dokonań, ale dla pożarcia? Oto cel i los ludzkości?”.

Kittscher roześmiał się. „Nasze ciała są karmą dla robaków. Dlaczego nasze dusze nie miałyby także być pokarmem?”

Na tym etapie obie strony prawie rzuciły się na siebie z pięściami i trzeba było zarządzić przerwę.

Alex potarła powieki. Była uczciwa w rozmowie z Turnerem: nie wierzyła w jego wersję z piekła rodem ze szkółki niedzielnej. Nie była też pewna, czy wierzy w teorię Kittschera. I dlaczego ta książka wyskoczyła, kiedy szukała informacji na temat Linusa Reitera?

Poszukała w indeksie jego imienia i nazwiska, a potem przesunęła palcem na „W” jak wampir. Wymieniono jedną stronę.

Kittscher: Pomyślcie o wampirach.

(Szydercze okrzyki zebranych).

Herman Moseby: Co potem? Leprechauny i kelpie?

(Prowadzący dyskusję przywołuje wszystkich do porządku).

Kittscher: Nie zastanawialiście się nigdy, dlaczego w naszych opowieściach niektóre wampiry uwodzą, a inne przerażają? Dlaczego niektóre są piękne, a inne groteskowe? Te zasadniczo odmienne historie dowodzą, że demony przebywają w naszym świecie; niektóre żywią się nieszczęściem i zgrozą, inne żądzą, a wszystkie przybierają formę, która najłatwiej wyzwała te emocje.

(Prowadzący dyskusję udziela głosu Terrence'owi Gleebe.)

Gleebe: Czy w tym scenariuszu krew jest kluczowym nośnikiem czy tylko czymś ubocznym dla procesu?

(Śmiech zebranych.)

Alex dotknęła palcem opatrunku na szyi.

– Jasne, kurwa, ubocznym.

Pomyślała o przystojnym Linusie Reiterze w białym garniturze. Dlaczego wampir miałby zostać dilerem? Musiało istnieć tysiące sposobów, żeby zdobyć pieniądze, kiedy ma się taką siłę i tak wiele czasu.

A jeśli żywisz się rozpaczą? A jeśli pieniądze nic nie znaczą, a tobie jest tylko potrzebny niekończący się strumień strachu i pragnienia? Alex przypomniała sobie bywalców w domu Eitana, nieudaczników ze Strefy Zero, jej własny bolesny smutek, spustoszenie, jakim było jej życie, ochłapy nadziei, jakie wyciskała z chwil spokoju, które zapewniały jej odrobina trawki, odrobina alkoholu, pastylka valium.

Jeśli więc Kittscher miał rację i wampiry były demonami, to przynajmniej wiedziała, z czym ma do czynienia. Tylko jak osłonić się przed potworem?

Wyszła z biblioteki, zdjęła Księgę Albemarle'a i napisała „jak unikać wampirów, z pominięciem fikcji literackiej”. Zawahała się. Dla czego biblioteka dostarczyła jej informacji o wampirze, kiedy poprosiła o książki dotyczące konkretnie Linusa Reitera? Nie zamknęła Księgi Albemarle'a i wróciła do okrągłego stolika, gdzie zostawiła *Dajmonologię Kittschera*. Reitera nie było w indeksie. Spojrzała na koniec książki.

Protokołował Phillip Walter Merriman, Oculus, 1933.

Obecni:

Uczestników pogrupowano według stowarzyszeń i pod Czaszką i Kośćmi widniał Lionel Reiter.

Był tu. Pod innym imieniem, ale był w tym domu, przebywał pod dachem Lete. Może wtedy był śmiertelnikiem. A może do jednego ze stowarzyszeń należał demon, wszedł do Il Bastone i nikt się nawet nie zorientował. A data? 1933. Rok po wybudowaniu Biblioteki Sterlinga. Czy to znaczyło, że naprawdę doszło do pierwszej pielgrzymki do piekła? Czy taki krył się tu podtekst? Kto wiedział o Womitorium? Czy to była nie tyle zażarta polemika na temat filozoficznych hipotez, ile raczej żywa debata na temat możliwości udania się do podziemnego świata?

A jeśli demony żerowały na ludziach, na ich szczęściu, bólu, czy krwi, to czy powinna rozważyć kolejną zmienną? Przypomniała sobie

przedwcześnie postarzała Marjorie Stephen o zmętniałych szarych oczach. A jeżeli nie było żadnej trucizny? Czy Reiter mógł być w to zamieszany? Albo zabawił się tu jakiś inny demon? Droczył się z nimi cytatami z Biblii? Turner powiedziała jej, gdyby znaleźli rany na szyi profesor Stephen albo dziekana Beekmana, ale przed dzisiejszym wieczorem Alex nie miała pojęcia, że wampiry naprawdę istnieją. Co jeszcze może czaić się w ciemności?

Panika zaczęła w niej narastać i ją dławić. Pomyślała o wszystkich tych wnikliwych młodych mężczyznach z zamożnych rodzin, debatujących nad moralnością i nieśmiertelnością, łapiących się za słówka, podczas gdy potwór korzystał z ich gościnności. „Bo wszyscy jesteśmy bandą amatorów”. Lete udawało, że zna wynik, a tak naprawdę nie znało nawet gry. Jednakże ten dom, ta biblioteka, nadal mogły ją ochronić.

Po trzech kolejnych wyszukiwaniach odzyskała nieco spokoju i miała listę zaleceń zebranych z kilku anglojęzycznych książek, jakie znalazła, poświęconych ochronie przed demonami i wampirami. Większość mówiła o broni zrobionej z soli. Według książek, które przejrzała, kolki, obcięcie głowy i ogień działały z jednego powodu: ponieważ w ten sposób można zabić praktycznie wszystko. Krzyże i święcona woda zależały od wiary tego, kto się nimi posługuje, ponieważ użyczały im odwagi, ale nie stanowiły prawdziwej ochrony. Czosnek odpędzał jedynie konkretny rodzaj sukuba. Ponadto działały różne magiczne ochrony. To właśnie się liczyło. W zbrojowni znalazła szeroki koronkowy kołnierzyk zrobiony z drobnych solnych perełek, który pamiętał jeszcze czasy kolonialne i który schludnie schowała pod koszulą. Położyła się w sypialni Dantego pod baldachimem z niebieskiego aksamitu i śniła, że gra w krokiet na trawniku Linusa Reitera. Stała boso, a trawa była mokra. Widziała krew sączącą się pomiędzy palców jej stóp.

- Intrygujące - szepnęła, ale we śnie był Darlingtonem w białym garniturze i z jarzącymi się złotymi rogami. Uśmiechnęła się do niej. -

Cześć, pączuszk. Przyszedłeś, żeby cię pożarł?

Dom za nim nie wyglądał już jak Sweetwell, ale jak Black Elm; był porośnięty bluszczem i bardziej samotny niż nawet zamek wampira na pagórku.

Alex powędrowała do środka; znała drogę. Ciągnęło ją to samo dziwne wrażenie przymusu. Pokoje wydawały się większe, zalegające w nich cienie głębsze. Weszła po schodach do sali balowej i zobaczyła tam Darlingtona w kręgu, ale to był jej Darlington, taki, jakim go zapamiętała w noc, kiedy zniknął z Rosenfeld Hall – przystojny, ludzki, ubrany w długi, ciemny płaszcz i sprane dżinsy.

Za oknami widziała demona z zakrzywionymi rogami, stojącego pośród porzuconego na trawniku zestawu do krykieta i spoglądającego na nią złotymi oczami.

– Jest was dwóch – powiedziała Alex.

– Musi być – odpowiedział Darlington. – Chłopiec i potwór. Ja jestem pustelnikiem w jaskini.

– Wszystko widziałam. We wspomnieniach twojego dziadka. Widziałam, jak próbowałeś przetrwać w tym domu.

– Nie zawsze było źle.

Alex wykrzywiła usta.

– Pewnie, że nie. Gdyby było tylko źle, dawno już byś sobie odpuścił.

– Od kiedy to jesteś taka mądra, Stern?

– Odkąd zafundowałeś sobie urlop naukowy w czyścicu.

– Słyszałem ich – powiedział, patrząc w dal. Jego oczy były ciemnobrązowe jak herbata, gdy za długo się parzy. – Moich rodziców. Kiedy wrzeszczeli przed frontowymi drzwiami.

– Powinam była ich wpuścić?

Przeniósł gwałtownie spojrzenie na nią i w jego wściekłości widziała echo demona.

- Nie. Nigdy. Odłączyli prąd, kiedy odziedziczyłem ten dom. Myśleli, że tu zamarznię. - Uniósł ramiona i opuścił. Gniew zsunął się z niego jak źle dopasowane ubranie. Sprawiał wrażenie zmęczonego.
- Nie potrafię ich nie kochać.

Ile razy Alex żałowała, że nie potrafi czuć do Miry tylko urazy? Albo że nie może czuć niczego? Na tym polega problem z miłością. Trudno się jej oduczyć, bez względu na to, jak brutalnych lekcji udziela ci życie.

- Czy to się dzieje naprawdę? - zapytała.

Darlington jednak tylko się uśmiechnął.

- To nie jest najlepszy czas na filozofię.

- Powiedz mi, jak do ciebie dotrzeć.

- Podejdz bliżej, Stern. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Bała się? Czy to był prawdziwy Darlington, czy był potworem czekającym w ogrodzie? Jakaś część jej osoby miała to w nosie. Zrobiła krok do przodu.

- To byłeś ty tamtej nocy? - Widziała, jak krąg ochronny słabnie, zamienia się w iskiarki. On jest niebezpieczny, pomyślała. Nie jest tym, czym ci się wydaje. - W Księżdzie i Wężu? Posłużyłeś się trupem, żeby wypowiedzieć moje imię?

- Galaxy Stern - powiedział Darlington i oczy zabłysły mu złotem.

- Od początku cię wołałem.

Kiedy Alex się obudziła, pościel była mokra od jej potu, a z rany na szyi sączyły się bladoróżowe strużki krwi.

Warto zastanowić się nad tym, które bajki Ezopa wybrano do pięknych witraży Bonawita. Czy w tym wyborze kryje się jakaś nauka? To może zależeć od tego, jak odczytamy każdą z bajek. Weźmy na przykład „Wilka i żurawia” – wilk, który je zbyt łapczywie, dławi się kością, która staje mu w gardle. Mówi do żurawia: „Posłuż się swoim długim dziobem, żeby ją wyjąć, a pięknie cię wynagrodzę”. Żuraw spełnia prośbę, wsuwa głowę do paszczy wilka i wyjmuje kość, ale wilk nie nagradza go w żaden sposób. Czy nie wystarczy to, że pozwoli głupcowi uciec ze swojej paszczy? Tradycyjnie uznaje się, że morał brzmi: „Nie ma nagrody za służbę u nikczemnika”, ale my możemy uznać, że opowiastka zawiera pytanie: „Czyż to nie jest wyborne oszukać śmierć?”

Mniej znana opowieść, przedstawiona wśród tych samych okien, to bajka o „Koziołku i wilku”. Kózka gubi swoje stado i napotyka wilka. „Skoro mam zostać pożarty, czy nie zagrasz mi melodii, bym umarł, tańcząc?” – pyta koziołek. Wilk uradowany perspektywą muzyki do posiłku spełnia prośbę, ale wtedy ogary myśliwego na krańcu pastwiska słyszają wilczą muzykę. Gdy zostaje przegoniony do lasu, wilk zdumiewa się własną głupotą, bo urodził się jako rzeźnik, a nie grajek. Najczęściej przytaczany morał brzmi doprawdy dziwnie: „Niech nic cię nie odciąga od twoich zamiarów”. Czy mamy więc widzieć w sobie wilka? Dlaczego sprytny koziołek nie jest naszym wzorem? Zapamiętajcie więc taką lekcję: „W obliczu śmierci lepiej tańczyć niż położyć się i czekać”.

Rozważania nad wystrojem
Biblioteki im. Sterlinga,
Rudolph Kittscher
(Jonathan Edwards College, 1933)

Alex poczekała, aż zacznie się dzień, zanim wróciła do akademika i się przebrała. Pożyczyła miękki szary sweter z kaszmiru od Lauren i włożyła najmniej sfatygowane dżinsy, ale nic nie mogła poradzić na zdarte buty.

Kiedy zadzwoniła do Anselma z prośbą o spotkanie, spodziewała się, że odeśle ją do nowego Pretora, ale on i tak miał przyjechać po południu pociągiem i zgodził się wcisnąć spotkanie z nią.

– Musisz mi wybaczyć nazwę tego miejsca, ale jestem w nim umówiony przed powrotem do miasta. Mógłbym spotkać się tam z tobą na późnym lunchu.

„Muszla i kości”. To był bar nad wodą, gdzie podawano ostrygi. Alex upewniła się, że jej solny kołnierz nie wystaje spod pożyczonego swetra, a potem wyjechała rowerem na ulicę. Zapominała czasem, że New Haven znajduje się tak blisko morza i że to tak naprawdę portowe miasteczko.

Przejażdżka Howard Avenue była zaskakująco miła. Alex mijała drzewa w jesiennych barwach i domy, które stawały się tym wspanialsze, im bliżej wody stały. Daleko im było do Old Greenwich. Było coś publicznego w ich wielkich werandach, oknach wychodzących na ulicę, jakby miały być widoczne i sprawiać radość ludziom, a nie skrywać się za murem.

Dawes źle przyjęła wiadomość o utracie mercedesa, bo dla niej nie był to, rzecz jasna, po prostu samochód.

– Jak to go zgubiłaś?! – wykrzyknęła.

– Nie zgubiłam samochodu. Wiem, gdzie jest.

- To powiedz mi gdzie, żeby mogła po niego pojechać. Mam zapasowe kluczyki. Możemy...

- Nie możemy.

- Dlaczego?

Bo się boję. Bo to zbyt niebezpieczne. Niestety Alex nie mogła wszystkiego wyjaśnić. Nie mogła powiedzieć o Linusie Reiterze. O tym, co robiła w Old Greenwich. O śnie, w którym Darlington w kręgu stał się sobą. „Od początku cię wołałem”. Tego było za dużo.

- Najpierw straciłaś jego - kipiła Dawes. - A teraz jeszcze to.

- Nie straciłam Darlingtona - odpowiedziała Alex, starając się zachować cierpliwość. - To nie jest lśniąca moneta, którą gdzieś upuściłam. Elliot Sandow wysłał piekielną bestię, żeby go pożarła, więc idź na cmentarz i obsobacz jego, jeśli masz ochotę.

- Powinnaś była...

- Co? Co powinnam była? Znać właściwe zaklęcie, właściwą inkantację? Powinnam była go złapać, żebyśmy razem poszli do piekła?

- Tak właśnie - wyszczała Dawes. - Tak. Jesteś jego Dantem.

- A ty byś tak zrobiła?

Dawes nie odpowiedziała, a Alex wiedziała, że powinna dać sobie spokój, ale była zbyt zmęczona i obolała, żeby zdobyć się na życzliwość.

- Powiem ci, co ty byś zrobiła, Dawes. Posikałabyś się ze strachu. Zamarłabyś tak samo jak ja, a Darlington by przepadł.

Po drugiej stronie telefonu zapadła cisza, a potem, jakby nigdy nie wypowiedziała tych słów, jakby nie do końca potrafiła dopasować do siebie sylaby, Dawes wrzasnęła:

- Wal się! Wal się! Wal się!

Coś w tych wyjąkanych skrawkach przekleństwa przebiło się przez fatalny nastrój Alex. Zgasł w niej gniew i nagle zebrało jej się na śmiech, ale wiedziała, że to byłby ogromny błąd.

Wzięła głęboki wdech.

- Przykro mi, Dawes. Nie wiesz nawet jak bardzo. Jednak samochód nie ma znaczenia. Ja mam znaczenie, ty masz znaczenie. I obiecuję ci, że go odzyskamy. Po prostu... po prostu w tej chwili potrzebuję odrobiny wspaniałomyślności.

Po długiej chwili Dawes odpowiedziała:

- W porządku.

- W porządku?

- Tak. Na razie. Przepraszam, że byłam niegrzeczna.

Na te słowa Alex rzeczywiście się roześmiała.

- Wybaczam ci. Powinnaś częściej przeklinać.

Alex wiedziała, że restauracja to część klubu jachtowego, ale nie tego się spodziewała. Myślała, że będzie tam chłopak, który odprowadza samochody na parking, że w środku będą siedzieć mężczyźni w granatowych marynarkach i kobiety w perłach. Zamiast tego był to zwyczajny budynek na nabrzeżu z flagą od frontu i wielkim parkingiem. Alex przypięła rower do poręczy przy schodach. Wolałaby upiąć włosy, wyglądać nieco bardziej konserwatywnie, ale ślady na szyi nadal były czerwone i opuchnięte, jakby jej ciało walczyło z infekcją, a gdyby po prostu założyła opatrunek, wyglądałoby to tak, jakby ukrywała malinkę.

Anselm czekał przy stoliku dla czterech osób z widokiem na ocean i przystań pełną łodzi z kołyszącymi się masztami, których część ochrzczono kobiecymi imionami, a inne nazwano na przykład *Zawiana*, *Zawsze Na Żaglu* i *Ahoj Ci W Rufę*. Oparł rękę o oparcie sąsiedniego krzesła i wyglądał jak facet z reklamy drogiego zegarka. Przy innych stolikach siedziały dzieciaki z Yale z rodzicami, biznesmeni na długich lunchach, parę starszych kobiet w pikowanych płaszczach, które nieśpiesznie sęczyły różowe wino.

- Alex! - zawołał na jej widok ciepłym i lekko zaskoczonym tonem, jakby wcale jej nie zapraszał. - Siadaj, proszę. - Skinął na kelnera, który położył przed nią menu. - Ja już jadłem, ale wybierz, na co masz ochotę.

Alex nie zamierzała odmawiać darmowego posiłku. Pomyślała, że powinna pewnie zamówić coś w rodzaju omułek albo ryby z grilla, ale całe lata jedzenia wynalazków z pełnego ziarna i kiełków matki sprawiły, że przez resztę życia będzie marzyć o śmieciowym jedzeniu. Zamówiła zestaw minihamburgerów i colę, żeby przyswoić trochę kofeiny.

– Chciałbym jeść tak jak ty – powiedział Anselm klepiąc się po płaskim brzuchu. – Młodzi marnują młodość. Gdybym wiedział, jak będzie wyglądać wiek średni, spędziłbym więcej czasu, zając się smażonego kurczaka, a mniej na siłowni.

– Ty jesteś facetem w wieku średnim?

– Niedługo będę... Co?

Alex zdała sobie sprawę, że się gapi.

– Przepraszam, po prostu sprawiasz wrażenie odmienionego, bardziej rozluźnionego.

– To takie zaskakujące? Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie delektuję się udzielaniem reprimendy studentkom.

– Dawes jest doktorantką.

Anselm zerknął na nią.

– Myślę, że wiesz, co mam na myśli.

Teraz, kiedy wyznaczono nowego Pretora, Anselm wydawał się innym człowiekiem, jakby spadło z niego brzemię trosk i zobowiązań związanych z Lete.

– Dziwi mnie, że wróciłeś do Connecticut – powiedziała. – Myślałam, że będę musiała pojechać do Nowego Jorku.

– Zwykle jestem tu raz, dwa razy w miesiącu na spotkaniach. To dlatego zarząd prosił, żeby nadzorował Lete. A zważywszy, co się stało z dziekanem Beekmanem, pomyślałem, że lepiej tu zajrzeć. Był legendą. Myślę, że wszyscy, którzy go znali, są solidnie wstrząśnięci.

– Znałeś go?

Przechylił głowę.

- To dlatego chciałaś się spotkać na lunchu? Centurion kazał ci sprawdzić moje alibi?

- Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą Alex. Poza tym nie miała powodu podejrzewać, że Anselma cokolwiek wiązało z Marjorie Stephen albo dziekanem Beekmanem. - Przepraszam. Po tym wszystkim, co się wydarzyło w zeszłym roku... - Wzruszyła ramionami. - Stare nawyki.

- Rozumiem. Ludzie, którzy mieli cię chronić, nie wywiązali się ze swojego zadania, co?

Zawsze tak było, chociaż Alex nie chciała za dużo o tym myśleć, nie przy tym stole z nieznanym w słoneczne popołudnie.

- Chyba tak.

- Lete dużo od nas oczekuje, prawda?

Alex skinęła głową. Denerwowała się i dłonie jej się pocily. Zeszłej nocy, kiedy nie dręczyły jej żalosalne koszmary, leżała i nie mogła spać, bo próbowała wymyślić, jak najlepiej załatwić tę sprawę. Anselm jednak sam podsunął jej okazję i zamierzała ją wykorzystać.

- To prawda. Widziałeś moje akta.

- A teraz opływasz w dostatki.

- Coś w tym stylu.

- Opowiedz mi o Kalifornii.

- Jest tam tak samo jak tutaj, tyle że cieplej i ludzie są ładniejsi.

Anselm się roześmiał, a Alex trochę się uspokoiła. Była przygotowana na to, że Anselm wejdzie w rolę autorytetu, ale ten gość nie był taki najgorszy. Ewidentnie wypił trochę wina do lunchu i cieszył się chwilami spędzonymi poza biurem. Mogła to wykorzystać.

- Z kim miałaś spotkanie?

- Z paroma znajomymi pracującymi w Stamford. Wiesz, gdzie są stare biura AIG?

- Nie bardzo.

- Niewiele tracisz. W każdym razie to czarne owce w tym biznesie, a ja lubię pomagać słabszym, zwłaszcza że naprawdę potrzebowali rady.

- „Ukryj wygnańców” - mruknęła.

Anselm znowu się roześmiał.

- Coś w tym guście.

Czyli Anselm znał cytaty z Izajasza. Jeśli jednak był jakoś zamieszany w morderstwa, to pewnie nie podzieli się tą informacją z własnej woli.

- Nie robisz na mnie wrażenia religijnej osoby.

- W żadnym razie, ale to coś, co trzeba po prostu wiedzieć o New Haven. Boże - rzekł i potrząsnął głową. Ani jeden precyzyjnie ułożony włos nawet nie drgnął. - Sam siebie zanudzam.

- Mów dalej, lubię tego typu rzeczy.

Zwłaszcza jeśli mogą jej pomóc złapać mordercę i wkraść się w łaski Turnera.

Anselm spojrział z powątpiewaniem, ale powiedział:

- To cytaty z kazania Johna Davenporta, który wygłosił, żeby wesprzeć trójkę sędziów.

Sędziowie. Ciekawe.

- To wszystko wyjaśnia.

Znowu uniósł brwi, a Alex zdała sobie sprawę, dlaczego lubi tę wersję Anselma. Przypominał jej trochę Darlingtona. Nie takiego Darlingtona, jakiego znała, ale jakim mógłby zostać, gdyby nie dorastał w Black Elm i nie zakochał się w Lete - zręczniejszym i mniej wygłodniałym Darlingtonem. Darlingtonem, który byłby mniej do niej podobny.

- Nigdy nie byłeś w Jaskini Sędziów? - spytał Anselm. - W porządku, zatem mamy rok tysiąc sześćset czterdziesty dziewięty, Cromwell rozkazał stracić Karola I. Pięćdziesięciu dziewięciu sędziów

podpisało wyrok śmierci. Wszystko pięknie. Uciąć mu głowę! Ale dekadę później monarchia zostaje przywrócona i jego syn Karol II...

- Junior.

- Właśnie. Junior nie jest zachwycony tym, co przydarzyło się jego ojcu, ani precedensem, jakim było zabicie króla. Zatem musi być bezwzględny. Skazuje wszystkich sędziów na śmierć.

- To naprawdę mnóstwo sędziów.

I zgadza się to z początkową teorią Turnera, że zhańbiony profesor Lambton zwrócił się przeciwko ludziom, którzy wydali na niego wyrok.

- Niektórzy zostali straceni, inni uciekli do kolonii, ale wszędzie są brytyjscy żołnierze i nikogo specjalnie nie kręci ukrywanie uchodźców za cenę ściągnięcia na siebie gniewu Juniora. Nikogo poza dobrymi obywatelami New Haven.

- Dlaczego?

Anselm wskazał łodzie w przystani, jakby one znały odpowiedź.

- To zawsze było przekorne miasteczko. Wielebny pastor John Davenport wychodzi na ambonę i naucza: „Ukryj wygnańców, nie zdradź tułaczy.” No to ukryli wygnańców. Kiedy Brytyjczycy zjawili się i zaczęli węszyć, mieszkańcy miasteczka dochowali tajemnicy i ukryli sędziów w pobliżu West Rock.

- W Jaskini Sędziów?

- Właściwie to tylko skupisko dużych skał, ale tak. Ich nazwiska brzmiały: Whalley, Goffe i Dixwell.

Alex mieszkała w New Haven od niedawna, ale znała te nazwiska. To były ulice odchodzące od Broadwayu. Jeśli pojedzie się Whalley Avenue dostatecznie długo, dotrze się do West Rock. Trzy ulice. Trzech sędziów. Trzy morderstwa.

„Będzie trzecie”. To właśnie miał na myśli Darlington. Próbował podsunąć im związek, chociaż jego demoniczna część bawiła się z nimi, rozkoszowała zagadką podsuniętą przez zabójcę.

– Co się stało z sędziami? – zapytała Alex. – Złapano ich?

– Dożyli późnej starości. Dwóch z nich ostatecznie wyłądowno gdzieś w Massachusetts, ale Dixwell zmienił nazwisko i dożył końca swoich dni w New Haven. Jego szczątki pochowano pod błoniami. Brytyjscy żołnierze zwykli tu przyjeżdżać, żeby nasikać na jego nagrobek nawet sto lat po jego śmierci. Tak ważni byli ci goście. Męczennicy za sprawę wolności i takie tam. A teraz są przypisem, ciekawostką, którą opowiadam ci podczas lunchu, żeby ci zaimponować.

Alex nie była pewna, czy powinna być skrępowana faktem, że Anselm próbuje jej zaimponować, czy też powinno jej to pochlebiać.

– Zastanawiałaś się kiedykolwiek, dlaczego słowa śmierci działają? – Pochylił się. – Bo ostatecznie nie pozostaje z nas nic, a nie ma czegoś równie przerażającego jak nic.

Alex tak naprawdę nie interesowały powody, dopóki słowa działały.

– Dużo wiesz o tym miejscu.

– Lubię historię. Niestety nie ma w tym pieniędzy.

– Nie to co w prawie?

Anselm wzruszył ramieniem.

– Lete składa wiele obietnic, podobnie jak Yale, ale one nie spełniają się w New Haven. To miejsce nigdy ci się nie odplaci za twoją lojalność.

Może jednak nie był podobny do Darlingtona.

– A Lete?

– Lete to zajęcia nadprogramowe. Niemądrze byłoby myśleć, że to cokolwiek więcej. Wręcz niebezpiecznie.

– Ostrzegasz mnie.

Tak samo jak Michelle Alameddine.

– Tylko mówię. Wątpię jednak, żebyś przyszła posłuchać, jak rozprawiam na temat Cromwella i dlaczego niebezpiecznie jest zestarzeć się w Connecticut.

Nadszedł czas.

– Mówiłeś, że czytałeś moje akta. Moja mama... z moją mamą nie jest najlepiej.

– Jest chora?

Czy uganie się za jakimkolwiek śladem cudu można uznać za chorobę? Czy istniała nazwa dla kogoś, kto jest skazany na szukanie niewidzialnych wzorów w kryształach i horoskopach? Kto uważa, że tajemnice życia mogą zostać mu objawione, jeśli wykreśli nabiął ze swojej diety? Albo gluten i tłuszcze trans? Czy Los Angeles można nazwać chorobą?

– Nic jej nie jest – odpowiedziała Alex. – Po prostu nie jest realistką i nie potrafi zarządzać pieniędzmi.

Ujmując sprawę delikatnie.

– Wstydzisz się jej?

To pytanie ją zaskoczyło. Nie była gotowa na powódź emocji, jaką wywołało. Nie chciała się czuć mała i naga, jak dziecko bez ochrony, samotna dziewczyna. Semestr dopiero się zaczął, a ona już była wyczerpana, wykończona, ta sama dziewczyna, która przybyła do Yale ponad rok temu, atakująca każdego i wszystko, co mogło ją skrzywdzić. Chciała, żeby matka zapewniła jej bezpieczeństwo i udzieliła dobrej rady. Pragnęła ojca będącego czymś więcej niż opowieścią o duchach, której matka nawet nie chce jej opowiedzieć. Chciała Darlingtona, który tu był, ale nie całkiem, którego potrzebowała, żeby pokierował ją poprzez całe to szaleństwo. To wszystko zważyło się na nią w jednej chwili i poczuła nieproszone pieczenie łez w gardle.

Wypiła łyček wody.

– Muszę znaleźć sposób, żeby jej pomóc.

– Mogę ci załatwić płatny staż latem...

– Nie. Teraz. Potrzebuję pieniędzy. – To zabrzmiało ostrzej, niż chciała; prawdziwa Alex wyrwała się, zmęczona towarzyskimi pogaduszkami i dyplomacją.

Anselm złożył ręce, szykując się na najgorsze.

- Ile?

- Dwadzieścia tysięcy dolarów. - Dość, żeby Mira wypłatała się z umowy najmu i zamieszkała w jakimś nowym miejscu; dość, żeby przetrwała, zanim znajdzie nową pracę. Pod warunkiem, że Alex przekona ją do wyjazdu z Los Angeles. Uważała jednak, że da radę. Posłuży się przymusem, jeśli będzie trzeba, jeżeli to ocali życie matce i jej samej.

- To spora pożyczka.

- Darowizna - poprawiła go. - Nie zdołam zwrócić takiej kasy.

- Alex, to, o co mnie prosisz...

Nadszedł jednak czas, żeby wyrazić się jasno.

- Czytałeś moje akta. Wiesz, do czego jestem zdolna. Widzę martwych. Mogę nawet z nimi rozmawiać. Chcesz informacji? Chcesz mieć dostęp poza Zasłonę? Mogę ci to załatwić. I nie potrzebuję do tego jakiegos durnego rytuału w Księdze i Wężu.

Teraz Anselm gapił się na nią.

- Możesz ich słyszeć?

Pokiwała głową.

- To... nieprawdopodobnie ryzykowne.

- Uwierz mi, dobrze to wiem.

- Ale możliwości...

Niczego nie dało się wyczytać z twarzy Anselma. Swobodny śmiech i czar wyparowały w słonym morskim powietrzu. Może i zostawił Lete za sobą wraz z jego dziwną magią, ale wiedział, jak bardzo Dziewiąty Dom ceni sobie tego typu dostęp, ile mocy mogło się w tym kryć. Sandow nazwał kiedyś Lete „żebrakiem przy stole”, władzą bez realnej władzy, wyciągającą ręce po wszelkie okruszki magii, z jakimi inne stowarzyszenia są gotowe się rozstać. Dar Alex mógł to zmienić, a władza to język, który oni wszyscy rozumieli.

- Alex, zapytam cię o coś i potrzebuję, żebyś była ze mną szczerą.

- W porządku.

- Powiedziałaś mi, że jesteś gotowa zaprzestać prób dotarcia do Darlingtona, że jesteś gotowa sobie odpuścić... Nie robisz wrażenie kogoś, kto łatwo odpuszcza.

Alex wiedziała, że Anselm może ją przycisnąć w ten sposób, więc ta część była łatwa. Ponieważ doskonale wiedziała, co on chce usłyszeć.

- Widziałeś moje akta - powtórzyła. - Wiesz, co zaproponowało mi Lete. Nie wylądowałam tutaj, ponieważ chcę nosić pelerynę i odgrywać czarodzieja. Wy wszyscy myślicie, że świat za Zasłoną to coś specjalnego, ale to dlatego, że nie musieliście patrzeć w tę konkretną przepaść przez całe życie. Nie przyjechałam do Yale po magię, panie Anselm.

- Michaelu.

Udała, że go nie słyszy.

- Nie przyjechałam tu po magię, dla zabawy ani po to, żeby zdobyć przyjaciół i nauczyć się rozmawiać o poezji podczas koktajli. Przyjechałam tu, bo to moja jedna jedyna szansa na przyszłość, która nie będzie wyglądała jak zapiski z moich akt. Nie odrzucę tego dla bogatego dzieciaka, który był dostatecznie miły, żeby kilka razy zwrócić się do mnie z wywyższością.

To była szczerza prawda. Oprócz ostatniego zdania.

Anselm przyjrzał się jej, ważąc usłyszane słowa.

- Powiedziałaś, że Lete jest mu coś winne.

- Ja nie jestem Lete.

- I niczego nie planujesz?

- Niczego - odpowiedziała bez wahania Alex.

- Daj mi słowo. Chcę, żebyś przysięgła na życie matki, bo jeśli ze mną pogrywasz, to nie będzie żadnych pieniędzy, żadnego planu awaryjnego. Nie zajmuję się dobroczynnością.

- Masz moje słowo.

- Okazałaś się sporą niespodzianką, Alex Stern. - Anselm wstał. Rzucił kilka banknotów na stół. Przeciągnął się i odwrócił twarz do światła. - Świetny lunch. Odrobina słońca i morza, pogawędka z piękną kobietą. Czuję się prawie jak człowiek. Ciekawe, czy to uczucie przetrwa do Nowego Jorku. - Wyciągnął rękę. Dłoń miał ciepłą i suchą, niebieskie oczy mu błyszczały. - Unikaj kłopotów i zadbaj, żeby wszystko szło gładko. Załatwię ci pieniądze.

Anselm teraz w niczym nie przypominał Darlingtona. Opalony i w garniturze, zamożny kanciarz szukający okazji i gotów dla niej wykorzystać Alex. Był jeszcze jednym złodziejem grzebiącym w rzeczach kraju, który nie należy do niego. To było Lete, które Alex rozumiała, a nie Lete, które kochał Darlington.

Uścisnęła mu dłoń.

- Umowa stoi.

W noc przed Halloween spotkali się w jadalni w Il Bastone. To pomieszczenie sprawiało, że spotkanie wydawało się bardziej oficjalne niż w salonie, a Dawes uważała, że potrzebuje większej przestrzeni. Alex nie rozumiała tego naprawdę, dopóki nie zobaczyła wielkich płacht planów Biblioteki Sterlinga rozłożonych na stole. Dawes przyniosła swoją ukochaną białą tablicę i przygotowała garnek grzanego cydru, który wypełnił Il Bastone zapachem sfermentowanych jabłek.

Mercy przebrała się trzy razy, zanim wyszły z pokoju w akademiku, ostatecznie wybierając ciepłą tweedową kurtkę i aksamitną spódnicę.

– Wiesz, że wyświadczasz nam przysługę, prawda? – spytała Alex.

– Ubierz się do takiej pracy, jaką chcesz dostać.

– A jaką pracę chcesz dostać?

– Nie wiem – odpowiedziała Mercy. – Ale jeśli magia istnieje naprawdę, to chcę zrobić dobre wrażenie.

Czy my wszyscy o tym marzymy? – zastanawiała się Alex, kiedy zapędziła Mercy do wnętrza Il Bastone i patrzyła, jak dziewczyna wytrzeszcza oczy na widok klatki schodowej ze słonecznikami, witraży, malowanych kafelków okalających kominek. Czemu wychowuje się dzieci, obiecując im magię? Czemu tworzy się w nich pragnienie, którego nigdy nie da się ugasić – pragnienie objawienia, transformacji? A potem pozwala im się dryfować po ponurym, pragmatycznym świecie? Widziała w Darlingtonie, co po utracie magii smutek może zrobić z człowiekiem, ale może w niej też tkwił ten żal.

Straszliwa wiedza, że nie będzie tajemnego przeznaczenia, życzliwego mentora, który odkryje w niej ukryty talent, śmiertelnie niebezpiecznego wroga, którego trzeba pokonać.

Może ten żal, tęsknota zaszczepona przez opowieści o piękniejszych światach i ich nieskończonych możliwościach sprawiała, że wszyscy byli łatwymi ofiarami Lete. Może dlatego Mercy ubrała się w aksamit i tweed i włożyła sztuczne szmaragdy w uszy, napędzana tym samym marzeniem o odkryciu drogi prowadzącej przez starą szafę. Alex miała tylko nadzieję, że za płaszczami nie czeka nic potwornego.

Wcześniej tego wieczoru musiała patrzeć, jak członkowie Manuskryptu przywiązują piosenkarce z pierwszych miejsc list przebojów do krzesła, odchylają jej głowę i wkładają do jej ust słowika w małej uprząży ze sznurka. A potem czekali, aż ptak nasra jej do gardła. To miało przywrócić piosenkarce legendarny głos. Oto prawdziwa magia – krew, wnętrze, nasienie i ślina, organy w słojach, mapy do polowania na ludzi i czaszki nienarodzonych dzieci. Kłopot nie polegał na istnieniu ksiąg i bajek, ale na tym, że przedstawiały tylko połowę historii, oferując iluzję świata, gdzie tylko złoczyńcy płacą krwią, potworne macochy i występne przyrodnie siostry, gdzie magia jest sprawiedliwa i nie wymaga ofiar.

Zstały Turnera siedzącego w jadalni, pochylonego nad notatkami przygotowanymi przez Dawes. Alex podejrzewała, że przede wszystkim stara się ignorować Trippa, obżerającego się wystawną ucztą wyłożoną w kuchni, na którą składały się wędliny, fondue i ciasto francuskie pokroje w geometryczne kształty.

– Alex! – wykrzyknął na jej widok z ustami pełnymi sera. – Twoja kumpela Dawes zajeżdża gotuje. Normalnie w pale się nie mieści.

Dawes nalewająca właśnie grzany cydr do kubka wyglądała, jakby zamarła w połowie drogi między dzikim zachwytem i surową dezaprobatą, i w efekcie na jej twarz wypłynął uśmiech jak przy zatwardzeniu. Miała na sobie dzinsy zamiast typowego dresu, włosy zaplotła we fran-

cuski warkocz. Nawet Tripp włożył marynarkę i koszulkę polo, zastępując nimi T-shirt i spodnie od dresu. Alex nagle uznała, że nie ubrała się dość porządnie.

– Zaczynajmy – powiedział Turner. – Niektórzy z nas muszą rano pracować.

A niektórzy z nas mają zaległe prace do napisania, pomyślała Alex. Już nie wspominając o stosie lektur, który tylko rósł: *Do latarni morskiej*, powieść, która ją nudziła, *Novel on Yellow Paper*, która ją zaskoczyła, strona za stroną Herodota, który szybko kazał jej ponownie przemyśleć swoją nowo odkrytą miłość do historii Grecji, długie, mętne wiersze Wallace'a Stevensa, z których niektóre wprowadzały ją w stan podobny do marzeń sennych, a inne zwyczajnie usypiały. Gdyby mogła wybrać coś innego niż literaturę angielską jako przedmiot kierunkowy, to zrobiłaby to, ale z niczym nie miała szans sobie poradzić. Co znaczyło, że może nawiązać jeszcze bliższe kontakty z ich nowym Pretorem.

Spotkali się w salonie po południu, żeby omówić przygotowania Alex do rytuału ptasich treli w Manuskrypcie. Profesor Walsh-Whiteley sączył sherry i skubał biscotti, przeglądając fiszki Alex. Ostatecznie pociągnął nosem i powiedział:

– Ujdzie.

Alex musiała powstrzymać się przed zwycięskim gestem, chociaż trudno jej było zachować triumfatorski nastrój, kiedy wreszcie zrozumiała, z czym wiąże się rytuał. Miała ochotę wrócić do domu i nigdy więcej o tym nie myśleć, ale postanowiła sobie, że wydrukuje raport i prześle go Pretorowi, zanim podejmą próbę z Womitorium. „Nie ma powodu do zmartwień, proszę pana. Nie trzeba uważnie nas obserwować”.

– Turner, czy profesor Lambton ma dzieci? – mruknęła Alex, kiedy siedli przy stole.

– Syna. Mieszka w Arizonie. I owszem, ma alibi – odpowiedział natychmiast, a Alex zdała sobie sprawę, że chociaż siedzi przy tym

stole, to myślami jest gdzie indziej, nieustannie roztrząsając szczegóły obu morderstw.

- Lepiej sprawdź to alibi raz jeszcze.

- Dlaczego? Co wiesz?

- Cytaty, które sprawdzaliśmy, prowadzą do egzekucji Karola I, ale to jego syn potem się zemścił.

- A w jaki sposób nagle to rozgryzłaś?

- Jestem detektywem – powiedziała Alex, pukając się w głowę. Turner przewrócił oczami, co sprawiło jej zdecydowanie za dużą przyjemność. – Pogrzebałam trochę. Poskładałam do kupy.

Nie zamierzała wspominać o lunchu z Michaeliem Anselmem ani opowiadać o demonach i wampirach, oraz możliwości, że ktoś wysłał krew z Marjorie Stephen. Dopóki się nie przekona, że to coś więcej niż jej paranoja.

Dawes popukała nożem w szklankę z wodą. Dźwięk był zaskakująco czysty i rezonujący. Zaróżowiła się pod piegami, kiedy wszyscy na nią spojrzeli, i powiedziała:

- Powinniśmy... zacząć?

Tripp dołączył do nich przy stole z wysoko załadowanym talerzem i butelką piwa.

- Musimy złożyć przysięgę albo coś takiego?

- Nie umrzyj. Postaraj się nie być dupkiem – powiedział Turner. – To cała przysięga. Przejdźmy do konkretów.

Dawes otarła ręce o dżinsy i zajęła miejsce obok tablicy, gdzie narysowała zgrubny plan biblioteki. Wskazała wejście i pierwszą stację Womitorium.

- Przyjdziemy punkt jedenasta i zostaniemy w czytelni Linonia. Posłużymy się bardzo podstawowym czarem zasłaniającym, żeby pozostać w ukryciu, kiedy biblioteka zostanie zamknięta.

- Co powiemy Lauren? – szepnęła Mercy, kiedy Dawes opisała, gdzie w czytelni mają się ukryć i na którą część sali zostanie rzucony

urok. – Będzie wściekła, jeśli wcześniej wyjdziemy z imprezy.

Alex nie była pewna. Muszą wymyślić coś nudnego, żeby Lauren nie chciała iść z nimi.

– Mamy niewiele wskazówek, którymi możemy się pokierować, ale rozsądnie byłoby pościć przez przynajmniej sześć godzin przed rozpoczęciem – powiedziała Dawes. – I w żadnym razie nie spożywajcie mięsa ani nabiału.

– Tylko weganie idą do piekła? – rzucił Tripp i się roześmiał.

Dawes spojrzała na niego surowo i uważnie.

– Wolisz mieć puste jelita.

To szybko go uciszyło.

Dawes wskazała Mercy.

– Nasz strażnik będzie stacjonował na dziedzińcu. Czwórka pielgrzymów przejdzie razem Womitorium, zaczynając dokładnie o pierwszej.

– Jak zamierzamy chronić Mercy? – spytała Alex.

Mercy podniosła mały czerwony notes.

– Przygotowałam sobie słowa śmierci.

– Powinnaś nauczyć się ich na pamięć – powiedziała Dawes.

Mercy uśmiechnęła się szeroko:

– *Quid tibi, mors, faciam quae nulli parcere nosti?*

– Mówisz po łacinie? – zapytał z niedowierzaniem Tripp.

Mercy zrzedł uśmiech i rzuciła Trippowi spojrzenie wyrażające najczystsza pogardę.

– Tylko wtedy, kiedy muszę. Słowa śmierci lepiej działają w martwych językach, prawda?

Alex zaskoczył ostry ton przyjaciółki, ale Tripp tylko wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz.

– Co to znaczy? – spytał Turner.

- „Cóż mam z tobą uczynić, Śmierci, która nikogo nie oszczędzasz?” – zacytowała Mercy. – Zabawne, prawda? Jakby Śmierć była niemiłe widzianym gościem na imprezie.

- Jestem całym sercem za łaciną, ale słowa śmierci nie pomogą ci w walce z demonem.

- Pomyślałam o tym – powiedziała Dawes.

- Solna zbroja – domyśliła się Mercy.

Dawes się rozpromieniła.

- W rzeczy samej.

Alex ze wstydem poczuła ukłucie zazdrości na widok tego pełnego dumy spojrzenia – kolejne nieprzyjemne przypomnienie, że była tu intruzem.

- Co robimy po zamknięciu biblioteki? – zapytał Turner.

- Przejdziemy razem stacje Womitorium. – Dawes wskazała kredens. – Mercy ustawi metronom. Rytmu nie można zakłócić aż do ukończenia rytuału.

Alex nie widziała w tym sensu.

- Wątpię, żeby mieli metronomy w Heraklejonie.

- Fakt – zgodziła się Dawes. – W przeszłości całe grupy ludzi stały na straży i wybijały rytm na bębnach czy innych instrumentach. My jednak nie mamy grupy i nie wiem, jak długo to potrwa. Nie możemy ryzykować, że Mercy się zmęczy albo coś jej przeszkodzi.

Cyk, cyk, cyk. Bomba, która tylko czeka, żeby wybuchnąć.

- Zaczniemy na zewnątrz przy skrybie – tłumaczyła Dawes. – Naznaczymy wejście naszą zmieszaną krwią.

Turner pokręcił głową.

- To jakieś satanistyczne gówno.

- Nieprawda – odparła Dawes. – Krew nas zwiąże i powinna obudzić Womitorium.

- Będziemy więc wiedzieć, że idziemy właściwą ścieżką? – zapytała Alex.

Dawes zagryzła wargę.

- Taki jest zamysł. Każdy pielgrzym ma swój cel, który określa porządek, w jakim powinniśmy przejść Womitorium. Żołnierz idzie pierwszy, potem uczony, kapłan, na końcu ksiądz. - Odchrząknęła. - Myślę, że powinnam wziąć rolę uczonego, a zważywszy na skłonności religijne Turnera, on powinien zostać kapłanem.

- Ja mogę być żołnierzem - zaproponował Tripp.

- Ty jesteś księciem - powiedziała Alex. - Ja jestem żołnierzem. Przejdę pierwsza.

- To znaczy, że także ty powinnaś zamknąć okrażenie - ostrzegła Dawes. - Ostatni odcinek przejdiesz sama.

Alex skinęła głową. Tak to powinno wyglądać. To ona pozwoliła piekielnej bestii pożreć Darlingtona w piwnicy. To ona zamknie krąg.

- Do tego czasu wszyscy zajmimy swoje pozycje na dziedzińcu - powiedziała Dawes. - Wszystkie z czworga drzwi zostaną oznaczone krwią. Będziemy potrzebować sygnału, żeby jednocześnie ruszyć na środek dziedzińca. - Położyła przed nimi metalowy dysk.

- Kamerton stroikowy? - spytała Mercy.

Dawes skinęła głową.

- Rzucono na niego czar w latach pięćdziesiątych, żeby gwarantował doskonałą harmonię. Mam nadzieję, że pozwoli nam utrzymać idealną synchronizację, gdyby sprawy... zaczęły się komplikować.

Alex nie chciała się za długo zastanawiać, co to może znaczyć.

- Jesteśmy pewni, że dziedziniec to właściwe miejsce?

Dawes wskazała serię karteczek samoprzylepnych na planie Dziedzińca Selina.

- Czworo drzwi, czworo pielgrzymów, cztery strony świata. A inskrypcja nie może być zbiegiem okoliczności. Pamiętasz Drzewo Wiedzy? Te słowa wyryto w kamieniu nad zegarem słonecznym nad drzwiami bibliotekarza: „Jakim jest przekleństwem bożym niewiedza, gdy wiedza jest skrzydłem, które unosi nas aż ku Niebiosom.”⁸

- Henryk VI - powiedziała Mercy i zerknęła na Alex z szerokim uśmiechem.

Alex odwzajemniła uśmiech.

- Znowu Shakespeare.

- I jeszcze jest to. - Dawes pokazała zdjęcie kamiennej siatki z numerami.

- Sudoku? - zdziwił się Tripp.

Dawes spoglądała na niego, jakby nie wiedziała, czy położyć go do łóżka z gorącym termoforem, czy przyłożyć mu łopatą.

- To kwadrat magiczny z *Melancholii* Albrechta Dürera. Cyfry zsumowane w każdej linii dają taką samą sumę. Myślę, że to wskazówka dotycząca zabezpieczeń.

- Idealna łamigłówka-pułapka dla demona - powiedziała Alex.

- Właśnie. A ze wszystkich szczegółów z prac Dürera ten naprawdę nie ma powodu, żeby znalazł się na dziedzińcu.

- Co jest pośrodku? - spytał Turner. - Ku czemu maszerujemy?

Mercy zmarszczyła nos.

- Jest tam fontanna, ale to nic szczególnego. Duża kwadratowa misa z paroma cherubinami uczeplonymi narożników.

- Dodano ją później - powiedziała Dawes. - Po wybudowaniu biblioteki. Bo coś się przesączało przez kamienie.

W pokoju zapadła cisza.

Turner podrapał się po głowie.

- Dobrze. Idziemy do środka. I co potem?

Teraz Dawes się zawahała.

- Schodzimy. Nie wiem, z czym się to wiąże. Niektórzy ludzie opisywali halucynacje i wrażenie upadku, inni całkowite oderwanie od ciała i wrażenie lotu.

- Pięknie - powiedział Tripp.

- Ale to może być spowodowane bieluniem.

- To trucizna - powiedział Turner. - Mielśmy taką sprawę: kobieta hodowała bielunia na tyłach domu i dodawała do balsamów i maści.

- Ma właściwości lecznicze, ale wymaga pewnej ręki - powiedziała Dawes.

- Jasne - mruknął Turner. - A powiesz im, jak inaczej nazywa się tę roślinę?

Dawes zerknęła do notatek i wymamrotała:

- Trąbka diabła. Pielgrzymi zostaną nią namszczeni na samym początku. Dzięki temu związek duszy z ciałem staje się luźniejszy. Bez tego nie przejdziemy.

- A potem umieramy - powiedziała Alex.

Tripp zaśmiał się nerwowo.

- To metafora, nie?

Dawes powoli pokręciła głową.

- Na ile się orientuję, zostaniemy pogrzebani żywcem.

- Cholera - mruknął Turner.

- Czasownik jest niejasny - pocieszyła go Dawes. - Może oznaczać pogrzebanie lub zanurzenie.

Tripp odepchnął się od stołu.

- Jesteśmy pewni... że to dobry pomysł?

- Dobre pomysły już nam się skończyły - odpowiedziała Alex. - Zostało tylko to.

Jednakże Turner nie przejął się zdenerwowaniem Trippa.

- Czyli umieramy - powiedział, jakby pytał o drogę do banku. - A potem co?

Dawes zagryzła usta tak mocno, że pojawił się ślad krwi.

- W pewnym momencie powinniśmy napotkać Darlingtona, a przynajmniej tę część jego osoby, która ugrzęzła w piekle. Umieścimy jego duszę w naczyniu, wrócimy do tej rzeczywistości i zabierzemy naczynie do Black Elm. Wtedy będziemy najbardziej narażeni na atak.

- W jakim sensie? - spytała Alex.

Turner popukał leżącą przed nim otwartą książkę.

- Jeśli nie zamkniemy Womitorium, coś może wyjść za nami.

- Coś? - Mercy wreszcie sprawiała wrażenie przestraszonej i Alex prawie się z tego ucieszyła.

Dziewczyna musiała w końcu zacząć myśleć o tym poważnie.

- To, co robimy, można uznać za kradzież - wyjaśniła Dawes. - Nie mamy powodu uznać, że piekło łatwo odpuści sobie duszę.

Tripp znowu zaśmiał się nerwowo.

- Skok na piekło.

- Cóż... - Dawes się zamyśliła. - To całkiem trafne spostrzeżenie.

- Jeśli to napad, to wszyscy powinniśmy mieć zadania - powiedział Tripp. - Złodziej, haker, szpieg.

- Naszym zadaniem jest przeżyć - warknął Turner. - I upewnić się, że nie zrobisz nic głupiego, przez co wszyscy zginiemy.

Tripp uniośł ręce. Jak zawsze zgodny chłopak.

- Jasna sprawa.

- Musimy działać szybko i mieć się na baczności - powiedziała Dawes. - Dopóki obie części duszy Darlingtona nie zostaną razem związane, będziemy narażeni.

Na atak demonów, które będą ich ścigać. Takich istot jak Linus Reiter. A jeśli on ich obserwuje? A jeżeli wie, co zamierzają? Alex znowu ogarnęła paranoja, wrażenie, że wrogowie się mnożą.

- Jesteśmy pewni, że znajdziemy jego duszę? - spytał Turner.

Dawes otarła usta rękawem.

- Jego dusza powinna chcieć połączenia z drugą połową, ale wszystko zależy od naczynia, którym się posłużymy. To powinno być coś, co do niego przemówi. Jak akt notarialny na Black Elm albo armaniak, który zostawiła mu Michelle Alameddine.

Tyle że akt został spalony kilka miesięcy temu, a armaniak wysadzony w Zwoju i Kluczu.

- Coś takiego jak graal – powiedział Tripp. – To byłoby dobre.
- Może książka? – zasugerowała Mercy. – Pierwsze wydanie?
- Wiem, co to powinno być – powiedziała Alex. – O ile to znajdę.
Ranka na ustach Dawes znowu się otworzyła.
- To musi być cenne. Musi mieć na niego wpływ.

Wspomnienie Alex nie należało naprawdę do niej, tylko do nieżyjącego Daniela Tabora Arlingtona III. Patrzył, jak wnuk miesza eliksir nad zlewem w Black Elm, ze świadomością, że ta trucizna może go zabić, i nie mógł go powstrzymać. Przypomniała sobie, co Danny, to znaczy Darlington, wybrał na kielich w tamtej chwili lekkomyślnej desperacji: małe puzderko na pamiątki z dawnych, lepszych czasów, o którym kiedyś myślał, że jest magiczne, i które pragnął znowu obdarzyć magią.

- To jest cenne – odpowiedziała Alex.

Marzenie o świecie poza codziennością, o urzeczywistnionej magii. Droga przez szafę, być może także powrotna.

Dopóki trwał dzień, obchody Halloween na kampusie były nieśmiało, prawie jakby studenci wstydziли się swojej chęci do zabawy – parę osób w pelerynach albo głupich nakryciach głowy, profesor w swetrze z motywem dyni, grupa śpiewająca a cappella *Time Warp* na schodach Dwight Hall. W związku ze śmiercią dziekana Beekmana obchody w tym roku były jeszcze bardziej powściągliwe, ale nawet to przygaszone podniecenie wystarczyło, by nakręcić Szarych. Wyczuwali niecierpliwe wyczekiwanie, atmosferę święta, która buzowała w klasach, bibliotekach i akademikach. Alex starała się, ale wrzawa umarłych, ich westchnienia, okrzyki i trajkotanie, były trudne do zignorowania. Tylko college Morse'a – miejsce, gdzie zabito Beeky'ego – był cichym miejscem. Tam żywi czuli, że nie powinni świętować, a martwi woleli trzymać się z dala od miejsca mordy.

Alex i Mercy zaszalały, dekorując wspólny pokój w ramach pokuty za to, że porzucają Lauren. Rozwiesiły łańcuchy papierowych kwiatów pod sufitem i na ścianach, żeby całość wyglądała jak ponury ogród z gotyckiej powieści. Kiedy oznajmiły, że będą pomagały rodzicom Mercy przy rozdawaniu słodyczy w jej kościele, Lauren powiedziała tylko: „Jesteście beznadziejne”. I wróciła do przyklejania zwojów papieru krepowego. Zamierzała wyjść później wieczorem z dziewczynami ze swojej drużyny hokejowej.

Halloweenowy Specjał zaczął się około ósmej. Alex rozlała do kieliszków tequilę, a Mercy napełniła kubki czekoladową glebą i żelowymi dżdżownicami, podczas gdy Lauren nastawiała płyty w swoich króciuteńkich szortach seksownej ogrodniczki. Jednakże ani Alex, ani

Mercy nie tknęły alkoholu, a Alex starała się też unikać słodczy. Poważnie potraktowała zalecenia Dawes, więc kręciło jej się w głowie z głodu i była z tego powodu zrzędliva.

Rankiem tego dnia Alex pojechała do Black Elm. Odebrała pocztę, wyłożyła świeże jedzenie dla Cosmo i naląła mu wody, a potem przeszła przez cały parter do gabinetu, którego okna wychodziły na ogród na tyłach. Wiedziała, że Darlington czasem tu pracował; przejrzała nawet szuflady mahoniowego biurka, kiedy szukała jego notatek na temat sprawy śmierci Pana Młodego.

Gabinet wyglądał inaczej niż reszta domu. Ponieważ należał do starego mężczyzny. To był wielki, ponury pokój, wyłożony ciężką, ciemną boazerią. Od dawna nieużywany kominek zajmował większą część jednej ze ścian. Jedyne zdjęcia były czarno-białe. Jedno przedstawiało fabrykę gumowego obuwia Arlingtonów, drugie mężczyznę w ciemny garniturze trzymającego za rękę ponure dziecko przed staroświeckim automobilem, a trzecie – oprawione w ramkę – było ślubne i sądząc po sukience panny młodej, zrobiono je na przełomie wieków. Arlingtonowie przed kłątwą, która na nich spadła, kiedy ich błyszcząca prosperita zaczęła gnić.

Puzderko stało na biurku, porcelanowy drobiazg wielkości dłoni z zimową scenką przedstawiającą bawiące się dzieci na przykrywce. Po wewnętrznej stronie pokrywki na zawiasach napisano niebieskimi literami „Wesołych Świąt Bożego Narodzenia od Waszej Rodziny z Fabryki Gumowego Obuwia Arlingtonów!”. Napis okalały płatki śniegu. Jednak wewnątrz puzderka było zaplamione czerwonym brązem. Od eliksiru. To była próba Darlingtona ujrzenia drugiej strony, marzenie, które prawie go zabiło i doprowadziło do Lete.

– To coś na górze to nie Danny.

Stary mężczyzna stał obok Alex. Wyczuwała, jak się przysuwa odrobinę, mając nadzieję, że w nią wejdzie. Palił się do tego, żeby znowu znaleźć się w ciele. Alex była wstrząśnięta swoim spotkaniem z Linusem Reiterem, snem o Darlingtonie w kręgu, nieprzyjemnym

zadaniem całowania w tyłek Michaela Anselma, nieustannym lękiem, że nadejdzie kolejny rozkaz od Eitana, zanim znajdzie sposób, żeby wyjść na prostą. Nie zamierzała być karuzelą dla łajdaka, bardziej dbającego o swoją spuściznę niż o małego chłopca, którego uwięził w tym zamku.

- Tak? - Odwróciła się do Daniela Tabora Arlingtona III w niebieskim szlafroku. - Darlington zasługiwał na więcej niż twój syn-nieudacznik, a to nie jest już twój dom. „Śmierć jest matką piękna” - warknęła.

Niech się na coś przyda ten Wallace Stevens.

Starzec zniknął z wyrazem oburzenia na twarzy.

Alex zerknęła na sufit i zanim się obejrzała już wspinała się po schodach i szła korytarzem. Nie zamierzała wchodzić na piętro. Miała tylko wziąć puzderko i szybko wyjść z Black Elm. Czy też okłamywała samą siebie? Chciała zobaczyć Darlingtona przed ich próbą z Womitrium? Tym razem nie próbowała walczyć z siłą, która nią zawładnęła. Dała się ponieść do żaru i złotego światła w sali balowej.

Darlington stał blisko krawędzi kręgu, wpatrując się w Alex. Był demonem, jakiego zapamiętała - nagim, monstualnym, pięknym. Nie był młodym człowiekiem, z którym rozmawiała we śnie. Żar wirował wokół nich - to było coś dziwniejszego niż tylko zmiana temperatury, to był trzask mocy, którą wyczuwała przez skórę. Krąg ochronny zamigotał. Czyżby słabł? Przygasał tak jak w jej śnie?

- Idziemy po ciebie - powiedziała. - Musisz być gotowy.

- Nie wytrzymam dłużej.

- Musisz. Jeśli... jeśli to się nie uda, wrócimy, żeby wzmocnić zabezpieczenia.

- Z pewnością możecie spróbować.

Alex w nieprzyjemny sposób przypomniał się Linus Reiter wyciągnięty na kremowej kanapie, prowokujący ją do ataku.

- Tego wieczoru - powtórzyła.

– Po co czekać?

– To nie takie łatwe rozgryźć Womitorium i zgromadzić ekipę ratunkową złożoną z zabójców gotowych pójść do piekła. A Dawes twierdzi, że mamy większe szanse w przełomową noc.

– Jak wolisz, Wędrowcze Koła. Ty wybierasz kroki w tym tańcu.

Alex chciała, żeby to była prawda. Poczowała potężne pragnienie, żeby podejść, ale strach w niej był równie silny.

– Czy to był sen? Czy to się działo naprawdę? A teraz?

Uśmiechnął się tak samo jak we śnie, gdy odpowiedział:

– To nie jest najlepszy czas na filozofię, Stern.

Włoski stanęły jej na rękach. Czy to było potwierdzenie, czy też kolejna zagadka, jaką droczył się z nią demon?

– Dlaczego to robisz? – zapytał. Chłodny głos demona załamał się i teraz był tylko Darlingtonem, przestraszonym i rozpaczliwie szukającym drogi do domu. – Po co narażać własne życie i duszę?

Alex nie знаła odpowiedzi. Stawiała swoją przyszłość na szali, bezpieczeństwo własne i matki. Prosiła innych, żeby narażali swoje życie. Turner uważał, że to święta wojna. Mercy chciała posłużyć się bronią, którą wykorzystano przeciwko niej. Tripp potrzebował kasy na wydatki. A Dawes kochała Darlingtona. Był jej przyjacielem, jednym z nielicznych, którzy poświęcili dość czasu, żeby ją poznać, i zbyt bliskim, żeby go z tego powodu stracić. Ale kim był Darlington dla Alex? Mentorem? Protektorem? Sprzymierzeńcem? Żadne z tych słów nie wydawało się dostateczne. Czy jakaś miękka cząstka jej osoby zadurzyła się w złotym chłopcu Lete? Czy może to było coś trudniejszego do nazwania niż miłość albo pożądanie?

– Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o składnikach eliksiru Hirama? – spytała.

Nadal widziała go, jak stał nad złotym tygłem w zbrojowni, a jego ręce poruszały się z nieskazitelną precyzją. Pouczał ją na temat obowiązków w Lete, ale ona prawie go nie słuchała. Miał podwinęte rękawy i ruch jego mięśni na przedramionach rozpraszał ją w zenują-

cym stopniu. Starła się ze wszystkich sił uodpornić na urodę Darlingtona, ale czasem dawała się zaskoczyć.

– Stoimy między żywymi i umarłymi, Stern. Dzierżymy miecz, którego nikt inny nie waży się podnieść. A to jest nagroda.

– Szansa na bolesną śmierć?

– Barbarzynka – powiedział, kręcąc głową. – Naszym obowiązkiem jest walczyć, ale nade wszystko naszym obowiązkiem jest widzieć to, czego inni nie chcą widzieć, i nigdy nie odwracać oczu.

Teraz, stojąc w sali balowej, powiedziała:

– Ty się nie odwróciłeś. Nawet kiedy nie podobało ci się to, co we mnie zobaczyłeś. Nadal patrzyłeś.

Spojrzenie Darlingtona zmieniło się i zamigotało jak ogień. Złoto, a potem bursztyn. Blask, a potem cień.

– Może potrafię rozpoznać drugiego potwora, kiedy go zobaczę.

Odebrała to jak odepchnięcie zimną dłonią. Jak ostrzeżenie. Nie była na tyle głupia, żeby to zignorować.

– Możliwe – szepnęła Alex.

Zmusiła się, żeby się odwrócić, wyjść z sali balowej, przejść ciemnym korytarzem. Zmusiła się, żeby nie biec.

Może byli po prostu dwojgiem zabójców, przeklętych i skazanych na swoje towarzystwo, dwa przekłete duchy próbujące odnaleźć drogę do domu? Może byli dwójką potworów, które lubią wiedzieć, że patrzy na nich drugi potwór? Jednakże już dość ludzi porzuciło ich oboje. Ona nie będzie następną.

Para lampionów

Pochodzenie: Akwitania, Francja; XI wiek

Ofiarodawca: Manuskrypt, 1959

Uważa się, że zostały wynalezione przez heretyckich mnichów do ukrywania zakazanych ksiąg. Zakłęcie pozostaje silne, dopóki latarnie płoną. Ci, którzy znajdują się poza zasięgiem światła, przekonują się, że im bardziej się zbliżają, tym większy ogarnia ich strach. Można wykorzystywać zwykłe świece i wymieniać je w miarę potrzeb. Lampiony przekazano po tym, jak w schowku nad węzłem Manuskryptu doszło do jakiegoś zakłócenia czaru i dwóch członków delegacji z 1957 roku zaginęło w cieniu na ponad tydzień.

z Katalogu Zbrojowni Lete;
korekta i redakcja: Pamela Dawes, Oculus

Halloween to prozelickie święto. Jeśli go nie obchodzisz, to zostajesz zmuszony ukrywać się przed tymi, którzy je obchodzą, by nie włożyli ci przemocą maski na twarz i nie zażądali, żebyś zaczął podsłakiwać w imię zabawy.

Pamiętnik Raymonda Walsha-Whiteleya
z czasów w Lete (Silliman College, '78)

Spotkali się w bibliotece o jedenastej i zaszyli w jednej z niszy czytelnicy Linonia. Dawes jakimś cudem wybrała dokładnie to miejsce, w którym Alex uwielbiała siedzieć, czytać i zasypiać z nogami opartymi o kratkę grzejnika. Ile razy wyglądała na dziedziniec przez wypaczoną szybę okna, nie wiedząc, że patrzy na bramę do piekła?

Ustawili parę lampionów, które zabrali ze zbrojowni, w przeciwnych rogach wejścia do wnęki w czytelnicy. To, co stworzyli, gdy zapalili świece, nie było do końca urokiem, a raczej chmurą gęstego cienia, który odpychał wszelkie ciekawskie spojrzenia.

Kwadrans przed północą w głośnikach rozległ się głos przypominający studentom, że biblioteka się zamyka. Ludzie obciążeni plecakami i torbami powlekli się do wyjścia, żeby pomaszerować do akademika albo do swoich mieszkań, mijając po drodze ludzi bawiących się z okazji Halloween. Potem przeszli ochroniarze, migając latarkami po regałach i stołach.

Alex i pozostali poczekali, patrząc, jak światło migocze w lampionach ustawionych w kątach. Bez powodu przyciskali się do ścian, starając się być jak najciszej. Tripp miał na sobie tę samą koszulkę polo, marynarkę i odwróconą daszkiem do tyłu czapkę, jakie nosił podczas spotkania w Il Bastone, kiedy wszystko zaplanowali. Dawes miała na sobie dres. Mercy wybrała spodnie w panterkę i czarny sweter. Wyglądała jak najbardziej szykowny członek oddziałów specjalnych. Alex miała na sobie dres Lete. Nie wiedziała, czego będzie wymagała ta noc, ale miała dość tracenia porządnych ubrań z powodu praktyk tajemnych.

Wkrótce po północy i bez żadnego ostrzeżenia światła pogasły. Zostały tylko przyćmione światełka bezpieczeństwa ciągnące się wzdłuż podłóg. W bibliotece zrobiło się cicho. Dawes wyjęła termos. Przygotowała tę samą burzę w czajniczku, jaką posłużyli się w Muzeum Peabody'ego, żeby zakłócić działanie systemów alarmowych, ale dłużej ją parzyła i załatwiła lepiej izolowany pojemnik.

- Szybko - powiedziała. - Nie wiem, jak długo to wytrzyma.

Umieścili Mercy na dziedzińcu, a Alex i Dawes pomogły jej założyć zbroję z soli - rękawice, karwasze i hełm, który był zdecydowanie za duży na jej głowę. Miała nawet solny miecz. To wszystko prezentowało się niezwykle imponująco, jednak Alex zastanawiała się, czy powstrzymałoby takiego potwora jak Linus Reiter. Kiedy Mercy wyjęła flakonik eliksiru Hirma z kieszeni, Alex chciała wytrącić go z jej dłoni. Jednak czas na ostrzeżenia i troski minął. Mercy dokonała wyboru, a oni jej potrzebowali, potrzebowali strażnika. Alex patrzyła, jak Mercy wyjmuje korek, wypija zawartość, zaciska powieki, jakby przetykała lekarstwo. Zadygotała i zakaszła, a potem zamrugowała i się roześmiała.

Przynajmniej pierwsza dawka jej nie zabiła.

Kiedy Mercy została ulokowana koło misy z tykającym metronomem ustawionym na ziemi, stłoczyli się przy biurku ochrony przed biblioteką, sprawdzili, czy Rose Walk nie idą żadni studenci, i wykradli się na zewnątrz.

- Szybko - powiedziała Dawes, kiedy jedno po drugim zrobili sobie nacięcia na rękach.

- Powinniśmy rozciąć wnętrza dłoni - odezwał się Tripp. - Tak jak w filmach.

- Nikt w filmach nie dostaje zakażenia - warknął Turner. - A poza tym ja potrzebuję obu rąk.

Alex nie zdawała sobie sprawy, że Turner ma kaburę i broń pod marynarką.

- Wątpię, żeby to przydało się do czegoś w piekle.

– Nie zaszkodzi – odparł.

Dawes wyjęła z kieszeni małą buteleczkę, wylała trochę oleju na kiuk. Pomazała każdemu czoło. To musiał być bieluń.

– Jesteśmy gotowi? – spytała.

– Do diabła, pewnie! – powiedział Tripp.

– Nie podnoś głosu – warknął Turner, chociaż Alex doceniała entuzjazm Trippa.

Dawes wzięła głęboki wdech.

– Zaczynamy.

Wszyscy dotknęli palcami krwi wzbierającej w rozcięciach.

– Najpierw żołnierz – powiedziała Dawes.

Alex pomazała krwią wszystkie cztery kolumny znaczące wejście. Potem zrobiła to Dawes, nakładając swoją krew na ślad Alex, później Turner i na końcu Tripp.

Spojrzał na smugę ich zmieszanej krwi i odsunął się o krok.

– Skąd będziemy wiedzieć, czy...

Trippowi przerwał dźwięk podobny do westchnienia, ruch powietrza, jakby ktoś otworzył na oścież okno.

Ciężkie drzwi pod egipskim skrybą zniknęły, zostawiając jedynie ciemność. Nie było widać bibliotecznej nawy w głębi, żadnego śladu światła czy życia. Jakby patrzyli w pustkę. Zimny wiatr zerwał się z jękiem.

– Rety – powiedziała Dawes.

Oszołomieni stali w milczeniu, a Alex zdała sobie sprawę, że mimo całej gadaniny i przygotowań żadne z nich tak naprawdę nie wierzyło, że to zadziała. Mimo wszystkich cudów i zgrozy, jakie widziała w czasie spędzonym na Yale, nie była w stanie uwierzyć w ścieżkę wiodącą do podziemnego świata, ukrytą tuż pod ich nosami. Czy jakaś inna grupa głupców stała kiedyś drżąca i przestraszona na tym progu przebudzonym przez ich krew, na krawędzi tej samej przepaści? Dawes twierdziła, że nigdy nie posłużono się Womitorium, jednak Alex

znowu zadała sobie pytanie: jeśli tak rzeczywiście było, to po co w ogóle je wybudowano?

– Alex idzie pierwsza, zgadza się? – zapytał Tripp z drzeniem w głosie.

Jej odwaga skurczyła się na widok pustki, ale nie było czasu na wątpliwości. Słyszała ludzi idących ulicą. „Przyjdź po mnie, Stern”, powiedział. „Proszę”.

Alex dotknęła porcelanowego puzderka w kieszeni i weszła przez drzwi.

Nic się nie wydarzyło. Stała w przestronnej nawie Biblioteki Sterlinga. Nie wyglądało to inaczej niż wcześniej.

Dawes wpadła na nią i obie odsunęły się chwiejnie, kiedy do środka weszli Turner i Tripp.

– Nie kumam – powiedział Tripp.

– Musimy przejść ścieżkę – odpowiedziała Dawes. – To był dopiero początek.

Ruszyli gęsiego nawą w stronę fresku z Alma Mater: żołnierz, uczony, kapłan i książe spowici w mrok. Dziwna parada szurająca stopami. Skręcili w prawo przy fresku i zaznaczyli łuki pod Drzewem Wiedzy swoją krwią. Znowu korytarz za łukiem jakby się rozpląnął, jakby rzeczywistość przepadła i zostawiła ziejącą pustkę. Znowu Alex wzięła głęboki wdech, jak nurek przed skokiem w toń, i zrobiła krok.

Minęli po prawej szklane drzwi, przez które przejdzie Alex, ale jeszcze nie w tej chwili. Żołnierz miał zamknąć okrażenie. Ruszyli korytarzem, mijając Śmierć zerkającą ponad ramieniem studenta, i weszli do holu z drzeworytami Josta Ammana. Nad nimi Alex ledwie widziała czarne, żelazne sylwetki trytonów z rozdwojonymi ogonami, w połowie mężczyzn, w połowie potworów.

Rozcięcie na jej ręku zaczęło się zamykać, więc musiała je ścisnąć, żeby krew znowu popłynęła. Jedno po drugim namaścili wejście obok kamiennego pająka pod inskrypcją z motto Yale. Światło i Prawda. To brzmiało jak żart, kiedy drzwi zniknęły i pojawiła się płaska czerni.

- To twoja stacja - szepnęła Dawes. Pierwsze słowa, jakie wymówiła, odkąd weszli do biblioteki.

Tripp zaciskał zęby. Zaciskał pięści. Alex zauważyła, że trochę się trzęsie. Prawie spodziewała się, że obróci się na pięcie i wymaszeruje z biblioteki. Zamiast tego skinał głową.

Alex uściśnęła mu ramię. Łatwo było nie brać Trippa poważnie, ale stawiał czoło takiej samej bezkształtnej zgrozie co pozostali i ani razu się nie poskarżył.

- Do zobaczenia po drugiej stronie.

Ruszyli znowu, przeszli kolejny wąski korytarz, który doprowadził ich do biura uniwersyteckiego bibliotekarza. Tu było jeszcze ciemniej, ściany napierały na nich. Biuro wydawało się nie tyle puste, ile nagle porzucone - krzesło za biurkiem stało krzywo, na blacie piętrzyły się papiery w niechlujnych stosach.

Drzwi niczym się nie wyróżniały, ale po ich drugiej stronie widniały dwa witraże z rycerzami pełniącymi wartę i wielki, kamienny zegar słoneczny.

Znowu rozcięli ręce i namaścili futrynę krwią, gotowi tym razem na pojawienie się ciemności i lodowaty wiatr, który z niej wypadł.

- Zachowaj zimną krew - powiedział Turner i zajął swoje stanowisko.

Sekretne drzwi znajdowały się dokładnie za nimi, obok wielkiego, kamiennego kominka ze zrzędlivym napisem po łacinie, ledwie widoczne, jeśli się nie wiedziało, gdzie szukać szpary ukrytej w boazerii. Alex i Dawes przeszły nimi w kolejny ciemny, maleńki hol, który nie miał właściwie prawdziwego przeznaczenia - no, chyba że chciało się obejść dziedziniec.

Weszły do Linonia and Brothers Room, po drugiej stronie sali niż nisza, w której się chowali. Tutaj znowu miało się wrażenie, że to miejsce zostało porzucone, brak ludzi był wręcz odczuwalny.

W końcu stanęły przy oryginalnym wejściu na dziedziniec z nazwiskiem Selina wypisanym złotymi literami nad kamiennym nadpro-

żem.

Alex nie chciała zostawiać tu Dawes. Nie chciała zostać sama w tym ciemnym budynku podobnym do katedry.

- Wszystkie nisze są puste - powiedziała Dawes.

- Tak? - spytała kompletnie zagubiona Alex.

Dawes trzymała w ręku srebrny stroik, mówiła cicho, ale spokojnie.

- W całej bibliotece rozmieszczono puste przestrzenie, kamienne ramy, w których powinny znajdować się rzeźby świętych, tak jak w katedrze, ale wszystkie są puste.

- Dlaczego?

- Nikt tak naprawdę nie wie. Niektórzy myślą, że skończyły się pieniądze. Inni, że architekt chciał, by budynek wyglądał jak ograbiony. Jakby wykradziono z niego wszystkie skarby.

- A co ty myślisz? - zapytała Alex.

Wyczuwała, że wkraczają na niepewny teren, że ta historia, te słowa są potrzebne Dawes, żeby mogła iść dalej.

- Nie wiem - odpowiedziała w końcu Dawes. - Wszyscy mamy w sobie puste miejsca.

- Sprowadzimy go z powrotem, Dawes. Wyjdziemy z tego cało.

- Wierzę ci. Przynajmniej w pierwszą część. - Wzięła głęboki wdech i wyprostowała ramiona. - Będę czuć.

Alex rozsmarowała swoją krew przy wejściu. Po niej to samo zrobiła Dawes. Tym razem wielkie dwuskrzydłowe drzwi wyglądały, jakby załamały się pod własnym ciężarem, złożyły się jak papier, kiedy wiatr przewalił się przez nie z hukiem. Był teraz głośniejszy, wył, jakby coś, co jest po drugiej stronie ciemności, wiedziało o ich nadejściu.

- Spójrz - powiedziała Dawes.

Napis nad drzwiami zmienił się w inny język.

- Co tam jest napisane? - zapytała Alex.

- Nie wiem. Nawet nie rozpoznaję alfabetu.

Alex zmusiła stopy do ruchu, ale wiedziała, że będzie coraz trudniej. Zawsze tak jest.

- Bądź gotowa - powiedziała do Dawes, a potem wyszła z czytelnicy i znowu ruszyła nawą.

Żołnierz. Ten, który musi przejść samotnie. Alma Mater patrzyła na nią życzliwie otoczona przez artystów i uczonych, obok Prawdy, nagiej w swojej alegorii.

Dopiero kiedy Alex znalazła się dokładnie przed freskiem, zdała sobie sprawę, co się zmieniło. Teraz wszyscy na nią patrzyli. Rzeźbiarz, mnich, Prawda z lustrem, Światło z pochodnią. Patrzyli na nią, a ludzkie rysy, jakimi obdarzył ich artysta, nie wyglądały już na całkiem ludzkie. Twarze przypominały maski, wyglądające przez nie oczy za mocno błyszcząły, były zbyt żywe, za bardzo płonęły głodem.

Zmusiła się, żeby iść dalej, opierając się pokusie obejrzenia się przez ramię, jakby któreś z nich mogło oderwać się od ram i podkraść za nią. Minęła Drzewo Wiedzy, zauważając niszę pośrodku. Pusta. Jakim cudem nie zauważyła tego nigdy dotąd?

Wreszcie dotarła do szklanych drzwi, które prowadziły na dziedziniec. Tafla żółtego i niebieskiego szkła znaczyła wejście. Sprawdziła ten witraż. Daniel w jaskini lwa.

- Idziemy po ciebie, Darlington - szepnęła.

Słyszała ciche tykanie metronomu.

Raz jeszcze dotknęła porcelanowego puzderka w kieszeni. „Od początku cię wołałem”. Umazała kciuk swoją krwią i przesunęła nim po drzwiach.

Zniknęły. Alex wpatrywała się w bezgwiazdną pustkę, czuła jej zimno, słyszała przybierający na sile wiatr, a potem ciche, słodkie brzmienie niskiego c. „Chodź, chodź”. Weszła na dziedziniec.

Kiedy tylko jej but uderzył w kamienną ścieżkę, ziemia zadrżała.

- O, cholera - pisał Tripp gdzieś na lewo od Alex.

Teraz już widziała – zwykła noc, Mercy pośrodku dziedzińca, Dawes, Tripp i Turner w pozostałych narożnikach.

Szła, maszerowała w stronę misy zgodnie z rytmem wyznaczanym przez metronom. Każdemu krokowi towarzyszyło małe trzęsienie ziemi. Bum. Bum. Bum. Alex ledwie trzymała się na nogach.

Widziała przed sobą Mercy ze spanikowaną miną, która próbowała się nie przewrócić.

Wszyscy się teraz potykali, kamienie dziedzińca wyginały się pod nimi, ale metronom nie przestał tykać.

Może ziemia po prostu się rozstąpi i ich pochłonie. Może to właśnie miała na myśli Dawes, gdy mówiła o „zanurzeniu”.

– Tak ma być?! – krzyknął Tripp.

– Idź! – wrzasnęła Alex, zataczając się do przodu.

– Misa! – wykrzyknęła Mercy.

Kwadratowa misa przelewała się, woda tryskała obok cherubinów, zbiegała się u podstaw fontanny, płynęła szparami między kamieniami, pełzła ku nim. Alex ogarnęła dziwaczna ulga, że to woda, a nie krew.

Woda uderzyła w jej buty. Była gorąca.

– Śmierdzi – mruknął Tripp.

– Siarka – powiedział Turner.

To tylko rzeka, powiedziała sobie Alex, chociaż nie wiedziała która. Wszystkie pogranicza były wyznaczone przez rzeki, miejsca, do których świat śmiertelnych przenikał i które można było przejść do zaświatów.

Szli z chlupotem, poziom wody podnosił się, a oni nadal szli, nadal równo. Kiedy dotarli do fontanny, stanęli, wpatrując się w siebie. Woda gotowała się i bulgotała, przelewając się z misy. Cherubiny siedziały w narożnikach kwadratowego basenu, wpatrując się w jego środek, chociaż ich wzrok nie padał na nic konkretnego. Może po prostu pełniły straż, czekając, aż drzwi się otworzą.

Dawes zagryzła dolną wargę, jej pierś unosiła się i opadała w krótkich, płytkich oddechach. Tripp kiwał głową, jakby słyszał tajemną muzykę, budującą piosenkę z którejś składanki *Jock Jams*. Twarz Turnera była surowa, zaciskał usta w pełną determinacji linię. On jedyny miał doświadczenie z podobnymi sytuacjami. Pewnie wyważył parę drzwi w swoim życiu, nie wiedząc, co może czekać po drugiej stronie. Chociaż to nie było do końca to samo, prawda?

Byli pielgrzymami. Byli kosmonautami. Równie dobrze można uznać ich za martwych.

– Na trzy – powiedziała łamiącym się głosem Dawes.

Odliczyli razem, ich głosy były ledwie słyszalne z powodu szumu wody.

Jeden.

Wiatr przybrał nagle na sile, ten sam zimny podmuch, jaki czuli w ciemności. Teraz potrząsnął drzewami na dziedzińcu i oknami we framugach.

Dwa.

Światło jakby wyciekało spod kamieni pod ich stopami. Dawes wyrwał się słaby okrzyk. Kiedy Alex spojrzała w dół, nie widziała płyt ani trawy. Patrzyła w wodę, która schodziła coraz niżej i niżej.

Dawes rzuciła rozpaczliwe spojrzenie Mercy i podała jej srebrny stroik.

– Strzeż nas – poprosiła.

– Uciekaj, jeśli będzie trzeba – powiedziała Alex.

Trzy.

Spojrzeli sobie w oczy i złapali się brzegów misy.

Zstąpienie

Alex nie pamiętała spadania, ale nagle leżała na plecach w wodzie i szybko się zanurzała. Rzeka zamykała się nad nią. Alex próbowała przepchnąć się ku powierzchni, ale coś złapało ją za nadgarstek, czyjaś ręka objęła ją w pasie. Alex krzyknęła, woda wpłynęła jej do ust. Palce wpychały się między jej wargi, próbowały wbić się w oczodoły, szarpały skórę na rękach i nogach; ich dotyk był zimny i bezlitosny.

Pogrzebana żywcem. Nie tak to miało wyglądać. To miało przypominać spadanie, latanie. Próbowała krzyknąć do Dawes, do Mercy, do Turnera, ale palce wpychały się do jej gardła i szarpał nią odruch wymiotny. Były w jej uszach, wpychały się między nogi.

A jeśli Dawes i pozostali nadal byli na górze? Na samą tę myśl ogarnęło ją nowe przerażenie. Ona rzuciła się w piekło, ale co będzie, jeżeli oni zostali na dziedzińcu? Albo szybowali do jakiegoś lepszego świata, podczas gdy ona, samotna, zostanie rozdarta na strzępy? Ponieważ to ona stanowiła problem. Jedyne prawdziwy grzesznik w tej grupie. Co takiego zrobił Turner? Zabił złego gościa, wypełniając obowiązki policjanta, i to nadal dręczyło jego sumienie harcerzyka? Dawes zabiła Blake'a, żeby uratować Alex życie. Roztrzępany Tripp bez wątpienia wpakował się w coś, z czym sobie nie poradził.

Jednakże Alex była prawdziwą zabójczynią. Załatwiła kijem baseballowym Lena, Ariela i całą resztę i nigdy nie straciła nawet minuty snu z powodu tego, co zrobiła. Coś po drugiej stronie czekało, żeby ją zagarnąć. Czekalo od dawna, a teraz ją złapało i już nie puści. Te ręce były głodne. Czuła, jak ten głód ciągnie ją przez miasto do Black Elm. Powiedziała sobie, że dlatego, że jest specjalna, jest Wędrowcem Koła,

ale może prawdziwym powodem, dla którego mogła przejść przez krąg ochronny, było to, że nie należała do świata śmiertelnych, przestrzegających prawo obywateli. Nigdy nie została ukarana za swoje zbrodnie, nigdy nie poczuła wyrzutów sumienia i teraz została ciśnięta prosto na sąd ostateczny.

Palce przeciskały się przez nią na wylot, haki wbijały się w skórę i kości. Próbowwała nabrać powietrza. Było gorące i cuchnęło siarką. Nic jej to nie obchodziło. Znowu mogła oddychać. Woda zniknęła. Palce nie zatykały jej gardła. Otwarcie oczu sprawiało ból, ale kiedy to zrobiła, zobaczyła czarną noc, spadające gwiazdy, deszcz ognia. Spadała? Leciała? Pędziła ku czemuś czy tonęła w ciemności? Nie wiedziała. Pot spływał jej po karku, żar promieniował zewsząd, jakby gotowała się we własnej skórze.

Uderzyła mocno o ziemię, zderzenie było nagłe. Z piersi wyrwał jej się krótki, zduszony szloch.

* * *

Spróbowała usiąść. Powoli zaczęła widzieć kształty wynurzające się z ciemności... klatka schodowa, wysoki sufit. Położyła rękę na podłodze, próbując się podnieść, i poczuła coś ciepłego i wijącego się. Wzdrygnęła się, ale kiedy spojrzała w dół, nie zobaczyła tam niczego, po prostu dywan, znajomy wzór, wypolerowane deski, kasetonowy sufit nad głową. Gdzie się znajdowała? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Bolała ją głowa. Poszła otworzyć drzwi i Alex krzyknęła na nią, kazała jej się zatrzymać. Nie, to nie tak.

Pam próbowała zmusić nogi do pracy. Dotknęła palcami potylicy, obolałego miejsca, gdzie czuła puls, i zaraz cofnęła palce, sycząc z bólu. Dlaczego nie mogła zebrać myśli?

Miała zamówić pizzę. Może powinna sama coś ugotować. Alex szła na górę pod prysznic. Były w żałobie. Obie. Przypomniała sobie dziekana Sandowa wypowiadającego te potworne, ostateczne słowa: „Nikt

nie będzie tu mile widziany”. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie chciała płakać. Nie chciała, żeby Alex zastała ją płaczącą i dopiero wtedy naprawdę zrozumiała, gdzie się znajduje: u podnóża schodów w Il Bastone. Wokół niej wałały się odłamki szkła. Znowu dotknęła tyłu głowy, tym razem gotowa na ból.

Ktoś uderzył nią o ścianę, gdy otworzyła drzwi. Wypadek. Była niezręczna. Weszła komuś pod nogi. Niewłaściwe miejsce w niewłaściwym czasie. Ale czy nie zamknęła drzwi na klucz? Dlaczego nadal były otwarte? Gdzie się podziewała Alex?

Rozbrzmiewała muzyka. Piosenka The Smith, którą znała. Słyszała głosy w domu, kroki; ktoś biegł. Zmusiła się do wstania, nie zważając na falę mdłości, która zalała jej usta śliną.

Pam usłyszała na zewnątrz domu wycie i powódź włochatych ciał wpadła przez frontowe drzwi. Szakale. Widziała je dotąd tylko raz, kiedy wezwał je Darlington. Skuliła się pod ścianą, a one przebiegły obok niej, mnóstwo futra i kłapiących zębów, dziki zwierzęcy zapach kurzu, gnoju i przetłuszczonej sierści buchał z nich chmurą.

– Alex?! – zawołała.

Ktoś się włamał, przepchnął się obok niej.

Alex nic się nie stało, prawda? To była tego typu dziewczyna, która zawsze wychodzi cało z opresji. „Dziewczyna, która dużo przeszła”, powiedział raz Darlington z podziwem w głosie. „Wymaga oszlifowania, ale przekonamy się, czy wydobyliśmy diament, prawda, Pam?”.

Pam zrobiła, co w jej mocy, żeby się uśmiechnąć. Nigdy nie lubiła frazy „nieoszlifowany diament”. Znaczyła, że trzeba człowieka ciąć raz za razem, żeby wpuścić światło.

Nie była pewna, czy chciała, żeby Alex zawiodła. Poczwała pewną pociechę, gdy ich nowy Dante przybył i Pam pierwszy raz zobaczyła wychudzoną dziewczynę o rękach jak patyki i pustych oczach. W niczym nie przypominała wyrobionych, wytwornych dziewcząt, które pojawiały się wcześniej. W pierwszym odruchu Pam chciała ją nakarmić. Ale tak, jak karmi się bezpiecznie zwierzę – ostrożnie,

łagodnie i nigdy z ręki. Darlington najwyraźniej nie zrozumiał, że Alex jest niebezpieczna. Chociaż nigdy o nic Dawes nie prosiła. Nigdy nie wydawała rozkazów ani nie stawiała żądań. Sprzątała po sobie i prze-mykała jak szczur, który się boi, że zauważą go koty. Nie było żadnych „Mogłabyś mi wyświadczyć wielką przysługę i upichcić coś, żebym mogła zaskoczyć swoje koleżanki z pokoju?”. Żadnych „Mogę dorzucić kilka rzeczy do prania?”.

Pam czuła się niespokojna, beużyteczna i wdzięczna zarazem. Darlington narzekał na dziewczynę, ale po tamtej nocy, kiedy poszli do Biblioteki Beinecke, wszystko się zmieniło. Wrócili i wytlukli połowę zastawy, spili się okrutnie i Pam musiała założyć słuchawki na uszy, włączyć Fleetwood Mac i robić, co w jej mocy, żeby ich ignorować. Znalazła ich następnego ranka nieprzytomnych w salonie, ale musiała docenić fakt, że Alex została i sprzątała razem z Darlingtonem.

A potem on zaginął i Dawes nie była w stanie wybaczyć tej dziewczynie, która szarżowała przez świat jak niezamierzony skutek, katastrofa dla wszystkich i wszystkiego wokół niej.

„Muszę się ruszyć”, powiedziała sobie. „Coś się dzieje, coś niedobrego”. Ogarnęło ją przyprawiające o mdłość uczucie, jakie miała, gdy jej rodzice się kłócili. Atmosfera w domu wydawała się niewłaściwa. „Już dobrze”, króliczku, mawiała jej matka, otulając ją do snu. „Wszystko jest dobrze”.

Przez sekundę Pam myślała, że może ma halucynacje albo zaraz zemdleje, ale nie, światła naprawdę migotały. Usłyszała, jak naczynia spadają w kuchni, a potem z góry dobiegł krzyk.

Alex, pomyślała.

Pam złapała się poręczy i powlekała się schodami. Strach sprawiał, że stopy miała ciężkie. Codziennie bała się, że powie coś niewłaściwego, że zada niewłaściwe pytanie, że się ośmieszy. Stojąc w kolejce i szukając drobnych, czuła, że się czerwieni, serce jej biło jak szalone, gdy myślała o stojących za nią zniecierpliwionych ludziach. Tyle

wystarczało, żeby zalać jej ciało przerażeniem. Powinna przywyknąć do strachu. Ale, Boże, nie chciała wejść po tych schodach. Usłyszała głosy mężczyzn, a potem głos Alex. Sprawiała wrażenie wściekłej i przestraszonej. Alex nigdy nie mówiła jak przestraszona.

Nagle szakale przebiegły obok niej, skomląc i skowycząc, prawie ją przewróciły. Dlaczego wybiegały? Dlaczego w ogóle tu przybiegły? Dlaczego czuła się jak ktoś obcy w domu, w którym spędziła lata?

Wreszcie doszła do podestu na półpiętrze, ale nie mogła zrozumieć, co właściwie widzi. Wszędzie była krew. Piżmowy smród zwierząt wisiał gęstą chmurą w powietrzu. Dziekan garbił się pod ścianą, kość udowa wychodziła mu z nogi – nagły wykrzyknik w poszukiwaniu zdania. Dawes zrobiło się niedobrze. Co to znaczyło? Co tu się stało? Takie rzeczy nie wydarzały się w Il Bastone. To niedozwolone.

Alex leżała na plecach na podłodze, a na niej siedział chłopiec. Prześliczny, anioł o złotych lokach i najpiękniejszej twarzy, jaką Pam w życiu widziała. Płakał, dygotał. Wyglądali jak kochankowie. Wsunął ręce we włosy Alex, jakby chciał ją pocałować.

Pam też miała coś w rękach, coś o ciepłym i miękkim futrze, coś żywego. Nie. To była tylko rzeźba, zimna i martwa, popiersie Hiram Bingham III. Trzymali je na stojaku na łaski przy wejściu. Nie pamiętała, kiedy ją wzięła, ale wiedziała, co ma z nią zrobić.

Uderz go.

Nie mogła.

Mogła wezwać policję. Mogła uciec. Jednakże kamień ciążył jej w rękach. Nie potrafiła nikogo skrzywdzić, nawet kogoś tak okropnego jak Blake Keely, nawet po tym, jaką zrobił jej krzywdę. Blake wpełznął się do domu i zostawił ją krwawiącą na podłodze. Zranił dziekana. Zamierzał zabić Alex.

Uderz go.

Była małą dziewczynką na placu zabaw – za wysoką, z dużymi piersiami, zupełnie niewłaściwie zbudowaną. Ubrania na nią nie pasowały. Potykała się o własne stopy. Kuliła się na przystanku autobusowym.

wym, starając się nie reagować, kiedy chłopcy ze szkoły średniej przejechali, krzycząc „Pokaż nam cycki!”. Wybierała tylne rzędy w każdej klasie i garbiła się w kącie. Bała się. Bała się. Całe życie się bała.

Nie mogę.

Nie została stworzona tak, jak Alex czy Darlington. Była uczoną. Była królikiem, płochliwym i bezbronnym, bez pazurów i kłów. Mogła tylko uciekać. Ale dokąd miałaby uciec, kiedy przepadli Darlington, dziekan, Alex? Kim będzie, jeśli nie zareaguje?

Stała nad nimi, patrząc na chłopca i Alex. Widziała ich z ogromnej wysokości i sama była teraz aniołem, może opadającą harpią z mieczem w ręce. Uniosła popiersie i spuściła je na głowę pięknego chłopca. Rozległ się wilgotny, cichy trzask, jakby miał głowę zrobioną z papier mâché. Nie chciała uderzyć go tak mocno. Prawda? Mały króliczku, coś ty zrobił? Patrzyła, jak chłopak pada na bok. Nogi się pod nią ugięły. Płakała. Nic na to nie mogła poradzić. Nie była pewna, czy płacze z powodu Blake’a, Darlingtona, Alex, czy samej siebie. Zgięła się wpool i zwymiotowała. Dlaczego pokój nie chce przestać się kręcić?

Pam uniosła głowę, poczuła chłodne powietrze na policzkach, morską bryzę. Podłoga kołysała się w tył i przód, statek unoszący się na falach. Chwyliła się lin.

* * *

– Postaraj się nadażać, Tripp.

Burza nie powinna sprawić problemu. Sprawdzili pogodę. Tak jak zawsze. Temperaturę, ciśnienie. Przewidywaną prędkość wiatru.

Jednakże za każdym razem, gdy wypływał na łodzi, Trippa ogarniała nagle panika. Wszystko było w porządku, kiedy płynął tylko z ojcem albo pozostałymi kuzynami, ale kiedy dołączał do nich Spencer, działo się coś dziwnego. Jakby jego mózg przestawał robić to, co mu kazano.

Miał wrażenie, że jego stopy i dłonie stają się większe. Był powolniejszy. Nagle musiał pomyśleć, naprawdę się stanowiąc, gdzie jest lewa, a gdzie prawa strona, gdzie jest bakburta, a gdzie sterburta, i to było po prostu idiotyczne. Żegłował przecież od dziecka.

Po prostu Spencer we wszystkim był taki dobry. Jeździł konno i na quadach. Ściągał się na rowerach i samochodami. Potrafił strzelać i zarabiał na życie, sam się utrzymywał i zawsze miał przy sobie piękną dziewczynę. Piękną kobietę. Wszystkie były znakomite i jedwabiste i Tripp czuł się przy nich jak dzieciak, chociaż to on studiował na Yale, a Spencer był raptem kilka lat starszy.

Tripp nawet nie rozumiał, dlaczego to Spencer dostawał ster. Obaj ścigali się na żaglówkach, podobnie jak jego ojciec, ale Spencer po prostu wchodził w tę rolę z szerokim, śnieżnobiałym uśmiechem. Po części wynikało to z tego, jak wyglądał. Ostre rysy, szczupła sylwetka. Nie miał dziecinnej buźki Helmuthów. Miał prawdziwą męską szczękę i wyglądał jak ktoś, z kim nie chcesz zadzierać.

Spencer zawsze zwracał się do ojca Trippa „kapitanie”. „To przyjemność znaleźć się na pokładzie, kapitanie, łódź sunie jak marzenie”. Później obejmował Trippa za szyję i piał: „Tripp, stary!”, po czym pochylał się i dodawał szeptem: „Jak leci, zasrany gnojku?”

Kiedy Tripp sztywniał, Spencer tylko się śmiał i dodawał:

– Postaraj się nadażać.

I tak mijał dzień. „Łap tę linę! Daj to na wyciągarke! Latawiec gotowy? Dajże spokój, Tripp, postaraj się nadażać!”

Burza, która nadeszła, nie była wielka. Nie była straszna. A przynajmniej nikt inny tak nie uważał. Tripp wyciągnął kamizelkę ratunkową, wsunął cienki materiał przez głowę, zapiął się w pasie, stojąc na zejściówce. Ledwie zauważył, że ma ją na sobie – nie napełni się powietrzem, dopóki nie zetknie się z wodą, więc o co tyle krzyku?

Jednakże kiedy tylko Spencer go zobaczył, wybuchnął śmiechem:

– Co jest z tobą, kurwa? To zwykły deszcz, durniu!

Ojciec Trippa uniósł twarz ku niebu i roześmiał się, wiatr targał mu włosy:

– To dopiero pogoda!

Tripp nie mógł tego znieść. Szarość wzbierała jak zgarbione ramiona wielkiego zwierzęcia, szturchając łódź, bawiąc się nią. Naprawdę można było poczuć morze pod sobą, jakie jest ogromne, jak mało się przejmuje. Poczuć, że może złamać maszt, rozerwać kadłub, utopić ich wszystkich jednym ruchem. Mógł tylko trzymać się mocno – jedna ręka dla siebie, druga dla łodzi – tak mówiła zasada (tak samo jak mówiła, że trzeba włożyć kamizelkę ratunkową) – i zmusić się do uśmiechu, modlić się, żeby nie zwymiotował, bo nigdy nie przestaną mu tego wytykać.

Spencer nie dał się zwieść.

– Narobiłeś w gacie, co, leszczu? – powiedział z szerokim uśmiechem. – Postaraj się nadażać.

Tripp miał ochotę wrzasnąć, żeby się od niego odpierdolił i zostawił go w spokoju, ale to by tylko pogorszyło sytuację. „Nie masz poczucia humoru, co, Tripp? Jezu!”

Mógł tylko udawać, że też dobrze się bawi, że kocha Spencera tak jak wszyscy inni, że to świetna zabawa. To było żalosne bać się małej burzy albo swojego głupiego, pewnego siebie kuzyna. Tyle że miał wszelkie powody, by bać się obu. Burza przynajmniej była burzą. Nie zamierzała go skrzywdzić. Spencer to co innego.

Kiedy Tripp miał osiem lat, cała rodzina zebrała się w ich rodzinnym domu z okazji jego urodzin. Spencer już wtedy był dupkiem, ale Tripp miał go tego dnia w nosie. To były jego urodziny, a to oznaczało jego przyjaciół, nową konsolę PlayStation i lody, który on lubił, chociaż Spencer odepchnął swoją miskę z ciastkami i lodami, warcząc: „Nie cierpię tego gówna”.

Tripp zjadł tort, otworzył swoje prezenty i bawił się w basenie, aż jego przyjaciele wrócili do domu i została sama rodzina. Miał poparzenia słoneczne. Wiedział, że wieczorem zrobią grilla. Czuł się rozle-

niwiony i szczęśliwy. A kiedy pomyślał o tym, że na drugi dzień nie ma szkoły, że nadal ma resztę weekendu na leniuchowanie, poczuł się, jakby z każdym wdechem nabierał hausty słońca.

Pływał sobie na płytkim krańcu basenu z nową fajką do nurkowania, a kiedy się wynurzył, zobaczył Spencera stojącego na brzegu basenu w długich szortach. Blond włosy z rozjaśnionymi od słońca pasmami opadały mu na oczy, więc Tripp nie widział wyrazu jego twarzy. Rozejrzał się po podwórzu. Nauczył się, że Spencer lubi mu przyłożyć, kiedy nikogo nie ma w pobliżu. Tata Trippa i jego młodszy brat rozciągali właśnie siatkę do gry w siatkówkę po drugiej stronie trawnika. Matka i pozostali kuzyni musieli pójść już do domu.

- Co jest? - pisał, już idąc w stronę schodów.

Niestety Spencer był szybszy. Zawsze był szybszy. Wpadł do wody prawie bez plusku i uderzył Trippa głową w pierś, odpychając go do tyłu.

- Dobrze się dziś bawiłeś? - zapytał Spencer.

- Pewnie - odpowiedział Tripp, nie bardzo wiedząc, dlaczego nagle zaczął się tak bardzo bać. Powstrzymywał płacz. Nie było sensu płakać.

- Potrzebujesz urodzinowego przytopienia. Dwadzieścia sekund pod wodą. To nic takiego. Nawet dla takiego wypierdka jak ty.

- Właśnie szedłem do domu.

- Serio? - powiedział z niedowierzaniem Spencer. - Stary, a ja już myślałem, że będziesz wporzo gość. A ty mi mówisz, że nie wytrzymasz paru sekund pod wodą?

Tripp wiedział, że to pułapka, ale... A jeśli nie? A jeśli zrobi tę jedną rzecz i wreszcie zaczną się ze Spencerem dogadywać, zostaną przyjaciółmi, tak jak Spencer przyjaźnił się ze wszystkimi? „Myślałem, że jesteś wporzo gość”. Tripp mógł być wporzo.

- Mam tylko zanurzyć głowę pod wodę na dwadzieścia sekund?

- Jasne, ale jeśli to za dużo dla wypierdka...

Nie utopi mnie, pomyślał Tripp. To dupek i będzie mnie trzymał pod wodą przez długą chwilę, ale nie spróbuje mnie naprawdę zabić. Będzie chciał mnie nastraszyć, ale ja mu nie pozwolę.

Trippowi bardzo się spodobał ten pomysł.

– W porządku – odpowiedział. – Całe dwadzieścia sekund. Mierz czas.

I zanurzył głowę.

Natychmiast poczuł ręce Spencera na ramionach. Wiedział, że Spencer chce, żeby zaczął się szarpać, ale nie zamierzał tego robić. Będzie nieruchomy, wstrzyma oddech, zachowa spokój. Odliczał sekundy w myślach, powoli. Wiedział, że Spencer będzie go trzymał dłużej, i na to też był przygotowany.

Spencer wepchnął go głębiej i oparł stopę na jego piersi. „Nie panikuj, nie ruszaj się”, mówił sobie Tripp. Drugą stopą nacisnął brzuch Trippa, próbując wypchnąć mu z piersi powietrze, i Tripp trochę go wypuścił, bąbelki uciekły ku powierzchni. Prawa stopa Spencera przesunęła się, a Tripp zrozumiał, co się dzieje, na kilka sekund przed tym, jak poczuł piętę Spencera wgniatającą mu się w krocze, palce stopy wbijające się w jądra.

Teraz Tripp wił się przyszpilony do dna basenu, próbując zepchnąć Spencera. Wiedział, że Spencer świetnie się bawi, i nienawidził siebie za to, że zareagował, nienawidził tego, jak dostaje gęsiej skórki, czując jego stopę i te wścibskie palce. Jego umysł nie chciał już słuchać. Piers go bolała. Bał się. Dlaczego pomyślał, że da sobie radę? Puści mnie, musi mnie puścić. Spencer był podły, ale nie był psychopata. Nie był zabójcą. Był po prostu dupkiem.

Tylko co tak naprawdę Tripp wiedział na temat tego, jak daleko Spencer może się posunąć? Spencer lubił rozrabiać. Dołożył chili w proszku do jedzenia ich psa i śmiał się do łez, kiedy psina skamlala i wyła. Raz, kiedy Tripp był naprawdę mały, Spencer nie dopuszczał go do łazienki, uderzając nim o ścianę raz zarazem i krzycząc „Flipper,

flipper!”, aż Tripp się zmoczył. Może więc Spencer był naprawdę zły, tak jak źli bohaterowie w książkach i filmach.

Będzie się śmiał, rozkoszował tym, jak Tripp się szarpie.

Co za durny sposób, żeby umrzeć, pomyślał Tripp i poddał się, otworzył usta i woda zalała mu gardło, chlor gryzł go w nos. Opanowała go całkowita zgroza, gdy szarpał łydki Spencera, a świat pociemniał.

Następna rzecz, jaką ujrzał, to opalona twarz ojca. Tripp kaszał i nie mógł przestać, ból w płucach był jak żar i zaciskanie, jakby cała pierś mu się paliła i ten płomień go wydrażył.

– Oddycha! – krzyknął ojciec.

Tripp leżał na trawie, w górze było niebieskie niebo z idealnymi obłoczkami jak z kreskówki. Matka zaciskała w pięści przyciśnięte do ust dłonie, łzy płynęły jej po policzkach. Kuzyni stali nad nim, jego wuj, ojciec Spencera i sam Spencer też – mrużąc oczy.

Tripp próbował go wskazać, wypowiedzieć słowa, kiedy ojciec go posadził. „Spencer zrobił to specjalnie”. Niestety za bardzo kaszłał.

– Już dobrze, synu – mówił ojciec. – Już wszystko jest dobrze. Oddychaj. Spokojnie.

Próbował mnie zabić.

Jednakże Spencer nie spuszczał z niego zimnego spojrzenia i Tripp czuł się, jakby nadal leżał przyszpilony do dna basenu. Spencer nie był taki jak on, jak ktokolwiek z nich. Do czego był zdolny?

I jakby w odpowiedzi Spencer wybuchnął płaczem:

– Myślałem, że się wygłupia – powiedział, przelykając łzy. – Nie wiedziałem, że się topi.

– Ej – powiedział ojciec Trippa, zaciskając rękę na jego ramieniu. – To był wypadek. Cieszę się, że go wyciągnąłeś.

Ktoś musiał zajrzeć do basenu, a Spencer zareagował szybko, udając, że ratuje Trippa. I kto pomyślałby, że było inaczej? Kto wyobraziłby sobie coś takiego?

– Powinniśmy zabrać go do szpitala? – zapytała matka Trippa.

Spencer ledwie widocznie pokręcił głową.

Wszyscy wpatrywali się w Trippa, martwili się o niego. Tylko matka Spencer'a stała z dala od kręgu i przyglądała się synowi. W jej oczach malowała się troska. A może strach? Ona wie, czym on jest, pomyślał Tripp.

– Nic mi nie jest – wychrypiął Tripp i usta Spencer'a drgnęły w uśmiešku, który ukrył pod kolejnym szlochem.

Nic się potem nie zmieniło, ale Tripp uważał, żeby nigdy więcej nie zostać ze Spencerem sam na sam.

Nawet jako ósmolatek Tripp wiedział, że nie jest równie bystry, czarujący czy przystojny jak Spencer. Wiedział, że gdyby wytknął go palcem tamtego dnia, powiedział prawdę, nikt by mu nie uwierzył. Powiedzieliby, że źle go zrozumiał. Uznaliby, że może to z Trippem jest coś nie tak, skoro przyszło mu do głowy coś takiego. To on wyszedłby na potwora. Może więc jednak coś zmieniło się tego dnia, coś w Trippie, bo teraz wiedział, że Spencer zawsze wygra, a co gorsza, wiedział dlaczego. Spencer zawsze wygra, bo wszyscy bardziej go lubią. Nawet rodzica Trippa. To było aż tak proste. To zrozumienie ciążyło mu na piersi, ulokowało się na sercu i pozostało już z nim na długo po tym, jak płuca przestały go boleć i minął kaszel. Ten ciężar sprawił, że stał się lękliwy, niezręczny i dlatego dziesięć lat później na żaglówce podczas niewielkiego sztormu Tripp jako jedyny widział, jak Spencer wpadł do morza.

To wydarzyło się tak szybko. Spencer lubił podkradać się do Trippa, zaskakiwać go, żeby coś wypuścił z ręki albo żeby wbić mu łokieć w bok. Dlatego Tripp zawsze starał się wiedzieć, gdzie jest Spencer. Patrzył, kiedy Spencer szedł przez pokład i pochylił się pod bomem. Jego ciało zniknęło za żaglem, widać było tylko nogi i przez sekundę Tripp nie wiedział, co tamten robi. Wszyscy inni byli skupieni na swoich zadaniach, na przepłynięciu przez burzę. Tripp zerknął na ojca, który teraz stał przy sterze i wpatrywał się w horyzont.

Tripp widział, jak Spencer pochyła się nad relingiem, żeby złapać linę, która ześlizgnęła się z pokładu i ciągnęła się po wodzie. Niedobrze – taka ciągnąca się lina może zostać zassana pod łódź i narobić kłopotów przy sterze albo kilu, ale Spencer powinien był zawołać kogoś do pomocy. Zamiast tego zwiesił się przez reling, wyciągając obie ręce. Tripp zdążył pomyśleć: „Jedna ręka dla siebie, druga dla łodzi”, kiedy uderzyła fala, szara ściana wody, łapa kota szturchająca zabawkę, i Spencer przepadł.

Tripp stał jak zmrożony przez ułamek sekundy. Otworzył usta, żeby krzyknąć i... nie krzyknął. Rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że pozostali są zajęci swoimi zadaniami, pokrzykują do siebie, napięci, ale zachwyceni wiatrem i ulewą.

Bez pośpiechu, spokojnym krokiem Tripp poszedł tą samą drogą co Spencer, schylił się pod bomem, wyprostował i stał się niewidoczny dla innych tak jak wcześniej Spencer. Widział Spencera w szarych falach, jego czerwona wiatrówka była jak flaga ostrzegawcza, głowa pojawiała się i znikwała. Spencer też go zobaczył. Tripp był tego pewien. Uniósł rękę, machał rozpaczliwie, krzyczał, ale wiatr porwał jego słowa. Tripp był dość blisko, żeby widzieć, jak tamten otwiera usta, ale nie wiedział, czy słyszał krzyk Spencera, czy może to sobie wyobrażał.

Wiedział, że liczy się każda sekunda, że dystans między łodzią a Spencerem rośnie z każdą chwilą. Reling pod jego dłonią wił się jak ciepłe ciało porośnięte miękkim futrem. Tripp wzdrygnął się, cofnął rękę do piersi, ale nie zobaczył niczego poza zimnym metalem.

Nadal miał czas, żeby postąpić, jak należy. Wiedział, co się robi, gdy człowiek jest za burtą. Znał procedurę. Jego zadaniem było nie odrywać oczu od Spencera, krzyknąć o pomoc, trzymać się jedną ręką relingu, a drugą wskazać lokalizację. Zbyt łatwo można stracić z oczu człowieka między grzbietami i dolinami fal. Załoga wykona zwrot. Rzuca linę i wyciągną Spencera z wody, a Spencer go pchnie i zapyta ostro, dlaczego nie zareagował szybciej, co jest, kurwa, z nim nie tak.

Ojciec też będzie się zastanawiał. Spencer nie będzie przestraszony, tylko wściekły. Bo Spencer zawsze wygrywał.

Teraz był już ledwie widoczny. W kamizelce ratunkowej nie utonąłby. Gdyby ją włożył. Tripp zmrużył oczy, żeby wypatrzeć czerwoną wiatrówkę w wodzie.

Złapał się relingu jedną ręką i usiadł dla bezpieczeństwa, tak jak go uczono. A potem sięgnął po linę, która wypadła za burtę – tę, po którą sięgał Spencer.

Tripp zerknął po raz ostatni przez ramię na szare morze, na słózione ochocze fale, które tylko szukały okazji.

– Postaraj się nadażyć – szepnął i zaczął wyciągać linę.

Zwinął ją schludnie. Czuł, że lina z łatwością przesuwa się w jego rękach, jego ciało poruszało się pewnie i z nową gracją, węzły były jak piosenka, którą znał od zawsze.

Poczuł, że wreszcie spada mu ciężar z serca. Deszcz obryzgiwał mu policzki, ale on się nie bał.

To tylko brzydka pogoda. Morze się uspokoiło. Stał na pewnym gruncie.

* * *

– To tylko deszcz – powiedział Carmichael. – Boisz się, że się rozpuścisz, cukiereczku?

Turner zmusił się do śmiechu, bo Carmichael uważał się za zabawnego i, do diabła, czasem był.

Dzień był chłodny, ulice śliskie i czarne jak wilgotna skóra węgorza obwarowana zaspami brudnego śniegu tającego w deszczu. To nawet nie był prawdziwy deszcz, tylko sącząca się mżawka, przez którą Turner miał rozpaczliwą ochotę na gorący prysznic. Gdyby paskudne poranki na Wschodnim Wybrzeżu miały wzięcie, New Haven zawojowałoby świat.

Carmichael garbił się obok niego w pogniecionym garniturze z Men's Wearhouse, wybijając palcami rytm z „We Will Rock You”, jak zawsze, gdy nachodziła go chęćka na papierosa. Jego żona, Andrea, zażądała, by rzucił palenie, i Car robił, co było w jego mocy.

– Nawet mnie nie pocałuje, dopóki nie będę przez miesiąc wolny od dymu – narzekał Car, wkładając pasek gumy do ust. – Mówi, że to ohydny nawyk.

Turner zgadzał się z tym i miał ochotę wysłać Andrei bukiet za to, że zmusiła go do rzucenia palenia. Wątpił, żeby kiedykolwiek zdołał pozbyć się smrodu papierosów z siedzeń. Mógł nie zgodzić się na palenie pierwszego dnia, kiedy zabrał Carmichaela spod jego schludnego żółtego domu z trawniczkiem. Po prostu nie miał dość ikry.

Chris Carmichael był żywą legendą. Pracował w policji od dwudziestu pięciu lat, został detektywem, mając trzydziestkę, a jego wskaźnik zamkniętych spraw był tak wysoki, że mundurowi nazywali go Bibliotekarzem, bo większość spraw odsyłał na półkę. Carmichael się nie opieprzał. Taki mentor jak on oznaczał najważniejsze sprawy, awans, może nawet oficjalną pochwałę. Car i jego kupłe zabierali Turnera na drinka, odkąd zapracował na miejsce w oddziale, i pewnego przydługiego wieczoru z whisky i z beczaniem kiepskiego zespołu grającego przeboje Journey w tle Carmichael zacisnął rękę na ramieniu Turnera i pochylając się, zapytał: „Ty jesteś z tych porządnym?”.

Turner nie zapytał, o co mu chodzi, nie powiedział, żeby wynosił się z tym chrzaniem pod inny adres. Uśmiechnął się i odpowiedział:

– Jak najbardziej, szefie.

Carmichael, Duży Car, roześmiał się, ujął głowę Turnera w mięsistą łapę i powiedział:

– Tak właśnie myślałem. Trzymaj się mnie, młody.

To był przyjazny gest; Carmichael dał wszystkim do zrozumienia, że Turner uzyskał jego aprobatę i jest pod jego ochroną. To było dobre i Turner powiedział sobie, że jest zadowolony. Miał jednak niemiłe

uczucie, że świat się rozdziwił, że w jakiejś równoległej rzeczywistości Duży Car położył rękę na jego głowie i pchnął go na tył policyjnego wozu.

Tego ranka podjechał po Carmichaela i pojechali po kawę do Dunkin' Donuts. To znaczy Turner po nie poszedł. Był młodszym detektywem, a to oznaczało odwalanie niechcianej roboty w paskudną pogodę. Zawsze nosił przy sobie parasol i Carmichael zawsze się z tego śmiał.

- To tylko deszcz, Turner.

- A to jest garnitur z jedwabiu, Car.

- Przypomnij mi, żebyś przedstawił cię mojemu krawcowi. Obniż twoje standardy.

Turner uśmiechnął się i poszedł pośpiesznie do sklepu z pączkami, wziął dwie czarne i dwie kanapki.

- Dokąd jedziemy? - zapytał, gdy wrócił z kawą.

Carmichael poprawił się na siedzeniu, żeby ulokować się wygodnie. Był bokserem w młodości i nadal nikt nie chciałby znaleźć się po niewłaściwej stronie jego prawego sierpowego, ale szerokie ramiona miał teraz lekko przygarbione i nad paskiem zwisał mu brzuch.

- Dostałem cynk, że King Tut mógł zaszyć się w bliźniaku przy Orchard Street.

- Jaja sobie robisz? - zapytał Turner, gdy serce zaczęło mu bić jak szalone.

To wyjaśnialoby, dlaczego Car był taki nerwowy tego ranka. Badali sprawę serii włamań z kradzieżą w okolicy Wooster Square i raz za razem kończyli z pustymi rękami. Walili głową w mur, dopóki jeden z informatorów Carmichaela nie wskazał im Delana Tuttle'a, drobnego oszusta, który wyszedł z więzienia Osborn raptem kilka tygodni przed tym, jak zaczęły się włamania. Pasował do kradzieży, ale nie zastali go pod adresem, który podał swojemu kuratorowi sądowemu, i wszystkie ślady, na jakie trafili, donikąd ich nie doprowadziły.

Teraz przynajmniej Turner mógł się trochę rozluźnić. Carmichael włączył w nim wszystkie dzwonki alarmowe tego ranka – oczy za bardzo mu błyszczały, był zbyt nakręcony. W pierwszej chwili Turner pomyślał, że jest na prochach. Takie rzeczy się zdarzały – nigdy w wypadku Carmichaela, rzadko w wypadku detektywów, ale kiedy człowiek pracuje jedna zmiana za drugą w patrolówce, to bywa, że wciągnie trochę adderallu, albo kokainy, jeśli ją dorwie, żeby nie lunatykować podczas dwunastej godziny pracy.

Turner był czysty, rzecz jasna. Miał dostatecznie pod górkę w tej robocie, żeby nie chciał martwić się jeszcze badaniami moczu. Nigdy nie miał kłopotu z tym, żeby być przytomnym w pracy. Jego ojciec najlepiej to ujął: „Gdy nabierzesz nawyku rozglądania się, to nigdy tego nie stracisz”. Eamon Turner naprawiał sprzęt AGD i drobną elektronikę. Umarł przed rzędem używanych sprzętów stereo i odtwarzaczy DVD, i to nie z rąk jednego z tych dzieciaków, które od czasu do czasu wpadały do warsztatu w nadziei, że znajdą telewizor z płaskim ekranem albo jakiś inny ukryty skarb, ale z powodu ataku serca, który załatwił go bezgłośnie. Interesy kulały już od dłuższego czasu i ciało ojca znaleziono dopiero późnym popołudniem, kiedy Naomi Laschen przyszła odebrać swój stareńki opiekacz. Turner powiedział sobie, że to nie najgorsza śmierć, ale dręczyła go myśl, że ojciec umierał samotnie w pomieszczeniu pełnym niepotrzebnego sprzętu; zużył się tak samo jak wszystkie te przedmioty.

Teraz Turner wyjechał z piskiem opon z parkingu i skierował się w stronę Kensington Street.

– Jak chcesz to załatwić?

Car ugryzł duży kęs kanapki.

– Pojedźmy na Elm Street, mińmy warsztat samochodowy. Zorientujemy się w terenie. – Rzucił Turnerowi spojrzenie i uśmiechnął się szeroko z tłuszczem na podbródku. – Twoja mała chmurka burzowa zrobiła sobie dzisiaj wolne?

– Jasne, jasne – odpowiedział ze śmiechem Turner.

Turner był humorzasty. Od zawsze. Musiał się pilnować. Jeśli ludzie za często wychwytywali jego zły nastrój, to zaczynali go unikać, kończyły się zaproszenia na piwo. A to znaczyło, że nikt go nie wciągnie do ekipy, kiedy będzie potrzebował dodatkowego człowieka. Już to mogło wystarczyć, żeby zamordować własną karierę. Dlatego Turner starał się uśmiechać, rozluźniać ramiona, ułatwiać życie ludziom wokół siebie. Dzisiaj jednak obudził się z uczuciem ciężaru, z tym mrowieniem z tyłu głowy, przeczuciem, że szykuje się coś złego. Gówniana pogoda i słaba kawa nie pomogły.

Turner od dziecka wyczuwał nadchodzące kłopoty. Potrafił wyprzeć tajniaka, nawet się nie starając. Zawsze wiedział, kiedy radiowóz wyjedzie zza rogu. Kumple uważali, że to upierne, ale ojciec powiedział mu, że to znaczy, że jest urodzonym detektywem. Turnerowi spodobała się ta myśl. Nie był szczególnie dobry w sportach, sztuce czy w szkole, ale wyczuwał ludzi i wiedział, do czego mogą być zdolni. Wiedział, kiedy ktoś choruje, jakby potrafił to wywęszyć. Wiedział, kiedy ktoś kłamie, chociaż czasem nie wiedział, jak się zorientować. Po prostu czuł to mrowienie z tyłu głowy, które kazało mu uważać. Nauczył się słuchać tego uczucia. Przekonał się, że jeśli się uśmiecha i chowa najmroczniejszą cząstkę serca, to ludzie chętnie z nim rozmawiają. Potrafił sprawić, że matka, brat i kumple, a nawet nauczyciele, mówili mu nieco więcej, niż zamierzali.

Turner potrafił też spodziewać się wyrazu zawstydzenia na ich twarzach, kiedy zdawali sobie sprawę, ile powiedzieli. Nauczył się więc nie okazywać za wiele współczucia ani zainteresowania. Dzięki temu ludzie wmawiali sobie, że nie powiedzieli niczego naprawdę godnego zażenowania. Nie czuli się słabi i mali, nie mieli powodu go unikać. Nawet nie podejrzewali, że Turner zapamięta każde słówko.

W policji nazywali go Czarusiem; uznali, że to jego wygląd działa tak na świadków i informatorów. Nigdy jednak nie zrozumieli, że czar, który sprawia, że przestępca opowiada o swojej matce, o swoim psie i o numerze wykręconym w ramach przysługi dla kumpla, który wła-

śnie wyszedł z pierdła, to ten sam czar, który sprawia, że kumple z pracy nawijają Turnerowi o swoim życiu i kłopotach przy kieliszku w Geronimo.

Mrowienie pojawiało się zwykle, nim zadzwonił telefon ze złą wiadomością, zanim ktoś zapukał do drzwi. Jednakże odkąd zaczął pracę w policji, Turner był stale czujny, jakby w każdej chwili mogło stać się coś złego. Nie potrafił odróżnić tej paranoi od prawdziwego niepokoju.

– Ze wszystkich rzeczy na świecie – powiedziała jego matka, kiedy poinformowała ją, że wstąpił do akademii. – Po co prosić się o stałe kłopoty?

Chciała, żeby został prawnikiem, lekarzem, do diabła, nawet przedsiębiorcą pogrzebowym. Wszystkim, byle nie policjantem. Kumple go wyśmiali. On jednak zawsze trzymał się na uboczu, zawsze był tym grzecznym chłopakiem, dyżurnym w szkole.

– Nadzorca – powiedział mu raz brat. – Mów, co chcesz, ale lubisz odznakę i broń.

Turner nie uważał, że to prawda. Przez większość czasu. Wiele mówił o zmianie systemu od wewnątrz, że wstąpił do policji po to, żeby ją naprawić, i mówił szczerze. Kochał swoją rodzinę, kochał swoich ludzi. Mógł być ich mieczem i obrońcą. Potrzebował wierzyć, że może. W akademii wierchuszka cieszyła się z jego obecności, bo poprawiał im statystyki. Było tam dostatecznie dużo czarnych i brązowych twarzy i każdy zachowywał się najlepiej, jak potrafił. Kiedy Turner włożył mundur, nie wyglądało to już tak ładnie. A potem to wszystko sprowadziło się do „my kontra oni” i uczucia zgrozy za każdym razem, kiedy przekraczał niewidzialną linię między pracą a własną dzielnicą. Odkąd został detektywem, było jeszcze gorzej – nieustanne złe przeczucie, które nigdy się nie potwierdziło, ale któremu życie też nigdy nie zaprzeczyło.

I rzeczywiście wydarzyło się mnóstwo złych rzeczy, ale Turner postanowił sobie, że nie da się zniechęcić. To długa rozgrywka, powta-

rzał sobie, kiedy kawały w pracy zaczynały się robić naprawdę nieprzyjemne. Musiał przetrzymać zły okres, żeby zrobić wielką karierę, żeby wejść na szczyt góry, skąd rzeczywiście mógłby dopilnować zrobienia tego, co trzeba zrobić, gdzie miałby dość władzy, żeby coś zmienić. Wiedział, że może stać się legendą taką jak Duży Car, większą nawet niż Duży Car. Musiał tylko wytrzymać. Wkładali mu gówno do butów, a on wkładał w nie nogę i łaził po szatni, udając, że niczego nie zauważył, rozśmieszając ich. Kazali prostytutce podkasać kieckę i włożyć sobie pałkę policyjną na masce jego samochodu, a on śmiał się i dopingował ją, udając, że to mu się podoba. Będzie grał tak długo, aż oni się zmęczą. Taką umowę zawarł sam ze sobą.

Wszystko to się opłaciło, kiedy partner Carmichaela przeszedł na emeryturę i Turner zajął jego miejscówkę. To była robota Dużego Cara. Turner chciał wierzyć, że został wybrany, bo zachowuje się w pracy jak porządny kumpel albo jest naprawdę świetnym detektywem. A może dlatego, że Car szanuje jego ambicję. To wszystko mogło być prawdą, ale wiedział też, że Carmichael chce, żeby widziano go, jak kumpluje się z czarnym. Carmichael się starzał, zbliżała się emerytura, a jego akta nie były nieskazitelne. Był tam budzący wątpliwości strzał – dzieciak był uzbrojony, ale był dzieciakiem, a paru podejrzanych złożyło skargi, że potraktował ich brutalnie. Wszystko to przeszłość, ale takie rzeczy mogły cię ugryźć w tyłek, jeśli nie uważałeś. Turner był przykrywką. Nie ma sprawy. Jeśli bycie partnerem Carmichaela mogło mu pomóc wspiąć się po drabinie, to z radością zostanie dla niego brązową tarczą.

Kiedy zatrzymali się kilka przecznic od bliźniaka, Turner się skrzywił.

– Jesteśmy pewni tego cynku? – zapytał.

– Myślisz, że mój informator ze mną pogrywa?

Turner skinął głową w stronę zniszczonego budynku, poprzewracanych kubłów na śmieci na błotnistym podwórzu od frontu, śniegu

na podjeździe, stosów reklamówek przesyłanych pocztą na frontowej werandzie.

- To wygląda na podpuchę.

- Kurwa - zaklął Carmichael.

Czasem informatorzy dawali cynk gliniarzom, kiedy potrzebowali pozbyć się dzikich lokatorów z budynku. Zdecydowanie wyglądało to tak, jakby w bliźniaku nikt nie mieszkał. A przynajmniej nikt, kto płaciłby za wynajem.

Deszcz zamienił się w mgiełkę, kiedy siedzieli w samochodzie z włączonym silnikiem i się grzali.

- Chodź - powiedział Carmichael. - Przekonajmy się, co zobaczymy. Podjedź od tyłu.

Kiedy już zaparkowali na ulicy za Orchard Street, Car dźwignął swoje cielsko z siedzenia pasażera.

- Ja zapukam. Ty zostań na tyłach, na wypadek gdyby próbował uciekać.

Turner prawie się roześmiał. Może King Tut siedział tam z ukrytymi laptopami i biżuterią z włamań przy Wooster Square, a może parę nastolatków koczowało na materacu, popalało trawkę i czytało komiksy. Kiedy jednak Duży Car zapuka do drzwi, będą wiać i wtedy zadaniem Turnera będzie dopaść tych, którzy zbiegną schodami. Car nie zamierzał narobić sobie wstydu, biegnąc ulicami New Haven.

Turner patrzył, jak Carmichael zakradł się zaułkiem obok domu, a sam zajął miejscówkę przy schodach na tyłach. Zerknął do środka przez brudne okno na parterze - pusty korytarz, żadnych mebli z wyjątkiem dywanu, który pamiętał lepsze czasy, i kolejnego stosu poczty przy szparze na listy w drzwiach.

Minutę później zobaczył cień Cara we frontowym oknie i usłyszał głośny łomot do drzwi. Pauza. Ze środka nie dobiegał żaden hałas. I znowu łomot.

- Otwierać, policja! - ryknął Car.

Nic. Żadnego szurania stóp, okna uchylającego się na piętrze.

Potem Car kopnął w drzwi.

– Policja! – ryknął raz jeszcze.

Turner wpatrywał się w Cara przez okno. Co on, u diabła, wyprawiał? Nie zostali tu wezwani przez właściciela. Nie mieli powodu, żeby pakować się do środka.

Car dał znać Turnerowi, żeby wchodził.

– Pieprzyć to – zaklął Turner.

Co mieli innego do roboty tego ranka? King Tut był ich jedynym tropem, a nikt nie będzie robił Dużemu Carowi kłopotów z powody nielegalnego przeszukania. Turner wyciągnął broń, cofnął się kilka kroków, a potem uderzył w drzwi ramieniem. Poczul, jak ustępują.

Zanim zdążył choćby zapytać Cara, co wyprawiają, tamten położył palec na ustach i wskazał schody.

– Ktoś tam jest. Słyszałem.

– Co słyszałeś? – szepnął Turner.

– Może to był kot. Może dziewczyna. A może nic.

Mrowienie rozlało się po karku Turnera. To nie było „nic”.

– Sprawdź parter – powiedział Car. – Ja idę na górę.

Turner zrobił, co mu kazano, ale niewiele miał miejsc do sprawdzenia. Salon z poplamionym materacem i stosem brudnych ubrań, pusta kuchnia, w której niemal każda szafka była otwarta, jakby ktoś ją przeszukiwał. Dwie puste sypialnie, łazienka z podłogą gnijącą w miejscu, gdzie najwyraźniej pękła rura.

– Czysto! – krzyknął. – Idę na górę!

Zdążył postawić jedną stopę na pierwszym stopniu, kiedy usłyszał krzyk Cara. Rozległ się jeden strzał, potem drugi.

Turner wbiegł po schodach z wyciągniętą bronią. Poczul, że wierci się w jego ręce, zerknął na nią, ale zobaczył tylko twardy czarny cień służbowej broni.

Strach mącił mu w głowie. Nie bał się o siebie. Bał się tego, co może zrobić, kogo może skrzywdzić; głos brata rozległ się w jego głowie: „Lubisz odznakę i broń”. Turner zawsze powtarzał tę samą modlitwę: „Boże, proszę, niech to nie będzie dzieciak. Niech to nie będzie jeden z naszych”.

– Carmichael?! – zawołał.

Nie było odpowiedzi. Żadnego dźwięku. Rozkład pomieszczeń na piętrze był taki sam jak na parterze.

Turner włączył radio:

– Detektyw Abel Turner. Jestem przy Orchard, numer 372. Słyszałem strzały, wzywam wsparcie i pogotowie.

Nie czekał na odpowiedź, tylko sprawdził pierwszą sypialnię, łazienkę. Wszedł do drugiej i zobaczył ciało na podłodze.

To nie był Carmichael. Jego umysł potrzebował chwili, żeby zrozumieć. Na podłodze leżał mężczyzna, chłopiec tak naprawdę nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Miał dziurę w piersi, druga dziura widniała w podłodze obok niego. Stał nad nim Carmichael.

Turner rozpoznał Delana Tuttle’a z akt. King Tut. Leżał w kałuży krwi na podłodze.

– Cholera – powiedział Turner, klękając obok ciała. – Dostałeś? – zapytał, bo to właśnie powinien powiedzieć.

Wiedział jednak, że Car nie oberwał, tak samo jak wiedział, że dzieciak nie miał broni. Rozejrzał się po pokoju w nadziei, że broń się tam zmaterializuje.

– Wezwałem pogotowie – powiedział Carmichael.

To już coś. Tyle że karetka na nic się już nie zda Tuttle’owi. Chłopak nie miał pulsu. Nie oddychał. Nie miał broni.

– Co się stało? – zapytał Turner.

– Wziął mnie przez zaskoczenie. Coś trzymał w ręce.

– W porządku – powiedział Turner, ale wcale się tak nie czuł.

Serce waliło mu w piersi. Ciało nadal było ciepłe. Tuttle oberwał praktycznie w sam środek piersi, jakby stał nieruchomo. Miał na sobie T-shirt, dzinsy. Powinien być zimny, pomyślał Turner. Tu nie było ogrzewania. Żadnych mebli. Śnieg padał raptem dwa dni temu. W pokoju było pusto – żadnych starych papierosów, opakowań po jedzeniu, nawet koca. Nie było śladu tego, żeby ktokolwiek tu pomieszkiwał.

Przyszedł tu na spotkanie. Może z Carmichaelem.

– Nie mamy dużo czasu – powiedział Car. Był spokojny, ale Car zawsze był spokojny. – Ustalmy wspólną wersję wydarzeń.

Co tu było do ustalania? I gdzie podział się tajemniczy przedmiot, który rzekomo Tuttle miał trzymać w ręce?

– Masz – powiedział Car.

Trzymał białego królika za kark. Zwierzę wierciło się w jego ręce, przebierało drobnymi łapkami w powietrzu i wytrzeszczało oczy tak bardzo, że było mu widać białka. Turner widział, jak serce bije mu szaleńczo w pokrytej futerkiem piersi.

Zamrugął i zobaczył, że Car podsuwa mu broń.

– Wytrzyj.

Turner powinien być poważny, ale złapał się na tym, że nerwowy uśmiech wypływa mu na twarz.

– Nie możesz mówić poważnie.

– Karetka zaraz tu będzie. Ludzie z wewnętrznego i reszta. Prze-
stań się opieprzać, Turner.

Turner popatrzył na broń w ręce Carmichaela.

– Skąd ją masz?

– Znalazłem na miejscu przestępstwa jakiś czas temu. Nazwij to ubezpieczeniem.

Ubezpieczenie. Broń, którą mogli podłożyć Tuttle'owi.

– Nie musimy...

– Turner... – przerwał mu Carmichael. – Wiesz, że jestem porządnym policjantem i jak niewiele mi brakuje do końca. Musisz mnie tam doprowadzić. Dzieciak wyciągnął broń. Ja strzeliłem ze swojej. To wszystko. Dobry czysty strzał.

Dobry. Czysty.

Niestety wszystko w tej scenie wyglądało źle. Nie tylko strzał. Nie tylko ciało stygnące na podłodze za nim.

– Co on tu robił, Car?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Dostałem cynk, więc go sprawdziłem.

Tyle że to się nie trzymało kupy. Dlaczego tygodniami uganiaли się za wiatrem w polu w sprawie, która powinna być rutynowym śledztwem dotyczącym serii włamań? Gdzie się podziewał towar, który Tuttle miał rzekomo zgarnąć? Dlaczego Tuttle nie uciekł, kiedy usłyszał Carmichaela dobijającego się do drzwi? Bo się go spodziewał. Ponieważ Carmichael go wystawił.

– Miałeś się tu z nim spotkać. On cię znał.

– Nie wymądrzaj się, Turner.

Turner pomyślał o nowym tarasie, który Carmichael dobudował do domu zeszłego lata. Siadywali tam, urządzali grilla, popijali piwo, rozmawiali o karierze Turnera. Car powiedział, że jego szwagier jest budowlańcem i załatwił mu niezłą cenę. Turner wiedział, że Carmichael kłamie, ale to go nie gryzło. Większość policjantów, którzy pracowali dostatecznie długo, dorabiała na boku, ale to nie znaczyło, że się sprzedawali. Już wcześniej zauważył, że żona Cara ubiera się lepiej niż powinna żona detektywa. Turner znał się na metkach, lubił ładne garnitury, a kobiety, z którymi się umawiał, doceniały fakt, że mówi w tym języku. Potrafił odróżnić oryginalną torebkę Chanel od podróbki, a żona Cara nosiła oryginał.

Kombinował, ale nie był skorumpowany. A może jednak Turner się mylił?

W oddali zawyła syrena. Została im minuta, może dwie.

– Turner – powiedział Carmichael. Patrzył spokojnie. – Wiesz, jaki masz wybór. Jeśli ja polecę, to ty razem ze mną. Jeśli pojawią się pytania na mój temat, ktoś zacznie pytać i o ciebie. – Wyciągnął broń. – To załatwia sprawę dla nas obu. Jesteś za dobry, żeby załatwił cię mój błąd.

W tej kwestii miał rację. Turner złapał się na tym, że sięga po broń, już ją widział w swojej ręce.

– A jeśli odmówię? – zapytał, kiedy broń znalazła się poza zasięgiem Cara. – A jeżeli powiem, że nic w aktach Tuttle'a nie wskazuje na to, żeby poradził sobie z serią włamań z kradzieżą bez niczyjej pomocy?

– Zapędzasz się, Turner.

Rzeczywiście się zapędził. Nie wiedział, czy Car brał udział w kradzieżach. Może wziął trochę gotówki albo jeden laptop, żeby odwrócić wzrok. Jednakże mrowienie podpowiadało Turnerowi, że się nie myli. To nie był wypadek. To było ukartowane. A King Tut odgrywał w tym wszystkim tylko małą rolę.

Carmichael wzruszył ramionami.

– Twoje odciski są na tej broni. Twoje słowo przeciwko mojemu. Masz przed sobą świetlaną przyszłość. Wiedziałem to od naszego pierwszego spotkania. Ale nie dasz rady wykonywać tej roboty w pojedynkę. Potrzebujesz przyjaciół, ludzi, którym możesz zaufać. Czy ja mogę zaufać tobie?

Mrowienie na czaszce zamieniło się w ogień. Jeśli był zamieszany we włamanie Tuttle'a, to czemu nie pozbył się go po cichu? Po co wciągać Turnera jako świadka strzelaniny?

I wtedy Turner zrozumiał. Car nie wybrał go na przykrywkę tylko z powodu jego czarnej skóry. Wybrał go, bo Turner był ambitny, tak się palił, żeby zająć wysoko, że można było go pchnąć we właściwym kierunku. Można go było wykorzystać. Ciało Tuttle'a pozwalało Carmichaelowi zwerbować Turnera. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Kiedy już Turner wytrze broń i położy palec Tuttle'a na cynglu, kiedy powtórzy kłamstwa Carmichaela, będzie należał do Dużego Cara.

- To pułapka. Wrobiłeś mnie.

Carmichael był prawie pod wrażeniem.

- Dbam o ciebie, młody. Jak zawsze. Nie ma tu wielkiej decyzji do podjęcia. Zrób to, co mądre, a szybko zaczniesz się wspinać, zostaniesz moim następcą. Nic nie stanie ci na drodze. Albo możesz spróbować zgrywać bohatera i zobaczymy, jak daleko zajdziesz. Mam mnóstwo przyjaciół, Turner. Nie ty jeden poczujesz żar od tego ognia. Pomyśl o swojej mamie, o dziadku, jacy są z ciebie dumni.

Turner próbował zrozumieć, jak mógł wpakować się w tak wielką kupę gówna. Dlaczego nie wyczuł kłopotów zawczasu? A może po prostu stał się zbyt pewny siebie? Czekał na katastrofę od tak dawna, że zaczął przyzwyczajając się do strachu. Tak często uruchamiał się jego alarm, że zaczął go ignorować. A teraz kuczał nad zwłokami i groził mu mężczyzna, który mógł zniszczyć jego karierę jednym wyszeptanym słowem, który nie zawaha się przed skrzywdzeniem kogoś, kogo kocha, ale kto mu się naraził. Był o krok od przekroczenia granicy kraju, którego nie chciał poznać. Stamtąd już nigdy nie odnajdzie drogi powrotnej do domu.

- Nie chcę tego zrobić - powiedział Turner. - Nie... nie jestem przestępcą.

- Ja też nie. Jestem człowiekiem, który postępuje najlepiej, jak się da w trudnej sytuacji, tak samo jak ty. Zły postępek nie oznacza, że ty jesteś zły.

Ale może to oznaczać. Turner nie był na tyle głupi, żeby uwierzyć, że to będzie ostatnia przysługa, ostatnie kłamstwo. To był dopiero początek. Car zawsze będzie miał więcej przyjaciół i lepsze znajomości. Zawsze będzie zagrożeniem dla rodziny Turnera, jego kariery. Jeśli Turner postąpi nieczysto, to zacznie awansować, pod warunkiem, że dochowa sekretów Cara i będzie wypełniał jego rozkazy.

Jeżeli zaś postąpi uczciwie, przekreśli swoją karierę i umieści własną rodzinę na celowniku Carmichaela. Taki miał wybór.

- Ten dzieciak, którego zabiłeś... - powiedział Turner. - To był pechowy strzał, prawda?

- To nie był dzieciak, to był przestępca.

- Czyli znasz reguły gry, nie wpakujesz nas w jakieś gówno zalatujące amatorszczyzną?

- Zadbam o ciebie.

Oto była odpowiedź dla Turnera - jasna i wyraźna. Stał po jednej stronie prawa, a teraz wylądował po drugiej. Ile czasu mu to zajęło? Trzydzieści sekund? Minutę?

- Jesteś jednym z tych porządnych glin - powiedział Car, patrząc życzliwie. - Wykaraskasz się z tego.

- Masz rację - powiedział Turner, stawiając pierwsze kroki, które oddalały go od zasad, które zawsze rozumiał i których zawsze się trzymał. Nie wiedział, czy z tego wyjdzie. Car na pewno nie.

Turner wstał i strzelił w pierś Chrisa Carmichaela dwa razy.

Duży Car nie sprawiał nawet wrażenia zaskoczonego. Jakby wiedział, jakby czekał na to tak samo, jak Turner czekał, aż stanie się coś złego. Nie tyle padł, ile raczej usiadł, a potem zwałił się na bok.

Turner wyczyścił broń, tak jak Car mu kazał. Włożył ją do dłoni Tuttle'a, wystrzelił raz jeszcze, żeby ślady prochu wyglądały chociaż względnie prawdopodobnie, chociaż tyle tego dziadostwa latało po miejscu przestępstwa, że technicy kryminalistyki gówno z tego wyciągną.

Usłyszał wrzask syren, pisk opon, policjantów krzyczących do siebie, kiedy otaczali budynek.

- Przykro mi - szepnął do Delana Tuttle'a. - Uznają go za bohatera.

Nie był w stanie zwalczyć łez, które potem nadeszły. Nie szkodzi, policjanci uznają, że płacze z powodu Dużego Cara, swojego partnera, mentora. Chrisa Carmichaela, legendy.

Będę grał, aż oni znudzą się grą – obiecał to sobie. Był dobrym detektywem i nikt nie wmówi mu niczego innego. Bez względu na to, przez jakie gówno kazał mu przejść, bez względu na to, ile krwi wyla-
duje na jego rękach.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że przecucie, że nadciąga coś złego, minęło. Koniec z mrowieniem. Koniec ze strachem. Zrobili mu już wszystko, co tylko mogli.

Zamknął oczy, policzył do dziesięciu, posłuchał dźwięku kroków na schodach. Syreny przycichły i teraz słyszał własny oddech. Prze-
stało padać.

* * *

Przestała oddychać. Wtedy zorientowała się, że wszystko poszło nie tak, jak trzeba.

Hellie chciała tu zostać, leżeć na boku i patrzeć, jak Alex śpi. Kiedy mężczyźni zasypiali, wydawało się, że uchodzi z nich cała przemoc, wraz z ambicjami, staraniami. Ich twarze stawały się łagodne i miękkie. Jednak nie Alex. Nawet przez sen miała zmarszczkę między brwiami. Zaciskała zęby.

„Występni nie znają wytchnienia”, miała ochotę powiedzieć Hellie, ale słowa umarły, zanim zdołała uformować je w ustach. Wiedziała, że jest o krok od śmiechu, ale czuła się tak, jakby śmiech nie miał się gdzie w niej zakorzenić. Nie było brzucha, w którym mógłby się uwarzyć, nie było płuc, żeby nabrać tchu.

Hellie czuła, jak się rozpada, kiedy już nie miała ciała, żeby się go trzymać. Nie była pewna, kiedy do tego doszło.

Nie dość szybko, pomyślała. Nie dość szybko, żeby oszczędzić jej bólu, jakiego zaznała. Ostatnia noc była kolejną fatalną nocą w całej serii fatalnych nocy. Skądś wiedziała, że wspomnienia zaczną blaknąć, kiedy tylko przestanie kurczowo trzymać się świata. Nie będzie musiała myśleć o Arielu, Lenie, o niczym takim. Wstyd odejdzie, tak

samo smutek. Wystarczyło tylko, żeby odeszła. Bedzie pusta jak przewrócony kielich. Przyciaganiu tej cudownej pustki nie sposób było się oprzeć, tej obietnicy zapomnienia. Zrzuci skórę. Stanie się światłem.

Nie mogła jednak odejść. Jeszcze nie. Musiała raz jeszcze zobaczyć swoją dziewczynę.

Alex otworzyła oczy. Szybko, bez mrugania – nie opuszczała snu łagodnie.

Spojrzała na Hellie i się uśmiechnęła. To było jak patrzenie na rozkwitający kwiat – zniknęła ostrożność, zostawiając po sobie tylko zadowolenie. A Hellie zrozumiała, że popełniła potworny błąd, zostając, czepiając się tego ostatniego pożegnania, ponieważ, dobry Boże, to było potworne. O wiele gorsze od świadomości, że nie żyje. Chciała wierzyć, że nie będzie tęsknić za niczym w jej smutnym, zmarnowanym życiu, ale będzie jej brakować tego, będzie jej brakować Alex. Tęsknota za nią, za jedną więcej chwilą ciepła, za jeszcze jednym oddechem bolała bardziej niż cokolwiek innego w jej życiu.

Alex zmarszczyła nos. Hellie uwielbiała jej słodycz, która nie zgasła mimo nieustannego potopu gówna, jakim było życie z Lenem.

– Dzień dobry, fletuchu.

Hellie jak przez mgłę zdała sobie sprawę, że zwymiotowała w nocy. Może zadławiła się wymiocinami. Nie miała pewności. W jej ciele było tak dużo fentanylu. Potrzebowała tego. Chciała przestać istnieć. Myślała, że poczuje się czysta, ale teraz, gdy już było po wszystkim, ugrzęzła z brzemieniem smutku.

– Spieprzajmy stąd – powiedziała Alex. – Na dobre. Skończmy z tym miejscem.

Hellie skinęła głową, a ból był falą, która tylko narastała, grożąc załamaniem się. Bo Alex mówiła serio. Nadal wierzyła, że musi wydarzyć się coś dobrego, musi przydarzyć się im. I może Hellie też w to wierzyła; oczywiście nie w te wariackie marzenia o lekcjach w college'u i pracy na pół etatu, w których Alex tak lubiła się zatracać. Ale... czy Hellie wierzyła, że nic z tego gówna nie przywrze do niej?

A w każdym razie nie na zawsze? Żadna z tych tragedii nie była tak naprawdę jej tragedią. To były kłopoty, w które wpakowała się po drodze, ale pozbędzie się ich i wróci do prawdziwego ludzkiego życia, do życia, które było jej pisane. To mieszkanie, ci ludzie – Len, Becha, Eitan i Ariel, a nawet Alex – to tylko przerywnik, przystanek.

Jednak nie tak to się ułożyło, co?

Alex wyciągnęła do niej rękę. Jej ręka przeszła na wylot przez Hellie. Teraz już płakała, wołała ją, a Hellie też płakała, ale nie czuła tego tak jak za życia. Nie czuła gorąca na twarzy, oddech jej się nie rwał; to było jak roztopianie się w deszczu. Za każdym razem, gdy Alex próbowała ją złapać, Hellie widziała urywki z jej życia. Biurko w pokoju małej Alex ze starannie porozstawianymi suszonymi kwiatami i spinakami do włosów w kształcie ważek. Siedzenie na parkingu ze starszymi dziećmiakami, podawanie sobie fajki z trawką. Zgniecione skrzydło motyla leżącego na wilgotnym kafelku. Za każdym razem jakby wchodziła ze słońca do zimnego, ciemnego pokoju, jakby wsuwała się pod wodę.

Len wparował do sypialni, a tuż za nim Betcha. Ogarnęła ją czułość na ich widok, teraz, kiedy mogła spojrzeć na nich z dystansu. Brzuch Betchy, który rozciągał mu T-shirt. Trądzik na czole Lena. Wtedy jednak Len złapał Alex i zasłonił jej usta dłonią.

Wszystko toczyło się tak jak zawsze – od złego do jeszcze gorszego. Rozmawiali o tym, co zrobić z jej ciałem, a kiedy Len spoliczkował Alex, Hellie pomyślała: w porządku, dość tego. Dość tego życia. Niczego więcej nie chciała tu oglądać. Nie zostały tu żadne szczęśliwe wspomnienia. Poczwała, że dryfuje, i to nie było miłe, ale okazało się przyjemniejsze od tego, co działo się wcześniej.

Przeniknęła przez ścianę i korytarz do salonu. Zobaczyła na kanapie Ariela w bokserkach. Nie chciała myśleć o nim ani o rzeczach, które jej zrobił. Wstyd wydawał się odległy, należał do kogoś innego. W porządku. To jej odpowiadało.

Na co czekała? Nikt nie ujmie się za nią, nic się nie zmieni. Nie będzie prawdziwego pożegnania, żadnego śladu, że była na tym świecie. Jej rodzice. Boże. Jej rodziców obudzi telefon od policji albo z kostnicy. Zostaną poinformowani, że jej ciało znaleziono w zaułku. Było jej przykro, potwornie przykro, ale wyrzuty sumienia też wkrótce znikną, jakby jedynym, co jej zostało, było wzruszenie ramion.

Len i Betcha siłowali się z drzwiami do mieszkania, Alex płakała, a Ariel coś powiedział. Roześmiał się; to był piskliwy chichot i Hellie miała wrażenie, że coś cisnęło ją z powrotem do własnego ciała, gdy usłyszała ten śmiech – taki sam jak wtedy, kiedy się w nią wpychał. To nie miał być koniec wszystkiego.

Alex wpatrywała się w nią. Nadal widziała Hellie, kiedy nikt inny nie był w stanie. Czy nie tak zawsze było między nimi dwiema?

Tylko czy Hellie kiedykolwiek naprawdę widziała Alex?

Teraz, gdy patrzyła, gdy naprawdę na nią patrzyła, widziała, że Alex nie jest po prostu złotoustą dziewczyną o cieplej skórze i włosach błyszczących jak lustro. Otaczał ją pierścień niebieskiego ognia. Alex była przejściem i poprzez nią Hellie widziała gwiazdy.

Wpuść mnie. Ta myśl przysłała znikąd, zupełnie naturalna. Hellie widzi drzwi, więc chce przez nie przejść.

A Alex ją słyszy. Hellie to wie, bo Alex odpowiada „Zostań”.

Wpuść mnie. Czy to żądanie?

Alex wyciąga rękę.

Hellie jest gotowa. Przelewa się w Alex. Zostaje ochrzczona w niebieskim płomieniu. Smutek przepadł i teraz tylko wie, jak cudownie kij baseballowy ciąży jej w ręce.

Wychodzi na boisko, a dziewczyny z jej drużyny kibicują: „Daj im popalić, Hellie!”. Rodzice siedzą na trybunach i są piękni, błyszczą jak miedz. I są dobrzy. To jest ostatnia chwila, jaką pamięta, zanim wszystko zaczęło się chrzanić, kiedy jeszcze wiedziała, kim jest.

Stoi na boisku w słońcu. Wie, jaka jest silna. Nie ma w niej konsternacji, bólu. Porusza w rękawicy palcami zaciśniętymi na kiju,

sprawdza jego wagę. Miotaczka próbuje spiorunować ją wzrokiem, zastraszyć, a Hellie tylko się śmieje, bo jest aż tak dobra. Bo nikt i nic nie może jej powstrzymać.

- Czy ty kiedykolwiek się denerwujesz? - zapytała ją raz młodsza siostra.

- Nigdy - odpowiedziała Helli. - Czym miałabym się denerwować?

Nie chce umrzeć. Nie tak naprawdę. Po prostu nie chce już niczego czuć, bo wszystko jest złe. Chce znaleźć drogę powrotną do tamtej chwili, do słońca, do tłumów, do marzeń o własnym potencjale. Nie martwi się o college ani o oceny w przyszłości. To jej przyjdzie z łatwością, tak jak zawsze przychodziło.

Przesuwa stopy, bierze zamach na próbę, waży kij w ręce, obserwuje miotaczkę, widzi pot na jej czole i wie, że dziewczyna się boi.

Hellie widzi jak miotaczka przyjmując pozę, wykonuje rzut. Hellie bierze zamach. Trzask pałki, gdy trafia w czaszkę Lena, brzmi idealnie. Wyobraża sobie, że jego głowa przelatuje nad ogrodzeniem. Leci. Leci. I poleciała.

Mogłaby machać kijem przez cały dzień. Bierze kolejny zamach. Tak właśnie się zegnają i dopiero kiedy padają ostatnie słowa, zauważa, że pośrodku pokoju na przesiąkniętym krwią dywanie siedzi królik.

- Królik Przytulik - szepcze Hellie. Bierze go na ręce i widzi czerwone smugi, jakie jej ręce zostawiają na miękkich białych bokach. - Myślałam, że nie żyjesz.

- Wszyscy nie żyjemy.

Przez sekundę Hellie jest przekonana, że to królik do niej mówi, ale kiedy podnosi wzrok, widzi Alex. Stary salon w Strefie Zero przepadł razem z krwią, kawałkami mózgu i połamaną pałką. Alex stoi w sadzie pełnym czarnych drzew. Hellie chce ją ostrzec, żeby nie jadła rosnących tam owoców, ale już unosi się i rozwiewa. Teraz to nawet nie jest wzduszenie ramion. Leci. Leci.

Alex nie była pewna, co się wydarzyło. Miała na rękach coś ciepłego i miękkiego i wiedziała, że to Królik Przytulik. Hellie go... to znaczy ona go podniosła. Gdzie się znajdowała? Było za ciemno, żeby coś widzieć, i nie mogła zrozumieć własnych myśli. Osunęła się na kolana i szarpnął nią odruch wymiotny, raz i drugi, ale zwymiotowała jedynie odrobina żółci. Powróciło do niej mgliste wspomnienie Dawes radzącej pościć.

- Wszystko w porządku - szepnęła do Królika Przytulika.

Tylko że niczego nie miała na rękach. Królik przepadł.

„Nigdy go tu nie było”, powiedziała sobie. „Weź się w garść”.

Mimo to czuła go na rękach, ciepłego i żywego, jego drobne ciało całe i bezpieczne, tak jak powinno być, gdyby zrobiła to, co do niej należało, i od początku go chroniła.

Ziemia pod jej rękami była pokryta wilgotnymi, opadłymi liśćmi. Podniosła wzrok i zdała sobie sprawę, że patrzy poprzez gałęzie drzewa, wielu drzew. Była w jakimś lesie... nie, w sadzie. Konary były czarne i błyszczące, obładowane owocami o bardzo ciemnofioletowej skórcie. Tam, gdzie skóra pękała, było widać błyszczące jak klejnoty czerwone nasiona. Niebo w górze było fioletowe jak paskudny siniak. Słyszała ciche brzęczenie i zdała sobie sprawę, że wśród drzew jest mnóstwo złotych pszczół doglądających czarnych uli wysoko w konarach. To była Hellie, pomyślała. Hellie w śmierci. Hellie na boisku. Żalność tamtej nocy w Strefie Zero przywarła do niej jak zapach dymu. Nigdy się go nie pozbędzie.

Spostrzegła ruch wśród rzędów drzew. Podniosła się chwiejnie.

- Turner! - Natychmiast pożałowała, że go zawołała.

A jeżeli to, co było w sadzie, tylko wyglądało jak Turner?

Chwilę później on, a potem Dawes i wreszcie Tripp wynurzyli się pomiędzy drzew. Nikt nie wyglądał do końca tak, jak powinien. Dawes miała na sobie szaty w kolorze pergaminu, z mankietami zaplamionymi atramentem, a jej rude włosy były zaplecione w grube warkocze i upięte w wyrafinowany sposób. Turner nosił pelerynę z połyskliwych czarnych piór, które błyszczały jak grzbiet żuka. Tripp był w zbroi, ale wyglądającej tak, jakby nigdy nie widziała walki - była emaliowana na biało, z gronostajową peleryną umocowaną do lewego ramienia szmaragdową broszą wielkości pestki brzoskwini. Uczony, kapłan i książe. Alex wyciągnęła ręce. Ona też miała na sobie zbroję, ale zrobioną ze stali, do walki. To była zbroja żołnierza. Powinna być ciężka, ale równie dobrze Alex mogłaby mieć na sobie T-shirt.

- Nie żyjemy? - spytał Tripp, wytrzeszczając oczy tak bardzo, że widać było idealną białą obwódkę wokół jego tęczówek. - Musimy, nie?

Nie do końca na nią patrzył. Nikt na nią nie patrzył. Nie patrzyli sobie w twarze. Każde z nich przeleciało przez życie pozostałych, widząc zbrodnie i występki, jakie popełnili, te duże i te małe.

Nikt nie powinien poznać drugiej osoby w taki sposób, pomyślała Alex. To za wiele.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Turner. - Co to za miejsce?

Dawes miała czerwone oczy i usta spuchnięte od płaczu. Wyciągnęła rękę do jednej z gałęzi, ale się opamiętała.

- Nie wiem. Niektórzy uważają, że Drzewo Wiedzy to była jabłoń rodząca granaty.

Turner uniósł brew.

- To nie przypomina żadnych granatów, jakie widziałem.

- Wyglądają bardzo apetycznie - uznał Tripp.

- Niczego nie jedz - warknęła Dawes.

Tripp się skrzywił.

– Nie jestem głupi. – Jego twarz się zmieniła. Wyglądał jak pochwycony między zachwytem a strachem. – Jasna cholera, Alex, ty...

Dawes zagryzła usta, a Turner jeszcze bardziej zacisnął wargi.

– Alex – szepnęła Dawes. – Ty... ty płoniesz.

Alex spojrzała po sobie. Niebieski płomień pełgał po jej ciele, słaby, migotliwy ogień jak przy kontrolowanym wypalaniu poszycia leśnego. Dotknęła płomienia palcami i zauważyła, że porusza się, jakby chwyciła go w palce. Przypominała sobie ten płomień. Widziała go, kiedy stawiała czoło Belbalm. „Wszystkie światy są dla nas otwarte. O ile mamy dość odwagi, żeby do nich wejść”.

Sięgnęła pod napierśnik i poczuła zimną skorupę firmowego puzderka z fabryki Arlingtonów przyciśniętą do żeber. Chciała tylko położyć się i opłakiwać Hellie, opłakiwać Królika Przytulika. Kuciała nad ciałem nieznanego, kiedy na zewnątrz padał deszcz. Przysiadła przy relingu łodzi, na morzu, które unosiło się i opadało pod nią. Stała na szczycie schodów w Il Bastone, czując ciężar kamienia w rękach i potworną moc decyzji.

Alex złapała mocniej puzderko. Nie zaszła tak daleko po to, żeby opłakiwać błędy przeszłości ani opatrywać stare rany. Zmusiła się, by spojrzeć pozostałym w oczy – Turnerowi, Trippowi, Dawes.

– W porządku – powiedziała. – Poszukajmy Darlingtona.

Świat znowu się przesunął i Alex już przygotowała się na to, że zostanie ciśnięta do czyjejś głowy, do jakiegoś innego potwornego wspomnienia, jakby to była najgorsza pod słońcem lista przebojów. Nie była pasażerem ani obserwatorem. Ona rzeczywiście była Dawes, Trippem, Turnerem i Hellie. Jej Hellie. Która powinna była przeżyć. Jednak tym razem to tylko świat wokół Alex się zmienił i nagle zobaczyła ścieżkę wśród drzew.

Wyszli z sadu na coś, co wyglądało jak rozległe centrum handlowe na świeżym powietrzu, porzucone, a może nigdy nieukończone. Budynek były masywne, niektóre miały łukowate okna, inne kwadra-

towe. Wszystko było nieskazitelnie czyste, a kolor plasował się gdzieś pomiędzy szarością a beżem.

Alex obejrzała się i zobaczyła sad, czarne drzewa szumiące na wietrze, którego nie czuła. Jej uszy nadal wypełniało brzęczenie pszczoł.

Usłyszała czyjeś westchnienie i zdała sobie sprawę, że dobiega z lustra osadzonego w wielkiej eliptycznej misie z gładkiego szarego kamienia. Nie, nie z lustra, z sadzawki, z tafli wody tak nieruchomej, że wyglądała jak lustro. W niej zobaczyła Mercy strzegącą ich ciał – wszystkie leżały w sięgającej kostek wodzie na dziedzińcu biblioteki i dryfowały jak zwłoki.

– To naprawdę ona? – zapytał Tripp.

Cała jego brawura przepadła, została wyżęta z niego podczas zejścia. A to był dopiero początek.

– Tak myślę – odpowiedziała Alex. – Woda to pierwiastek łączący. Czynniki pośredniczące. – Cytowała Pana Młodego, słowa wypowiedział, kiedy stali po pas w rzece na pograniczu.

Mercy śpiewała sobie: „A jeśli umrę dzisiaj, będę szczęśliwą zjawą...”.

Świetny wybór piosenki. Cała była o śmierci. Alex słyszał tykający metronom w tle piosenki Mercy.

– Gdzie zaczynamy? – spytał Turner.

Miał kamienny wyraz twarzy, jakby po przejściu tej całej boleści nie zostało nic innego jak się odciąć. Znał teraz wszystkie odpowiedzi, wiedział, co Alex zrobiła w Los Angeles. A ona знаła odpowiedzi na pytania, o których nigdy nawet nie pomyślała, żeby zadać je Turnrowi. Harcerzyk. Zabójca.

Alex zmrużyła oczy, patrząc na smętny szary dzień. Czy to w ogóle mógł być dzień, jeśli nie ma słońca? Posiniaczone niebo ciągnęło się bez końca i gdziekolwiek byli... nie było tu płonących otchłani. Obsydianowych ścian. To miejsce przypominało przedmieścia, nowe, przedmieścia miasta, które nie istnieje. Ulice były nieskazitelne, budynki niemal identyczne. Przypominały ciągi handlowe, wszędo-

bylskie w dolinie, z salonami manikiurzystek, pralniąmi chemicznymi i sklepami z używkami. Brakowało tylko szyldów nad drzewami i klientów. Witryny były puste.

Alex okręciła się powoli, próbując zdławić falę zawrotów głowy. Wszystko miało ten sam piaskowy odcień spranego beżu, nie tylko budynki, ale i trawa oraz chodniki.

Przebiegł ją nieprzyjemny dreszcz.

- Wiem, gdzie jesteśmy.

Dawes kiwała powoli głową. Ona też poskładała to w całość.

Stali przed Biblioteką Sterlinga, tyle że biblioteka była teraz sadem, misa z wodą to był w ich świecie *Women's Table*. A to znaczyło, że cała reszta...

- Jesteśmy w New Haven - powiedział Tripp. - W Yale.

Albo w czymś podobnym. W Yale odartym z dostojności i piękna.

- Dobrze - powiedziała Alex z przekonaniem, jakiego nie czuła. - Przynajmniej znamy okolicę. Chodźmy.

- Dokąd właściwie? - spytał Turner.

Alex spojrzała Dawes w oczy.

- A dokąd indziej, jeśli nie do Black Elm?

* * *

Dojście piechotą do Black Elm z kampusu powinno zająć im godzinę, ale czas w tym miejscu był rzeczą śliską. Nie było zmian pogody, ruchu słońca na niebie.

Przeszli przez betonowy dziedziniec, a potem poszli ulicą, którą Alex uznała za Elm Street, tyle że tu stały przy niej wysokie bloki. Kiedy Alex się obejrzała, miała wrażenie, że ulica się zmieniła. Widziała skrzyżowanie w miejscu, w którym wcześniej go nie było, skręt w prawo tam, gdzie powinien być w lewo.

- To mi się nie podoba - powiedział Tripp. Trząś się.

Alex przypomniała sobie śliskość mokrej liny, rozkołysane morze pod sobą.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Nie zatrzymujmy się.

– Powinniśmy... zostawić za sobą ślad z okruszków albo coś takiego? – Sprawiał wrażenie niemal rozeźlonego i Alex podejrzewała, że ma do tego dobry powód. To nie była przygoda. To był koszmar. – Na wypadek gdybyśmy zabłądzili.

– Nić Ariadny – powiedziała drżącym głosem Dawes.

Otaczała ich zbyt idealna cisza. Świat był za bardzo nieruchomy. Można było odnieść wrażenie, że podróżują przez trupa.

Alex trzymała rękę na porcelanowym pudzerku. Idę po ciebie, Darlington. Nie mogła jednak przestać myśleć o Hellie. Nadal czuła Królika Przytulika na rękach. Był żywy. Przez chwilę wszyscy znowu byli razem.

Alex nie wiedziała, jak długo szli, ale następnym, co zauważyła, był fakt, że stoją przed ogrodzeniem z siatki. Wisiała tam ogromna tablica: „Przyszły Dom w Westville – Luksusowe Życie”. Wizualizacja przedstawiała lśniący szklany budynek górujący nad trawnikiem ze Starbucksem na parterze, ludzi, którzy machali do siebie, kogoś wyprowadzającego psa. Alex jednak poznała tę ścieżkę, grudy kamienia, które kiedyś były kolumnami, ścięte brzozy, z których zostały tylko pniaki.

– Black Elm – szepnęła Dawes.

Ściszenie głosu wydawało się rozsądne. Domy wzdłuż ulicy wyglądały na puste, okna były pozamykane, trawniki szare i jałowe, lecz Alex wychwyciła kątem oka jakiś ruch. Może ktoś odsunął zasłonę w oknie? A może jej się wydawało.

– Ktoś nas obserwuje – powiedział Turner.

Alex próbowała zignorować strach, który ją ogarnął.

– Potrzebujemy nożyc do cięcia drutu, żeby przejść przez to ogrodzenie.

– Jesteś pewna? – zapytał Turner.

Alex spuściła wzrok. Płomień otaczający porcelanowe pudzanko był coraz jaśniejszy, teraz już prawie biały. Podeszła do ogrodzenia, a potem przeszła przez nie – metal stopił się w nicłość.

– Super – powiedział Tripp, ale miał taki głos, jakby chciał się rozplakać.

Podjazd do Black Elm wydawał się dłuższy, droga rozciągała się, jakby szli na szubienicę między pniakami ściętych drzew. Jednakże nie było widać samego domu.

– Och, nie – jęknęła Dawes.

No jasne. Dom nie był widoczny, bo domu już nie było, został tylko samotny stos gruzu. Alex spostrzegła coś poruszającego się wśród stert kamienia.

– To mi się nie podoba – mruknął Tripp.

Skrzyżował ręce, jakby się zasłaniał. Alex żywiła dla niego serdeczność, jakiej wcześniej nie odczuwała. Czula ostry zapach chloru w gardle, czula stopę Spencera wbijającą się w jej krocze i ciężar wstydu Trippa, wiecznie przyszpilonego pod wodą.

– Alex – odezwał się cicho Turner. – Obejrzyj się. Powoli.

Alex zerknęła przez ramię i z trudem udało jej się nadal iść pewnym krokiem.

Ktoś ich śledził, wielki czarny wilk skradał się jakieś sto jardów za nimi. Kiedy obejrzała się znowu, były już dwa i spostrzegła trzeciego, który przemykał wśród drzew, żeby do nich dołączyć.

Nie wyglądały naturalnie. Miały za długie łapy, garbate grzbiety, długie szczęki były wypełnione zbyt wieloma zębami. Pyski miały mokre od śliny i oblepione łuszczącą się skorupą czegoś brązowego, co mogło być ziemią albo krwią.

Alex i pozostali minęli wielką kałużę, która powstała w miejscu znajdującym się kiedyś przed frontowymi drzwiami i Alex zobaczyła

Mercy krążącą po dziedzińcu biblioteki. Nic jej nie jest, pomyślała. To już coś.

- Tam! - krzyknęła Dawes.

Wskazywała ruiny Black Elm i Darlingtona - takiego Darlingtona, jakiego Alex pamiętała, jakiego widziała we śnie - przystojnego i ludzkiego w długim, ciemnym płaszczu. Bez rogów. Bez jarzących się tatuży. Trzymał w rękach kamień i gdy patrzyli, poniósł go ku czemuś, co mogło być zaczątkiem albo końcem ściany. Położył go na innych kamieniach.

- Darlington! - krzyknęła Dawes.

Nie przestał się ruszać, nie spojrzał.

- Nie słyszy nas? - zapytał Tripp.

- Danielu Arlingtonie! - ryknął Turner, jakby miał mu odczytać jego prawa.

Darlington nadal szedł spokojnie, lecz Alex widziała, jak faluje mu pierś - jakby walczył o oddech.

- Proszę - wykrztusił. - Nie mogę... przestać.

Alex nabrała gwałtownie powietrza. Kiedy Darlington się odezwał, zobaczyła, że cała sceneria zafalowała - ruiny Black Elm, posiniaczone niebo, sam Darlington. Zobaczyła ciemną noc, studnię żółtego ognia, usłyszała krzyczących ludzi i zobaczyła wielkiego złotego demona o zakrzywionych rogach górującego nad wszystkim. Usłyszała jego słowa: *Alagnoth grroroneth*. To było praktycznie warknięcie, ale wyczuła sens w tych słowach: „Żaden nie odejdzie wolno”.

- Jak możemy mu pomóc? - zapytała Dawes.

Alex popatrzyła na nią. Dawes tego nie zobaczyła. Żadne z nich tego nie spostrzegło. Tripp był przestraszony. Turner zerkał jednym okiem na wilki. Żadne z nich nie zareagowało na to, co Alex zobaczyła, gdy Darlington się odezwał. Wyobraziła to sobie?

- Pilnuj wilków - mruknęła do Turnera i weszła na gruzy.

Darlington nie podniósł wzroku, ale powtórzył znowu jedno słowo:

– Proszę.

Świat zafalował, a ona zobaczyła demona, poczuła żar ze studni ognia. Darlington chciał się wyrwać, tak samo jak chciał wskazać im Womitorium, ale nie miał na nic wpływu.

Wyjęła puderko z kieszeni i odchyliła wieczko. Jakaś cząstka jej osoby miała nadzieję, że to wystarczy, ale Darlington nadal wlekł się w tę i z powrotem, dźwigając kamień za kamieniem, układając je starannie. Czy ten przedmiot nie był dostatecznie cenny? Czyżby się pomyliła?

Złapała wieczko i przypomniała sobie wszystko, co widziała we wspomnieniach starego mężczyzny. Darlingtona, gdy był tylko Danym, samotnego w zimnym schronieniu Black Elm, próbującego rozgrzać się pod stosem płaszczy, które znalazł na strychu, jedzącego fasolę z puszki ze spiżarni. Danny'ego, który marzył o innych światach, o prawdziwej magii i pokonywanych potworach. Przypomniała sobie, jak poskładał w całość przepis na eliksir, jak stał przy kuchennym blacie, gotowy zaryzykować życie dla możliwości zobaczenia drugiego świata.

– Danny – powiedziała i nie mówiła tylko swoim głosem, ale i starego mężczyzny; oba splotły się w szorstkiej harmonii. – Danny, wróć do domu.

Darlington się zgarbił. Pochylił głowę. Kamień wyslizgnął mu się z ręki. Kiedy podniósł wzrok i spojrział Alex w twarz, spostrzegła w jego oczach mękę dziesięciu tysięcy godzin, roku cierpienia. Widziała w nich też poczucie winy, wstyd i zrozumiała: ten złoty demon też był Darlingtonem. Był jednocześnie więźniem i strażnikiem w piekle, oprawcą i ofiarą.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział.

Darlington buchnął niebieskim płomieniem. Alex zaczerpnęła tchu, Tripp krzyknął, Dawes wrzasnęła. Płomień prześlizgnął się po

gruzie jak rzeka opływająca ruiny Black Elm i wskoczył do puzderka.

Alex zatrzasnęła wieczko. Pojemnik zagrzecotał w jej rękach. Czuła go w środku, czuła wibrację w rękach. Jego dusza. Trzymała w rękach jego duszę, jej moc krążyła w jej ciele, zbyt jasna, żeby ją utrzymać w sobie. Ta dusza miała swój dźwięk podobny do szczękę stali o stal.

– Mam cię – szepnęła.

– Twoja zbroja! – krzyknęła Dawes.

Alex spojrzała po sobie. Znowu miała na sobie codzienne ubranie. Tak samo jak pozostali.

– Dlaczego te rzeczy zniknęły? – spytał Tripp. – Co się dzieje?

Dawes pokręciła głową, jakby próbowała usunąć z niej strach.

– Nie wiem.

Alex przycisnęła puzderko do piersi.

– Musimy wracać do biblioteki. Do sadu.

Kiedy jednak skręciła na drogę, nic nie znajdowało się na swoim miejscu. Zniknęły pniaki, podjazd, ogrodzenie, domy za nim. Patrzyła na długie pasmo asfaltowej autostrady z motelem w oddali, niskie pogórze na horyzoncie upstrzone wysokimi jukkami. To nie miało za grosz sensu.

Wilki nadal tam były i się zbliżały.

– Ktoś jest z Mercy – powiedział Tripp.

Alex obróciła się gwałtownie. Tripp wpatrywał się w kałużę. Widziała sylwetkę mężczyzny w wejściu na dziedziniec biblioteki. Sprzeczał się z Mercy.

– Coś jest nie tak z rytuałem – powiedziała Dawes. – Z Womitorium. Już nie słyszę metronomu.

– Alex – odezwał się cicho Turner.

– Musimy... – Chciała powiedzieć coś o bibliotece, o dokończeniu rytuału, ale wpatrywała się właśnie w żółte ślepie czterech wilków.

Blokowały im przejście między Black Elm a autostradą.

– Czego one chcą? – zapytała z drzeniem Dawes.

Turner się wyprostował.

– A czego zwykle chcą wilki?

Sięgnął po broń i krzyknął. Trzymał w ręce zakrwawionego królika.

Wilki się rzuciły.

Alex wrzasnęła, gdy zęby zacisnęły się na jej przedramieniu, weszły głęboko w ciało. Usłyszała trzask kości, żółć podeszła jej do gardła. Padła na plecy, a wilk wskoczył na nią. Widziała jego uwalany pysk, krew i ślinę wokół zębów, skorupę żółtej ropy wokół dzikich złotych oczu. Nadal trzymała puderko. Wilk potrzasał nią, a jego przetłuszczona sierść zajęła się płomieniem z jej ciała. Czuła smród palonego futra. Wilk zawarczał gardłowo. Nie zamierzał puścić. Czarne plamy pojawiły się przed jej oczami. Nie mogła zemdleć. Musiała się uwolnić. Musiała wracać do biblioteki. Musiała wrócić do Mercy.

– Ja też nie puszcę – warknęła.

Obróciła głowę w bok i zobaczyła, że pozostali siłują się z resztą watahy, a królik z białym futrem uwalanym krwią, z krwawymi odciskami rąk na bokach, skubie beżową trawę nieniepokoiony przez wilki.

Złapała puderko mocniej, ale czuła, że traci przytomność. Czy mogła przetrzymać tego potwora? Wilk palił się teraz, jego ciało się piekło. Skamlał, ale zaciskał zęby na jej złamanej ręce. Ból był obezwładniający.

Co by to znaczyło, gdyby umarli w piekle? Czy ich ciała spoczywałyby w spokoju na górze, nieuszkodzone i całe? Co by się stało z Mercy?

Nie wiedziała, co robić. Nie wiedziała, kogo ratować i jak. Nie mogła ratować siebie. Obiecała Darlingtonowi, że go wyciągnie. Wierzyła, że zdoła ich utrzymać przy życiu, że to jeszcze jedna walka, przez którą przebrnie dzięki sile woli i blefom.

– Nie puszcę – powtórzyła, ale jej głos dobiegał z oddali.

Wydawało jej się, że słyszy kogoś, kto się śmieje. Może coś. To coś chciało, żeby Alex tu została. Chciało ją złamać. Jak będzie wyglądało piekło dla niej? Doskonale wiedziała. Obudziłaby się w ich starym mieszkaniu, znowu z Lenem, jakby nic z tego się nie wydarzyło, jakby to wszystko było jakimś szalonym snem. Nie byłoby Yale, Lete, Darlingtona, Dawes. Nie byłoby tajemnych historii, bibliotek pełnych książek ani poezji. Alex znowu byłaby całkiem sama, wpatrywałaby się w czarny głęboki krater swojej przyszłości.

Nagle wilk ją puścił i Alex krzyknęła głośniejsz, gdy krew napłynęła jej z powrotem do ręki. Potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, co widzi. Darlington walczył z wilkami i nie był ani demonem, ani człowiekiem, tylko jednym i drugim. Jego rogi jarzyły się złotem, gdy oderwał jedną z bestii od Turnera i cisnął nią o gruzy. Wilk zaskowyczał i padł bezwładnie ze złamanym grzbietem.

Puzderko, pomyślała. Nadal je trzymała, ale teraz było puste; żywa, zwycięska wibracja zniknęła. Wymknął się. Żeby ich ratować.

Oderwał kolejnego potwora od Dawes i spojrzął Alex w oczy, gdy skręcał wilkowi kark.

- Idź - powiedział niskim, rozkazującym głosem. - Ja je zatrzymam.

- Nie zostawię cię.

Odrzucił wilka, który dręczył Trippa, na jałowy piach. Zwierzę odbiegło, skamłając, z ogonem podkulonym między nogami. Jednakże nadchodziły następne, cienie przemykające między krzywymi sylwetkami juk.

- Idź - nalegał Darlington.

Alex nie mogła tego zrobić. Nie, kiedy byli tak blisko, kiedy już trzymała jego duszę w rękach.

- Proszę - błagała. - Chodź z nami. Możemy...

Darlington uśmiechnął się słabo.

- Znalazłaś mnie raz, Stern, znajdziesz i drugi. A teraz odejdz.

Odwrócił się do wilków.

Alex zmusiła się, żeby pójść za pozostałymi, ale uszła z niej cała chęć do walki. Nie tak to miało wyglądać. Nie mogła znowu zawieść.

- Chodźcie! - nalegał Turner, ciągnąc Trippa i Dawes autostradą przez pustynię.

Kolejne wilki czekały, zagradzając im drogę.

- Jak je minimy?! - krzyknął Tripp.

- To nie działa w ten sposób - powiedziała Dawes głosem ochryplym od strachu. Miała krew na przedramieniu i kuśtykała. - Nie powinni przeszkadzać nam w wyjściu.

Turner zrobił krok naprzód, uniósł ręce, jakby miał nadzieję, że wilki rozstąpią się niczym Morze Czerwone.

- „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę⁹...”.

Jeden z wilków przekrzywił łeb jak pies, który nie rozumie polecenia. Inny zaskamlał, ale to nie był odgłos niepokoju. Zabrzmiało to prawie jak śmiech. Największy z wilków podbiegł do nich z pochyłym łbem.

- „...bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza. Stół dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników...”.

Wielki wilk otworzył paszczę i wyciągnął ozór. Rozległo się jedno słowo, ciche warknięcie, ale nie dało się go z niczym pomylić.

- Złodziej.

Alex cofnęła się o krok. To było tak potwornie niezgodne z naturą rzeczy, że zgroza narastała jak krzyk w jej głowie. Tripp rozdziawił usta, Dawes jęknęła, panika ogarnęła ich oboje. Tylko Turner stał pewnie, jednak Alex widziała, że drży, gdy wykrzykuje:

- „Namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity. Tak, dobroć i laska pójdą w ślad za mną...”.

Wilki rozchyliły paszczę, pokazując nierówne zębiska, czarne dziąsła. Uśmiechał się.

- „Gdyby pochwycił ktoś złodzieja w czasie włamywania się w nocy, i pobił go tak, iżby umarł, nie będzie winien krwi” – powiedziała.

Turner opuścił ręce. Pokręcił głową.

- Księga Wyjścia. Ten pieprzony wilk cytuje mi Pismo Święte.

Teraz kolejny wilk wysunął się chyłkiem naprzód z opuszczonym łbem:

- „Wszyscy, którzy przyszli przede mną, są złodziejami i rozbójnikami”. – Alex dostrzegła ruch po lewej i po prawej. Wilki ich otaczały. – „A nie posłuchały ich owce”.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak warknięcie.

- To dlatego, że próbowaliśmy zabrać Darlingtona – powiedziała Dawes. – Próbowaliśmy zabrać go do domu.

- Ustawmy się plecami do siebie! – krzyknęła Alex. – Wszyscy ze mną!

Nie miała pojęcia, co robi, ale musiała czegoś spróbować. Tripp teraz już płakał, a Dawes zaciskała powieki. Turner nadal kręcił głową. Ostrzegła go, że to nie będzie wspaniała bitwa między dobrem a złem.

Alex złożyła ręce, pocierając o siebie dłońmi, jakby próbowała je rozgrzać, i rzeczywiście, płomienie skoczyły wyżej.

- No już – mruknęła do ognia, do siebie, nadal niepewna tego, kogo prosi ani o co. Niechciana magia dręczyła ją od urodzenia. Duch babci. Kryształ jej matki. Krew nieobecnego ojca. – No już!

Wielki wilk skoczył. Alex wyciągnął przed siebie rękę, a niebieski płomień na niej rozwinął się z trzaskiem jak bicz. Wilki odskoczyły.

Znowu wzięła zamach, pozwalając żeby płomienie płynęły poprzez nią, przez jej wyciągniętą rękę. Strach i gniew przelewały się poprzez nią i przyjmowały formę niebieskiego ognia. Trzask. Trzask. Trzask.

- Co to jest? – dopytywał się Turner. – Co ty robisz?

Alex nie była pewna. Płonące luki ognia nie rozpraszały się. Kiedy Alex je wypuszczała, wisiały w powietrzu, wijąc się, szukając kierunku, aż wreszcie odnajdywały się wzajemnie, a wtedy zaczynały się burzyć, tworzyć krąg wokół niej i pozostałych, oslepiająco biały i błyszczący.

- Co to jest?! - krzyknął Tripp.

Dawes spojrzała Alex w oczy. Zniknął z nich strach. Alex znowu widziała u niej zdeterminowaną twarz uczonego.

- To Koło.

Ziemia pod ich nogami zadrżała. Wilki rzuciły się na nich, kłapiąc paszczami na niebieskie i białe iskry buchające z ognia Alex.

Szczelina otworzyła się pod stopami Alex. Dziewczyna się zatoczyła.

- Przestań! - krzyknął Tripp. - Musisz przestać.

- Nie! - zawołała Dawes. - Coś się dzieje!

Alex zresztą wątpiła, żeby mogła przestać. Ogień buchał teraz poprzez nią i wiedziała, że jeśli go nie wypuści, to spali ją od środka. Nie pozostanie nic poza popiołem.

Alex obejrzała się na Black Elm. Wilki przestały atakować Darlingtona i rzuciły się na płonące Koło. Jego rogi zniknęły, miał kamień w ręce. Patrzyła, jak starannie układa go na murku.

Wróć po ciebie, przysięgła. Znajdę sposób.

Ziemia pod nimi pękła z ogłuszającym hukiem. Spadli otoczeni kaskadami niebieskiego płomienia. Alex zobaczyła, że wilki też spadają. Buchały bielą, gdy zajmowały się ogniem, świeciły jak komety, a potem Alex nie widziała już niczego.

To nie tylko nasze prawo odbyć tę podróż, ale przede wszystkim nasz obowiązek. Gdyby Hiram Bingham nigdy nie wspiął się na szczyty Peru, czy mielibyśmy jego Tygiel i zdolność widzenia rzeczy poza Zastoną? Wiedza, jaką zebraliśmy, nie może pozostać czysto akademicka. Mógłbym wskazać poświęcone pieniądze i czas, hojność Sterlinga, pracę i pomysłowość JGR, Lawrie'ego, Bonawita i wielu rąk, które trudziły się przy skonstruowaniu rytuału takich rozmiarów i takiej złożoności. Mieli dość siły woli, żeby podjąć się tego projektu, i stosowne środki ku temu. Teraz naszym obowiązkiem jest wykazać się odwagą równą sile ich przekonania, dowieść, że jesteśmy mężczyznami Yale, prawowitymi spadkobiercami ludzi czynu, którzy stworzyli tę instytucję, a nie rozpieszczonymi dziećmi, które wzdragają się na myśl o pobrudzeniu sobie rąk.

Pamiętnik Rudolpha Kittschera z czasów
w Lete (Jonathan Edwards College, '33)

Nie mam energii ani woli, by odnotować wydarzenia, jakie zaszły. Znam tylko rozpacz. Jest jednak jedno słowo, które muszę zapisać, a które może ogarnąć nasze grzechy: pycha.

Pamiętnik Rudolpha Kittschera z czasów
w Lete (Jonathan Edwards College, '33)

Alex leżała na plecach. W pewnym momencie zaczęło padać. Otarła wodę z oczu i splunęła, żeby pozbyć się posmaku siarki z ust.

- Mercy! - krzyknęła, podnosząc się i kaszłąc.

Rękę miała całą, niezłamaną, ale świat wirował. Wszystko wyglądało zbyt bogato, było zbyt przesycone kolorem, światło było za żółte, noc głęboka jak świeży atrament.

- Nic ci nie jest? - Mercy znalazła się obok niej, przemoczona od deszczu, ale jej solna zbroja jakimś cudem wytrzymała.

- Nic mi nie jest - skłamała Alex. - Wszyscy tu są?

- Jestem - odezwała się Dawes; jej twarz była białą plamą w ulewie.

- Aha - mruknął Turner.

Tripp siedział w błocie, obejmując głowę i płakał.

Alex rozejrzała się, próbując się zorientować.

- Widziałam tu kogoś.

- Zatrzymałaś metronom? - zapytała Dawes.

- Przepraszam - powiedziała Mercy. - Kazał mi go zatrzymać. Nie wiedziałam, co robić.

- To z pewnością nie jest pani wina, panno Zhao.

- Cholera - mruknęła Alex.

Nie wiedziała, czego się spodziewać: wampira, Szarego, jakiegoś nowego i ekscytującego upiora. Wszystko to wydawało się łatwiejsze do ogarnięcia niż Michael Anselm. Nauczyli Mercy, jak radzić sobie z nieumarłymi intruzami, ale nie z żywymi biurokratami.

Stał ze skrzyżowanymi rękami w wejściu pod kamienną płasko-rzeźbą przedstawiającą magiczny kwadrat Dürera, osłonięty przed deszczem. Bursztynowe światło z korytarza za jego plecami pozostawiało twarz w cieniu.

- Wszyscy mają wstać i wyjść stąd - powiedział głosem pełnym gniewu.

Podnieśli się, drżąc, i powlekli się do wyjścia z zabłoconego dziedzińca.

Alex próbowała zebrać myśli. Wilki. Niebieski ogień. Uratowała ich? Czy też Anselm nieumyślnie przyszedł im na ratunek, przerywając rytuał i wyciągając ich z piekła? I skąd się wzięły wilki? Dawes powiedziała, że nie powinno być takich przeszkód. Czy Alex mogła winić Anselma i za nie?

- Czuję się, jakby ktoś spuścił na mnie dom - powiedział Turner.

- Piekielny kac - odparł Tripp. Otarł łzy i na policzki wracały mu kolory.

- Zdejmijcie buty - warknął Anselm. - Nie zostawicie śladów z błota na tych podłogach.

Zdjęli buty i skarpetki i przeszli boso przez bibliotekę za Anselmem. Kamienna posadzka była zimna jak lód.

W słabym świetle z generatorów Anselm zagonił ich do tylnego wyjścia, które prowadziło na York Street, a tam pozwolił im usiąść na niskich ławkach i włożyć z powrotem przemoczone buty.

- Detektywie Turner, proszę, żeby pan został. - Wskazał Mercy i Trippa. - Ty i ty. Wezwałem taksówki.

- Nie mam gotówki - powiedział Tripp.

Anselm miał minę, jakby chciał w coś uderzyć. Wyjął portfel i wcisnął Trippowi dwudziestkę do mokrej dłoni.

- Jedź do domu.

- Poradzę sobie - odezwała się Mercy. - JE jest tuż obok.

- Ta zbroja - powiedział Anselm. - Nie należy do ciebie.

Mercy zdjęła napierśnik, rękawice i nagolenice.

- Panno Stern - powiedział Anselm i Alex zgarnęła stos części zbroi.

- Idź się rozgrzać - szepnęła. - Wróć do domu najszybciej, jak się da.

Taką miała nadzieję. Możliwe, że zaraz zostanie wywieziona poza granice New Haven i wrzucona do rowu.

Alex schowała broję do przemoczonej płóciennej torby, którą zabrali ze sobą. Zauważyła, że lampiony też tam są. Anselm musiał je zabrać.

Tripp pomachał, wychodząc za drzwi. Mercy wycofała się powoli, jakby czekała na znak od Alex, że ma zostać, lecz Alex tylko wzruszyła ramionami. To byłoby już wszystko. Stało się to, czego obie z Dawes tak bardzo się bały. Jednak świadomość tego, co mogą stracić, nie wystarczyła, żeby je powstrzymać. Teraz dosłownie przeszły piekło, wróciły i nie miały czym się pochwalić.

Przynajmniej nie straciła porcelanowego puzderka. Dotknęła wilgotnej kieszeni. Trzymała duszę Darlingtona w swoich dłoniach. Odbierała jego siłę życiową jak zieleń nowych liści, jak blask poranka. I zawiodła.

Spodziewała się, że Anselm zaprowadzi ich do Klitki, a może do biura Pretora, żeby udzielić jakiejś oficjalnej reprimendy. Jednakże najwyraźniej nie zamierzał dać im się wysuszyć.

- Naprawdę nie wiem nawet od czego zacząć - powiedział, kręcąc głową jak rozczarowany ojciec z serialu komediowego. - Wprowadziliście obcą osobę do spraw Lete, więcej niż jedną obcą osobę.

- Tripp Helmuth jest Kościejem - powiedział Turner, opierając się o ścianę. - Wie o Lete.

Anselm spojrzał na niego chłodno.

- Jestem doskonale świadomy tego, kim jest Tripp Helmuth, a także kim jest jego ojciec i jego dziadek, skoro już o tym mowa.

Jestem też świadomy tego, co mogłoby się stać, gdyby stała mu się krzywda tej nocy. A pan?

Turner nie odpowiedział.

Alex próbowała skupić się na słowach Anselma, ale nie była w stanie jasno myśleć. W jednej chwili ogarnął ją taki głód, jakby nie jadła od wielu dni, a w następnej świat przechylił się i zebrało jej się na wymioty. Nadal walczyła z wilkami. Nadal była w głowie Hellie i wymachiwała kijem baseballowym. Czuła potworną stratę, jaką było opuszczenie świata, w którym nie była nawet pewna, czy chce zostać. Smutek był nie do zniesienia. Nie tak to miało wyglądać. To Alex nie powinna była się obudzić, to ona powinna była umrzeć na tym samym materacu, dać się porwać przyływowi, który wypłużył ją na podłogę mieszkania. To Alex powinna zostać pogrzebana pod gruzami Black Elm w piekle.

Dawes zaciskała pięści. Wyglądała jak stopiona świeca. Ciemnorange włosy przyklejały jej się do bladej skóry jak nieudany płomień. Twarz Turnera pozostała beznamiętna. Równie dobrze mógłby czekać w kolejce po kawę.

– Jakimś cudem znalazłyście Womitorium – mówił Anselm wyważonym głosem, zdradzającym, że ledwie panuje nad gniewem – i to na kampusie Yale, i uznałyście, że możecie zachować tę wiedzę dla siebie. Przeprowadziłyście bez pozwolenia rytuał, który zagrażał ogromnej liczbie ludzi i istnieniu samego Lete.

– Ale go znalazłyśmy – odezwała się cicho Dawes, wbijając wzrok w podłogę.

– Słucham?

Uniosła wzrok i podbródek.

– Znalazłyśmy Darlingtona.

– Sprowadzilibyśmy go z powrotem, gdyby nam pan nie przeszkodził – dodał Turner.

– Detektywie Turner, niniejszym zwalniam pana z obowiązków Centuriona.

– O nie – odparł spokojnie Turner. – Wszystko, ale nie to.

Anselm się zaczerwienił.

– Jeśli pan...

Turner uniósł rękę.

– Niech pan sobie daruje. Będzie mi brakować dodatkowej gotówki i to wszystko. – Zatrzymał się w drzwiach i odwrócił do nich. – To była pierwsza prawdziwa rzecz, jaką widziałem, żeby Lete czy ktokolwiek z was, wymachujących różdżkami i noszących pelerynki kanciarzy, próbował zrobić. Niech pan mówi, co chce, ale te dwie nie boją się walki.

Alex popatrzyła za nim. Słowa, które wypowiedział na odchodnym, sprawiły, że stanęła nieco prościej, ale duma na nic jej się teraz nie zda. I ściśle rzecz biorąc, nigdy nie widziała, żeby ktokolwiek ze stowarzyszeń machał różdżką, chociaż podejrzewała, że znalazłoby się parę sztuk w zbrojowni Lete. Której być może już nigdy nie zobaczy. Jakimś cudem to było najgorsze: nie wygnanie z Yale i utrata wszystkich związanych z tym miejscem możliwości, ale zakaz wstępu do Il Bastone, miejsca, które ośmieliła się uważać za dom.

Przypomniała sobie Darlingtona z kamieniem w ręce, wiecznie próbującego ocalić coś, czego nie da się uratować. To dlatego nie była w stanie odwrócić się plecami do złotego chłopca Lete? Bo on nie potrafił porzucić przegranej sprawy takiej jak Alex? Bo uważał, że warto o nią walczyć? Jednakże co dobrego przyniosło to komukolwiek z nich dwojga? Co się z nim stanie, jeśli w Lete nie pozostanie nikt, kto będzie walczył o jego powrót? I co się stanie z jej matką teraz, kiedy Alex straciła szansę uszczknięcia nieco pieniędzy z zasobów Lete poprzez Anselma?

Nagå furia uwolniła w niej całą bezradność.

– Skończmy już z tym.

– Tak ci się śpieszy, żeby pożegnać Eden? – zapytał Anselm.

– Przepraszam za to, co zrobiłam. Przykro mi, że zawiodłyśmy. Jak nas znalazłeś?

- Poszedłem do Il Bastone. Wszędzie walały się wasze notatki. - Anselm starł deszcz z czoła, z trudem zachowując spokój. - Jak blisko byliście?

Nadal czuła wibrację duszy Darlingtona w dłoniach, moc, jaką ją wypełniła. Nadal słyszała dzwonienie, szcęk stali uderzającej o stal.

- Blisko.

- Powiedziałem wam obu, że będą konsekwencje. Nie chciałem znaleźć się w takim położeniu.

- Nie? - spytała Alex. Mężczyźni tacy jak Anselm zawsze lądowali w takim właśnie położeniu. Strażnika kluczy. Sędziego z młotkiem sędziowskim. - To trzeba było nas posłuchać.

- Obie macie zakaz korzystania z nieruchomości należących do Domu Lete i do jego zasobów - oznajmił Anselm. - Od jutrzejszego wieczoru, jeśli postawicie nogę w dowolnym z naszych azylów, zostanie to uznane za naruszenie własności podlegające karze. Jeśli spróbujecie posłużyć się dowolnym kontem, przedmiotem czy inną własnością Lete, zostaniecie oskarżone o kradzież. Czy to jasne?

To dlatego nie zabrał ich do Klitki, miejsca, gdzie Alex znalazła kiedyś azyl, gdzie bandażowała rany więcej niż raz, gdzie Dawes bronila się kiedyś przed Sandowem. Słyszała przejeżdżające ulicą samochody, pokrzykiwania dzieciaków wracających z imprez halloweenowych.

- Potrzebuję werbalnego potwierdzenia - powiedział Anselm.

- Rozumiem - szepnęła Dawes. Łzy popłynęły jej po policzkach.

- Powinieneś zatrzymać ją warunkowo - powiedziała Alex. - Śmiało, mnie możesz wypędzić. Wszyscy wiemy, żeby byłam tu czarną owcą. Dawes to cenny nabytek, na którego utratę nie stać Lete.

- Niestety, panno Stern, myślę, że Lete nie stać na zatrzymanie żadnej z was. Podjęto decyzję. Czy to jest jasne?

Teraz w jego głosie pojawiła się ostra nuta, jego spokój biurokraty trzymającego się przepisów zaczynał się kruszyć pod naporem gniewu.

Alex spojrzała mu w oczy.

- Tak, proszę pana, rozumiem.

- Nie zasługuję na twoją pogardę, Alex. Zaproponowałem ci pomoc, a ty spojrzałaś mi w oczy i mnie okłamałaś.

Wyrwał jej się gorzki śmiech.

- Nie proponowałeś mi pomocy, dopóki nie zorientowałeś się, że mam coś, czego chcesz. Posługiwałeś się mną, a ja z radością zgodziłam się być twoją kurwą za właściwą cenę, więc nie udawajmy, że było w tej transakcji coś szlachetnego.

Anselm wykrzywił usta.

- To nie jest miejsce dla ciebie. Nigdy nie było. Prostacka. Ordynarna. Niewykształcona. Splamiłaś Lete.

- Walczyła o niego - wychrypiała Dawes.

- Słucham?

Dawes wytarła nos w rękaw. Nadal się garbiła, ale łzy zniknęły. Nie mglily jej oczu.

- Kiedy ty i zarząd woleliście udawać, że Darlingtona nie da się uratować, my znalazłyśmy sposób. Alex walczyła o niego, my walczyliśmy o niego, kiedy nikt inny nie zamierzał.

- Naraziłyście tę organizację i życie wszystkich na kampusie. Bawiliście się mocami wykraczającymi daleko poza wasze rozumienie i kontrolę. Nie próbujcie nawet wyobrazić sobie, że jesteście bohaterkami, kiedy złamałyście każdą zasadę mającą na celu chronić...

Dawes pociągnęła nosem.

- Wasze zasady są do dupy. Chodź, Alex.

Alex pomyślała o Klitce i jej obskurnej wspaniałości, o starym siedzeniu na parapecie, scenkach pastoralnych i myśliwskich wymalowanych na ścianach. Pomyślała o Il Bastone, ciepłym świetle lamp, frontowej werandzie, gdzie zabijała czas przez całe lato, o drzemkach na kanapie, wertowaniu tanich czytań, poczuciu bezpieczeństwa i spokoju, jakiego zaznała pierwszy raz w życiu.

Zasalutowała Anselmowi oboma środkowymi palcami i wyszła za Dawes z Edenu.

Kiedy Alex obudziła się następnego ranka, bolało ją całe ciało i nie mogła powstrzymać szcęknięcia zębami mimo licznych okryć. Sprzeciw i gniew uszły z niej wycieńczone koszmarami o Darlingtonie przyniesionym pod gruzami Black Elm, Hellie rozplywającej się przed jej oczami, małym zakrwawionym ciele Królika Przytulika.

Po tym jak Anselm je wygnał, Alex zaprosiła Dawes, żeby się zatrzymała w akademiku w jednym pokoju razem z nią i Mercy. Było stamtąd bliżej z Klitki niż do jej mieszkania. Jednak Dawes chciała zostać sama.

– Potrzebuję czasu dla siebie... – Głos jej się załamał.

Alex zawahała się, a potem powiedziała:

– Ktoś musi pójść do Black Elm.

– Kamery niczego nie złapały – powiedziała Dawes. Ale zajrzę do niego jutro.

„Albo to, czym jestem, zostanie wypuszczone na świat”. Alex sama widziała, że krąg ochrony przygasa.

– Nie powinnaś jechać tam sama.

– Poproszę Turnera.

Alex wiedziała, że powinna zaproponować, że pojedzie, ale nie była pewna, czy zdoła stanąć twarzą w twarz z Darlingtonem w dowolnej jego formie. Czy wiedział, jak niewiele brakowało? Był tam. Znowu ją uratował i poświęcił swoją szansę na wolność. Nie była gotowa spojrzeć mu w oczy.

– Widziałas się z nim – powiedziała Dawes. – W wieczór przed rytuałem.

Kamery musiały ją złapać.

- Musiałam zabrać naczynie.

- On ze mną nie będzie rozmawiał. Tylko siedzi i medytuje, czy co tam robi.

- Stara się zapewnić nam bezpieczeństwo, Dawes. Tak jak zawsze.

Tyle że tym razem to on sam stanowi zagrożenie. Dawes skinęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

- Uważaj na siebie - powiedziała Alex. - Anselm...

- Black Elm nie należy do Lete. I ktoś musi się zająć Cosmo. Nimi oboma.

Alex patrzyła, jak Dawes znika w deszczu. Nie była stworzona do tego, żeby kimkolwiek czy czymkolwiek się opiekować. Hellie była tego dowodem. Królik Przytulik. Darlington.

Podreptała do domu przemoczona, przebrała się w suchą piżamę, zjadła cztery pop-tarty i padła do łóżka. Teraz obróciła się wstrząsana dreszczami i umierała z głodu.

Mercy siedziała na łóżku z otwartą powieścią *Orlando* na kolanach, z kubkiem parującej herbaty na postawionej pionowo zabytkowej walizce, której używała jako nocnego stolika.

- Dlaczego nie możemy spróbować raz jeszcze? - spytała Mercy. - Co nas powstrzymuje?

- Dzień dobry. Od jak dawna nie śpisz?

- Od paru godzin.

- Cholera. - Alex za szybko usiadła i zakręciło jej się w głowie. - Która godzina?

- Prawie południe. W poniedziałek.

- Poniedziałek?! - pisnęła Alex. Straciła całą niedzielę. Spała prawie trzydzieści sześć godzin.

- Aha. Przegapiłaś hiszpański.

A jakie to miało znaczenie? Bez stypendium Lete nie miała możliwości zostania na Yale. Straciła szansę, by wyrwać się Eitanowi. Stra-

ciła szansę na nowe życie dla swojej matki. Czy pozwolą jej skończyć rok? Semestr?

Jednakże to wszystko było zbyt beznadziejne, żeby w ogóle o tym myśleć.

- Umieram z głodu - powiedziała. - Dlaczego tu jest tak zimno?

Mercy pogrzebała w torbie.

- Przyniosłam ci dwie kanapki z bekonem ze śniadania. I nie jest zimno. To przez to, że otarłaś się o piekielny ogień.

- Jesteś cudnym aniołem - powiedziała Alex, wyrwijając Mercy kanapki i odwijając jedną z opakowania. - No dobrze, co ty, kurwa, wygadujesz?

- Nigdy się nie uczysz.

- Wcale nie nigdy - wymamrotała Alex z pełnymi ustami.

- Czytałam notatki Dawes, nie jej źródła, ale kontakt z piekielnym ogniem może wywołać uczucie zimna, a nawet spowodować hipotermię.

- Czy to niebieski płomień?

- Co?

Alex musiała sobie przypomnieć, że Mercy nie ma pojęcia, co wydarzyło się w podziemnym świecie.

- Jak wygląda piekielny ogień?

- Nie jestem pewna, ale uważa się to za podstawową materię demonicznego świata.

- A jak wygląda leczenie?

Mercy zamknęła książkę.

- To jest mniej jasne. Sugeruje się domową zupę zrobioną od podstaw i recytację wersów z Biblii.

- Tak, poproszę, i nie, dziękuję.

Alex wywlekła się z łóżka i zaczęła grzebać w komodzie. Naciągnęła bluzę z kapturem na dres. Czy mogła jeszcze nosić dres Lete? Miała go zwrócić? Nie wiedziała. Miała mnóstwo pytań, które

powinna była zadać Anselmowi, zamiast pokazać mu palce, ale to przynajmniej było bardzo satysfakcjonujące.

Znalazła maleńką buteleczkę basso belladonny w głębi szuflady i wkropiła sobie po kilka kropel do oczu. Za nic w świecie nie przeżyje tego dnia bez małej pomocy.

Co nas powstrzymuje? – spytała Mercy. Odpowiedź brzmiała: nic. Alex nie chciała wracać do piekła. Jeśli jednak zrobili to raz, to wiedzieli czego dokładnie spodziewać się za drugim razem. Dawes musiały wybrać przełomową noc, zakładając, że ona i pozostali zdecydują się na drugą próbę z Womitorium. Nie mieliby też zbroi dla Mercy, ale mogli zapewnić jej mnóstwo innej ochrony, zorientować się, jak obejść alarmy, jeśli nie będą mogli zaparzyć burzy. Czemu nie spróbować po raz drugi? Co mieli do stracenia? Doszli tak daleko, że warto był spróbować raz jeszcze.

Sprawdziła telefon. Dostała wczoraj wiadomość od Dawes.

„W Black Elm wszystko w porządku”.

Bez zmian? – odpisała Alex.

Po długiej przerwie przysłała w końcu odpowiedź: „Jest dokładnie tam, gdzie go zostawiłyśmy. Krąg źle wygląda”.

Ponieważ słabnie.

Możliwe, że nie będą mogli czekać na przełomową noc. To był drugi problem. Anselm zbeształ je za to, że naraziły na niebezpieczeństwo Lete i kampus, ale nie rozumiał, jaką grę naprawdę prowadzą. Nie wiedział, że Darlington ugrzązł między światami, że stwór siedzący w sali balowej w Black Elm jest demonem i człowiekiem zarazem. A Alex nie zamierzała mu o tym mówić. Kiedy tylko Anselm zrozumie, co zrobiły, znajdzie jakiś czar, żeby przegnać Darlingtona raz na zawsze i nie ryzykować kolejnego otwarcia Womitorium.

– Przykro mi, że wczorajsza noc okazała się taka gówniana – powiedziała Alex.

– Żartujesz sobie? – odpowiedziała Mercy. – Było świetnie. W zasadzie jestem pewna, że widziałam Williama Chestera Minora. Serio

mówię, myślałam, że będzie o wiele gorzej.

To trzeba było razem z nami walczyć z wilkami, pomyślała Alex.

– Myślę, że zostanę wyrzucona ze szkoły – wypaliła Alex.

– To... przewidywania czy plan?

Alex prawie się roześmiała.

– Przewidywania.

– Więc musimy wydostać Darlingtona. On może wstawić się za tobą w Lete. Może postraszy ich pozwem sądowym albo czymś takim.

Może zdołałby. A może będzie miał poważniejsze sprawy na głowie po przedłużonym pobycie w piekle. Nie przekonają się, dopóki nie przejdą znowu Womitorium. Na Boga, Alex była tak bardzo zmęczona. Zejście było potworne i bolało ją nie tylko ciało.

Wysłała wiadomość do całej grupy: „Wszyscy dobrze się czują?”

Tripp odpowiedział pierwszy: „Czuję się gównianie. Chyba się przeziębilem”.

Turner odpisał tylko „OK”.

„Jeśli ktoś dysponuje kuchnią, to mogę zrobić zupę. To powinno pomóc” – odpowiedziała Dawes i Alex ogarnęły nowe wyrzuty sumienia. Dawes miała mikrofalówkę i płytkę do podgrzewania potraw w swoim ciasnym mieszkanku, ale nie miała prawdziwej kuchni. Powinni zebrać się w Il Bastone, wyleczyć się przed następną walką, przygotować plany. Pomyślała o czekającym na nich domu. Czy wiedział, czego próbowali? Czy będzie się zastanawiał, dlaczego nie wrócili?

Alex potarła twarz. Była zmęczona i zagubiona. Tęskniła za mamą. Kochała Mercy, ale po raz pierwszy od jakiegoś czasu naprawdę wolały zostać sama. Chciała zjeść drugą kanapkę z bekonem, zwinąć się w kłębek i popłakać. Chciała pojechać do Black Elm, wbiec po schodach i opowiedzieć Darlingtonowi albo demonowi – czym tam właściwie był – o walce z Linusem Reiterem, o jej kłopotach z Eitanem.

Chciała powiedzieć mu o wszystkich strasznych rzeczach i widzieć, jak się wzdryga.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Mercy.

Alex westchnęła.

– Nie.

– Powinniśmy zerwać się z zajęć?

Alex pokręciła głową. Musiała trzymać się tego świata tak długo, jak się da. Wolała nie myśleć o Darlingtonie, Lete i piekle przez parę godzin. Jeśli Lete nie pozwoli jej dokończyć semestru, to gdzie się podzieje? Ustal drogi ucieczki. Przygotuj plan. Nie była tą samą dziewczyną co kiedyś. Nie była bezradna. Wiedziała, jak radzić sobie z Szarymi. Miała moc. Mogła znaleźć pracę. Zacząć dwuletni college. Do diabła, mogła pobawić się w wywoływanie duchów i dać się najać jakimś bogatym dupkiem z Malibu. Galaxy Stern, jasnowidzka gwiazd.

Wzięła długi gorący prysznic, przebrała się w dżinsy, włożyła buty i najgrubszy sweter, jaki miała. Zajęcia z Shakespeare'a i metafizyki odbywały się w LC i Alex zastanawiała się, co się stanie, jeśli natknie się na Pretora. Czy profesor Walsh-Whiteley spojrzy na nią z politowaniem? Zobaczysz ją i uda, że jej nie zna? Jeśli jednak profesor był gdzieś wśród studentów, to go nie zauważyła.

Wchodziły do klasy, kiedy Alex usłyszała, że ktoś ją woła. Spozstrzegła znajome ciemne włosy w tłumie.

– Zaraz wrócę – powiedziała do Mercy i przemknęła przez tłum. – Michelle?

Pretor już posłał po Michelle Alameddine, żeby zastąpiła Alex?

– Cześć – powiedziała Michelle. – Jak się trzymasz?

To było lepsze niż „A nie mówiłam?”.

– Nie wiem jeszcze. Masz spotkanie z Walshem-Whiteleyem?

Michelle zawahała się ledwie widocznie, zanim odpowiedziała:

– Miałam tu coś do załatwienia dla Butlera.

– Tutaj?

Michelle rzeczywiście wyglądała jak gotowa na służbowe spotkanie: ciemna spódnica, szary golf, zamshowe buty i dopasowana do nich torebka. Tyle że pracowała przy darach i nabytkach w Bibliotece Butlera. Gdyby miała coś do załatwienia na Yale, wyładowałaby w Bibliotece Beinecke albo w Sterlingu, a nie na wydziale literatury angielskiej.

– Tu najłatwiej było się spotkać.

Alex nie miała daru Turnera do wyczuwania prawdy, tego mrowienia, jakie czuła, gdy była w jego głowie, ale wiedziała, że Michelle kłamie. Chciała oszczędzić Alex przykrości? Może nie powinna ujawniać żadnych poufnych spraw Lete, odkąd Alex ekskomunikowano?

– Michelle, u mnie wszystko porządku. Nie musisz obchodzić się ze mną jak z jajkiem.

Michelle się uśmiechnęła.

– W porządku, przylapałaś mnie. Nie mam spotkania w LC. Musiałam być w New Haven i chciałam sprawdzić, co u ciebie.

„Nikt nie zatroszczy się o nas poza nami samymi”. To powiedziała jej Michelle, kiedy próbowała ostrzec Alex przed posłużeniem się Womitorium. Mimo to...

– Musisz być wykończona tym ciągłym jeżdżeniem w tę i z powrotem. Jak się udała kolacja z rodzicami twojego chłopaka?

– Och, było w porządku – odpowiedziała Michelle, śmiejąc się. – Poznałam ich już wcześniej. Dopóki unikasz rozmów o polityce, są świetni.

Alex rozważyła możliwości. Nie chciała spłoszyć Michelle, ale miała dość tego pogrywania.

– Wiem, że nie wróciłaś tamtego wieczoru do miasta.

– Co ty wygadujesz?

– Powiedziałas mi, że wracasz do Nowego Jorku, że musisz złapać pociąg, ale wyjechałaś stąd dopiero następnego ranka.

Michelle się zarumieniła.

- To nie twoja sprawa.

- Dwa morderstwa na kampusie oznaczają, że mam prawo do sceptycyzmu.

Michelle odzyskała panowanie nad sobą.

- To nie twoja sprawa, ale widuję się z pewną osobą i staram się być tu kilka razy w miesiącu. Mojemu chłopakowi to nie przeszkadza, a nawet gdyby miał coś przeciwko, nie zasługuję na takie przesłuchanie. Martwiłam się o ciebie.

Alex wiedziała, że powinna przeprosić, pobawić się w uprzejmości, ale była zbyt zmęczona, żeby odgrywać dyplomatkę. Trzymała duszę Darlingtona w rękach i wyczuwała w niej ciężkie, senne nuty strojonej wiolonczeli, nagły radosny trzepot skrzydeł, gdy ptaki podrywają się do lotu. Gdyby Michelle nadstawiła karku chociaż odrobinę, może byliby lepiej przygotowani. Mogłoby im się udać.

- Martwiłaś się na tyle, żeby pojawić się z uśmiechem - powiedziała Alex. - Ale nie na tyle, żeby pomóc Darlingtonowi.

- Już ci tłumaczyłam...

- Nie musiałaś schodzić razem z nami. Potrzebowaliśmy twojej wiedzy, twojego doświadczenia.

Michelle oblizła usta.

- Zeszliście?

Czyli nie rozmawiała z Anselmem ani zarządem, nie spotkała się z Pretorem. Naprawdę martwiła się o Alex? Czy Alex tak bardzo nie przywykła do życzliwości, że jej nie ufała? Czy też Michelle Alameddine była mistrzynią kłamstwa?

- Co tu robisz, Michelle? Co robiłaś w New Haven w noc, kiedy zabito dziekana Beekmana?

- Nie jesteś detektywem - ucięła Michelle. - Ledwie jesteś studentką. Idź na zajęcia i nie mieszaj się do mojego osobistego życia. Nie będę więcej marnować na ciebie czasu.

Odwróciła się na obcasie i zniknęła w tłumie. Alex kusiło, żeby za nią pójść.

Zamiast tego wróciła na wykład z Shakespeare'a. Mercy zajęła dla niej miejsce i kiedy tylko Alex się usadowiła, sprawdziła telefon. Dawes wybierała się do mieszkania Trippa, żeby ugotować zupę.

Alex dała znać Turnerowi:

„Michelle Alameddine jest na kampusie i właśnie mnie okłamała, wyjaśniając powody przyjazdu”.

Turner natychmiast zareagował:

„Co ci powiedziała?”

„Wyjazd służbowy. Coś dla Biblioteki Butlera”.

Poczekala, patrząc na ekran.

„Wątpię. Nie pracuje tam”.

„Od kiedy?”

„Od zawsze”.

Co tu było grane? Dlaczego Michelle okłamała ją i Lete w sprawie pracy na Uniwersytecie Columbia? Co naprawdę robiła na kampusie i dlaczego wytropiła Alex? I co znaczył fakt, że kiedy Alex wspomniała o dwóch morderstwach, Michelle nawet nie mrugnęła okiem? Dla wszystkich na kampusie doszło tylko do jednego morderstwa. Marjorie Stephen, kobieta, którą Michelle rzeczywiście znała, miała rzekomo umrzeć z przyczyn naturalnych. Jednakże Michelle nie miała powodu, by skrzywdzić kogośkolwiek z profesorów. Przynajmniej Alex nie znała żadnego powodu.

Nie mogła się skupić na wykładzie, chociaż tym razem rzeczywiście przeczytała lektury. Jednym z powodów, dla którego dała się namówić Mercy na te zajęcia, było to, że miała już za sobą dwa semestry sztuk Shakespeare'a. Zostało jej mnóstwo rzeczy do przeczytania, bo zawsze tak było, ale przynajmniej nie musiała blefować podczas każdego wykładu.

Może istniały jakieś dobre strony tej katastrofy. Koniec z męczarnią na zajęciach. Koniec patrzenia jak diwy przelykają ptasie gówno dla kolejnego albumu z przebojami. Alex próbowała wyobrazić sobie, jak może wyglądać teraz jej życie, i nie było to trudne. Nie chciała wracać do gorącego, pozbawionego pór roku, wypróżnionego słońcem Los Angeles. Nie chciała odwalić jakiejś gównianej roboty za gówniane pieniądze, żeby żyć skrawkami nadziei, wolnymi od pracy dniami, piwem i bzykaniem, żeby dało się znieść miesiąc. Nie chciała zapomnieć o Il Bastone z małym sprzętem stereo, welwetowymi kanapami, z biblioteką, którą można było namówić, żeby podzieliła się książkami, wiecznie pełną spiżarnią. Chciała późnych poranków i przegrzanych klas, wykładów z poezji, za wąskich drewnianych ławek. Chciała tu zostać.

Tutaj. Kiedy profesor porównywał *Burzę z Faustem*, wskazując na wspólne wpływy literackie, słowa niosły się melodyjnie przez salę. „Przecież tu jest piekło. Ja z niego wcale nie wyszedłem.¹⁰” Tutaj – pod wysokim sufitem, pod szybującymi, jakby były nieważkie, mosiężnymi żyrandolami, w otoczeniu jasnej boazerii i pod witrażem od Tiffany’ego, który nie wiadomo czemu wylądował w sali wykładowej. Witrażem jarzącym się głębokim lazurem i zielenią, soczystym fioletem i złotem, przedstawiającym grupę aniołów, które mimo skrzydeł nie były do końca aniołami, ale ślicznymi dziewczętami z aureolami, na których wypisano słowa Nauka, Intuicja, Harmonia, podczas gdy Forma, Kolor i Wyobraźnia skupiły się wokół Sztuki. Ich twarze zawsze wydawały się Alex dziwne, zbyt namacalne i konkretne, jak fotografie wklejone w scenkę. I zawsze zastanawiała się, dlaczego jedyną postacią, która spoglądała poza kadr, wprost na patrzącego, jest anioł Rytmu.

Okno od Tiffany’ego zamówiono, żeby upamiętnić zmarłą kobietę. Jej imię – Mary – wypisano na księdze trzymanej przez jednego z kłęczących nie-całkiem-aniołów. Tafle witraża spakowano na czas procesu Czarnych Panter w obawie przed rozruchami. Źle je opisano,

więc leżały i niszczały w pudłach, aż ktoś natknął się na nie kilkadziesiąt lat później, jakby kampus był tak przesączony pięknem i bogactwem, że łatwo było zapomnieć o czymś równie nadzwyczajnym albo zwyczajnie opłakać go jako rzecz straconą.

Jaki to wszystko ma sens? – zastanawiała się Alex. I czy to potrzebowało jakiegoś sensu? Okna były piękne same w sobie, same z siebie sprawiały przyjemność – te gładkie członki, kaskady włosów, konary ciężkie od kwiecica, a wszystko to kryło się w lekcji na temat cnót, mającej być pamiątką. Jej jednak podobało się życie pełne piękna pozbawionego sensu. To wszystko mogło z łatwością przepaść jak sen i tylko wspomnienie tego nie wyblaknie tak jak sny. Będzie ją prześladować przez resztę długiego, miernego życia.

Jakaś dziewczyna opierała się o ścianę pod oknem z witrażem. Alex musiała zignorować ukłucie na widok blasku jej złotych włosów i skóry jak miód. Wyglądała zupełnie jak Hellie. Poza tym nikt nie ma takiej opalenizny przed zimowymi feriami.

Właściwie to wyglądała dokładnie jak Hellie.

Dziewczyna gapiła się na Alex, jej niebieskie oczy były smutne. Miała na sobie czarny T-shirt i dżinsy. Nagle serce Alex zabiło mocniej. Musiała mieć zwidy, kolejny objaw jak najbardziej dosłownego kaca po piekle. Wiedziała swoje, ale szaleńcza nadzieja wkradła się do jej myśli, zanim zdążyła ją potrzymać. A jeśli Hellie odnalazła w jakiś sposób drogę powrotną zza Zastony? Może wyczuła obecność Alex w podziemnym świecie i przeszła, żeby wreszcie ją odnaleźć? Jednakże Szarzy wyglądali tak, jak wyglądali w chwili śmierci, a Alex nigdy nie zapomni bladej skóry Hellie, zasychających wymiocin na koszulce.

– Mercy, widzisz tę dziewczynę pod oknem Tiffany'ego? – szepnęła.

Mercy wyciągnęła szyję.

– Tę, co się na ciebie gapi? Znamy ją?

Nie, ponieważ Alex usunęła wszelkie ślady jej dawnego życia, dobre razem ze złymi. Nie postawiła zdjęcia Hellie na komodzie. Nigdy nie rozmawiała o niej z Mercy. A dziewczyna stojąca pod tymi niecałkiem-aniołami nie mogła być Hellie, ponieważ Hellie nie żyła.

Blondynka ruszyła do tylnego wyjścia z sali wykładowej. To wyglądało jak próba, a Alex cholernie dobrze wiedziała, że powinna zostać na swoim miejscu, wziąć długopis, uważać i robić notatki. Nie mogła jednak nie pójść za nieznaną.

- Zaraz wracam - szepnęła do Mercy, złapała płaszcz, ale zostawiła torbę i książki.

To nie ona, pomyślała. Wiedziała to przecież. Oczywiście, że to wiedziała. Pchnęła drzwi prowadzące na High Street. Zapadał zmrok, listopadowa noc szybko nadchodziła. Alex zawahała się, stała przy krawężniku, patrząc, jak dziewczyna przechodzi na drugą stronę ulicy. Asfalt wyglądał jak rzeka, a ona nie chciała przez nią brodzić. Łącznik przerzucony nad High Street jakby szybował nad ulicą, wyrzeźbione na budynku skrzydlate, kamienne kobiety wyciągały się łagodnie nad łukiem. Architekt odpowiedzialny za ten budynek był Kościejem. Zaprojektował także i wybudował ich grobowiec. Nie pamiętała jego nazwiska.

- Hellie? - zawołała niepewnie, z lękiem. Czego właściwie się bała? Że dziewczyna się odwróci czy że się nie odwróci?

Dziewczyna nie zatrzymała się, tylko przeszła do zaułka obok siedziby Czaszki i Kości.

Odpuść ją sobie.

Alex weszła na ulicę i pobiegła za blondynką, śledziła jej błyszcząca złotą głowę, pokonując schody i wpadając do ogrodu rzeźb, gdzie raptem tydzień temu rozmawiała z Michelle.

Hellie stała pod wiązami jak żółty płomień w niebieskim świetle zmierzchu.

- Tęskniłam - powiedziała.

Alex poczuła, że coś w niej pęka. To był niemożliwe. Mercy widziała tę dziewczynę. Nie była Szara.

– Ja też – odpowiedziała. Jej głos brzmiał nienaturalnie, chrapliwie. – Co to jest? Czym jesteś?

– Nie wiem. – Hellie wzruszyła lekko ramionami.

To musiała być iluzja. Pułapka. Co zrobili w piekle, żeby taka rzecz stała się możliwa? Tu czało się niebezpieczeństwo. Musiało. Życzenia nie spełniają się tak po prostu. Śmierć jest ostateczna; nawet jeśli dusza nadal istnieje, udaje się za Zastonę, do nieba, piekła, czyścica czy jakiegoś demonicznego królestwa. *Mors vincit omnia*.

Alex zrobiła jeden krok, drugi. Poruszała się powoli, jakby na wprost oczekiwała, że dziewczyna – Hellie! – ucieknie.

Dostrzegła ruch w gałęziach w górze. Kędzierzawowłose Szary, mały martwy chłopczyk kuczał tam, szepcząc coś do siebie, a jego głos był cichy jak szelest liści.

Kolejny krok. Hellie była kalifornijskim słoneczkiem o jasnych, błękitnych oczach, dziewczyna prosto z czasopisma. To nie mogła być prawda. Pożegnały się pośród krwi i zemsty, w płytkich, mętnych wodach rzeki Los Angeles. Siła Hellie poniosła Alex z powrotem do mieszkania, gdzie czekało jej zimne ciało. Błagała Hellie, żeby została, a potem położyła się, po części mając nadzieję, że już się nie obudzi. Kiedy się obudziła, policjanci świecili jej w oczy, a Hellie, jedyne słońce w jej życiu, przepadła.

– Do cholery, Alex, na co czekasz? – spytała Hellie.

Alex nie wiedziała. Wezbrał w niej śmiech. A może szloch? Podbiegła i objęła Hellie, wtuliła twarz w jej włosy. Pachniała szamponem kokosowym, jej skóra była ciepła, jakby dziewczyna leżała w słońcu. Nie była Szara, nie była czymś nieumarłym, ale była ciepła, ludzka i żywa.

A może to nie była ani kara, ani próba? Może chociaż raz szczęście pobiegło w jej stronę, zamiast uciekać? A jeśli to była jej nagroda za

tak wiele cierpienia? Może tym razem magia podziiała tak, jak powinna, tak jak to wyglądało w opowieściach?

- Nie rozumiem - powiedziała, kiedy usiadły na ławce pod drzewem. Odgarnęła jedwabiste blond włosy z opalonej twarzy Hellie, podziwiając jej piegi, niemal białe rzęsy, wyszczerbioną jedynekę po tym, jak spadła z deskorolki w Balboa Park. - Jak?

- Nie wiem - szepnęła Hellie. - Byłam... Nie wiem, gdzie byłam. A teraz jestem... - Rozejrzała się skonsternowana. - Tutaj.

- W Yale.

- Co?

Alex się roześmiała.

- Na Uniwersytecie Yale. Uczę się tutaj. Jestem studentką.

- Chrzanisz.

- Wiem, wiem.

- Masz coś?

Alex pokręciła głową.

- Nie... Już mnie to nie kręci.

- Jasne - odpowiedziała ze śmiechem Hellie. - Dziewczyna z college'u. Ale ja potrzebuję czegoś. Żeby poczuć się ciut lepiej.

Alex nie zamierzała odmawiać. Nie, kiedy Hellie siedziała obok niej. Żywa. Złota i idealna.

- Coś wymyślę.

- W porządku.

- Nie musisz szeptać - powiedziała Alex, głaszcząc jej rękę. - Jesteśmy tu bezpieczne.

Hellie obejrzała się przez ramię, potem spojrzała za Alex, jakby spodziewała się, że coś czai się w mroku.

- Alex - powiedziała, nadal szepcząc. - Wątpię, żebyśmy były bezpieczne.

- Zaopiekuję się tobą. Obiecuję. Jestem teraz silniejsza, Hellie. Potrafię różne rzeczy.

- Len...

- Nie martw się nim.

- Tęskni za tobą.

Alex poczuła coś zimnego, co prześlizgnęło jej się po trzewiach.

- Nie chcę o nim rozmawiać.

- Powinnaś dać mu drugą szansę.

- On nie żyje. Zabiłam go. Razem go zabiłyśmy.

- Ja też byłam martwa, nie?

- Aha - odpowiedziała Alex i teraz też szeptała. - Byłaś. I brakowało mi ciebie każdego dnia.

- Powinnaś była przyjść po mnie - powiedziała Hellie. W mroku jej oczy były ciemne, błyszczały od łez. - Powinnaś była mi pomóc.

- Nie wiedziałam, że mogę. - Alex nie chciała płakać, lecz walka ze łzami nie miała sensu. - Już wszystko jest w porządku. Słowo daję. Mogę cię ochronić.

Niedowierzające spojrzenie Hellie raniło.

- Wcześniej nie potrafiłaś.

To prawda. Tylko Alex wyszła żywa ze Strefy Zero, przeżyły Lena i Ariela.

- Teraz sytuacja jest inna.

- Len może nam pomóc.

Alex otarła łzy Hellie.

- Przestań o nim mówić. On nie żyje. Nie może nas skrzywdzić.

- Może o nas zadbać. Same nie damy sobie rady.

Alex miała ochotę krzyknąć, ale zmusiła się do tego, by mówić spokojnie. Nie wiedziała, co Hellie przeszła, odkąd umarła. Nie wiedziała, czego wymagał powrót do świata żywych.

- Mówię ci, że teraz jest inaczej. Możesz zostać ze mną. Pomogę ci znaleźć pracę, szkołę, co tylko zechcesz. Będzie tak, jak zawsze planowałyśmy. Nie potrzebujemy go.

- To wszystko jest na niby, Alex.

Pogarda Hellie była tak niezachwiana, tak znajoma, że Alex ogarnęły wątpliwości. Czy cokolwiek z tego działa się naprawdę? Dziedziniec. Wieże college'u Jonathana Edwardsa i grobowiec Czaszki i Kości. Yale. A jeżeli to wszystko było głupią bajką, którą dla nich wymyśliła?

Alex pokręciła głową.

- To istnieje naprawdę. Chodź. - Wstała, ciągnąc ją za rękę. - Pokażę ci.

- Nie. Musimy tu zostać. Musimy poczekać na Lena.

- Pieprzyć Lena. Pieprzyć ich wszystkich.

Coś zaszeleściło w krzakach. Alex obróciła się gwałtownie, ale niczego tam nie było. Podniosła wzrok na gałęzie drzewa. Duch chłopczyka szlochał cicho, kucając na konarze. Nie bawił się w chowanego ani w nic innego. Był przerażony. Dlaczego?

Alex pociągnęła Hellie za rękę, zmuszając ją do wstania.

- Musimy iść, dobrze? Możemy porozmawiać o Lenie albo o czymś innym, ale wynośmy się stąd. Kupię ci coś do jedzenia... czy czego potrzebujesz. Proszę.

- Powiedziałaś, że możesz nas ochronić.

- Mogę - odpowiedziała Alex, ale była teraz trochę mniej pewna. Przed Szarymi? Pewnie. Przed złymi chłopakami? Zrobi, do cholery, co w jej mocy. Ale wiedziała też, że zapada noc, a gdzieś tam krążą takie istoty jak Linus Reiter. - Musisz mi zaufać.

Hellie popatrzyła smutno.

- Ufałam ci.

Gdyby Hellie wróciła rozgniewana, mściwa, żądna krwi, Alex poradziłyby sobie z czymś takim, może nawet by się ucieszyła. Razem podpaliłyby świat. Jednakże ból wyrzutów sumienia i wstyd - tego było za dużo. W tym utonie.

- Powiedz mi, co mogę zrobić, żeby to naprawić - poprosiła Alex.

- Powiedz mi, co mam powiedzieć.

Hellie ujęła jej policzek. Przesunęła kciukiem po jej dolnej wardze.

– Wiesz, że twoje usta nadają się tylko do jednego, Alex. I nie chodzi o mówienie.

Alex wzdrygnęła się. Hellie nie mówiła w taki sposób. To Len tak mówił.

Hellie wbijała palce w jej czaszkę, przyciągając ją do siebie.

– Hellie...

– Był dla nas dobry – warknęła Hellie. – Opiekował się nami.

– Puść mnie.

– Miałyśmy tylko jego, a ty go zabiłaś.

– Chciał cię wyrzucić jak worek ze śmieciami!

– Pozwoliłaś mi umrzeć.

Hellie cisnęła nią o ziemię, Alex upadła na kolana. Poczowała kopniaka w bok, a potem Hellie wepchnęła jej twarz w ziemię. Smród gnijących liści i deszczówki wypełnił nozdrza Alex.

– To ty pozwoliłaś mi umrzeć, a nie Len.

Hellie miała rację. Gdyby obudziła się, kiedy Hellie wróciła tamtej nocy, gdyby sama wróciła wcześniej do domu, gdyby nie zasnęła w kinie, gdyby odmówiła Lenowi, byłoby po wszystkim. Gdyby zostały w Vegas, mogłyby siedzieć tam teraz i wpatrywać się w piękne szkło w tym wielkim hotelu, wachając perfumy i kryjący się pod nimi zastarzały smród papierosów.

Hellie pchnęła potylicę Alex, lecz Alex nie stawiała oporu. Płakała, bo zawiodła Hellie, wielokrotnie.

– Właśnie. – Hellie obróciła ją i wepchnęła jej do ust garść gnijących liści. – Udławiłam się własnymi wymiocinami, leżąc obok ciebie. A ty obwiniasz Lena? Pozwoliłam, żeby Ariel mnie zerznął. Włożył we mnie jakiś elektryczny poganiacz dla bydła. Uważał, że to zabawne, jak się szarpie, kiedy rżnie mnie w tyłek. Zrobiłam to dla nas. Poświęcałam się, a ty siedzisz tu z nowymi przyjaciółmi w nowych ciuchach i udajesz, że mnie kochałaś.

„Bo kochałam” – próbowała powiedzieć Alex.

Nadal cię kocham.

- To ty powinnaś była umrzeć, nie ja. To ja skończyłam szkołę. To ja miałam prawdziwą rodzinę. Pozwoliłaś mi umrzeć i ukradłaś życie, które powinno być moje.

- Przepraszam, Hellie, proszę, mogę to naprawić...

Hellie uderzyła ją, nie do końca trafiając - nie żeby zrobić jej krzywdę, ale żeby się zamknęła.

Gdy siedziała na Alex, jej ciało było ciepłe. Za ciepłe. Jej ręce były ciepłe, gdy Alex ich dotykała. Policzki było gorące, gdy Alex dotykała jej twarzy.

Chociaż miała na sobie tylko T-shirt.

Chociaż to był listopadowy wieczór w New Haven.

Alex sięgnęła pod kołnierzyk po sznur solnych pereł. Przepadły, musiały gdzieś spaść... Nie, pęknięty sznur nadal tam był, zostały dwie perełki. Złapała jedną i zmiażdżyła w ręce, cisnęła solny pył w wilgotne powietrze.

Stwór, który na niej siedział, wzdrygnął się, przenikliwy, ostry skowyt wyrwał mu się z ust. Oczy miał czarne - to nie był błękit Pacyfiku, który Alex tak bardzo kochała. Ponieważ ten potwór w ogóle nie był Hellie. Magia nigdy nie działa w taki sposób. Nie będzie żadnej nagrody na koniec jej cierpień. Nie będzie nagrody za przetrwanie. Co martwe, to martwe.

- Tak właśnie myślałam - powiedziała Alex, wypluwając liście i ziemię z ust, wstając chwiejnie. Ile razy wcześniej nie wstała?

- Zostawiłaś mnie - powiedziała Hellie łamiącym się głosem.

To nie miało znaczenia, że Alex wie, że to nie jest naprawdę Hellie. Nic nie mogło powstrzymać narastania w niej bólu i żalu. Te uczucia były prawdziwe. Jednakże tym razem Alex spostrzegła coś innego w oczach Hellie - nie tylko ból, ale i coś niecierpliwego. Głód.

„Demony żywią się naszymi podstawowymi emocjami”. Karmią się żądzą, miłością albo radością. Bolescią. Albo wstydem.

– Jesteś głodna, co? – powiedziała Alex. – A ja tu stoję i cię karmię.
Hellie wyszczerzyła zęby w znajomym, słodkim uśmiechu.

– Zawsze mi smakowałaś, Alex.

– Nie jesteś Hellie – warknęła Alex.

Wyciągnęła rękę i mały Szary wszedł w nią z piskliwym, zawodzącym krzykiem na ustach. Poczowała smak kamfory, usłyszała stukot końskich kopyt, zwęszyła zapach wody różanej – jego matka jej używała. Odepchnęła demona obiema rękami, ale nie zatoczył się do tyłu. Skoczył na niski murek okalający ogród i zastygł w bezruchu gotowy do ataku.

Umysł Alex krzyczał. Nie-całkiem-anioł. Nie-całkiem-Hellie. Jednak demon wyglądał tak samo jak ona i poruszał się z jej gracją.

– Nie możesz tak po prostu nas zostawić – powiedział demon głosem Hellie. – Jesteśmy twoją rodziną.

I rzeczywiście byli. Nie tylko Hellie, ale także Len. Betcha. Tylko ich miała przez tak długi czas. I chciała to zmyć, wyszorować do czysta, nie zostawiając niczego poza pustą dziurą jak po wybuchu w starym mieszkaniu. Wybudowała coś nowego i błyszczącego nad tym pustym miejscem.

– Dlaczego to ty dostałaś drugą szansę? – dopytywała się Hellie, podchodząc. – Nowe życie?

Alex wiedziała, że powinna uciekać, ale złapała się na tym, że próbuje odpowiedzieć, podać powód, który byłby jej argumentem, nie Hellie. To jest zagadka, to jest pułapka, zrozumiała. Chociaż to także była prawda. To Hellie powinna była przeżyć.

Ręka Hellie zacisnęła się na jej gardle. To było prawie jak pieścizota.

– To powinnam być ja – powiedziała. – To mnie było pisane odbić się od dna. To ja miałam zostawić w tyle ciebie.

– Masz rację – wykrztusiła Alex, czując świeże łyzy na policzkach. Wola walki uchodziła z niej. – To powinnaś była być ty. – Alex nigdy

nie miała swojego miejsca w tym życiu, każdy dzień był walką, nową okazją do porażki, wojną, której nie mogła wygrać. Piękna i dzielna Hellie poradziłyby sobie śpiewająco. – To powinnaś być ty – powtórzyła; słowa rozplynęły się w szloch, kiedy zacisnęła palce na ostatniej solnej perełce. Ale wyszło inaczej, pomyślała. – Życie jest okrutne. Magia istnieje naprawdę. A ja nie jestem gotowa umrzeć.

Cisnęła perłą w czoło demona i poczuła, jak eksploduje pod jej dłonią. Zupełnie jakby czaszka pękła i rozsypała się jak wilgotny piasek, czoło zamieniło się w krwawy krater. Demon wrzasnął, jego skóra syczała i bulgotała.

Alex uciekła – zbiegła schodami na ulicę. Klitka znajdowała się bliżej, jednak Alex pobiegła do Il Bastone, dając się nieść sile małego Szarego. Potrzebowała biblioteki. Potrzebowała znowu poczuć się bezpiecznie.

Wyciągnęła po omacku telefon i zadzwoniła do Mercy, nie zwalniasz kroku.

– Gdzie jesteś?

– W domu. Mam twoją torbę. Czy...

– Zostań tam. Nie otwieraj nikomu, kto... sama nie wiem... kto nie powinien być żywy.

Rozłączyła się i popędziła Elm Street. Mimo siły Szarego nogi się pod nią trzęsły, mięśnie były wyczerpane ciężkimi przejściami z minionego tygodnia.

Alex zaryzykowała i obejrzała się, rozejrzała się po tłumie studentów w czapkach i płaszczach. Zatrzymała się, żeby wybrać kolejny numer. Znowu biegła, zanim Dawes odebrała.

– Nadal jesteś u Trippa? – zapytała Alex. Już była zadyszana. – Przyjdź do Il Bastone.

– Nie wolno nam wchodzić do Il Bastone.

– Dawes, po prostu przyjdź. I ściągaj tu Turnera i Trippa.

– Alex...

- Zrób to, kurde! Przyniosłam coś ze sobą z piekła. Coś niedobrego.

Alex znowu obejrzała się przez ramię, nie bardzo wiedząc, co spodziewa się zobaczyć. Hellie? Lena? Jakiegoś innego potwora?

Nie pozostało jej nic innego, jak biec.

Kiedy biegła Orange Street, poczuła, że mały Szary domaga się, żeby go wypuścić. Miotał się w niej, jakby dostał za dużo cukru. Nie zamierzała go jednak wypuścić, dopóki nie miała pewności, że dotrze do Il Bastone.

Pokonała schody jednym niezręcznym skokiem. A jeśli drzwi pozostaną teraz dla niej zamknięte? Może zarząd Lete już wygnał ją z tego chronionego azylu? Przegnał z miejsca ciszy, bezpieczeństwa i obfitości?

Jednakże drzwi otworzyły się gwałtownie. Alex wpadła do środka i się przewróciła. Poczuela, jak mały Szary został z niej wyszarpięty, gdy czary ochronne uniemożliwiły mu wejście nawet w ukryciu jej ciała. Wypadł naburmuszony, zabierając ze sobą swoją siłę. Drzwi zatrzasnęły się za nią z takim impetem, że w oknach zadzwoniły szyby.

Uda jej dygotały z wysiłku. Złapała się poręczy, żeby nie upaść, poczuła chłodne drewno pod dłonią. Przycisnęła czoło do zakończenia, krawędzie wzoru w słoneczniki odciskały się na jej skórze. To był dom. Nie akademik. Nie ruina, którą zostawiła w Los Angeles.

Nabierała powietrza długimi oddechami i zmusiła się do wyjrzenia przez okno salonu od frontu. Hellie – czy raczej demon udający Hellie – stała na chodniku po drugiej stronie ulicy. Jak Alex mogła go wziąć za prawdziwą Hellie? Hellie poruszała się z pewnością i gracją sportowca, swobodna w swoim pięknie, nawet kiedy ich życie strzępiło się na brzegach. Jednakże stwór po drugiej stronie ulicy stał napięty, ostrożny, ledwie panując nad swoim głodem.

„To mnie było pisane odbić się od dna. To ja miałam zostawić w tyle ciebie”.

– Zamknij się – mruknęła Alex, ale nie mogła udawać, że słowa demona to kłamstwo. Niewłaściwa dziewczyna umarła w Strefie Zero.

Alex wzięła telefon i wysłała wiadomość do całej grupy: „Przed Il Bastone stoi blondynka. Wygląda jak dziewczyna. TO NIE JEST DZIEWCZYNA. Posłuchcie się sobą”.

Dostrzegła wtedy ruch na chodniku. Dawes i Tripp. Dostali jej wiadomość?

Alex się zawahała. Nie miała czasu, żeby wpaść do zbrojowni po sól i broń. Nie zostały żadne solne perełki. W porządku. Nie mogła stać tu i niczego nie zrobić.

„Ukradłeś moje życie. Ukradłeś moją szansę”.

Alex zadrżała i otworzyła szeroko drzwi.

– Dawes!

Demon skoczył przez ulicę prosto do Alex na werandzie Il Bastone; to były dzikie, nieludzkie susy. Alex przygotowała się na uderzenie.

Demon skoczył nad niskim czarnym ogrodzeniem i wrzasnął, padł bezładnie na ziemię, ciało mu się zagotowało, kiedy Dawes i Tripp cisnęli w niego garściami soli.

Powinna była wiedzieć, że Pamela Dawes pojawi się przygotowana.

– Wracaj do środka! – krzyknęła Dawes.

Alex nie trzeba było tego powtarzać. Potykając się, wbiegła po schodach i z powrotem do wejściowego holu. Kiedy już Dawes i Tripp byli w środku, zamknęli drzwi na klucz i prawie podskoczyli, gdy rozległ się dzwonek na tyłach domu.

Mercy i Turner czekali na zewnątrz.

– Jesteśmy tu bezpieczni? – zapytał Turner, obrzucając wzrokiem korytarz, gdy już weszli.

Alex przyszła do głowy niepokojąca myśl.

- Co widziałeś?

Turner przechodził z pokoju do pokoju, zasuwając zasłony, jakby spodziewał się ostrzału snajpera.

- Martwego człowieka.

- O Boże - wyrwało się Mercy. Stała przed oknem na froncie budynku i wyglądała na ulicę.

Stała tam Hellie, ale nie była sama. Towarzyszył jej Blake Keely z głową całą i idealną, śliczną jak tort weselny. Stał tam też mężczyzna w średnim wieku, w tanim garniturze i ze skrzyżowanymi rękami. Kołysał się na piętach, jakby widział już wszystko i nic tutaj nie robiło na nim wrażenia. I był tam jeszcze wysoki, smukły chłopak, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Spencer - powiedział Tripp. - Wy... wy go widzicie? Myślałem, że coś mi się zwiduje.

Alex rozpoznała wszystkich. Widziała ich w piekle. Wszystkie ich ofiary. Wszystkie ich demony.

- Nie zamknęliśmy drzwi - powiedziała Dawes chropawym ze strachu głosem. - Nie dokończyliśmy rytuału i...

- Nie mów tego - wszedł jej w słowo Tripp. - Nie mów.

Dawes wzruszyła ramionami. Pobladła.

- Musimy wrócić.

To było po części pytanie, po części prośba, żeby ktoś ją poprawił.

- Chodźcie - powiedziała Alex. - Zajrzyjmy do biblioteki.

Dawes włożyła ręce pod bluzę.

- Jeśli Anselm...

Alex machnęła na to ręką.

- Gdyby Anselm był w stanie uniemożliwić nam wejście do Il Bastone, to już by to zrobił. To nasz dom.

Dawes zawahała się, a potem zdecydowanie skinęła głową.

- Najpierw coś ugotujemy.

Dawes zrobiła gar rosołu i właśnie gotowała pierożki, a pozostałych wysłała na górę z listą terminów do wypisania w Księdze Albemarle'a. Kiedy regał się odchylił, wpuszczając ich do biblioteki, Alex zdziwiła się, że przestrzeń wydaje się większa, jakby dom wiedział, że większa grupa potrzebuje więcej miejsca.

Usiedli do czytania, każdy ze schludnym stosem fiszek dostarczo-
nym przez Dawes z nieskończonego – jak podejrzewała Alex – zapasu. Za szybko zebrali się ponownie razem, po tym, co widzieli, i po tym, co przeszli. Potrzebowali czasu, żeby otrząsnąć się z cudzych wspomnień, odsunąć żal i smutek do przeszłości, zanim choćby rozważą kolejne zejście. Nie mieli jednak takiego luksusu.

Wszyscy poza Mercy nadal cierpieli z powodu skutków pierwszej podróży. Alex widziała oznaki. Wszyscy trzęśli się z zimna. Tripp miał ciemne sińce pod oczami, jego zwykle rumianie policzki stały się ziemiste. Nigdy nie widziała, żeby Turner wyglądał gorzej niż nieskazitelnie, ale teraz miał pomięty garnitur i zarost na podbródku. Wyglądał na znękanego.

Jeśli mieli spróbować po raz drugi zejść do podziemnego świata, to nie mogła być to jedynie misja ratunkowa. Musieli wiedzieć, jak walczyć z wilkami, czy co tam nasłało na nich piekło. Poza tym musieli zwabić swoje demony z powrotem do piekła i dopilnować, żeby nic nie wyszło za nimi, kiedy będą wracać. Jednakże w tej chwili musieli się zorientować, jak powstrzymać demony, zanim wszyscy powariują.

Alex zaczęła badać ten temat, kiedy próbowała odkryć, jak bronić się przed Linusem Reiterem, i wiedziała, że wpakowali się w niezłą kabałę. W przeciwieństwie do Szarych, demonów nie zniechęcały memento mori ani słowa śmierci; nie mieli dawnych życzeń, których mogliby się czepiać, wspomnień z ludzkiego życia, niedokończonej sprawy. Darlington albo Michelle Alameddine powinni być z nimi

w bibliotece. Ktoś, kto rzeczywiście wie, jak nazwać tych wrogów i jak ich pokonać.

- Co znaleźliście? - zapytała Dawes, kiedy weszła do biblioteki godzinę później.

- Nie ma zupy? - Tripp miał minę, jakby właśnie się dowiedział, że Święty Mikołaj nie istnieje.

- Musi się zredukować - odpowiedziała Dawes. - I nie jemy w bibliotece.

- Nadal są na zewnątrz? - zapytała Mercy.

Dawes skinęła głową.

- Wyglądają... bardzo namacalnie.

Turner popukał w książkę, którą czytał.

- Uważałyście, że Darlington został pożarty, tak? Przez Mammona?

- Możliwe - odpowiedziała ostrożnie Dawes. - Mnóstwo demonów jest związanych z chciwością. Diabłów. Bogów.

„Chciwość jest grzechem we wszystkich językach”. To właśnie powiedział Darlington. Głód pieniędzy Sandowa. Pragnienie wiedzy Darlingtona.

- Jednak te demony nie starają się sprawić, że pocujemy chciwość, prawda? - zapytał Turner.

Ambicja, napęd, pożądanie. Co stało w opozycji do nich?

- Beznadzieja - powiedziała Alex. To właśnie czuła, kiedy Hellie - nie-Hellie - krzyczała na nią. Ogarnęło ją wrażenie nieuniknioności, jakby to było jej pisane i wreszcie dostała to, na co zasłużyła. Była przestępczynią, która ukradła szansę na pozłacane życie, i oczywiście musiała za to zapłacić. To dlatego demon, który ją dręczył, nosił twarz Hellie, a nie Lena czy Ariela. Ponieważ Alex nigdy nie uroniłaby za nich jednej łzy. To utratę Hellie opłakiwała. - Chcą, żeby ogarnęła nas beznadzieja.

- Myślałam, że Hellie była blondynką - odezwała się Dawes.

- Bo jest - odpowiedziała Alex. - Znaczy była.

Mercy pokiwała głową.

– Ja też ją widziałam, na wykładzie z Shakespeare’a.

Dawes miała zatroskaną minę. Bez słowa wyszli za nią z biblioteki i przeszli korytarzem do sypialni Dantego, do okien z widokiem na Orange Street.

Demony nadal tam stały, cała banda kryła się w cieniach pod ulicznymi lampami.

Złote włosy Hellie wyglądały na czarne, oczy na ciemne. Jej ubrania... były całe czarne.

– Ona wygląda jak ty, Alex – powiedziała Dawes.

I miała rację.

Alex przyjrzała się ciepłemu odcieniowi włosów Blake’a Keely’ego, podobnego nieco do jasnorudego koka Dawes. Detektyw Carmichael nosił tani garnitur, kiedy wcześniej spostrzegła go przelotnie, a teraz ten garnitur prezentował się elegancko, był lepiej skrojony, krawat miał odcień ciemnego lila i wyglądał jak coś, co mógłby nosić Turner. A czy Spencer nie wyglądał nieco bardziej żałośnie, nie wydawał się trochę mniej twardy, szorstki?

Co pomyślała wcześniej Alex, gdy patrzyła z Il Bastone na Nie-Hellie pod drugiej stronie ulicy? Że tamtej brakuje swobodnej gracji sportowca, że robi wrażenie ostrożnej, spiętej. Ponieważ patrzyła na siebie. Ten gniew niczym przewód pod napięciem był jej własny.

Alex zaciągnęła ciężkie niebieskie zasłony. Nauczyła się kochać ten pokój, wzór, jaki rzucały witraże późnym popołudniem, wannę na łapach, z której nadal nie odważyła się skorzystać.

– Chyba wiem, co przydarzyło się Linusowi Reiterowi.

– Komu? – spytał Tripp.

– To wampir, na którego napatoczyłam się w Old Greenwich. Tak... tak właśnie straciłam mercedesa.

Dawes nabrała gwałtownie powietrza.

- Wampir? - Mercy sprawiała wrażenie przerażonej i zarazem podniekscytowanej.

- Na miłość boską - powiedział Turner.

- Linus Reiter studiował tutaj, na Yale, ale wtedy nosił inne imię - wyjaśniała Alex. - Był Kościeniem. I myślę, że był jedną z osób, które posłużyły się Womitorium w latach trzydziestych. Podejrzewam, że Linus, a tak naprawdę Lionel, poszedł do piekła.

- Nie możemy być pewni...

- Daj spokój, Dawes. Po co je budować, jeśli nie zamierzasz z niego skorzystać? Po co zabijać architekta...

- Zabili architekta? - pisnęła Mercy.

- Nikt nie zabił Bertrama Goodhue! - warknęła Dawes. A potem zagryzła usta. - A przynajmniej... nie sądzę, żeby ktoś zabił Bertrama Goodhue.

Alex złapała się na tym, że krąży po pokoju. Nie mogła pozbyć się obrazu stwora na chodniku. Tej nie-całkiem-Hellie. Nie-całkiem-Alex.

- Załatwili oryginalnego architekta - powiedziała Alex. - I wbudowali tę szaleńczą lamigłówkę w wielką katedrę. Po co? Żeby się przekonać, czy im się uda? To miał być wielki, ale pusty gest?

- Robili bardziej stuknięte rzeczy - wtrącił Turner.

Nie mylił się. I Alex spokojnie mogła wyobrazić sobie, że nierozważni, śmiali, straszni chłopcy byli zdolni narobić podobnych kłopotów. Dla hecy, jak mógłby powiedzieć Bunchy. Wątpiła jednak, żeby właśnie to nastąpiło tym razem.

- Zbudowali Womitorium - powiedziała. - A potem poszli do piekła. Lionel Reiter, członek Czaszki i Kości, był jednym z pielgrzymów.

Tripp zdjął czapkę i przeczesał palcami jasne włosy.

- Sprowadził z powrotem demona?

- Myślę, że tak. Myślę, że demon go zniszczył. Dosłownie. Myślę, że pozbawił go całkowicie nadziei i ukradł mu życie.

- Ale powiedziałaś, że Reiter to, ehm... wampir. - Tripp wyszeptał ostatnie słowo, tak jak by wiedział, że brzmi nieprawdopodobnie.

- Wampiry to demony - odpowiedziała cicho Dawes. - A przynajmniej tak mówi jedna z teorii.

Zdaniem Alex to miało sporo sensu. Reiter żywił się ludzką udręką. Krew była tylko nośnikiem. I oczywiście to w ogóle nie był Reiter. To był demon, który karmił się prawdziwym Reiterem tak długo, aż zaczął poruszać się jak on, mówić jak on i wyglądać jak on. Podobnie jak demony na chodniku.

Lionel Reiter był synem zamożnej rodziny z Connecticut. Robili bojlerzy. Wybudowali wystawną rezydencję. Wysłali swojego syna i dziedzica do New Haven, żeby uczył się łaciny i greki i nawiązał ważne dla interesów kontakty. I Lionel świetnie sobie radził; trafił nawet do najbardziej prestiżowego stowarzyszenia w szkole. Zaprzyjaźnił się z młodymi ludźmi, których przywoził latem do domu na tenisa i zabawę w rzucanie podkową na trawie, a zimą na sanki i kolegowanie. Z takimi młodymi ludźmi jak Bunchy i Harold.

Zaproszono go do świata wiedzy tajemnej. Czuł się bezpieczny, nawet gdy patrzył, jak haruspik rozcina męczyzn i grzebie w ich wnętrznościach. Stał w szacie, recytował właściwe słowa i czuł podniecenie płynące z mocy i świadomości, że chroni go bogactwo, nazwisko i sam fakt, że nie jest człowiekiem leżącym na stole. Pewnej pamiętnej nocy dołączył do członków Czaszki i Kości, Zwoju i Kluczy, a może nawet Lete. Przeszedł Womitorium i zobaczył... Co? O ile Alex nie myliła się okrutnie co do tych wesołych podróżników, nie byli mordercami. Zatem dokąd trafili w piekło? Jaki zakątek podziemnego świata odwiedzili, co tam zobaczyli? Co sprowadzili ze sobą z powrotem?

- Nie ma żadnych zapisków, co? - zapytał Turner. - O ich małym wypadzie do piekła? Wyczyścili wszystko z książek.

- Próbowali - odpowiedziała Alex. Jednakże biblioteka wiedziała, czym był Reiter, pewnie dlatego, że kiedyś istniały zapiski na temat

ich próby posłużenia się Womitorium. – Powinniśmy sprawdzić *Pamiętniki z czasów w Lete*, osoby, która była Wergiliuszem, gdy Reiter był na ostatnim roku studiów.

Turner oparł się o ścianę, zerkając jednym okiem na demony w dole.

– Chcę mieć pewność, że cię rozumiem. Jeśli nie umieścimy tych... stworów tam, skąd pochodzą, to staną się wampirami?

– Tak myślę – odpowiedziała Alex. Wampirami o ich twarzach, żywiącymi się ich duszami.

– Wyżrą nam serce – wychrypiął Tripp. – Spencer był... On powiedział...

– Ej – przerwała mu Alex. – To jest Spencer.

Tripp uniósł gwałtownie głowę.

– Właśnie że jest. Właśnie taki był Spencer. Wiedział... Zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby najbardziej zabolalo.

Alex nie trzeba było przekonywać. Pamiętała uczucie strachu i bezradności, świadomości, że nikt nie uwierzy w to, że Spencer jest potworem. Zupełnie jakby znowu była małą dziewczynką otoczoną przez Szarych, samotną, bez magicznych słów, przystojnych rycerzy, czy kogokolwiek innego, kto by ją obronił.

Alex usiada obok Trippa na łóżku. Wepchnęła go w coś, do czego nie był przygotowany, i odczuwał skutki bardziej niż pozostali.

– W porządku, Spencer był naprawdę cholernie popieprzony, ale musisz spróbować pamiętać, czym się te stwory karmią. Starają się sprawić, że poczujesz się przegrany, zanim czegokolwiek spróbujesz. Chcą, żebyś się czuł bezradny i mały.

– I świetnie mu to wyszło – odpowiedział Tripp, wbijając wzrok w dywan.

– Wiem. – Rozejrzała się po pokoju, popatrzyła po zebranych; wszyscy byli zmęczeni i przestraszeni. – Kto jeszcze miał z któryms z nich do czynienia?

- Carmichael pojawił się, ale niewiele mówił - powiedział Turner.
- Po prostu śmiertelnie mnie przeraził na sali odpraw.

Dawes schowała ręce pod bluzę od dresu.

- Widziałam Blake'a.

- Mówił coś?

Opuściła głowę. To był jej numer ze znikaniem. Mówiła cicho, głos jej się rwał.

- Miał wiele do powiedzenia.

Alex nie zamierzała naciskać i pytać o szczegóły, jeśli Dawes nie chciała się nimi dzielić.

- Ale tylko mówili?

- A co jeszcze mogliby zrobić? - spytał Turner.

Alex nie była pewna, jak na to odpowiedzieć. Dlaczego Hellie ją zaatakowała, kiedy pozostałe demony poprzestały na słowach? Dlatego, że Alex za nią pobiegła? Czy też po prostu miała talent do najgorszych możliwych rozwiązań?

- Hellie przeszła do rękoczynów.

- Oni mogą... mogą nas skrzywdzić? - Tripp wbijał paznokcie w uda.

- Może to tylko ja - odpowiedziała Alex. - Nie wiem.

- Musimy przygotować się na najgorsze - orzekł Turner. - Nie zamierzam wpakować się w coś, co może być walką na noże, myśląc, że to tylko bardzo ożywiona dyskusja.

Mercy przez cały czas milczała, ale teraz wystąpiła naprzód, jakby miała odśpiewać solówkę przed grupą a cappella.

- Myślę... myślę, że coś znalazłam. W bibliotece. Coś, co może pomóc.

- Najpierw coś zjedzmy - zaproponowała Alex.

Tripp potrzebował tej zupy. I może kieliszka whisky.

Alex była zaskoczona tym, jak bardzo zupa pomogła. Po raz pierwszy od powrotu z podziemnego świata prosto na zimny deszcz w New Haven zrobiło jej się ciepło. Sytuacja nie wydawała się już tak tragiczna. Nie, kiedy miała pierożki w brzuchu i posmak kopru na języku.

– Jasna cholera, Dawes, możesz zamieszkać u mnie i mnie utuczyć? – powiedział Tripp, szczerząc zęby w uśmiechu, jakby Spencer i pozostali byli złym koszmarem, o którym zapomniał. – Proszę.

Dawes przewróciła oczami, jednak Alex widziała, że zrobiło jej się miło.

Żadne z nich nie patrzyło w stronę okien, które pozostały zasłonięte.

Poszli poszukać *Pamiętnika z czasów w Lete*, z okresu, kiedy Lionel Reiter studiował na Yale. Rudolph Kittscher pełnił wtedy funkcję Wergiliusza, ale o ile zachowano jego *Dajmonologię*, o tyle jego pamiętniki przepadły. Wszystkie padły ofiarą późniejszej czystki.

Mimo to Dawes była uradowana czarem ochronnym, który znalazła Mercy. Potrzebne były tylko składniki z zapasów Lete i uważała, że powinno dać się to zrobić w Tyglu Hirma. Dała każdemu listę składników do zebrania i przez następną godzinę w słabym świetle zbrojowni przeszukiwali szufladki i szklane gabloty w ciszy, którą przerywał Tripp nucący rockowe kawałki i od czasu do czasu pokrzykujący, gdy dotknął czegoś, czego nie powinien.

– Po co w ogóle trzymacie te rzeczy? – narzekał, ssąc palec po tym, jak ugryzł go medalion należący do Jennie Churchill.

– Bo ktoś musi tego pilnować – odpowiedziała sztywno Dawes. – Skup się, proszę, na liście i postaraj się niczego nie wysadzić.

Tripp odął dolną wargę, ale wrócił do pracy i już minutę później pośpiewywał *Under the Bridge* całkiem znośnym falsetem. Alex nie miała serca, żeby mu powiedzieć, że z radością spędziłaby następane dwa semestry w piekle, byle nigdy więcej nie słuchać Red Hot Chili Peppers.

Przepis był banalny: masa ochronnych ziół, w tym szałwia, werbena i mięta, do tego stos zmielonych ametystów i czarnego turmalinu, pióra wrony związane rozmarynem, suszone oczy kawki, które uderzyły o dno tygla z brzękiem jak kamyczki. Z pomocą Turnera Dawes usunęła kilka listew przypodłogowych spod tygla, odsłaniając stos węgielków. Wyszepiała kilka słów w grece i rozjarzyły się na czerwono, delikatnie podgrzewając dno wielkiej złotej misy.

– To najwspanialsza chwila w moim życiu – szepnęła podekscytowana Mercy.

– To wszystko ma swoją cenę – ostrzegła ją Alex.

Te węgle nigdy do końca nie stygły, nigdy do końca nie gasły, nie wymagały uzupełniania. Przedsięwzięcie Union Pacific posłużyło się nimi, żeby zdominować koleje, a stworzenie każdego brykietu wymagało ofiary z człowieka. Nikt nie wiedział, czyją krew przelano, żeby je stworzyć, ale podejrzewano, że robotników, imigrantów z Irlandii, Chin i Finlandii. Mężczyzn, których nikt nie będzie szukać. Węgiel dotarł do Yale poprzez Williama Averella Harrimana, Kościeja. Większość przepadła albo została skradziona, ale kilka się zachowało – kolejny przeklęty dar dla Lete, kolejna krwawa mapa ukryta w piwnicy.

– Mamy dość zapasów, żeby zrobić to raz – powiedziała Dawes, kiedy Alex i Mercy przydzwigały worki soli z Prahovy i tajnej komnaty w Zipaquirá i wysypały je do tygla. – Czy ktoś poda mi łopatkę do mieszania?

Tripp prychnął, a potem wymamrotał pośpiesznie „przepraszam”, kiedy Dawes spiorunowała go wzrokiem.

Alex znalazła szklaną gablotę obwieszoną najróżniejszymi rzeczami, od winchestera model 1873, który przypieczętował zgubę Sarah Winchester, przekonanej, że zły los przyszedł za nią aż z Kalifornii, po kij od miotły, który pamiętał czasy palenia czarownic w Szkocji w XVII wieku; osmolił się, ale nie spłonął na stosie. Było tam też coś, co wyglądało jak berło z czystego złota i smukły jesionowy kijek, rzeźbiony i idealnie wypolerowany. Przypominał trochę różdżkę czarodzieja, gdyby czarodziej planował zrobienie pizzy w prawdziwym piecu.

– Musimy cały czas mieszać – powiedziała Dawes, gdy zaczęła łączyć składniki, poruszając łopatką w stałym rytmie. – A teraz spluńcie.

– Słucham? – zdumiał się Turner.

– Potrzebujemy dość śliny, żeby sól się rozpuściła.

– Wreszcie mogę błysnąć – powiedział Tripp i splunął.

– To obrzydliwe – orzekła Mercy i z gracją splunęła do kotła.

Miała rację, chociaż Alex wolała to od kolejnej wizyty w ptaszarni Manuskryptu.

– No dobrze, kto chce spróbować pomieszać? – spytała Dawes, nie przerywając rytmicznego mieszania. – Tylko nie zgubcie rytmu.

– Jak długo musimy to robić? – spytał Turner, zręcznie przejmując mieszadło.

– Aż mikstura zostanie pobudzona – odpowiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało.

Kolejno zmieniali się przy mieszaniu jesionową łopatką, aż zmęczyły im się ręce. Nie prezentowało się to magicznie i Alex ogarnęło nerwowe zażenowanie. Magia powinna być mistyczna, niebezpieczna, a nie sprowadzać się do bajzlu na dnie wielkiej miski do mieszania. Może jakaś częśćka jej osoby chciała, żeby pozostali byli pod wrażeniem tego, co Lete potrafi, pod wrażeniem mocy ich arsenału.

Jednakże Dawes nie wyglądała na ani odrobinę przejętą. Była całkowicie skupiona na zadaniu i kiedy tygiel zaczął wibrować, zabrała łypatkę z ręki Alex, mówiąc:

- Daj to mnie.

Alex cofnęła się i poczuła żar bijący z podłogi, promieniujący z tygla.

Mikstura skrzyła się i syczała, poświata oświetlała zdeterminowaną twarz Dawes. Włosy wysunęły jej się z koka i opadały na ramiona wilgotnymi, rudymi puklami. Pot błyszczał na jej bladym czole.

Ja pierdole, pomyślała Alex, Dawes jest wiedźmą. Uprawiała magię, posługując się miksturami i naparami, leczniczymi maściami, domowymi zupami, plastikowymi pojemnikami z bulionem stojącymi w lodówce i czekającymi na moment, kiedy będą potrzebne. Ile razy wyleczyła Alex albo Darlingtona filiżankami herbaty i kanapeczkami, miskami zupy i słoikami z przetworami?

- Utrzymajcie rytm - rozkazała Dawes, a oni uderzali rękami w boki tygla. Niósł się dźwięk głośniejszy, niż powinien, wypełniając pomieszczenie i sprawiając, że ściany się trzęsły, a żar buchał z kotła falami drżącego powietrza.

Alex usłyszała głośny wystrzał, jakby korek wyskoczył z szampana, chmura bursztynowego dymu buchnęła z tygla, zalewając jej usta i nos. Oczy ją zapiekły. Wszyscy zgięli się w pół, kaszląc i kompletnie gubiąc rytm.

Kiedy dym się rozwiął, w tyglu został tylko stos pylistego białego popiołu.

Mercy przekrzywiła głowę.

- To chyba nie podziałało.

- Myślałam... myślałam, że dobrze dobrałam proporcje - powiedziała Dawes, a jej pewność siebie rozwiła się razem z dymem.

- Poczekaj - powiedziała Alex.

Coś tam leżało. Pochyliła się nad krawędzią tygla i wyciągnęła rękę. Był dość głęboki, żeby krawędź wbiła jej się w brzuch. Musiała wspiąć się na palce. Jednak musnęła opuszkami w popiele coś konkretnego. Wyciągnęła to i oczyściła. Na jej rękę leżała solna rzeźba przedstawiająca węża. Gad spał zwinięty w krąg, opierając głowę płasko na ciele.

- Talizman - powiedziała Dawes i pokraśniała z dumy. - Udało się!

- Ale co on... - Alex prawie krzyknęła, kiedy wąż rozwinął się na jej rękę. Owijając się wokół jej przedramienia, przesunął się ku łokciowi i zniknął w jej skórze.

- Patrzcie! - krzyknęła Mercy.

Na nagich rękach Alex błyszczały łuski. Jarzyły się jasno, a potem przygasły, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

- Tak to miało wyglądać? - spytała.

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Dawes. - Czar, który Mercy znalazła...

- To było zaklęcie ochronne - dokończyła Mercy. - Czujesz jakąś zmianę?

Alex pokręciła głową.

- Jestem poobijana, posiniaczona, pełna świetnej zupy. Zero zmian.

Tripp sięgnął do tygla i prawie do niego wpadł. Turner złapał go za pas szortów i wyciągnął z powrotem. Tripp trzymał w rękę ptaka.

- To mewa? - zapytał.

- Albatros - wyjaśniła zatroskana Dawes.

Kiedy patrzyli, albatros rozłożył solne skrzydła. Wzbił się w powietrze, okrążył Trippa, wylądował mu na ramieniu i wszedł w jego ciało, jakby znalazł idealne schronienie. Wzór srebrzystych piór obsypał Trippa i zaraz zniknął w jego skórze.

- To są niesamowite ptaki - powiedziała Mercy, wymachując rękami, jakby też miała zaraz polecieć. - Potrafią zablokować skrzydła

i spać w locie.

Tripp wyszczerzył zęby w uśmiechu, wyciągając ręce.

– Serio?

– Serio – potwierdziła Mercy.

To była najbardziej uprzejma rozmowa, jaką do tej pory odbyli.

Dawes sięgnęła z wahaniem do popiołu.

– A ja... Co to jest?

Małeńkie stworzenie w ręce Dawes miało ogromne oczy i dziwne ręce i stopy, a poza tym prawie przypominało człowieka. Siedziało tak, jakby chowało twarz.

– To lori wysmukły – wyjaśniła Mercy.

– Jest przesłodki, tyle wam powiem – wtrąciła Alex.

Lori z soli zerknął z dłoni, a potem nieśpiesznie i z wdziękiem wspiął się po ręce Dawes. Musnął pyszczkiem jej ucho, zwinął się w załomie szyi i się rozplynął. Przez chwilę oczy Dawes lśniły jak dwa księżycy.

Turner nie był pod wrażeniem.

– Będzie zabijał demony swoją słodyczą?

– One potrafią być śmiertelnie niebezpieczne – broniła stworzenia Mercy. – To jedyne naczelné, które mają zęby jadowe i poruszają się niemal bezgłośnie.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała Alex.

– Byłam naprawdę samotnym dzieckiem. Mała popularność ma tę zaletę, że masz dużo czasu na czytanie.

Alex pokręciła głową.

– Rety, naprawdę trafiłaś w odpowiednie miejsce.

– Czytałam o lori – wtrąciła Dawes. – Po prostu żadnej nie widziałam. To nocne stworzenia. I kompletnie nie nadają się na domowe pupile.

Alex się roześmiała.

– To mi pasuje.

Turner westchnął i zerknął w stos popiołu.

- Lepiej, żeby tam siedział cholerny lew. - Wyciągnął rzeźbę z tygła. - Drzewo? - zapytał z niedowierzaniem.

Tripp wybuchnął śmiechem.

- Myślę, że to dąb - powiedziała Dawes.

- Potężny dąb? - podsunęła pomocnie Mercy.

- Dlaczego wszyscy dostali coś dobrego, a ja mam cholerną roślinę?

- Czar sugerował, że strażnicy będą pochodzić ze świata żywych - powiedziała Dawes. - Poza tym...

- Dąb jest żywy! - Tripp chichotał, złożył się wpół ze śmiechu. - Możesz zatłuc wrogów żołędziami!

Turner się skrzywił.

- To jakiś...

Dąb ożył w jego ręce, strzelił pod sufit, rozpostarł ogromną koronę z białych solnych gałęzi, jego korzenie eksplodowały w podłodze i przewróciły Trippa. A potem owinęły się wokół Turnera i stopiły się z jego skórą. Przez chwilę nie dawało się odróżnić drzewa od człowieka. A potem lśniące gałęzie wyparowały.

Mercy była ostatnia. Alex przypilnowała, żeby nie wpała do tygła. Wyciągnęła brykającego konika z grzywą falującą jak woda.

Kiedy tylko Mercy postawiła stopy na ziemi, konik rozłożył skrzydła, stanął dęba, okrążył pokój, rosnąc. Od uderzeń kopyt trzęsła się cała podłoga. Skoczył prosto w Mercy, która krzyknęła i uniosła ręce. Koń zniknął w jej piersi i przez chwilę dwa potężne skrzydła rozciągały się za plecami Mercy.

Mruknęła słowo, którego Alex nie rozumiała. Promieniowała.

- Musimy uprzątnąć popiół - powiedziała Dawes.

- Czekał - odezwał się Tripp. - Tam leży coś jeszcze.

Znowu pochylił się nad krawędzią tygła i wyjął szóstą solną figurkę z popiołu.

- Kot? - spytał Turner, zerkając na rzeźbę na jego dłoni.

Dawes wyrwał się szloch. Zakryła usta ręką.

- I to nie byle jaki - powiedziała Alex, czując niemile widziany ból w gardle.

Kot miał bliźnię na jednym oku i z niczym nie dało się pomylić tej oburzonej mordki. Rytuał wybrał Cosmo na strażnika Darlingtona, chociaż wątpiła, żeby ten kot naprawdę tak się nazywał. Przypomniała sobie białego kota, którego widziała we wspomnieniach starego mężczyzny. Od jak dawna to zwierzę tu żyło?

- Będą nas chronić? - zapytał Tripp.

- Powinny - odpowiedziała Dawes. - Jeśli będzie grozić ci niebezpieczeństwo, poliz nadgarstek, dłoń, albo... dowolne miejsce, które zdołasz osiągnąć.

- Ohyda - powiedziała Mercy.

Dawes zacisnęła usta.

- Alternatywne zaklęcie wymaga, żebym usunęła komuś piszczel i nią zamieszała w tyglu.

- Nie, dziękuję - powiedział Turner.

- Mogę to załatwić prawie bezboleśnie.

- Nie, dziękuję.

Alex przypomniała sobie ćmy pocztowe, za pomocą których Darlington usunął jej tatuaże. To był podarunek dla niej, próba pokazania, że magia może się do czegoś przydać, że nie musi oznaczać dla niej tylko nieszczęścia. To była życzliwa magia z dziecinnych bajek. Przyjazne duchy oferujące ochronę. Koty, węże i skrzydlate zwierzęta, które będą strzegły ich serc. Schowała solnego Cosmo do kieszeni obok porcelanowego pudzera, które wszędzie teraz ze sobą nosiła. Potrzebowała, żeby chociaż raz magia podziałała na ich korzyść. Gdyby zdołali sprowadzić Darlingtona z powrotem do domu, gdyby zdołali zawlec te demony tam, gdzie ich miejsce... Cóż, kto wie, co mogłoby okazać się możliwe? Może już nikt by jej nie dręczył, nawet

Hellie i Darlington. Może zarząd Lete zlitowałby się nad nią. Mogłaby złożyć im taką samą ofertę, jaką złożyła Anselmowi. Z radością zaofiarowałyby swoje dary, gdyby w zamian za to mogła zachować klucze do tego królestwa.

– Jak szybko możemy spróbować wrócić? – spytała.

Dawes zacmokała z namysłem, kalkulując.

– Pełnia jest za trzy dni. Powinniśmy poczekać do tego czasu. Drzwi otworzą się dla nas. Tyle że tym razem to nie będzie takie łatwe.

– Łatwe? – powtórzył z niedowierzaniem Turner. – Nie chcę przechodzić każdej cholernej minuty najgorszej chwili mojego życia po raz kolejny. Wielkie dzięki.

– Mam na myśli to, że otwarcie przejścia będzie trudniejsze – wyjaśniła Dawes. – Ponieważ nie będzie nam sprzyjać Halloween.

– Wątpię – odpowiedziała Alex. – Drzwi otworzą się dla nas na oścież.

– Dlaczego?

– Ponieważ coś po drugiej stronie będzie je popychało, próbując się przedostać. Trudne będzie ponowne ich zamknięcie.

– Powinniśmy... – Dawes zagryzła wewnątrz policzka, jakby magazynowała słowa z myślą o zimie. – Powinniśmy być przygotowani na... coś gorszego.

Tripp zdjął żeglarską czapkę ze znaczkiem Yale, targając przy tym włosy. Alex zauważała, że zaczynają mu się przerzedzać na czole.

– Gorszego?

– Demony uwielbiają zagadki. Uwielbiają sztuczki. Nie wpuszczają nas z powrotem tak po prostu do swojego królestwa, żebyśmy odegrali drugi raz ten sam scenariusz.

Tripp miał minę, jakby chciał wpełznąć do tygła i już nigdy z niego nie wyjść.

– Nie wiem, czy dam radę to powtórzyć.

– Nie masz wyboru – powiedziała Mercy.

To były ostre słowa i Tripp miał minę jakby go spoliczkowano. Alex jednak wreszcie zrozumiała, dlaczego Mercy tak strasznie go nie lubi. Za bardzo przypominał Blake'a. Nie był drapieżnikiem, jego okrucieństwo nie przekraczało granic normy, to było ostrze uprzywilejowania, bo posiadał więcej niż inni, i nie do końca zdawał sobie sprawę z broni, jaką trzyma w ręce. Jednak na pierwszy rzut oka wyglądał jak ulepiony z tej samej gliny co Blake.

- Wszyscy mamy wybór – odparł z naciskiem Turner.

Alex otworzyła usta, żeby się sprzeciwić – nie mają wyboru, jeśli nie chcą żyć torturowani, nadal pozostał dług do spłacenia – kiedy poczuła zapach dymu.

- Coś się pali – powiedziała.

Popędzili na dół.

- Kuchnia! – krzyknął Turner.

Alex wiedziała jednak, że Dawes nie zostawiła włączonej kuchenki.

Parter napełnił się dymem, a kiedy zbiegli po schodach, Alex zobaczyła, że witrażowe okna jarzą się blaskiem ognia. Demony podpaliły wejście do Il Bastone.

- Próbują nas wykurzyć! – powiedział Turner. Już trzymał telefon w ręce i dzwonił po straż pożarną. – Gdzie macie gaśnicę?

- W kuchni – odpowiedziała Dawes, kaszląc, i pobiegła po nią.

Alex odwróciła się do Mercy i Trippa.

- Wyjdźcie tylnymi drzwiami. I trzymajcie się razem. Poczekajcie na mnie na zewnątrz, dobrze?

- W porządku – odpowiedziała Mercy i skinęła głową. – Ruchy – warknęła do Trippa.

Alarm przeciwpożarowy Il Bastone zaczął piszczeć płacząco jak zranione zwierzę. Alex poczekała tylko tyle, żeby zobaczyć, jak Mercy i Tripp odchodzą korytarzem, a potem pobiegła do kuchni. Przechwyła Dawes i zabrała jej gaśnicę. Musiała się nią posłużyć, kiedy Len

podpalił tłuszcz w kuchni ich mieszkania, smażąc bekon, a mimo to słabo sobie z nią radziła.

Turner zabrał jej gaśnicę.

- Chodź - powiedziała.

Otworzyła szeroko frontowe drzwi. Płomienie pożarły trawę i żywopłot. Ryczały kolumnami. Alex miała wrażenie, że też płonie, jakby słyszała krzyk domu.

Demony stały w świetle ognia, a cienie za nimi brykały i tańczyły. Usłyszała szum gaśnicy, kiedy Turner próbował stłumić ogień. Nie zatrzymała się jednak. Podeszła do demonów.

- Alex! - krzyknął Turner. - Co ty, kurwa, wyprawiasz? Tego właśnie chcę!

Stwór udający Hellie uśmiechnął się szeroko. Był szczuplejszy, bardziej wygłodniały. Bardziej przypominał Alex. Ale nie całkiem. Zakrzywił palce jak szpony. Oczy miał ciemne i dzikie, usta pełne zębów.

- Chcesz mnie, co, ty tania podróbko? - rzuciła ostro Alex. Przesuwała językiem po nadgarstku. - No to chodź i złap mnie.

Stwór pobiegł ku niej i wrzasnął, cofając się gwałtownie, a groteskowy uśmiech mu zrzędł. Alex zauważyła, że jej własny cień się zmienił, jakby wyrosła jej setka rąk. Nie rąk, tylko węży. Syczały i atakowały wokół niej, rzucały się na demony, które się przed nią chowały.

- Alex! - zawył stwór imieniem Hellie, bo znowu stał się Hellie i miał pełne łez oczy w kolorze burzowego błękitu. - Obiecałaś, że będziesz mnie chronić.

Alex serce zacisnęło się w piersi, żal był zbyt wielki, zbyt znajomy. Przepraszam, przepraszam.

Węże zafalowały, jakby wyczuwały jej wahanie. A potem Alex odechnęła i zakaszlała, czując dym w powietrzu, płonące węgielki jej domu. Usłyszała grzechotki grzechotników, ich ogony trzęsły się z gniewu, ostrzegały.

- Ostatnia szansa - warknęła na nie-całkiem-Hellie. - Wracasz tam, skąd przyszłaś.

Hellie zmrużyła oczy.

- To jest moje życie. Jesteś oszustką.

W porządku, może Alex była tylko złodziejem, który ukradł czyjąś drugą szansę, ale żyła, a Hellie była martwa. Alex zamierzała chronić to, co do niej należy, nawet jeśli na to nie zasłużyła, nawet jeśli miała to wkrótce stracić.

- To nie jest twoje życie - powiedziała do stwora, który nie był Hellie. - Wtargnął na teren prywatny.

Jeden z węży rzucił się naprzód i ukąsił tak szybko, że Alex widziała tylko rozmazaną plamę, a potem demon się wzdrygnął i złapał za dymiący policzek.

- Nie przepędzisz nas tak łatwo - jęknęła Hellie. Wyglądała teraz prawie jak Leny ze strąkami włosów i czołem poznaczonym trądzikiem. - Znamy cię. Znamy twój zapach. Jesteś tylko szczeblem na drodze.

- Możliwe - odparła Alex. - Ale w tej chwili robię za ochroniarza i lepiej stąd zmiatajcie.

* * *

Alex wiedziała, że demony nie odeszły zbyt daleko. Potrzebowały świeżo zebranego cierpienia, żeby przetrwać na tym świecie. Wrócą i będą lepiej przygotowane.

Usłyszała syreny zbliżające się ulicą i kiedy się odwróciła, zobaczyła, że płomienie nie skaczą już na Il Bastone. Front domu był poczerniały i poplamiony pianą, kamień wokół drzwi dymił się, jakby budynek głęboko wzdychał sadzą. Ogień na żywopłocie i trawniku zgasł - zdeptany przez korzenie Turnera. Potężny dąb. Na jej oczach zaczęły się cofać. Węże też zniknęły.

Nie potrafiła rozwikłać mieszaniny strachu i triumfu, jaka ją wypełniła. Magia zadziałała, ale jakie miała ograniczenia? Nie będą bezpieczni, dopóki te demony nie wylądują w porządnie zakręconych słojach. Tylko jak je tam wsadzić? Jak wyjaśnią pożar Pretorowi i zarządowi? Była dość odważna, żeby uznać Il Bastone za swój dom, ale już nawet nie należała do Lete.

– Znajdź pozostałych – powiedział Turner. – Ja porozmawiam ze strażakami. Ja zadzwoniłem i nadal pracuję w policji, nawet jeśli wy dwie zostałyście...

– Wyrwane? – podsunęła mu Alex.

Pretor mógł się nawet nie zorientować, że były w Il Bastone, ponieważ ogień zaproszono na zewnątrz. Jeśli jednak przyjrzy się uważniej wewnątrz, to znajdzie resztki ich kolacji i inne rzeczy, które zostawili po sobie. Nie była pewna, jak poważnie Anselm traktował ostrzeżenie przed „naruszeniem własności prywatnej”, i wołała tego nie sprawdzać.

Mercy, Tripp i Dawes czekali w zaułku, przytupując z zimna.

– Nic wam nie jest? – zapytała Alex, podchodząc.

– Alex – powiedział Tripp, łapiąc ją za ramiona. – To się w pale nie mieści! One naprawdę przed tobą uciekły! Spencer wyglądał, jakby zesrał się w gacie.

Alex zdjęła jego dłonie z ramion.

– Dobrze, już dobrze. Ale to jeszcze nie jest koniec. Musimy zachować czujność. A ty musisz pamiętać, że to nie jest Spencer.

– Absolutnie – powiedział Tripp, kiwając głową. – Ale i tak to było zajebiste.

Mercy przewróciła oczami.

– Jak źle wygląda dom?

– Nie jest najgorzej – wychrypiła Dawes. – Miejmy nadzieję, że strażacy powiedzą Turnerowi, jak poważne są uszkodzenia.

– Potwornie chrypisz – zauważył Tripp.

Mercy sapnęła z irytacją.

– On chciał powiedzieć, że brzmisz tak, jakbyś nawdychała się dymu.

– Przyjechała karetka – powiedziała Alex. – Powinni cię obejrzyć.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tu byliśmy – sprzeciwiła się Dawes.

Alex nie podobało się to, jaką ulgę poczuła na te słowa, ale cieszyła się, że Turner jest gotowy je kryć, a Dawes na to przystała.

Do strażaków i ratowników medycznych dołączyło dwóch policjantów. Alex zobaczyła profesora Walsha-Whiteleya zawiniętego w długi płaszcz i elegancki kapelusz, który podszedł do Turnera rozmawiającego z dwójką mundurowych.

– Pretor tu jest – powiedziała Alex.

Dawes westchnęła.

– Powinniśmy z nim porozmawiać? Spróbować to wyjaśnić?

Alex nawiązała kontakt wzrokowy z Turnerem, który ledwie widocznie pokręcił głową. Dawna Alex zastanawiała się, czy kryje własny tyłek, odsuwa kłopoty od siebie tak, żeby trop prowadził prosto do niej i Dawes. Byłyby łatwym kozłem ofiarnym. Poza tym to Alex ściągnęła ich z powrotem do Il Bastone, bo uznała to miejsce za swój dom.

– Powinniśmy się stąd wynosić – powiedziała Alex i zagoniła ich w stronę parkingu. Mogli wymknąć się na Lincoln Street i zaczekać na Turnera.

– Nie widziałam Anselma – powiedziała Dawes.

Tripp się tym nie przejął.

– Może wrócił do Nowego Jorku?

– Pewnie tak.

Miał rodzinę. Miał życie. Jednak Alex się niepokoiła. Minęły dwa dni, odkąd przerwał ich wyprawę do piekła i nie odzywał się do nich ani słowem. Żadnej oficjalnej odprawy, kontroli, Il Bastone nie zostało

dla nich zamknięte. Anselm przerwał rytuał w Bibliotece Sterlinga. Alex nie wiedziała, jakie zasady rządzą demonami, ale może jego też miały na celowniku?

Zerknęła znowu na Il Bastone. Popatrzyła na dym wznoszący się obłoczkami, ostrzegawczy płomień, rytualny ogień.

Powlekła się za pozostałymi, ale położyła jeszcze rękę na ścianie, jakby kładła dłoń na boku zwierzęcia, żeby je uspokoić. Pomyślała o mieszkaniu matki, apaszkach narzuconych na lampy, kryształach i wrózkach w każdym kącie. Pomyślała o Strefie Zero, ścianach obryzanych krwią, o Black Elm murszejącym wokół Darlingtona jak stary grobowiec. Poczwała wibrację w kamieniu.

Turner poradzi sobie, wykorzystując prawo, siłę i całą władzę, jaką gwarantowała mu odznaka. Dawes posłuży się książkami, mózgiem, nieograniczoną zdolnością do zaprowadzania porządku. A jakimi narzędziami dysponowała Alex? Odrobiną magii. Talentem do nie-szczęścia. Umiejętnością oddychania. Tyle będzie musiało wystarczyć.

To jest mój dom, przysięgła sobie, i nic mi go nie odbierze.

Solne perły Emilii Benatti; sól i srebrny drucik

Pochodzenie: Mantua, Włochy; początek XVII wieku

*Ofiarodawca: nieznany, prawdopodobnie to dar z tajnej kolekcji New Haven
Museum*

Mechanizm, za pomocą którego sól chroni przed demonami, nadal jest w większości nieznany. Wiemy, że uważa się ją za duchowy oczyszczacz i wykorzystuje do ochrony przed złem w wielu różnych kulturach. Bardziej zwyczajne zastosowania soli także pobudzają wyobraźnię: jest środkiem czyszczącym, katalizatorem dla octu używanego do czyszczenia, naturalnym środkiem konserwującym, który chroni przed zepsuciem, środkiem wzmacniającym dla wędzących kwiatów i owoców. Żołnierzom płacono solą. Dawano ją kiedyś przyjaciółom w prezencie. Jednak jakie ma znaczenie Elizeusz wysypujący sól do wód Jerycha, żeby uzdrowić je na rozkaz Boga? Dlaczego po pogrzebie w niektórych domostwach japońskich wysypuje się sól na podłogi? I dlaczego nasze zapiski wskazują sól jako najbardziej skuteczną ze wszystkich substancji w niszczeniu demonicznych ciał – zarówno materialnych jak i niematerialnych?

Nie wiemy, czy Emilia Benatti sama rzuciła zaklęcie na perły, czy też je kupiła, ale ona i jej rodzina należeli do nielicznych, którzy przeżyli plagę demoniczną, jaka uderzyła w Mantuę w 1629 roku. Jej potomkowie wyemigrowali do Ameryki około 1880 roku i osiedlili się w New Haven, gdzie stali się znaczącymi członkami włoskiej społeczności i można ich zobaczyć na zdjęciu z 1936 roku zrobionym podczas święta organizowanego przez Stowarzyszenie św. Andrzeja. Perły być może zostały porzucone wraz z innymi przesądami Starego Świata, nie wiadomo jednak, w jaki sposób trafiły do tajnej kolekcji Towarzystwa Historycznego New Haven, gdzie udokumentowano ich istnienie i gdzie je przechowano.

z *Katalogu Zbrojowni Lete*;
korekta i redakcja: Pamela Dawes, Oculus

Cała ich ponura, uwalana sadzą gromadka upchnęła się w dodge'u Turnera – Dawes usiadła z przodu, a Tripp, Alex i Mercy ścisnęli się na tylnym siedzeniu. Nikt tego wieczoru nie wracał do domu sam i piechotą.

Najpierw podwieźli Dawes do mieszkania w okolicy wydziału teologicznego. Turner i Alex odprowadzili ją do drzwi i zabezpieczyli cały budynek solnymi węzłami.

– Spotkamy się jutro – powiedziała Alex, zanim Dawes zatrasnęła drzwi. – Odmeldowuj się co godzinę na czacie.

Następny był Tripp. Pochylił się między siedzeniami, żeby wykirować Turnera do dużego bloku niedaleko błoni.

Budynek był ładny. Odsłonięta cegła, niby-przemysłowe ciepłe oświetlenie. Ojciec Trippa może i odciął go od pieniędzy, ale Tripp korzystał z jakiegoś funduszu powierniczego. Trudne czasy inaczej wyglądały dla Helmutha.

Zabezpieczyli magicznie budynek od zewnątrz i na wszelki wypadek umieścili jeszcze węzeł solny na wycieracze Trippa.

– Chcecie, ehm, wejść do środka? – spytał Tripp. Podniecenie już go opuściło i na jego miejsce zakradł się strach.

– Możesz przespać się u nas – zaproponowała Alex. – Mamy kanapę we wspólnym pokoju.

– Nie, spoko. Przecież mam swojego morskiego ptaka.

– Zaglądamy na czat – polecił mu Turner. – I nie wychodź, o ile nie musisz.

Tripp podsunął pięść do żółwika. Nawet Turner nie odmówił.

Gdy schodzili po schodach, Turner powiedział:

- Jadę do Black Elm, gdy już skończymy. Chcę mieć pewność, że Darlington nadal siedzi w swojej zagrodzie.

Alex prawie się potknęła.

- Dlaczego?

- Nie udawaj głupiej. Widziałas Marjorie Stephen. Wysączono z niej życie. Nie było w tym nic naturalnego.

- To nie znaczy, że Darlington miał z tym coś wspólnego.

- Nie, ale może wiedzieć, czy zrobił to ktoś z jego rodzaju. Czy po mieście gania teraz coś z twarzą Marjorie Stephen.

- On nie jest demonem - powiedziała z gniewem Alex. - Nie takim jak one.

- To uznaj, że chcę sprawdzić, jak się miewa. Chcę tylko wiedzieć, że siedzi na miejsku.

Pojechali na kampus w milczeniu, Alex i Mercy pożegnały się z detektywem na York Street.

- Na pewno nie chcecie, żebym pomógł wam z solą i całą resztą? - spytał.

- Nie, nasz pokój jest chroniony - odpowiedziała Alex. - Załatwimy też wejście do budynku, ale dziedziniec zostawię otwarty, potrzebuję dostępu do Szarych. Znasz wzór do węzłów?

- Aha.

Turner już wcześniej powiedział, że da radę sam zabezpieczyć swoje lokum. Alex miała przecucie, że nie życzy sobie jej obecności w swoim domu, mieszkaniu, czy gdzie mieszkał. Jakby mógł zamknąć tę konkretną książkę, kiedy paskudny rozdział się skończy.

- Jeśli Carmichael się pojawi, nie słuchaj go. Nie pozwól, żeby wszedł ci do głowy.

- Nie pouczaj mnie, Stern.

- Bo ci się ten śliczny garniturek pomnie.

Turner przegazował silnik.

- Do zobaczenia jutro wieczorem.

Nie chciały patrzeć, jak znikają jego tylne światła. Nie chciały być na zewnątrz dłużej niż to konieczne.

Akademik sprawiał dziwnie normalne wrażenie, każda sypialnia była oświetlona złotym światłem, muzyka i rozmowy przesączały się na dziedziniec.

- Jakim cudem życie nadal trwa? - zapytała Mercy, kiedy mijaly ludzi owiniętych szalikami, z kubkami gorącej kawy lub herbaty w dłoniach osłoniętych rękawiczkami. Miało się wrażenie, że drzewa straciły letnią zieleń w ciągu jednej nocy, żółte liście zwijały się jak jasne kawałki skórki obranej z księżycy.

Zwykle Alex lubiła to wrażenie normalności, poczucie, że jest do czego wracać, że istnieje coś więcej niż Lete, magia i duchy, że czeka na nią życie, kiedy jej dziwna robota jest już skończona. Dzisiaj jednak myślała tylko o tym, że ci ludzie są łatwymi ofiarami. Wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo, a oni go nie spostrzegali. Nie mieli pojęcia, co może ich tropić, gdy śmiali się, kłócili i tworzyli plany dla świata, który ledwie rozumieli.

Lauren siedziała we wspólnym pokoju na fotelu, ze zbiorem zadań, a na adapterze była płyta Joy Division.

- Gdzieście się do cholery podziewały? - spytała. - I dlaczego śmierdzicie jak pożar w lesie?

Zmęczony umysł Alex szukał jakiegoś kłamstwa, ale to Mercy odpowiedziała:

- Musiałyśmy pomóc domknąć rozdawanie słodczy przy kościele i jakiś dom zapalił się przy Orange Street.

- Znowu kościół? Zaatakujecie mnie Jezusem z obu frontów?

- Nie mam nic przeciwko darmowemu winu - powiedziała Alex. - Skończyły się pop-tarty?

- Na lodówce leżą biszkopty z toffi. Moja mama je przysyła. Naprawdę mnie nastraszyłyście, jasne? Musicie mi mówić, jeśli

zamierzacie zniknąć. Na kampusie doszło do morderstwa, a wy po prostu łazicie po nocy jak gdyby nigdy nic.

- Wybacz - powiedziała Mercy. - Straciliśmy poczucie czasu i byliśmy razem, więc nie pomyślałyśmy o tym.

Lauren wypila łyk z wielkiej butelki wody, którą wszędzie ze sobą nosiła.

- Powinnyśmy pomyśleć o tym, gdzie chcemy zamieszkać w przyszłym roku.

- Teraz? - spytała Alex, wpychając do ust biskopt.

Nie była gotowa, by postawić jasno sprawę - że nie ma przed sobą przyszłości. Niemniej nie miała wielu przyjaciół i świadomość, że Lauren chce spędzić z nią następny rok, była miła - jakby Alex nie musiała nosić swojej trudnej przeszłości jak znaku ostrzegawczego.

- Chcemy mieszkać na kampusie czy poza? - spytała Lauren. - Możemy podlizać się paru osobom z ostatniego roku i dowiedzieć się, które mieszkania dobrze wyglądają.

- Możliwe, że wyjadę na semestr za granicę - zastrzegła się Mercy.

Od kiedy to? - zastanawiała się Alex. Może Mercy szukała pretekstu, żeby uciec przed nią i Lete?

- Dokąd? - zapytała Lauren.

- Do Francji? - odpowiedziała niezbyt przekonująco Mercy.

- O mój Boże, pieprzyć Francję, wszyscy tam mają syfa.

- Nie, to nieprawda, Lauren.

Alex wzięła jeszcze jednego biskopta i usiadła obok Mercy na kanapie.

- Chcesz powiedzieć, że nie wolałabyś Paryża od New Haven?

- Nie - odpowiedziała Lauren. - I to się nazywa lojalność.

Dopiero kiedy szykowały się do snu, Alex miała okazję zapytać Mercy o Francję.

- Naprawdę wyjeżdżasz za granicę?

- Teraz, kiedy wiem, że magia istnieje naprawdę? - Mercy włożyła piżamę stylizowaną na staromodną i nałożyła krem na twarz. - Za nic w świecie, ale czy nie byłoby łatwiej wychodzić i wracać w związku z różnymi sprawami Lete, gdybyśmy nie musiały martwić się Lauren i jej pytaniami?

- Ja już nie należę do Lete - przypomniała jej Alex. - Ty też nie. I prześladują nas demony.

- Wiem, ale... Nie mogę po prostu o tym zapomnieć.

To już nie zależy od nas - Alex jednak tego nie powiedziała. Leżała przez długi czas i wpatrywała się w ciemność. Żyła z magią od zawsze, nawet jeśli jej tak nie nazywała. Nie miała w tej kwestii wyboru. Jedyny wybór, jaki dostała, to zgodzić się na ofertę dziekana Sandowa, kiedy ten pojawił się koło jej szpitalnego łóżka i zaprosił ją do Lete. I teraz odebrano jej także ten wybór. Jak długo mogła uciekać przed takimi ludźmi jak Eitan? Przed demonami takimi jak Linus Reiter? Przed potworami z jej przeszłości, które w dojmujący sposób stały się jej terażniejszością?

Nie pamiętała, kiedy zasnęła, ale musiała, bo poderwała się gwałtownie na dźwięk dzwonka telefonu.

Dawes.

- Nic ci nie jest? - spytała Alex, próbując dojść do siebie. Znowu zasnęła. Było już po dziewiątej rano.

- Właśnie dzwonił Pretor. Chce się dzisiaj z tobą spotkać.

To ten moment? Oficjalne zwolnienie? „Wypierdalaj” przekazane z całą urzędową mocą?

- Co powiedział? - spytała Alex.

- Że w obliczu wydarzeń zeszłego wieczoru Pretor oczekuje Wergiliusza w godzinach urzędowania.

Nie spotkają się w Il Bastone ani w Klitce.

- Nadal nazywał mnie Wergiliuszem?

– Owszem – odpowiedziała Dawes, wzdychając ze zmęczeniem. – A mnie Oculusem. Może musimy przejść jakiś proces, zanim... sama nie wiem. Pozbawi nas naszych urzędów.

Alex wyrzała przez okno na dziedziniec. Poranne niebo było ciemne, chodnik wilgotny. Szare chmury obiecywały więcej deszczu. Na zewnątrz było chłodno, ale dziewczyna w samym T-shircie i dżinsach siedziała zgarbiona na ławce. Nie-całkiem-Hellie podniosła wzrok i uśmiechnęła się szeroko do Alex. To był krzywy uśmiech, a jej zęby były za długie. Jak u wilków, z którymi walczyli w piekle. Jakby, im dłużej była głodna, tym trudniej jej było udawać człowieka. Jednakże to mężczyzna obok niej sprawił, że Alex ogarnął strach. Miał długie włosy w kolorze blond, nosił biały garnitur, a jego twarz o delikatnych rysach wydawała się niemal łagodna w szarym jesiennym świetle. Linus Reiter podniósł na nią wzrok z wyrazem zamyślenia, jakby ktoś opowiedział żart, który on uznał za niezbyt zabawny.

Alex zasunęła gwałtownie zasłony. Pieprzyć dostęp do Szarych. Musiała zabezpieczyć dziedziniec. Może cały kampus.

– Alex?

Dawes nadal czekała przy telefonie.

– On tu jest – zdołała wykrztusić zduszonym szeptem Alex. – On...

– Kto taki?

Alex padła na łóżko, podciągnęła kolana do brody. Serce jej waliło młotem. Nie mogła nabrać powietrza.

– Linus Reiter – wykrztusiła. – Wampir. Na dziedzińcu. Nie... Nie mogę... – Krew szumiała jej w uszach. – Chyż zaraz zemdleję.

– Alex, wymień pięć rzeczy, które widzisz w swoim pokoju.

– Co?

– Po prostu je wymień.

– Ale... Moje biurko, krzesło. Niebieski tiul na łóżku Mercy. Mój plakat z reprodukcją *Flaming June*. Gwiazdki, które ktoś przykleił do sufitu.

- W porządku, teraz wymień cztery rzeczy, jakich możesz dotknąć.
- Dawes...
- Zrób to.
- Musimy ostrzec pozostałych...
- Po prostu zrób to, Wergiliuszu.

Dawes nigdy tak do niej nie mówiła. Alex z dygotem nabrała powietrza.

- W porządku. Rama łóżka. Chłodne drewno. Dywan... miękki i supełkowy. Jest na nim brokat, może po Halloween.

- Co jeszcze?

- Moja koszulka na ramiączka, bawełna... chyba. - Wyciągnęła rękę i dotknęła suszonych róż na nocnym stoliku Mercy. - Suszone kwiaty. W dotyku jak bibułka.

- A teraz trzy rzeczy, które słyszysz.

- Wiem, do czego zmierzasz.

- No zrób to.

Alex znowu nabrała powietrza przez nos.

- Kwiaty szeleszczą, gdy ich dotykam. Ktoś śpiewa w korytarzu. Moje własne cholerne serce walące mi w piersi. - Potarła twarz ręką, czując, że część strachu odchodzi. - Dzięki, Dawes.

- Wyślę wiadomość do grupy, żeby ostrzec ich przed Reiterem. Pamiętaj, twój solny duch osłoni cię i przed nim.

- Jak możesz być tak spokojna?

- Mnie nie zaatakował wampir.

- Jest środek dnia. Jak...?

- Domyślam się, że nie stoi bezpośrednio na słońcu. Będzie się trzymał cienia i z pewnością nie będzie w stanie zapolować, dopóki nie zapadnie zmierzch.

To nie było uspokajające.

- Alex, musisz zachować spokój - powiedziała Dawes. - To tylko jeszcze jeden demon. Nie potrafi zmieniać kształtu ani wejść do twojej

głowy.

– Jest szybki, Dawes. I bardzo silny. – Nie była w stanie mu sprostać, nawet dysponując siłą Szarej. Ledwie mu uciekła i wątpiła, czy znowu będzie miała tyle szczęścia.

– W porządku, ale ze wszystkiego, co przeczytałam, wynika, że nie zostanie zbyt długo z dala od gniazda. Nie może.

Jego cenne gniazdko pełne bezcennych przedmiotów i białych kwiatów. Które Alex podpaliła.

Zmusiła się, żeby wstać i odsunąć zasłonę. Nie-całkiem-Hellie zniknęła. Zobaczyła, że Reiter idzie przez dziedziniec w stronę bramy, która wyprowadzi go z college'u i – miała nadzieję – z dala od kampusu. Ktoś w ciemnym ubraniu i kurtce z kapturem szedł obok niego, trzymając białą parasolkę nad głową Reitera.

– A jeśli Reiter zgłodnieje w drodze do domu? – spytała Alex. – Ja go tu ściągnęłam. Przeze mnie wszyscy ci ludzie znaleźli się na jego celowniku.

– Przestań. Reiter wiedział o Yale na długo przed tobą. Myślę... Myślę, że pojawił się, żeby cię nastraszyć. I może dlatego, że skorzy-staliśmy z Womitorium.

Teraz głos Dawes zafalował. Jeżeli teoria Alex, a tak naprawdę teoria Rudolfa Kittschera, była słuszna, to Reiter był tak naprawdę demone-m, który wyszedł za prawdziwym Lionelem Reiterem z piekła i przejął jego wygląd i tożsamość. Żywił się duszą Reitera, a teraz pokrzepiał się krwią. Czy demony, które wyszły za nimi przez bramę do piekła, w jakiś sposób go przyzwały? Czy przejmował się tym, że obudzono Womitorium, czy po prostu chciał się zemścić na Alex za zniszczenie jego ładnych rzeczy?

To nie miało znaczenia. Istniał tylko jeden sposób, żeby sobie z nim poradzić.

– Dodaj go do listy, Dawes. Musimy pozbyć się demonów i musimy pozbyć się Reitera.

- To nie będzie łatwe - odpowiedziała Dawes. Teraz, kiedy już nie musiała opiekować się Alex, sprawiała wrażenie mniej pewnej siebie.

- To, co oni wiedzą...

Alex spojrzała na pustą ławkę.

- Chcesz mi powiedzieć, co powiedział ci Blake?

Zapadło przeciągające się milczenie.

- Był pod moim oknem tego ranka. Na śniegu. Szeptał.

Alex poczekała.

- Powiedział, że jest niewinny, że nigdy nikogo nie skrzywdził, że jego matka codziennie płacze przed snem. Powiedział... - Dawes załamał się głosem.

Alex wiedziała, że Dawes nie chce więcej mówić, ale demony żywiły się wstydem, owocem z nasion, które kiełkowały w ciemności.

- Hellie powiedziała, że ukradłam życie, które należało do niej - powiedziała Alex. - Że to ja powinnam była umrzeć, nie ona.

- To nieprawda!

- A to ma znaczenie?

- Może nie. Nie, jeśli czujesz, że to prawda. Powiedział... Blake powiedział, że go zabiłam, ponieważ jestem taką dziewczyną, jakiej nigdy nie zechciałby przelecieć. Powiedział... Powiedział, że potrafi się zorientować, jak moja... jak wyglądam tam na dole. Że jestem brzydka.

- Boże, to rzeczywiście tekst w stylu Blake'a.

Z czego były zrobione te demony? Ze smutku Hellie. Z okrucieństwa Blake'a. Ze wstydu Alex. Z poczucia winy Dawes. Ale z czego jeszcze? Jaka jest różnica między ambicją a pragnieniem? Te stwory chciały przeżyć. Chciały się nakarmić. Alex rozumiała głód i to, do czego może doprowadzić.

- To nie jest prawda, Dawes. Musimy to powtarzać, aż w to uwierzimy.

Zbyt łatwo można było pozwolić, żeby ich słowa się zakorzeniły.

- Jest tam teraz? - spytała Alex.

- Lori go ugryzł. - Dawes zachichotała. - Wylaźł przez okno i ugryzł go w policzek. Blake zaczął wrzeszczeć: „Moja twarz! Moja twarz!”.

Alex roześmiała się, ale przypomniała sobie węże kęsające policzek Hellie. Jakby solnym duchom nie podobało się kłamstwo demonów, ludzkie maski, które nosiły.

Rozległ się sygnał z jej telefonu. „Zadzwoń” - wiadomość od Turnera. Dlaczego sam do niej nie zadzwonił?

Kiedy skończyła rozmawiać z Dawes, sprawdziła grupowy czat - wszyscy się odmeldowali, Dawes wysłała ostrzeżenie przed Reiterem. Wszyscy uzbili się w sól i mieli spotkać się w Il Bastone po zmierzchu. Byli bezpieczniejsi, kiedy siedzieli razem w miejscu obwarowanym czarami ochronnymi.

Alex zadzwoniła do Turnera, spodziewając się, że usłyszy, że Duży Car czai się na posterunku.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Co? Jasne. - Oczywiście, że u Turnera wszystko było w porządku. Był potężnym dębem. - Zgarnęliśmy syna Eda Lambtona.

Alex potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie, kim jest Lambton. Profesor powiązany z podwójnym morderstwem.

- Myślałam, że jest w Arizonie.

- Andy Lambton jest w New Haven. Aresztowaliśmy go pod mieszkaniem jednego z pracowników jego ojca.

- Jednym z tych, którzy sfalszowali dane?

- Właśnie. Przydzieliliśmy ochronę pozostałym członkom katedry, którzy brali udział w potępieniu, i pracownikom z laboratorium.

Czyli trop z Karolem II był dobry, syn mścący się za ojca. Jednak to sprawiało wrażenie tak bardzo teatralnego, tak dziwnego.

- Naprawdę zabił dwie osoby, bo ojciec niesprawiedliwie dostał po nosie?

- Na to wygląda. Chcę, żebyś się z nim spotkała.
- Najgorsza randka w ciemno w historii świata.
- Stern.

- Po co? - Detektyw był gotowy wmieszać ją w sprawę, o ile trzymała się z boku; mogła obejrzeć miejsce zbrodni, wymienić się z nim teoriami, ale spotkanie z podejrzanym to coś innego. A teraz, kiedy Alex mogła na zawsze wylecieć z Lete i Yale, nie była pewna, czy ma ochotę grzebać się w zagadce morderstwa. - Nigdy dotąd nie chciałaś mnie mieszać w dochodzenie.

- Coś tu nie gra i nikt inny się z tym nie zgadza.
- Ma alibi?
- Jego alibi nie trzyma się kupy. I przyznał się.
- To na czym polega problem?
- Chcesz go spotkać czy nie?

Chciała. Podobało jej się, że nawet kiedy wypadła z łask Lete, Turnera interesowało jej zdanie. Poza tym, jeśli Turner uważał, że coś tu śmierdzi, to pewnie miał rację. Była w jego głowie, patrzyła jego oczami. Widziała świat tak jak on, wszystkie szczegóły, znaki i sygnały, które inni przegapiali lub ignorowali. Czowała mrowienie u podstawy czaszki.

- Muszę spotkać się z Pretorem po południu - powiedziała. - Mogę wpaść potem, ale musisz mnie podwieźć do więzienia.

- Nie siedzi w więzieniu - odpowiedział Turner. - Jest w Yale New Haven.

- W uniwersyteckim szpitalu?
- Na oddziale psychiatrycznym.

Alex nie bardzo wiedziała jak zareagować. Spędziła dostatecznie dużo czasu na różnych odwykach, w programach dla młodocianych przestępców i na dwudziestoczterogodzinnych obserwacjach, żeby nigdy więcej nie chciał postawić nogi na oddziale psychiatrycznym. Nie

zamierzała jednak mówić o tym Turnerowi. Może nie musiała? Widział jej życie oczami Hellie.

– Muszę wiedzieć, co powiedziałeś gliniarzom i Pretorowi o pożarze.

– Wandalizm – odpowiedział Turner. – Nie dało się tego uznać za wypadek. Nie znaleźli środka podpalającego, a ogień nie wzmógł się, tylko sięgnął wyżej. To jest zagadka, której nie rozwiążą.

Piekielny ogień? Coś innego? Jaką bronią dysponowały demony? Może Turner mógłby aresztować Linusa Reitera i oszczędzić im mnóstwa kłopotów.

Kiedy się ubierała, próbowała myśleć o wszystkim, byle nie o Pretorze i tym, co może ją potem czekać. Chciała wrócić do Il Bastone. Chciała, żeby Turner umieścił mundurowych pod domem, żeby zapewnić Il Bastone bezpieczeństwo. Chciała jakiejś obietnicy ochrony dla matki, przyjaciół, jej samej. Myślała o Il Bastone jak o swoistej twierdzy, zbudowanej na magii, historii i tradycji. Zastanawiała się, czy nie-całkiem-Hellie dokładnie wiedziała, ile ognia wstrząśnie Alex.

Dotknęła nadgarstka, gdzie solny wąż owinął się wcześniej. Nie była już bezradna. Przynajmniej następnym razem, gdy dojdzie do starcia ze stworem, który nie jest Hellie albo potworem, który nie jest tak naprawdę Lionelem ani Linusem Reiterem, walka będzie nieco bardziej uczciwa.

* * *

Alex przebrnęła przez poranne zajęcia, próbując otrząsnąć się ze strachu, który kładł jej się ciężarem na żołądku. Czy to był ostatni wykład? Ostatnie pośpieszne śniadanie między zajęciami? Ostatni raz, kiedy siedzi w William L. Harkness Hall i próbuje wymyślić coś bystrego, co mogłaby powiedzieć podczas dyskusji?

Profesor Walsh-Whiteley miał dyżur między drugą a czwartą po południu. Alex zastanawiała się, czy nie odczekać do ostatniej chwili i dopiero wtedy się zjawić, ale za bardzo się martwiła. Lepiej mieć to już z głowy, wiedzieć, jak daleko spadła, żeby móc zacząć z powrotem się wspinać.

Wpadła do Blue State po kawę i bajglą. Przed pustym budynkiem po sąsiedzku zawsze siedział młody Szary w kraciastej flaneli, nieraz kręcił się za oknem w miejscu, gdzie stała szafa grająca, kiedy była tu pizzeria. Czasem Alex wydawało się, że słyszy, jak Szary nuci melodyjne fragmenty *Hotel California*. Dzisiaj jednak siedział na schodach, jakby czekał, aż drzwi się otworzą, żeby mógł kupić sobie kawałek pizzy. Alex ominęła go wzrokiem, a potem potknęła się, gdy ktoś ją pchnął od tyłu.

Ledwie złapała równowagę, ale oblała sobie płaszcz gorącą kawą.

– Co jest, kurwa? – rzuciła, obracając się gwałtownie.

Przez długą sekundę nie poznawała Tzwiego, bo nie była w stanie pogodzić obecności ochroniarza Eitana tu, w New Haven. Niestety nie dało się z nikim pomylić tego żyłastego ciała, schludnej brody i kamiennej twarzy.

– Cześć, Alex. – Eitan stał tuż za Tzvim w paskudnym skórzanym płaszczu. Miał krótko obcięte włosy i pachniał drogą wodą po goleniu. Złoty żydowski symbol chai błyszczał mu na szyi.

Jej pierwszą myślą była ucieczka. Drugą to, żeby zabić ich obu. Żadna z tych opcji nie była rozsądna. Gdyby uciekła, znaleźliby ją. A zamordowanie dwóch osób w środku dnia na ulicach New Haven nie było najlepszym strategicznie posunięciem.

Stali i gapili się na siebie na zatłoczonym chodniku, ludzie omijali ich, śpiesząc się na zajęcia albo spotkania.

– Chodź – powiedziała do Eitana.

Nie chciała, żeby widziano ją z którymkolwiek z nich. Wyróżniali się z powodu płaszczy, włosów. Nie tyle rzucało się w oczy, że są przestępcami, ile, że są przestępcami z Los Angeles. Zbyt głady, zbyt

błyszczący jak na New Haven. Poprowadziła ich podjazdem, który prowadził między szkołą muzyczną a Klubem Elżbietańskim.

– Tu będzie dobrze – powiedział Eitan, a Alex z mieszaniną frustracji i dumy zdała sobie sprawę, że Eitan chce zostać widoczny z ruchliwej ulicy. Nie wiedziała, czy on i Tzvi boją się jej, ale woleli zachować ostrożność. Na tym polegał kłopot z Eitanem. Był bardzo dobry w utrzymywaniu się przy życiu.

– Byłaś w Klubie Elżbietańskim?

Alex pokręciła głową.

– Trzeba być członkiem. Mają pierwsze...

– ...Folio Shakespeare'a – dopowiedziała bez zastanowienia Alex. A także pierwsze wydanie *Raju utraczonego*. Chomikowali najróżniejsze literackie skarby w swoim skarbcu. A co najważniejsze, serwowali tam luksusową popołudniową herbatkę. Darlington był członkiem, ale nigdy jej tam nie zabrał.

– Tak! Folio – powiedział Eitan. – Idziesz na zajęcia?

Alex zastanawiała się, czy nie skłamać. Łatwo mogła powiedzieć, że pracuje w jadalni. Powiedziała Eitanowi, że wyprowadza się na wschód ze swoim wymyślonym chłopakiem. Zaproponował, że załatwi jej pracę w jednym z kasyn. Miała nadzieję, że zostawi ją w spokoju, ale zamiast tego robótki na Zachodnim Wybrzeżu od razu zastąpiły nowe: na Wschodnim. Eitan wszędzie prowadził interesy i wszędzie miał przyjaciół, którym chętnie wyświadczał przysługi.

Mimo to, jeśli Eitan się pojawił tutaj, to znaczyło, że wie więcej, niż powinien. Na pewno kazał już komuś wykopać wszystko, co się da, na jej temat i jeśli był w stanie znaleźć ją na kampusie pełnym studentów, to znaczyło, że od pewnego czasu ją obserwował.

– Nie – odpowiedziała. – Skończyłam na dzisiaj. Wracałam właśnie do akademika.

– Pójdziemy z tobą.

Tego już było za wiele. Za żadne skarby nie ściągnie tych dupków w pobliże Mercy i Lauren.

- Czego chcesz?

- Bądźmy kulturalni, Alex. Zdobądź się na uprzejmość.

- Prawie mnie zabiłeś. To ma wpływ na moje maniery.

- Przykro mi. Wiesz przecież. Lubię cię. Odwalasz dla mnie dobrą robotę. Reiter przysparzał problemów.

Sprawa miała wrażenie, jakby szczerze przeproszał. W takim stopniu, w jakim komuś mogło być przykro, bo zjadł ostatni kawałek tortu albo spóźnił się na proszoną kolację.

- Masz pojęcie, czym on naprawdę jest? - spytała Alex.

- Nie muszę - odpowiedział Eitan. - Stanowi problem. A ty jesteś rozwiązaniem.

- Chcesz, żebym tam wróciła?

Za nic w świecie. Wystarczy, że Reiter czał się na dziedzińcu, ale jeśli Dawes miała rację, był słabszy, kiedy musiał ukrywać się przed światłem dziennym i kiedy był z dala od swojego gniazda. U siebie miał przewagę. Już na samą myśl o tym wielkim białym domu zaciśnięty jej się płuca, rwał się oddech. Co powiedziała Szara nauczycielka? Zabił setki ludzi, może więcej.

- Jesteś tu szczęśliwa - powiedział Eitan.

Alex nie była pewna, jak wygląda szczęście. Była w zasadzie pewna, że nie oznacza prześladowających człowieka demonów ani utraty stypendium.

- Względnie.

- Załatw dla mnie Reitera, a będziemy kwita. Możesz mieć nowe życie. Nie będziesz musiała się martwić tym, że Tzvi pojawi się u twoich drzwi.

- Po to tu przyjechałeś? Żeby wysłać mnie na śmierć?

- Miałem coś do załatwienia w mieście. To dobry rynek. Mnóstwo młodych ludzi. Duża presja. Wszyscy próbują się trochę zabawić.

Odniosła wrażenie, że to pogrożka. Czy Eitan zmusi ją do rozprowadzania narkotyków na kampusie? Gdzieś musiała być granica. To

musiało się gdzieś kończyć. Alex była zbyt świadoma otaczających ją ludzi, ich słabości, tego, jak otwarci są na atak. Łatwe ofiary dla demonów, ludzi takich jak Eitan. To nie było miejsce dla niego, tak samo jak nie było dla niej. Byli wężami w ogrodzie.

Alex rozważyła opcje.

– Jeśli zajmę się Reiterem, będziemy kwita. Taką mamy umowę. Żadnych więcej zadań. Żadnych więcej targów.

Eitan uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

– Tak.

– A jeśli nie wrócę... – Alex wbiła paznokcie w dłoń, przypominając sobie, jak zęby Reitera wbijały się w jej ciało. – Jeśli nie wrócę, podsuniesz trochę kasy mojej matce. Dopilnujesz, żeby sobie poradziła.

– Nie mów w ten sposób, Alex. Nic ci nie będzie. Widzę, ile potrafisz.

Alex popatrzyła mu w oczy.

– Nie masz pojęcia, co potrafię.

Nie wzdrygnął się. Eitan nie pozwoliłby sobie zostać z nią sam na sam, ale nie bał się jej. Może i wpływała na martwych, ale on rządził żywymi.

Znowu poklepał ją po ramieniu, jakby pocieszał dziecko.

– Dokończ tę robotę, to się pożegnamy, dobrze?

– Dobrze.

– To uczciwy układ. Wynagrodzisz mi straty i wszyscy będą zadowoleni.

Wątpiła, żeby miał rację w tej kwestii, ale powiedziała tylko:

– Jasne.

– Grzeczna dziewczynka.

Co do tej kwestii też się mylił.

Alex poczekała, aż Eitan i Tzvi znikną w wielkim chevroletcie suburban czekającym przy krawężniku. Powinna zauważyć wóz, ale była za bardzo skupiona na niewłaściwych zagrożeniach.

Przycisnęła plecy do muru w zaułku i zsunęła się, schowała głowę w rękach. Musiała wrócić do akademika, ukryć się gdzieś, gdzie mogła być sama, i pozbierać myśli, ale nogi jej się trzęsły.

Eitan był tutaj, w Yale. Wiedział, gdzie ją znaleźć. Alex nie była na tyle głupia, żeby uwierzyć, że jeśli jakimś cudem przetrwa kolejne spotkanie z Linusem Reiterem, Eitan ją sobie odpuści. Nie porzucił broni ze swojego arsenału, zwłaszcza gdy był pewien, że całkiem ją sobie podporządkował. Ile wiedział na jej temat? Jak jeszcze mógł ją szantażować? Nie mógł odkryć sekretu Lete, ale czy śledząc ją, trafił do Il Bastone? Dla Black Elm?

Padł na nią cień. Podniosła wzrok i zobaczyła ciemnowłosą dziewczynę.

– To koniec – powiedziała dziewczyna. – Wszystko ci się wymyka. Myślałaś, że jak długo zdołasz udawać?

Alex miała upiorne wrażenie, że patrzy w lustro. Włosy nie-całkiem-Hellie były czarne i uczesane z przedziałką pośrodku, oczy miała czarne jak olej. Ona się mną karmi. Beznadzieja, jaka ogarnęła Alex, przyzwała demona jak dzwonek wzywający na obiad.

Alex to wiedziała, ale smutek utrudniał jej myślenie. Miała wrażenie, że siedzi na dnie studni. Powinna walczyć. Powinna się bronić. Kiedy jednak pomyślała o tym, żeby się ruszyć, podjąć jakiegokolwiek działanie, odniosła wrażenie, że próbuje wdrapać się po kamiennych

ścianach studni, mokrych od mchu. Nie sposób było czegokolwiek się chwycić. Była zbyt zmęczona, żeby choćby próbować.

Na skórze nie-całkiem-Hellie zaczęły pojawiać się tatuaże. Peonie i szkielety. Koło. Dwa węże spotykające się na obojczykach.

Grzechotniki.

„Czai się w tobie mała żmija, gotowa w każdej chwili zaatakować”.

To powiedziała jej prawdziwa Hellie. Hellie, która ją kochała, która chroniła ją do samego końca, a nawet potem. A ten pieprzony oszust nosił jej twarz.

– One nie należą do ciebie – warknęła Alex. Zmusiła się, żeby podnieść rękę do ust, i przesunęła językiem po kostkach dłoni.

Jej solny duch uderzył, węże atakowały nie-całkiem-Hellie. Demon cofnął się, ale tym razem wolniej.

– Zostaw ją w spokoju!

Alex podniosła wzrok i zobaczył idącego zaułkiem Trippa. Chciała na niego krzyknąć, żeby nie podnosił głosu, ale tak się ucieszyła, że przybył jej na ratunek, że nie potrafiła się przejmować tym, że urządzają scenę.

Zadowolona z cieni w zaułku zobaczyła, jak Tripp liże rękę i albatros wylatuje z wrzaskiem, po czym atakuje nie-całkiem-Hellie.

Demon cofnął się z piskliwym skowytym, ale uśmiechał się, kiedy wycofywał się na zatłoczoną ulicę. I czemu miałby się nie uśmiechać? Napętnił brzuch.

Alex nie była pewna, co każdy, kto tamtędy przechodził, widział. Może po prostu ludzie nie zauważyli węży, albatrosa i dziewczyny uciekającej w nie całkiem ludzki sposób. A może ich umysły natychmiast nad tym przeskoczyły, znajdując wyjaśnienie, które pozawalało im kontynuować normalne życie, zapomnieć o rzeczach dziwnych i upiornych. Mogłaby umrzeć w cieniach tego zaułka, a ludzie nadal przechodziliby jak gdyby nigdy nic.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Tripp.

Był podenerwowany, skrzył się energią i niepokojem.

- Nie. - Miała wrażenie, że nie da rady wstać.

- Wyglądasz okropnie.

- Nie pomagasz.

- Ale albatros zadziałał.

Rzeczywiście. Alex chciała wierzyć, że jej węże poradziłyby sobie, ale wyglądało na to, że są powiązane ze stanem jej umysłu.

- Dzięki - powiedziała, wstając. Trzęsa się i była słaba. Kiedy Tripp podał jej rękę, ze wstydem ją przyjęła.

- To fatalne uczucie - powiedział, gdy szli z powrotem do Blue State w poszukiwaniu azylu przy jednym ze stolików.

- Spencer cię dopadł?

- Kiedy tylko wyszedłem z mieszkania. Musiałem iść do pracy. Mój wierny ptak pomógł.

Możliwe, ale Tripp nie wyglądał najlepiej. Był blady i miał zapadnięte policzki, jakby nie dojadł, a przecież widziała go raptem wczoraj.

Skinęła głową, wskazując wypisane kredą menu za ladą.

- Istnieje szansa, że chili zrobiono od zera?

- Pewnie, ale myślę, że jest wegańskie.

- Darowanemu koniowi...

Kiedy Tripp podszedł do kasy, Alex zadzwoniła do Dawes.

- Musimy sprawdzić kamery przy Black Elm.

- Czego mam szukać?

- Czarnego chevroleta suburban na podjeździe.

- Dostałabym sygnał, gdyby ktoś się tam pojawił.

- W porządku. Po prostu miej to na uwadze.

- Kogo się spodziewasz?

Alex się zawahała. Pełnia była już za dwie noce, ale nie miała pojęcia, czy zdoła przetrwać tak długo.

- Po prostu jestem ostrożna.

– Skoro już wspomniałaś o Black Elm... – zaczęła Dawes. – Potrzebuję...

– Jestem już spóźniona na spotkanie z Pretorem – rzuciła pośpiesznie Alex i się rozłączyła.

Źle się z tym czuła, ale Dawes zamierzała poprosić ją, żeby wróciła do Black Elm i sprawdziła, co u Darlingtona, nakarmiła Cosmo, odebrała pocztę. Powinna. To była jej kolej, a Dawes zrobiła już mnóstwo. Niestety w tej chwili nie mogła o tym myśleć. Musiała spotkać się z Pretorem, zająć się Eitanem. Musiała znaleźć sobie drogę ucieczki. Jej porażki zebrały się w zbyt wysoki stos i myśl o stawieniu czoła Darlingtonowi za złotym kręgiem, nadal uwięzionemu między dwoma światami, tylko na wpół ludzkim, sprawiała, że znowu czuła się bezradna.

Wysłała ostrzeżenie całej grupie: „Zachowajcie pogodę ducha. Oni wiedzą, kiedy podupadacie na duchu”.

– Myślisz, że to prawda? – zapytał Tripp, kiedy wrócił z dwoma miskami chili i czekoladową muffinką.

– Tak.

Tripp zjadł kęs chili i otarł usta rękawem bluzy.

– Nie wiem, ile jeszcze tego zniosę. Spencer...

– To nie jest Spencer.

– Cały czas to powtarzasz, ale jaka to różnica?

– Musimy pamiętać, czym są. To nie są ludzie, których kochaliśmy albo nienawidziliśmy. Oni są po prostu... głodni.

Tripp zjadł kolejny kęs i odsunął miskę.

– To jest Spencer. Nie potrafię tego wyjaśnić. Wiem, co mówisz, ale nie chodzi tylko o to, co on mówi. Rzecz w tym, że on się przy tym świetnie bawi.

Alex pomyślała o tym, co przeczytała w *Dajmonologii Kittschera*. Jeśli Rudolf Kittscher miał rację, to demony żyły na emocjach zmarłych przez bardzo długi czas i to było nic w porównaniu z ucztą na

bólu i przyjemnościach żywych. Dlaczego nie miały świetnie się bawić teraz, gdy znalazły się w świecie śmiertelników? To był szwedzki stół.

- Posłuchaj, Tripp... Przepraszam, że cię w to wplątałam.

- Naprawdę cię rozumiem. Robiłaś tylko to, co do ciebie należało.

Alex się zawahała.

- Wiesz... wiesz, że to nie był rytuał zatwierdzony przez Lete, prawda? Nigdy nie donieśliśmy na ciebie do Czaszki i Kości.

- Pewnie, wiem.

- I mimo to pomogłeś nam?

- Jasne. Potrzebowałam gotówki i... Nie do końca wiem, gdzie jest moje miejsce, czaisz? Moi przyjaciele pracują w mieście. A ja wciąż nie mam dyplomu. Nie wiem nawet, czy nadal chcę go zdobyć. Lubię Darlingtona i... sam nie wiem. Lubię być jednym z tych dobrych.

Bo właśnie tym jesteśmy? - zastanawiała się Alex. Nie chodziło o dobro ogółu, nie walczyli o lepszy świat. Co powiedziała Mercy? Uratowałaś mnie i ja ratuję ciebie. Tak to działa. Żeby spłacać swoje długi, musisz wiedzieć, komu jesteś dłużny. Musisz zdecydować, za kogo jesteś gotowy pójść na wojnę i komu ufasz, że skoczy do walki o ciebie. Tylko tyle mieli na tym świecie. Nie było bohaterów i złoczyńców, jedynie ludzie, za których skoczysz w fale, i ci, którym dasz utonąć.

* * *

Alex i Tripp pożegnali się na błoniach. Czują się lepiej niż godzinę wcześniej, ale podwójny koszmar Eitana i nie-całkiem-Hellie solidnie nią wstrząsnął. Nie była gotowa na spotkanie z Pretorem, ale nie dało się go uniknąć.

- Mój Boże - powiedział, kiedy zapukała do drzwi jego gabinetu. - Wyglądasz okropnie.

- To były ciężkie dni.

- Wejź. Usiądź. Napijesz się herbaty?

Alex pokręciła głową. Chciała mieć to za sobą, ale czuła się tak fatalnie, że zgarbiła się na krześle, kiedy profesor włączył elektryczny czajnik. Nie miała siły na przedstawienie i nie miała już powodu do prowadzenia gry.

- No cóż - powiedział Pretor, przeglądając wybór herbat. - Od czego zaczniemy?

- Pożar wczoraj wieczorem...

Zbył to machnięciem ręki.

- New Haven.

Czyli Walsh-Whiteley uwierzył Turnerowi, że to akt wandalizmu. Może nie wszedł do środka. Może wyrwano go z ciepłego łóżka, więc się śpieszył, żeby wrócić do domu.

- O wiele gorzej było w latach osiemdziesiątych - mówił dalej Pretor. - New Haven było przysłowiowe. Herbatnika?

Podsunał jej niebieską puszkę.

Alex była skonsternowana, ale nigdy nie odmawiała poczęstunku. Wzięła dwa.

- Miało to też swoje plusy. Urządzaliśmy cudowne przyjęcia w starej fabryce zegarków i nikt się tym nie przejmował. Graffiti nadal tam jest, wiesz? Namalowało je paru studentów z architektury. Naprawdę piękne, na ten upiorny jak z Poego sposób.

Dlaczego Pretor wspomniał czasy imprez studenckich, zamiast palnąć jej kazanie na temat Womitorium albo jej przestępstw wymierzonych w Lete i uniwersytet, dlaczego nie przeszedł do dymisji jej i Dawes, albo jeszcze lepiej: nie mówił, jaki ma plan, żeby je rehabilitować? Alex mogłaby wręcz pomyśleć, że Pretor próbuje nawiązać z nią bardziej serdeczne stosunki. Aż tak rozkoszował się tym wstępem do wielkiej sceny pożegnania?

- No dobrze - powiedział Walsh-Whiteley, siadając za biurkiem z kubkiem herbaty. - Zaczynajmy.

- Czy... czy powinnam coś podpisać?

– W związku z biegiem wilków? Nie, wszyscy wiedzą, jakie podejmują ryzyko. Dlatego masowa transformacja odbywa się na lądzie. O ile się nie mylę, wybrali... – zerknął do notatek – ...kondory na przelot w przyszłym semestrze.

Alex próbowała zrozumieć, o czym mówi Pretor. Wiedziała, że ma na myśli rytuał Wilczego Łba zaplanowany na jutro. Całe stado przemieni się i przebiegną cały Park Stanowy Sleeping Giant. Nie wolno im było próbować lotu tak blisko początku roku, bo w przeszłości doszło do wielu wypadków i obrażeń. Alex jednak zakładała, że rytuał zostanie odwołany aż do czasu, kiedy... Cóż, właściwie nie zastanawiała się, co Lete robi bez Dantego i Wergiliusza. Zakładała, że poproszą Michelle Alameddine, żeby wróciła.

Dlaczego więc Pretor patrzył na nią, jakby się spodziewał, że wyjmie stos fiszek i zacznie omawiać magiczne procedury bezpieczeństwa?

– Przepraszam... – powiedziała. – Nadal pan chce, żebym nadzorowała bieg wilków?

Walsh-Whiteley uniósł brew.

– Z całą pewnością mam nadzieję, że nie oczekujesz, że powlekę swoje stare kości na Sleeping Giant w środku nocy. Proszę dać spokój, panno Stern. Pani raport z Manuskryptu był bardzo rzetelny. Oczekuję, że utrzyma pani ten poziom.

Co tu, u diabła, się działo? Zarząd czekał z podjęciem decyzji o wydaleniu jej i Dawes?

Alex ogarnęła niepokój. Istniała druga możliwość. Nie dostała żadnej wiadomości od Anselma, odkąd przerwał im wyprawę do piekła. A jeśli nigdy nie wrócił do Nowego Jorku? Może nie miał okazji porozmawiać z Walshem-Whiteleyem ani zarządem?

– Przepraszam, panie profesorze – odpowiedziała, próbując zorientować się w sytuacji. – Nie miałam czasu się przygotować.

Kąciki ust Walsh-Whiteleya opadły.

- Doceniam pani dar, panno Stern, i może nie powinienem był prosić... by zademonstrowała go pani na mój użytek, ale powinna pani zrozumieć, że nie będę przymykał oka na niechlujną pracę tylko dlatego, że urodziła się pani z niezwykłym talentem.

- Raz jeszcze przepraszam. Ostatnio... źle się czułam.

- Z pewnością źle pani wygląda - zgodził się Pretor. Zamknął puszkę z herbatnikami. Najwyraźniej ciastka były dla prymusów. -

Mamy jednak zobowiązania wobec stowarzyszeń, a w czwartek będzie pełnia. Proszę się skupić, panno Stern. Wyciągnę konsekwencje, jeśli...

- Będę na miejscu - zapewniła go Alex. Może zacząć wieczór od masowej przemiany szesnastu studentów i zakończyć go na szybkim wypadzie do podziemnego świata. - I będę gotowa.

Walsh-Whiteley nie wyglądał na przekonanego.

- Proszę przesłać mi e-mailem swoje notatki i umówić się ze mną na spotkanie w Klitce, dopóki nie zakończą się naprawy w Il Bastone. Zgłosiłem do zarządu prośbę o fundusze.

- Jest pan w kontakcie z zarządem?

- Oczywiście. I może być pani pewna, że jeśli nie wywiąże się pani ze swoich zobowiązań...

- Oczywiście. Rozumiem.

Alex wstała i wycofała się za drzwi, zanim profesor zaczął kolejne kazanie. Wiedziała, że powinna zostać i postarać się go udobruchać, ale musiała porozmawiać z Dawes. Jakimś cudem wywinęły się, a to znaczyło, że nadal mają dostęp do zasobów Lete. Może im się poszczęściło. A może szczęście przestało sprzyjać Michaelowi Anselmowi.

– Coś jest nie tak – powiedziała do Dawes, kiedy szła pośpiesznie przez kampus na spotkanie z Turnerem. – Pretor nie powiedział słowa na temat Womitorium ani postępowania dyscyplinarnego.

– Może Anselm zmienił zdanie?

– Był wściekły. Za nic w świecie nie dałby nam drugiej szansy.

– Myślisz, że coś... jeden z demonów...

– Spróbuj się zorientować, czy był w domu.

– Jak mam to zrobić?

– Zadzwoń do niego, udawaj, że z nim pracujesz.

– Alex!

– Do diabła, Dawes, wszystko sama mam robić?

– Jeśli chodzi o działania niegodne z etyką, to tak!

Alex się rozłączyła. Czowała się rozgorączkowana, wystawiona na strzał, jakby nie-całkiem-Hellie mogła czyhać tuż za rogiem. Albo Eitan. Albo Linus Reiter. „Demony nie są bystre”, powiedziała jej kiedyś Dawes. „Są cwane”. Alex zastanawiała się, ilu ludzi to samo powiedziało na jej temat.

– W porządku, co mam zrobić? – mruknęła, patrząc, jak jej oddech maluje się chmurką w zimnym powietrzu, gdy szła pośpiesznie w kierunku Chapel Street.

Poczekaj i obserwuj. Szukaj okazji. Znajdź sposób, żeby przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Jeśli coś się stało Anselmowi... Cóż, to by rozwiązało jeden z ich problemów. Jednakże Lete nie zlekceważy takiego zniknięcia, zwłaszcza że nie żyje już dwoje członków katedry. Alex zatrzymała się przed

uniwersytecką galerią sztuki. Marjorie Stephen. Dziekan Beekman. Czy Anselm też mógł być ofiarą? Nie, jeśli Turner aresztował właściwego podejrzanego. Syn Eda Lambtona nie miał powodu atakować kogoś, kto ledwie był teraz związany z Yale. Chyba że od początku poszli złym tropem.

Kilka minut później podjechał Turner. Alex usiadła na siedzeniu pasażera wdzięczna za ogrzewanie w dodge'u.

- Jezu - powiedziała. - Spałeś w ogóle?

Pokręcił głową. Mięśnie mu drgały na szczęce. Był jak zawsze elegancko ubrany - granatowy wełniany garnitur w bardzo subtelne prążki, szaroniebieski krawat, płaszcz od Burberry'ego przewieszony schludnie przez tylne siedzenie. Miał jednak ciemne smugi pod oczami, a jego skóra przybrała ziemisty odcień. Turner był przystojnym mężczyzną, ale jeszcze kilka nocy zabawy w berka z jego osobistymi demonami i może przestać nim być.

- Jakim tekstem cię załatwił? - spytała Alex.

Turner włączył się samochodem do ruchu ulicznego.

- Tym razem nie pojawił się jako Carmichael. Uznał, że będzie miło, jeśli poczeka na mnie na parkingu przebrany za mojego dziadka.

- Było źle?

Skinął głową.

- Przez sekundę myślałem... Sam nie wiem.

- Uwierzyłeś, że to on?

- Umarli pozostają umarli, prawda? Ale on... To coś wyglądało jak on, brzmiało jak on. Ucieszyłem się na jego widok, jakby to był jakiś cud.

Dar. Nagroda za ból. Dokładnie tak samo poczuła się Alex, kiedy obejmowała Hellie. Jej ponowna utrata prawie ją złamała.

Dlatego Turner wyglądał tak potwornie. Nie z powodu nieprzespanej nocy, ale ponieważ demon się nim karmił.

– Nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam – powiedział Turner.

– Jak się uwolniłeś?

– Powiedział mi, że obu nam grozi niebezpieczeństwo, że muszę z nim iść. Przeszedłem pół przecznicy, kiedy zdałem sobie sprawę, jak szybko się porusza, z jaką lekkością. Mój dziadek miał artretyzm. Nie był w stanie zrobić kroku bez bólu. Powiedziałem... Może jakaś cząstka mnie wiedziała, że to nie on. Powiedziałem: „Uzdrow mnie, Panie, bym się stał zdrowym”.

– Stał w ogniu?

Turner parsknął śmiechem.

– Nie, ale spojrzał na mnie z łagodnym uśmiechem, jakbym skomentował pogodę. Mój dziadek kochał Pismo. Miał kieszonkową Biblię, wszędzie ją ze sobą nosił, trzymał ją na sercu. Gdybym zacytował mu Słowo Boże, twarz rozpromieniłaby mu się jak wschód słońca.

„Są cwane, ale niezbyt bystre”.

– A potem zrobiło się paskudnie – powiedział Turner. – Chociaż wiedziałem, że to nie on, nie chciałem posłużyć się dębem przeciwko niemu, odepchnąć go. Sprawiał wrażenie... – Głos Turnera zdradzał napięcie. Alex zdała sobie sprawę, że policjant walczy ze łzami. Widziała go gniewnego, sfrustrowanego, ale nigdy zrozpaczonego, nigdy zagubionego. – Był stary i kruchy. Kiedy zwróciłem się przeciwko niemu, wydawał się przestraszony i skonsternowany. On...

– To nie był on – przerwała mu Alex. – To coś żywiło się tobą.

Wjechali na parking.

– Wiem, ale...

– Nadal czujesz się gównianie.

– Naprawdę gównianie. – Turner patrzył przed siebie na ogrodzenie z siatki i wielki ceglany budynek za nim. – Wiesz, że nazywa się diabła Ojcem Kłamstwa? Wątpię, żebym kiedykolwiek do tej chwili naprawdę rozumiał, co ludzie mieli na myśli.

Alex starała się nie wiercić na siedzeniu. Za każdym razem, gdy Turner odwoływał się do Biblii, ogarniał ją niepokój, jakby opowiadał jej o jakiejś wspaniałej halucynacji i jej zadaniem było pokiwać mądrze głową i udawać, że też widziała cuda. Z drugiej strony całe życie widziała rzeczy niewidzialne dla innych. Może mogła spróbować uwierzyć mu na słowo.

Przez chwilę miała chęć opowiedzieć mu o wszystkim – o co prosił ją Eitan, jakie zadania dla niego wykonywała, o tym, że pojawił się tu, w New Haven. Turner wiedział, co to znaczy dać się zapędzić w kozi róg, zrobić coś złego, bo każda właściwa rzecz tylko bardziej cię pogrążała.

Zamiast tego wysiadła z samochodu.

– Myślę, że coś mogło przytrafić się Michaelowi Anselmowi.

– Bo nie pojawił się w Il Bastone?

– Pomyślałam, że wrócił do Nowego Jorku, ale dopiero co spotkałam się z nowym Pretorem, a on nie powiedział ani słowa na temat Womitorium, ani tego, że wszyscy zostaliśmy wyrzuceni z Lete.

– Możliwe, że Anselm chciał osobiście porozmawiać z zarządem.

– Możliwe – zgodziła się Alex. Przeszli szybko przez ulicę i weszli przez obrotowe drzwi do wielkiego, anonimowego lobby. Naprawdę nie wyglądało to jak szpital. Mogli znajdować się gdziekolwiek. – A może coś go dopadło, zanim wrócił do miasta.

Turner błysnął odznaką i dowodem tożsamości przy recepcji, a potem ruszyli w stronę wind.

– Myślałem, że demony są z nami powiązane. Po co któryś miałby szukać Anselma?

Sprawa miała wrażenie zaniepokojonego i Alex to rozumiała. Żadne z nich nie chciało, żeby te stwory dopadły ich przyjaciół i rodzinę.

– Kto wie, czy z piekła nie wyrwało się coś jeszcze? Anselm prze-rwał rytuał. Może to pociągnęło za sobą konsekwencje.

– Zgadujesz – powiedział Turner. – Albo, jak to nazywamy w tym biznesie, prawisz kazanie z dupy. Równie dobrze Anselm mógł się pokłócić z żoną i po prostu nie znalazł jeszcze czasu, żeby nas załatwić.

– To wszystko jest zgadywanką, Turner. Ale nie musi być.

Turner westchnął.

– W porządku, przekonam się, czy mogę to sprawdzić, nie zwracając na siebie uwagi. A teraz możesz się skupić?

„Proszę się skupić, panno Stern”. Tyle że Alex nie chciała się skupić. To wszystko było zbyt znajome. Białe ściany, reprodukcje nijakich dzieł sztuki, wykładzina ustępująca miejsca zimnym kafelkom. To były miejsca, w których nauczyła się kłamać, udawać, że jest zwykłym dzieciakiem, który wpadł w złe towarzystwo, mówić życzliwym pracownikom opieki społecznej i ciekawskim psychiatrom, że lubi wymyślać szalone historie, lubi zwracać na siebie uwagę.

Tkwiło w tym ziarno prawdy. Nie chciała zranić matki. Wiedziała, że jest powodem nieustannego bólu głowy, bólu serca, kłopotów finansowych, matczynej niedoli. Chciała znaleźć przyjaciół, ale nie potrafiła. Łzy przychodziły jej z łatwością. Najtrudniejsze było ukrycie tego, jak rozpaczliwie chciała dojsć do siebie, jak bardzo chciała się uwolnić od rzeczy, które widziała. Jedynym plusem oddziałów psychiatrycznych było to, że Szarzy nienawidzili tych miejsc jeszcze bardziej niż żywi.

Tylko raz poddała się i powiedziała prawdę. Miała czternaście lat i już trzymała się z ludźmi Lena. Już pozwoliła, żeby ją zerznął na wąskim łóżku z brudną pościelą. Palili przed i po. Była rozczarowana tym, jaki niechlujny jest sam akt, ale starała się robić dobrą minę, wydawała z siebie odgłosy, które najwyraźniej go podniecały. Głaskała jego wąskie plecy i poczuła coś, co mogło być miłością albo pragnieniem miłości.

Matka zaciągnęła ją na diagnozę, a ona się zgodziła, bo Len powiedział, że jeśli dobrze to rozegra, to przepiszą jej coś dobrego i ponie-

waż lepsze to niż wysłanie gdzieś, gdzie spróbują ją brutalnie naprostować. Faceci w mundurach polowych mogli na nią wrzeszczeć i zmuszać do robienia pompek i sprzątanania łazienek, ale ona bała się przez całe swoje życie i tylko coraz bardziej się pograżała.

Alex naprawdę polubiła lekarkę, z którą spotkała się tamtego dnia w Wellways. Marcy Golder. Była młodsza od poprzednich, zabawna. Miała ładny tatuaż z pnącą różą na nadgarstku. Zaproponowała Alex papierosa, usiadły razem i popatrzyły na odległy ocean. Marcy powiedziała:

- Nie mogę udawać, że rozumiem wszystko na tym świecie. To byłoby bardzo aroganckie. Myślimy, że rozumiemy, i nagle bum! Galileusz. Bum! Einstein. Musimy pozostać otwarci.

Dlatego Alex powiedziała o rzeczach, które widzi, odrobinę o Cichych, którzy zawsze jej towarzyszą i znikają tylko w chmurze dymu z trawki. Nie wszystko, tylko odrobinę, na próbę.

Okazało się, że nawet to było za dużo. Natychmiast się zorientowała. Spozrzęła zrozumienie w oczach Marcy, wystudiowane ciepło, a pod tym podniecenie, którego lekarka nie umiała ukryć.

Alex szybko się zamknęła, ale co się stało, to się nie odstanie. Marcy Golder chciała zatrzymać ją w Wellways na sześciotygodniowym programie elektrowstrząsów połączonych z terapią psychologiczną i hydroterapią. Na szczęście to przerastało budżet Miry. W dodatku matka Alex miała w sobie za dużo z hipisa, żeby zgodzić się na przyklejenie elektrod do czaszki córki.

Teraz Alex wiedziała, że to nic by nie dało, ponieważ Szarzy istnieją naprawdę. Żadna ilość leków i elektryczności nie mogła usunąć martwych. Jednak wtedy się zastanawiała.

Szpital Yale New Haven przynajmniej próbował udawać ludzki. Rośliny w kątach. Wielkie okno dachowe i odrobina błękitu na ścianach.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Turner, kiedy winda zaczęła się wznosić.

Alex skinęła głową.

- Co cię dręczy w tym facecie?

- Nie jestem pewien. Przyznał się. Zna szczegóły zbrodni i wszystkie dowody zebrane przez laboratorium kryminalistyczne pasują, ale...

- Ale?

- Coś tu nie gra.

- Mrowienie - powiedziała. Turner zdębiał, a potem potarł szczękę.

- Aha. To właśnie.

Mrowienie nigdy nie zwiódło Turnera. Ufał instynktowi i możliwe, że teraz ufał też jej.

Na spotkanie wyszła im lekarka, blondynka w średnim wieku z modną grzywką i rozjaśnionymi pasemkami.

- Doktor Tarkenian będzie obserwować - wyjaśnił Turner. - Alex zna ojca Andy'ego.

- Byłaś jedną z jego studentek? - zapytała psychiatra.

Alex skinęła głową, żałując, że Turner nie przygotował jej na to.

- Andy i Ed byli ze sobą bardzo blisko - powiedziała lekarka. - Żona Eda Lambtona zmarła nieco ponad dwa lata temu. Andy przyjechał na pogrzeb i zachęcał ojca, żeby przeprowadził się do niego do Arizony.

- Lambton nie był zainteresowany? - zapytał Turner.

- Jego laboratorium jest tutaj - odpowiedziała doktor Tarkenian. - Rozumiem jego wybór.

- Powinien był przyjąć ofertę syna. Według tego, co mówią ludzie, jego doktoranci praktycznie nie mieli nadzoru. Nie miał głowy do pracy.

Alex zauważyła, że ta ocena zmartwiła doktor Tarkenian.

- Znała go pani.

Tarkenian skinęła głową.

– Zrobiłam u niego doktorat wiele lat temu. Obawiam się, że nie widzieliście go w jego najlepszych latach. – Jej twarz stwardniała. – Znałam też dziekana Beekmana. Nie zasłużył na coś takiego.

Poprowadziła ich korytarzem do przeszklonego pokoju, gdzie siedział mężczyzna około trzydziestki, przypięty kajdankami do wózka inwalidzkiego, odwrócony plecami do spektakularnego widoku na New Haven. Usta miał spierzchnięte, zginał i prostował palce na podłokietniku w zgodzie z jakimś sekretnym rytmem, ale poza tym wyglądał dobrze. Zdrowo. Normalnie. Miał ciemne włosy i krótko przyciętą brodę przyprószoną siwizną. Wyglądał jak gość, który pracuje w browarze rzemieślniczym.

To mogłabym być ja, pomyślała. To byłam ja. Spotkała dziekana Sandowa w szpitalu. Była przykuta kajdankami do łóżka, nikt jeszcze nie wiedział, czy jest ofiarą czy podejrzaną. Niektórzy ludzie pewnie nadal się nad tym zastanawiają.

Za Andym Lambtonem szare chmury wisiały nisko nad miastem. Alex widziała prześwit w postaci błoni, East Rock w oddali, wielką gotycką iglicę Harkness Tower, chociaż wątpiła, żeby dźwięk jej dzwonów niósł się aż tutaj.

– Imponujący widok – powiedziała Alex, a Andy zadrżał.

Usiedli naprzeciwko niego.

– Jak się masz, Andy? – spytał Turner.

– Jestem zmęczony.

– Spał? – zapytał lekarke Turner.

– Nie rozmawiaj o nim, jakby tu go nie było – weszła mu w słowo Alex. – Dobrze pan sypia?

– Nie – przyznał Andy. – To nie jest do końca miejsce stworzone do wypoczynku.

– Widywałam gorsze – odparła Alex.

Andy wzruszył ramionami.

– Nie podoba mi się tutaj.

- W szpitalu?

- W tym mieście. - Andy obejrzał się przez ramię, jakby New Haven nasłuchiwało, jakby się do niego podkrađło.

Jednakże Andy był spokojny, swobodny. Alex zastanawiała się, czy jest na lekach.

Turner pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i splótł palce.

- Muszę porozmawiać z tobą o tym, co się wydarzyło, zupełnie poza protokołem, bez magnetofonu, notatek, niczego, co można by wykorzystać przeciwko tobie w sądzie.

- Dlaczego? Powiedziałem już wam, co zrobiłem.

- Próbuję zrozumieć.

Andy Lambton przeniósł wzrok na Alex.

- A ona ma ci w tym pomóc?

- Zgadza się.

- Jest cała w ogniu - powiedział.

Alex ledwie powstrzymała się przed spojrzeniem na Turnera, ale wiedziała, że oboje myślą o niebieskim płomieniu, jaki otaczał ją w piekle.

- Powiedziałem wam, że to zrobiłem - powtórzył Andy. - Co jeszcze chcecie wiedzieć?

- Potrzebuję po prostu wyjaśnić kilka drobiazgów. Obejrzeliliśmy sobie dokładnie twój komputer. Poza dość nieciekawym porno w historii w twojej wyszukiwarce nie wyskoczyło nic ciekawego. Nic, co wiązałoby się z profesorem Stephen albo dziekanem Beekmanem.

- Może to usunąłem.

- Nie usunąłeś. I to też jest niezwykle.

Andy znowu wzruszył ramionami.

- Jak dostałeś się do domu dziekana Beekmana? Do gabinetu profesora Stephen? - dopytywał się Turner. - Śledziłeś ich? Obserwowałeś?

- Po prostu wiedziałem jak to zrobić.

- Skąd?

- On mi powiedział.

Turner warknął z frustracją, jednak Alex wyczuwała, że Andy nie jest po prostu uparty. Tu działo się coś innego.

- Kto ci powiedział? - spytał Turner.

Teraz Andy się zawahał.

- Ehm... mój tata?

Turner odchylił się w krześle uspokojony.

- Wiedział, że zamierzasz skrzywdzić tych ludzi?

Andy gwałtownie poderwał głowę.

- Nie!

- Po prostu wręczył ci swoją kartę dostępu i wyśpiewał ci ich godziny pracy dla czystej zabawy?

- Niczego nie wyśpiewał. Baran mi powiedział. - Andy oblizał usta i przesunął językiem po zębach, jakby nie podobał mu się smak tych słów.

Alex znieruchomiła.

- Baran?

Andy przewrócił oczami. To nie był wyraz pogardy. Było coś dziwnego w tym ruchu, jak u zwierzęcia złapanego w pułapkę, które usiłuje się z niej wyrwać.

Mimo to mówił rozsądnie:

- To nie było takie trudne znaleźć ich, sprawić, że mnie wpuszczą. Spędziłem większość życia na Yale, jasne? - Wytknął Turnera palcem. - I nie próbuj mieszać w to mojego ojca. Mówiłeś, że to rozmowa poza protokołem.

- Nie zamierzam dobierać się do twojego ojca. Próbuję zrozumieć, co tu się wydarzyło. - Turner przyjrzał się Andy'emu. - Porozmawiajmy o Karolu II.

- O tym... królu?

- Dlaczego otworzyłeś Biblię Marjorie Stephen? Dlaczego Sędziowie?

Teraz na twarzy Andy'ego zapłonął gniew.

- Przez nią mój ojciec wszystko stracił. I to z jakiego powodu? Cudzego błędu?

Turner rozłożył ręce, jakby rozkładał dowody.

- Z tego, co rozumiem, nadzorował prace laboratorium. Nadzór to jego obowiązek.

- Za daleko się posunęli.

- Ma etat. Nie stracił pracy.

Andy roześmiał się. To był przykry, zgrzytliwy dźwięk.

- Poradziłby sobie z utratą pracy, ale stał się pośmiewiskiem. Badania nad uczciwością, w którym wykorzystano sfałszowane dane? Nie mógł pokazać się na żadnej konferencji. Stracił reputację, godność. Ośmieszono go. Nie... nie wiecie, jak się z tym czuł. Nie chce już uczyć. Nie chce już nic robić. Jakby częśćka jego osoby umarła.

- Osądzili go - powiedziała Alex. - Podpisali wyrok śmierci i równie dobrze mogli go stracić. Chciałeś się zemścić.

- Ehm... tak.

- Chciałeś ich upokorzyć.

- Tak.

- Przytrzeć im nosa.

- Tak - warknął i ten dźwięk poniósł się po pomieszczeniu.

- Ale nie chciałeś ich zabić.

Andy spojrzał zaskoczony.

- Nie, oczywiście, że nie.

Turner zmrużył oczy.

- Mimo to ich zabiłeś.

Andy pokiwał głową, a potem pokręcił, jakby to była dla niego zagadka.

- Tak, zabiłem. Przez niego to było takie łatwe.

- Przez barana? - spytała Alex.

Powieki Andy'ego zatrzepotały.

- Był życzliwy.
- Tak? – naciskała Alex.
- Łatwo się z nim rozmawiało. On... tak dużo wiedział.
- O czym?

Andy znowu obejrzał się przez ramię.

- O tym mieście. O tutejszych ludziach. Znał wiele historii. Znał wszystkie odpowiedzi. Ale nie był... Nie rządził mną, wiesz? Chciał tylko pomóc. Naprostować. Był uprzejmy. Prawdziwy...

- Dżentelmen – dokończyła za niego Alex.

Zimny pot zlał jej ciało. Z trudem powstrzymała dygot.

„Baran mi powiedział”. Alex pomyślała o zakrzywionych do tyłu rogach Darlingtona, jarzących się za ochroną złotego kręgu, jego więzienia.

Może jednak krąg był iluzją. Może Darlington sprawił, że wierzyli, że krąg go powstrzymuje, a tak naprawdę to był tylko migotliwy prosek.

Wiedziała, że w miejscach zbrodni było coś dziwnego – pracownicy zainscenizowane scenki przesiąknięte wiedzą o New Haven. Gra, jaką mógłby prowadzić demon.

Turner przyglądał się jej.

- Chcesz się czymś podzielić z resztą klasy, Stern?

- Nie... muszę... muszę iść.

- Stern... – zaczął Turner, lecz Alex już wyszła i odchodziła korytarem. Musiała dostać się do Black Elm.

Darlington, który znał na wylot historię New Haven, który „rozpoznał” cytat z kazania Davenporta. Co powiedział tamtego dnia? „Zawsze podziwiałem cnotę, ale nigdy nie potrafiłem jej naśladować”. Alex wpisała ten cytat do telefonu. Natychmiast wyskoczyła odpowiedź: Karol II. Darlington powiedział, że jest pustelnikiem w jaskini. I oczywiście miał na myśli Jaskinię Sędziów. Anselm ją ostrzegł:

„Cokolwiek przetrwałoby w piekle, nie byłoby już Darlingtonem, którego znasz”.

Demony uwielbiały gry. A on grał z nimi od samego początku.

Część II.

TAK NA DOLE

35.

LISTOPAD

– Nie jesteśmy tu sami – szepnął Szary, podnosząc palec do ust jak aktor w sztuce.

Alex wezwała samochód, który dowiózł ją pod bramę Black Elm.

Przemierzyła żwirowy podjazd długimi krokami, gniew ją napędzał jak silnik, jak lokomotywa pchająca ją przed zdrowym rozsądkiem.

Wsunęła klucz do zamka, uporządkowała pocztę, umyła ręce. Zobaczyła drzwi do piwnicy rozwarłe jak otwarta rana, jak rozkopany grób.

Było tysiąc chwil, żeby pomyśleć, zastanowić się. Stała z nożem w ręce u szczytu schodów do piwnicy, wpatrując się w ciemność, i nadal uważała, że jest ostrożna.

Upadek nadszedł szybko. Jak zawsze.

W chłodnej ciemności piwnicy Alex przemyślała wszystkie popełnione błędy. Powinna była zostać z Turnerem i dokończyć rozmowę z Andym Lambtonem. Nie powinna była przyjeżdżać do Black Elm sama. Powinna był powiedzieć Dawes o swoich podejrzeniach, albo Turnerowi. Komukolwiek. Nigdy nie powinna była ufać swojemu demonowi-dżentelmanowi. Chciała jednak wierzyć, że Darlingtonowi nic złego się nie stało, że cokolwiek przeszedł w piekle, nie zostawił na nim śladu, że ona uzyska przebaczenie i zostanie przywrócony porządek. Darlington znów będzie cały, tak samo jak ona.

A może to teraz wyciągała pochopne wnioski? Może to nie-całkiem-Hellie albo inny demon zepchnął ją ze schodów. Może jakiś dziki lokator, którego nie wychwyciły kamery Dawes? A może to Eitan i Tzvi przyjechali tu za nią? Albo Linus Reiter z jego białą parasolką?

Zbyt wiele cieni, za dużo historii, za wiele ciał na stosie. Zbyt wielu wrogów. Nie dało się walczyć ze wszystkimi.

Przynajmniej Alex pojawi się na kamerach. Ktoś powinien się zorientować, gdzie zniknęła. Gdyby nie wróciła. Z powodu bólu w żebrach nie mogła wziąć głębszego wdechu. Spojrzała na Szarych przed sobą. To nie byli przypadkowi Szarzy. To była Harper Arlington i Daniel Arlington IV. Rodzice Darlingtona.

Nikt z długiej listy wrogów Alex nie miał powodu, żeby ich zabić. Nikt poza Darlingtonem, małym Dannym, którego zostawiano samego raz za razem. „Niebo ich nie chce, gdyż niosłyby zgubę jego piękności; piekło je wyklucza.”¹¹

– Od jak dawna tu jesteście? – zapytała.

Daniel zerknął w kąt, jakby się spodziewał, że coś przeniknie ściany.

– Nie wiem.

Harper skinęła głową.

– Nie możecie się stąd wydostać? – zapytała Alex.

Szarzy nigdy nie zostawiali przy swoich ciałach zbyt długo, o ile nie mieli powodu. Tak jak Hellie, gdy chciała się pożegnać. Prawdziwa Hellie, która ją kochała.

– Kazał nam zostać.

– Kto?

Nie odpowiedzieli.

Alex pochylała się, żeby spojrzeć na ich ciała. Zimno powstrzymało nieco gnicie, mimo to ciała potwornie cuchnęły. Delikatnie je obróciła. W piersiach obu widniały potężne wyrwy. Ślady pazurów. Weszły

głęboko. Przebiły się prosto przez mostek, żebra, zostawiając ciemne, papkowate leje. Wyrwał im serca.

– Kto wam to zrobił?

Harper otworzyła usta, zamknęła je jak marionetka w niezręcznych rękach.

– Był naszym synem, ale to nie nasz syn – powiedziała.

Daniel znowu zerknął w ką.

– Zostawił to tam. Powiedział, że to może przydarzyć się także nam. Powiedział, że pożre nasze życie.

Alex nie chciała wiedzieć, co leży w kącie. Cienie tam wydawały się głębsze, zimno przenikliwsze. Skierowała światło telefonu w tym kierunku, ale nie potrafiła się zorientować, co widzi. Stos wiórów? Skrawki papieru? Potrzebowała chwili, by zrozumieć, że patrzy na ciało, jego resztki. Patrzyła na kogoś poźartego, z kogo nie zostało nic poza pustą skorupą. Czy to właśnie zostałoby po niej, gdyby Linus Reiter ją dopadł? Czy to właśnie Darlington zaczął robić z Marjorie Stephen i zostawił ją zwiędłą i postarzałą, ale wciąż w takim stanie, że dało się ją rozpoznać?

Alex wiedziała, że to nie ma sensu, ale spróbowała zadzwonić do Dawes. Na ekranie pojawił się numer i nic więcej się nie wydarzyło. Zasięg w Black Elm był w najlepszym razie zmienny, a pod ziemią w ogóle go nie było. Oświetliła znowu schody. Co tam na nią czekało? Czy Darlington zostawił ją sobie na przegryzkę w środku nocy? Czy nadal był jakoś związany z Black Elm, czy też skradał się po New Haven, gdzie aranżował swoje małe morderstwa? To miało sens. Darlington przetrwał w piekle jako człowiek i jako demon. Jakaś część ich obu powróciła do świata żywych, żeby zasiąść w złotym kręgu. I pewna część tego demona-chłopca, która nadal kochała New Haven i jego przedziwną historię, znalazły historię sędziów i cudownie bawiłaby się, urządzając makabryczną zabawę w podchody dla niej i Turnera.

Tylko czy to na pewno składało się w całość? Czy jego rozpacz była jedynie grą? Czy był bardziej demonem niż człowiekiem? Czy zawsze nim był?

Czymkolwiek był, nie wiedział tak naprawdę, co ona potrafi, że może być słaba i ranna, ale to, co zostawił, żeby ją przerazić, może stać się bronią w jej rękach. Żebra bolały ją przy każdym oddechu, ramię ją rwało w miejscu, gdzie uderzyła się o schody, ale bywało gorzej. Mimo to drzwi na górze były dostatecznie ciężkie, żeby nie była w stanie wykopać ich w pojedynkę. Dotknęła nadgarstka, gdzie solna gwiazdka znaczyła miejsce, w którym wszedł w nią wąż. Mogła mieć tylko nadzieję, że będzie gotowy uderzyć.

- Kto chce mi pomóc wydostać się stąd? - zapytała Szarych.

- Możesz przywrócić nam życie? - zapytał Daniel.

Zatem inteligencja ominęła jedno pokolenie Arlingtonów.

- Nie, ale mogę przynajmniej dopilnować, żebyście nie spędzili wieczności w piwnicy.

- Ja pójdę - zaproponowała Harper.

- Nie zostawiaj mnie tu samego! - krzyknął Daniel.

- Chrzanić to - powiedziała Alex, chociaż nie była pewna, czy to, co zamierza, jest w ogóle możliwe. - Wskakujcie oboje.

Wyciągnęła ręce i rodzice Darlingtona wpadli w nią. Miała wrażenie, że stoi na tłoczonym przyjęciu, słyszy setki głosów, wokół niej panuje nieznośny hałas. Poczowała szampana w ustach, zapach goździków, tuberozy, ambry. *Caron Poivre*. Nazwa zapachu pojawiła się w jej głowie, obraz buteleczki na toalecie, szklany granat. Zobaczyła swoją szczupłą twarz w lustrze; mały chłopiec bawił się na podłodze w głębi odbicia, ciemnowłosy, o poważnych oczach. Zawsze ją obserwował, zawsze czegoś od niej chciał, tęsknota w nim ją wyczerpywała.

A potem szła przez tereny wokół Black Elm. Były wtedy schłodniejsze, zieleniejsze i bujniejsze w letnim skwarze. Patrzyła na starego mężczyznę idącego z tym samym małym chłopcem kawalek dalej ścieżką. Kochał ich obu. Nienawidził ich obu. Nienawidził własnego ojca i wła-

snego syna. Gdyby tylko znaleźli oparcie, gdyby tylko znaleźli sposób, żeby zapewnić sobie trochę szczęścia, nie czułby się tak – jak nikt. Przecież był Arlingtonem.

Alex potrząsnęła głową. Miała wrażenie, że tonie w nienawiści do siebie.

– Wy dwoje naprawdę powinniście się zastanowić, jak chcecie spędzić czas w zaświatach. Polecam terapię.

Zerknęła na trupy na ziemi. Przypomniała sobie Darlingtona we śnie, ludzkiego, ze złamanym sercem. „Nie potrafię ich nie kochać”. Najwyraźniej znalazł sposób.

Zaraz potem wbiegła po schodach. Wypełniająca ją siła była niemal zbyt duża. Jakby jej ciało nie mogło pomieścić takiej mocy. Nie czuła już bólu w ramieniu ani w żebrach. Serce biło jej głośno w uszach. Wbiegła po dwa stopnie, wyciągnęła ręce, żeby osłonić twarz, i wypadła przez zaryglowane drzwi.

Usłyszała czyjś krzyk i zobaczyła Michaela Anselma kucającego przy otwartych drzwiach z bladą twarzą i oczami wielkimi z przerażenia.

– Alex? – pisnął.

– Co tu robisz? – zapytała ostro.

– Ja... Co ty tu robisz?

– Black Elm nie należy do Lete. A ktoś musi się zająć Cosmo.

– To dlatego właśnie wyrwałaś drzwi do piwnicy z zawiasów?

Alex cieszyła się, że Anselm nie został zamieniony w karmę dla demonów, ale to nie znaczyło, że mu ufała.

– Czego chcesz? I gdzie się podziewałeś?

Anselm wstał i się otrząpał. Poprawił mankiety, starając się odzyskać część godności.

– Byłem w Nowym Jorku. Żyłem własnym życiem, chodziłem do pracy, bawiłem się z moimi dziećmi, starałem się zapomnieć o Lete.

Spotkałem się z zarządem dzisiaj rano. Przyszedłem porozmawiać z tobą o ich decyzji.

- Tutaj?

- Dawes powiedziała, że tu jesteś. Ona też tu powinna być. Nie chcę powtarzać dwa razy tego samego.

Dawes musiała zobaczyć Alex na kamerach antywłamaniowych. Może nawet zadzwoniła, żeby ostrzec Alex, że Anselm tu jedzie, lecz Alex siedziała w piwnicy. Szarzy w jej głowie byli tak cholernie głośni, że nie mogła zebrać myśli, ale nie chciała jeszcze porzucić ich siły. Czy to Anselm zepchnął ją ze schodów? Z jakiego powodu miałby to zrobić? Wiedziała tylko, że musi się go pozbyć. Darlington może być w nastroju do morderstwa, ale nie zamierzała pozwolić na to, żeby to Anselm zdecydował, co się stanie z Darlingtonem.

- Wyjdźmy stąd - powiedziała. - Tu jest zimno i upiornie.

Anselm zmrużył oczy.

- Co jest grane?

W piwnicy leżą zwłoki dwóch osób, możliwe, że trzech, a ja jestem naładowana Szarymi, bo jestem w zasadzie pewna, że dżentelmen z Lete uznał za zabawne popełnić kilka morderstw i na dokładkę kogoś pożreć.

- Mnóstwo - odpowiedziała, bo odpowiedź „nic” by nie przeszła. - Ale ty już nie zajmujesz się rozwiązywaniem moich problemów, prawda?

- Chyba że te problemy stają się problemami Lete. - Rozejrzał się i roztarł ręce. - Ale masz rację. Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie można porozmawiać. Ten dom należałoby zburzyć.

Bum.

Od tego dźwięku zadrżały ściany, jakby ktoś zdetonował bombę na piętrze.

- Co to było?! - krzyknął Anselm, łapiąc się wyspy kuchennej jak tonący.

Alex знаła ten dźwięk – coś waliło w drzwi, które nigdy nie powinny zostać otwarte, i próbowało przedostać się do świata śmiertelników.

Bum.

Anselm wpatrywał się w nią.

– Dlaczego nie jesteś przestraszona?

Była przestraszona. Nie była jednak zaskoczona. I popełniła błąd, zdradzając się z tym faktem.

– Coś ty, u diabła, zrobiła?

Teraz Anselm był zły. Minął ją, idąc do jadalni w stronę schodów.

– Stój! – powiedziała Alex, doganiając go. – Musimy stąd wyjść. Nie wiesz, z czym masz do czynienia.

– A ty wiesz? Ewidentnie nie doceniałem twojej ignorancji i arogancji.

– Anselm. – Złapała go za rękę i obróciła.

To było łatwe, gdy miała w sobie Szarych. Zamrugał zdumiony jej siłą, zagapił się na palce zaciśnięte na jego ręce.

Bum.

Tynk posypał się z sufitu w salonie. Znajdowali się teraz dokładnie pod salą balową, pod kręgiem ochronnym.

– Puść mnie – upierał się, ale był przestraszony.

– Anselm, jeśli będę musiała cię stąd wywlec, zrobię to. Tu nie jest bezpiecznie i musimy iść. Natychmiast.

– Dałabyś radę, co? – powiedział Anselm, przyglądając jej się przerażonym wzrokiem. – Jestem cięższy od ciebie o ile? Prawie pięćdziesiąt kilo? A ty mogłabyś mnie stąd wywlec. Czym ty jesteś?

Bum.

Alex nie musiała odpowiadać, bo właśnie zawalił się sufit.

Kittscher: Istnieje teoria, że zasadniczo cała magia jest demonicznego pochodzenia, że każdy rytuał wzywa i wiąże demoniczne moce.

Czy nigdy nie zastanawialiście się, dlaczego magia ma taką cenę? Gdy ocieramy się o upiorność, spotykamy się właśnie z tymi pasożytniczymi siłami. Demon się żywi, nawet kiedy jego moce pozostają spętane. Im większa magia, tym potężniejszy demon. Węzły to niewiele więcej niż drzwi, przez które demony mogą na chwilę się przedostać.

Nownes: To, co sugerujesz, jest perwersyjne pod każdym względem.

Kittscher: Nie mówisz jednak, że się mylę.

Dajmonologia Kittschera, 1933

Alex i Anselm przewrócili się na plecy, gdy podłoga sali balowej się załamała i zwała się pośród kaskady tynku i drewna. Darlington przykucnął na gruzie, jego rogi jarzyły się, złote oczy płonęły jak reflektory. Wyglądał na większego niż dotąd, miał szersze plecy.

Warknął i w tym dźwięku Alex usłyszała słowo, może imię, lecz nie była w stanie go zrozumieć.

Stała między Darlingtonem a Anselmem.

- Darlington...

Darlington ryknął i brzmiało to jak ryk pociągu metra. Ciął podłogę, zostawiając w drewnie głębokie żłobienia. Alex pomyślała o śladach pazurów na piersiach jego rodziców.

- Uciekaj! - krzyknęła do Anselma. - Ja go zatrzymam!

Anselm przywarł plecami od ściany, garnitur miał obsypany tynkiem, oczy wielkie jak spodki.

- To... on... co...

Darlington siedł w ich stronę.

Alex oblizła nadgarstek i solne węże wyskoczyły z jej ciała, sycząc i atakując. Anselm wrzasnął. To, czym stał się Darlington, zatrzymało się, gdy węże popęzły ku niemu po podłodze.

Anselm zakwilił.

- To... To jest Daniel Arlington?

Grzechotniki rzuciły się na Darlingtona, zacisnęły szczęki na jego nogach i rękach. Zawył, próbując je zrzucić, i cofał się na oślep ku schodom.

- To... To jest wynaturzenie – bełkotał Anselm. – Zatrzymaj go! Masz przewagę!

- Wynoś się stąd! – krzyknęła przez ramię Alex.

- Nie możesz chyba myśleć, że go uratujesz! Mógłby zniszczyć Lete i nas wszystkich.

Darlington uderzył jednym z solnych węży o poręcz i przyszpilił go rogiem.

- Spójrz na niego – domagał się Anselm. – Chociaż raz w życiu zastanów się, Stern.

Zastanów się, Stern.

- Nie pozwól mu wejść z powrotem do kręgu! – krzyknął Anselm. – Odeślij to monstrum do piekła, a ja znajdę sposób, żebyś mogła wrócić do Lete!

Tylko dlaczego Darlington miałby chcieć wrócić do swojego więzienia? I skąd Anselm wiedział o kręgu ochronnym?

Zastanów się, Stern. Anselm zawsze mówił jej po imieniu. Gdy były złe, zwracał się do niej „panno Stern”. To Darlington mówił do niej po nazwisku. Zawahała się, gdy niemożliwy pomysł próbował przewalczyć sobie drogę przez jej splątane myśli. Przypomniała sobie, jak Anselm opowiedział jej o trzech sędziach i jak bardzo przypominał jej Darlingtona.

Darlingtona pozbawionego magii, bez Black Elm. Bez duszy.

Przypomniała sobie, jaka była zaskoczona, kiedy zapytał o jej matkę. „Wstydzisz się jej?”. Falę wstydu, jaka ją wtedy zalała. To, jak wycieńczona czuła się po tym spotkaniu. Przypomniała sobie, jak Anselm się przeciągnął na słońcu – jak najedzony kot. „Czuję się prawie jak człowiek”.

Alex wiedziała, że nie powinna odwracać się plecami do rannego demona, lecz miała wrażenie, że już popełniła ten błąd. Poruszała się powoli, ostrożnie, starając się mieć na oku i Darlingtona, i Anselma.

Anselm przyciskał się plecami do ściany.

Alex przesunęła językiem po nadgarstku. Jej solne węże rozwinęły się. Potrafiły rozpoznać demona. Nawet kiedy był ubrany w ludzką skórę i autorytet Lete. Zaatakowały.

Anselm uniósł ręce i pierścień pomarańczowego ognia skoczył do przodu. Solne węże strzelały i skwierczały od żaru, eksplodowały gradem iskier.

– Cóż – powiedział, otrzepując się po raz drugi tego dnia. – Miałem nadzieję, że ty zajmiesz się zabijaniem. Chciałem przez jakiś czas popatrzeć, jak torturujesz się z powodu zamordowania swojego ukochanego mentora.

„Wstydzisz się jej?”. To pytanie odebrała jak cios w brzuch, wstrząsnęło nią i pozostawiło uwikłaną w poczucie winy. Żerował na niej. Przypomniała go sobie, gdy stał w Bibliotece Sterlinga, kręcąc głową jak znękany tata z telewizyjnego serialu. Jakby odgrywał człowieka.

– Jesteś jego demonem – powiedziała Alex, a zrozumienie zalało ją jak powódź. – Podłączyłeś się do nas, kiedy za pierwszym razem próbowałyśmy wyciągnąć Darlingtona. Kiedy zawaliliśmy z Dawes rytuał w Zwoju i Kluczu. I pogrywałeś sobie z nami od tego czasu.

„Był naszym synem, ale to nie nasz syn”.

– Zabiłeś rodziców Darlingtona – dodała.

Anselm poruszył ramionami, żeby je rozluźnić, mięśnie przesuwały się pod jego skórą.

– Pojawili się w Black Elm, kiedy próbowałem się zorientować, jak wyciągnąć moją gorszą połówkę z tego przeklętego kręgu.

„To, czym jestem, zostanie wypuszczone na świat”. Darlington nie posługiwał się tylko siłą swojej woli, żeby pozostać w kręgu, odwołał się do resztek swojej ludzkiej natury, żeby przywołać całą dostępną powściągliwość. Ta sama ludzka część walczyła w nim, żeby podsunąć im wskazówki, a nawet próbowała ją ostrzec. W jej śnie było ich dwóch: demon i człowiek. „Muszą być”, powiedział. Chłopiec i potwór.

Anselm jednak nie był w stanie żerować na Darlingtonie w świecie śmiertelników, ponieważ chronił go krąg. Dlatego musiał przybrać

inną formę.

- Zabiłeś też Michaela Anselma - powiedziała.

Stąd wzięła się wysuszona skorupa w piwnicy. Demon karmił się Anselmem, ukradł jego życie. Kiedy Alex jadła z nim lunch nad wodą, zauważyła, że sprawia wrażenie odmienionego: młodszego, odprężonego, przystojnego, jakby doskonale się bawił. Bo tak właśnie było. Najadł się ludzkiego nieszczęścia. Uścisnęła mu dłoń. Zawarła z nim umowę, przysięgając na życie matki. Ależ musiał się uśmieć z jej desperacji.

Darlington na schodach warknął, nadal oblegany przez węże Alex, ale ona nie wiedziała, jak je odwołać. I dlaczego Anselm o wiele lepiej walczył z solnymi duchami niż Nie-Hellie, Nie-Blake i reszta demonów?

- Morderstwa - powiedziała. - Ta cała sprawa z sędziami i profesorem Lambtonem służyła tylko odwróceniu uwagi.

- To była gra - poprawił ją Anselm z łagodnym uśmiechem. - Zagadka.

Żeby uniemożliwić im znalezienie i wykorzystanie Womitorium, żeby nie mogli uwolnić duszy Darlingtona z piekła.

- Dwie osoby umarły, a Andy Lambton jest na oddziale psychiatrycznym.

- To była świetna gra.

W noc katastrofalnego rytuału w Zwoju i Kluczu w Il Bastone pojawił się prawdziwy Michael Anselm - pedantyczny, zimny, zdecydowany dopilnować, żeby żadne kłopoty nie dotknęły Lete. Pierwsze morderstwo na kampusie miało miejsce dokładnie tej samej nocy, tyle że później. Demon pożywił się Marjorie Stephen, postarzając ją, jakby podano jej potworną truciznę, ale powstrzymał się, zanim została z niej tylko wysuszona skorupa. Nie chciał przybrać jej kształtu. Do niczego by mu się nie przydał. Poza tym chciał tam tylko przygotować swoją scenkę. Bardziej uważał, kiedy zabił dziekana Beekmana, pano-

wał nad swoim demonicznym głodem, posłużył się Andym Lambtonem do odwalenia brudnej roboty.

- Musiałem odciąć powiązania Darlingtona ze światem śmiertelnych, zanim wy, patałachy, uwolnilibyście jego duszę i połączylibyście z ciałem - przyznał Anselm. - Póki jednak przebywał w kręgu, był chroniony. A tymczasem przynęta cały czas leżała pod moim nosem. Musiałem tylko sprawić, żeby jego dama znalazła się w opałach. I oczywiście natychmiast pognął jej na ratunek. - Anselm uniósł rękę. - Teraz zadanie jest proste.

Płonący pomarańczowy łuk strzelił do przodu. Alex poczuła żar obok ramienia, który przypalił jej skórę. Trafił prosto w Darlingtona.

- Nie! - krzyknęła.

Rzuciła się na Anselma, pozwalając, żeby załała ją siła Szarych. Cisnęła nim o ścianę i usłyszała, jak pęka mu kark. Szarzy wrzasnęli w jej głowie. Ponieważ Anselm był demonem. Ponieważ był ich zabójcą. Ponieważ ona też była zabójczynią. Harper i Daniel Arlingtonowie wyrwali się z jej ciała, zostawiając ją słabą i zadyszana.

Głowa Anselma zwisała ze złamanego karku, ale on tylko uśmiechnął się szeroko i znowu uniósł rękę. Ogień skoczył. Alex sięgnęła do kieszeni i cisnęła w niego chmurą soli, rozkoszując się jego wyciem, gdy skóra mu się zagotowała. Przynajmniej na to był wrażliwy. Wywaliła na niego resztki zapasu soli, ale wiedziała, że nie ma szansy naprawdę go zniszczyć, dopóki nie dysponuje kołkiem albo solnym mieczem... A może i to by nie wystarczyło. Ten demon nie był taki jak inne.

Węże Alex skoczyły do przodu i zwały się na drżąca, gotującą się masę ciała Anselma.

- Trzymajcie go! - błagała, chociaż nie miała pojęcia, czy rozumiały.

Pobiegła do Darlingtona. Leżał nagi na schodach, blask znaków na jego ciele przygasał, jarzmo z klejnotami jaśniało na tle skóry. Oparze-

nie było czarnym rozcięciem na jego piersi. Spalone przez ogień Anselma węże tworzyły zwęglony, poruszający się stos.

Alex osunęła się na kolana na schodach.

- Darlington? - Jego skóra była gorąca w dotyku, jednak Alex czuła, że chłodniej pod jej palcami. - Danny, zostań ze mną. Powiedz mi, jak naprawić to wszystko.

Darlington otworzył złote oczy. Ich blask przygasał i stawał się mleczny.

- Stern... - Jego głos dobiegał z daleka, to było ledwie echo. - Puzderko...

W pierwszym momencie Alex nie wiedziała, o czym mówi, ale po krótkiej chwili skinęła głową. O firmowym puzderku w kieszeni jej płaszcza. Jak zawsze miała je przy sobie.

- Wytrzymam najdłużej, jak się da. Idź do piekła. Sprowadź z powrotem moją duszę.

- Womitorium...

- Słuchaj, Wędrowcze Koła. Krąg to wejście.

- Ale...

- Ty jesteś drzwiami.

Tak samo Hellie opisała Alex w noc swojej śmierci.

„Po co czekać?”. O to zapytał Darlington, kiedy powiedziała mu, że spróbują skorzystać z Womitorium. A może próbował wyjaśnić, że Alex nie musi przejść ścieżki, że portal znajduje się tuż przed nią, szczelina między światami, przez którą tylko ona może się prześlizgnąć? „Jak wolisz, Wędrowcze Koła. Ty wybierasz kroki w tym tańcu”.

- Pozostań żywy - powiedziała mu i zmusiła się do wejścia po schodach.

Była powolna bez Szarych, z powodu bólu poruszała się niezgrabnie. Miała jednak puzderko w kieszeni płaszcza i odbierała je jak drugie serce, żywy organ bijący obok jej piersi. Nie wiedziała, czy Anselm idzie za nią. Nie miał powodu. Nie miał pojęcia, co zamierzała,

i będzie skupiony na Darlingtonie, na zniszczeniu go. Jeśli Alex się nie pośpieszy, Anselm spali ciało Darlingtona żywcem, zanim ona zdąży odzyskać jego duszę. O ile w ogóle zdoła. O ile nie popełni kolejnego błędu, przez który oboje zginą.

Pokonała chwiejnym krokiem korytarz i zobaczyła migotanie kręgu, słabsze teraz, przerywane. Jednak tam, gdzie krąg jarzył się najmocniej, spostrzegła przebłyski drugiego Black Elm – tego, które widziała w piekle, stos gruzu i kamienia.

W tym świecie, w jej świecie, w kręgu nie było niczego poza ziejącą dziurą w podłodze. Jeśli spadnie tam, połamie nogi, może kręgosłup. Nie było czasu na wątpliwości. „Wszystkie światy są dla nas otwarte”.

– Mam nadzieję, że masz rację, Darlington.

Odepchnęła się od drzwi. Jeden krok, drugi. Skoczyła.

Poczuła żar, kiedy przecięła krąg, ale nigdy nie uderzyła w podłogę. Zamiast tego przeturlała się po pylistej, kamienistej ziemi. Nadal widziała wokół siebie migotanie kręgu, ale teraz znajdowała się w świecie demonów.

– Darlington! – zawołała i wyszarpnęła puzderko z kieszeni. – Danny, to ja!

Nie potrzebowała tym razem głosu starego mężczyzny. Darlington ją pamiętał. Wiedział, że próbuje go zabrać z powrotem do domu.

Podniósł wzrok, nadal trzymając w ręku kamień.

– Alex?

Podniosła otwarte puzderko.

– Zaufaj mi. Ostatni raz. Zaufaj, że nas stąd wyciągnę.

Jednakże na jego twarzy malował się strach.

Za późno zrozumiała, że to ostrzeżenie.

Coś uderzyło ją w plecy. Puzderko wyleciało jej z rąk. Zupełnie jakby patrzyła na ruch pod wodą. Czas zwolnił. Puzderko kreśliło łuk w powietrzu i w końcu uderzyło o ziemię. Stłukło się.

Alex krzyknęła. Czołgała się ku skorupom. Poczwała, że coś łapie ją za plecy koszuli i obraca z siłą, która wycisnęła jej oddech z płuc.

Stał nad nią królik, wysoki na sześć stóp i ubrany w garnitur. W garnitur Anselma. Oparł miękkie łapki na jej piersi i popychał. Alex wrzasnęła, kiedy połamane żebra się przesunęły. To jednak nie miało żadnego znaczenia. Puzderko się stłukło. Nie miała jak zabrać Darlingtona, żeby połączyć go z ciałem. Umrze w świetle śmiertelników, a jego dusza pozostanie na zawsze uwięziona w piekle.

Królik pochylił się, mrużąc czerwone ślepie.

- Złodziejka - zaszydził.

Pozwoliła im umrzeć, odeszli jedno po drugim. Królik Przytulik, Hellie, Darlington. I możliwe, że teraz sama umrze zmiażdżona przez potwora. Czy jeśli umrze w piekle, zostanie tu na zawsze? Przeniesie się do innego świata? Królicze futro zajęło się błękitnym ogniem, który pełgał po jej ciele. Potwór jednak w ogóle się tym nie przejął.

- Jak pokonałaś krąg? - zapytał stwór, przesuwając ciężar i zwiększając nacisk.

Alex nie mogła nawet nabrać powietrza, żeby krzyknąć. Odwróciła głowę w bok i zobaczyła, że Darlington patrzy na nią ze smutną twarzą i kamieniem w ręce. Chciał jej pomóc, ale tak samo jak ona nie wiedział w jaki sposób. Nie mogła tu wezwać Szarych.

- Jak przekroczyłaś krąg? - dopytywał się królik. Poruszył łapą i Alex zadrżała. - Nie jesteś już taka twarda, co? Nie taka straszna. Czy jesteś bez skradzionej siły? Małe puste zero.

Pomyślała o poparzonym ciele Darlingtona na schodach, o starym porcelanowym puzderku, z którego zostały skorupy, o demonach, które uwolnili. Bolały ją żebra. I ramię. Stwór, który miażdżył ją stopami, miał rację. Czwała się pusta. Była wydrążona. Zero, pusty kubek.

Stłuczone puzderko.

Tyle że ona była cała - przynajmniej pod tym względem, który się liczył. Była posiniaczona i poobijana, miała złe przecucia, że żebro wbija jej się w płuco, ale nadal tam była, nadal żyła i miała dar, o któ-

rym Anselm nie wiedział w żadnym ze światów. „Nie potrafisz nawet sobie wyobrazić żywotności płynącej z żywej duszy”. Tak powiedziała jej Belbalm. Alex zagarniała tylko martwych. Co by się stało, gdyby zagarnęła kogoś żywego?

Przypomniała sobie, jak Darlington prowadził ją schodami do Klitki, jak prowadził ją korytarzem Il Bastone, nawiedzonymi ulicami, tajemnymi przejściami. Był jej przewodnikiem, jej Wergiliuszem. Ile razy odwrócił się do niej i powiedział: „Chodź ze mną”? Obiecywał jej cuda i zgrozę. I spełnił te obietnice.

Wyciągnęła rękę, tak jak kiedyś wyciągnęła ją do Hellie, tak jak wyciągała ją do niezliczonych duchów. Tak jak Darlington wyciągał do niej rękę raz za razem.

– „Chodź, chodź, podaj mi rękę” – szepnęła.

Darlington upuścił kamień. Jego dusza wpłynęła w nią jak złote światło. Jak zieleń wiosennych liści. Jak światło poranka. Słodka vibracja smyczka wiolonczeli. Brzęk, triumfalny odgłos stali uderzającej o stal. Jej ciało buchnęło białym płomieniem, palące i oślepiające.

Królik wrzasnął przenikliwie i bezradnie, ogień przepalał się przez jego ciało.

Ból Alex zniknął. Zerwała się na równe nogi, zanim Anselm odzyskał siły, i pobiegła ku migotaniu kręgu. Rzuciła się przez jego obwód. Świat wypełniła biel. Zamknęła oczy z powodu jasności, złapała gwałtownie powietrze, gdy zdała sobie sprawę, że spada.

Podłoga Black Elm uniosła się jej na spotkanie. Miała jednak w sobie ducha Darlingtona, a moc, jakiej używali jej Szarzy, nawet się nie umywała do tej siły. Jeśli siła Szarych była w niej zapaloną świecą, to teraz miała w sobie tysiąc reflektorów, wybuch bomby. Uderzyła o ziemię na ugiętych nogach. Była lekka, zręczna. Świat płonął barwami. Poczula zimno na skórze z powodu przeciągu gdzieś w domu. Widziała każdy odłamek drewna i pył tynku unoszący się powietrzu, piękny jak śnieg. Zobaczyła ciało Darlingtona na schodach, jarzmo na-

dal płonęło na jego szyi, ale reszta ciała była poczerniała od oparzeń. Zwinął się na boku, próbując schować się przed Anselmem, który poszedł za Alex do piekła i z powrotem.

Potworny królik zniknął i Anselm znowu był człowiekiem, ale poparzoną przez ogień Alex. Skoczył do Darlingtona i pomarańczowy płomień strzelił mu z palców... ale zaraz opadł w kucki, sycząc, zachowując dystans.

Przed Cosmo.

Kot zbiegł z wrzaskiem po schodach ze zjeżonym futrem, płonący białym światłem. Obrońca Darlingtona. Jak długo ten kot czuwał nad właścicielami tego domu? Był duchem solnym, a może czymś zupełnie innym? Anselm wrzasnął, zakołysał się w tył i w przód na piętach i dłoniach. Nigdy dotąd nie był równie niepodobny do człowieka.

Alex słyszała szcęk stali o stal, czuła w sobie ducha Darlingtona. Rozumiała teraz przyjemność, jaką odczuwała Belbalm, gdy pożerała dusze żywych. „Chciwość jest grzechem we wszystkich językach”. Głos Darlingtona, besztający, zamyślony. Nie chciała zrzec się tego uczucia mocy, tego uniesienia. Smakował jak miód. Wiedziała jednak, że nie wolno przyzwyczajając się do takiego narkotyku. Miała tylko nadzieję, że się nie spóźniła.

- Idź - szepnęła.

Wypłynął z niej złotą rzeką. Nadal czuła smak jego duszy w ustach, gorący i słodki. Wpłynął do ciała leżącego na schodach.

- Złodziejka! - wrzasnął Anselm, a Cosmo zawył, gdy demon wypuścił strugi ognia, które zalały Darlingtona.

Alex pobiegła do Anselma bez zastanowienia, rozpaczliwie chcąc go powstrzymać. Powinna czuć się słaba po tym, jak straciła wielką moc, ale nie czuła bólu. Nie miała połamanych żeber. Nie czuła bólu w piersi. Oto czego potrafiła dokonać moc żywych. Wpadła na Anselma, przewróciła go, ale on w okamgnieniu przygniótł ją i zaciśnął ręce na jej szyi.

- Wypalę z ciebie życie - oznajmił radośnie. - Zaraz... cię... zjem.

Zęby rosły w jego ustach, długie i żółtawe. Na schodach obok nich ciało Darlingtona wyglądało jak zwęglona skorupa. Przypominał ludzkie ciała w Pompejach, leżące w pozycji płodu, zastygłe w bezruchu, gdy świat zamienił się w popiół. Za późno. Nikt nie mógł powrócić po czymś takim.

Wtedy jednak zdała sobie sprawę, że jarzmo z klejnotami zniknęło.

Znaki na ciele zaczęły się jarzyć, światło sączyło się przez szczeliny w spalonym ciele. Alex znowu poczuła w ustach miód.

Anselm syknął. Alex zobaczyła niebieski płomień sunący po jego dłoniach, rękach, spowijający go ogień. Jej ogień. Piekielny ogień. Jakim sposobem? Do tej pory istniał tylko w świecie demonów.

Anselm wrzasnął i się cofnął. Zamigotał, jego wygląd się zmieniał i Alex rozumiała, że widzi w tych przeblyskach jego prawdziwy kształt, dziwną istotę ze szponami, o kościach poskładanych pod dziwnymi kątami.

- Golgarot. - To znowu warknął Darlington, ale tym razem Alex zrozumiała imię demona.

Stwór, który stał nad nią na schodach, był zarazem bardziej i mniej Darlingtonem. Jego głos brzmiał normalnie, echo zniknęło, ale rogi nadal wyrastały mu ze skroni, a ciało wydawało się za duże, nie całkiem ludzkie. Znaki też się zmieniły. Symbole zniknęły, ale zostały mu złote opaski wokół nadgarstków, kostek i wokół szyi.

- Morderca! - wrzasnął Anselm, a jego ciało zadygotało i zapulsowało pod garniturem. - Kłamca! Matkobójca! Ty...

Nie wypowiedział ani słowa więcej. Darlington złapał go w masywne ręce i oderwał od ziemi. Z jednym wściekłym warknięciem rozerwał Anselma na dwoje.

Ciało demona pękło jak mokry papier i rozpadło się w masę wijących się robaków.

Alex odskoczyła.

Ciało Darlingtona znowu się zmieniło, jakby się cofało. Zniknęły rogi, złote pasy. Wyglądał jak człowiek. Stał przez chwilę, patrząc na

szczątki Anselma, a potem odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach.

- Darlington? - wyjąkała Alex. - Ehm... dokąd idziesz?

- Po ubranie, Stern - odpowiedział, idąc po schodach i zostawiając za sobą krwawe ślady stóp. - Mężczyzna wytrzyma bez spodni tylko ograniczoną ilość czasu, nim zacznie się czuć jak zboczeniec.

Alex popatrzyła za nim, trzymając się jedną ręką poręczy. Wrócił dżentelmen z Lete.

Wróbel Zagłady (także: Krwawy Ziarnojad albo Czarnoskrzydły Zwiastun Katastrofy), rząd: wróblowate

Pochodzenie: Nepal; data powstania nieznana

Ofiarodawca: Święty Elmo, 1899

Nie wiadomo, czy te wróble wyhodowano, zaczarowano, czy też może ich niezwykle cechy wykształciły się w środowisku naturalnym. Pierwszy raz zidentyfikowano je około 700 roku, kiedy kolonia wróbli zamieszkała w górskiej wiosce, której populacja potem otruła się w akcie masowego samobójstwa. Nie wiadomo także, jak duża jest populacja tych ptaków na świecie, ale przynajmniej dwanaście z nich żyje w niewoli.

Uwagi dotyczące opieki i karmienia: wróble są utrzymywane w stanie magicznej hipostazy, ale należy je karmić raz w tygodniu. Należy też wtedy pozwolić im polatać, żeby ich skrzydła nie uległy atrofii. Preferują ciemne, zimne przestrzenie i w słońcu stają się ospałe. Zajmując się wróblami, należy mieć zablokowane przewody słuchowe za pomocą wosku lub waty. Zaniedbanie tego może skutkować apatią, depresją, a w przypadku przedłużonej ekspozycji – śmiercią.

Patrz też: Kanarek z Tyneside i Królewski Słowik należący do Manuskryptu.

Wróble zostały ofiarowane przez Stowarzyszenie Świętego Elma, które myślało, że zakupiło słynnego Chmurodziobego Zwiastuna. Uważano, że na podstawie jego lotu można było przewidywać burze.

z *Katalogu Zbrojowni Lete*;
korekta i redakcja: Pamela Dawes, Oculus

Czy nikt nie zauważył, że stowarzyszenia „ofiarowują” Lete wszelką magię, którą uważają za zbyt niebezpieczną lub zbyt bezużyteczną, żeby zachować ją we własnych kolekcjach? Pozostałości, katastrofy, błędy, zużyte artefakty i przedmioty nieprzewidywalne. Chociaż nasza zbrojownia może stanowić jedną z największych skarbnic magii na uniwersytecie, to ma także ten wątpliwy zaszczyt, że jest najbardziej niebezpieczną.

Pamiętnik Raymonda Walsha-Whiteleya
z czasów w Lete (Silliman College, '78)

Darlington spał i we śnie był potworem. Teraz jednak się obudził i potwornie marzył. Możliwe też, że nadal był potworem.

Wszedł po schodach, jak przez mgłę zdając sobie sprawę, że zostawia za sobą krwawe odciski stóp. Ślady własnej krwi. Anselm nie miał krwi, żeby ją przelać. Pękł na pół, jakby składał się z trocin, faksymile człowieka. Każdy krok był jak uderzenie w bęben: gniew, pożądanie, gniew, pożądanie. Chciał się rznąć. Chciał walczyć. Chciał przespać tysiąc lat.

Darlington wiedział, że w pewnym momencie będzie zawstydzony faktem, że jest nagi. Może jednak spędził za dużo czasu w dwóch miejscach naraz i jego skromność zagubiła się gdzieś pomiędzy. Nie chciał oglądać szkód, jakich narobił w sali balowej. Szczerze mówiąc, spędził tam tak dużo czasu uwięziony, że nie był pewien, czy kiedykolwiek zechce wrócić w to miejsce. Zamiast tego poszedł prosto do swojej sypialni na drugim piętrze.

Miał wrażenie, że ogląda ją przez grube szkło albo przez stary stereoskop dla dzieci – naciskasz guzik i zmienia się slajd. Kolory wydawały się niewłaściwe, książki obce. Kochał ten pokój. Kochał ten dom. W każdym razie ktoś go kochał. Teraz jednak nie sprawiał Darlingtonowi radości.

Jestem w domu, pomyślał.

Powinien się cieszyć. Dlaczego się nie cieszył? Może dlatego, że Alex uwolniła jego duszę, ale jakaś częśćka jego osoby pozostanie na zawsze uwięziona w piekle, nosząc kamień za kamieniem, ustawiając jeden na drugim, błagając o koniec, odpoczynek i nie mogąc przestać.

Nie było przy tym nudy, poczucia powtarzalności. Przez cały czas był zrozpaczony, jak człowiek usiłujący reanimować trupa, pobudzić życie w ciele, które już ostygło, szukający oznak nadziei, przekonany, że każdy kamień jest tym, który przywróci Black Elm jego dawną chwałę. To nie było wszystko, rzecz jasna. W piekle był wieloma rzeczami, strażnikiem i więźniem, oprawcą i ofiarą, ale nie był jeszcze gotowy, żeby o tym myśleć, i tylko ulżyło mu, że nadal pozostało kilka sekretów, które mógł ukryć przed Galaxy Stern.

Wyczuwał, że ona stoi u podnóża schodów i się waha. Był zawstydzony myślami, jakie przyszły mu do głowy. Czy mógł obwiniać demona za te wizje zmysłowości? Czy zachowywał się po prostu tak jak mężczyzna, który przesiedział rok w więzieniu? Jego członek niespecjalnie przejmował się tą debatą. Darlington cieszył się, że został sam. I że jego erekcja nie świeci się już jak latarnia morska w Nowej Anglii. Wciągnął dżinsy, bluzę, stary płaszcz i poczekał cierpliwie, aż opadnie fala pożądania. Spakował torbę z paroma drobiazgami, starą skórzaną torbę swojego dziadka. I dopiero wtedy coś do niego dotarło.

Jego rodzice nie żyli. Na swój sposób ich zabił. Golgarot żywił się jego duszą w piekle, karmił się jego wstydem i brakiem nadziei. Pożerał wspomnienia Darlingtona i to co najgorsze z jego smutku i pragnień. Zabił Michaela Anselma ze względu na swoje plany, potraktował go jak doraźny środek do realizacji celów. Jednakże śmierć rodziców Darlingtona powinna go zachwycić, nie tylko dlatego, że Anselm czerpał satysfakcję z bólu, ale także dlatego, że pewna zwiędła, gorzka częśćka Darlingtona życzyła im śmierci, i to bardzo, a Golgarot o tym wiedział. Chłopiec, który został porzucony na kamieniach Black Elm, nie miał troski ani łaski, które mógłby ofiarować swojej matce i ojcu. Została tylko przemoc.

Darlington przysiadł na brzegu łóżka, kiedy świadomość tego wszystkiego zwała się na niego. Jeśli pozwoli, żeby jego umysł zatrzymał się na dowolnej pojedynczej myśli zbyt długo, to zwariuje. A może

już zwariował? Jak miał znowu być człowiekiem po tym wszystkim, co widział i zrobił?

Nic się nie zmieniło. Wszystko się zmieniło. Jego sypialnia wyglądała dokładnie tak, jak ją zostawił, i jeśli pominąć ogromną dziurę w podłodze sali balowej, na którą naprawę nigdy nie będzie go stać, to dom wyglądał na nietknięty.

Jego rodzice nie żyli.

Nie mógł do końca sprawić, żeby ten fakt nabrał wagi i dotarł do niego.

Powinien się ruszyć. Pomyśl o torbie, weź ją. Pomyśl o drzwiach, otwórz je. Myśl o każdym kroku stawianym w korytarzu. To były bezpieczne rzeczy, które mógł zgromadzić wokół siebie.

Darlington zszedł po schodach. Kałuża wijącego się robactwa, jaką zostawił po sobie Anselm, powinna wywołać w nim obrzydzenie, ale może jego demoniczna skóra zwyczajnie nie chciała pokryć się gęsią skórą. Alex czekała w kuchni, jadła suche płatki z pudełka. Ona też się nie zmieniła – chuda, o ziemistej cerze, gotowa zaatakować wszystko, co krzywo na nią spojrzy.

To zabójczyni, pomyślał. Kiedyś ten fakt wydawał się ważny, to mroczne odkrycie. Pamiętał, jak stała w piwnicy Rosenfeld Hall, jak zamarła, kiedy on potrzebował, żeby zadziałała, milcząca dziewczyna o czarnych oczach, patrząca spokojnie i czujnie, tak samo jak teraz. „Od początku cię wołałem”.

Patrzyli na siebie w cichej kuchni. Wiedzieli na swój temat wszystko. I nie wiedzieli niczego. Miał poczucie, że zawarł niepewny rozejm, ale nie potrafił do końca nazwać wojny. Stern była piękniejsza, niż zapamiętał. Nie, to nieprawda. Ona się nie zmieniła, ani też nie wyostrzył się jego wzrok. Po prostu teraz mniej bał się jej urody.

Po długiej chwili Alex podsunęła mu pudełko płatków. Dziwna gałązka oliwna, ale przyjął ją, włożył rękę do środka i wrzucił do ust garść chrupkich kuleczek. Natychmiast tego pożałował.

- Dobry Boże, Stern – wykrztusił, wypluł płatki do zlewu i wyplukał usta. – Jesz czysty cukier?

Alex włożyła kolejną garść śmiecia do ust.

- Jestem przekonana, że jest w tym też syrop glukozowo-fruktozowy. I prawdziwy aromat owocowy. Możemy nakupić tych twoich korzonków z orzechami... jeśli chcesz tu zostać.

Darlington nie był jeszcze gotowy na podejmowanie decyzji w sprawie domu. W jakiegokolwiek sprawie.

- Prześpię się dzisiaj w Il Bastone.

Nie chciał wypowiadać następnych słów, ale zmusił się do tego:

- Muszę zobaczyć ich ciała.

- W porządku – odpowiedziała Alex. – Ich samochód stoi w garażu.

- Golgarot musiał go tam wstawić. – To imię źle układało się w jego ludzkich ustach, jakby mówił z akcentem turysty.

- Znałam go tylko jako Anselma. Jego... Prawdziwe ciało Anselma też znajduje się na dole.

- Nie musisz tam ze mną schodzić.

- To dobrze.

Darlington miał ochotę się rozeźmiać. Alex Stern dwa razy poszła dla niego do piekła, ale piwnica – to już był krok za daleko. Znalazł w szufladzie latarkę i zszedł po schodach.

Zapach nim wstrząsnął, ale wiedział, co go czeka. Nie był jednak przygotowany na to, jak ciała zostały okaleczone.

Zatrzymał się na schodach. Zamierzał... Nie był pewien, jakie miał zamiary. Zamknąć delikatnie ich oczy? Wypowiedzieć kilka słów pociechy?

Przez trzy lata studiował słowa śmierci, ale nadal nie miał nic do powiedzenia. Przyszły mu do głowy tylko słowa wypisane na każdym przedmiocie związanym z Domem Lete.

- *Mors vincit omnia* – szepnął.

Tylko tyle miał do zaoferowania. Fale wyrzuciły go na znajomy brzeg, ale morze go odmieniło. Żałoba będzie musiała poczekać.

Skierował światło latarki na to, co było ciałem Michaela Anselma, mężczyzny, którego spotkał przelotnie, kiedy był na pierwszym roku studiów i wprowadzono go do Lete jako nowego Dantego. Jak właściwie mieli wyjaśnić śmierć członka zarządu? To też musi poczekać.

Wszedł po schodach. Drzwi do piwnicy spadły z zawiasów, więc oparł je ostrożnie o futrynę – głaz u wejścia do grobowca.

Alex odstawiła przekłete płatki do szafki i opierała się o blat kuchenny, patrząc na telefon. Jej włosy były jak czarny snop, jak czarna zimowa rzeka.

– Muszę wiedzieć, co mam powiedzieć Dawes – powiedziała. – Anselm unikał jej kamer, ale wie, że ja tu jestem, i wie, że kamery w sali balowej są wyłączone. Jesteś gotowy na powrót?

– Nie wiem, jakie to ma znaczenie. Może najlepiej byłoby wyjaśnić wszystko osobiście. – Zawahał się, ale nie miał powodu, żeby nie zapytać. – Widziałas ich? Moich rodziców? Po...

Skinęła głową.

– Pomogli mi wydostać się z piwnicy.

– Wiedzą, że ich zabiłem?

– W pewnym sensie?

– Są tu teraz?

Alex pokręciła głową. Oczywiście, że nie, powinien się domyślić. Szarzy rzadko wracają na miejsce swojej śmierci. W przeciwieństwie do większości fikcji literackiej i filmowej, duchy rzadko powracają, żeby nękać swoich morderców. Chcą przypominać sobie miejsca i ludzi, których kochali, ludzkie przyjemności. Potrzeba mściwego i oddanego ducha, żeby kogoś prześladował, a żadne z jego rodziców nie miało w sobie dość werwy, by podjąć się takiego działania.

Poza tym woleliby oddać się od Golgarota. Umarli bali się demonów, ponieważ obiecywały ból wtedy, kiedy już powinien minąć.

W rzeczy samej, będą się bardzo bać Darlingtona.

Alex owinęła się ciasniej płaszczem.

– Stary mężczyzna tu jest.

– Mój dziadek?

– Słyszę go. Teraz wszystkich ich słyszę.

Darlington starał się nie zdradzać zaskoczenia, ciekawości, zazdrości. Jakim cudem to chuchro posiadało taką moc? Jak mogła widzieć ukryty świat, który przez tak długi czas mu umykał? Dlaczego nadal się tym przejmował po roku w piekle?

– Ani na chwilę się nie zamykają – dodała.

Okazuje mi zaufanie, powiedział sobie. Alex dzieliła się faktami, o których wiedział niemal z całkowitą pewnością, że nie są znane Lete. Kolejna gałązka oliwna. Przekonał się, że pożąda jej zaufania z równą chciwością, jak jej mocy. Odsunął te myśli.

– Co mówi?

Teraz Alex spuściła z zakłopotaniem wzrok na czubki butów.

– Mówi, żebyś się uwolnił, że dałeś dość krwi temu miejscu. Możesz je sobie wziąć albo porzucić. I że zawsze tak powinno być.

Darlington prychnął.

– Kłamiesz. Co naprawdę powiedział?

Alex wzruszyła ramionami i spojrzała mu w oczy.

– Że Black Elm potrzebuje cię bardziej niż kiedykolwiek dotąd, że to twój dom z racji krwi, twój skarb, i nawija bez końca o dziedzictwie Arlingtonów.

– To bardziej go przypomina. – Zamilkł i przyjrzał się jej. – Wiesz, co tu się wydarzyło, prawda? Co zrobiłem? Dlaczego przetrwałem spotkanie z piekielną bestią?

Alex nie odwróciła wzroku.

– Wiem.

– Zawsze zastanawiałem się, czy słusznie postąpiłem.

- Jeśli to ci poprawi samopoczucie, to sama udusiłabym go w tej chwili, gdybym tylko mogła.

Darlingtona zaskoczył jego własny nagły śmiech. Może Alex była w stanie uratować go przed pożarciem tamtej nocy w Rosenfeld Hall. Może chciała, żeby jego wiedza o jej zbrodniach umarła razem z nim w tamtej piwnicy. Przypuszczał, że go zdradziła. Jednak ostatecznie ta potworna dziewczyna wywlekła go z powrotem z podziemnego świata. Żadne jego słowa nie zaszokują jej i to stanowiło ogromną pociechę.

- Wróć - powiedział, mając nadzieję, że dziadek zrozumie, co Darlington zamierza. - „Toć to nie wstyd przed śmiercią uciekać, choć w nocnej ciemności - lepiej ratunku w ucieczce poszukać niż czekać na zgubę¹².” - zacytował, żeby słowa śmierci przepędziły staruszka.

To była jego gałązka oliwna dla Alex.

- Dzięki - powiedziała.

- Nie wiem, co zrobić z... - Nie potrafił wypowiedzieć słów „ich ciałami”. Skinął tylko głową w stronę piwnicy.

- Mamy poważniejsze problemy - odpowiedziała Alex, odrywając się od blatu. - Chodź, wezwałam samochód.

- Czemu nie pojedziemy moim mercedesem?

Skrzywiła się.

- Stern, co się stało z moim samochodem?

- To długa historia.

Zamknęła za nimi drzwi kuchenne i ruszyli żwirowym podjazdem. Jednakże już po kilku krokach musiał przystanąć. Oparł ręce na kolanach i wziął kilka głębokich oddechów.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

Nie, z pewnością nie czuł się dobrze. Niebo było ciężkie, niskie, szare, gęste od chmur obiecujących śnieg. Powietrze było wilgotne, jakby omszałe i słodkie, cudownie zimne. Jakaś cząstka jego osoby uwierzyła, że nie istnieje świat poza Black Elm, nie ma ulicy na końcu

podjazdu, nie ma dalej miasta. Zapomniał, jak wielki może wydawać się świat, jak zatłoczony życiem, jak pięknie jest znać porę roku, miesiąc, godzinę i móc zwyczajnie powiedzieć „Jest zima”.

– Nic mi nie jest – odpowiedział.

– To dobrze – powiedziała, idąc dalej jak osoba praktyczna, bezlitośna, która niejedno przeżyła i będzie szła dalej i walczyła bez względu na to, jakie przeszkody Bóg, diabeł albo Yale rzucą jej pod nogi. Była rycerzem? Królową? Demonem? Czy to miało znaczenie? – Mam dobrą wiadomość i złą.

– Poproszę najpierw złą.

– Musimy wrócić do piekła.

– Rozumiem. A dobra wiadomość?

– Dawes robi avgolemono.

– Cóż – powiedział, kiedy doszli do kamiennych kolumn znaczących koniec posiadłości Arlingtonów. – Ulżyło mi.

Nie obejrzał się.

Dawes stała na frontowych schodach do Il Bastone, kiedy przyjechali. Miała słuchawki na szyi. Załamywała nerwowo ręce schowane w rękawach bluzy. Obok niej stał Turner, opierając się o pobrudzoną dymem kolumnę. Miał na sobie dzinsy i koszulę. Jego widok bez garnituru był niemal równie niepokojący jak widok walącego się sufitu.

– Kim są ci goście, których nie przypominam sobie, żebym zapraszał? – zapytał Darlington, kiedy demony wyszły z cieni po drugiej stronie ulicy.

Alex powoli otworzyła drzwi i wysiadła, zastanawiając się, co kierowca pomyślał o dziwnej grupie ludzi stojących na ulicy o zmierzchu.

– Demony – powiedziała. – Sprowadziliśmy ich za sobą.

– W ramach wymiany studentów?

– To był przypadek – powiedziała, kiedy samochód odjechał. – Podpalili dom.

– Dlaczego nie jestem zaskoczony?

– Próbowaliśmy cię uratować. Wpadki były nieuniknione.

– Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek doceniłem twój dar do nie-dopowiedzeń, Stern.

– Demoniczne wpadki.

– Alex? *Mija?*

Babcia Alex stała na chodniku, siwizna przetykała jej ciemne włosy. Była ubrana w miękki golf i długą, czarną spódnice, która sięgała ziemi. Kiedy Alex była mała, uwielbiała szelest materiału ciągnącego się po podłodze.

– Ale czy ona się nie brudzi, *avuela* – pytała wtedy.

Babcia mrugała porozumiewawczo i mówiła:

- Co znaczy trochę brudu, skoro diabeł nie może mnie znaleźć?

Alex wiedziała, że to nie jest jej babcia, ale i tak serce jej się zacięsnęło. Estrea Stern niczego się nie bała, z determinacją chroniła swoją dziwną wnuczkę przed lekkomyślną córką, osłaniała ją modlitwami, kołysankami i dobrym jedzeniem. Potem jednak umarła i Alex nie zostało nic poza magią matki ze sklepu z drobiazgami za dolara, jej kryształami, koktajlami z serwatki, jej chłopakiem akupunkturzystą, jej chłopakiem uprawiającym capoeirę i jej chłopakiem, który pisał teksty piosenek.

- Kto cię karmi, *mija*? - zapytała Estrea, patrząc z troską w oczach, szeroko rozkładając ręce.

- Alex! - krzyknęła Dawes, ale jej głos dobiegał z daleka, a dom był tak blisko.

Darlington skoczył przed nią i warknął. Jego kształt zmienił się na oczach Alex, z czoła wyrastały mu złote rogi.

Alex poczuła smak miodu. Jej ciało buchnęło niebieskim płomieniem, a demon udający babcię pisnął, stracił kształt i wrócił do kształtu młodej kobiety, hybrydy Hellie i Alex oraz czegoś nienaturalnego, z jednym ramieniem uniesionym za wysoko i z opuszczoną głową, jakby chciał ukryć pożądliwie wykrzywione usta wypełnione zbyt dużą ilością zębów.

Darlington zaatakował jak byk, uderzył w demona i przyszpilił go do chodnika. Uderzył w niego rogami, a demon wrzasnął. Pozostałe cofnęły się w cienie między domami.

- Darlington! - krzyknęła Alex.

Było prawie ciemno i ludzie wracali do domu z pracy. Jeśli przyciągną tłum, narobią sobie jeszcze większych problemów.

On jednak nie słuchał albo potwór w nim miał wszystko w nosie. Uderzył w demona, warcząc, rozdarł mu pierś. Nogi rozpadły się w wijące się robactwo, ale demon nie przestał wrzeszczeć.

- Darlington, dość!

Jej płomień rozwinął się w skrzący się niebieski kabel i owinał się wokół jarzącej się złotej opaski, która pojawiła się na jego szyi w miejscu, gdzie wcześniej było jarzmo. Owinał się wokół gardła Darlingtona i szarpnął go do tyłu, odciągając od Nie-Hellie. Reszta torsu demona rozpadła się w ruchliwe larwy.

Darlington ukucnął, warcząc. Jak ogar przywołany do nogi.

- Cholera - powiedziała Alex, patrząc ze zdumieniem na smycz z niebieskiego płomienia, która już zniknęła. - Przepraszam, nie...

Rogi Darlingtona przygasły wraz z ogniem. Znowu był człowiekiem i klęczał na chodniku.

- Przepraszam - powtórzyła.

Jego wzrok był mroczny i taksujący, jakby studiował nowy tekst. Wstał i otrzepał kurz z płaszcza.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli wejdziemy do środka.

Alex skinęła głową. Było jej niedobrze i czuła się zmęczona, cały blask z chwili, kiedy nosiła duszę Darlingtona, odpłynął. Jak jakaś amatorka pozwoliła, żeby demon karmił się nią. I co, u diabła, przed chwilą się wydarzyło?

- To naprawdę nie żyje? - zapytała, przechodząc nad robakami i starając się powstrzymać odruch wymiotny.

- Nie - odpowiedział Darlington. - Jego ciało odzyska poprzednią formę i znowu będzie próbował na tobie żerować.

- A Anselm?

- Golgarot też.

Alex zastanawiała się, co to znaczy w przypadku takiego stworzenia jak Linus Reiter.

Stojąca w drzwiach do Il Bastone Mercy zaśmiała się nerwowo.

- Demony go nie lubią, co?

- Ani trochę - powiedział Turner. Zebrały się wokół niego liście dębu. Wezwał swojego solnego ducha. Żeby pomóc Darlingtonowi, czy żeby go spacyfikować? Może Turner nabrał wątpliwości w swoją

walkę o dobro, kiedy zobaczył, jak Darlingtonowi wyrastają rogi. – Jak było w Hiszpanii?

Darlington odchrząknął. Znowu był człowiekiem, ale kształt demona zalegał nad nim jak wspomnienie, jak pogróżka.

– Goręcej, niż się spodziewałem.

– Ktoś chce wyjaśnić, skąd on się tu wziął? – zapytał Turner. – I dla czego Alex właśnie stanęła w ogniu?

Zakłęcie, które zmroziło Dawes na schodach, zostało przełamane. Zeszła powoli po stopniach i się zatrzymała.

– To... nie jest żadna sztuczka, prawda? – spytała cicho.

Miała rację, że pytała, kiedy przyjaciele, rodzice, dziadkowie i członkowie zarządu Lete mogli być przebranymi potworami. Skoro Darlington właśnie zmiażdżył demona na chodniku. Jednak tym razem magia okazała się życzliwa.

– To on – powiedziała Alex.

Dawes zapłakała i rzuciła się do przodu. Objęła Darlingtona.

– Cześć, Pammie – powiedział łagodnie.

Alex stała zakłopotana z boku, kiedy Dawes płakała, a Darlington jej na to pozwalał. Może to właśnie powinna była zrobić. Może coś takiego zrobiłby ktoś, kto ma mniej krwi na rękach. „Witaj w domu. Witaj z powrotem. Tęskniliśmy. Brakowało mi ciebie bardziej, niż powinno, bardziej niżbym chciała. Poszła za tobą do piekła. I zrobiłabym to po raz kolejny”.

– Chodź – powiedział Darlington, obejmując Dawes i zapędzając ich wszystkich do środka. Wszedł w rolę Wergiliusza gładko, jakby nigdy nie przestał nim być. – Ukryjmy się za magicznymi osłonami.

Kiedy jednak postawił stopę na schodach do Il Bastone, kamienie zadygotały, przypalone kolumny zatrzęsły się, latarnia nad drzwiami zabrzęczała na łańcuchu. Alex usłyszał skomlące szakale pod werandą.

Darlington się zawahał. Alex знаła to uczucie, strach przed wygnaniem z miejsca, które nazywasz swoim domem. Co powiedział Anselm? „Tak ci się śpieszy, żeby pożegnać Eden?”. Kolejny żarcik demona, kolejna zagadka, której nie zdołała rozwiązać.

Drzwi zaskrzypiały cicho na zawiasach, wysoki jęk niepokoju, jakby nie mogły zdecydować, czy na progu czai się niebezpieczeństwo, czy też nie. A potem dom podjął decyzję. Stopnie znieruchomiały, drzwi otworzyły się szeroko, wszystkie okna zapłonęły światłem. Nawet dom potrafił powiedzieć to, czego nie umiała Alex: „Witaj z powrotem. Tęskniliśmy. Potrzebujemy ciebie”. Złoty chłopiec Lete powrócił, nawet jeśli był częściowo demonem, to nadal był człowiekiem w dostatecznym stopniu, żeby pokonać zabezpieczenia.

– Gdzie jest Tripp? – spytała.

– Nie odbiera telefonu – powiedziała Dawes.

Alex zacisnęła się żołądek.

– Kiedy ostatni raz się odezwał?

– Trzy godziny temu – odpowiedział Turner, kiedy weszli do jadalni, gdzie ktoś nakrył do stołu. – Podjechałem do niego, ale nikt nie otworzył.

Darlington popatrzył na nich z powątpiewaniem.

– Rozumiem, że to dobry moment, żeby zapytać, dlaczego ze wszystkich ludzi właśnie Trippa Helmutha zabraliście do piekła?

Alex uniosła ręce poirytowana.

– Sam spróbuj zebrać grupę morderców, nie mając na to dużo czasu.

Zostawiła Trippa na błoniach. Widziała, jak szedł w stronę centrum. Mógł się spóźnić? Bał się powrotu do piekła? Wiedział, że drugie zejście ma tylko służyć pozbyciu się demonów. Byli przynęta. Ich nie-szczęście. Ich brak nadziei.

– Nie powinniśmy byli zostawiać go samego – powiedziała.

– Miał swojego morskiego ptaka – zauważył Turner.

- Ale solne duchy mają swoje ograniczenia. Nie wiem jak ty, ale ja zauważyłam, że Nie-Hellie się przystosowuje. Mniej bała się węży, kiedy ostatnim razem się nimi posłużyłam. Nie bała się też na chodniku minutę temu.

- Wszyscy zapominacie, że mógł okazać się zwykłym tchórzem - powiedziała Mercy, gdy siadali do stołu.

- To nie w porządku! - zawołała Dawes z kuchni.

- Co? - Mercy się nastroszyła. - Widziałaś, jaki był przerażony. Nie chciał schodzić po raz drugi.

- Żadne z nas nie chce - powiedział Turner. - I ty też byś nie chciała.

- Pójdę - odpysknęła Mercy, unosząc podbródek. - Brakuje wam pielgrzyma. Potrzebujecie kogoś na to miejsce.

- Nie jesteś zabójczynią - powiedziała Alex.

- Na razie. Może potrzebuję więcej czasu.

Dawes wróciła do jadalni z wielką wazą parującej zupy.

- To nie są żarty!

- Spróbujmy pamiętać, że fakt, że nie jest się mordercą, to tak naprawdę dobra rzecz - powiedział Darlington. - Ja zajmę miejsce Trippa. Ja będę czwartym.

Dawes postawiła wazę z głośnym brzękiem.

- W żadnym razie.

Alex też nie podobał się ten pomysł. Womitorium nie zostało pomyślane jako drzwi obrotowe.

- Nie odpuszczę sobie Trippa. Nie wiemy, czy dopadł go Nie-Spencer. Na razie nic nie wiemy.

- Za to umiemy policzyć do czterech - powiedział Turner. - Czwórka pielgrzymów otwiera drzwi, czwórka musi odbyć podróż, czwórka je zamknie po powrocie. Pełnia jest jutro w nocy i o ile Tripp nagle nie wychynie z jakiejś dziury, to marnotrawny demon jest naszą jedyną opcją.

– Musimy znaleźć inny sposób – upierała się Dawes, nakładając ze złością zupę.

– Pewnie – odpowiedział Turner. – Pozwolimy, żeby Mercy kogoś zadźgała?

– Oczywiście, że nie – warknęła Dawes, chociaż Mercy wyglądała na wręcz przerażająco zapaloną do tego pomysłu. – Ale...

Blady, smutny uśmiech musnął usta Darlingtona.

– Mów dalej.

Teraz Dawes się zawahała.

– Spójrz na siebie – powiedziała cicho. – Nie jesteś... nie jesteś już całkiem człowiekiem. Jesteście związani z tamtym miejscem. – Zerknęła niespokojnie na Alex. – Wy oboje.

Alex skrzyżowała ręce.

– A co ja mam do tego?

– Płonęłaś – odpowiedziała Dawes. – Tak samo jak w podziemnym świecie. – Zanurzyła łyżkę w swoim talerzu, ale ją odłożyła. – Nie możemy odesłać Darlingtona z powrotem. A... jeśli demon Trippa... jeśli coś mu się stało, to my ponosimy za to winę.

Nikt temu nie mógł zaprzeczyć. Dawes powiedziała, że Alex i Darlington są teraz związani z podziemnym światem, ale prawda była taka, że wszyscy byli teraz ze sobą związani. Zobaczyli na swój temat to, co najgorsze, odczuli każdą paskudną, wstydliwą, przerażającą rzecz. Czwórka pielgrzymów. Czwórka dzieci drżących w ciemności. Czwórka głupców, którzy próbowali czegoś, na co nikt nie powinien się poważyć. Czwórka tandetnych bohaterów na misji, którzy powinni przetrwać razem to nieodpowiedzialne przedsięwzięcie.

Jednakże Trippa z nimi nie było.

– Pójdę jutro do niego – zapowiedział Turner. – Zapytam u niego w pracy. Ale ustalmy w tej chwili, że bez względu na wszystko, jutro w nocy razem zejdziemy. Nie możemy pozwolić, żeby te stwory dłużej

na nas żerowały. Widziałem sporo gówna w swoim życiu i nie mało przeszedłem, ale nie dożyję następnej pełni.

Nikt nie zamierzał się z tym sprzeczać. Alex nie chciała, żeby Darlington wracał do piekła, ale nie mieli wyboru. Jeśli to, co właśnie zrobił Nie-Hellie, nie mogło powstrzymać tych stworów, to nic w świecie żywych nie pozwoli ich pokonać.

– W porządku – zgodziła się.

Dawes skinęła głową.

– Jak właściwie wydostałaś Darlingtona? – zapytał Turner odrobinę zbyt konwersacyjnym tonem.

Alex kusiło, żeby zapytać, czy ma spisać zeznania, ale Dawes, Mercy i Turnerowi należało się wyjaśnienie, a w każdym razie takie odpowiedzi, jakie razem zdołają poskładać.

Zjedli więc i porozmawiali: o Anselmie, który nie był już Anselmem, o ciałach, jakie zostawił w Black Elm, o zamordowanej profesor Stephen i dziekanie Beekmanie, o trzecim morderstwie, które zostałyby popełnione, gdyby Turner nie aresztował Andy'ego Lambtona.

Kiedy skończyli, Turner odsunął pusty talerz i potarł twarz.

– Chcesz powiedzieć, że Lambton jest niewinny?

– Był tam – powiedziała Alex. – Przynajmniej w przypadku Beekmana. Może też u Marjorie Stephen. Myślę, że Anselm z radością zrobił z niego współnika.

– On się tak nie nazywa – wtrącił Darlington.

– Jak go zwał, tak zwał. Golgarot, król demonów.

– To książę, a nie król, i byłoby niemądre go lekceważyć.

– Nie rozumiem – odezwała się Mercy. – Ten... książę demonów, czy jak mu tam... zjadł Anselma. Nie powinien być teraz wampirem? Dlaczego zadawał się z jakimś gościem, żeby popełniać przypadkowe morderstwa?

– Nie były przypadkowe – wyjaśnił Darlington. Mówił ponurym głosem, zimnym jak coś, co leży na dnie jeziora. – To była lamigłówka

zanurzona w historii New Haven, specjalna przynęta dla mojego umysłu, dla Alex, dla detektywa Turnera. Idealna rzecz służąca odwróceniu uwagi. On się bawił.

- Ale nie pił krwi? - zapytała Alex.

Walczyła z nie-Anselmem i poza tym, że potrafił przywołać ogień z niczego, był fizycznie słaby, w niczym nie przypominał Linusa Reitera.

- Golgarot nie jest taki jak wasze demony ani jak demon, który pożarł Lionela Reitera. On torturował mnie w piekle. Już żywił się moim nieszczęściem i kiedy próbowałem przejść przez portal, który otworzyłyście w Zwoju i Kluczu, był w stanie wyjść za mną.

- A wtedy krąg związał cię w Black Elm - powiedziała Dawes.

- Jednak nie Golgarota. Nie żywił się mną dostatecznie długo, żeby czar Sandowa go uwięził.

- A rogi? - zapytał Turner.

- Wy wszyscy byliście podróżnymi, poruszającymi się między tym światem a światem demonów, podczas gdy wasze ciała zostały tutaj. Ze mną było inaczej. Wszedłem prosto do paszczy piekielnej bestii i kiedy wkroczyłem do świata demonów, rozdzieliłem się. - Mówił spokojnie, ale patrzył w dal. - Stałem się demonem, który musiał służyć Golgarotowi, stworem, którym władały pewne... pragnienia. I stałem się człowiekiem, który karmił swojego strażnika własnym cierpieniem.

- Podzieliłeś się równo na pół, co?

Darlington się uśmiechnął.

- Nie, detektywie. Myślę, że dobrze pan wie, że można być mordercą i dobrym człowiekiem. A przynajmniej człowiekiem, który stara się być dobry. Gdyby tylko źli popełniali straszne czyny, świat byłby prostszy. Zarówno demon, jak i człowiek przebywali w piekle. Zarówno demon, jak i człowiek zostali związani przez ochronny krąg.

- Anselm poszedł za mną do piekła, kiedy przekroczyłam krąg - powiedziała Alex.

- Musiał, żeby z tobą walczyć. Golgarot jest pod pewnymi względami potężniejszy, a pod pewnymi słabszy od twoich demonów. Dopóki ja byłem związany w kręgu, mógł poruszać się swobodnie, pożerać wybrane przez siebie ofiary, ale pozostawał słaby. Nie mógł wkroczyć do tego świata w całości, nie zabijając mnie albo nie wepchnąwszy mnie do piekła raz na zawsze.

- Ale... ale teraz nie żyje, prawda? - zapytała Mercy.

Darlington pokręcił głową.

- Zniszczyłem jego śmiertelne ciało, to, które sobie skonstruował. Będzie jednak czekał na mnie w piekle. Na nas wszystkich.

Dawes zmarszczyła brwi.

- Wiedział, że znaleźliśmy Womitorium?

- Nie. Wiedział, że szukaliście, ale nie miał pojęcia, że je znaleźliście ani że spróbujecie przeprowadzić rytuał, żeby mnie uwolnić w noc Halloween.

- Powiedział, że przyszedł do Il Bastone i zobaczył nasze notatki - powiedziała Mercy.

- Tak nam powiedział, ale to niemożliwe - odpowiedziała Alex. - To demon. Nie pokonałby zabezpieczeń. Dlatego nie zabrał nas do Klitki w noc, kiedy wygnał nas z Lete.

Darlington pokiwał głową.

- Ustawił system wczesnego ostrzegania. Piekło jest rozległe. Nie mógł strzec wszystkich wejść. Wiedział jednak, dokąd zmierzacie, i kiedy uruchomiliście alarm, wiedział, że mnie znaleźliście.

Turner zaczerpnął tchu.

- Wilki.

- Zgadza się. Kazał im obserwować Black Elm.

- To były demony - powiedziała Alex; zrozumienie było jak policzek. - Stały się naszymi demonami.

Cztery wilki dla czterech pielgrzymów. Wszystkie przelały ich krew, gdy zaatakowały, posmakowały ich ludzkiego strachu. Alex

przypomniała sobie wilki płonące jak komety, gdy uciekali z piekła. Demony ścigały ich aż do świata śmiertelników.

- Golgarot przerwał rytuał - powiedziała Mercy. - Kazał mi wyłączyć metronom.

- Nie wszedł jednak na dziedziniec. - Alex pamiętała, że stał pod magicznym kwadratem Dürera. Może nie chciał ryzykować, że go zobaczy albo da się wciągnąć zagadce.

- Nie zamierzał pozwolić, żebyście wyciągnęli mnie z piekła - wyjaśnił Darlington. - Zamierzał doprowadzić do tego, że utkniecie tam razem ze mną.

- Lecz Alex nas wyciągnęła - powiedział Turner.

Alex poprawiła się na krześle.

- I zostawiłam za sobą otwarte drzwi dla naszych demonów.

- Nie rozumiem, dlaczego biblioteka Lete nie zawiera żadnych ostrzeżeń przed Womitorium - odezwała się Dawes. - Dlaczego nie ma zapisków na temat jego budowy, o tym, co stało się z pierwszą czwórką pielgrzymów, którzy przez nie przeszli, o Lionelu Reiterze?

- Nie wiem - przyznał Darlington. - Nie byłaby to jednak pierwsza próba zatuszowania prawdy w historii Lete.

Alex spojrzała Dawes w oczy. Same dobrze o tym wiedziały. Członkowie Lete, zarząd, paru pracowników administracji Yale, którzy wiedzieli, czym naprawdę zajmują się tajne stowarzyszenia, mieli za sobą długą historię zmiatania najróżniejszych potworności pod dywan. Ofiary magii, tajemnicze wahania zasilania, dziwne zniknięcia, mapa w piwnicy Muzeum Peabody'ego. Wszyscy wierzyli, że Daniel Arlington jest w Hiszpanii przez większość poprzedniego semestru, i prawie nikt nie wiedział, że Elliot Sandow okazał się mordercą. Nikt nie ponosił konsekwencji, dopóki udawało się znajdować wciąż nowe miejsca, gdzie można pogrzebać błędy.

Mercy położyła swój czerwony zeszyt obok talerza z zupą i narysowała w nim kilka koncentrycznych kół.

- Czyli to zatuszowali. Ale Lionel Reiter zmienił się w wampira. Nie wiemy nawet, co stało się z pozostałymi pielgrzymami i ich strażnikiem. Po co zostawiać Womitorium nietknięte, skoro wiedzieli, że jest niebezpieczne?

Zapadła cisza, bo nie mieli dobrej odpowiedzi, wszyscy jednak domyślali się, że prawda nie może być dobra. Coś poszło nie tak podczas pierwszej podróży, wydarzyło się coś na tyle złego, że Womitorium usunięto z ksiązek, a pamiętnik Rudolpha Kittschera ukryto lub zniszczono. Możliwe, że powodem było to, że demon poszedł za Reiterem i Lete było odpowiedzialne za stworzenie wampira. Jednak dlaczego wobec tego nie zapolowano na niego? Dlaczego pozwolono mu żerować na niewinnych ludziach przez prawie sto lat?

- Mogłabym pójść sama? - zapytała Alex.

Nie chciała tego mówić. Nie chciała tego robić. Możliwe jednak, że brakowało im jednego pielgrzyma, a im dłużej będą czekać, tym będzie gorzej.

- Nie potrzebuję Womitorium. Może po prostu wejść z powrotem przez krąg i znajdę jakiś sposób, żeby zawlec tam za sobą nasze demony?

- To okropnie ofiarne z twojej strony - powiedział Turner. Zerknął na Darlingtona. - Uderzyła się w głowę?

- Nie zrobię tego po to, żeby odgrywać bohatera - odparła kwaśno Alex. - Tyle że już doprowadziłam do śmierci Trippa.

- Nie wiesz tego - zaprotestowała Dawes.

- Ale się domyślam. - Miała nadzieję, że się myli. Miała nadzieję, że Tripp siedzi bezpiecznie w swoim eleganckim lofcie, zajada miski wegańskiego chili, ale szczerze w to wątpiła. - Wciągnęłam go w to i istnieje szansa, że on już z tego nie wyjdzie.

- Nie możesz po prostu pójść sama - powiedział Darlington. - Wciągniesz za sobą swojego demona, ale wszyscy musicie przejść, żeby pozbyć się pozostałych,

- A co ze Spencerem? - zapytała Mercy. - Ehm. Nie-Spencerem. Z demonem Trippa?

- Jeśli pożarł duszę Trippa... - zaczął Darlington.

- Nie wiemy, czy do tego doszło - upierała się Dawes.

- Jeśli jednak to zrobił, to będzie w stanie pozostać w świecie śmiertelników i żerować na żywych.

Nowy wampir może właśnie polować na ludzi w New Haven. Kolejne nieszczęście, któremu Alex pomogła zaistnieć. Mercy miała wszelkie prawo nie ufać Trippowi, podejrzewać go o tchórzostwo, jednak Alex go lubiła. Był kretynem, ale starał się dla nich najlepiej, jak potrafił. „Lubię być jednym z tych dobrych”.

- Będziemy musieli stworzyć postronek - powiedziała Dawes. - Otworzyć drzwi i wciągnąć przez nie demony.

- Wampira też? - dopytywała się Mercy.

- Nie - odpowiedział Darlington. - Jeśli demon Trippa rzeczywiście stał się wampirem, to trzeba na niego zapolować osobno.

- Przeszukałyśmy z Mercy bibliotekę pod kontem przynęty dla naszych demonów - powiedziała Dawes. - Niestety niewiele możemy zdziałać, jeśli mamy znajdować się w odpowiednich miejscach, żeby otworzyć Womitorium.

- Przyciągamy je, kiedy sytuacja zaczyna być zła - odezwała się Alex.

Turner rzucił jej spojrzenie.

- Czyli w każdej godzinie dnia?

- Mamy Wróbla Zagłady - powiedziała Mercy, zerkając do notatek.

- Jeśli wypuścić go w tym pokoju, to posieje niezgodę i wywoła powszechną apatię. Posługiwano się nim do przerywania zebrań związkowców w latach siedemdziesiątych.

- „Wiesz o ciszy, takiej, że choć zamaryły ptaki, coś ptasim głosem nagle kwili?”¹³ - zacytował Darlington.

- Naprawdę wolałam czasy, kiedy nie miałam pojęcia, o co w tym chodzi - powiedziała Alex. I mówiła szczerze. - Nie jestem jednak pewna, czy chcemy zacząć podróż do piekła, kiedy będziemy czuli się całkowicie przybici i pokonani.

- Jest jeszcze Manuskrypt Wojnicza - powiedziała Dawes. - Ale nie wiem, jak go zdobyć.

- Dlaczego akurat Manuskrypt Wojnicza? - spytała Mercy.

Alex słyszała o tym Manuskrypcie. Poza oryginalną Biblią Gutenberga była to chyba najszlachetniejsza książka w Bibliotece Beinecke. I zdecydowanie trudniej było ją zobaczyć. Biblia była na stałe wystawiona w szklanej gablocie w holu wejściowym i codziennie zmieniano stronę. Natomiast Manuskrypt Wojnicza trzymano pod kluczem.

- Bo to zagadka - wyjaśnił Darlington. - Język nie do odczytania, szyfr nie do złamania. Po to właśnie go stworzono.

Mercy zamknęła zeszyt z głośnym trzaskiem.

- Chwileczkę. Czy... mówisz, że Manuskrypt Wojnicza powstał po to, żeby więzić demony? Uчени spekulowali na jego temat od wieków!

Darlington wzruszył ramionami.

- Uчени najwyraźniej też wpadają w tę pułapkę. Jednak Dawes ma rację. Dotarcie do czegokolwiek innego niż cyfrowa kopia graniczy z cudem. A zabranie oryginału z Beinecke? Zapomnijcie.

- A co z Pierre'em Tkaczem? - spytała Mercy.

Turner odchylił się i skrzyżował ręce.

- To musi być dobre.

Dawes popukała się w usta.

- Ciekawy pomysł.

- Powiedziałbym wręcz, że genialny - wtrącił Darlington.

Mercy się uśmiechnęła.

- Czy ktoś zechce wyjaśnić mnie i Turnerowi, kto to jest Pierre i co on tka?

- Tkacz został zakupiony przez Manuskrypt – wyjaśniła Dawes. – Był wykorzystywany przez licznych przywódców kultów i fałszywych guru do wabienia wyznawców. Pierre Bernard był ostatnim z nich i jego imię przyłgnęło. Cała sztuka polega na tym, żeby Tkacz utkał się z właściwych emocji.

- I to uwięzi demony? – zapytał Turner.

- Na krótko – odpowiedziała Dawes. – Ten pomysł jest bardzo... ryzykowny.

- Niezrobienie niczego jest bardziej ryzykowne. – Alex miała już dość gadania. Nie mogli czekać do następnej pełni. – Nie pozwolę tym stworom ganiać za nami i wyżerać nam serca, aż załatwią nas jedno po drugim.

- Będą coraz silniejsze i sprytniejsze – wtrącił Darlington. – Osobiście wolałbym nie zobaczyć was wszystkich pożartych, żeby potem musieć radzić sobie z bandą wampirów o waszych twarzach.

- W porządku – powiedział Turner. – Posłużymy się Pierre'em Tkaczem. Złapiemy je w pułapkę i zaciągniemy z nami na dół. Nadal mam jednak podejrzanego o morderstwo, który... został zachęcony, jeśli nie skłoniony do pomocy w popełnieniu dwóch potwornych zbrodni i zaplanowaniu następnej. Nie mogę załatwić mu zmniejszenia wyroku, bo brały w tym udział demony.

- Został doprowadzony do szaleństwa – podpowiedział Darlington. – W ten sposób załatwisz mu zmniejszony wyrok. Bez względu na to, czy jego potwory istniały naprawdę, czy były wymyślone, skutek jest taki sam.

- Powiedzmy, że uda mi się to załatwić – zgodził się Turner. – Pozostają szczątki trzech zaginionych osób w piwnicy Black Elm i ktoś w końcu zacznie szukać tych ludzi. Muszę wierzyć, że żona Anselma zastanawia się, dlaczego nie wrócił do domu, nawet jeśli ten demon krążył po świecie w jego garniturze i z jego kartą kredytową.

Zapakować zwłoki do worków. Wziąć tablice rejestracyjne z wynajętego wozu, którym je przetransportują. Spalić ciała w tyglu w Il

Bastone, co potrwa wiele godzin. Wyczyścić wóz. Porzucić go. Alex wiedziała, co powinni zrobić. Tak samo jak Turner. Wiedziała też, że nie będzie o tym rozmawiał. Może i zabił Carmichaela z zimną krwią, ale nadal pracował w policji i nie zamierzał brać udziału w ukrywaniu zbrodni.

- Zajmiemy się tym - powiedziała Alex.

- Nie będą sprzątał waszego bałaganu.

- Nie będziesz musiał.

Turner nie był przekonany.

- Uwierzę ci na słowo. No dobrze, tyle tu gadamy, a nadal nie wyjaśniłaś, co się stało na chodniku przed tym domem. Widziałem demona, który rozerwał drugiego demona na pół. Widziałem cię w ogniu, który nie powinien istnieć w naszej rzeczywistości, i widziałem, że zapanowałaś nad nim za pomocą tego ognia. Czy ktoś zechce mi to wyjaśnić?

Darlington wzruszył ramionami i sięgnął po dokładkę zupy.

- Wyjaśnilibyśmy, gdybyśmy potrafili.

Alex zorientowała się po minie Turnera, że detektyw uznał, że Darlington kłamie.

Alex też tak uważała.

Dom był dostatecznie duży, żeby wszyscy mogli się w nim przespać, korzystając z magicznych zabezpieczeń. Darlington wrócił do sypialni Wergiliusza na drugim piętrze. Dawes spała na kanapie w salonie, a Turner zajął podłogę w zbrojowni.

Alex i Mercy ulokowały się w sypialni Dantego. Zanim jednak Alex zgasiła światło, spróbowała raz jeszcze wysłać wiadomość do Trippa. Szukanie go w nocy nie było bezpieczne, ale spróbują poszukać go rano z Turnerem.

- Nie byłam dla niego miła - powiedziała Mercy.

- To nie z tego powodu ma kłopoty. I nie musisz być dla wszystkich miła. - Alex położyła się na poduszce. - Muszę być gotowa na jutro. Dawes mówi, że zejście może być tym razem inne. Nie wiem, co znaczy dla ciebie, jako osoby na powierzchni, ale krąży tutaj co najmniej jeden wampir. Nie podoba mi się to, że znowu narażasz się na niebezpieczeństwo.

Mercy poruszyła się pod przykryciem.

- Zawsze grozi nam niebezpieczeństwo. Idź na imprezę, spotkaj niewłaściwą osobę, przejdź niewłaściwą ulicę. Myślę... Myślę, że czasem łatwiej jest wyjść kłopotom na spotkanie niż na nie czekać.

- Jak nieudana randka.

Mercy się roześmiała.

- Aha, ale jeśli stanie mi się coś okropnego...

- Nic ci nie będzie.

- Ale jeśli...

- Mercy, jeżeli ktoś z tobą zadrze, to nauczę go nowego znaczenia słowa „przemoc”.

Mercy się roześmiała, ale nie zabrzmiało to bardzo szczerze.

- Wiem.

Usiadła, uderzyła w poduszkę i położyła się z powrotem. Alex praktycznie widziała trybiki obracające się w jej głowie.

- Żeby zostać pielgrzymem... wszyscy musieliście kogoś zabić?

Alex wiedziała, że ta rozmowa nadejdzie.

- Yhm.

- Wiem... Wiem, że Dawes zabiła Blake'a. Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć o pozostałych, ale...

- Dlaczego ja kwalifikuję się do drużyny morderców?

- Aha.

Alex powiedziała Mercy o Lete, magii, a nawet o Szarych i o tym, że może ich wykorzystywać, ale własną przeszłość pozostawiła nie-
tkniętą i zakopaną. Mercy wiedziała tylko, że Alex jest z Kalifornii i ma liczne braki w edukacji.

Alex mogła ją teraz okłamać na wiele sposobów. Że to była samo-
obrona. Że to był wypadek. Jednakże prawda była taka, że rozważała
zabicie Eitana jeszcze tego ranka, i gdyby mogło jej się to upiec, gdyby
miała gdzie ukryć ciała, zrobiłaby to i nawet by się nie zawahała. Poza
tym obiecała, że nigdy więcej nie okłamie Mercy.

- Zabiłam mnóstwo ludzi.

Mercy obróciła się na bok i spojrzała na nią.

- Ilu?

- Dostatecznie dużo. Jak na razie.

- Czy... Jak ty z tym żyjesz?

Co miała jej powiedzieć? Bo to nie ludzie, których zabiła, ją dręczyli, lecz ludzie, którym pozwoliła umrzeć, których nie zdołała uratować. Alex wiedziała, że powinna powiedzieć coś pociesającego. Że modliła się, płakała, albo biegała w kółko, żeby zapomnieć. Nie miała

wielu przyjaciół i nie chciała stracić tej jednej przyjaciółki. Miała jednak dość udawania.

– Ja nie jestem normalnie skonstruowana. Nie wiem, czy brakuje mi sumienia czy poczucia winy, a może anioł siedzący na moim ramieniu uznał, że czas wybrać się na długie wakacje. Nie zarywam nocy z powodu ciał na moim koncie. Pewnie nie jestem w związku z tym wymarzoną współlokatorką.

– Możliwe – powiedziała Mercy i zgasiła światło. – Ale cieszę się, że jesteś po mojej stronie.

* * *

Alex poczekała, aż Mercy zacznie chrapać, i wtedy wyślizgnęła się z łóżka i pobiegła cicho schodami na drugie piętro. Drzwi do sypialni Wergiliusza były otwarte, na kominku pod oknem z witrażem przedstawiającym las choin płonął ogień. Darlington wyciągał się w fotelu przy ogniu. Przebrał się w spodnie od dresu Lete i stary szlafrok. A może należałoby nazwać to bonzurką? Alex nie była pewna. Wiedziała tylko, że oglądała go bez strzępka ubrania przez wiele tygodni i teraz widok Darlingtona z nogami na podnóżku, w rozchełstany szlafroku, z nagą pierśią i książką w ręce sprawiał, że czuła się jak podglądacz.

– Coś chcesz, Stern? – zapytał, nie odrywając wzroku od książki.

To było skomplikowane pytanie.

– Okłamałeś Turnera.

– Wyobrażam sobie, że to samo robiłaś, gdy musiałaś. – Wreszcie podniósł wzrok. – Będziesz tak kręcić się w progu przez całą noc czy wejdiesz?

Alex zmusiła się do wejścia. Dlaczego, u diabła, tak się denerwowała? To był Darlington, uczony, snob, wrzód na tyłku. Nie było w tym żadnej zagadki. A jednak miała jego duszę w sobie. Czuła jej smak w ustach.

- Co pijesz? – spytała, podnosząc kieliszek bursztynowego płynu ze stolika obok jego fotela.

- Armaniak. Możesz się poczęstować.

- Ale my...

- Doskonale wiem, że mój armaniak został poświęcony dla dobrej sprawy, być może razem z mercedesem mojego dziadka. Ta butelka jest dużo tańsza i nie tak rzadka.

- Ale to nie znaczy, że jest tania.

- Oczywiście, że nie.

Odstawiła kieliszek i siadła na fotelu naprzeciwko Darlingtona. Ogień ogrzewał jej stopę, a ona była boleśnie świadoma dziury robiącej się w jej prawej skarpetce.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytała. – Powrót do piekła?

Jego wzrok z powrotem padł na lekturę. *Pamiętnik z czasów w Lete* Michelle Alameddine.

Czy zastanawiał się, dlaczego to nie ona stanęła na straży?

- Znalazłeś tam coś ciekawego?

- Właściwe to owszem. Wzór, którego wcześniej nie zauważyłem. Ale demony uwielbiają zagadki.

- Ona trochę nam pomogła – powiedziała Alex. – Powiedziała, że twoim zdaniem Womitorium znajduje się na kampusie.

- Nie jest mi nic winna. Powiedziałem sobie, że nigdy nie będę czytał jej pamiętnika, że nie będę polował na jej opinie na temat swojego Dantego, że nigdy nie poddam się takiej próżności. A tu proszę.

- Co napisała?

Uśmiechnął się z żalem.

- Bardzo niewiele. Zostałem opisany jako drobiazgowy, skrupulatny i co najmniej pięć razy jako entuzjastyczny. Ogólnemu obrazowi brakuje szczegółów, ale daleko mu do pochlebnego. – Zamknął książkę i odłożył na bok. – I żeby odpowiedzieć na twoje pytanie:

powrót do piekła to okropny pomysł, ale myślę, że nie mam innego. W bardziej jałowych chwilach kusi mnie, żeby o to wszystko obwinić Sandowa. To jego chciwość uruchomiła ciąg tragicznych wydarzeń. Wezwał piekielną bestię, żeby mnie pożarła. Podejrzewam, że uznał, że to będzie szybka śmierć.

- Albo raczej czysta – skorygowała go odruchowo Alex.

- Słuszna uwaga. Nie ma ciała, którego trzeba się pozbyć, nikt nie zada żadnych pytań.

- Miałeś tego nie przeżyć.

- Owszem... Rozumiem, to nas łączy. Czy to był prawie uśmiech, Stern?

- Za wcześnie, żeby to oceniać.

Poprawiła się w fotelu, obserwując Darlingtona. Zawsze był nieprzyzwoicie pociągający, ciemnowłosa, szczupłej budowy, o sposobie bycia zdetronizowanego księcia, który zawędrował do ich przyziemnego świata z jakiegoś odległego zamku. Trudno było nie gapić się na niego, pamiętać, że on naprawdę tam siedzi, naprawdę żyje. I że wydawało się, że jakimś cudem jej wybaczył. Niestety nie mogła o tym mówić.

- Powiedz mi, o czym nie chciałeś mówić przy pozostałych. Dlaczego nadal masz rogi...

- Okazjonalne rogi.

- W porządku. I dlaczego zapłonęłam jak pochodnia, kiedy się nimi posłużyłeś?

Darlington milczał przez długą chwilę.

- Nie ma określenia na to, czego dokonaliśmy. I co jeszcze możemy zrobić. Pomyśl o Womitorium jak o serii drzwi, z których każde mają uniemożliwić nierozważnym wejście do piekła. Ty nie potrzebujesz tych drzwi.

- Belbalm... zanim umarła...

- Zanim ją zabiłaś.

- To był grupowy wysiłek. Powiedziała, że wszystkie światy są otwarte dla Wędrowców Koła. Widziałam krąg błękitnego ognia wokół siebie.

- Ja też - powiedział. - W Halloween. Rok temu. Koło. Myślę, że to nie był przypadek. I myślę, że to też nie jest.

Wstał, przeszedł przez pokój do swojego biurka i wziął książkę o ważnych miejscach w Nowym Jorku. Poruszał się z tą samą swobodną pewnością siebie co zawsze, ale teraz w tych długich krokach czaiło się coś złowieszczego. Widziała w nim demona. Widziała dra pieźnika.

Przekartkował książkę i podsunął jej otwartą.

- Atlas - powiedział - w Rockefeller Center.

Czarno-biała fotografia przedstawiała muskularną postać z brązu przyklękającą na jednym kolanie i ugiętą pod ciężarem trzech przecinających się kręgów wspartych na jego kolosalnych ramionach.

- Sfery niebieskie, niebo w ruchu - rzekł Darlington. - Lub...

Alex przesunęła palcem po jednym z kręgów ozdobionym znakami zodiaku.

- Koło.

- Tę rzeźbę zaprojektował Lee Lawrie. Odpowiada także za kamieniarkę w Bibliotece Sterlinga. - Darlington wyjął książkę z jej rąk i odniósł na biurko. Stał odwrócony do Alex plecami, kiedy powiedział: - Tamtej nocy w Manuskrypcie zobaczyłem coś więcej niż koło. Widziałem koronę.

- Koronę. Co to znaczy? Co to wszystko znaczy?

- Nie wiem, ale kiedy przeszedłeś do piekła przez krąg ochronny, zła małaś wszelkie istniejące reguły. A gdy wyniosłaś mnie stamtąd, zła małaś jeszcze jedną. - Usadowił się znowu w fotelu naprzeciwko niej.
- Wykradłaś mnie z podziemnego świata. To musiało zostawić jakiś ślad.

Alex słyszała Anselma – Golgarota – jak wrzeszczał „złodziejka”. Widziała wilczy pysk rozwierający się, żeby wypowiedzieć to samo słowo.

– Tym właśnie są te rzeczy? – zapytała. – Opaski na twoich nadgarstkach i szyi? Śladami?

– To?

Pochylił się i zmiana, jaka się wtedy dokonała, była natychmiastowa: jarzące się oczy, zakrzywione rogi, szersze ramiona. Bezwiednie Alex odsunęła się natychmiast razem z fotelem. W okamgnieniu z człowieka zamienił się w potwora. Złote przepaski widniały na jego nadgarstkach i gardle.

– Aha – powiedziała, starając się nie okazywać strachu. – Te właśnie.

– To oznacza, że mam służyć. Wiecznie.

– Piekła? Golgarotowi?

Roześmiał się. To był niski, zimny dźwięk jakby dobiegał z dna jeziora.

– Tobie, Stern. Kobiecie, która zabrała mnie z piekła. Będę ci służył po kres dni.

Jej twarz stała się bardzo nieruchoma. Darlington nauczył się, że tak właśnie Alex Stern zachowuje się w obliczu niepewności. Walka czy ucieczka? Czasem jedynym ruchem kogoś, kto wiele przeszedł, jest całkowity bezruch. Widział ją w piwnicy tamtej nocy tak dawno temu, tę dziewczynę wykutą z kamienia.

Uniosła brew.

– Czyli... zajmiesz się moim praniem?

Walka, ucieczka albo sarkazm.

– Ależ z ciebie obrzydliwa dziewczyna.

– Proszę pani. Ależ z ciebie obrzydliwa dziewczyna, proszę pani.

Teraz się roześmiała.

Jednakże Alex ściągnęła brwi. Zaciśnęła zęby. Wyglądała, jakby szykowała się do walki.

– Jest za dużo tajemnic. Nie podoba mi się to, jak się sumują.

– Mnie chyba też – powiedział i tym razem nie kłamał. – Widzisz umarłych, słyszysz ich, możesz ich wykorzystywać do swoich celów i, o ile nie myślę się za bardzo, gdyby nie pewne skrupuły, jakich zabrakło Marguerite Belbalm, w podobny sposób mogłabyś posługiwać się żywymi.

Całe to podsumowanie skwitowała krótkim, zdecydowanym skinięciem głowy.

– A jeśli chodzi o mnie...

Nie był pewien, jak skończyć to zdanie. Jako człowiek cierpiał w piekle, ale jako demon rozdawał cierpienie z łatwością i pomysłowością. Sandow przybył do nich, zamordowany przez Belbalm, jego

duśa została już przez z nią pożarta. Nigdy nie przeszedłby przez Zasłonę, ale piekło z radością go przyjęło. Demoniczne ja Darlingtona rozkoszowało się, wynajdując nowe sposoby dręczenia Sandowa, każąc mu płacić za cierpienie, jakie spowodował.

Darlington przerażał cienie Zasłony i nawet samego siebie. To było... Jeśli miał być szczery, to było upajające. Był istotą intelektualną od dziecka – fascynowały go języki, historia, nauka. Reszta, trening, jaki sobie narzucił – walka, szermierka, nawet akrobatyka – miały posłużyć w przyszłych przygodach, co do których był pewien, że go czekają. Tyle że wielkie zaproszenie nigdy nie nadeszło. Nie było szlachetnych wypraw ani tajnych misji. Były rytuały, przelotne mgnienie innego świata, praca szkolna, raporty do napisania i to wszystko. Dlatego doskonalił się tak, jakby ostrzył klingę, która nigdy nie zostanie wykorzystana.

A potem dziekan Sandow posłał go do piekła. Darlington nie powinien był tego przeżyć, ale zdołał utrzymać się, aż w końcu nadszedł ratunek.

A teraz? Czy był w dostatecznym stopniu człowiekiem? Był w stanie siedzieć przy stole i prowadzić rozmowę. Nie warczał na nikogo ani nie połamał mebli, ale to nie było łatwe. Demony nie były istotami myślącymi. Kierowały się instynktem, napędzały ich pragnienia. Darlington szczyił się tym, że nie jest ani jednym, ani drugim. Nigdy nie działał pochopnie. Kierował się rozsądkiem. Teraz jednak pragnął tak jak nigdy dotąd. Wcześniej kusiło go, żeby włożyć twarz do miski z zupą i chleptać ją łapczywie jak zwierzę. Teraz chciał znaleźć się między nogami Alex i zrobić z nią to samo.

Przesunął dłonią po twarzy i otrząsnął się nieco, modląc się o powrót rozumu. Był jej mentorem. Jej Wergiliuszem. Zawdzięczał jej życie i mógł sprawić się lepiej. Nie był jakąś śliniacą się bestią. Będzie udawał człowieka, aż się nim stanie.

Darlington był zaskoczony tym, jak pozostali się zebrali, żeby współpracować i planować. Prawie nie poznawał zdolności dowodze-

nia Alex, pewności siebie Dawes – jedno i drugie narodziło się z jego nieobecności. Poradziłyby sobie beze mnie, pomyślał. Stałyby się silniejsze. Kiedy siedział i patrzył, jak knują z Turnerem i Mercy, czuł się obcy w miejscu, o którym kiedyś myślał, że jest jego miejscem. Zrozumienie tego, jak małe ma znaczenie, nadeszło powoli i zarazem nagle w swoim okrucieństwie.

– A jeśli chodzi o mnie, to nie wiem, czym jestem – powiedział w końcu.

– Ale jesteś w stanie zapanować... – machnęła ręką, jakby rzucała na niego zaklęcie – ...nad tym demonicznym gównem.

– Z pewnością mam taką nadzieję, ale myślę, że byłoby rozsądne dla ciebie i pozostałych w moim otoczeniu, żebyście zawsze mieli pod ręką zapas soli. Możemy też rozważyć ustanowienie ograniczeń w Black Elm, czy gdzie ostatecznie wyląduję, żebym nie mógł opuszczać tego miejsca bez opieki.

Mówił tak bardzo rozsądnie. Nietrudno było odgrywać człowieka, którym kiedyś był.

Przyjrzał się dziwnej i straszliwej dziewczynie, która siedziała przed nim. Jej oczy były czarne w świetle ognia, włosy lśniły, jakby je polakierowano. Ondyna, wodny duch, który powstał z jeziora w poszukiwaniu duszy. Darlington nie chciał myśleć o tamtej nocy podczas halloweenowej imprezy w Manuskrypcie. Kompletnie stracił rozum z powodu tego, czym go zaprawiono, ale kiedy spojrzął w wielkie lustro, zobaczył, że Alex jest czymś więcej niż jej śmiertelne ja. Zrozumiał, że nigdy nie był bohaterem, jakim pragnął zostać. Był rycerzem, ale czym jest rycerz, jeśli nie sługą z mieczem w dłoni? Po raz pierwszy poznał siebie i swój cel. Przynajmniej tak to wtedy wyglądało. Chciał tylko jej służyć, chciał, by go dostrzegą i pragnęła. Nie wiedział, że patrzy w przyszłość.

– Jesteś Wędrowcem Koła – powiedział. – Wiem to tylko dlatego, że ty to wiesz, bo Belbalm i Sadow to wiedzieli. Pogrzebię głębiej

w bibliotece Lete, żeby dowiedzieć się, co to naprawdę znaczy. Wiem jednak tyle: nie wszyscy wrócimy z podziemnego świata jutro w nocy.

– Poprzednio nam się udało.

– I sprowadziliście ze sobą demony, z których jeden być może zamieszkał na stałe w tym świecie i będzie żerował na ludziach, dopóki nie zostanie pokonany. Tym razem nie wrócimy wszyscy. Dopóki w piekle brakuje jednego mordercy, drzwi pozostaną otwarte i wasze demony wciąż będą wracać. Trzeba zapłacić piekłu jego cenę.

Alex się skrzywiła.

– Dlaczego? Skąd to wiesz?

– Bo byłem jednym z nich. Byłem demonem żywiącym się cierpieniem umarłych. – Chciał to powiedzieć zwyczajnie, od niechęcenia, ale słowa rwały się w jego ustach i cuchnęły spowiedzią.

– Mam być tym zaszokowana i przerażona?

– Że uciekłem się do swoistego emocjonalnego kanibalizmu, żeby przetrwać? Że pożerałem ból i to sprawiało mi przyjemność? Pomyślałem, że to mogłoby cię zaniepokoić.

– Byłeś już w mojej głowie – powiedziała. – Widziałeś rzeczy, które musiałam robić, żeby przetrwać?

– Przelotnie – przyznał.

Ciąg ponurych chwil, głęboki ocean rozpaczy, Hellie błyszcząca jak złota moneta, babcia jarząca się jak węgielki, jej matka... katastrofa, chmura, płatanina strzępiącej się włóczki, chaos litości, tęsknoty, gniewu i miłości.

– Robimy to, co musimy – powiedziała Alex. – Tylko tyle musi każdy, kto chce ocaleć.

Dziwne błogosławieństwo, ale był jej za nie wdzięczny. Skrzyżował ręce, rozważając następne słowa, nie chcąc, żeby pozostały niewypowiedziane.

– A gdybym ci powiedział, że pewna częśćka mnie nadal tęskni za cierpieniem?

Alex się nie wzdrygnęła. Oczywiście, że nie. To nie należało do jej repertuaru.

– Powiedziałabym ci, żebyś wziął się w garść, Darlington. Wszyscy pragniemy rzeczy, których nie powinniśmy.

Zastanawiał się, czy naprawdę rozumiała to, czym się stał. Gdyby rozumiała, to mogłaby uciec z tego pokoju. Jednakże nie będzie musiał długo się tym martwić – aż do zejścia. Do tego czasu dopilnuje, żeby demon nie zerwał się ze smyczy.

– Musisz pogodzić się z tym, że piekło spróbuje zatrzymać jedno z nas – powiedział. – To będę ja, Stern. Nigdy nie miałem go opuścić.

Nie bardzo wiedział, czego się spodziewać. Śmiechu? Łez? Bohaterskiego żądania, żeby to ona zajęła jego miejsce w piekle? Stracił orientację, kto tu jest Dantem, Wergiliuszem, Beatrycze. Był Orfeuszem czy Eurydyką?

Alex tylko odchyliła się w fotelu i spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Więc po tym, jak walczyliśmy i przelewaliśmy krew, żeby wywlec cię z piekła, myślisz, że po prostu odprowadzimy cię z powrotem jak psa ze schroniska, który sra na dywan?

– Nie tak bym to...

Alex wstała i wypila jego kieliszek drogiego armaniaku jakby to był setka za dolara w wieczór dla pań w Toad's.

– Wal się, Darlington.

Poszła do drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Do zbrojowni porozmawiać z Turnerem. A potem muszę podzwonić. Wiesz, na czym polega twój problem?

– Mam upodobanie do pierwszych wydań i kobiet, które lubią prawić mi kazania na mój własny temat?

– Żywisz chorobliwy szacunek dla zasad. Prześpij się trochę.

Zniknęła w ciemnym korytarzu. Przepadła, jakby to była sztuczka magika.

Alex zasnęła dopiero nad ranem. Za dużo zostało rzeczy do zaplanowania, a po rozmowie z Darlingtonem cała wibrowała z jakąś nieprzyjemną częstotliwością, która uniemożliwiała zaśnięcie. Rozmawiała z nim w swojej głowie tak długo, że to powinno być łatwe – usiąść i porozmawiać z nim naprawdę, ale oboje się zmienili, uczeń i nauczyciel, czeladnik i mistrz. Przedtem wiedza płynęła między nimi tylko w jednym kierunku. Władza spoczywała tylko w jego rękach. Teraz jednak była płynna, ciągle się zmieniała, objęła się o ich zrozumienie siebie nawzajem, skonsternowana tajemnicami, wpadała w cieniste miejsca, gdy ich rozumienie zawodziło. Wypełniała dom jak kłęb piekielnego ognia, który biegł korytarzami i w górę po schodach niczym zapalony lont. Yale i Lete należało do Darlingtona, ale teraz grali na szerszej scenie i Alex nie była jeszcze pewna, jaką rolę każde z nich miało odegrać.

Ledwie przysnęła, a obudziła ją Dawes, potrząsając nią.

Na widok jej spanikowanej twarzy Alex poderwała się gwałtownie.

– Co się stało?

– Przyjdzie Pretor.

– Tutaj? – zapytała Alex, wyskakując z łóżka i wciągając jedyne czyste ubrania, jakie miała: dres Lete. – Teraz?

– Przygotowywałam lunch, kiedy zadzwonił. Powiedziałam Mercy, żeby została na gorze. Chce omówić przygotowania do biegu wilków. Nie wysłałaś mu e-maila?

– Wysłałam! – Wysłała notatki, linki z wyszukiwania, razem z czterystoma słowami przeprosin za brak przygotowania na ostatnim spo-

tkaniu i deklaracją lojalności dla Lete. Może przesadziła? – Gdzie jest Darlington?

– On i Turner poszli do mieszkania Trippa.

Alex przeczesała włosy palcami, próbując się ogarnąć.

– No i?

– Nikt im nie otworzył, ale węzeł solny przy wejściu wciąż był nie-
tknięty.

– To dobrze, prawda? Może po prostu przyczał się gdzieś u rodziny
albo...

– Jeśli nie znajdziemy Trippa, nie będziemy mogli zwabić jego
demona do piekła.

Będą musieli później zająć się tym problemem.

Były w połowie schodów, kiedy usłyszały, jak frontowe drzwi się
otwierają. Do środka wszedł, pogwizdując, profesor Walsh-Whiteley.
Powiesił kapelusz i płaszcz na wieszaku przy drzwiach.

– Panno Stern! – powiedział. – Oculus powiedział, że możesz się
spóźnić. Jesteś... nadal w piżamie?

– Zajmowałam się drobnymi pracami domowymi – odpowiedziała
z promiennym uśmiechem Alex. – Stare domy wymagają wiele uwagi.

Schodek pod nią zatrzeszczał głośno, jakby Il Bastone podjęło jej
grę.

– To piękna stara budowla – powiedział profesor, idąc do salonu. –
Miałem nadzieję, że Oculus zdążył napęłnić spiżarnię.

Oculus. Osoba, z którą nawet nie raczył się przywitać. Nic dziw-
nego, że jego Wergiliusz i potem jego Dante go nie cierpieli. Miały jed-
nak poważniejsze problemy niż zacofany i niewychowany profesor.

– Zadzwoń do Darlingtona – szepnęła Alex.

– Już zadzwoniłam!

– Spróbuj znowu. Powiedz mu, żeby nie wracał, dopóki...

Frontowe drzwi otworzyły się szeroko i wszedł Darlington.

– Dzień dobry! – powiedział. – Turner...

Alex i Dawes zaczęły machać rozpaczliwie, żeby się uciszył. Za późno.

– Mamy gości? – zapytał Pretor, wyglądając zza rogu.

Darlington zamarł z płaszczem w rękach. Walsh-Whiteley gapił się na niego.

– Pan Arlington?

Darlington zdołał skinąć głową.

– Ehm... Tak.

Alex potrafiła kłamać bez zająknięcia, ale w tej chwili odebrało jej mowę, już nie wspominając o zdolności tkania wiarygodnej fikcji. Nie zastanowiła się nawet, jak zamierzają wyjaśnić powrót Darlingtona. A teraz ona i Dawes stały i wyglądały, jakby je zlano lodowatą wodą.

Cóż, skoro już grała zaszokowaną, to mogła iść na całość. Przywołała całą siłę woli i wybuchła płaczem.

– Darlington! – krzyknęła. – Wróciłeś!

Rzuciła mu się na szyję.

– Tak – odpowiedział trochę za głośno Darlington. – Wróciłem.

– Myślałam, że nie żyjesz! – Alex zawodziła na całe gardło.

– Dobry Boże – powiedział Pretor. – To naprawdę ty? Dano mi do zrozumienia, że coś... że nie żyjesz.

– Nie, proszę pana – odpowiedział Darlington, wyplątując się z objęć Alex. Jego ręka na jej krzyżu była gorąca jak rozżarzony węgiel. – Po prostu wpadłem do miniaturowego dodatkowego wymiaru. Dante i Oculus były na tyle miłe, żeby poprosić Haymana Péreza, żeby w moim imieniu spróbował rzucić czar odzyskujący.

– To nadzwyczaj niestosowne – zbeształ je Walsh-Whiteley. – Powinnyście się ze mną skonsultować. Zarząd...

– Zdecydowanie – zgodził się z nim Darlington, podczas gdy Alex nadal pociągała nosem. – Potworne naruszenie procedur, ale muszę przyznać, że jestem za to wdzięczny. Pérez ma nadzwyczajny talent.

- Z tym mogę się zgodzić. Jeden z najlepszych członków Lete. - Pretor przyjrzał się Darlingtonowi. - I po prostu... pojawiłeś się z powrotem.

- W piwnicy Rosenfeld Hall.

- Rozumiem.

Dawes, która stała zapomniana na schodach, odchrząknęła.

- Może coś zjecie? Przygotowałam tosty z serem z prażonymi migdałami i curry z dyni.

Wzrok Walsha-Whiteleya przesunął się z Dawes na Alex, a potem na Darlingtona. Może i był napuszony i świętoszkowaty, ale nie był głupi.

- Cóż, chyba większość spraw najlepiej wyjaśnia się przy dobrym posiłku - powiedział w końcu.

- I przy kieliszku dobrego wina - dodał Darlington, prowadząc Pretora przez salon.

Alex zerknęła przez okno i zobaczyła błyszczące oczy demonów zebrane w cieniach między domami po drugiej stronie ulicy. Przynajmniej zachowywały dystans. Atak Darlingtona na Nie-Hellie musiał je przestraszyć.

- Powinnaś zatruć jego zupę? - szepnęła Dawes, kiedy ją mijala.

- Miewałaś gorsze pomysły.

Lunch się przeciągał, Darlington i Alex ledwie tknęli swoje jedzenie. Powinni pościć przed zejściem. Rozmowa toczyła się wokół śmierci Sandowa, zniknięcia Darlingtona i szczegółów rzekomego zaklęcia rzuconego przez Péreza. Alex zastanawiała się, czy Darlington już wcześniej tak świetnie kłamał, zanim stał się po części demonem.

- Nie jesteś głodny? - zapytał Pretor, kiedy Dawes postawiła ciepłą crostatę z jabłkami i garnuszek *crème fraîche*.

- Podróż przez portal - odpowiedział Darlington. - Fatalnie wpływa na trawienie.

Alex umierała z głodu, ale pociągnęła tylko nosem i powiedziała:

– Emocje są za silne, żebym mogła coś przełknąć.

Walsh-Whiteley dźgnął powietrze widelcem.

– Ckliwe brednie. W Lete nie ma miejsca na taką wrażliwość. Dlatego w Dziewiątym Domu nie powinno być kobiet.

Głośny łoskot dobiegający z kuchni brzmiał tak, jakby Dawes dawała do zrozumienia, co sama czuje.

– Jesteś gotowy wziąć udział w biegu wilków tego wieczoru? – zapytał Darlingtona Pretor.

– Oczywiście.

– Myślę, że będziesz zadowolony z tego, jak panna Stern się rozwinęła. Mimo wątpliwego pochodzenia i braków w wykształceniu nieźle się spisała. Mogę się tylko domyślać, że to efekty twojego nauczania.

– Naturalnie.

Alex powstrzymała chęć kopnięcia go pod stołem.

Kiedy Walsh-Whiteley dojadł crostatę i dopił ostatni łyk sauternes, Alex odprowadziła go do drzwi.

– Powodzenia wieczorem, panno Stern – powiedział z policzkami zaróżowionymi od wina. – Oczekuję raportu najpóźniej w niedzielę.

– Oczywiście.

Zatrzymał się na schodach.

– Musiało ci ulżyć, gdy wrócił pan Arlington.

– Ogromnie.

– To duże szczęście, że Haymanowi Pérezowi udało się tak skomplikowany czar.

– Wielkie szczęście.

– Oczywiście pan Pérez przez większą część roku szukał zaginionych bunkrów nazistowskich na Antarktydzie. Bezcelowe przedsięwzięcie, jak podejrzewam, ale zdobył fundusze, więc zarząd widocznie widział w tym sens. Nie sposób było się z nim skontaktować.

Alex nie była pewna, czy Pretor rzeczywiście ich rozgryzł, czy tylko blefował.

– Naprawdę? To się nam poszczęściło.

– Ogromnie – odparł Pretor. Założył kapelusz. – Lete uważa mnie za uciążliwość i za pedanta. Od zawsze. Jednak ja dbam o wyższy poziom Dziewiątego Domu lepiej niż ci, którzy rzekomo nim zarządzają. Wierzę w instytucję, jaką Lete może być i powinno być. Jesteśmy pasterzami. – Spojrzał jej w twarz, jego oczy były kaprawe i nijako brązowe. – Istnieją miejsca, do których nigdy nie powinniśmy wkrazać bez względu na nasze możliwości. Proszę uważać na siebie, panno Stern.

Zanim Alex przyszła na myśl odpowiedź, Pretor zszedł na ulicę, pogwizdując melodię, której nie poznała.

Alex popatrzyła za nim, zastanawiając się, kim naprawdę jest Raymond Walsh-Whiteley. Młody geniusz. Konserwatywny zrzęda. Student nadal zakochany w chłopcu, którego poznał podczas jakiejś morskiej idylli i którego nadal oplakiwał.

Wdzięczna za czary ochronne Alex zatrzasnęła drzwi. Dawes siedziała w jadalni z planami i notatkami, wyjaśniając Darlingtonowi, czego należy się spodziewać po zejściu. Alex z radością ich przy tym zostawiła. Nie chciała myśleć o Darlingtonie, z którym rozmawiała poprzedniej nocy przy ogniu. „Upodobanie do pierwszych wydań i kobiet, które lubią prawić mi kazania na mój własny temat”. Żart, nic więcej. Jednak to słowo ugrzęzło w jej myślach: upodobanie. Precyzyjne i nieprzyzwoite zarazem.

Poszła prosto do sypialni Dantego. Miała pracę do wykonania.

– Kochanie! – wykrzyknęła jej matka, kiedy odebrała telefon, a Alex zalała znajoma fala radości i zażenowania, która zawsze towarzyszyła głosowi matki. – Jak się masz? Wszystko w porządku?

– Wszystko jest w najlepszym porządku. Zastanawiałam się, czy nie przyjechać do domu na Święto Dziękczynienia.

Mercy i Lauren planowały wypad do Montrealu z paroma osobami z wydziału teatralnego, które Lauren poznała w stowarzyszeniu teatralnym. Zaprosiły Alex, ale nie miała dość gotówki, a jeśli przeżyje drugie zejście i wszystko, co się z tym wiązało, to zamierzała zużyć swoje pieniądze na podróż do Los Angeles.

Zapadło długie milczenie. Alex wyobraziła sobie Mirę chodzącą w kółko po ich starym salonie, gdy ogarnął ją strach.

– Jesteś pewna? Chciałabym cię zobaczyć, ale wolę mieć pewność, że to dla ciebie zdrowy krok.

– W porządku, po prostu wpadnę na kilka dni, żeby cię zobaczyć.

– Serio? To byłoby cudowne! Znalazłam nową uzdrowicielkę i myślę, że mogłaby zdziałać cuda dla ciebie. Jesteś świetna w usuwaniu złej energii.

W usuwaniu demonów też?

– Pewnie. To brzmi miło.

Znowu cisza.

– Na pewno wszystko jest w porządku?

Alex powinna była bardziej opierać się pomysłowi z uzdrowicielką.

– Na pewno. Kocham cię i cieszę się, że cię zobaczę i... W porządku, nie ciesz się mnie perspektywa tofu udającego indyka, ale mogę udawać.

Śmiech Miry był swobodny, perlisty.

– Będziesz zachwycona, Galaxy. Przygotuję twój pokój.

Pożegnały się. Alex siedziała, wpatrując się w okno, w witraż z księżycem jarzącym się wśród niebieskich szklanych chmur, który nigdy nie malał ani nigdy nie rósł. Kiedy była mała, przyglądała się twarzy matki, szukając w niej czegoś z siebie, i nigdy niczego nie znajdowała. Tylko raz, kiedy boso siedziały obok siebie na łóżku, zauważyła, że mają takie same stopy, z drugim palcem dłuższym od dużego i najmniejszym wciśniętym jakby na dokładkę w ostatniej chwili. To ją

uspokoilo. Należała do tej kobiety. Były ulepione z tej samej gliny. To jednak nie wystarczyło. Gdzie wspólne poczucie humoru? Talent do szycia, śpiewania albo nauki języków? Alex pomyślała o swojej matce idącej ulicą i błyszczącej nadzieją. Alex zawsze tkwiła w cieniu.

Chciała powiedzieć matce, żeby wyjechała na kilka dni, zatrzymała się u Andrei, ale nie mogła tego zrobić, nie wywołując paniki. A jeżeli Alex zawiedzie tej nocy, to i tak nie będzie miało to znaczenia.

Alex sprawdziła telefon. Nadal nie dostała wiadomości od Turnera. Nie zamierzała dzwonić, nie chciała ryzykować i przechylić szali na niewłaściwą stronę. To, o co go poprosiła, nie było do końca niezgodne z prawem, ale też daleko temu było do uczciwości, a prawość Turnera była zdecydowanie zbyt silnie zarysowana jak na jej gust.

- Co właściwie zamierzasz? - zapytał, kiedy znalazła go w zbrojowni poprzedniej nocy.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Zastanawiał się długą chwilę, a potem odpowiedział:

- W żadnym razie.

Położył się i naciągnął koc na głowę.

- Ale zrobisz to, o co poprosiłam? - naciskała. - Zadzwońisz?

- Idź spać, Stern.

Teraz popatrzyła na swój telefon i po raz dwudziesty tego dnia wybrała numer do Trippa. Bez odpowiedzi. Ilu ludzi umrze, zanim to się skończy? Ile jeszcze ciał Alex pozostawi za sobą?

Zawahała się z telefonem w ręce. Następna rozmowa może ją ocalić albo pogrążyć.

Eitan odebrał po pierwszym dzwonku.

- Alex! Jak się masz? Widziałaś się z Reiterem?

Alex nie odrywała oczu od szklanego księżycyca.

- Dzwonię z grzeczności. Mam dość bycia twoją dziewczynką na posyłki. Będę pracować dla Linusa Reitera.

- Nie wygłupiaj się. Reiter to nic dobrego. On...

- Nie możesz go powstrzymać. Nie masz broni w swoim arsenale, która mu zagrozi.

- Mówisz o czymś bardzo poważnym, Alex.

- Powiem mu wszystko, co wiem o twojej organizacji i wszystkich twoich wspólnikach.

- Twoja matka...

- Mira jest pod jego ochroną.

Albo mogłaby być.

- Jestem w Nowym Jorku. Przyjeźdź się ze mną zobaczyć. Porozmawiamy, zawrzemy nową umowę.

Alex nie miała wątpliwości, że nie wróciłaby z tego spotkania.

- Nie żyw do mnie urazy, Eitan.

- Alex, ty...

Rozłączyła się. „W piekle pusto, bo wszystkie diabły zbiegły się na nasz statek!¹⁴” Znowu cytaty z Shakespeare’a. Jedna ze striptizerek w King King Club miała ten cytat wytatuowany nad kością łonową. Alex od miesięcy natychmiast wykonywała każde zadanie dla Eitana. Czas, żeby on zaczął się bać. Czas, żeby to on zaczął uciekać. Reiter był diabłem, którego inne diabły nie były w stanie pokonać, przed którym wzajemnie się przestrzegały.

- Coś kombinujesz, Stern - powiedział Darlington, kiedy pakowali się przed wilczym biegiem tego wieczoru. - Widzę.

- Po prostu nie wychylaj się i nie pozwól, żeby coś spróbowało mnie zabić.

- To ja muszę zapłacić tę cenę - ostrzegł ją.

- To cena Sandowa. Nie wylądowałeś w piekle dlatego, że zrobiłeś coś złego.

- Ale zrobiłem.

Alex przejrzała zawartość torby: sól, srebrne pierścionki, srebrny sztylet na wszelki wypadek.

- Możemy podyskutować o tym, gdy już będzie po wszystkim. Dawes będzie robiła notatki. Potem je oprawimy i wstawimy do biblioteki Lete. *Dajmonologia Stern*.

- *Dajmonologia Arlingtona*. Nie zamierzasz mężnie zaproponować, że zostaniesz w piekle zamiast mnie?

- Wal się.

- Brakowało mi ciebie, Stern.

- Serio?

Nie zamierzała pytać, ale słowa wyrwały jej się, zanim ugryzła się w język.

- Na ile to możliwe dla bezbożnego diabła pozbawionego ludzkich uczuć.

Prawie się roześmiała.

Nie, Alex nie zamierzała zgłosić się na ochotnika na wieczne cierpienie. Nie nadawała się na bohatera. Nie zamierzała też jednak zostawić w piekle Darlingtona. „Trzeba zapłacić piekłu jego cenę”. To tylko znaczyło, że piekło nie różni się od innych miejsc. Zawsze była cena i ktoś musiał ją zapłacić. I zawsze znalazł się ktoś, kto brał w łapę.

Kiedy wyszli z Il Bastone, żeby spotkać się z delegacją Wilczego Łba w parku Sleeping Giant, poczuła spokój, jakby nić, która ich teraz wiązała, zacisnęła się mocno, jakby żaden demon nie śmiał stawić im czoła razem.

„Będę ci służył po kres dni”. Czy to było marzenie senne czy przepowiednia? Czy Alex, tak jak jej babka, w jakiś sposób spojrziała w przyszłość, do tej chwili? Nawet gdyby tak było, nie rozumiała dzięki temu lepiej, co to znaczy. Tak samo jak nie rozumiała, co znaczą złote okowy na nadgarstkach Darlingtona czy niepokojąca pociecha, jaką dawała jej świadomość, że Darlington przybiegnie, jeśli ona tylko zawoła. Demon-dżentelmen. Stworzenie, którego bali się nawet umarli.

Z portu w New Haven wyszedł w morze

Statek zimnymi gnany wichurami.

Jego wydęte żagle były

Brzemienne dobrych ludzi pacierzami.

Modlili się pobożni starcy:

„O, Panie, któryś jest wysoko w niebie,

Jeśli chcesz zabrać naszych bliskich,

Pogrzeb ich w morzu, należą do ciebie!”.

The Phantom Ship

Henry Wadsworth Longfellow

Mój ostatni wpis w roli Wergiliusza. Myślałem, że nigdy nie będę chciał porzucić tej pozycji, ale zamiast tego łapię się na tym, że odliczam dni do chwili, kiedy będę mógł zamknąć za

sobą drzwi do Il Bastone, i nigdy więcej nie przestąpię progu tego domu. Odejdę pewny szczęśliwego losu, lecz wiem, że znowu ujrzę piekło. Jak bardzo Nownes śmiałyby się ze mnie, gdyby znał rozmiary naszego szaleństwa. Jak płakałby, gdyby poznał rozmiary naszych zbrodni. Jednak czemu piszę? Ukryję tę książkę, a w niej nasze grzechy. Żałuję tylko, że nie wierzę w Boga, bo wtedy mógłbym go błagać o miłosierdzie.

Pamiętnik Rudolpha Kittschera
z czasów w Lete (Jonathan Edwards College, '33)

Przed pierwszą w nocy Alex i Darlington wrócili na kampus, trzęsąc się z zimna. W uszach nadal im dzwoniło od wycia. Poczekali na pozostałych przy *Women's Table*. Cienie wydawały się zbyt gęste, jakby miały ciężar i kształt. Alex prawie mdlała z głodu. Potworność wszystkiego, co wprawiła w ruch, dręczyła jej myśli.

Upewniła się, że ma włączony telefon, i na wszelki wypadek wysłała ostatnią wiadomość do mamy.

„Kocham cię. Uważaj na siebie”.

Absurd, idiotyczna wiadomość od dziewczyny, która szła przez życie, jakby szarżowała przez serię szklanych tafli. Cięła się na strzępki, a potem zszywała się w całość, żeby znowu zrobić to i znowu.

„Ty też, gwiazdeczko”. Odpowiedź nadeszła szybko, jakby matka na nią czekała. Tyle że Mira bardzo długo czekała przy telefonie. Na wiadomość ze szpitala, z policji, z kostnicy.

Alex wiedziała, że powinni zaczynać, ale kiedy Dawes wpuściła ich od biblioteki, poszła najpierw na dziedziniec, żeby sprawdzić, jak się miewa Mercy.

Powietrze obok misy wydawało się chłodniejsze, jakby naprawdę zostawili otwarte drzwi i wpadał tamtędy przeciąg. Na szarym listopadowym niebie nie było widać gwiazd, lecz Alex złapała się na tym, że napawa się pogodą, słabym żółtawym światłem padającym z okien biblioteki, fakturą szarego kamienia. Piekło był próżnią, martwą i pustą, wylugowaną z koloru i życia, jakby jakiś demon karmił się światem w równym stopniu jak zamieszkującymi go duszami. Jeśli to

były jej ostatnie spojrzenia na coś prawdziwego, to chciała wszystko dobrze zapamiętać.

Pomogła Mercy założyć solną zbroję, omówiły plan. Nadal nie wiedzieli, co na nich czeka – i w tym świecie, i na dole. Mercy została uzbrojona w słowa śmierci, w pył z kości i solny miecz, jednak Alex zabrała jeszcze jeden przedmiot ze zbrojowni. Podała Mercy słoik.

– Nie otwierałabym...

Niestety Mercy już uchyliła pokrywkę. Zakrzuszyła się i pośpiesznie zamknęła słoik.

– Alex... – wykaszała. – Jaja sobie ze mnie robisz.

– Obawiam się, że nie. – Alex się zawahała. – Wampiry nie cierpią silnych zapachów. Stąd się wziął mit o czosnku. Jeszcze nie jest za późno, żeby się z tego wycofać.

Musiała zaproponować jej szansę ucieczki, bezpieczeństwa. Mercy ruszyła tą ścieżką bez wahania, ale czy naprawdę wiedziała, ku czemu zdąża w tym radosnym rozpędzie?

– Jestem przekonana, że wręcz przeciwnie.

– Nigdy nie jest za późno, żeby uciec. Zaufaj mi.

– Wiem. – Mercy spojrzała na miecz w dłoniach. – Ale takie życie jest lepsze.

– Lepsze od czego?

– Lepsze od tego, które wiodłam wcześniej. Lepsze niż świat bez magii. Myślę, że całe życie czekałam na tę chwilę, kiedy ktoś dostrzeże we mnie coś, co nie jest zwyczajne.

– Jak my wszyscy. – Alex nie potrafiła ukryć goryczy w głosie. – W taki sposób cię dopadają.

Oczy Mercy zabłyśły.

– Nie, o ile my nie dopadniemy ich pierwsi.

Może dlatego, że Mercy była taka słodka, taka bystra i taka dobra, Alex zapomniała, ile jest w niej chęci walki. Wbrew sobie pomyślała o Hellie i jaką cenę zapłaciła, wpadając na orbitę Alex. Jaką cenę

może zapłacić Mercy za przyjaźń z Alex? Niestety na takie kalkulacje było już za późno. Potrzebowała tej nocy Mercy na dziedzińcu.

- Telefon jest włączony - powiedziała, podając swoją komórkę. - Zostaw go tak.

Mercy skinęła głową.

- Jasne.

- Trzymaj się blisko misy. Nie zapomnij o balsamie. Jeśli zrobi się paskudnie, uciekaj. Znajdź pokój w bibliotece, zamknij się i zostań tam do rana.

- Rozumiem. - Mercy się zawałała. - Ale wrócisz, prawda?

Alex zmusiła się do uśmiechu.

- W taki czy inny sposób.

* * *

Kiedy metronom zaczął tykać na dziedzińcu, poczekali, aż w okolicy biblioteki zrobi się cicho. A potem przed głównym wejściem rozcięli sobie lewe ręce. Alex spojrzała na Darlingtona w ciemnym płaszczu, na Dawes w dresie i Turnera stojącego na baczność, gotowego do walki, chociaż nie był do końca pewien, czy w tej wojnie można zwyciężyć.

- W porządku - powiedziała. - Chodźmy do piekła.

Jedno po drugim umazali kolumny przy wejściu swoją krwią. Alex nagle zrobiło się niedobrze, jakby wbito jej hak w trzewia i pociągnięto do przodu; to było podobne do siły, która wlokła ją przez miasto boso do Black Elm. Weszli, przechodząc pod egipskim skrybą, i ruszyli przez zimną ciemność, przez drzwi, które już nie były drzwiami.

Wszyscy przyjęli te same tytuły, szli w tej samej kolejności. Wszyscy z wyjątkiem Trippa. Alex weszła pierwsza jako żołnierz, po niej Dawes jako uczonego, później Turner jako kapłan i na końcu Darlington

– książkę. Alex wbrew sobie pomyślała, że ten tytuł przybrał nowe znaczenie, kiedy on przejął tę rolę zamiast Trippa, i poczuła wyrzuty sumienia. Zastanawiała się, jaką rolę odgrywał Lionel Reiter, kiedy zszedł do piekła prawie sto lat temu.

Przeszli gęsiego do Alma Mater, a potem do łuków pod Drzewem Wiedzy, gdzie znowu zaznaczyli przejście swoją krwią. Poszli korytarem, minęli drzwi żołnierza i kamiennego studenta nieświadomego Śmierci, która zerka mu przez ramię. Przeszli do holu pełnego dziwnych okien, które wyglądały jak przeniesione z wiejskiego pubu.

– Jestem tylko człowiekiem – mruknął Darlington.

Alex wiedziała, że przypomina sobie, jak próbował przekazać im wskazówki dotyczące położenia Womitorium, gdy skłony do sztuczek demon walczył w nim z żywiącym nadzieję człowiekiem. Dostrzegła jednak zachwyty na jego twarzy, kiedy szli przez bibliotekę, zachwyty i zadumę. Mimo wszystkiego co się wydarzyło, nie był w stanie oprzeć się dreszczykowi tajemnic czających się za kamieniem, pozostawionych dla nich do odkrycia. Było coś pokrzepiającego w błysku w jego oczach, w ochoczych pomrukach przy cytatach i symbolach. To nadal był on, pomyślała Alex. Złoty chłopiec Lete. Może nie wyglądał dla niej zupełnie tak samo, może widział i robił rzeczy, jakie nie powinny być udziałem żadnego człowieka, ale nadal był Darlingtonem.

– Tutaj – odezwała się cicho Dawes. – Twoje drzwi.

Darlington zmarszczył brwi i skinął głową.

– Coś nie tak? – spytała Alex.

Wskazał kamieniarzkę.

– *Lux et Veritas*? Skończyły im się pomysły?

Tylko Darlington mógł mieć równie snobistyczne uwagi na temat ukrytej bramy do piekła.

Namaścili kamień ich krwią i pojawiła się czarna czeluść. Lodowaty wiatr zmierzył Darlingtonowi włosy. Alex chciała mu powiedzieć, że nie musi tego robić, że wszystko będzie dobrze, jednak pewnych kłamstw nawet ona nie była w stanie sprzedać.

- Ja... - zaczęła Dawes, ale słowa zgasły na jej ustach jak zdmuchnięta świeca.

- Znacie historię Statku Widma? - spytał Darlington. - Kiedy jeszcze New Haven było walczącą o przetrwanie kolonią, mieszkańcy zebrali się i załadowali statek najlepszymi towarami, próbkami wszystkiego, co nowy, wspaniały świat miał do zaoferowania. Ich przywódcy wypłynęli, by przekonać ludzi w Anglii, że warto zainwestować w kolonię i może nawet udać się do niej samemu.

- Dlaczego mam przecucie, że ta historia nie kończy się dobrze? - spytał Turner.

- Wątpię, żeby wymyślano takie w New Haven. Czcigodny wielbny John Davenport...

- Ten John Davenport od „ukryj wygnańców”? - spytała Alex.

- Ten sam. John Davenport powiedział: „O, Panie, któryś jest w niebie, jeśli chcesz zabrać naszych bliskich, pogrzeb ich w morzu, należą do ciebie!”

- Śmiało, utop ich? - powiedział Turner. - Budująca mowa.

- Statek nigdy nie dotarł do Anglii - opowiadał Darlington. - Cała kolonia trwała w zawieszeniu, nie mając pojęcia, co się stało z ukochanymi i całym bogactwem, jakie upchnęli w ładowniach. A potem dokładnie rok po tym, jak statek wyszedł w morze, dziwna mgła napłynęła znad morza i wszyscy dobrzy mieszkańcy New Haven zeszli do portu, gdzie z mgły wynurzył się statek.

Brzmiał zupełnie jak Anselm tamtego dnia nad wodą, gdy opowiadał o trzech sędziach. Czy Anselm udawał Darlingtona? Czy też mówienie jego językiem przyszło mu całkiem naturalnie, bo był jego demonem, żywił się jego cierpieniem?

- Wrócili? - spytała Dawes.

Darlington pokręcił głową.

- To była iluzja, masowa halucynacja. Wszyscy w porcie zobaczyli, jak statek widmo tonie na ich oczach. Maszty popękały, ludzie powypadali za burty.

- Bzdura – prychnął Turner.

- To dobrze udokumentowane wydarzenie – odparł niewzruszony Darlington. – Miasto uznało to za prawdę. Żony czekające na mężów, były teraz wdowami, które mogły ponownie wyjść za mąż. Testamenty odczytano i na nowo rozdzielono własność. Nadal nie wyjaśniono tego zjawiska, ale dla mnie znaczenie wydarzenia zawsze było oczywiste.

- Tak? – powiedział Turner.

- Pewnie – odezwała się Alex. – To miasto miało przejebane od samego początku.

Darlington uśmiechnął się na te słowa.

- Będę czekał na sygnał.

Ruszyli do następnych drzwi w biurze bibliotekarza. Kiedy Alex się obejrzała, Darlington stał otoczony przez ciemność z głową pochyloną jak w modlitwie.

Turner zajął swoje stanowisko przy drzwiach pod zegarem słonecznym.

- Zachowaj zimną krew – powiedział; te słowa wypowiedział przy poprzednim zejściu. – I nie uton.

Alex pomyślała o Trippie trzymającym się relingu na łodzi, o statku widmie, który utonął i spadł na dno morza. Spojrzała Turnerowi w oczy.

- Nie uton.

Poszła za Dawes ukrytymi drzwiami do czytelnicy Linonia.

W tej części biblioteki było ciszej, Alex słyszała każdy szmer ich butów na wykładzinie.

- Darlington uważa, że nie wróci – powiedziała Dawes.

Alex czuła jej wzrok na plecach.

- Nie pozwolę na to.

Zatrzymały się przy oryginalnym wejściu na dziedziniec, ozdobionym nazwiskiem Selina wypisanym złotymi literami.

- A co z tobą? – zapytała Dawes. – Kto zadba o ciebie?

– Nic mi nie będzie – odpowiedziała Alex zaskoczona drżeniem we własnym głosie. Wiedziała, że Dawes nie może znieść myśli o tym, że znowu straci Darlingtona, ale nie przyszło jej do głowy, że przejmuje się także tym, czy wróci Alex.

– Nie zostawię cię tam na dole – oznajmiła Dawes.

Alex to samo powiedziała Darlingtonowi. Łatwo składać obietnice w tym świecie. Dlaczego więc nie złożyć następnej?

– Wszyscy wrócimy – obiecała.

Uderzyła zakrwawioną rękę w łuk, a potem Dawes pomazała kamień swoją krwią. Drzwi zniknęły, złote litery nazwiska rozplynęły się zastąpione przez tajemniczy alfabet.

– Teraz... – Dawes wpatrywała się w napis. – Teraz mogę je odczytać.

Uczony. Jaką wiedzę Dawes przyniosła ze sobą z ich pierwszego zejścia? Jakich nowych potworności nauczy się, kiedy tym razem pokonają drogę do piekła?

– Co to znaczy? – zapytała Alex.

Dawes zacisnęła usta, pobladła.

– Żaden nie odejdzie wolno.

Alex próbowała zignorować dreszcz, jaki przeszedł ją na dźwięk tych słów. Słyszała je już wcześniej, w czasie pierwszego zejścia, kiedy zobaczyła demoniczną połowę Darlingtona, dla którego tortury były naturalnym żywiołem.

Alex się zawahała.

– Dawes... jeśli nie pójdzie nam tak, jak zaplanowaliśmy... Dzięki, że się mną zaopiekowałaś.

– Jestem niemal pewna, że kilka razy odkąd się poznałyśmy, o mały włos nie umarłaś.

– I ten mały włos właśnie się liczy.

– To mi się nie podoba – powiedziała Dawes, znowu zerkając na złote litery. – To brzmi jak pożegnanie.

Czy ja kiedykolwiek tu byłam? – zastanawiała się Alex. Czy nie umarła obok Hellie? Czy kiedykolwiek była czymś więcej niż duchem, który nawiedził to miejsce?

– Nie uton – powiedziała i zmusiła się do pójścia dalej, z powrotem do nawy, gdzie z wysiłkiem unikała patrzenia na fresk z Alma Mater. Potem skręciła w prawo, gdzie zaczynało się obejście. Nadszedł czas zamknąć pętlę.

Przyjrzała się witrażowi z jaskinią lwa Daniela. Czy tym razem ona była męczennicą? Czy też ranną bestią z cierniem w łapie? A może była po prostu żołnierzem. Nie mogła dobrać się do pierwszego rozcięcia, więc nacięła rękę jeszcze raz i pomazała szkło krwią. Zniknęło, jakby biblioteka z radością pozwalała się karmić. Teraz Alex patrzyła w pustkę.

Kiedy czekała w ciemności, wyczuwała, że coś ku nim pędzi. Chwilę potem usłyszała cichy brzęk stroika. Weszła na dziedziniec.

Tym razem była przygotowana na narastające drżenia, na pękające pod stopami kamienie, na syk i bulgot wody przelewającej się z misy, smród siarki. Przed sobą widziała maszerującego ku niej Turnera, po prawej Dawes, po lewej Darlingtona.

Spotkali się pośrodku dziedzińca, gdzie Dawes uniosła rękę, żeby ich zatrzymać. Nie chwycili się misy. Zamiast tego Darlington skinął na Mercy, która wyszła naprzód ze smukłym srebrnym wrzecionem. Pierre Tkacz. Ukłuła się w opuszek jak dziewczyna z bajki, gotowa zasnąć na sto lat. Zamiast tego srebro pękło, ukazując wewnątrz lepka białą masę. Kokon z jajeczkami.

– Czy już wspominałem, jak bardzo nie cierpię pajaków? – zapytał Turner.

Smukła nóżka przebiła kokon, potem następna, drobniutka prawie jak włos. Alex usłyszała ciche sapnięcie, a potem Mercy nabrała gwałtownie powietrza, gdy kokon pękł i fala maleńkich pajęczków przesyłała jej się przez ręce. Wrzasnęła i wypuściła wrzeciono.

– Podejdźcie – polecił Darlington, kucając. Mówił spokojnie, lecz Alex potrzebowała całej siły woli, żeby stać nieruchomo, kiedy pająki zalały ziemię niczym powiększająca się z każdą chwilą plama. Darlington położył dłoń na kamieniu i pozwolił, żeby pająki zalały mu palce. – Niech was ugryzą.

Turner spojrział na niego i mruknął coś pod nosem. Potem przykucnął i opuścił rękę, po nim Dawes i na końcu Alex zmusiła się do tego samego.

Miała ochotę krzyżeć, kiedy poczuła drobne odnóża przemykające po jej skórze. Ukąszenia nie bolały, ale widziała, że ciało puchnie w różnych miejscach.

Na szczęście pająki poruszały się szybko, przelały się na pnie drzew, rzuciły jedwabne nitki na wiatr, żeby je porwał.

Poprzedniej nocy na zmianę przędli za pomocą wrzeciona, motek pajęczego jedwabiu kładł się grudkowatą masą. Ich dzieło nie było piękne, ale liczyło się samo przędzenie, przelewanie w nie swojej uwagi i powtarzanie stale jednego zdania „Stwórz pułapkę. Stwórz pułapkę ze smutku”. W przeszłości wrzecionem posługiwano się do tworzenia zaklęć charyzmy i miłości, które wiązałyby grupy, budziły lojalność, kradły ludziom ich wolę. To była innego rodzaju więź.

Wysoko nad nimi pająki zaczęły tkąć w rytm metronomu. Mieli wrażenie, że patrzą na formującą się mgłę, miękką, bezdźwięczną rozmazaną plamę rozlewającą się z rynien i załomów dachów, aż stali pod rozległym baldachimem z pajęczego jedwabiu, pajęczyną podobną do roziskrzonego szronu, która zamieniła nocne niebo w swoistą mozaikę. Alex czuła promieniejący z niej smutek, jakby ciążył na pasmach i sprawiał, że pajęczyna ugina się pośrodku. Napełniło ją poczucie beznadziei.

– Po prostu postarajcie się to przetrzymać – powiedział Turner, ale sam przyciskał ręce do skroni, jakby chciał z niej wycisnąć smutek.

Gdzieś w bibliotece rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Mercy wyciągnęła solny miecz.

- Idą - powiedziała Dawes. - Nie...

Przerwał jej brzęk tłuczonego szkła.

- Nie! - krzyknęła Dawes.

- Witraż... - zaczął Darlington.

Demony miały to w nosie. Przyciągał je sygnał całkowitego braku nadziei i myślały tylko o tym, żeby się pożywić.

- Ręce na misę! - krzyknęła Alex. - Na trzy!

Alex widziała, że demony pędzą ku nim. Nie będzie czasu na ostatnie słowa czułych pożegnań. Odliczyła szybko.

Jednocześnie złapali się krawędzi fontanny.

Alex próbowała przygotować się na upadek, szarpiące nią palce, duszące ją, ciągnące w dół, ale tym razem wpadła plecami do wody.

Morze było ciepłe i kiedy obce ręce się nie pojawiły, otworzyła oczy. Zobaczyła przepływające obok niej bąbelki powietrza i zobaczyła pozostałych: ciemny płaszcz Darlingtona unoszący się za nim, Turner z rękami ciasno złożonymi przy ciele, rude włosy Dawes jak wojenna chorągiew.

Dostrzegła światło przed sobą i spróbowała ku niemu popłynąć. Poczula, że się unosi. Jej głowa wynurzyła się nad powierzchnię. Alex nabrała gwałtownie powietrza. Niebo nad jej głową było płaskie i jasne, miało ponury odcień pustki. Przed sobą zobaczyła pasmo, które mogło być plażą. Za nią wał ciemnych chmur zakrywał horyzont.

Gdzie byli pozostali? Morze było wręcz nieprzyjemnie gorące, a woda pachniała niewłaściwie, metalicznie. Nie chciała zobaczyć czegoś z łuskami i kłapiącą paszczą, co sunęłoby ku niej falistym ruchem.

Popłynęła do brzegu. Jej ruchy były pozbawione wdzięku. Nigdy nie była dobrym pływakiem, ale prąd popychał ją ku lądowi. Dopiero kiedy dotknęła nogami dna, kiedy mogła stanąć, naprawdę przyjrzała się wodzie. Miała od niej zaczerwienioną skórę. Płynęła w morzu krwi.

Żołądek jej się szarpnął. Złożyła się w pół i zwymiotowała. Ile połknęła tej krwi?

Kiedy jednak spojrzała po sobie, krew zniknęła, a ubranie miała suche. Zerknęła na horyzont i zobaczyła, że morze też zniknęło. Stała

na chodniku przed jej starym mieszkaniem, Strefą Zero. Miała w rękach plastikowe torby na zakupy.

Ogarnęły ją potworne zawroty głowy, prawdziwe życie oddalało się, rozpadało się jak sen – Darlington, Dawes i cała reszta. Zwykle marzenia na jawie. Rozmyślała, wymyślała sobie historyjki, ale szczegóły już się zamazywały. Oto było prawdziwe życie. Schody z otoczek. Dudnienie basu dobiegające zza cudzych drzwi, huk i wystrzały dochodzące ich mieszkania, gdzie ktoś grał w *Halo*.

Alex nie miała ochoty wracać do domu. Nigdy nie chciała wracać do domu. Lubiła ociągać się w supermarkecie, żeglować czystymi alejkami z jednym z tych wielkich koszyków, chociaż nigdy go nie napełniała, słuchać okropnej muzyki, jaką tam puszczali. Lubiła nawet gęsią skórkę z powodu klimatyzacji. Jednak ostatecznie nie dało się uniknąć powrotu na parking, żaru i pary bijącej z asfaltu, gdzie wiskała się do małej ciasnej hondy civic, jeśli miała szczęście, a jeżeli Len postanowił tego dnia zachować się jak dupek, to musiała poczekać na autobus.

Teraz weszła po schodach z torbami pełnymi doritos, mielonki i wielkich pudełek płatków śniadaniowych, które znalazła na wyprzedazy, i pchnęła frontowe drzwi. Było lepiej, kiedy Hellie z nią wychodziła, ale Hellie miała dzisiaj zły nastrój, była zmęczona i zrzędliva, odpowiadała Alex monosylabami, myślami błądziła gdzie indziej.

W jakimś lepszym miejscu. Hellie miała kiedyś inne życie niż oni. Miała prawdziwych rodziców. Prawdziwe szkoły. Prawdziwy dom z podwórzem na tyłach i basenem. Hellie była tu na wakacjach. Wsiadła do niewłaściwego pociągu i wylądowała na fatalnej wycieczce szkolnej, a teraz starała się wykorzystać ten czas najlepiej, jak się da. Alex rozumiała jednak, że pewnego dnia obudzi się, a Hellie już tu nie będzie. Skończy z nimi. Alex życzyła tego Hellie, gdy miała lepsze dni. Nie było jednak łatwo żyć ze świadomością, że Hellie uważa się pewnie za zbyt dobrą na to kruche życie, które Alex pozbijała dla nich z delikatnej balsy. Schronienie, jedzenie, trawka, przyjaciele, którzy

nie zawsze zachowywali się jak przyjaciele. Nie było jej na nic lepszego stać, ale Hellie to co innego.

Alex pchnęła drzwi biodrem i weszła do mieszkania. Zapach trawki wisiał ciężką chmurą, powietrze było ciemne od dymu. Hałas telewizora był ogłuszający, niekończący się huk *Halo*. Len, Betcha i Cam pokrzykiwali na siebie na kanapie. Pit bull Betchy, Loki, spał u jego stóp. Paczka chipsów leżała otwarta na stoliku obok niebieskiej fajki wodnej, wałała się tam pusta dilerka i waporyzator Lena. Hellie zwinęła się w kłębek na dużym okrągłym fotelu z przeszywaną poduchą. Miała na sobie długi T-shirt i bieliznę, jakby nawet nie chciało jej się ubrać, tylko wyturlała się z łóżka. Gapiła się na telewizor apatycznie i nawet nie zerknęła, kiedy Alex zaczęła wyładowywać zakupy w kuchni.

Alex wyjmowała właśnie słoik Ragú, kiedy zobaczyła zakrwawioną masę futra w pobliżu przesuwanych drzwi na balkon. Słoik wypadł jej z rąk i roztrzaskał się na linoleum,

– Co jest z tobą, do kurwy nędzy? – wrzasnął Len, przekrzykując odgłosy gry.

To nie mogła być prawda. Miały zwidy. Coś źle zrozumiała.

Alex wiedziała, że powinna przejść korytarzem i sprawdzić klatkę, ale nie mogła zmusić nóg do ruchu. Kawałek szkła wbił jej się w bok stopy, miała pomidorowy sos na japonkach. Zsunęła je, wyjęła szkło, zmusiła do zrobienia jednego kroku, potem drugiego, poczuła pod stopami szorstkość dywanu. Nikt nie odwrócił się za nią, gdy przeszła, a ją ogarnęło upiorne wrażenie, że w ogóle nie weszła do mieszkania.

W korytarzu było cicho. Nigdy nie powiesili reprodukcji czy zdjęć na ścianach, z wyjątkiem plakatu Green Day, który przykleili po tym, jak ktoś wybił pięścią dziurę w ścianie podczas imprezy.

Sypialnia wyglądała tak jak zawsze. Poobijany stary stolik pod telewizor, który wypełniła tanimi czytałkami, głównie fantastyką naukową i fantasy. Anne McCaffrey, Heilein, Asimov. Materac na podłodze, stare pogniecione niebiesko-czerwone prześcieradło. Czasem

to ona z Lenem tu spali, czasem cała ich trójka, czasem tylko ona i Hellie. To były najlepsze chwile. Przy parapecie stała klatka Królika Przytulika. Była pusta. Drzwi były otwarte.

Alex stała z plecami przyciśniętymi do ściany. Miała wrażenie, że pękła w środku. Ona i Hellie kupiły małego królika baranka w punkcie adopcyjnym przed supermarketem Ralphs. Skłamały, wypełniając podanie na temat tego, gdzie mieszkają, ile zarabiają... wszystkiego. Jednak kiedy Alex wzięła na ręce miękkie białe stworzonko, niczego bardziej nie pragnęła. Przyniosły go do domu, a Len tylko przewrócił oczami i powiedział: „Nie chcę tu żadnych smrodów. Nie będę mieszkać w gównie”.

Alex kuśiło, żeby mu powiedzieć, że ma dla niego złą wiadomość, ale tak się ucieszyła, że nie wpadł w szal, że tylko pobiegły z Hellie pośpiesznie do pokoju i zamknęły za sobą drzwi. Przez cały dzień bawiły się z królikiem. Niewiele potrafił. Jednak gdy czuła, jak serce bije mu spokojnie, bo trzyma go w rękach, świadomość, że jest żywym stworzeniem, które jej ufa, sprawiała, że Alex czuła się o wiele lepiej.

Zaczęły nazywać go Królik Przytulik, bo nie wymyśliły dla niego prawdziwego imienia i tak już zostało.

– Wygląda jak przynęta – rzucił ze śmiechem Betcha.

– Najtańszy sposób, żeby suka była zadowolona – odparł Len. Wkurzał się, kiedy rozmawiały o króliku albo do niego gruchały. – To lepsze niż zrobienie któregoś bachora.

Przynęta.

Alex przeszła korytarzem. Nic się nie zmieniło. Nikt się nie poruszył. Stała się widmem. Stos futra i krwi leżał nieruchomo na dywanie. Teraz nie dało się tego z niczym pomylić – do tego stopnia, że zaczęła się przyglądać, naprawdę patrzeć. Małe martwe ciało. Loki miał krew na pysku.

– Co się stało? – spytała.

Nikt jej nie słyszał.

- Hellie?

Hellie odwróciła powoli głowę, jakby to był ogromny wysiłek. Wzruszała złotymi ramionami. Zawsze wyglądała jak muśnięty słońcem skarb, coś cennego. Nawet teraz, gdy leżała bezwładnie, patrzyła tępo i wymamrotała obojętnie:

- Chcieliśmy zobaczyć, czy będzie się bawił z Lokim.

Alex przyklękła obok drobnego ciała. Królik był rozerwany, nie zostało w jego środku prawie nic. Futerko nadal było miękkie w miejscach, gdzie nie kleiło się od krwi. Alex uwielbiała głaskać go po uszach kciukiem. Teraz były pokiereszowane, chrząstka odsłonięta w postaci włóknistych linii. Jedyne różowe oko, jakie się zachowało, patrzyło w pustkę.

- Nie rób scen z tego powodu - powiedział Len. - To był wypadek.

Betcha miał wyrzuty sumienia.

- Nie sądziliśmy, że Loki się tak podnieci - tłumaczył się.

- To pies - odpowiedziała Alex. - Myśleliście, że co, kurwa, z nim zrobi?

- Nic na to nie mógł poradzić.

- Wiem. Wiem, że nie mógł - odpowiedziała Alex.

Nie winiła Lokiego.

Wzięła szczątki Królika Przytulika i poszła do kuchni. Wytarła japonki i zgarnęła szkło i sos w kąt.

- Dajże spokój - zachnął się Len. - Króliki to szkodniki. Praktycznie płaczesz z powodu szczura.

Alex nie płakała. Na razie. Nie chciała tu płakać. Wzięła bez pytania kluczyki Lena z blatu. Później za to zapłaci.

Włożyła resztki ciała królika do strunówki i poszła do hondy. Miała nadzieję, że Hellie ruszy się za nią. Przez całą drogę po schodach, przez suchy trawnik, chodnik, ulicę miała nadzieję. Siedziała na miejscu kierowcy przez długi czas, nadal mając nadzieję.

A potem wreszcie obróciła kluczyk i pojechała. Pojechała 405-tką przez dolinę, minęła galerię handlową i Castle Park z klatkami dla pałkarzy i wjechała na wzgórze. Tak zawsze nazywali to miejsce – „wzgórze”. Alex nawet nie знаła nazwy pasma, które przemierzała, wiedziała tylko, że oddziela dolinę San Fernando od zachodniej części Los Angeles. Można stanąć na Mulholland, patrzeć na zachód, w stronę baśniowego oceanu, muzeów i rezydencji. Albo na wschód, na dolinę i nagrodę pocieszenia w postaci smogu i tanich mieszkań. Kalifornijskie marzenie dla ludzi, których nie stać na Beverly Hills, Bel Air albo Malibu.

Zjechała ze Skirball i zaczęła wspinać się krętą drogą Mulholland Drive na wzgórze. Nie wiedziała, dokąd tak naprawdę jedzie. Chciała tylko znaleźć się gdzieś wysoko.

Dopiero kiedy zaparkowała na dużym parkingu obok kościoła i zapatrzyła się na mglistą miśnię miasta z małym zawiniętym w plastik ciałem w dłoniach, rozpląkała się. Ryczała głośno, ale słyszały ją tylko dęby i cierniste krzewy. Nie zamierzała tutaj pochować Królika Przytulika. Potrzebowała jednak znaleźć się w jakimś pięknym, czystym miejscu, gdzie nie potknęłaby się o żadną historię.

Alex nie potrafiła powiedzieć, co czuje. Wiedziała tylko, że nigdy nie powinna była przynosić Królika Przytulika do domu. Kiedy Hellie wskazała go w klatce, nie powinna była go brać do rąk, nie powinna była przytulać jego drobnego ciała do serca. Powinien trafić do jakiegoś dzieciaka w Encino, który nadałby mu prawdziwe imię, który zabrałby go do szkoły na lekcję z cyklu „pokaż i opowiedz”, który zadbałby o jego bezpieczeństwo. Alex okradała matkę. Kłamała, oszukiwała i łamała prawo. Wiedziała jednak, że przyniesienie Królika Przytulika do domu było najgorszą zbrodnią, najbardziej egoistyczną rzeczą, jakiej się dopuściła. W jej życiu nie było miejsca na nic dobrego.

Patrzyła, jak słońce zachodzi, jak światła zapalają się w dolinie.

– Mogłabyś pójść, dokąd zechcesz – powiedziała w nocne powietrze.

Ale nie poszła. Nigdy nie odeszła.

Otarła łzy, przeszła przez drogę i pochowała Królika Przytulika na ładnym, zadbanym placu obok bramy prywatnej szkoły. Wyjęła go z plastikowej torby, żeby jego ciało mogło się rozłożyć i nakarmić korzenie żywopłotu.

Pomyślała, czy nie położyć się na środku Mulholland, dokładnie na białej przerywanej linii, która dzieliła drogę jak kręgosłup. Pomyślała o jakiejś matce wracającej do domu z dziećmi na tylnym siedzeniu i co zobaczyłaby w przednich światłach na moment przed uderzeniem. Złapała się na tym, że szybuje nad chodnikiem, pustką kratą parkingu, a honda stoi z włączonym silnikiem i wciąż otwartymi drzwiami po stronie kierowcy. Dryfowała nad chaparralem, szafwią i starymi dębami, nad domami wbudowanymi w zbocze, nieustraszonymi na swoich podporach, i z basenami jarzącymi się o zmierzchu. Wzbijała się coraz wyżej, światła malały, rozciągał się pod nią ogród barwnych kwiatów schludnie posadzonych na rabatach.

Jak długo tam siedziała, oderwana i bezpieczna od uczuć? W pewnym momencie słońce zaczęło wstawać, przyćmiewając gwiazdy różową poświatą. Niestety nie poznawała miasta w dole, nie rozumiała go. Czula zapach jesiennych liści i deszczu, mineralny zapaszek mokrego betonu. Widziała otwarty park, przecinające go ścieżki tworzyły kształt gwiazdy, trzy kościoły z iglicami wyglądały jak piorunochrony szukające burzy. Trawa była zielona, niebo szare i delikatne z powodu chmur, czerwone i złote liście szeleściły na gałęziach.

Wiatr wzdychał wśród drzew, niosąc zapach jabłek i świeżego chleba, wszystkiego dobrego, czego można pragnąć. Każda powierzchnia, każdy kamień jarzył się delikatnym światłem.

Widziała postaci nadchodzące z różnych krańców parku... Nie, błoni. Znała to miejsce. Znowu śniła czy właśnie się obudziła? Znała

tych ludzi, znalazła ich imiona we wspomnieniach. Dawes, Turner, Darlington. Tripp nie dożył, to jej wina. To też sobie przypomniała.

Kiedy się zbliżyli, Alex zauważyła, że ich stroje pielgrzymów zmieniły się. Dawes nadal miała na sobie szatę uczonego, ale teraz świeciła się złotem jak oczy lori. Peleryna z piór Turnera była przetykana miedzianymi dębowymi liśćmi. Biała zbroja księcia bardziej pasowała Darlingtonowi niż Trippowi, ale on miał także rogaty hełm. A Alex? Wyciągnęła ręce. Jej stalowe karwasze były ozdobione węzami.

Wiedziała, dokąd powinni pójść. Z powrotem do sadu. Z powrotem do biblioteki.

Powoli ruszyli ulicą, która była kiedyś Elm Street, minęli Hopper College i Berkeley College. Nie towarzyszyło im teraz wrażenie czegoś złowieszczo, Yale nie zostało pozbawione piękna. Zamiast tego wyglądało tak, jakby uniwersytet został namalowany przez pacykarza, jak scenka z kuli ze sztucznym śniegiem, baśniowy college. Widziała jedzących, gawędzących i roześmianych ludzi w bursztynowym świetle wylewającym się przez grube gomółki szybek jadalni. Wiedziała, że gdyby postanowiła wejść do jednej, byłaby tam mile widziana.

Biblioteka nie wyglądała już jak biblioteka ani jak katedra albo sad. Wznosiła się niczym lśniącą srebrną iglicą, niemożliwy zamek, budowla z powietrza i światła. Alex spojrzała Darlingtonowi w oczy. To były obiecane im miejsca. Uniwersytet pełen spokoju i obfitości. Magia z baśni, która oczekiwała tylko życzenia, a nie krwi i ofiar. Powierzchnia *Women's Table* lśniła jak lustro, a w nim Alex zobaczyła Mercy krążącą w tę i z powrotem.

– Czy my... Czy jesteśmy w niebie? – szepnęła Dawes.

Turner pokręcił głową.

– To nie jest niebo, o którym ja wiem.

– Nie zapominajcie, że demony żywią się radością, tak samo jak bólem i smutkiem – przestrzegł ich Darlington.

Drzwi do pałacu otworzyły się i z wnętrza wynurzyło się stworzenie. Musiało mieć z osiem stóp wzrostu i miało białą króliczą głowę,

ale ciało należało do mężczyzny. Między jego uszami płonęła czerwienią ognista korona. Był nagi jak Darlington w złotym kręgu, ale symbole na jego ciele jarzyły się czerwono jak węgielki.

- Anselm - powiedziała Alex.

Królik się roześmiał.

- Nazywaj mnie prawdziwym imieniem, Wędrowcze Koła.

- Dupek? - zaryzykowała Alex.

Stworzenie zmieniło się i znowu wyglądało jak Anselm, jak ubrany człowiek. Tym razem nie nosił garnituru, tylko zwykły weekendowy strój w najlepszym wydaniu: dżinsy, kaszmirowy sweter, drogi zegarek na nadgarstku. Ilustracja swobody i zamożności. Darlington bez Black Elm. Darlington bez duszy.

- Przyjemnie mi się patrzyło, jak Darlington cię zabija.

Anselm uśmiechnął się szeroko.

- To było śmiertelne ciało. Słabe i nietrwałe. Nie mogę zostać zabity, ponieważ nie jestem żywy. Ale będę.

Alex zobaczyła smycz w jego rękach. Kiedy za nią pociągnął, trzy stworzenia wyszły na czworakach. Ich blade ciała były wychudzone, kości klekotały, ledwie trzymając się razem dzięki ścięgnom. Alex nie do końca potrafiła się zorientować, czy to ludzie, a potem zaczęły docierać do niej różne detale: jedno było starsze, z obwisłym ciałem, siwymi włosami krótko obciętych, drugie młode i kruche, z kępkami loków, jego wychudłe rysy prześladowało wspomnienie urody; trzecie było kobietą o skurczonych piersiach, z ranami wokół ust, żółtymi włosami pozlepianymi w strąki.

Carmichael, Blake i Hellie. Na szyjach nosili złote jarzma, takie same jak to, które miał Darlington, a do każdego doczepiono złoty łańcuch, który trzymał Anselm.

Jak niegroźnie wyglądali, przestraszeni, ale to też były demony.

- Żałosne ogary - powiedział Anselm. - Będą zdychać z głodu, zanim pożywią się cierpieniem umarłych. Albo do chwili, kiedy

znowu przejdą przez bramę, żeby ponownie was ścigać. A wtedy nażrą się do pełna i zaczną karmić się waszymi przyjaciółmi i towarzyszami. To jest marzenie demonów. Kraina obfitości. Z radością ją im ofiaruję. – Urwał i uśmiechnął się z łagodnym, błogim wyrazem twarzy w stylu Jezusa na kratce urodzinowej. – Chyba że zapłacicie cenę wymaganą przez piekło. Dusza Daniela Arlingtona zgodnie z prawem należy do piekła. Jest jednym z nas i musi tu służyć przez wieczność.

– Jestem gotowy – odparł Darlington.

– Na miłość boską, spróbuj chociaż ponegocjować – zaprotestował Turner.

– Nie ma czego negocjować – powiedziała Dawes. – To nie jest jego miejsce.

Anselm skinął potakująco głową.

– To prawda. Cuchnie dobrocią. Inaczej niż niektórzy z was.

– Nie musisz owijać w bawełnę – powiedziała Alex. – Wszyscy wiedzą, że mówisz o mnie.

Zęby Anselma były białe i równe.

– Słyszałaś ich serca. Widziałas ich oczami. Wszyscy są przeżarci poczuciem winy, wstydu, ale nie ty, Wędrowcze Koła. Ty tylko żałujesz dziewczyny, której nie uratowałaś, a nie mężczyzn, których zamordowałaś. Bardziej w swoim sercu żałujesz martwego królika niż wszystkich tych chłopców, z których zostawiłaś miazgę.

To była prawda. Alex wiedziała to od początku. To samo właściwie powiedziała Mercy poprzedniej nocy.

– Nie – odezwała się Dawes. Przecięła ręką powietrze. – Nie zgadzam się na żadną z tych rzeczy. Nie możesz mieć Alex. Ani Darlingtona. Nikt tu nie zostanie.

„Żaden nie odejdzie wolno”. Alex poczuła ból w gardle. Odważna Dawes, która chciała tylko, żeby jej rodzina pozostała cała. Alex cieszyła się, że jest częścią tej rodziny. Nawet jeśli to nie mogło przetrwać.

- Byłaś dostatecznie odważna, ale to nie twoja bitwa – odezwała się Alex.

- To nie jest także miejsce dla ciebie. Bez względu na to, co... co mówi ten stwór.

- Masz w sobie tak dużo pewności, uczona – odezwał się Anselm. – Ale Womitorium zbudowano w taki sposób, żeby ją sprowadzić. Krwawa latarnia morska, ogień sygnalizacyjny.

Alex zachowała beznamiętną twarz, ale zerknęła na Mercy w odbiciu. O czym Anselm mówił? To jakaś nowa sztuczka, żeby ich zatrzymać, nowa strategia?

- Walczyłeś, żeby nie dopuścić mnie do piekła – odezwała się. – Żeby nie dopuścić nas wszystkich.

Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby zapobiec odnalezieniu przez nich Womitorium i uratowaniu Darlingtona.

- Nie rozumiałem, czym jesteś, Wędrowcze Koła. Och, rozumiałem, dlaczego jesteś pociągająca. Ciekawa zabawka, zbiór salonowych sztuczek, nieskończona wytrzymałość na ból. Jednak nie dostrzegałem prawdy. Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób uciekłaś moim wilkom. Dopóki nie wzięłaś jego duszy w swoje ciało.

- On kłamie – powiedziała Dawes.

Turner pokręcił głową. On zawsze spostrzegał różnicę, nawet w podziemnym świecie.

- Nie kłamie.

- Wiecie, że nie jesteście pierwszymi pielgrzymami, którzy przeszli tę ścieżkę – powiedział Anselm.

Wtedy Alex zrozumiała, dlaczego Womitorium i ci, którzy osmielili się je przebyć, zostali usunięci z ksiąg, dlaczego dopilnowano, żeby nikt nie wiedział o nadzwyczajnej bramie wbudowanej w mury biblioteki. Po raz pierwszy, odkąd Darlington wrócił, Alex poczuła, że powraca do niej prawdziwy strach.

- Zawarli umowę, prawda? – zapytała.

Anselm mrugnął porozumiewawczo.

- Jedyna rzecz, jaką demon kocha bardziej od zagadek, to umowa.

Ogary Anselma zamiauczały, jakby wyczuwały jego radość. Stwór o wymizerowanej twarzy Blake'a przycisnął głowę do jego nogi.

- Co ty wygadujesz? - zapytał ostro Turner.

Anselm przecesał palcami włosy Nie-Blake'a.

- Mężczyźni Yale wybudowali Womitorium i nazwali swoją podróż wyprawą badawczą. Ale wyprawa to inna nazwa dla podboju i jak wszyscy podróżnicy, kiedy już zobaczyli bogactwa, które mogliby zdobyć, nie widzieli powodu, żeby wracać z pustymi rękami.

- To powtórka z Fausta - powiedział Darlington.

Anselm mruknął.

- Tyle że Faust sam zapłacił za swoje grzechy. W przeciwieństwie do waszych pielgrzymów. Zagarnęli pieniądze, sławę, talent, wpływy. Dla siebie i dla swoich stowarzyszeń. Zostawili po prostu komuś innemu zapłacenie rachunku.

Czaszka i Kości. Księga i Wąż. Zwój i Klucz. Alex pomyślała o pieniądzach, jakie przepływały przez ich kufry. O darowiznach dla uniwersytetu. Wszystko to kupiono za cenę cierpienia przyszłych pokoleń. A Lete na to pozwoliło. Mogli zbadać pochodzenie stołu schowanego w piwnicy Muzeum Peabody'ego. Mogli przynajmniej naciskać na zamknięcie Manuskryptu po tym, co przydarzyło się Mercy, albo dobrać się do skóry stowarzyszeniu Zwoju i Klucza, po tym, co stało się z Tarą. Niczego takiego nie zrobili. Zbyt ważne było to, żeby udobrucać absolwentów, żeby magia pozostała żywa bez względu na to, kto wpadł w jej tryby.

- O Boże - powiedziała Dawes. - To dlatego usunęli wszelkie ślady podróży. Żeby ukryć umowę, którą zawarli.

- Womitorium to nie była zabawa - powiedział Darlington. - To nie był eksperyment. To była ofiara.

- I to doskonała - potwierdził Anselm. - Odeszli z bogactwem i władzą, z zasobami w postaci starożytnej wiedzy i ze sprzyjającą fortuną, a zostawili po sobie Womitorium oznaczone ich krwią, żeby przyzywało.

- Wieża - szepnęła Dawes.

- Żeby co przyzywało? - zapytał Turner z ponurą miną.

- Wędrowca Koła - odpowiedział cicho Darlington.

- Nie rozumiałem naprawdę, czym byłaś, Galaxy Stern, dopóki nie przeszedłaś przez krąg ochronny w Black Elm. Dopóki nie ukradłaś tego, co zgodnie z prawem należało do nas. Nie mieliśmy pojęcia, że przyjdzie nam tak długo czekać na kogoś z twojego rodzaju.

Teraz Alex się roześmiała, ale bez śladu wesołości.

- Daisy stanęła wam na przeszkodzie.

Daisy Whitlock była Wędrowcem Koła i utrzymywała się przy życiu, udając profesor Marguerite Belbalm i pożerając dusze młodych kobiet. Wołała żerować na swoim rodzaju, na Wędrowcach Koła takich jak ona sama, których z niewiadomych przyczyn New Haven przyciągało. To była sprawka Womitorium.

- To nie miało znaczenia, że zbudowaliście Womitorium, żeby przyciągało Wędrowczynię Koła, bo za każdym razem, gdy ktoś taki się tu zjawiał, Daisy ją zjadała - powiedziała Alex.

- Jednak nie ciebie, Galaxy Stern. Przetrwałaś i przyszedłaś do nas, tak jak to było pisane od zawsze. To twoja obecność w piekle sprawi, że drzwi pozostaną otwarte, a ty nie opuścisz tego miejsca. Jesteście nam winni jednego zabójcę. Trzeba zapłacić piekłu jego cenę.

- Nie - odpowiedział Darlington. - To ja mam tu służyć.

- To musi być Darlington - wtrącił się Turner. - Nie przeszedłem tu po to, żeby zawrzeć umowę z diabłem, ale jeśli Alex zostanie, powiedział, że drzwi pozostaną otwarte. To znaczy, że demony będą wychodzić i wracać, żerować na żywych zamiast na umarłych. Nie możemy na to pozwolić.

Anselm się uśmiechał.

- Zostań - powiedział do Alex. - Zostań, a twój demon małżonek powróci do świata żywych nieskażony. Zostań, a twoi przyjaciele wrócą wolni. Twoją matkę będzie chronić armia samych piekieł. - Odwrócił się do pozostałych. - Rozumiecie, czego mogę dokonać? Co oznacza przysługa demona? Wszystko może być wasze. Możecie odzyskać to, co straciliście.

Alex przełknęła falę mdłości, kiedy zmienił się obraz przed jej oczami. Siedziała u szczytu stołu podczas proszonej kolacji, światło świec odbijało się od naczyń, utwór na wiolonczelę rozbrzmiewał cicho w tle ściszonych rozmów. Mężczyzna na drugim końcu stołu uniósł kieliszek. Oczy mu błyszczały.

- Zdrowie profesor.

Potrzebowała sekundy, by zrozumieć, że tam siedzi Darlington.

- Za etat - dodała kobieta na prawo od niej i wszyscy się roześmiali. Alex. Starsza teraz, może mądrzejsza. Uśmiechała się.

Pam odwróciła się i zobaczyła swoją twarz w lustrze. Była sobą, ale i nie sobą - była pewna siebie, rozluźniona, nosiła rude włosy rozpuszczone, opadały jej na plecy. Wszyscy byli teraz spokojni. Wstana rano, wezmą prysznic, wybiorą strój na ten dzień i zdecydują, czym się potem się zająć. Poruszała się po świecie z gracją. Przygotowała ten posiłek dla swoich gości. Opublikowała swoje prace. Mogła uczyć. Każdy dzień mógł być taki jak ten - seria osiągniętych celów zamiast niekończącej się pętli niezdecydowania. Możliwości zostały bezlitośnie przycięte, aż została jedna, oczywista ścieżka.

Wypiła spory łyk z kieliszka. Wszystko układa się doskonale.

* * *

– Dobrze się sprawiłeś – powiedziała Esau.

Turner objął brata ramieniem.

– To my dobrze się sprawiliśmy – poprawił go. – A zrobimy jeszcze więcej.

Stali w Jocelyn Square Park i patrzyli na wiwatujący tłum. To dla niego wiwatowali, dziękowali za pracę, jaką zapewnił ludziom w mieście, za stworzenie dla nich nowej przyszłości.

Uniół rękę nad głowę, wymachując pięścią. Jego matka płakała z radości. Obok niej stał jego żywy ojciec. Otaczali go ludzie. Nie był już szkolnym dyżurnym. Był bohaterem, królem, cholernym senatorem. Mógł ich kochać i w zamian otrzymywał ich miłość. Jego żona stała na lewo od niego i uśmiechała się promiennie. Zauważyła, że patrzy na nią, i spojrzenie, jakie wymienili, mówiło wszystko. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak ciężko pracował, ile poświęcił, żeby dojść do tej chwili.

Nie było już żadnych tajemnic, żadnych potworów poza tymi, z którymi jadał lunch w DC. Odpocznie chwilę. Pojadą do Miami albo zafundują sobie wyjazd na Karaiby. Nadrobi każdą chwilę nieobecności lub nieuwagi, kiedy podążał ku swoim celom.

– Udało nam się – szepnęła mu do ucha.

Przyciągnął ją do siebie. Wszystko układa się doskonale.

* * *

Darlington siedział w biurze w Black Elm i patrzył na rabaty bujnie porośnięte kwiatami i na schludnie przycięty labirynt z żywopłotu. Jak zawsze dom był pełen ludzi, przyjaciół, którzy przyjechali z wizytą, uczonych, którzy zatrzymali się tutaj, żeby skorzystać z jego rozległej biblioteki albo urządzić seminarium. Słyszał śmiech unoszący się w korytarzach, ożywione rozmowy gdzieś w kuchni.

Wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Wystarczyło, żeby dotknął książki, a już ogarniał jej zawartość. Mógł wziąć do ręki filiżankę i znał historię każdego, kto kiedykolwiek ją trzymał. Odwiedzał podróżników i mistyków na łożu śmierci, trzymał ich za rękę, łagodził ból. Widział ich życie, absorbował ich wiedzę poprzez dotyk. Tajemnice tego świata i następnego zostały przed nim odsłonięte, i to nie dzięki jakiemuś rytuałowi, ani nawet nie dzięki rygorystycznym studiom wiedzy tajemnej, ale dzięki magii, która płynęła w jego krwi. Prawie porzucił nadzieję, marzenia z dzieciństwa, ale ona była w nim od początku, tajemna moc, która tylko czekała na przebudzenie.

Widział Alex w ogrodzie, ptak o czarnych skrzydłach, noc gromadziła się wokół niej jak jedwabny całun przeszywany gwiazdami. Jego straszliwa królowa, łagodna władczyni. Wiedział, czym była teraz.

Powrócił do pisania.

Wszystko układa się doskonale.

* * *

Alex stała przed świeżo pomalowanym bungalowem – biały tynk z niebieskimi wykończeniem. Na werandzie wisiały wiatrowe dzwonki. Kamienny Budda zasiadał w ogrodzie bujnie porośniętym lawendą i szałwią. Jej matka sączyła herbatę na kozetce zasypanej kolorowymi poduszkami. To był jej dom – prawdziwy dom, a nie samotne mieszkanie z balkonem z widokiem na ścianę drugiego samotnego mieszkania. Mira wstała, przeciągnęła się i weszła do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Alex popłynęła za nią.

Dom był schludny, przytulny, na półce nad kominkiem leżało mnóstwo kryształów. Matka opłukała kubek w zlewie. Ktoś zapukał. W progu stała blondynka ze zrolowaną matą do jogi przewieszoną przez ramię. Wyglądała znajomo, chociaż Alex nie do końca wiedziała, skąd miałby ją znać.

– Gotowa? – zapytała kobieta.

- Prawie - odpowiedziała Mira.

Nie widziały Alex.

- Masz coś przeciwko, jeśli dołączy do nas moja córka? Przyjechała ze szkoły.

Hellie stała za kobietą w drzwiach. Jednak nie taka Hellie, jaką znała Alex. Wyglądała na odważną, całkowicie pewną siebie, ręce miała szczupłe i umięśnione, jasne włosy związane w schludny kucyk.

- To miejsce jest takie urocze - powiedziała z uśmiechem.

Alex patrzyła, jak Hellie i jej matka kręcą się po salonie, czekając, aż Mira przebierze się i weźmie swoją matę.

- To jej córka - wyjaśniła matka Hellie, wskazując fotografię, na którą Hellie zerkała. Zdjęcie Alex w dżinsowej kurtce, opartej o ich starą toyotę corolla, prawie bez uśmiechu.

- Ładna - powiedziała Hellie.

- Nie była zbyt szczęśliwą dziewczyną, zmarła kilka lat temu. Miała raptem siedemnaście lat. Przedawkowała.

Zmarła.

Przed zdjęciem postawiono kadzidełka, białe pióro z koniuszkiem unurzany w czerni. Kolejne zdjęcie stało za fotografią Alex. Młody mężczyzna o kręconych czarnych włosach, opadających na opaloną twarz. Stał na plaży z ręką na opartej obok niej desce surfingowej. Miał wisiołek na szyi, jednak Alex nie widziała go za dobrze.

- To takie smutne - powiedziała Hellie. Podeszła do talii kart tarota na stoliku. - Rety, Mira czyta z tarota?

Wzięła kartę z wierzchu talii. Koło.

Po raz pierwszy Alex poczuła coś innego niż miłość i żal wzbierający w niej na widok Hellie, idealnej Hellie o oczach jak ocean.

- Nie powinnaś była pozwolić, żeby zabili Królika Przytulika - powiedziała. - Ja bym na to nie pozwoliła.

Alex patrzyła, jak Koło się obraca, płonie niebieskim ogniem, który pożera najpierw kartę, a potem rękę Hellie, samą Hellie, jej

matkę, pokój, dom. Cały świat pochłonięty przez niebieski ogień. Wszystko układa się doskonale.

Stała na stopniach Biblioteki Sterlinga otoczona przez ogień, a pozostali patrzyli na nią z litością w oczach. Alex otarła łzy, żołądek zaciskał jej się ze wstydu. Nie czuła smutku z powodu własnej śmierci, a jedynie ulgę, widząc, że świat został wytarty do czysta. Wiedziała, że matka ją oplakiwała, ale ile więcej łez zmarnowałyby na żywą dziewczynę?

A Hellie? To było najgorsze. Gdyby Alex nie była tamtego dnia z Lenem w Venice, może Hellie nigdy nie poszłyby z nimi do domu. Może nie zostałyby tak długo. Może zaliczyłyby wycieczkę do piekła i powróciła do świata softballu, indeksów uniwersyteckich i jogi w sobotnie poranki. Może nigdy by nie umarła.

- Ułatwię ci to - powiedział łagodnie Anselm. - Zajmij swoje miejsce, Galaxy Stern. Żyj w splendorze i wygodach, gdzie nigdy niczego ci nie zabraknie, i zobacz, jak wszystkie rany, które zadałaś światu, zostają przekreślone. Wszyscy dostaną to, czego chcą. Wszystko ułoży się doskonale.

Co by znaczyło stać się duchem?

Darlington złapał ją za rękę.

- To nie jest prawdziwe. To kolejny rodzaj tortury, życie z czymś, co nie jest prawdziwe.

Nie mylił się. Wiedziała, że miłość Lena nie była prawdziwa. Wiedziała, że ochrona zapewniana przez matkę nie była prawdziwa. Taka wiedza zżera cię codziennie. Żyjesz, balansując na linie, czekając, aż ona zniknie. To był swoisty rodzaj piekła.

- Mogę to jeszcze bardziej ułatwić - powiedział Anselm. - Zostań, bo inaczej twoja cudowna przyjaciółka umrze.

W blasku fontanny, która była *Women's Table*, Alex dostrzegła ruch. Rozpoznała mężczyznę pochodzącego do Mercy na dziedzińcu. Eitan Harel. Jakby z wielkiej odległości usłyszała, jak pyta:

- Gdzie ta suka? Myślisz, że to żarty?

Znalazł ją.

- On ją skrzywdzi - powiedział Anselm. - Wiesz to, ale możesz temu zapobiec. Nie chciałaś jej ocalić? Czy też będzie kolejną dziewczyną, którą zawiodłaś? Kolejnym odebranych życiem, bo ty z taką determinacją chcesz przetrwać?

Kolejna Hellie. Kolejny Tripp.

Alex spojrzała w oczy Dawes i powiedziała:

- Znajdź sposób, żeby zamknąć za mną drzwi. Wiem, że potrafisz.

Turner stanął przed nią.

- Nie mogę ci na to pozwolić. Nie uwolnię powodzi demonów, żeby żywiły się naszym nieszczęściem. Prędeż cię zabiję niż pozwolę ci skazać świat przez wzgląd na jedną dziewczynę.

Nie był za dobrym aktorem, ale nie musiał.

- Spokojnie, kapłanie - powiedział ze śmiechem Anselm. - Wędrownicy Koła jest pod moją ochroną. Nie masz tu żadnej władzy.

Darlington złapał Alex za rękę.

- To był twój plan? Oddać się? Nie ty miałaś być ofiarą, Stern.

Alex prawie się uśmiechnęła.

- Nie jestem pewna, czy to prawda.

Całe jej życie zostało zbudowane na kłamstwach, skradzionych okazjach, serii sztuczek, uników i trików. Ona już знаła język demonów. Mówiła nim przez całe życie. Odrobina magii. Odwaga, żeby znieść ciosy.

- Wystąp naprzód i przyjmij zasłużoną karę - powiedział Anselm.

Uniósł jarzmo. Różniło się od tego, do którego noszenia zmuszono Darlingtona - było ozdobione granatami i czarnym onyksiem. Było piękne, ale nie dało się przeoczyć jego prawdziwej funkcji.

- Alex - odezwał się Darlington. - Nie pozwolę ci na to.

Ogień rozkwitł na jej ciele. Darlington cofnął gwałtownie rękę, wyrosły mu rogi.

- Wybór nie należy do ciebie.

- Podoba mi się nasza gra - zagruchał Anselm. - A jeszcze tyle nowych nas czeka.

Jednakże Alex słuchała go tylko jednym uchem. Patrzyła na odbicie w lustrzanej fontannie. Tzvi stał za Eitanem. Zabrał Mercy solny miecz. Eitan trzymał broń w ręce.

A Mercy trzymała w ręce butelkę. Z daturą. Cisnęła nią w Eitana. Butelka oleju rozbiła się o niego i zanim zdążył się otrząsnąć, Mercy pchnęła go do misy.

Alex wyrwała jarzmo Anselmowi i skoczyła w stronę wody, drugą rękę wsadziła pod powierzchnię.

Usłyszała wokół siebie krzyki. Anselm rzucił się ku niej i już nie miał ludzkiej formy. Nie wiedziała, czym był - kozą z ostrymi rogami, czerwonoookim królikiem, pająkiem na włóchatych nogach. Był wszystkimi potworami naraz. Jednakże Dawes, Darlington i Turner ustawili się wokół niej.

- Chronicie ją! - krzyknął Turner. - Nikt się nie przedostanie!

Jego peleryna z piór mniej przypominała kostium, a bardziej skrzydła, gdy rozłożyła się szeroko. Dawes uniosła ręce i słowa pojawiły się na jej szatach uczonej, symbole, bazgroły, tysiące języków, może nawet wszystkie znane języki. Rogi Darlingtona jarzyły się złotem. Dobył miecza. Odegrali małą scenkę na użytek Anselma i teraz byli gotowi do obrony.

Zwabiła Eitana, mówiąc mu, że będzie pracowała dla Linusa Reitera, że zna jego sekrety i podzieli się nimi w zamian za ochronę ze strony wampira. Poprosiła Turnera, żeby zadzwonił do niego i korzystając z całego autorytetu miejscowej policji, wezwał go na przesłuchanie, mające na celu ujawnienie powiązań Eitana z Alex. W ten sposób stało się jasne, że Alex zaczęła sypać i stała się ciężarem. Alex wiedziała, że Eitan będzie chciał osobiście się nią zająć. W końcu doskonale wiedział, gdzie jej szukać. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy pojawił się obok niej pod Blue State Coffee. Dopilnowała, by telefon był

włączony, i zostawiła go z Mercy na dziedzińcu, żeby Eitan przyszedł tej nocy tam jej szukać.

Teraz czuła, jak jego śliska dusza jej się opiera, wrzeszczy, po raz pierwszy od długiego czasu przestraszona, walczy, by pozostać w świecie żywych. Pomyślała o sercu Królika Przytulika bijącym przy jej dłoni.

Wciągnęła jego duszę w siebie, tak jak wciągała Szarych, tak jak wciągnęła duszę Darlingtona, żeby zabrać go do domu. Walczył, lecz Alex mocno go trzymała. Dusza Eitana wpadła w nią. Zobaczyła miasto drapaczy chmur i wybielony przez słońce kamień, poczuła gorzką kawę w ustach i usłyszała ryk 405-tyki w dolinie w dole.

Wypluła go.

- Chcesz mordercę? - powiedziała Alex, kiedy Eitan pojawił się, łapiąc gwałtownie powietrze, w mokrym ubraniu, z ciałem płonącym jej niebieskim ogniem. - To masz.

- To nie ty decydujesz, kto pokona drzwi piekła - zaszydził Anselm. - Nie możesz...

- Jestem Wędrowczynią Koła - przerwała mu Alex. - Nie masz pojęcia, co mogę.

- Co to znaczy? - wystękał Eitan.

Symbol chai na jego szyi rozpadł się na popioł.

Alex szarpnięciem nałożyła mu złote jarzmo na szyję i patrzyła, jak zaciska się mocno. Wychudzone demony uwiązane na smyczy Anselma wrzasnęły i zaskomlały.

- Heretyczka! - pieklił się Anselm. - Dziwka!

Teraz Alex się roześmiała.

- Gorzej mnie nazwano w kolejce w Rite Aid.

Anselm za długo zadawał się z nobliwymi, nieudolnymi chłopczkami z Yale. Nie potrafił rozpoznać kogoś ze swoich.

- Uciekajcie! - krzyknęła Alex, trzymając rękę w wodzie. Jedno po drugim skoczyli do fontanny i przeszli do świata śmiertelników:

Dawes, Turner, Darlington na końcu. Ona była Wędrowcem Koła, łącznikiem. Poczła ich wszystkich, jasnych, przerażonych, wściekłych i żywych. Dawes jak chłodne, ciemne korytarze biblioteki, Turner ostry i błyszczący jak miasto nocą, Darlington lśniący i zwycięski, brzęk stali o stal.

- Co to jest?! - krzyczał Eitan. - Spróbuj zadrzeć z...

- Teraz sam zbierzesz własne cięgi - powiedziała Alex. - Trzeba zapłacić cenę piekła.

Wskoczyła do wody. Jednakże Anselm złapał ją za rękę.

- Jest ci pisane piekło, Galaxy Stern. Ja ci jestem pisany.

Ugryzł ją w nadgarstek, a Alex krzyknęła, gdy przeszył ją ból.

Niebieski płomień buchnął z niej i przeskoczył na niego. Anselm jednak nie zapłonął.

„Jest ci pisane piekło”.

Pił z niej potężnymi haustami, jego policzki zapadały się przy każdym łyku. Czuła własną krew, która opuszcza jej ciało, traconą siłę.

„Ja ci jestem pisany”.

- W porządku - stęknęła. - To chodź ze mną. - Złapała go mocniej za rękę. - Przekonajmy się, jak sobie poradzisz z nami w świecie śmiertelników.

Sięgnęła weń swoją mocą, wciągając jego ducha w siebie. To było jak szlam, rzeka żalości sączyła się w nią, dogłębny ból połączony z obsceniczną przyjemnością, mimo to nie przestała.

Alex zobaczyła strach w jego oczach i to było dla niej jak narkotyk.

- Wszystko układa się doskonale.

Anselm wypuścił jej nadgarstek z wściekłym rykiem. Widziała własną krew pokrywającą mu brodę. Wyrzuciła z siebie szlam jego ducha i skoczyła w wodę, obawiając się, że w każdej chwili poczuje uścisk na kostce i ciągnięcie z powrotem.

Płuca ją bolały z braku powietrza, ale machała nogami, płynęła, desperacko pragnąc zobaczyć przed sobą światło. Tam - jedna iskra,

druga. Unosiła się w morzu gwiazd. Wyskoczyła nad powierzchnię i nabrała chłodnego powietrza zimowej nocy.

Próbowała zorientować się, gdzie się znajduje. To był dziedziniec w Bibliotece Sterlinga. Tzvi zniknął – pewnie uciekł na widok Darlingtona w całej jego rogatej i demonicznej chwale. Ciało Eitana leżało twarzą w błocie. Słyszała tykanie metronomu, które nagle zamilkło.

Coś zamazało się przed jej oczami. Tuman bieli. Zaczął padać śnieg. Policzyła przyjaciół: Mercy, Turner, Dawes i Darlington, jej demon-dżentelmen. Ich rozklekotana armia, wszyscy przemoczeni i drżący, ale bezpieczni i cali. Nad nimi sieć Tkacza nadal lśniła, krucha w swojej architekturze, obciążona szronem i smutkiem.

Dunbar przywlekl włóczęgę przed stację kolejową zeszłej nocy, uwalanego sadzą jak pojemnik na węgiel, w ubraniu tak sztywnym od brudu, że mogłoby samo stać. Twierdził, że ma Widzenie. Rudy powiedział, że to strata czasu, a ja byłem skłonny się z nim zgodzić. Mężczyzna cuchnął tanim ginem i miał wszelkie znamiona szarlatana. Bełkotał coś o długich podróżach i wielkim bogactwie, typowe banialuki z arsenału wróżek. Tak bardzo bełkotał, że ledwie go rozumiałem, dopóki w końcu Dunbar nie znudził się i nie wybawił nas od tego cierpienia.

Nawet nie wspomniiałbym o całej tej sprawie, gdyby nie to – i piszę to, żebym mógł się potem pośmiać z własnej bojaźliwej pisaniny – że kiedy Dunbar powiedział, żeby już sobie poszedł i wsunął mu piątką do kieszeni, włóczęga uparł się, że nie powiedział nam jeszcze tego, co musi. Oczy uciekły mu w głąb czaszki – typowa teatralna zagrywka – i oznajmił:

– Strzeżcie się.

Rudy śmieje się wtedy i pyta całkiem naturalnie:

– Czego mamy się strzec, ty stary oszuście?

– Tych, którzy kroczą pośród nas. Spijających noc, szepczących do księżycy, wszystkich tych, co mieszkają wśród martwoty i pustki. Strzeżcie się ich, chłopcy. Najlepiej zabarykadować drzwi, gdy nadejdą.

Już nie bełkotał. Głos miał dźwięczny jak dzwon. Niósł się po całej hali. Powiedziałam wam, że aż dostałem gęsiej skórki na rękach.

Cóż, Rudy i Dunbar zakończyli sprawę. Wywlekli go na zewnątrz i posłali w diabły, a Rudy sprzedał mu jeszcze kopniaka na pożegnanie. Żle się z tym czułem i pomyślałem, że powinienem był wsunąć mu jeszcze jedną piątkę. Na pewno jutro wszyscy będziemy się z tego śmiać.

Lionel Reiter, *Czaszka i Kości Manual*, 1933

Darlington nie do końca był w stanie poskładać w całość chwile, jakie nastąpiły po zejściu. Pamiętał, że padał śnieg. Pamiętał przykry ciężar przemoczonych ubrań na ciele. Wszyscy byli zmęczeni i wstrząśnięci, ale nie mogli po prostu powlec się do domu. Zostało zbyt wiele dowodów, których trzeba było się pozbyć. Kiedy szedł w paszczę piekielnej bestii, był mężczyzną przestrzegających reguł. Wierzył, że rozumie swoje miejsce na świecie i mechanizmy rządzące tym światem. Nie był już jednak do końca człowiekiem i uznał, że to wymaga bardziej elastycznego podejścia do kwestii moralnych.

W czytelnii Linonia leżały porozrzucane książki, jeden stół przewrócono. Demony wpadły przez wychodzące na wschód okno, niszcząc wizerunek Świętego Marka pracującego nad swoją ewangelią, a potem przeszły przez okna prowadzące na dziedziniec. Nic się nie da zrobić z wyrządzonymi uszkodzeniami. Istniała magia odnawiająca, którą mogliby się posłużyć, ale to był długotrwały proces, wymagający skrupulatności. Darlingtona bolało, że zostawia Bibliotekę Sterlinga w takim stanie, ale kiedy uniwersytet zgłosił szkody wyrządzone przez wandalów, Lete może zaproponować posłużenie się tygłem czy tym, co znajdą w swojej zbrojowni. Na razie mogli tylko usunąć wszelkie ślady upiorności.

Przywołanie pajaków z powrotem do wrzeciona było względnie łatwe – wystarczyło znowu ukłuć Mercy w palec. Jednakże pajęczyna nad dziedzińcem nadal zwieszała się ciężka od melancholii. Potrzebowali prawie godziny, żeby ściągnąć ją szczytką, którą pożyczyci ze schowka sprzątacza, i przenieść do wody w misie, gdzie patrzyli, jak

się rozpuszcza. Wszyscy płakali i nie mogli nad tym zapanować, zanim pozbyli się tego cholerstwa.

Ciało zostawili na koniec. Eitan Harel leżał twarzą w błocie i topniejącym śniegu.

Turner poszedł po swojego dodge'a i poczekał na nich przed wyjściem na York Street. Burza, którą zaparzyła Dawes, nadal była dostatecznie gorąca, żeby zająć się kamerami, ale nie było niczego magicznego ani tajemniczego w akcie chowania trupa w bagażniku samochodu. To był zimny postępek, paskudny w swojej transformacji – ciało zamienione w ładunek. Mercy trzymała się z tyłu, ściskając solny miecz, jakby mógł ją uchronić przed tym, co zrobili.

– Powiedziałeś, że nie będziesz nam pomagał w uprzątnięciu naszych brudów – zauważyła Alex, kiedy skończyli i wsiedli do samochodu, mokrzy i zmęczeni. Do świtu wciąż zostało im kilka godzin.

Turner wzruszył tylko ramionami i przegazował silnik.

– To też mój bałagan.

* * *

Drzwi do Il Bastone otworzyły się, zanim pokonali schody. Światła były włączone, stare grzejniki pompowały ciepło do wszystkich pomieszczeń. W kuchni Dawes rozstawiła termosy z resztkami avgolemono, które wypili łączywie. Stały tam też talerze z kanapkami z pomidorem i gorąca herbata zaprawiona brandy.

Stali przy kuchennym blacie i jedli w milczeniu, zbyt zmęczeni i poobijani, żeby rozmawiać. Darlington wbrew sobie myślał o tym, jak rzadko jest używana jadalnia w Il Bastone, jak niewiele posiłków zjadł razem z Michelle Alameddine czy dziekanem Sandowem, jak niewiele razy rozmawiał z detektywem Ablem Turnerem. Pozwolili Lete na atrofie, pozwolili, by tajemnice i rytuały sprawiły, że stali się sobie wzajemnie obcy. A może Lete zawsze miało tak funkcjonować, bezzębne i bezsilne, telepiące się to tu, to tam, z przekonaniem o wła-

snej ważności, symboliczny ochłap dla uniwersytetu, podczas gdy stowarzyszenia robiły to, co im się żywnie podobało.

W końcu Mercy odstawiła kubek i zapytała:

– To już koniec?

Dziewczyna była dzielna, ale dzisiejsza noc ją przerosła. Magia, zaklęcia, dziwne przedmioty – to wszystko było swoistą zabawą. Teraz pomogła zabić człowieka i ciężar tego nie był łatwą rzeczą do noszenia, bez względu na uzasadnienia tego czynu. Darlington wiedział to aż za dobrze.

Alex ostrzegła ich, że w pewnym momencie będzie potrzebowała, by jej bronili, kiedy ich poprosi, żeby walczyli za nią bez pytania. Zrobili to, bo byli zdesperowani i ponieważ pomimo wszystkich ich szlachetnych protestów żadne z nich nie chciało cierpieć przez wieczność. Mercy rwała się do realizacji planu, chciała założyć solną zbroję i stawić czoło bardzo ludzkiemu potworowi. Może teraz tego pożałowała.

Jednakże to nie był czas na delikatność.

– To jeszcze nie koniec – odpowiedział. – Zostało więcej demonów, które trzeba zabić.

Może zawsze tak będzie.

Alex była słaba z powodu utraty krwi, więc Dawes nałożyła balsam na ranę, którą zostawił jej Anselm na nadgarstku, a potem wzięła ją na górę, żeby zanurzyć w tyglu w kąpieli z koziego mleka. Darlington nie do końca rozumiał rutynę i naturalność, z jaką opiekowały się sobą i czuł się przez to jak dziecko wyłączone z zabawy. Dlatego postanowił przydać się do czegoś.

Pojechał z Turnerem do Black Elm.

– Nie mogę uwierzyć, że wożę demona – mruknął Turner, kiedy wyjeżdżali z parkingu pod Il Bastone.

– W połowie demona – poprawił go Darlington. Jechali przez długą chwilę w milczeniu, ale w końcu zapytał: – Jak właściwie Alex przekonała cię, żebyś się na to zgodził?

- Przyszła do mnie zeszłej nocy - powiedział Turner. - Nie chciałem się zgodzić. Prosiła, żebym za pomocą swojej odznaki ułatwił morderstwo. A potem obejrzałem kartotekę Eitana Harela.

- To cię przekonało?

Pokręcił głową.

- Nie. Jestem bardzo przywiązany do należytych procedur. Znasz jednak Alex, wypatrzy lukę, to od razu precyzyjnie się przez nią jak przez okno.

- Trafny opis.

„Robimy to, co musimy. Tylko tyle musi każdy, kto chce ocaleć”.

- Powiedziała mi, że Eitan to żołnierz w służbie zła.

Darlington rzucił Turnerowi spojrzenie pełne niedowierzania.

- To nie brzmi jak coś w stylu Alex Stern.

- Cytowała moje własne słowa. Żołnierze w służbie dobra i żołnierze w służbie zła. Wiem, że się nie zgodzisz, ale w moim przypadku od początku chodziło o to, żeby utrzymać diabła w ryzach. Ona wciąż mi powtarzała, że to bzdura. Aż do ostatniej nocy.

- A ostatniej nocy co powiedziała?

- Powiedziała: „A jeśli się mylę?”.

Teraz Darlington się roześmiał.

- To rzeczywiście była Alex Stern.

Turner popukał w kierownicę, pokonując prawie puste ulice.

- Będę z tobą szczery. To też nie jest tak do końca powód, dla którego zmieniłem zdanie.

Darlington poczekał. Nie znał Turnera za dobrze, ale to było oczywiste, że nie lubi, kiedy się go ponagla.

- Pojechałem po nią do Darien - powiedział w końcu Turner. -

W noc, kiedy Harel wysłał ją, żeby zajęła się Linusem Reiterem. Była... Widziałem, jak biła się z facetem, który był dwa razy od niej większy. Widziałem, jak studenciak z braterstwa prawie rozbił jej

czaszkę w ramach zemsty. Jednak nigdy w życiu nie widziałem jej równie przestraszonej.

Kiedy dojechali do Black Elm, Darlington otworzył kuchenne drzwi i przeturlali ciało Eitana schodami do piwnicy. Dom, który kochał, zamienił się w grób. Zastanawiał się, co jego dziadek myśli o tej jatce i o tym, że jego wnuk porzucił tę szlachetną kupę gruzu. Przynajmniej chwilowo. Nie był pewien, co zrobi z tymi wszystkimi trupami, jaki pogrzeb był winien swoim rodzicom. Co by to znaczyło, gdyby po prostu zniknęli? A co z rodziną Anselma?

Zbyt łatwo było zniknąć. Sam to zrobił. I kto go szukał? Dawes i Alex, Turner i Tripp. Jakie życie mógł poskladać z tego, co mu zostało?

Darlington zawołał Cosmo, mając nadzieję, że kot pojawi się, żeby mógł ofiarować mu dowód wdzięczności, zapłacić trybut w postaci tuńczyka. Wyglądało jednak na to, że musi być cierpliwy. Tak jak wszystkie koty Cosmo pojawi się wtedy, kiedy zechce, i ani chwili wcześniej.

Turner pomógł Darlingtonowi z powrotem oprzeć drzwi do piwnicy o framugę. A potem nie pozostało im nic innego, jak odwrócić się do umarłych plecami.

* * *

Darlington spał po raz pierwszy, odkąd powrócił do tego świata, po raz pierwszy od prawie roku. W piekle nigdy nie wolno mu było spać ani śnić. Powiedzenie „Występni nie znają wytchnienia” okazało się bardzo prawdziwe.

Śniło mu się, że wrócił do piekła, znowu jest demonem, stworzeniem, którym władają różne pragnienia, i niczym więcej. Ponownie klęczał przed tronem Golgarota, ale tym razem, kiedy uniósł głowę, to Alex na niego patrzyła, jej nagie ciało było skąpane w niebieskich płomieniach, na czole miała koronę ze srebrnego ognia.

– Będę ci służył po kres dni – obiecał.

We śnie się roześmiała.

– I kochał.

Jej oczy były czarne i pełne gwiazd.

* * *

Obudził się w południe z obolałym ciałem. Ospały i żaloszny wziął prysznic, włożył dżinsy i sweter, które spakował do starej skórzanej torby dziadka. Nie mógł się rozgrzać.

– Piekielny kac – wyjaśniła mu Alex, gdy go zobaczyła.

Siedziała w salonie z jedną nogą podwinętą pod siebie. Nadal miała na sobie dres Lete, a na kolanach trzymała tomik poezji Harta Crane'a. Domyślał się, że czytała to na zajęcia. Za bardzo ucieszył go jej widok w salonie, swobodnej na welwetowej kanapie, z włosami odgarniętymi za uszy.

– Dawes zrobiła zupę na śniadanie.

Od podstaw, rzecz jasna. Doskonale lekarstwo. Zjadł dwie miski *changua* ze świeżą kolendrą, małym tostem i z jajkiem w koszulce pływającym w tym mlecznym wywarze. W głowie przejaśniło mu się na tyle, że zaczął myśleć o czymś innym niż przetrwanie. Podejrzewał, że powinien ponownie zapisać się na studia. Lete mu pomoże. Zakładając, że nadal jest uważany za członka Lete.

– Gdzie jest Mercy? – zapytał.

Alex nie oderwała oczu od książki.

– Odprowadziłam ją dziś rano do akademika.

– Nic jej nie jest?

– Chciała porozmawiać ze swoim pastorem i zjeść lunch z Lauren.

Potrzebuje trochę normalności.

Niestety normalność była deficytowym towarem.

Po śniadaniu poszedł do zbrojowni i przez godzinę przekopywał szuflady i szafki. Musieli zająć się ciałami w piwnicy Black Elm. Zastanawiał się, czy nie skorzystać z biblioteki, ale nie mógł się zmusić do znalezienia właściwej frazy do Księgi Albemarle'a. „Jak pozbyć się ciała”. „Jak pozbyć się szczątków własnej matki”. To wszystko było zbyt przynębiające. Tak naprawdę to chciał się dowiedzieć, jak opłakiwać ludzi, których ze wszystkich sił nauczył się nie kochać lata temu. Rodzice pojawiali się w jego życiu i znikali z niego jak nieoczekiwane dziury w chmurach i gdyby poświęcił swoje dni, czekając na te krótkie przebłyski, zwiądłby i umarł.

Przez krótką chwilę rozważał Tajjaare, „magiczny dywan”, który mógł zabrać człowieka w dowolne miejsce, po prostu otwierając pod sobą portal. Niestety cel podróży musiał zostać wpleciony we wzór i ten, kto to potrafił, dawno temu przepadł, więc wzór pozostał niezmieniony i dywan zabierał pasażerów tylko w jedno miejsce: do katakumb pod Widżajanagarem. Przez kilkaset lat miejsce to służyło jako nieoficjalny śmietnik dla niechcianych przedmiotów i ludzi. Darlington nie wiedział, czy to, co czuł do rodziców, to było poczucie obowiązku, miłość albo wspomnienie miłości, ale nie mógł ich wyrzucić na starożytną hałdę śmieci.

Alex i Dawes zastały go, jak siedział na podłodze w zbrojowni w otoczeniu błyszczących przedmiotów i innych drobiazgów. Utknął. Chłopiec z kamieniem w ręce, który wiecznie próbuje zbudować coś, co dawno temu przepadło. Pomogły mu odłożyć wszystko na swoje miejsce, a potem pojechali do Black Elm.

W domu zaczynało śmierdzieć. A może po prostu wiedział, co na nich czeka, kiedy odsunęli na bok drzwi do piwnicy i spojrzeli w ciemność.

– Chcesz... coś powiedzieć? – zapytała Alex.

Nie był pewien.

– Mój dziadek tu jest?

– Jest w kuchni z Dawes.

Darlington obejrzał się przez ramię, ale kuchnia była dla niego pusta, jeśli pominąć Dawes ściskającą drewnianą łyżkę jak broń. Golgarot zaoferował mu życie pełne objawień, wiedzy, w którym niewidzialne stają się widoczne. To nigdy się nie stanie.

– Możesz z nim porozmawiać, wiesz? – dodała Alex.

– Wiem, że lubiłeś *Requiem* Stevensona – powiedział, mając nadzieję, że dziadek słucha i jednocześnie czując się jak głupiec. – Niestety obawiam się, że to niestosowne.

Jeśli Darlington miał być szczery, to nic z tego nie spodobałoby się dziadkowi. Mowa pogrzebowa to w gruncie rzeczy słowa śmierci.

– Idź – powiedział do Alex.

Zeszła jeden stopień, potem drugi. Darlington ruszył za nią. W piwnicy jeszcze gorzej śmierdziało.

– Wystarczy – powiedział i zauważył, że ramiona jej opadły z ulgi. Widać już było ciała rodziców, strzępki, które były Anselmem, Eitana Harela zgarbionego pod ścianą. Jakim cudem to jest jego życie? Jego dom? Na co pozwolił z powodu pragnienia umiejętności, wiedzy czy charakteru? – Wstrząsnął mną bezdenne ogrom mojej porażki.

Alex obejrzała się na niego.

– To nie ty wpuściłeś tu demona, tylko Sandow. Stowarzyszenia. Kiedy przyszedł czas, stanąłeś między żywymi i umarłymi. „Hoplici, huzarzy, dragoni”, pamiętasz?

– Uważałaś. Jestem zachwycony i zaniepokojony.

Nie pozostawało nic innego, jak zrobić to, co było konieczne.

Położył rękę na ramieniu Alex i sięgnął po demona. To było łatwe, jakby napinał mięsień, jakby brał głęboki wdech. Poczul, że jego ciało się zmienia, napływa siła. Cały strach przepadł, żal i konsternacja zbladły. Czuł krągłość ramienia Alex pod dłonią. Gdyby zacisnął palce, wbiłby szpony głębiej. Usłyszałby, jak Alex nabiera gwałtownie powietrza. Pohamował się.

Niebieski płomień rozkwitł na jej ciele. Obejrzała się znowu, czekając na jego sygnał. Widział wolę w jej spojrzeniu, sposób, w jaki odpychała strach. „Będę ci służył po kres dni”.

Skinął raz głową, a ona uniosła rękę. Niebieski ogień buchnął z jej rąk, ognisty łuk, który stał się rzeką, spływał po schodach ku ciałom. Był przygotowany do przemowy, cytat z... Jego demoniczny umysł nie dawał sobie z tym rady. Przypomnił sobie Alex z jej tomikiem poezji. Hart Crane. Poszukał słów.

– „A jeśli odbiorą ci sen niekiedy, to ci go także zwrócą”.

Tylko na tyle było go stać. Patrzył, jak ciała płoną.

Pewna częśćka jego osoby chciała powiedzieć Alex, żeby nie kończyła na tym, niech cały dom spłonie doszczętnie, niech oni spłoną razem z nim. Zamiast tego stali razem w cieniach Black Elm, aż zostały tylko popioły i stare kamienie, które mogą stać wiecznie, ale nigdy nie będą ich oplakiwać.

Mercedes stał zaparkowany na podjeździe Black Elm.

Przez chwilę Alex nie była w stanie ogarnąć, co właściwie widzi. Nadal stała na schodach piwnicy i patrzyła na zatłoczony grób. Kiedy ogień zrobił swoje, ściany były poczerniałe i nic poza nimi nie zostało – nie było żadnych pudeł, starych gratów, ciał, kości. Wszystko, co płonęło w tak dużej temperaturze, powinno pożreć także ich, ale to nie był zwykły ogień.

Kiedy Darlington wypowiedział słowa dla swoich rodziców, Alex zastanawiała się, czy powinna powiedzieć coś za Eitana. Znała właściwą modlitwę od swojej babci. *Zikhrono livrakha*. Błogosławiona niech będzie pamięć po nim. Ale tak jak powiedział Darlington, to nie do końca pasowało.

– *Mors irrumat omnia* – szepnęła do płomieni.

Tylko tyle mogła zaoferować człowiekowi, który był gotowy posłać ją na śmierć dla odrobinę większych zysków.

Samochód nie powinien tu stać. Był świeżo umyty, bordowa farba lśniła w słońcu późnego popołudnia. Reiter. Serce Alex zaczęło galopować.

– Zostawiłaś go w Old Greenwich? – szepnęła Dawes.

– Trwa dzień – zdołała wykrztusić Alex. – Słońce świeci. Jak go tu przyprowadził?

I dlaczego teraz? Obserwował ich? Śledził?

– Ma pomocnika – powiedział Darlington. – Może więcej niż jednego.

Alex przypomniała sobie osobę, która szła obok Reitera przez dziedziniec college'u i trzymała nad nim białą parasolkę. Rozejrzała się po drzewach, po bezchmurnym niebie i ucieszyła się z ostrego, zimowego słońca.

- Powinniśmy wrócić do jakiegoś zabezpieczonego miejsca - zaproponowała Dawes. - Żeby przegrupować siły.

Alex niczego bardziej nie pragnęła. Zlał ją zimny pot i z trudem oddychała. Jednak jeszcze tu nie skończyli.

Zmusiła się, żeby podejść do samochodu.

- Alex, nie! - powiedziała Dawes, łapiąc ją za rękę. - To może być pułapka.

Alex strąciła jej rękę.

Drzwi po stronie kierowcy nie były zamknięte, wewnątrz wyglądało nieskazitelnie. Zostawił kluczyki w schowku na rękawiczki. Ciążyły Alex w ręce.

- Daj mi je - powiedział Darlington.

Alex chciała mieć więcej odwagi i móc się sprzeciwić, ale za bardzo się bała. Upuściła kluczyki na jego dłoń.

Zebrawi się wokół bagażnika, a Darlington wsunął kluczyk do zamka. Bagażnik otworzył się z westchnieniem. Darlington pchnął klapę w górę.

Dawes wyrwał się przenikliwy bezradny okrzyk.

W środku leżała Michelle Alameddine z rękami złożonymi pod brodą, jakby zasnęła, modląc się.

Alex cofnęła się jeden krok. Kolejna śmierć leżała u jej stóp. Michelle, która ostrzegła ich, żeby nie korzystali z Womitorium. Wywalczyła sobie drogę powrotną ze śmierci, by skończyć w taki sposób.

- Przykro mi - powiedziała, łapiąc gwałtownie powietrze. - Strasznie mi przykro.

Potknęła się i klapnęła ciężko na żwir.

„Przykro mi”. To samo powiedziała Mercy, kiedy żegnała się z nią rano w bramie do college'u Jonathana Edwardsa. Mercy nie mogła się doczekać, kiedy zmyje z siebie smród siarki po nocy, włoży z powrotem szydełkowany sweter i sztruksy. Nie wspomniała ponownie o planach na Święto Dziękczynienia.

- Nic ci nie jest? - zapytała przy bramie Alex, a kiedy Mercy wbiła wzrok w buty, dodała: - Ocaliłaś mi życie tej nocy.

- Ty ratujesz mnie, ja ratuję ciebie - odpowiedziała Mercy, ale nie spojrzała jej twarz.

Mercy chciała przygody, chciała zobaczyć coś poza zwyczajnym światem. A Alex zamieniła ją w zabójczynię.

- Myślałam, że będzie inaczej - powiedziała Mercy i Alex widziała, że z trudem powstrzymuje łzy.

- Przykro mi.

- Naprawdę?

- Nie - przyznała Alex. Potrzebowała drogi wyjścia i skorzystała z niej. - Ale jestem ci wdzięczna.

- Dzięki - powiedziała Mercy i wyszła przez bramę.

- Za co?

- Za to, że mnie nie okłamałaś.

Mercy miała sumienie. Wierzyła w Boga. Nie będzie w stanie zapomnieć o śmierci tak, żeby to nie zostawiło skazy na jej sercu. To jednak nie powstrzymało Alex przed posłużeniem się nią. To jej nigdy nie powstrzymywało.

A teraz Michelle Alameddine nie żyła.

Alex poczuła rękę Darlingtona na ramieniu.

- Wsuń głowę między kolana. Oddychaj.

Alex przycisnęła dłoń do oczu.

- Ja go tu ściągnęłam.

- Reiter już tu był - odpowiedział Darlington. - Michelle była jego pomocnikiem.

- Co?! - wykrzyknęła Dawes.

Alex spojrzała na niego.

- Co ty wygadujesz?

- Myślę, że zwerbował ją, kiedy jeszcze studiowała. Poskładałem to w całość, czytając jej *Pamiętnik z czasów w Lete*. Prawdopodobnie przed nią byli inni.

- Wiedziała, gdzie znajduje się Womitorium? - spytała Dawes.

- Nie wiem - przyznał Darlington. - Nie wiem, czym się z nią podzielił. Reiter wiedział o stowarzyszeniach. Ukradł życie Kościejowi. Wiedział o Lete. Nie mógł jednak wejść do chronionych miejsc, więc musiał znaleźć kogoś, kto będzie miał na oku Womitorium.

Alex pomyślała o Michelle siedzącej w salonie, zawsze z telefonem pod ręką. Trzymała się z dala od ich poszukiwań, ale nigdy nie wycofała się całkowicie. Przypomniała sobie wstrząs Michelle, gdy Alex powiedziała jej, że znalazły Womitorium, jak upierała się, żeby Alex z niego nie skorzystała. Czy ostrzegała Alex przed Reiterem? Michelle, która kłamała o powodach, dla których była na kampusie, śledziła Alex i Mercy, gdy szły na zajęcia. Michelle z barwną apaszką na szyi, w golfie. Czy on się nią żywił?

- Nie zrobiłaby tego - powiedziała Dawes. - Nie pracowałyby dla demona.

Ale przecież mogła. Za dobrą cenę. Michelle znalazła się po drugiej stronie, gdy próbowała odebrać sobie życie. Powiedziała to Alex dostatecznie wyraźnie: „Nigdy tam nie wrócę”.

Alex rozumiała tego typu przysięgę.

- Obiecał jej nieśmiertelność.

- To nie ma za grosz sensu! - Dawes już prawie krzyczała, miała łzy na policzkach. - On był demonem. Pożarłby jej duszę. On...

- Pammie, ona chciała wierzyć, że może żyć wiecznie, i to jej właśnie powiedział - odezwał się łagodnie Darlington. - Czasem tylko tyle się liczy.

- Nie wsadzimy jej do piwnicy - powiedziała Alex, wstając. - Ani do ziemi.

Nie zamierzała pochować Michelle Alameddine tak, jak Reiter chował swoje pozostałe ofiary. Tak, jak pochowałby Alex, gdyby mu nie uciekła dostatecznie szybko i daleko tej straszliwej nocy.

Zmusiła się, żeby podejść do bagażnika i spojrzeć na ciało, na ślady na szyi, na tatuaż na nadgarstku. Miała nadzieję, że Michelle znalazła jakiś spokój za Zasłoną, że jej dusza jest bezpieczna i cała.

- Popełnił błąd - powiedziała. Czuła, jak jej strach zmienia kształt, jak wyrastają mu szpony i zęby, jak zmienia się w gniew. Mile widziana alchemia. - Gdyby był sprytny, zachowałby Michelle przy życiu, żeby dalej dla niego szpiegowała.

- Duma - odpowiedział Darlington. - Reiter za bardzo chciał nas zranić, dać nam odczuć swoją władzę.

- Cwany, ale nie zbyt bystry - powiedziała Alex, a Dawes skinęła głową, ocierając łzy z oczu.

Darlington spojrział na ciało Michelle.

- Zasłużyłaś na coś lepszego - mruknął.

Tak samo jak Mercy. I Tripp. Tak samo jak Królik Przytulik i wszystkie inne żalosne stworzenia, które popełniały ten błąd, że pozwoliły, by ich droga skrzyżowała się ze ścieżką Alex. Raniła ją świadomość, że Reiter karmił się nie tylko krwią Michelle, ale także jej bólem. Nasycił się jej desperacją, jej smutkiem, jej tęsknotą za niekończącym się życiem.

Ukarzę go, obiecała Alex, kładąc Michelle między więzami. Darlington wypowiedział słowa starego wiersza nad jej ciałem, a ona znowu przywołała ogień. Zranię go tak, jak on zranił ciebie.

- „Patrz! Oto bór wiekuisty” - wyrecytował Darlington. - „Sosny i świerki szumiące, mchem brodate, w zielonych oponach, mgłą przyprószone stoją na kształt druidów przeszłości z posępnym prorocstwem...¹⁵”

Nauczy Reitera, jak smakuje prawdziwy ból. Tylko tyle mogła zaoferować tej dziewczynie, którą ledwie знаła. Zemsta ponieważ, modlitwy wypowiedziane w ogniu.

Alex potrzebowała kilku prób, żeby przypomnieć sobie dokładnie, gdzie znajduje się mieszkanie Trippa. Turner mógłby jej pomóc, ale wrócił do pracy i próbował zorientować się, co się dzieje z jego sumieniem w związku z mężczyzną, który pomógł popełnić dwa morderstwa, pozostając pod wpływem demona.

- Koniec przysług - ostrzegł ją, kiedy po raz ostatni widzieli się w Il Bastone.

- To nie są tak naprawdę przysługi, co? - zapytała Alex, kiedy siedzieli na frontowych schodach na zimnie. Ich oddechy były widoczne w powietrzu. Śnieg stopił się, fałszywy początek prawdziwej zimy, niebo w górze było twarde i błyszczące jak niebieska emalia, jakby można było sięgnąć do niego i w nie zapukać. Liście nadal czepiały się gałęzi drżącymi chmurami czerwieni i oranżu. - Już nie. Nie możesz wrócić do nieodbierania moich telefonów.

- Dlaczego?

Bo myślę, że Mercy zmieniła zdanie i już nie chce mieszkać ze mną w przyszłym roku. Bo nie zostało mi zbyt wielu przyjaciół i potrzebuję wiedzieć, że jesteś jednym z nich.

- Bo teraz jesteś tego częścią. Widziałeś, co jest za Zasłoną. Nie możesz wrócić do udawania.

Turner oparł łokcie na kolanach, splótł dłonie.

- Nie chcę być częścią tego.

- Chrzanisz. Podoba ci się ta walka.

- Może tak, ale nie mogę być częścią Lete z tą pieprzoną mapą i wszystkim, co reprezentują to miejsce i stowarzyszenia.

- Zdajesz sobie sprawę, że jesteś gliniarzem, prawda?

Zerknął na nią znowu.

- Nie wyjeżdżaj z tym gównem, Stern. Wiem, kim jestem, i wiem, kim są moi ludzie. A ty?

Turner próbował ją wkurzyć. Nie potrafił się powstrzymać. Ona była taka sama - szturchała i trącała, szukając sposobu. Nie ma to jednak jak dwie wycieczki do piekła, żeby ustawić sobie priorytety we właściwym porządku.

- Moi ludzie są tutaj - powiedziała. - Ty. Dawes. Darlington. Mercy, o ile jej nie odstraszyłam. To wy walczyliście o mnie. To za was ja chcę walczyć. Lete nie ma z tym nic wspólnego.

- To nie takie proste.

Pewnie nie było, ale widziała myśli Turnera. Kiedy nadeszła chwila wyboru ścieżek, on wytoczył sobie własną, za pomocą pocisku. To było coś, co rozumiała.

Turner wstał i Alex zrobiła to samo. Nie czuła bólu dzięki magii Lete.

- Czego chcesz, kiedy to się już skończy? - zapytał.

Wolności. Pieniędzy. Tygodniowej drzemki.

- Chcę tylko móc żyć. Może... Może chciałabym zobaczyć, jak to wszystko się rozpada. Jeszcze nie wiem. Nie możesz jednak powrócić do tego, co było kiedyś. Bez względu na to, jak bardzo możesz tego chcieć. Nie można przejść przez piekło i pozostać niezmienionym.

- Przekonamy się - odpowiedział i ruszył na dół. Przystanął na chodniku i obejrzał się na nią. - Piekło zmieniło i ciebie, Stern. Może cię nie obchodzić dobro i zło, ale to nie znaczy, że one nie istnieją. Ukradłaś człowieka z piekła. Pokonałaś demona w jego własnej grze. Lepiej zastanów się, co to znaczy.

- A mianowicie?

- Diabeł zna twoje imię, Galaxy Stern.

Alex spodziewała się, że Turner spróbuje zniknąć z powrotem we własnym życiu, oddalić się od Lete, ale kiedy w końcu wybrali się do mieszkania Trippa, zjawił się. Stał zawinięty w płaszcz od Armaniego i opierał się o dodge'a. Czytał gazetę, którą złożył schludnie na widok Alex, Dawes i Darlingtona.

- Zaskoczyłeś mnie tym, że się zjawiłeś - mruknęła Alex, kiedy weszli do budynku.

- Jeszcze bardziej zaskoczyłem samego siebie.

- Myślisz, że on żyje? - zapytała Dawes, kiedy stłoczyli się w windzie i Turner wcisnął guzik ostatniego piętra.

- Nie - przyznała.

Alex chciała wierzyć, że Tripp zwyczajnie za bardzo bał się powrotu do piekła i że zastaną go, jak ogląda telewizję i zajada lody, ale nie wierzyła w to tak naprawdę i nie zamierzali ryzykować.

Dawes i Darlington przygotowali nowe bariery z zakrwawionej soli w postaci węzłów przy wejściu do budynku, w windzie i teraz przy drzwiach na schody. Alex wzięła solny miecz Mercy. Jeśli demon Trippa tam był, to będą musieli znaleźć sposób, żeby go unieszkodliwić albo zniszczyć. Jeżeli uciekł, to będą musieli znaleźć sposób, żeby go wytropić. Kolejna praca, kolejne kłopoty, kolejni wrogowie. Dlaczego to ją ekscytowało? Powinna poświęcać wieczory na naukę i pisanie prac. Gdyby tylko te rzeczy przychodziły jej równie naturalnie jak przemoc.

- Czujecie? - zapytał Darlington, kiedy podeszli do drzwi Trippa.

Nie sposób było z niczym pomylić smrodu zgnilizny.

- To coś nowego - powiedział Turner. Oparł rękę na broni.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Zawiasy zaskrzypiały, gdy Alex delikatnie je pchnęła. Mieszkanie na poddaszu miało ogromne okna, które zasłonięto kocami i taśmą izolacyjną.

W mroku Alex spostrzegła wąską kuchnię zawaaloną brudnymi naczyniami i starymi pudełkami od pizzy. Niewiele tu było mebli – wielgachny ekran ze sprzętem do gier, kanapa, fotel. Sekundę później zdała sobie sprawę, że ktoś siedzi na fotelu, skulony w ciemności.

Alex uniosła solny miecz, ale stwór poruszał się szybko, z tą samą potworną szybkością, jaką widziała u Linusa Reitera. Wampir. Strach zaczął ją dławić. Potwór syknął i wytrącił jej miecz z ręki.

Zaraz jednak wampir wylądował na podłodze. Darlington stał nad nim z rogami, błyszczącymi obręczami na szyi i nadgarstkach. Alex płonęła. Turner wyciągnął broń.

Darlington złapał solny miecz i syknął, gdy sparzył go w dłoń.

– D-D-Darlington – wyjąkał potwór. – Stary, to ty?

Darlington się zawahał.

Alex zerwała jeden z koców z okna. Stwór wrzasnął i się cofnął.

– Tripp?

– Alex! Ludzie, o Boże, nie patrzcie na mnie, wyglądam ohydnie.

Tripp miał na sobie tę samą brudną koszulkę polo i marynarkę, jakie włożył podczas pierwszego zejścia, a do tego obróconą tyłem naprzód żeglarską czapkę Yale. Był bardzo blady, ale poza tym wyglądał zupełnie normalnie. Tyle że miał też kły.

Alex cofnęła się nieufnie.

– Czy to Tripp? – zapytała Dawes. – Czy to jego demon?

Turner nie opuszczał broni.

– Zdecydowanie nie jest człowiekiem.

– Cholera – powiedział Tripp, zdejmując czapkę i przeczesując brudne włosy gestem, który Alex widziała u niego mnóstwo razy. – Wiedziałem, że coś jest nie tak. Nie srałem od... Nie wiem nawet od jak dawna. I za każdym razem, gdy próbuję coś zjeść, dostaję jakiegoś ataku. I... – Na jego twarzy odmalowały się wyrzuty sumienia.

– Myślę, że chce wypić naszą krew – powiedziała Dawes.

- Nie! - krzyknął Tripp, ale zaraz oblizał usta. - W porządku, chcę. Po prostu... jestem strasznie głodny.

- Możemy dać mu jakiegoś szczura czy coś takiego? - zaproponowała Dawes.

- Nie będę jadł szczurów!

Alex zerknęła na niego.

- Jeśli to jest demon, to gdzieś musi być ciało Trippa. Albo to, co z niego zostało.

Nie-Tripp zerknął z miną winowajcy w kąt kuchni na coś, co wyglądało jak stos zwiniętych kawałków papieru. Skorupa. Taka, jaką widziała w piwnicy Black Elm. Szczątki ciała prawdziwego Trippa Hel-mutha.

Darlington nadal był demonem. Nadal był czujny, jego oczy jarzyły się złotem.

- To coś wyszło Trippa do sucha. Tylko tyle z niego zostało.

Tripp, a raczej demon, cofnął się, odsłaniając kły.

- Nie mogłem się powstrzymać.

- Jesteś zabójcą - powiedział Turner.

- Wszyscy jesteśmy zabójcami!

- Nie będę się bawił w łapanie za słówka z wampirem - warknął Darlington. - Wiecie, co musimy zrobić.

Miał rację. Alex miała do czynienia z wampirem i to jej wystarczyło aż nadto. Jednak ten demon nie sprawiał wrażenia groźnego. Wyglądał na zdziczałego, słabego i... trochę gamoniowatego.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Poza szczątkami w kącie wyglądało zwyczajnie mimo bałaganu - pranie na podłodze, naczynia w zlewie. Jedyna część mieszkania, która była czysta i względnie zorganizowana, to wielki fotel i sprzęt do gry; zdjęcia rodziny Trippa i przyjaciół stały tam precyzyjnie rozstawione, parę figurek z gier, których nie poznawała. Pomyślała o wazach Linusa Reitera, butelkach alkoholu

i bukietach hortensji. Czy wszystkie wampiry lubiły wic sobie gniazda?

- Darlington ma rację - powiedział Turner. - Ten stwór stanowi zagrożenie. A my jesteśmy odpowiedzialni za jego obecność tutaj. Trzeba to zabić. Jest niebezpieczne.

- Wątpię, żeby był niebezpieczny - odezwała się powoli Alex. - Co robiłeś przez ostatni tydzień, Tripp?

- Grałem w gry wideo. Obejrzałem stare odcinki *Ridiculousness*. Sporo spałem.

- A co jadłeś? - spytała Dawes z napięciem w głosie.

- Głównie robaki, ale w niektórych krajach to przysmaki, nie?

- A gdybyśmy go nie zabijali? - zaproponowała Alex.

- Żartujesz sobie! - wykrzyknął Turner. - To naładowana broń.

- Raczej pistolet na wodę.

- Możliwe, że udaje - warknął Darlington.

- Włączyć jakąś muzykę? - zapytał Tripp. - Mam niesamowity podwójny album Red Hot Chili Peppers...

Może jednak powinni go zabić.

- On jest... - Alex nie chciała powiedzieć „nieszkodliwy”. - To jest Tripp. Może wraz z siłą życiową przejął jego osobowość.

Darlington pokręcił rogatą głową.

- A może tylko udaje, a tak naprawdę to zastanawia się, jak zabić nas wszystkich.

- Zastanawiasz się? - spytała Trippa Dawes.

Tripp się skrzywił.

- Troszeczkę?

Jednak w głowie Alex zakorzenił się już pewien pomysł.

- Tripp, wezwij swojego albatrosa.

Tripp polizał knykcie i srebrzysty albatros wzbil się za nim, okrążył pokój wydając z siebie radosny, przenikliwy krzyk.

- Nadal tu jest - zdumiała się Dawes. - Jak to możliwe?

Ptaka zanurkował prosto na Darlingtona. Alex stanęła przed nim, przesuając językiem po nadgarstku, i wypuściła atakujące węże.

Grzechotniki i albatros starły się przelotnie, ale zaraz się wycofały.

- Solny duch Trippa zrobił to, co powinien - powiedziała Alex. - Próbował chronić jego życie, a kiedy nie zdołał, został z nim. Chronił jego duszę.

Darlington nadal nie był przekonany.

- Słuchaj, to nasza wina. Zabraliśmy go do piekła. Naraziliśmy go. Jesteśmy za niego odpowiedzialni. Bez niego nigdy byśmy cię nie odzyskali.

- Nie mówiłaś, że zrobił to dla pieniędzy?

- Cóż... - zaczął Tripp. - Nie chciałem o tym wspominać, ale mój czynsz...

- Następnym razem, Tripp.

- Alex ma rację - powiedziała Dawes. - On... nadal jest sobą. I może nam się przydać, jeśli zamierzamy zająć się Linusem Reiterem. Możemy znaleźć sposób, żeby ograniczyć jego swobodę, jeśli będziemy się martwić tym, że... go poniesie.

Po Michelle, po Anselmie i rodzicach Darlingtona potrzebowali jakiegoś małego zwycięstwa, żeby znieść ten koszmar.

Darlington uniół ręce, szpony schowały się i pojawił się ponownie przystojny młody mężczyzna w pięknym wełnianym płaszczu. Alex poczuła, że jej własne płomienie znikają. Ich moce były teraz powiązane. Połączone przez piekielny ogień.

Turner schował broń do kabury.

- Jeśli kogoś zamorduje, to nie wezmę tego na siebie.

Darlington wytknął Dawes palcem.

- Zmiękłaś.

Dawes tylko się uśmiechnęła.

- Chodź - powiedziała do Trippa. - Zabierzemy cię od Il Bastone i zobaczymy, czy znajdę coś, żeby cię nakarmić.

- O rety, dzięki. Dzięki.

- Ale najpierw musisz coś zmienić - powiedziała Alex.

- Pewnie. Wiem, że nie byłem najbardziej odpowiedzialnym członkiem grupy, ale wierzę, że mogę dorosnąć i...

- Mam na myśli ubranie, Tripp. Musisz się przebrać.

- Cholera, pewnie. Jasna sprawa. A nie mówiłem? Jesteś w porządku, Alex. - Wyciągnął rękę do żółwika. - Naprawdę mam ochotę cię zjeść.

Alex przybiła żółwika.

- Wiem, stary.

Tripp zniknął w łazience z niepokojącą szybkością i wrócił w czystych szortach i polarze.

Kiedy wyszli, zapadał już zmierzch. Alex ogarnęła szalona nadzieja. Eitan nie żył. Anselm został przepędzony. Znajdą sposób, żeby przełamać zaklęcia rzucone na Womitorium, żeby nikt więcej nie mógł z niego skorzystać.

Kościoty na błoniach jarzyły się jak gwiazdy w swojej własnej konstelacji, dzwony na Harkness Tower zaczęły bić. Melodia była słodka i znajoma, ale jej mózg nie mógł sobie jej przypomnieć.

„Chodź, chodź”.

Strach twardy jak kamień zaległ w jej żołądku.

„Podaj mi rękę. Chodźmy do tego, kto dyryguje orkiestrą”.

Zerknęła na Harkness Tower i kiedy tak patrzyła, cień oderwał się od kamieniarki na szczycie budowli. Rozłożył skrzydła, ciemne na tle zapadającego zmierzchu. Oczy jarzyły mu się czerwienią.

- O Boże - jęknął Tripp.

- To Reiter? - wychrypiła Dawes.

- Wątpię - odpowiedział Darlington. - Nie może zrzucić ludzkiej formy.

Turner wpatrywał się w Harkness Tower i oczy, które na nich spoglądały.

- A co innego to może być?

- Demon. Potwór, którym on włada.

- Nie - powiedziała Dawes. - To niemożliwe. Uwięziliśmy demony w piekle. Zamknęliśmy drzwi.

„Twoja obecność w piekle sprawi, że drzwi pozostaną otwarte”. Alex poczuła ból w ranie na nadgarstku.

- Upuścił jej krew - powiedział Darlington.

Golgarot. Nie próbował jej zabić ani nawet zatrzymać w piekle, kiedy ją ugryzł.

- Posłużył się moją krwią, żeby otworzyć drzwi.

Stwór na wieży wzbil się w noc.

- Musimy go wytropić - powiedziała Dawes. - Złapać albo...

- To pierwszy z nich - odezwał się Darlington. - Ale nie ostatni. Musimy znaleźć sposób, żeby zatrasnąć drzwi raz na zawsze, zapieczętować Womitorium, nim kolejne demony wymyślą, jak je utrzymać otwarte.

- A to byłoby takie złe? - zapytał niewinnie Tripp.

- Demony żywiące się żywymi? - warknął Turner. - Piekło na ziemi? Tak, Tripp. To byłoby złe.

Alex patrzyła na stwora kołującego w górze. Miała dość pracy dla Lete i ludzi takich jak Eitan.

- Nie będziecie na nas żerować - powiedziała do stwora na niebie, do Linusa Reitera i Golgarota, do każdego wygłodniałego potwora, który mógł na nich polować. - Nie posłuzycie się mną do tego. - Odwróciła się do Turnera. - Znajdź Mercy. Ostrzeż ją. Dopilnuj, żeby była bezpieczna. Dawes, zabierz Trippa do Il Bastone. I nie pozwól, żeby cię zjadł.

- Alex, co zamierzasz zrobić? - spytała Dawes z troską w głosie.

- Jedyną rzecz, w której jestem dobra.

Alex ruszyła przez błonia, prowokując potwora, żeby za nią podążył. Wyciągnęła solny miecz i wezwała piekielny ogień, który zalał jej

ciało. Jeśli Reiter szukał celu, to mu go da. Darlington już zrównał z nią krok, jego rogi lśniły, basowy warkot wydobywał się z jego piersi.

Odrobina magii. Talent do znoszenia bólu. Demon u jej boku. To wszystko, co miała, ale może tylko tyle potrzebowała.

- Chodź, Darlington - powiedziała. - Urządzimy im piekło.

Podziękowania

Dziękuję, że raz jeszcze spotkaliście się ze mną. Tak samo jak w *Dziewiątym Domu*, prawie wszystkie budowle przedstawione w tej książce istnieją naprawdę i można je znaleźć na mapie New Haven, z wyjątkiem Black Elm, do którego inspiracją były niektóre domy w okolicy Westville. Sweetwell to także wymyślone miejsce, ale nie polecam krążeń po Old Greenwich w poszukiwaniu podobnego miejsca. Przynajmniej nocą.

Każda inskrypcja i opisany szczególnie dekoracji na Uniwersytecie Yale, w New Haven i w Bibliotece im. Sterlinga są prawdziwe, łącznie z ukrytymi drzwiami w biurze uniwersyteckiego bibliotekarza. Pozwoliłam sobie na drobne nadużycie w kwestii magicznego kwadratu Dürera, który znajduje się kilka stóp od wejścia z Danielem i jaskinią lwa na Dziedziniec Selina, a nie dokładnie nad nim. (Jakub I miał na myśli Bibliotekę Bodleiańską, ale gdybym ja miała wybrać bibliotekę na więzienie, to właśnie Biblioteka Sterlinga byłaby doskonałym miejscem). Kolekcja wody ze stawów w piwnicy Muzeum Peabody'ego też naprawdę istnieje (choć jestem pewna, że pieczolowicie ją spakowano na czas remontu). Ametystowa mapa nie istnieje, ale należy zaznaczyć, że wielu studentów Yale i członków katedry miało niewolników, w tym Jonathan Edwards, kaznodzieja straszony ogniem i siarką, na cześć którego nazwano college i akademik Alex. Więcej na temat związków Ivy League z niewolnictwem można znaleźć w pracy Craiga Stevensa Wildera *Ebony and Ivy: Race, Slavery, and the Troubled History of America's Universities*, a także w badaniach

prowadzonych przez Yale and Slavery Working Group (<https://yale-andslavery.yale.edu>).

Chciałabym szczególnie podziękować Camili Zorrilli Tessler, której pomoc w dostępie do Biblioteki Sterlinga i rozwikłaniu jej tajemnic była nieoceniona. Dziękuję za odpowiedzi na moje najdziwniejsze pytania i podzielenie się wieloma spostrzeżeniami na temat Yale i biblioteki. Dziękuję także Tinie Lu i Suzette Courtmanche z Pauli Murray College, które gościły mnie podczas mojej ostatniej wizyty na kampusie, kiedy zbierałam informacje. Dziękuję też Davidowi Heisrowi z Muzeum Peabody'ego, który był tak uprzejmy, żeby oprowadzić mnie po małym ułamku nadzwyczajnej kolekcji muzeum podczas mojej pierwszej wizyty. Ponownie dziękuję Michaelowi Morandowi, Markowi Branchowi, Claire Zalli i genialnej Jenny Chavirze, która skontaktowała mnie z tyloma cudownymi ludźmi i źródłami. D, dziękuję za podzielenie się doświadczeniami z obu stron prawa.

Wiele książek pomogło mi stworzyć świat *Dziewiątego Domu i Wrót piekieł*, ale w szczególności chciałabym wymienić *Visions of Heaven & Hell Before Dante* pod redakcją Eileen Gardiner, *Yale: A History* Brooks Mathera Kelleya, *Yale in New Haven: Architecture and Urbanism* Vincenta Scully, (jak zawsze) *Yale University: An Architectural Tour* Patricka Pinnella, *Model City Blues: Urban Space and Organized Resistance in New Haven* Mandi Isaacs Jackson, *The Plan for New Haven* Fredericka Lawa Olmsteda i Cassa Gilberta, *The Great Escape of Edward Whalley and William Goffe* Christophera Pagliuco, *The Public Artscape of New Haven: Themes in the Creation of a City Image* Laury A. Macaluso oraz *The Streets of New Haven: The Origin of Their Names* Doris B. Townshend. Jeśli nadal trwa, to ogromnie polecam fantastyczną wystawę w New Haven Museum na temat New Haven Clock Company Factory. Jeżeli już ją zamknięto, to słyszałam, że Gorman Bechard pracuje nad filmem dokumentalnym.

We Flatiron Books chciałabym podziękować Bobowi Millerowi, Kukuwie Ashun i mojej redaktor Megan Lynch, która podeszła do tej

powieści z pomysłowością i troską. Dziękuję także moim genialnym zespołom od marketingu i reklamy: Nancy Trypuc, Katherine Turro, Marisie Tasaka, Erin Gordon, Marlenie Bittner, Amelii Possanzie i Cat Kenney; Donnie Noetzel, Kethowi Hayesowi i Kelly Gatesman za to, że uczynili tę książkę tak dobrą; Emily Walters, Morganowi Michellowi, Lenie Shekhter i Elizabeth Hubbard z produkcji. Będę po wieki wdzięczna Jenn Gonzalez, Malati Chavali, Louisowi Grilli, Kristen Bonanno, Patricii Doherty, Bradowi Woodowi i wszystkim z zespołu sprzedaży w Macmillian za wspieranie moich powieści.

W New Leaf Literary ogromnie dziękuję Veronice Grijalva, Victorii Hendersen, Jennie Carter, Emily Berge-Thielmann, Abigail Donoghue, Hilary Pecheone, Meredith Barnes, Joe Volpe, Katherine Curtis, Pouyi Shahbazianowi, który pomógł mi przejść przez dolinę cienia pracy nad tą powieścią, Jordanowi Hillowi, który jest fantastycznym czytelnikiem, strategiem i współkonspiratorem, Joannie Volpe, która dopingowała mnie przez ostatnie dziesięć lat i jakimś cudem przeprowadziła mnie przez sztormy, kiedy byłam gotowa zatonać.

Ogromnie dziękuję Davidowi Petersenowi i Justinowi Mansfieldowi za ich pomoc z łaciną i arabskim, Sarah Mesle za zapoznanie mnie z Shell and Bones, Amie Kaufman za fachową wiedzę na temat żeglarstwa i pomoc w ukształtowaniu historii Trippa, moim koleżankom z akademika: Hedwig, Emily, Leslie i Nimie za podzielenie się wspomnieniami. Dziękuję także moim hojnym i mądrym partnerom-krytykom: Danielowi José Olderowi, Holly Black, Kelly Link i Sarah Rees Brennan za ich twórcze podejście, inteligencję i dobry humor. Dziękuję Melissie Rogal za to, że była dyplomatką i generałem, Peterowi Grasslowi za matematykę i gaszenie „wielkich pożarów”, Morganowi Faheyowi za najwyższej jakości wiedzę tajemną. Jeff, dziękuję Ci za to, że spiskowanie z Tobą było tak zabawne. Adrienne, dziękuję za przepyszne koktajle, życzliwość i mądrość, kiedy najbardziej ich potrzebowałam. Alex, dziękuję za to, że pożyczyłaś mi swoje cudowne pisanie i za umysł marketingowca. Sooz, dziękuję za pomoc przy

wszystkim, począwszy od streszczenia na skrzydełku obwoluty skończywszy na moim dziwnym umyśle. Dziękuję także Noah Eakerowi, który pierwszy podjął ryzyko z Alex i jej podróżą.

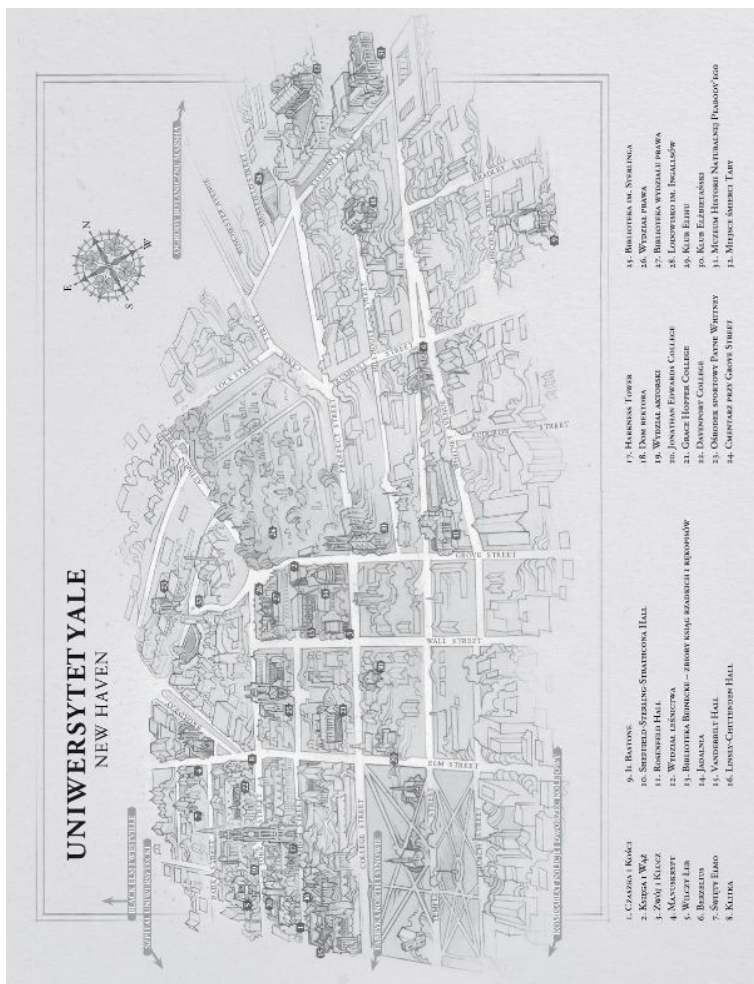
Chris, Sam, Ryan i Em, dziękuję, że mnie rozśmieszyliście. Mamo, dziękuję, że wychowałaś mnie na poezji i zdrowym rozsądku. E, dziękuję za to, że razem ze mną tworzysz miejsce wygodne, spokojne i piękne. Cieszę się z naszego wspólnego domu. Fres, niech żyje Ball.

I jak zawsze w ostatnich słowach dziękuję Ludovico Einaudi, którego muzyka poprowadziła mnie przez każdy szkiełko.

O autorce

Leigh Bardugo to autorka bestsellerów z pierwszych miejsc listy New York Timesa, która stworzyła *Dziewiąty Dom* i powieści ze świata Griszów (teraz zekranizowane przez Netflix), obejmujące m.in. trylogię *Cienia i kości*, dylogię *Szóstki Wron* i dylogię *Króla z Bliznami*. Jej opowiadania pojawiły się w wielu antologiach, w tym, w Best American Science Fiction and Fantasy. Mieszka w Los Angeles i jest associate fellow w Pauli Murray College na Uniwersytecie Yale.

Plan – Uniwersytet Yale



Przypisy

1 Dante, *Boska Komedia*, przełożył Edward Porębowicz.

2 W języku angielskim *sophomore* to student drugiego roku lub uczeń drugiej klasy (przyp. tłum.).

3 Przełożył Stanisław Barańczak.

4 William Butler Yeats, *Do przyjaciela, którego praca poszła na marne*, przełożył Tomasz Wyżyński.

5 Spook (ang.) – widmo, a także szpieg.

6 Wiliam Shakespeare, *Tymon Ateńczyk*, przełożył Leon Ulrich.

7 Przełożył Maciej Słomczyński.

8 Wszystkie cytaty z Biblii za *Biblią Tysiąclecia* (przyp. tłum.).

9 Christopher Marlow, *Tragiczna Historia Doktora Fausta*, przełożył Juliusz Kydryński.

10 Dante, *Boska Komedia*, przełożył Edward Porębowicz.

11 Homer, *Iliada*, w oparciu o przekład Kazimiery Jeżewskiej.

12 James Elroy Flecker, *Bramy Damaszku*, przełożyła Anna Bańkowska.

13 Wiliam Shakespeare, *Burza*, przełożył Stanisław Barańczak.

14 Henry Wadsworth Longfellow, *Ewangelina. Powieść akadyska*, przełożył Feliks Jezierski.

15 Dante, *Boska Komedia*, przełożył Edward Porębowicz.